

Pola Andrus



**Morderstwo
w pensjonacie**



Pola Andrus

Morderstwo
w pensjonacie



Pola Andrus
„Morderstwo w pensjonacie”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016
Copyright © by Pola Andrus, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok
Projekt okładki: Pola Andrus, Wydawnictwo Psychoskok

Autor zrezygnował z korekty profesjonalnej wydawnictwa

ISBN: 978-83-7900-543-7

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Piątek, 3 października

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Oskara Milera, od razu wiedziałam, że będą z nim kłopoty.

Po pierwsze i najważniejsze, był facetem.

Po drugie, był niesympatyczny.

Po trzecie, wepchnął się przede mną do kolejki do kasy, zupełnie jakbym była niewidzialna. A trudno nie zauważyć osoby mojej postury. Mierzę prawie metr osiemdziesiąt centymetrów i noszę oryginalne, artystyczne stroje. Tego akurat dnia miałam na sobie moje najnowsze wdianko w kolorowe kwiaty. Takich barw z pewnością nie stworzyłaby natura. Ba, gdyby natura zobaczyła te odcienie oranżu i fioletu, schowałaby się ze wstydu do ciemnego obrazu jednego z tych malarzy, co nigdy nie używali niczego poza czernią i szarością. Czasem całkiem poważnie sądziłam, że nie stać ich było na paletę farb i stąd ograniczenia w kolorach.

W każdym razie ludzie na mój widok mrużyli oczy, jakby poraził ich tajemny blask. Nic dziwnego. Wygrzebane w ciucholandzie wdianko uzupełniłam żółtymi spodniami, a na głowie miałam nową fryzurę. Z daleka przypominała stożek zakończony ostrym czubkiem, co jeszcze dodawało mi wzrostu. Miałam samopoczucie dobrze ubranej kobiety, kobiety, która dopiero co wyszła od fryzjera.

Ten facet nie miał żadnego prawa do psucia mi nastroju.

Niewysoki, niższy ode mnie, ubrany był w ciemny garnitur, jaki zwykle noszą przedsiębiorcy pogrzebowi. Najpierw potrącił mnie podczas przymierzania butów. Usiadłam ciężko posapując na zwolnionym właśnie taborecie, gdy ten znienacka nadepnął mi na haluks. Spojrzałam na niego z naganą, ale nie zareagował.

Trudno.

Wróciłam do rozważania, dlaczego w każdym obuwniczym sklepie zawsze jest pełno butów w niestosownych rozmiarach. Półki wręcz uginają się pod ciężarem par oznaczonych cyframi trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, natomiast dla normalnie zbudowanych kobiet obuwia brak. Moja prawa stopa prócz haluksa ma rozmiar czterdzieści trzy. Lewa zwykle miała czterdzieści dwa, ale ostatnio coś się zmieniło. Jakby urosła. Dziwne, bo niemal dorównała tej z haluksem. Zaniepokoiło mnie to. Jeśli przez pięćdziesiąt lat stopy różnią się rozmiarem, to powinno tak być aż do samej śmierci. Niestety, mój rodzinny doktor zupełnie zlekceważył ten problem.

Zbadał mnie, nie powiem. Sprawdził ciśnienie, zrobił ekg, nawet zlecił badania krwi. Nie, żebym zbytnio przejmowała się swoim zdrowiem. Jednak lubię

wiedzieć, co się dzieje. Samotna kobieta musi sama o siebie dbać. Zresztą pozostałe też muszą same dbać o siebie.

Malik pracuje u nas dopiero kilka lat, i ma sporo zalet, prócz oczywistej wady, że jest mężczyzną. Ale na to pewnie nie mógł nic poradzić.

Pokazałam mu stopy a on je uważnie obejrzał, zerknął na moje dłonie, a potem na uszy.

- Nic nie wskazuje na akromegalię – stwierdził gryząc wargę, zupełnie jakby coś go bawiło. Dziwny człowiek. – Ale zrobimy badania. Dawno pani nie widziałem. Dalej pani wiosłuje?

Zignorowałam pytanie.

- Co to ta akromegalo...? – zaniepokoiłam się.

- Odpowiednik nadmiaru hormonu wzrostu u dorosłych. U dzieci zaburzenie to powoduje gigantyzm, a w średnim... to jest późniejszym wieku, po okresie dojrzewania, powiększenie dłoni, stóp, obwodu głowy. Głównie twarzoczaszki – czoło, nos, żuchwa. Takie rzeczy. Pacjenci dawniej skarżyli się, że ich kapelusze robią się za ciasne.

- Uszu też? - spytałam z przerażeniem, wyobrażając sobie siebie w charakterze potwora o guzowatym czole ze słoniowatymi małżowinami, sterczącymi po obu stronach przerośniętej głowy.

- Uszy rosną powoli, ale przez całe życie. Proszę kiedyś porównać fotografie kogoś z młodości i starości. To normalny objaw, że są większe. Stopy też się powiększają. Zapewne tuż po studiach nosiła pani mniejszy rozmiar buta. Ale ja nie podejrzewam u pani zaburzeń hormonalnych. Zmiany zawsze dotyczą obu kończyn, a pani ma problem tylko z jedną stopą.

„Gadaj zdrow” – pomyślałam sobie. W końcu to nie on będzie wyglądał jak uszatek. W domu powyciągałam stare albumy ze zdjęciami rodziców. Malik miał rację. Ojciec pod koniec życia, świeć, Panie nad jego duszą, miał dwukrotnie większe uszy niż w dniu ślubu. Dziwne, bo na starość musiał używać aparatu słuchowego. Widać rozmiar nie miał nic wspólnego z jakością. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl – a może i on cierpiał na ten gigantyzm uszny? I ja to odziedziczyłam? Z wrażenia zadzwoniłam do przychodni, ale rejestratorka odmówiła podania mi domowego telefonu Malika. Musiałam się sama uspokoić i wszystkie koty z okolicy przyszły pod moje drzwi, gdy wylałam resztki waleriany na trawę.

Tydzień później znów stałam pod gabinetem Malika, spocona z wrażenia. Doktor zlecił mi badanie dna oka, co według mnie nie miało żadnego sensu. Może myślał, że źle oceniam rozmiar swojej stopy. Okulista nie był rozmowny. Krzyknął tylko „norma, norma” i już byłam poza drzwiami, otoczona przez rozwścieczony tłum pacjentów. W rękę ściszałam papierowy wydruk – moje osobiste wyniki. Krwi i oka. W Poradni Rodzinnej pokazałam je Malikowi.

- Wszystko w porządku, jak zresztą przypuszczałem – stwierdził, pobieżnie zerkając w cyfry i litery. Nie wiem, jakim cudem mógł to ocenić, patrząc przez milisekundę. Niektórzy to mają tupet. Siedziałam cicho, zastanawiając się, co dalej. Wreszcie doktor przerwał ciszę.

- Ma pani mnóstwo energii, pani Figiel. Starczyłoby dla kilku osób. Nie zastanawiała się pani nad - zawiesił głos – jakąś działalnością społeczną?

Akurat. Tu cię mam. Nie mam najmniejszej ochoty na nieustanne poganianie mnie przez Bogdankową, która wodzi rej w Radzie Parafialnej w pobliskim Pustkowie. U nas, w Nowym Lasku, też istnieje coś takiego, ale Bogdankowa i tu nieraz przyjeżdża. Straszna baba. Okropnie się szarogęsi, jakby pozjadała wszystkie rozumy. Nikt nie będzie mnie namawiał do żadnej działalności. I bez tego mam dość zajęć. Muszę utrzymać swój mały domek, nakarmić koty, odwiedzać mamę, chodzić z kijkami, wiosłować po jeziorze, no i gotować, sprzątać, robić zakupy. I tak dalej.

To co wymieniłam, to codzienne „przyjemności”. Dochodzą jeszcze do tego obowiązki związane z tym, że jestem na zasiłku przedemerytalnym. Po dwudziestu pięciu latach nauczania rosyjskiego uczelnia pożegnała się ze mną, wręczając mi wypowiedzenie i kwiatek w doniczce. Kwiatek o mało nie wylądował na głowie rektora, myszowatego faceta w wymiętej marynarce. Uratowała go sekretarka, typ wyzywającej blondyny.

Ale to było rok temu; od tamtej pory mam nieustanne problemy finansowe. Domek jest na szczęście mój, ale wciąż brakuje mi na codzienne potrzeby.

Od czerwca mam dodatkową pracę. Jest to typowa praca na czarno, dobra dla niewolników - wyrobników, ale nie zwykłam wybrzydzać. W końcu nie miałam innych propozycji.

Praca polega na „opiece” nad pensjonatem jednego miejscowego, który wzbogacił się w USA i wybudował tutaj, nad samym jeziorem, piękny budynek. Miejscowy nazywa się Dunaj i tak samo nazwał hotelik.

„U Dunaja”. Oryginalny pomysł.

Tymczasem doktor Malik zmrużył te swoje ciemne oczy. Zwykle melancholijny, dziś robił wrażenie nieco... rozbawionego? Ciekawe, co go tak rozśmieszyło.

- Nie chodziło mi o Radę Parafialną – powiedział głośno, jakby czytając mi w myślach. – Nie chcemy wysadzać salki przykościelnej w powietrze. - W Lęborku organizuje się chór. I uniwersytet trzeciego wieku. Mogłaby pani tam pracować.

Nie mogłabym. Muszę pracować za pieniądze, a nie za darmo. Zresztą mam już dość nauczania. Zebrałam się i wyszłam, zamykając mocno drzwi. Też coś. Wrzucać mnie do jednego worka ze staruszkami. Dobrze jednak, że nie mam tego... akro czegoś.

Co tam. Nie noszę kapelusza, a buty jakoś dobiorę.

Ale może wspomnę o okolicy, w której mieszkam. Nowy Lasek to mała pomorska miejscowość, położona wśród lasów, pól i łąk. Gdzieś tam błyszczą rzeczki i kręcą się złowrogie ramiona wiatraków. Niedaleko, ale też nie bardzo blisko, szumi Bałtyk. Jakies piętnaście kilometrów. Turystycznie stawia nas to w niekorzystnym położeniu. Wczasowicze ciągnąc na wybrzeże wybierają miejsca położone niemal na plaży. U nas nawet latem jest spokojnie, choć Dunaj robi co może, by zareklamować swój pensjonat. Nowy Lasek leży w pobliżu pięknego jeziora. Jesienią, tak jak teraz, w jego wodzie odbijają się kolorowe drzewa. Bo las otula jezioro szczelnym płaszczem, z jednym tylko „zapięciem” – wąską drogą prowadzącą do domu Dunaja. Brzegi są strome i niezbyt dostępne, całe w sosnach, klonach i dębach. Tafla wody migocze głęboko, znacznie poniżej poziomu przebiegającej niedaleko szosy do Pustkowa. Jeśli jesteś na dole, na przykład wiosłując albo pływając, to nie zobaczysz stamtąd nic prócz drzew. Czasami tylko słysząc szum przejeżdżających aut. Ten i ów kierowca zatrzymuje się, zwabiony blaskiem w dole, ale dojście od szosy do jeziora jest uciążliwe. Chyba, że zna się świetnie całą okolicę, tak jak ja. Turyści rzadko do nas zagląдают – pędzą na północ, w kierunku morza, piasku i krzyżących mew.

W takim to miejscu, na niewielkim wzgórzu, ulokował się pensjonat, w którym pracuję. Jestem właściwie zarządzającą, gospodynią, i sprzątaczką w jednym, choć generalnie porządki robię z pomocą dwu pań z Pustkowa. Milena Lach i młoda Sylwia Prokop chętnie pomagają. Dunaj ogłasza się w internecie i gazetach - ustala cenę i pobiera pieniądze – zawsze z góry. Do mnie należy cała reszta.

Witam umówionych gości, pokazuję im pokoje, zmieniam pościel, i, o ile trzeba, szykuję śniadania i kolacje. Choć może „szykuję” to za dużo powiedziane. Zamawiam jedzenie w najbliższej restauracji, a oni przywożą to wszystko o określonych porach. Większość gości woli być na własnym wyżywieniu. Korzystają wówczas z wielkiej, wspólnej kuchni, doskonale zresztą wyposażonej.

Dom ma jedno piętro z kuchnią, salonem i jadalnią na parterze. Z salonu można wyjść na pomost i dotrzeć do jeziora, nie narażając się na kontakt z mokrą trawą, pasikonikami, żabami, i tym podobnym. Obok kuchni mieści się coś w rodzaju pomieszczenia gospodarczego, gdzie przechowuję szczotki, odkurzacz, deskę do prasowania, a na półkach układam pościel i koce. Na dole poza tym jest tylko łazienka i jeden mały pokój, ale nie sypialnia. Raczej coś w rodzaju gabinetu, z biurkiem, szafą biblioteczną, wygodnym fotelem na kółkach i telewizorem. W rogu ustawiono narożną sofę. Drzwi balkonowe prowadzą na ten sam co drzwi salonu pomost, łagodnie schodzący do przystani z łódkami i rowerem wodnym. Według mnie to najlepszy pokój w pensjonacie, ale nie jest wynajmowany.

To znaczy nie był do tej pory. Ale wróćmy do piętra.

Cała góra to sześć sporych pokoi z osobnymi łazienkami. Wszystkie są

standardowo umeblowane w jasne drewniane meble. Na wyposażeniu znajdują się: łóżko lub dwa, kanapa, szafa ubraniowa, stolik z krzesłami, szafki nocne i telewizor. Podłogi pokrywa terakota ułożona w rozmaite wzory, nawet ładna. Poduszki nie są sztuczne, tylko z pierza, koce są prane po każdym gościu, ściany i porcelana w łazienkach nie mają śladu pleśni. Jednym słowem, to elegancki pensjonat, nie jakiś tam „Wiktor” z Pustkowie, który szczyci się nadmuchanym basenem na podwórku. U nas nie ma basenu, ale mamy jezioro, drewniane łódzie ze sterem, i kajaki. W ogóle to cały teren przy domu jest schludny i przyjemnie zagospodarowany. Jest altana z obowiązkowym grillem, dla wielbicieli surowego w środku mięsa. Jest nawet mała prywatna wędzarnia, jeśli ktoś lubi umieścić w ciepłym dymie to, co akurat złowił. Wszędzie stoją ławy i stoliki, dla tych nieustraszonych gości, którym nie wadzą komary. Szopa posiada coś w rodzaju zadaszzonego ganku, gdzie można usiąść i podziwiać widok na jezioro. Wędkarze trzymają w niej swój sprzęt, a na zimę wnosi się kajaki i łódzie. W kącie jest kilka rowerów o różnym stopniu zużycia, ale sprawnych. Pomost wychodzi daleko w wodę. Latem można się na nim opalać albo siedzieć ze spuszczonej do wody nogami i cieszyć się wakacjami.

Choć pracuję tam zaledwie od czerwca, zauważyłam pewną prawidłowość wśród gości. Najpierw przybywają emeryci. Mają ze sobą kijki do nordic walking, wiaderka na jagody i gumowe buty. W środku lata dominują wędkarze, ale nie stroniący od adidasów, grilla i jazdy na rowerach. Jesienią znów mamy starszych ludzi, tym razem z koszami na grzyby. Kuchnię wypełnia aromatyczny zapach suszących się prawdziwków, a na zewnątrz, za progiem, tłoczą się zabłocone gumiaki. Wędkarze też są wówczas obecni, ale jakby to powiedzieć... w odwrocie. Ogólnie da się wytrzymać.

Mieszkam na skraju Nowego Lasku, w domu najbliższej jeziora. Do pracy mam około kilometra. W sezonie przemierzam ten dystans w ciągu ośmiu minut.

Wielką zaletą mojego zatrudnienia jest swobodny dostęp do łodzi. Wprost przepadam za pływaniem po jeziorze, kąpielą w małych zatoczkach, gdzie nikt mnie nie widzi i nie komentuje mojego gumowego czepka nabytego w szmateksie i pływackich różowych okularków. W końcu to nic takiego, że są ozdobione napisem „jestem sexy” i podobizną umięśnionego troglodyty.

Nie zamieniłabym ich na inne – wcale nie przepuszczają wody.

Czasami, kiedy jestem na łodzi, spotykam miejscowych, też na łodziach. Niedawno widziałam doktora w towarzystwie trzech starszych pań. Wiosłował, aż miło. Poza nim stary Gryko i mąż Bogdankowej są częstymi bywalcami jeziora. Wcale się nie dziwię. Gdybym to ja musiała mieszkać z Wiesią Bogdanek, to umykałabym na łódź w każdej wolnej chwili.

Wracając jednak do obuwniczego. Ten nieduży facet potrafił mnie drugi raz, kiedy stałam przy kasie. Wzięłam się pod boki. Spojrzałam na niego.

On spojrzał na mnie.

Uśmiechnął się dobrotliwie i wyrozumiale, od czego od razu zrobiło mi się niedobrze. Nie cierpię, kiedy ktoś tak patrzy. Tak samo patrzył na mnie rektor, gdy ciskałam w niego doniczką. Dwulicowy typek.

- Pani chce mnie przeprosić? – spytał słodko Nieduży. - To dobrze. Nie należy się przepychać w kolejce. To niechrześcijańskie. Napisane jest bowiem, żeby wszystkim dobrze czynić.

Zagapiłam się w Nieduzego, mimowolnie otwierając usta. Miał piękny, głęboki głos, starannie modulowany. Misjonarz? W Lęborku? Może dlatego ubiera się w pogrzebowy garnitur, pomyślałam, marnując czas przeznaczony na działanie. Mogłam powiedzieć mu mnóstwo rzeczy, wyjaśnić, co myślę o facetach lekceważących kobiety, o facetach nadeptujących na haluksy, o facetach w ciemnych garniturach z nabożnymi minami. W ogóle o wszystkich facetach.

Wykorzystując fakt mojego myślenia, Nieduży sprawnie zapłacił za obuwie i zniknął z mojego pola widzenia. Pewnie dalej bym tam stała, gdyby nie kasjerka. Wyciągnęła dłoń wyjmując mi z rąk najnowszy hit – pantofle na obcasie z zapięciem w kostce. Rozmiar czterdzieści trzy. Czerwone, z lakierowanego tworzywa sztucznego. Pomyślałam, że ładnie mi się skomponują z zieloną suknią w pomarańczowe róże, niedawno wygrzebaną „z kosza”. Ciągłe kupuję sobie ciuchy w sklepach z używaną odzieżą. To coś, co jest wciągające, jak hazard, jak szukanie skarbu czy borowika. Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie.

- Należy się pięćdziesiąt osiem – powiedziała stanowczo kasjerka. Pudełko z obuwiem umieściła przezornie poza moim zasięgiem.

Zapłaciłam, wzięłam swój nabytek i wyszłam na październikowe popołudnie.

Była dopiero czternasta. Początek jesieni, wyjątkowo w tym roku pogodnej i zielonej. Od kilku dni ustalił się nad nami wyż ze wschodu, stabilizując ciśnienie atmosferyczne i powodując poprawę nastroju u wędkarzy i cyklistów, a smutek wśród grzybiarzy. Postanowiłam, że przed powrotem do domu zajrzę jeszcze do najbliższej cukierni, by kupić sobie ciastko z kremem.

Ciastka są niezdrowe, zawierają cholesterol i mnóstwo kalorii, ale należało mi się coś po spotkaniu z Nieduzym. To będzie rodzaj nagrody pocieszenia, więc nie liczy się jako słodczyce.

W istocie, kelnerka знаła mnie doskonale. Od razu podeszła do mojego stolika z herbatą i tacą ciastek. Wybrałam sobie trzy, jak zwykle, ale po namyśle odłożyłam jedno z powrotem. Kelnerka nic nie spostrzegła – zajęta była obsługiwaniem tyczkowatego młodego człowieka. Mówiła do niego „panie Waldku” i bez pytania zapakowała mu do papierowej torby trzynaście pączków. Wiem, bo policzyłam.

- A dla szefa? – spytała, nabijając kasę.

Wyobraziłam sobie tajemniczego szefa. Skoro podwładny zjada samodzielnie trzynaście pączków z lukrem i budyniem, to ile powinien spożyć sam szef? Co najmniej dwadzieścia sześć. Inaczej nie byłby szefem całą gębą.

- Nie, on jest na diecie – odpowiedział Waldek, grzebiąc po kieszeniach. Zapłacił i wybiegł, nie oglądając się. Dziewczyna patrzyła chwilę za nim, westchnęła, po czym skupiła się na mnie.

- Dotykała pani tego ciastka – stwierdziła. – Musi pani za nie też zapłacić.

Zrobiłam niewinną minę. Nie lubię płacić za rzeczy, których nie zjadłam. Grając na zwłokę, zamówiłam jeszcze herbatę. Kiedy kelnerka stawiała tacę na stole, zagadałam ją:

- Czy szef tego młodego człowieka nie jada pączków?

- Nie wiem. Ale przypuszczam, że nie – odparła. – Ale dlaczego pani pyta?

No, właśnie, dlaczego. Prawidłowa odpowiedź brzmi tak: „żebyś zapomniała o dodatkowym ciastku”.

- Wydał mi się podobny do mojego kuzyna od strony ojca. Te same uszy.

- Nie, on jest miejscowy – odparła kelnerka. - Pracuje tu blisko. A od pani należy się dwadzieścia pięć złotych.

Zapłaciłam i poszłam. Dzień jakby stracił nieco na blasku. Na rynku wsiadłam do autobusu do Nowego Lasku. Nadal czułam dyskomfort. Przeanalizowałam dotychczasowe działania. Rano łódka, potem sprzątanie pensjonatu, fryzjer, zakupy w Lęborku, cukiernia... zaraz. Być może chodzi o ciężar żołądkowy. Nie, niemożliwe. Wszyscy wiedzą, że mam doskonałe zdrowie. Odwiedzam Malika regularnie, co najmniej raz w miesiącu, a rozmawiam z nim przez telefon znacznie częściej. W istocie, całkiem często. Doktor jest zadania, że nic mi nie dolega. To bardzo dziwne, niby skąd on może o tym wiedzieć. Nie jest mną, prawda?

Zamyśliłam się, podczas gdy za oknem przesuwały się jesienne krajobrazy. Klony miały już ten pomarańczowy odcień, który cudownie wygląda na tle błękitnego nieba. Wiecznie zielone sosny i świerki stanowiły doskonałe tło dla kakofonii żółci, brązów i czerwieni jesiennych liści. Nad polami unosiła się delikatna mgiełka, wygładzając bruzdy ziemi i wschodzące oziminy. Gdzieś daleko, na północy, szumiało morze.

Minęliśmy dwie małe osady. Miejscowi wsiadali i wysiadali, młodzież i dzieci wracały do domów. Nadal było mi jakoś ciężko na duszy. Niby dlaczego? Przecież miałam udany dzień. I udane zakupy. Ta sukienka wygrzebana z kosza, ma wprawdzie niewielką plamkę, ale na pewno się spierze. No i buty. Cudowne, czerwone pantofle. Będę w nich wyglądać jak naprawdę elegancka kobieta.

Skrzywiłam się. Buty skojarzyły mi się z Niedużym.

To on stanowił przyczynę mojego dyskomfortu. Ciekawe. Paskudny typ.

Postanowiłam, że nie będę się nim przejmować. Na szczęście nigdy już go

nie spotkam.

Wysiadłam na swoim przystanku, zbierając wokół siebie paczki z zakupami. Do domu miałam już tylko kilkaset metrów, gdy podbiegła do mnie Sylwia Prokop.

- Telefonował Dunaj – zawołała. - Dziś przyjeżdżają goście!

Goście, to dobrze. Będzie więcej pracy, ale i więcej zarobię. Szkoda tylko, że w ostatniej chwili. No, ale nieraz tak bywa.

- Właśnie kończyłam w kuchni, gdy zadzwonił telefon – relacjonowała Sylwia. – Cała grupa ludzi, ale płaci tylko jeden. Za wszystkich. Jakiś zjazd, czy coś takiego.

- Na długo?

- Na trzy dni. Ten główny, ten co płaci, będzie tu za dwie godziny. Przyszykowałam wszystkie pokoje, bo ma być ich chyba sześćioro, i każdy ma mieszkać sam. Chcą kolację na dwudziestą. Już rozmawiałam z restauracją. Na razie nie podałam, o ile osób chodzi, tego dowiemy się później. Wszystko ustalone.

Trzeba przyznać, że Sylwia jest nie tylko ładna, ale i bardzo sprawna w działaniu. I ma jedną bezcenną cechę – można na niej polegać. Teraz przejęła ode mnie część paczek, i weszła za mną do domu.

- Czemu od razu do mnie nie zadzwoniłaś?

- Ależ zadzwoniłam. Nawet dwa razy. Ma pani wyłączony telefon.

Pomacałam się po kieszeni. Mój telefon! Nie ma. Może ktoś go ukradł? Sprawdziłam w popłochu kuchnię i sypialnię. Wreszcie odetchnęłam.

- Został w łódce. Doskonale zrobiłaś. Teraz coś zjem i zaraz tam idę. Zostaniesz na kolacji?

Sylwia potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Dziś mam gości. Ale jutro jestem wolna, będę pod telefonem.

Po odjeździe dziewczyny zajęłam się swoimi sprawami. Wypakowałam zakupy, nakarmiłam dwa kocury - pręgowanego i czarnego, po czym zasiadłam przy stole, popijając kawę. To jednak będzie dobry dzień. Goście w październiku to jak nowy biustonosz w szmateksie.

Wyjątkowa rzadkość.

Przed wyjściem na spotkanie z nimi przejrzałam się w lustrze. Mam duże lustro, wisi w przedpokoju na piętrze i w nocy, kiedy idę do łazienki, odbijam się w nim jak duch. Z początku trochę mnie to peszyło, ale potem przywykłam. Nie ma co narzekać. Ja nigdy nie narzekam, nawet na zdrowie, choć nieraz mi dokuczają. Inni mają gorzej – na przykład taka Sylwia Prokop. Młoda dziewczyna, mieszka sama w domu, w którym w czerwcu ubiegłego roku zamordowano jej ciotkę. Podobno znaleziono ją w salonie, całkiem nieżywą. Wtedy jeszcze mieszkałam w Gdyni, i ominęło mnie całe interesujące śledztwo. Doktor Malik - ten wie o tym najwięcej, ale nigdy nawet się nie zająknął na ten temat. Uczestniczył w śledztwie i zdaje się, że nawet znalazł jedno, a potem drugie ciało. Całkiem martwe. Brr. Nie

do pozazdroszczenia. Na szczęście u nas, w Nowym Lasku, mamy spokój. Nie przyjeżdżają tu nałogowi mordercy.

Lustro pokazało wysoką kobietę w modnej fryzurze. Nastroszyłam trochę włosy, wręcz mrużąc z zadowolenia. Tym razem fryzjerka naprawdę się postarała. Przebrałam się w moje najlepsze spodnie, z praktyczną tasiemką w pasie. Długa elegancka tunika sprytnie maskowała ten fakt. Nie znoszę spodni na zamek. Zawsze ze mnie spadają, nie sięgają talii, i okropnie cisną z tyłu. Z przodu zresztą też. Tunika miała wzory w czerwono – zieloną kratę, co ładnie podkreślało moje brązowe włosy. Na twarzy widać było zmarszczki. Przyjrzałam się im. Sporo pod oczami i jeszcze między ustami i nosem. Fuj. Zmiatajcie.

Sięgnęłam na półkę i wydobyłam nowy podkład. Rozświetlający, wygładzający i dający natychmiastowy efekt odmłodzenia. Rozsmarowałam go na twarzy, poprawiłam pudrem w proszku i użyłam szminki. Wszystko, co najlepsze dla Nadzianego. Gość, który płaci za sześć osób, musi być Nadziany, nie ma innego wyjścia.

Z lustra spojrzała na mnie dziwaczna twarz. Zmarszczki wcale nie znikły, za to teraz robiłam wrażenie człowieka w masce.

„Ratunku. Wyglądam jak stara baba” – pomyślałam w panice. - „Zupełnie jakbym miała pięćdziesiąt lat!”

Zmyłam wszystko wodą z mydłem i zignorowałam lustro, przestając na niewielkiej dawce perfum. Moje dwa koty zaczęły prychać i stanęły przy drzwiach. Zwierzęta nie znają się na aromatach. Wypuściłam je, zabrałam torebkę i wyruszyłam na spotkanie z Nadzianym.

Maszerując przez las oddałam się marzeniom.

Gdzieś w głębi serca miałam nadzieję, że może okaże się on Tym Jedynym. W końcu przeżyłam już niemal – no, dobrze – już ponad pół wieku bez mężczyzny przy boku. Dziwne, zważywszy na to, że moje koleżanki zmieniły w tym czasie po paru mężów. Niektóre nawet partnerów, nie tylko mężów.

Z początku, kiedy byłam młoda, spotykałam się z objawami fałszywego współczucia.

„Nie martw się, na pewno sobie kogoś znajdziesz. Przecież wcale nie jesteś taka brzydka” – mówiły do mnie dwie najlepsze koleżanki ze studiów, a potem z uczelni. „Spójrz na mnie” – zachęcały, wyginając przed lustrem chude grzbiety – „też jestem gruba i mam trzech wielbicieli”.

Potem w miarę upływu lat, zaczęłam spotykać się z objawami zazdrości. Mężczyźni porzucali je, grozili im, pili, oszukiwali, zabierali im mieszkania i samochody, znęcali się nad nimi... Ale i tak wpadały w ramiona kolejnych mężczyzn. Zwykle gorszych.

„Tobie to dobrze, masz spokój. Dzieci nie dokuczają, nie masz żadnych zmartwień, nie musisz iść do sądu w sprawie mieszkania czy długów...”

To pewnie wtedy zniechęciłam się do mężczyzn. Całkiem możliwe, że miałam wokół wyłącznie złe przypadki. Ale gdzie są te dobre? Do szału doprowadzają mnie ludzie uważający, że facet musi zawsze mieć to, co najlepsze. Ludzie, którzy podadzą synowi obiad, a córce po powrocie z pracy każą szorować garnki. I obsługiwać brata. Jak to jest, że on wita gości, rozpromieniony po drzemce, a ona już słania się na nogach po całodziennym pobycie w kuchni? Czemu nikt nie płaci kobietom za prowadzenie domu, pranie, zakupy, gotowanie, sprzątanie, prasowanie, wieszanie firanek, wywiadówki w szkole, opiekę nad dziećmi, załatwianie drobnych napraw, i tak dalej? To w końcu więcej niż cały etat włochatego troglodyty z pilotem od telewizora w ręku i puszką piwa pod łokciem...

No, ale zboczyłam z tematu. Mimo zupełnego braku doświadczeń z mężczyznami w sferze uczuciowej, nie tracę ducha. Nawet czasem, tak jak teraz, specjalnie się staram, by wyglądać jak najlepiej. Nigdy nic nie wiadomo...

Może Nadziany okaże się wysokim, ciemnowłosym przystojniakiem, z błyskiem w oku, zabójczo interesującym, wysportowanym, z poczuciem humoru i melancholijnym, ciągle zapracowanym i jednocześnie prowadzącym gospodarstwo domowe, i... moje myśli gwałtownie wyhamowały.

Dotarłam do pensjonatu. Był tam zadaszony ganek z ławeczkami po obu stronach drzwi wejściowych. Minęłam furtkę, przeszłam jeszcze kilka metrów i zobaczyłam Nadzianego.

Musiał to być on, niestety. Choć wcale nie wyglądał jak Nadziany.

W istocie, był tak niepodobny do mojej wizji, jak to tylko możliwe.

W niczym nie przypominał Tego Jedyne.

Wyglądał jak Nieduży.

Siedział na ławce pod daszkiem. Obok niego stała spora walizka. Zatrzymałam się i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Poznał mnie z pewnością, ale nie dał niczego po sobie poznać. Nie drgnęła mu nawet powieka ani rzęsa. Ani nos, ani ucho. Ani ręka, ani noga. Przez moment miałam nadzieję, że może umarł. Przyjrzałam mu się dokładniej.

Na świeżym powietrzu wyglądał jeszcze gorzej niż w sklepie. Żółtawa cera mogła sugerować upodobanie do kieliszka lub problemy z wątrobą. Albo jedno i drugie. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy, ciężkie powieki, słabo zarysowana broda. Około czterdziestki, nosił nadal swój formalny garnitur i szarą koszulę. Ręce – okropne. Zawsze zwracam uwagę na ręce. Nieduży (lub Nadziany) miał krótkie, grube paluchy i delikatną, wypielegnowaną skórę. Wyciągnął do mnie rękę, którą uściśnęłam krótko i mocno. W dotyku jego dłoń przypominała wiotkiego śledzia.

- Witam – rzekłam, powstrzymując odruch wytarcia rąk o spodnie. - Nazywam się Alicja Figiel i zarządzam tym pensjonatem. Parking jest z boku domu. Zaraz otworzę bramę. Proszę do środka.

- Oskar Miler – Nadziany wziął walizkę. – Dziś przyjeżdżają moi goście. Spodziewam się, że wszystko jest doskonałej jakości, jak zapewniał mnie właściciel. Oczekuję usług na najwyższym poziomie. Do kolacji obowiązują oficjalne stroje. Dam pani plan dnia.

Nic nie powiedziałam. Otworzyłam bramę wjazdową i poczekałam, aż ciemnoszary wielki samochód zaparkuje na podjeździe. Nieduży wysiadł, trzasnął drzwiami i znów się uśmiechnął. Jego uśmiech nie obejmował oczu. Coraz bardziej nie podobał mi się ten gość. Nie był słabeuszem. Wcale.

Czuło się w nim pewną siłę, ale taką, że miałam ochotę zmykać, gdzie rośnie pieprz i inne przyprawy. I ten głos. Silny, zapewne wykorzystywany świadomie jako narzędzie... Narzędzie czego? Może faktycznie jest wędrownym kaznodzieją albo szefem sekty, albo komiwojażerem. Nie, tym ostatnim to nie. Auto miało warszawską rejestrację i wyglądało, jakby dopiero co wyjechał nim z salonu o nazwie „Najlepsze Samochody dla Mafii”. Komiwojażera nie stać na taki wóz.

- Gość w dom, Bóg w dom – powiedział, wchodząc przede mną do wnętrza. Bardzo się mylił.

Pokazałam mu parter. Kuchnię, salon, jadalnię. Chciał wszystko zobaczyć, nawet schowek na szczotki. Zainteresował go gabinet z biblioteczką. Zostawił tam swoją walizkę. Wyrzwał na pomost, pokiwał głową, zapytał o opał do kominka.

Trochę się rozluźniłam. Zadawał typowe pytania, poza tym wyraźnie był zadowolony z tego, co już widział. Razem poszliśmy na górę. Zaakceptował pokoje, zajrzał do łazienki, włączył telewizor.

Na dole obejrzał pomost, szopę na łodzie, zerknął na kajaki.

- Dziękuję pani – rzekł uprzejmie. – Teraz pomówmy o wyżywieniu.

Miał swoje wymagania, ale udało nam się porozumieć. Zamówił śniadania i kolacje na trzy najbliższe dni. Poprosił o zaopatrzenie kuchni w napoje, przekąski i kawę. Ustaliliśmy cenę za te usługi. Wcale się nie targował. Trochę mnie to zdziwiło. Wyglądał na faceta, który liczy każdy grosz.

Postanowiłam dzwonić do Dunaja i upewnić się, czy zapłacił za pokoje. Może jest jednym z tych gości, którzy znikają bez śladu i bez opłat.

Tymczasem zajrzałam do jego dowodu. Oskar Miler, lat trzydzieści dziewięć, zameldowany na stałe w stolicy. Ciekawe, co go skłoniło, żeby wybrać właśnie Nowy Lasek. Sporo kilometrów do przejechania. Spisałam dane i zwróciłam mu dowód. Muszę to robić, by prowadzić dokumentację i wносить opłatę klimatyczną.

Była już siedemnasta. Zadzwoiłam do restauracji i zamówiłam posiłki dla sześciu osób na trzy dni. Zgodnie z harmonogramem Niedużego.

Kawa i herbata były w kuchni, podobnie cukier i śmietanka. Postanowiłam, że ciastka i krakersy kupię jutro. Dziś gościom musi starczyć kolacja.

Pojawił się Miler. Przebrał się w sportową bluzę i dresowe spodnie. Na

nogach miał adidas. Wyglądał jak Nieduży w przebraniu Sportowca.

- Jutro chcemy popływać łódkami. Chciałbym, żeby wybrała się pani z nami i pokazała nam dobre miejsca do łowienia. Jeden z moich znajomych jest wędkarzem. Panie chętnie zobaczą tutejsze wyspy.

Zgodziłam się. Kiedy odszedł, krytycznym wzrokiem zmierzyłam kuchnię. Wszystko gotowe? Zajrzałam do szafek. Z dolnej wyfrunął na mnie wielki mol i usiadł mi na głowie.

No, ładnie. Widać Sylwia przeoczyła tę półkę. Musiała tam zostać resztką mąki. Zabrałam się za szorowanie i czyszczenie. Za oknem zrobiło się szaro, więc włączyłam wszystkie zewnętrzne światła, zaciągnęłam zasłony w salonie, i wyjrzałam na parking.

Właśnie wjeżdżała mała honda. W szybko zapadającym zmroku trudno było rozpoznać kolor, ale chyba zielona. Wysiadła z niej wysoka kobieta. Dojrzałam błysk jasnych włosów. Zrobiła dwa kroki w stronę domu, zawahała się i zatrzymała. Mnie nie mogła zobaczyć – szybko cofnęłam głowę w cień.

Tymczasem nowo przybyła rozglądała się wokół. Zamknęła auto, wyjęła torebkę, i ruszyła na tył domu wyłożoną ścieżką.

Nie jestem wścibska, ani nic takiego. Mogła tam robić, co tylko chciała. Może lubi samotne spacerować nocną porą po nieznanach posesjach. Może ćwiczy marsze albo medytuje. Niewykluczone też, że jest akrobatką i chce mieć miejsce do zrobienia trzech podwójnych salt. Wprawdzie dróżka była oświetlona, lecz prowadziła wprost do pomostu, a potem – do wody.

Poszłam za nią. Z początku nie mogłam jej nigdzie dostrzec. Ogrodzony teren jest całkiem rozległy, ale nie wydawało mi się, by weszła do szopy albo altany.

Stała na samym końcu pomostu, zupełnie nieruchomo, wpatrując się w ciemność. Księżyc zaświecił na jej włosy i tylko dlatego mogłam ją zauważyć. W ciemnym stroju zlewała się z nocą.

Podeszłam do niej, robiąc mnóstwo hałasu. Głośno tupiałam na deskach, a nawet kilka razy odchrząknęłam. Nie chciałam jej zaskoczyć. Jeszcze by wpadła do wody, jak to zdarzyło się na mój widok Malikowi zaledwie miesiąc wcześniej. Schylał się nad wodą, gdy raptem stanęłam przed nim w moim kostiumie kąpielowym. I czepku. Wcale nie wiedziałam, że on tam stoi. Był tam jednak, kołysząc się niepewnie w chybotliwej łodzi. Jęknął, raptem podskoczył i wleciał do jeziora w pełnym stroju. Tuż przy pomoście nie jest bardzo głęboko, ale i tak ruszyłam mu na ratunek. Doktor po wyjściu na ląd dziwnie jakoś kaszlał i szybko się oddalił. Nie chciał oglądać mojego bolącego gardła.

Ale teraz nie chciałam, by Tajemnicza wpadła przeze mnie do jeziora. Wreszcie mnie usłyszała, bo odwróciła się nagle, z jakimś dziwnym, obronnym gestem. Podeszłam bliżej.

- Witam w pensjonacie. Nazywam się Alicja Figiel. We wszystkich sprawach proszę zwracać się do mnie. Pani jest jednym z gości pana Milera?

Kobieta odwróciła się. Przez chwilę wpatrywała się we mnie intensywnie, jakby potrzebowała dobrej chwili, by zorientować się w sytuacji. Sprawiała wrażenie osoby przebywającej myślami bardzo daleko od pomostu.

- Tak, właśnie przyjechałam. Lidia Miler. Nie chciało mi się jeszcze wchodzić do środka. Noc jest taka piękna! Lubię jeziora, wodę, pomyślałam, że wszystko obejrzę, zanim zrobi się całkiem ciemno – tłumaczyła się miłym głosem osoby wykształconej.

Przyjrzałam się jej dyskretnie. Włosy jasne, elegancko upięte w kok. Twarz bez makijażu, zmęczone oczy. Wysokie kości policzkowe, tak pożądane u modelek, ciemne brwi. Szczupła, chyba zgrabna, nosiła ciemną kurtkę i miękkie czarne spodnie. W uszach i na policzkach coś błyszczało. Tam to kolczyki, ale tutaj ewidentnie łyzy. Tajemnicza płakała!

- Teraz już chodźmy do domu – mówiła nerwowo, rozglądając się na wszystkie strony. - Mój... były mąż pewnie już jest?

Przytaknęłam. Ruszyliśmy pomostem ostro w górę, gdy ciemność po prawej stronie pensjonatu pojaśniała. Dwa reflektory omiotły nas, szopę, sięgnęły jeziora, i znikły za rogiem.

- Jest kolejny gość – powiedziałam do Tajemniczej Lidii.

Na podjeździe manewrował wielki SUV. Ogromne koła, drapieżne światła, zapewne przyciemnione szyby. W mojej klasyfikacji mógł się nazywać „Wóz Dla Facetów z Kompleksami”. Drzwi od strony kierowcy stanęły otworem, i wysiadł Facet z Kompleksem. Przeciągnął się, ziewnął, ale nagle znieruchomiał. Pojęłam, że to na mój widok. Wielu mężczyzn tak reaguje. Wywieram na nich wrażenie.

Facet z Kompleksem ruszył w naszą stronę.

- Witaj, Lidia! – zawołał grzmiącym basem. – Kopę lat!

Uklonił się i przywitał także ze mną. Uścisk dłoni miał energiczny i silny.

- Janusz Wiluk, przyjaciel rodziny – przedstawił się z uśmiechem. Miał piękne zęby, włosy krótko przystrzyżone, nosił zamszową kurtkę i welwetowe spodnie. Rozpiętą pod szyją koszulę zdobiła apaszka. Przystojniak! Doszłam do wniosku, że czas spędzony jutro na łódkach może być bardziej interesujący niż myślałam. Ale gdzie ma Kompleks?

To się zaraz okazało. Skrzypnęły drugie drzwi wozu i wysunęła się z nich noga zakończona najwyższą na Pomorzu szpilką. Dołączyła do niej druga, całkiem podobna. Też smukła i zgrabna.

„Może to transwestyta” pomyślałam z nadzieją, oglądając się na Przystojniaka. Niestety, nic na to nie wskazywało. Janusz Wiluk podskoczył do auta i przytrzymał drzwi przed Pięknością spod Latarni.

Nie powiem, nawet w niezbyt dobrym świetle prezentowała się

ośniewająco.

Platynowa blondynka w niedbale narzuconym na ramiona futrze, z fryzurą na Marilyn Monroe i obfitym biustem. Uśmiechnęła się omdlewająco do Przystojniaka i rzekła schrypniętym głosem:

- Dziękuję, mój drogi. Czy ktoś zabierze nasze walizki? – mówiąc to, patrzyła wprost na mnie.

Wiluk uśmiechnął się.

- Już niosę. Idźcie do środka. Tu jest zimno.

Lidia stanęła nieruchomo, wpatrzona w Piękność.

- Ty tutaj?

Blondyna wyszczerzyła zęby.

- Oskar ci nie powiedział? No cóż, nie wiem, czemu mnie to nie dziwi. Niby czemu miałyby się tłumaczyć. Mnie – podkreśliła – powiedział dokładnie, kto tu będzie. Za parę dni zabiera mnie na Seszele... a może Kanary. Te wszystkie nazwy!

Lidia zacisnęła zęby i ruszyła do swojej hondy. Wydobyła z niej walizkę na kółkach, którą pociągnęła w kierunku wejścia.

Janusz Wiluk zobaczył to już w drzwiach. Obrócił się, porzucając swoje toboły i podbiegł do niej.

- No coś ty, nie będziesz tego nosić. Daj, pomogę. Masz coś jeszcze w aucie?

Podczas gdy Dżentelmen z Walizkami wnosił bagaż, zajrzałam do kuchni. Wszystko wydawało się być gotowe do kolacji. Zaprowadziłam obie panie na piętro, pokazałam ich pokoje. Były chyba zadowolone. Obie szybko zniknęły wewnątrz. Wskazałam jeszcze Wilukowi jego lokal, po czym znów zesłam na dół. Z za drzwi gabinetu na parterze wydobywało się światło. Widać Miler tam był. Dziwne, że nie wyszedł do gości. Ale właściwie, to nie moja sprawa. Mnie obchodzi kolacja o dwudziestej, czyli za godzinę. Może wtedy wszyscy się przywitają.

- Przepraszam panią – obróciłam się, żeby ujrzeć Przystojniaka z Wędką. A nawet kilkoma wędkami. – Gdzie mogę je umieścić?

Poszliśmy do szopy. Po drodze Janusz wyrażał podziw dla pensjonatu, otoczenia (słabo widocznego w ciemności), jeziora (zupełnie niewidocznego), oraz uroczej gospodyni (doskonale widocznej). Miły człowiek. Zapytałam go, jak nazywa się Piękność.

- Muszę wszystkich państwa wpisać do rejestru gości – wyjaśniłam.

Okazało się, że Piękność nazywa się Lola Bartnik. Bardzo stosowne imię.

Przystojniak okazał się gadułą.

- Niech pani sobie wyobrazi, pani Alu, że dopiero wczoraj dowiedziałem się, że tu przyjeżdżamy. To znaczy Lola i ja. Mieszkam blisko Warszawy, a tutaj jest jednak daleko, ale czego się nie robi dla ryb. Zupełny maniak ze mnie. Nie mogę

żyć bez wędkowania. Lola zapewniała, że nigdzie nie ma takich ryb jak tutaj. Tylko dlatego przyjechałem. Kiedyś przyjaźniliśmy się, ale teraz ona jest z Oskarem. On wyjechał przedwczoraj, musiał po drodze zatrzymać się w Olsztynie na jakiś czas. Nie miała jak się z nim zabrać, a nie lubi podróżować sama. Ciekawe, że zaprosił byłą żonę. Dziwak z niego. Jak długo go znam? Od szkoły. Potem zacząłem trenować, a on poszedł na studia. Zawsze był zdolny. W szkole nazywaliśmy go „Kaznodzieja”, bo ciągle cytował Biblię.

- A co studiował?

- Farmację. Potem trafił do jednej z firm sprzedających leki. To był sam początek, takie firmy dopiero wchodziły w środowisko medyczne, a on był jednym z pierwszych w kraju przedstawicieli. Jeździł po lekarzach i reklamował swój lek. Szybko awansował. Teraz ma firmowy wóz, chyba już ósmy czy dziewiąty – nie wiem, bo zmienia je co dwa lata. Zarządza całym działem promocji na Mazowsze. Mnóstwo zarabia. Zaprosił nas kiedyś na imieninowe przyjęcie. Wtedy poznali się z Lolą.

- I nie przeszkadza panu, że on i ona...

- ...są kochankami? Nie. Dla mnie Lola jest teraz przyjaciółką, a on przyjacielem. Miło, że zaprosił mnie na ryby.

- A co pan trenował? – spytałam, porzucając temat Niedużego. Przystojniak był wolny! Hu, ha!

- Piłkę nożną. Grałem przez kilka sezonów w drugiej lidze, ale potem kontuzja wykluczyła mnie z dalszych rozgrywek. Dobrze, że pozwolili mi zostać w klubie w roli pomocnika trenera. Mnie niewiele trzeba – mówił, spoglądając na maskę SUV'a. – Dobry wóz, wygodny dom, żeby ryby brały, no i jakaś ciepła kobieta – dodał, spoglądając na mnie znacząco. – Któż chciałby jeszcze czegoś?

No właśnie, któż – pomyślałam.

Nazwę go Przystojniak z Małymi Potrzebami.

Poszedł za mną do kuchni. Oparł się o stół i nadal mówił, podczas gdy ja nosiłam talerze i sztućce do jadalni. Przejął ode mnie część zastawy i zabrał się za szkło. Wprawnie odnalazł szklanki i kieliszki, zapytał o kawę, po czym sam nastawił ekspres. Zerknęłam na wielki, wiszący na ścianie zegar. Za kilka minut będą tu ludzie z restauracji.

- Lepiej niech pan idzie się przebrać – powiedziałam do Przystojniaka z Małymi Potrzebami, pochylonego nad kawą. - Pan Miler wspominał coś o formalnych strojach. Niech pan przekaże to paniom. Zdaje się, że o tym zapomniałam.

Widać Nieduży miał posłuch u gości, bo po chwili zostałam sama z niedopitym kubkiem kawy na stole.

Rozległ się dzwonek. Odebrałam zapakowane jedzenie z furgonetki, otworzyłam dwie butelki wina i nastawiłam wodę na herbatę. Wciąż brakowało

dwóch gości. Ciekawa byłam, czy zdążą na czas, i czy Nieduży pozwoli im zjeść, jeśli się spóźnią. Do tej pory nie wyszedł z gabinetu.

Za dziesięć ósma wszystko było na stole. Ekspres do kawy bulgotał i mruczał, herbata parzyła się w dzbanku, a ja wreszcie usiadłam. Nogi mnie bolały, a nad kostkami pojawiły się obrzęki. Muszę poradzić się doktora. Wydobyłam z szuflady centymetr krawiecki i zmierzyłam obwody kostek. Prawa była grubsza o dwa centymetry. To bardzo niepokojące. Może to objaw akro... czegoś tam? Przeszłam do przedsionka i nerwowo zerknęłam w lustro. Obwód głowy był chyba w porządku. Na wszelki wypadek też go zmierzyłam. Wynik zapisałam w notesie. W tej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu i wyszedł Nieduży.

- Czy kolacja gotowa? – spytał, i nie czekając na potwierdzenie, minął mnie i wszedł do jadalni. Rozejrzał się wokół. Dokładnie sprawdził zawartość talerzy, zapytał o napoje, kazał mi nalać kawy i herbaty do dzbanków, po czym zniknął na schodach. Nie minęły trzy minuty, gdy znów był na dole, w eleganckim niebieskim garniturze i pod krawatem. Zasiadł u szczytu stołu, wyjął zegarek z kieszeni i położył go na obrusie.

Do ósmej brakowało najwyżej dwu minut. Usiadłam w kuchni na stołku z widokiem na schody. Doskonałe miejsce. Bez najmniejszych trudności mogę obserwować stamtąd nie tylko wejście, ale i część jadalni.

Zastukały obcasy i zobaczyłam Lolę Bartnik. W pełnym świetle prezentowała się jeszcze lepiej. Włożyła długą, elegancką, karminową suknię z niebotycznym rozcięciem. Przy każdym kroku poły materiału rozchyłały się co najmniej do biodra. A może i do szyi. Szła wolno, takim jakimś przyczajonym krokiem dzikiego kota. Mignęły mi wielkie niebieskie oczy i malinowa szminka. Znikła w jadalni.

Po chwili zatupały energiczne kroki i pojawił się Przystojniak jeszcze bardziej przystojny w marynarce i białej koszuli. Na najniższym stopniu usiadł i zawiązał sznurowadło w jednym ze skórzanych butów. Schodząc za nim Lidia Miler niemal się o niego potknęła.

Ubrała się w długą tunikę w kolorach jesiennych liści i czarne spodnie z jakiejś lejącej się tkaniny. W uszach nadal migotały te same długie kolczyki, ale twarz była już sucha. Delikatny makijaż podkreślał urok szarych oczu w ciemnej otoczce rzęs. Trzymała się bardzo prosto, ale w postawie było jakieś napięcie, jakby musiała włożyć sporo wysiłku w każdy ruch. Przystojniak wszedł za nią do jadalni.

W tej samej chwili zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Na progu stały dwie osoby. Rudowłosa uśmiechnięta dziewczyna i młody facet z niepewną miną.

Przywitałam ich, świadoma, że Nieduży nie wyszedł z jadalni, by zobaczyć

swoich gości. Przedstawili mi się. Adrian Nartowicz i Łucja Lewko. Niepewna, co robić dalej, pokazałam im ich pokoje. Musieli przywyknąć do szybkiego działania, albo byli bardzo głodni, bo po pięciu minutach zeszli na dół, odświeżeni i przebrani. Wskazałam im jadalnię i znów usiadłam na stołku.

Wcale nie musiałam się starać, by ich słyszeć, więc to się nie liczyło jako podsłuchiwanie. Miler miał mocny głos.

- Co was zatrzymało?

Chłopak opowiedział skomplikowaną historię o złapanej gumie i błędzeniu po źle oznakowanych drogach. Łucja prawie się nie odzywała.

Widać Nieduży im wybaczył, bo zaraz dobiegł mnie szcęk sztućców, szmer rozmów, i brzęk naczyń. Oparłam się o kuchenny blat i usiadłam wygodniej.

Grzeczne, obojętne słowa, bezpieczne tematy. Przystojniak wkrótce zdominował wszystkich opowiadaniem o rybach, jakie złapał tego lata gdzieś nad rzeką.

- ...mało mnie nie zabił... to dopiero był okaz. Ciągnął łódkę ze mną jakby nic nie ważyła... wreszcie wpadliśmy w szuwary...

- Złapałeś węża morskiego? – ton Loli był niemal pogardliwy. Wyobraziłam sobie, jak marszczy nosek i nadyma wargi, chrypiąc swoją kwestię.

- Węża? Nie, coś ty. To był olbrzymi szczupak, prawdziwy smok. W końcu przeciąłem żyłkę. Ale musiał być wielki! Na pewno pobiłbym rekord kraju.

- Nasz Janusz ma za miękkie serce. Większość ryb wypuszcza z powrotem do wody. – To była chyba Lidia Miler. Rzeczowy głos.

- Ale co to za frajda złapać taką bestię... Nigdy wcześniej nie jechałem w rybim zaprzęgu. Jak jakaś syrena!

- Raczej tryton, mój drogi – usłyszałam znudzony ton Loli.

- Może to był płetwonurek – to chyba Ruda Łucja. Z głosu przebijał śmiech.

- Jak w przygodach Pana Samochodzika.

- Albo foka. Albo krokodyl czy hipopotam.

- Chciałbym zobaczyć kiedyś krokodyla – Przystojniak zdawał się poważnie rozważać taką możliwość. dzielnie podtrzymywał rozmowę. – Mój znajomy był raz na safari. Mówił, że zabite przez kłusowników zwierzęta to straszny widok. A podobno organizuje się takie „polowania” dla bogaczy. Zwierzę nie ma żadnych szans! Z jednej strony gruby facet ze strzelbą, a z drugiej bezbronna antylopa... czy żyrafa, czy lew...

Naprawdę zaczynałam lubić Przystojniaka.

- Skąd się bierze tylu krwiożerczych bogaczy...

- No, są tacy co nie dochodzą do forsy pracą w radach nadzorczych ani jej nie dziedziczą. Niektórzy wygrywają na loterii – Janusz zawiesił głos na chwilę, po czym kontynuował – nie wskazując palcem, nasz uroczy gospodarz. To jego szczęściu zawdzięczamy zaproszenie do tego pięknego miejsca.

Miler odchrząknął.

- Bóg wszystko daje tym, których miłuje. Inni trudzą się na próżno. Tak, wygrałem główną nagrodę w jednej z loterii państwowych. Zawsze wiedziałem, że jestem godny specjalnej drogi. Trudności znikają przede mną, zanim zdecyduję się, jak zareagować. W pracy wciąż awansuję. Nie muszę się starać –po prostu tak się dzieje.

Zapadła krótka cisza.

- A tak dokładnie... to ile wygrałeś? – głos Loli brzmiał teraz zupełnie inaczej. Pojawił się w nim Szacunek dla Forsy.

Wstałam i podeszłam bliżej wejścia do jadalni. Wyciągnęłam szyję, nie chcąc przeoczyć ani jednego słowa, a przede wszystkim sumy wygranej przez tego bałwana Nieduzego. To ma być sprawiedliwość! Gram co tydzień od dwudziestu lat i trafiły mi się zaledwie trzy czwórki. A ten bęczał...

- Około sześciu milionów.

Phi. Po odliczeniu podatków zostanie pewnie z cztery. Złapałam się za głowę.

W jadalni znów zrobiło się cicho. Potem odezwał się Janusz.

- Wypijmy za to. Jest okazja, jest wino. Ale dla mnie jest soczek.

Rozległ się delikatny brzęk kieliszków i stłumione odgłosy, jak „jeszcze troszeczkę”, „nie, to już dość”, „ja proszę białe”.

Przystojniak wznosił toast:

- Zdrowie naszego szczęśliwego Oskara! Niech żyje sto lat!

Sto lat, rzeczywiście, pomyślałam z mojego stanowiska przy drzwiach. Takie chude paskudy żyją i dwieście. Niezniszczalny typ.

Tymczasem Miler podjął:

- Dziękuję wam, moi drodzy... przyjaciele. Ponieważ dotknęła mnie tak wielka fortuna, doszedłem do wniosku, że muszę uporządkować swoje sprawy finansowe i życiowe. Między innymi dlatego zaprosiłem was tutaj. Z Lidią wciąż nie możemy się dogadać w sprawie dzieci. Janusz... musimy na nowo ustalić nasze zobowiązania finansowe. Adrian nie może wprost doczekać się awansu na stanowisko menedżera. Dawno mu to obiecałem, jednak dotychczas nie spełniał kryteriów... Z kolei Łucja dopiero zaczyna pracę w naszej firmie, ale ma świetne pomysły i jest bardzo użytecznym nabytkiem. Droga Lola na pewno chce dzielić ze mną radość z mojej wygranej – Znowu odchrząknął. Nie znoszę odchrząkiwania. – Jutro wieczorem pomówimy o tym wszystkich sprawach. Teraz wybaczcie mi – muszę poświęcić chwilę medytacji. A na razie czujcie się jak u siebie. Cały dom jest do waszej dyspozycji. Rano, po śniadaniu, popływamy po jeziorze, potem czas wolny do obiadu. A teraz życzę wszystkim smacznego.

Rozległ się szum stłumionych głosów. Odsunęłam się od drzwi. Nic dziwnego, że wszyscy zjawili się tutaj na jedno skinienie.

Potęga pieniądza. Ostatecznie każdy go potrzebuje, by żyć... i życie z forszą jest o wiele - wiele prostsze.

Wyjrzałam na podjazd. Przybyły dwa auta; widać młodzież nie chciała jechać razem. Ciekawe.

Otuliłam się kurtką i wyszłam na dwór. Kiedy wróciłam, jadalnia była niemal pusta. Tylko Łucja siedziała jeszcze przy stole, popijając herbatę.

Zabrałam się za sprzątanie i zmywanie. Jutro też jest dzień i lepiej wszystko przygotować. Śniadanie o dziewiątej, zatem muszę tu być co najmniej o ósmej rano.

- Przepraszam... pani Figiel? Tak?

Owszem. Tak się nazywam. Nie jest to może bardzo poważne nazwisko. Nie emanuje siłą ani tradycją wielu pokoleń. Nie jest też szczególnie ładne. Jednak urodziłam się jako Figiel i jako Figiel zejdę z tego świata, chyba że los nagle ześle mi Tego Jedynego. Wtedy założę piękną, kremową suknię, i zaproszę tę cwana Bogdankową. Niech pęka z zazdrości.

- Czy nie trzeba pomóc w zmywaniu?

Spojrzałam na Łucję. Ciemne, dobrze podmalowane oczy, rude brwi, piegi na policzkach i czole, uniesione w górę kąciki ust. Zabawna dziewczyna. Ona mogłaby nazywać się Figiel. Albo Żart. Doskonale by to do niej pasowało.

- Może pani przynieść resztę rzeczy ze stołu – oświadczyłam łaskawie. Nie ukrywam, że byłam ciekawa. Stanowili przedziwne towarzystwo, zebrane na odludziu w jesienną noc. Może Łucja też będzie wylewna. Dowiem się czegoś nowego o Nadzianym; taka rzecz jak wygrana zwykle rozwiązuje ludziom języki.

- Smakowała kolacja? – podjęłam, wsadzając do zmywarki część zastawy.

- Och, tak. Ledwo zdążyłam. Za późno wyjechaliśmy i tutaj trochę zabłądziłam. Ale jedzenie było bardzo dobre.

- Jakaś okazja? – zadałam to pytanie od niechcienia, sięgając po zmiotkę.

- Niezwykła! Oskar... pan Miler... wygrał mnóstwo pieniędzy na loterii. Nie wiedziałam. Nic nie powiedział... myślałam, że to zwykły wyjazd integracyjny – dziewczyna niecierpliwie potarła włosy. Brązowe fale rozsypały się wokół twarzy. - Ale sześć milionów! Można wcale nie pracować. Ja bym tak chyba zrobiła.

No cóż, młoda osoba. W moim wieku już się wie, że aby nie zwariować, trzeba mieć jakieś zajęcie. I choć paru znajomych. Choć nie mam nic przeciwko sześciu milionom. Tak naprawdę to wcale a wcale nie mam nic przeciwko.

- Rety! Naprawdę?! – wydałam stosowny okrzyk zdumienia i niedowierzania. – To niesłychane! Taki majątek! Co z nim zrobi?

Łucja spojrzała na mnie. Jej oczy przybrały wyraz rozmarzenia.

- Ja – powiedziała wolno – wyjechałabym do Azji. Do Japonii! A potem zwiedziłabym Amerykę Północną. I nigdy więcej podróżowania od gabinetu do

gabinetu z dyplomatką i wyklócania się z pacjentami, którzy nie chcą mnie wpuścić bez kolejki.

- Sprzedaje pani leki?

- Coś w tym rodzaju. Reklamuję je lekarzom różnych specjalności. Długie godziny za kółkiem, potem poczekalnie, potem chwila z doktorem... Nie mam żadnej gwarancji, że później wypisze leki mojej firmy. Zatem odwiedzam ich co dwa tygodnie, żeby mnie zapamiętali. Potem menedżer rozlicza mnie ze sprzedaży... jeśli recept było mniej, grozi mi dymisja.

- Ciągła presja.

- Ale mam służbowy wóz i jakieś perspektywy. Może kiedyś awansuję albo rzucę tę firmę.

- Pan Miler to szef?

- Tak, zarządza naszym oddziałem. Zdziwiłam się, że zaprosił żonę i tego drugiego pana... Janusza. Oni nie są od nas.

- Nie pracują w firmie?

- Jego żona... ta wysoka blondynka kiedyś pracowała. Ale po rozwodzie odeszła.

- To smutne, jak ludzie się rozstają – westchnęłam. – Mają dzieci?

- Tak, dwoje. Wciąż się o nie kłócą. Nawet parę dni temu ona wbiegła do nas do biura i zamknęła się z nim w gabinecie. Okropnie krzyczała. Potem wypadła jak bomba z pokoju. On stał i patrzył za nią. Potem coś powiedział, zanim zamknął drzwi. Coś związanego z wiarą.

Wzdrygnęłam się. Łucja mówiła dalej:

- Takie dziwne słowa. O kobietach, że nie można im ufać.

- Cytował Biblię?

- Może. Ale brzmiało nieprzyjemnie – dziewczyna postawiła na kuchennym stole kieliszki. – Też do zmywarki?

- Nie, sama umyję. Za delikatne.

Zabrałam się za czyszczenie stołu. Zwinęłam obrus, zabrałam resztę naczyń. Łucja przyniosła za mną cukiernice i dzbanki.

- Napiłabym się herbaty – powiedziała, podnosząc pokrywkę. – Pani też zrobić?

Zerknęłam na nią. Dziewczyna musiała naprawdę nie mieć ochoty na powrót do pokoju. Za oknem była już noc – październikowa, chłodna, niosąca zapowiedź długich zimowych ciemności.

No cóż, lubię herbatę. Do domu mam całkiem blisko, a moje koty nie są głodne. Zresztą, tak naprawdę, chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o tych ludziach. Intrygowali mnie. Budzili niepokój.

- Tak, poproszę.

Włączyłam zmywarkę i skończyłyśmy z kieliszkami. Jutro wystarczy przyjść

godzinę przed śniadaniem, żeby zastawić stół. Dwudziesta druga. Mój ulubiony serial „Nieudana czwarta miłość” już się skończył. Teraz nadawali „Jeszcze szybszych i jeszcze bardziej wściekłych”. Mogłam pozwolić sobie na chwilę wolnego.

- Z daleka jesteście?

- Z Warszawy. To znaczy ja i Adrian. Ja pochodzę ze wsi, z Pomorza. Po śmierci rodziców wychowywał mnie wuj, ale on był biedny jak mysz kościelna... zawsze tęskniłam za prawdziwym domem... dlatego przykro, gdy rodzina się rozpada... Pani Lidia przeniosła się po rozwodzie do Olsztyna. Miler ma posiadłość pod miastem. Wielki dom, rozległy teren. W pobliżu, na wsi, mieszka pan Wiluk i ta druga pani.

- Razem?

- Nie, osobno. Widuję ich czasem w firmie. Odwiedzają szefa. Ale dziwne, że teraz jesteśmy tu wszyscy. Nie spotykaliśmy się dotąd w takim gronie.

- A pani młody towarzysz? Też tam pracuje?

- Adrian? – Łucja nalała wrzątku do dwóch szklanek. – Tak, od kilku lat. Ja to dopiero pół roku. Niedawno skończyłam studia. Chemię. Potem okazało się, że nie ma pracy dla młodych chemików. Długo szukałam. Właściwie to chciałam już wyjechać do Anglii, ale przypadkiem poznałam Milera. Zaproponował mi pracę w firmie farmaceutycznej. No i pracuję.

Siedziałyśmy jeszcze kwadrans, rozmawiając o obojętnych sprawach. Wreszcie dziewczyna z wyraźnym ociąganiem poszła na górę.

Zebrałam swoje rzeczy, starannie zamknęłam drzwi i ruszyłam w kierunku Nowego Lasku. Za furtką zatrzymałam się na chwilę. Księżyc wyszedł zza chmury i nagle wydało mi się, że jakiś cień nasuwa się nad pensjonat. Czarny, ogromny, z drapieźnie wyciągniętymi szponami. Za nim gasły gwiazdy.

„Ależ idzie chmura” pomyślałam, szczelniej otulając się szalem. Przyspieszyłam kroku. Zwykle lubię wieczory, ale teraz szło mi się jakoś niemilo. Jakby ktoś na mnie patrzył. Obejrzałam się raz i drugi, ale wszędzie było jednakowo ciemno. Wiatr się wzmógł, zrywał liście i podnosił drobiny z ziemi. We wsi rozszczeły się psy.

Z ulgą powitałam własny próg.

Siedziały na nim dwa okropnie obrażone stwory. Starły się wyglądać na Bardzo Zaniedbane, ale przeczyła temu lśniąca sierść i spora podkładka tłuszczowa na brzuchach. Zamknęłam drzwi, zaciągnęłam zasłony, nasypałam Zaniedbanym chrupek.

Teraz prysznic i spać. Wyciągnęłam się jak długa, umieszczając pod szyją zwiniętą pomarańczową poduszkę. Musiałam być bardzo zmęczona, bo poduszka nagle ożyła i z miauknięciem pomknęła w kierunku drzwi. Druga, czarna, czaiła się w progu. Wyprosiłam obie i wreszcie się położyłam.

W nocy śnił mi się Nieduży. Goniłam go z łyżką wazową i tłukłam po głowie, ilekroć znalazł się w moim zasięgu. Raptem Nieduży zatrzymał się i obrócił, i wtedy zobaczyłam, że nie żyje. Miał martwe, wytrzeszczone oczy i ranę na szyi. Uśmiechnął się do mnie i powiedział głośno, starannie akcentując każde słowo:

„Dziś w nocy zażądają twojej duszy”.

Sobota, 4 października

Obudziłam się o szóstej rano. Wcale nie wypoczęłam. Dręczyły mnie koszmary. Sam Nieduży, niedokładnie cytujący może najbardziej przejmujące słowa z Ewangelii świętego Łukasza (dwunasty rozdział, wers dwudziesty), wystarczył, by zakłócić najmocniejszy sen. Musiałam wstać i koło drugiej zrobiłam sobie rumianku z resztką listków melisy. Trzymam je w szklance w kuchni, żeby nie wyschły. Muszę uzupełnić swój zapas. Niedługo przyjdzie zima i co wtedy będzie? Ani zielonej mięty, ani melisy. Na szczęście jest jeszcze herbata ziołowa w torebkach. Nic prostszego, jak ją kupić i schować na czarną godzinę.

Wyjrzałam przez okno. Chmura odeszła i chyba było sucho. Teraz właściwie powinnam, tak jak te niezwykle bohaterki ksiązek, wybrać się na poranny bieg dla zdrowia, przyodziana w wycięty podkoszulek i obcisłe spodnie. Koniecznie trzeba zaznaczyć, że nie wkładam pod spód bielizny. Potem szczegółowo opisałabym, jak się spociłam, jak ubranie oblepia moje ciało – w szczególności jędrny biust – i co mam na sobie, gdy spotykam mężczyznę, z którym idę do łóżka. W przybliżeniu gdzieś w środku akcji. Następnie nieco komplikacji, on odchodzi, za to pojawia się kolejny, przy którym noszę botki i spódniczkę, zdejmowane pod prysznicem (okropnie niewygodnie), po czym następuje finał, gdzie biegamy dwa razy dziennie wszyscy troje.

Muszę się przyznać, że tego akurat ranka myśl o bieganiu nawet nie zaświtała w mojej głowie. Jeśli idzie o ścisłość, to żadnego poranka nic podobnego się nie zdarzyło. Wstałam, wypuściłam koty, i wskoczyłam z powrotem pod kołdrę. Tak rozpoczyna się mój typowy dzień. Po drodze złapałam dwie krówki. Mniem, mniem. To się nie liczy, bo czeka mnie ciężka praca w pensjonacie. Na pewno spalę więcej kalorii niż zwykle. Zresztą krówki to jakby nie cukierki. Zawierają przecież mleko, a mleko to samo zdrowie. I wapno. Wapno też jest zdrowe, dlatego używa się go do produkcji domów. I ludzi. Ludzie też zawierają mnóstwo wapna. Z wiekiem coraz więcej, dlatego też nazywa się starsze osoby wapniakami.

Po pewnym czasie wstałam i zwlokłam się na dół. Mieszkam w malutkim domu, odziedziczonym po starszym krewnym ze strony ojca. Wprowadziłam się

zaledwie rok temu. Budynek wymaga remontu. Na parterze mieści się kuchnia, łazienka i pomieszczenie typu jadalnia albo salon. Meble też są stare. Szczególnie nie lubię kompletu z salonu – dwu foteli i kanapy. Są pokryte skórą i wydają brzydkie dźwięki przy próbach umieszczenia na nich ciała.

Z pewnością zwyciężyłyby w rankingu na najbardziej niewygodne meble świata. Ale na razie nie mogę ich wyrzucić. Większość życia spędziłam w wynajętym mieszkaniu i nie miałam za dużo własnych rzeczy. Ale kupiłam sobie nowe łóżko i kanapę. Oba te meble stoją w mojej sypialni. Tam też jest telewizor. Czasami przy nim zasypiam. Piętro to dwa pokoje i jedna odgradzona przestrzeń typu graciarnia. Muszę przyznać, że wydałam sporo oszczędności na instalację kominka i dodatkowej łazienki. Jeszcze spłacam kredyt, ale nie żałuję. W nocy nie muszę biegać po schodach i mam wszystkie niezbędne w łazience urządzenia.

Zrobiłam sobie inki.

Dzień zapowiadał się prześlicznie. Termometr wskazywał szesnaście stopni. Jeśli tak dalej pójdzie, to w południe będzie ponad dwadzieścia. Wystawiłam krzesło z kuchni na zewnątrz. Mam tam mały stolik, zwykle używany przez koty do wygrzewania się na słońcu. Czarne tworzywo szybko nabiera ciepła. Tym razem jednak to ja się wygrzewałam. Malik nic nie mówił na ten temat, ale ja wiem swoje. Na reumatyzm nie ma jak słońce.

Podciągnęłam nogawki moich domowych dresów aż za kolana.

Przedemną roztaczał się całkiem ładny widok, o ile nie patrzyło się wprost. Na wprost przebiegała droga, wzdłuż której stały wszystkie domy w Nowym Lasku. Zwykle co i raz przejeżdżał nią jakiś samochód. Dzisiaj, w sobotę rano, ruch był znikomy. Na lewo za zabudowaniami osady ciągnęły się pola uprawne, zakończone ścianą lasu. Gdzieś tam samotna grusza albo czeremcha przerywała monotonię zaoranej ziemi. Brakowało tylko masywnej kobiety w białym giele leżącej z wystawionymi w moją stronę brudnymi stopami, by powstała żywa inscenizacja obrazu „Babie lato”. Nie muszę dodawać, że wiosną wystarczyło dodać dwu chłopków roztropków i już można by podziwiać dzieło „Lecą bociany”.

Na prawo widniał zagajnik, przechodzący dalej w gęstwinę drzew. To tamtędy biegła polna droga dopensjonatu. Promienie słońca zapalały w liściach barwy ognia. Klony i dęby wręcz jaśniały czerwienią i różnymi odcieniami żółci. O tej porze roku był to najpiękniejszy zakątek na ziemi. Oprócz wiosny i lata, oczywiście. Wtedy był też najpiękniejszy, ale w inny, świeższy, sposób. Co do zimy, to szkoda gadać. Ciągłe jest ciemno, pensjonat nie ma gości, i przez większość czasu siedzę pod kocem. W zasięgu ręki ustawiam sobie dzbanek z herbatą - dobrze osłodzoną i zaprawioną rumem. Żeby było ciepło, czasem rozpalam w kotłowni. Nie dość, że wychodzę z niej czarna, to jeszcze muszę dokładać do pieca co dwie – trzy godziny. Na razie nie stać mnie na gazowe ogrzewanie. Wiosną, kiedy sprzątnę cały ten pył, jeszcze przez tydzień przy

kichaniu z nosa wydobywa mi się czarny osad.

Na szczęście, w tym roku kupiłam więcej drewna. A w pensjonacie mają ogrzewanie gazowe. Jest już włączone. Goście nie mogą marznąć.

Myśl o gościach podniosła mnie na nogi. Zebrałam się szybko. Fryzura wyglądała jeszcze całkiem, całkiem. Stożek nie był tak idealny jak wczoraj, ale i tak podwyższał mnie o jakieś pięć centymetrów. Zastanowiłam się nad strojem.

Łodzie. Chodzi o wiosłowanie i manewrowanie na chybotliwej balii. Być może tylko Przystojniak umie wiosłować. Wygląda na takiego, co powie, że umie.

Włożyłam elegancką wersję sportowego stroju. Rozpinana dresowa bluza, prawie nowa. Tak przynajmniej zapewniała sprzedawczyni w ciucholandzie. Pod nią biała bluzka mało używana i nowe spodnie dopasowane barwą do góry. Zielono – granatowe. Na nogi włożyłam adidas. Żółte. Teraz jeszcze odrobina szminki i drzyjcie.

Nadchodzę.

Nie spieszyłam się, a dojście zajęło mi tylko dziewięć minut. Po wczorajszym ponurym powrocie nie pozostał żaden ślad. Słońce, wielkie i jasne grzało coraz mocniej, dając złudzenie letniego ciepła.

Zesłam na pomost obejrzeć łódki. Z zadowoleniem przyjąłam do wiadomości, że w ich wnętrzach jest sucho i czysto. Jednej brakowało. Widać ktoś wybrał się na poranną przejażdżkę. Rower wodny wyglądał na nieco zardzewiały i nie przypuszczałam, by ktoś chciał nim podróżować. Przy próbie poruszenia wydawał odgłosy jak skrzyżowanie lokomotywy z motocyklem.

Już prawie ósma. Zaraz przywiozą śniadanie. Wróciłam do pensjonatu, starając się nie robić hałasu. Goście mogą jeszcze spać.

Na parterze było pusto. Przez wschodnie okna wpadało mnóstwo światła. Ktoś już dawno wstał – znalazłam w zlewie dwie szklanki po kawie i sporo okruchów na kuchennym stole.

Zabrałam się do pracy. Nakryłam w jadalni, zaparzyłam kawę i herbatę. Stawiałam na stole cukiernicę, gdy dobiegły mnie kroki i trzask otwieranych drzwi.

- Dzień dobry – Lidia Miler miała na sobie dżinsy do kolan i gruby sweter. Włosy związała niedbale w wysoki węzeł. Wyglądała bardzo ładnie, zarumieniona od wiatru.

- Dzień dobry – uśmiechnęłam się uprzejmie. - Jak tam łódka?

- Cudownie – kobieta była dziś promienna, jakby wczorajsze napięcie było tylko złudzeniem. – Opłynęłam część jeziora. Cisza, spokój. Widziałam dwie wyspy i jakieś małe zwierzę. Wydrę?

- Nie, chyba nie - Ja nigdy nie spotkałam wydry. Co oznacza, że ich tu nie ma. - Jak noc? Łóżko było wygodne? Nie zmarzła pani?

- Wcale nie zmarzłem – tubalny głos Przystojniaka wypełnił jadalnię. Był też kompletnie ubrany. Czerwone polo i płócienne spodnie, na ramiona zarzucony

oliwkowy sweter. Dziwne. Wydał mi się człowiekiem, który nigdy nie wstaje przed jedenastą. – A teraz to nawet się przegrzałem przy tych wiosłach. Lidia, co ty masz za pomysły, żeby mnie tak rano zrywać...

Razem weszli na schody. Janusz Wiluk jednak zaraz zawrócił i dołączył do mnie w kuchni.

- Co będzie na śniadanie? Rano jestem nieprzytomny, póki się nie najem - włączył czajnik. - Ale kawa też może być. Muszę się napić kawy. Lidia obudziła mnie o szóstej, bo nie umiała odczepić łodzi. Uparta kobieta. Kiedy już zszedłem na dół, pomyślałem, że równie dobrze mogę z nią popłynąć. Wziąłem aparat fotograficzny. Myślałem, że się ucieszy, ale wcale nie była zadowolona.

- „Tylko siedź cicho” - powiedziała, zupełnie jakbym nigdy nie milczał. Opłynęliśmy z pół jeziora. Widoki owszem, przepiękne. Ryby pluskają na płycznach – przymknął oczy, jakby wciąż miał przed nimi czarowną wizję.- Miałem nadzieję, że wie coś o decyzjach Oskara, ale mnie zbyła.

- Wczoraj wspominała, że nie są już małżeństwem.

- Bo nie są, oficjalnie od roku, a formalnie od kilku lat. Ale on zawsze liczył się z jej zdaniem. Lidia to, Lidia tamto... Mają dwoje dzieci i on podkreśla, że powinny być przy nim. Bo mogą się przy nim rozwijać materialnie i duchowo, jak twierdzi. Ona ma problemy finansowe, odkąd wyjechała z Warszawy. Teraz, kiedy Oskar przeniósł się na wieś, chce zabrać dzieci do siebie.

Z nadmierną energią postawiłam na stole dzbanek. Nic dziwnego, że Lidia była smutna. „Rozwój duchowy i materialny”. Też mi coś. Pewnie myśli, że jest jakimś guru.

- W jakim wieku są te dzieci?

- Sześć i osiem lat. Dziewczynki.

- A co pani Lidia na to?

- Ona? Mówi, że nie ma o tym mowy. Sąd wskazał miejsce ich pobytu przy matce i ona nigdy się nie zgodzi na nic innego. Klócą się o to. Dziwne, że Lidia tu w ogóle przyjechała.

Musiałam się z tym zgodzić. To było dziwne. Może jednak obiecał jej jakieś pieniądze na dzieci. To zwykle działa. No i ta wygrana. Majątek zmienia człowieka, nawet czasem na lepsze. Pewnie dotychczas nie płacił alimentów.

Nadjechał wóz z restauracji i Janusz Wiluk zniknął na schodach.

Zajęłam się rozstawianiem potraw na stole. Właśnie kończyłam, gdy do przedsionka wpadł młody człowiek, który wczoraj przyjechał najpóźniej. Adrian jakiś tam. Ukłonił mi się i pobiegł na górę. Ubrany w buty do trekkingu i obcisły dres, prezentowałby się jak bohater amerykańskich książek. Gdyby był o piętnaście centymetrów wyższy i miał szerokie, proste ramiona. I gdyby miał lepszą cerę.

W każdym razie jednak się starał. Biegał, kupił sobie modny strój, był trendy. Z pewnością rano nie wylegiwał się z krówkami pod kołdrą. I nie ubierał

się w sklepie z odzieżą używaną. Wyglądał na chłopaka, który usiłuje coś sobie udowodnić. I dobrze mu to idzie. Ech, na pewno nie skończy jak ja na przedwczesnej emeryturze z długami za meble. Musi mieć sporo samozaparcia.

A zatem co najmniej trzy osoby to ranne ptaszki. Ciekawe, kto jeszcze. Młody Adrian nie pił pewnie kawy. Kofeina nie sprzyja sportom. Tak samo Janusz Wiluk. Lola? Na pewno nie. Pozostawał Nieduży i Łucja.

Łucja nie jest kawoszką. Chyba. Wczoraj piła ze mną herbatę. Pozostawał Miler. Jeśli wstał, to siedzi gdzieś cicho. Wcale się jeszcze nie pokazał.

Dokładnie dziewiąta. Jak na zawołanie otworzyły się drzwi gabinetu i wynurzył się z nich Nieduży. W nieco innym, piaskowym garniturze oraz dobranej beżowej koszuli. Całość uzupełniał brązowy krawat. Musiał się wyspać, bo wyglądał na zadowolonego. Pozbył się cieni spod oczu. Powiedział mi „Dzień dobry”, po czym usiadł za stołem.

W kuchni nic się nie zmieniło. Ustawiłam krzesło na wczorajszej, strategicznej pozycji i zajęłam się swoją herbatą. Drzwi na korytarz, szeroko uchylone, pozwalały mi obserwować każdego schodzącego ze schodów gościa.

Pani Miler zeszła razem z Łucją. Zauważyłam, że żona gospodarza przebrała się w szarą sukienkę do kolan. Z uszu zwisały nadal te same charakterystyczne kolczyki.

Zatupały kroki i w drzwiach ukazała się Łucja. Zamrugalam. Wyglądała jak Pani Jesień. Miała na sobie pomarańczowy sweter w zielone wzory. Całości dopełniały sztruksowe spodnie i wysokie buty.

Tuż za nimi ciągnął się powoli Janusz Wiluk, nadal w czerwonej koszulce polo. Chyba zdążył się ogolić, ale nadal ziewał rozdzierająco, choć dyskretnie zasłaniał dłonią usta.

Adrian pojawił się chwilę później, ubrany w konserwatywny garnitur i białą koszulę. Ten młodzieniec miał naprawdę poważny stosunek do życia i własnej kariery.

Zaczęli jeść, bo słyszałam typowe odgłosy – nalewanie kawy, szuranie krzesel. Poza paroma zdawkowymi słowami powitania było dość cicho.

Do kuchni docierały apetyczne zapachy jajek i boczku. Zrobiłam się głodna. Dwie krówki nie są bardzo kaloryczne. Przede mną stała ostatnia śniadaniowa porcja.

Zajrzałam pod folię. Standardowe dwie bułeczki, porcja masła, dżem, nieco wędliny. Nawet chomik by się tym nie najadł. Dobrze, że dołączyli jajecznicę i parówki w podgrzewanych półmiskach.

Z westchnieniem zaniósłam talerz do jadalni. Jedno miejsce było wolne. Aha, Piękność pewnie jeszcze śpi.

Postanowiłam zajrzeć do szopy. Kiedy skończą jeść, będę znów zajęta zbieraniem naczyń i nastawianiem zmywarki. Lubię mieć jedną rzecz z głowy,

zanim zacznę drugą, a najwięcej zamieszania jest zawsze rano przy śniadaniu.

Byłam już w drzwiach, gdy usłyszałam skrzyp otwieranych drzwi i na schodach zastukały obcasy. Co prędzej przemknęłam do kuchni. Wcale nie jestem ciekawska. Po prostu chciałam zobaczyć, jak Lola wygląda naprawdę. Wczoraj, w ciemności, do złudzenia przypominała Marylin Monroe. O ile znam kobiety, to nie jest to wizerunek, z jakim człowiek się budzi co rano.

Zawiodłam się. Ze schodów sfrunęła doskonała kopia słynnej aktorki. Ani jeden włos nie drżał na perfekcyjnej fryzurze. Delikatna cera, uzyskana niewątpliwie dzięki całej tonie podkładów i różów, robiła świeże wrażenie. Wielkie oczy były mocno umalowane, wargi obwiodła czymś jaskrawoczerwonym.

Byłam ciekawa, czy potem odmyję kubek.

Lola miała na sobie ciemnoniebieski błyszczący szlafrok, spod którego wyglądała biała koronka. Klapki na szpilkach miały nad palcami przymocowane dwa granatowe pompony. Wszystko razem wyglądało jak kicz z lat pięćdziesiątych... ale był to znakomity kicz. Trudno było oderwać od niej wzrok.

Rozległo się zbiorowe szuranie krzesel – widać mężczyźni zerwali się na nogi. Potem dobiegł mnie donośny głos Piękności.

- Można prosić o kawę? Umrę, jeśli się nie napiję kawy.

- Z cukrem? – ten głos musiał należeć do Adriana. Chłopięco zadyszany, jakby brakowało mu tchu. Mnie też go przez chwilę brakowało, gdy upuściłam na podłogę szklankę i schylając się po nią niefortunnie trafiłam łokciem w róg stołu.

- Ależ skąd, mój drooogi – przeciągnęła samogłoskę – czarną, bez śmietanki.

- Dobrze spałaś, kochanie? – głos Milera był obojętny.

- Okropnie. Powinieneś pamiętać, że w nowym miejscu zawsze źle sypiam. Całą noc coś stukało i trzeszczało. I ten wicher... myślałam, że rozsadzi ścianę.

Jeśli mogła nazwać wczorajszy wietrzyk wichrem, ciekawe, jak określili jezioro i łodzie. Ocean? Transatlantyk? I dziwne, że Miler nie wie, jak spała. Przecież są kochankami?

- Ja nic nie słyszałem – bas Przystojniaka brzmiał rzeško. - Zasnąłem natychmiast i nic mi się nie śniło.

- Jasne. Wiesz, że obudziło mnie twoje chrapanie? Muszę zmienić pokój – to widać skierowane było do Niedużego, gdyż ten odchrząknął – Janusz tak hałasuje, że nawet przez ścianę dzwoni mi w uszach.

- To niemożliwe – Miler brzmiał stanowczo. – Nikt nie będzie się przeprowadzał na jedną noc. Musisz wytrzymać.

- Och, daj spokój. Przecież ty tu rządzisz, prawda? – Piękność chrypiała niemal czule - Każ Lidii, niech zbierze swoje rzeczy. Widziałam, że ma pokój na samym końcu korytarza. Tam jest na pewno ciszej.

Przytknęłam ucho do ściany.

- Człowiek wiary nie lęka się strachu nocnego – rzekł wzniośle Nieduży.–

Dobrze jest zostać tam, gdzie się jest.

- Ja mogę się z panią zamienić – to znowu Adrian. – Mam pokój na drugim końcu.

- Dzięki, mój drooogi, ale niedokładnie o to mi chodziło... Na szczęście na Bali nie będzie tego problemu. Luksusowy apartament tylko dla dwojga. Prawda, kochanie?

- Co? A tak, tak.

- Jak się pani spało? – dobiegł mnie głos Lidii. Łucja coś odpowiedziała, ale cicho, i nad stołem znowu uniósł się szmer rozmów. Dobiegały mnie tylko pojedyncze słowa. Jezioro, pływanie, kolacja... ryby. Straciłam na moment czujność, ale błyskawicznie znów ją odzyskałam, na dźwięk słowa "milion".

- Do licha, ty to masz szczęście – Przystojniak mówił bardzo głośno. - Ja wciąż gram i nic. A tobie udało się od razu. Sześć milionów! Można żyć!

- Nawet kilka razy – to alt Łucji. Dźwięczał w nim śmiech. – Tak, starczyłoby na kilka żyć... czy życiów?

- To zależy – Janusz Wiluk zamilkł, widać robiąc bilans. – Jeden zawodnik dla klubu... posiadłość w centrum stolicy... maserati...

- Oj, chyba nie starczy – Łucja świetnie się bawiła. – A ty, Adrian? Co byś zrobił z takim majątkiem?

- Pomógłbym biednym. Tylu jest bezdomnych... może jakaś fundacja, nowy budynek, noclegownia...

- Naprawdę? Jak wspaniale. Co do mnie, to nie wiem, czy to by wypaliło. U mnie w rodzinie kiedyś był spadek po bardzo bogatym krewnym. Pretendowało do niego osiem osób. Sądził się szesnaście lat. Potem nastąpił podział majątku.

- No i co z tego?

- To – głos Łucji brzmiał gorzko – że teraz ze sobą nie rozmawiają. A wcześniej byli bliską, kochającą się rodziną. Forsa ich rozdzieliła. Każdy tylko śledzi, co kupi drugi, i leci, żeby mieć to samo albo lepiej... zupełnie zwariowali. Albo donoszą jeden na drugiego do skarbowki...

- To fakt, ale pieniądz daje wolność – Przystojniak marzył na głos – Nie musiałbym pracować w klubie, koniec z kłanianiem się prezesom... ale by im oko zbiałało, gdybym zajechał tam nowym ferrari... rzuciłbym na stół wypowiedzenie... chciałbym zobaczyć ich miny.

- No, do tego to nie potrzebujesz miliona. Zawsze możesz wypowiedzieć - zimny głos Niedużego zabrzmiał w ciszy. - Nie każdy zasługuje na majątek. „Jeśli Pan sam domu nie zbuduje, to na próżno się trudzicie budujący” – tym razem przywołał psalm sto dwudziesty siódmy. Ten człowiek naprawdę czytywał Pismo Święte. Urwał na chwilę, po czym mówił dalej, już mniej namaszczonego tonem – O jedenastej pływamy po jeziorze. Oczywiście, jeśli ktoś nie chce, może zostać. Janusz, weź wędkę. Lola, włóż coś na siebie. Ja idę pomedytować.

W samą porę odskoczyłam od ściany. Nieduży majestatycznie wypłynął z jadalni i zniknął za drzwiami gabinetu.

Po jego wyjściu na chwilę zapadła cisza. Przerwało ją szuranie i stuk spadającego naczynia. Skrzywiłam się. Znowu skorupy na podłodze.

- Ja po zmiotkę – w drzwiach ukazała się Łucja. Sprawnie wydobyła sprzęt spod zlewu i wyszła. Po chwili wyrzuciła resztki talerza do kosza.

- Jak się spało? – zagadnęłam ją.

- Ooo, mnie bardzo dobrze. Zawsze śpię jak zabita. Nie słyszałam żadnego wiatru. A pani?

- Doskonale. Pomyliłam kota z poduszką – opowiedziałam Łucji, jak umieściłam pod szyją Imbryka. Dziewczyna śmiała się w głos. W policzkach miała dwa dołeczki, oczy jej błyszczały i nagle zatęskniłam za młodością i latem. Cóż, nawet Nieduży nie zdoła stłumić tego blasku. Na szczęście.

- Lubi pani jeziora? Wodę? – zagadnęłam ją.

- Bardzo! Ale tak naprawdę to jestem wiejskim dzieckiem. Wakacje spędzałam zwykle w domu, wśród sielskich pól i swojskich zapachów. Marzyło mi się miasto, kino, sklepy, teatr... Czasem trafiał się wypad do Gdańska, nad morze. Raz byłam w górach! Ale dziś chyba pojedę na plażę.

Zwróciłam uwagę na liczbę pojedynczą. Widać nie chciała zabierać nikogo ze sobą.

- A co na to pan Miler?

- Miler to mój szef w pracy. W wolnym czasie robię, co chcę. Niech sobie nie wyobraża, że... urwała nagle.

Nic nie powiedziałam. W końcu to Nieduży finansował ich pobyt tutaj... pobyt, ale nic więcej. System niewolniczy już nie istnieje, pomijając oczywiście wielkie korporacje. I piratów. I pisanie niektórych prac naukowych. No, i mrówki, pszczoły a może i inne zwierzęta.

Zamiast tego zajrzałam do jadalni. Wszyscy jeszcze tam byli. Janusz sączył kawę z zamyśloną miną wpatrując się w widok za oknem. Lola dłużyła widelcem w rozkruszonej grzance. Obok stała filiżanka. Lidia Miler czytała wczorajszą gazetę.

Adrian Nartowicz tkwił przy tosterze. Przed nim znajdował się nietknięty talerz z parówkami i jajecznicą. Oszołomionym wzrokiem wpatrywał się w Piękność, zupełnie obojętną wobec jego jawnego zachwyty.

Wycofałam się po cichu. Nie zanosilo się na koniec śniadania, a zatem mogłam zająć się czymś innym.

Na zewnątrz zrobiło się cieplej. Ściągnęłam bluzę i rzuciłam na ławkę przed domem.

Pod pomostem chlupotało jezioro, było spokojnie i jesiennie. Usiadłam na deskach ze spuszczonej nogami, usiłując, jak moje koty, wchłonąć jak najwięcej

ciepła. Świat wydawał mi się piękny i bezpieczny.

Mijały minuty. Raptem znowu poczułam mrowienie w plecach. Wokół panowała cisza. Rozejrzałam się ukradkiem. Milcząca ściana lasu, niecka jeziora, w oddali wyspy jak maźnięcia farby na srebrze. Z tyłu pensjonat, dziwnie spokojny, jak na sześć siedzących w środku osób. Pomału, od niechcienia wstałam i sięgnęłam do kieszeni. Moja lornetka była na miejscu. Wydobyłam ją i długo penetrowałam las, ale nie dostrzegłam żadnego ruchu.

Z prawej raz coś mignęło, jakby błysk słońca na metalu, ale trwało to ułamek sekundy. Zresztą kilkanaście metrów dalej przebiegała droga i mogła to być karoseria przejeżdżającego auta.

Kiedy po kilku minutach wróciłam, wewnątrz domu też panował spokój, nie licząc Łucji i Lidii w kuchni. Obie zbierały naczynia i wstawiały je do zmywarki. Stół w jadalni wyglądał na sprzątnięty.

- A to dopiero. Darmowa obsługa. Dziękuję, ale to moje zadanie. Płacą mi za to – stwierdziłam.

- Muszę się czymś zająć – odrzekła Lidia Miler znad garnka z jajecznicą. - Inaczej zwariuję.

- Ja też nie mam nic do roboty – dodała Łucja. - Bez sensu siedzieć w pokoju i czekać. Za pół godziny płyniemy.

- A gdzie panowie? - zaciekałam się.

- Pewnie się stroją – zachichotała Łucja. - I gołą, i smarują upiększającymi żelami. Widziałam, jak Adrian patrzył na Lolę. Wpadł po uszy. Nie wyjdzie, póki nie przekształci się w macho. Skóra, ćwieki, te rzeczy.

- Ma taki asortyment? – Lidia wydawała się zaciekawiona.

- Adrian jest gotowy na każdą ewentualność. Być może zabrał też zakonny habit, na wypadek rekolekcji, i strój żeglarski. Jest zdeterminowany, chce odnieść sukces. Szybko dostosowuje się do wymagań. Zazdroszczę mu tego – dodała poważnie. – Mnie to się nie udaje.

- A chce pani awansować? – usiadłam przy kuchennym stole.

- Jasne, każdy tego chce. Ja także. Ale czasem trudno przytakiwać szefowi... zresztą nie tylko to – zerknęła na Lidię. - Ja chyba w ogóle trudno się dostosowuję do innych. Nie lubię pracować w grupie, bo albo sama robię wszystko, albo nie mam na to, co mi każą robić, żadnego wpływu. Inni decydują.

- To znaczy, że jest pani indywidualistką – rzekłam ze znawstwem. - To bardzo dobrze, bo to tak, jak ja.

Lidia uśmiechnęła się szeroko.

- I tak, jak ja.

Włączyłam zmywarkę. Wyrzuciłam śmieci. Odkurzyłam hol. Wszędzie było czysto, widać wczoraj Sylwia sumiennie posprzątała.

Na przystań wszyscy przyszedli punktualnie. Lola włożyła na siebie coś

w rodzaju sportowego stroju dla Barbi. Niemożliwie obcisłe fioletowe spodnie eksponowały każdą fałdkę jej wymodelowanego ciała. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby ich wcale nie miała. Tych spodni. Na nogach kozaki do kolan. Różowy sweterek kończył się jakieś dziesięć centymetrów nad brzegiem legginsów. Na głowie miała liliową chusteczkę w grochy w stylu gwiazd z lat pięćdziesiątych. Ciemne okulary zasłaniały oczy.

Adrian Nartowicz rzeczywiście wystroił się w czarną skórzaną kurtkę. Włosy, ustawione na żel, upodabniały go do gwiazd piłki nożnej. Z kolei Nieduży, w starych płóciennych spodniach i płóciennej kamizelce, prezentował się całkiem zwyczajnie. Przystojniak nie przebrał się – nadal miał tą samą czerwoną koszulkę polo, ale i tak wyglądał jak Bond w towarzystwie starego M (Nieduży) i młodego Q (Adrian).

Po namyśle doszłam do wniosku, że Łucja powinna być Nową Dziewczyną Bonda a Lola oczywiście Pierwszą Dziewczyną Bonda.

Tą, co szybko ginie w trakcie odcinka. Co do Lidii to nie byłam pewna. Jakoś nie mogłam jej wpasować.

A ja? „Też nie pasuję do Bonda” – pomyślałam ze smutkiem. Jeszcze za młoda na nową M. Ale mogłabym być przecież główną Złą. Albo jego piękną partnerką, z nożem w cholewce buta i z obrzynem w gaciach.

Nieco pocieszona wizją wielkiego rewolweru zaczęłam odcumowywać łodzie.

Każda z nich miała łańcuch i małą kłódkę. Wiosła były już na miejscu.

Janusz wyłonił się z szopy z trzema długimi wędkami.

- Ja z panią Alą! – zawołał, umieszczając swój sprzęt w najbliższej łodzi.- Musi mi pokazać miejsca!

Nie miałam nic przeciwko pokazaniu czegokolwiek Przystojniakowi. Mogłam mu pokazać, że ho, ho! Nie wiedział, jaki ze mnie ogień – kobieta.

Tymczasem Nieduży przejął inicjatywę.

- Lola, siadaj tutaj. Ty, Lidia też. Popłyniecie z Adrianem. Łucja, ty ze mną.

Wszyscy ulokowali się na drewnianych ławeczkach. Mężczyźni zajęli miejsca w środku, przy wiosłach. Wyprostowali plecy, napięli mięśnie. Lidia szepnęła coś po cichu i Adrian spiekł raka. Co prędzej obrócił się na ławce, zajmując pozycję tyłem do dziobu. Widać nigdy nie siedział w łodzi. Łucja z ociąganiem, jakby niechętnie, weszła do łódki. Zrzuciła buty i została boso. Siadła na dziobie, tak, by Nieduży nie mógł na nią patrzeć.

Lidia włożyła ciemne okulary i wyruszyliśmy. Wyspy nie były daleko – jakieś piętnaście minut wiosłowania.

Muszę przyznać, że było mi całkiem miło. Płynęło się samo, nie musiałam się wysilać, za rufą zostawała srebrna smuga spienionej wody, niedaleko kwakały kaczki. Każdy ruch wiosła przybliżał nas do wysp, z boku przesuwały się trzciny.

Zielone szuwary, nad nimi złote klony, a jeszcze wyżej zwarta masa sosen. Słońce świeciło nam w plecy, i zaraz zrobiło się gorąco. Mężczyźni zdjęli kurtki, kobiety zostały w krótkich rękawach.

- Tu, w tym miejscu! – Przystojniak wskazał zatoczkę przy pierwszej z wysp. – Zostaję! – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Dobiliśmy. Dno naszej łodzi poszorowało po piaszczystym dnie. W przejrzystej wodzie wokół barwnych wodorostów uwijały się rybki.

Lidia patrzyła w dół.

- Jak tu czysto! I piasek, nie muł.

Zrzuciła buty i weszła do wody. Po namyśle dołączyła do niej Łucja. Nieduży i Adrian przestali wiosłować i łodzie rozpędem dotarły do brzegu.

Miejsce było prześliczne.

Jezioro wchodziło w wyspę rozległą zatoczką, przechodząc w trawiastą polanę stopniowo wznoszącą się ku drzewom. Częściowo zasłonięte trzcinami dojście od strony wody potęgowało poczucie izolacji tego zakątka. W tej chwili, niemal w południe, było tu bardzo zacisznie. Niewielki, miejscami spróchniały pomost był z jednej strony zakończony metalową drabinką. Tam to od razu udał się Janusz Wiluk wraz ze swoimi wędziskami i wiaderkiem, w którym niósł mnóstwo rozmaitych rzeczy. Zajął się swoim sprzętem, podczas gdy inni rozeszli się po polanie. Tylko Lola dołączyła do niego. Stała tuż obok.

Zostałam na brzegu. Wyciągnęłam łodzie nieco bardziej na piach. Najgłupsza jest sytuacja, gdy tkwisz na wyspie, a twoja łódka oddala się beztrąsko w dal. Co i raz to się zdarza turystom. Nie mam pojęcia, co oni mają w głowach.

Chyba sieczkę.

Wysepka nie była duża. Las, całkiem dziki, miał skromne poszycie z malin i borówek. Drzewa rosły tu gęsto, jakby broniły dostępu do wnętrza łądu. Spomiędzy sosen dobiegał trzask gałązek, gdy moi goście przedzierali się przez krzaki. Nie minęło pięć minut, gdy byli z powrotem. Ku ogólnej aprobacie wydobyłam z łodzi zapakowany wcześniej koszyk z drożdżówkami i herbatą. Rozdałam plastikowe kubeczki. Wszyscy rozsiedli się na deskach pomostu i zaczęli jeść.

Turyści zawsze są głodni.

- Cicho, nie tupcie tak – z ust Przystojniaka dobył się ni to szept, ni to krzyk. – Pomost się trzęsie. Spłoszycie mi rybę.

- A co, widzisz ją? – zaciekawiała się Lola. Schyliła się nisko nad wodą poruszając niechcący wędką.

- Aaa! Nie ruszaj! - Janusz był zły. Naprawdę zły. Twarz wykrzywiła mu się w brzydkim grymasie. Nie wyglądał już jak Bond. Raczej jak Zły z Bonda. Ten brzydki, z paskudnymi oczami i głupią mordą.

Lola odsunęła się nieco. Dosiadła do reszty grupy i wzięła kubek.

- Janusz ma dziś zły humor – rzekła głośno. – Pewnie też chciałby wygrać te miliony.

Była to bardzo głupia uwaga. Nawet Nieduży wyglądał na zażenowanego.

- Może zabrałbyś nas do restauracji – ciągnęła Lola, obserwując swoje perfekcyjnie wymalowane paznokcie – uczcilibyśmy twój sukces w bardziej kameralnym gronie.

Lidia wzruszyła ramionami, a reszta wcale nie zareagowała.

- Ja po południu chcę zobaczyć morze – oświadczyła Łucja. - Ktoś chce jechać ze mną?

Nastąpiło ożywienie. Adrian podniósł głowę znad bułki i spojrzał na Nieduzego. Lola wydeła pogardliwie wargi.

- Niedługo będziemy nad ciepłym morzem. Nie chce mi się marznąć na wietrze.

- Ja bym pojechał... - Adrian nadal patrzył na Milera – oczywiście, o ile nasz gospodarz nie ma nic przeciwko.

- Po południu chciałem porozmawiać z każdym z was – oświadczył swoim modulowanym głosem Miler. – Musimy rozważyć różne opcje dotyczące przyszłości firmy.

- W takim razie zostanę – rzekł skwapliwie Adrian.

Lidia zapatrzyła się w wodę.

- Lepiej by było, gdybyś powiedział od razu, o co ci chodzi. Zdaje się, że zebrałeś nas tu w jakimś celu. Nie cierpię niepewności. Ja na przykład nie mam związku z twoją firmą, Lola też. Tak samo Janusz. Więc dlaczego mówisz o firmie?

- Chodzi o moje pomysły odnośnie wykorzystania milionów. Liczę na współpracę z waszej strony.

Lidia zaśmiała się sucho.

- W moim przypadku chodzi wyłącznie o alimenty na dzieci. Zamierzasz je wreszcie zapłacić? Zalegasz już rok.

- Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Teraz, kiedy mam stabilną sytuację finansową, trzeba znów rozważyć pobyt dzieci przy mnie. Sąd z pewnością uwzględni dobro, jakie mogę im zapewnić z racji na mój nowy status.

- Doskonale wiesz, że nigdy nie oddam ci dzieci. Myślisz, że chcę, żeby patrzyły na twoje kolejne romanse i wzniosłe miny? A równocześnie wykrzywiało się im spojrzenie na religię? Nie dopuszczę do tego! – Lidia nie była już zimna. Wstała, zacisnęła pięści. Mierzyła Nieduzego pogardliwym wzrokiem.

Miler uśmiechnął się słodko.

- Złożyłem już odpowiednie wnioski. Także na temat braku dostatecznej opieki nad dziećmi. Nie może być tak, że matka zostawia małoletnich pod opieką chorej babki, by samej zabawiać się na wyjeździe. Opieka społeczna dziś odwiedzi

twój dom.

Lidia przyskoczyła do byłego męża. Zrobiła spory zamach i uderzyła go w twarz. Nieduży zachwiał się, ale nie upadł. Lidia wzięła zamach z drugiej strony i wtedy do akcji wkroczył Adrian. Przytrzymał jej rękę.

- Nadstawiam policzek – rzekł Nieduży – Możesz mnie bić!

Jego żona pomału cofnęła się krok po kroku aż na krawędź pomostu.

- Myślałam, że wygrana coś zmieni, że staniesz się bardziej... ludzki. Myliłam się. Zawsze taki sam! Uff. Prędzej cię zabiję, niż pozwolę zajmować się moimi dziećmi! Rozumiesz! Rozumiesz?!

Zachwiała się nagle. Jak w zwolnionym tempie patrzyłam, jak osuwa się w dół, ku wodzie. Ruszyłam naprzód; z drugiej strony nadbiegał Przystojniak. Złapaliśmy ją razem i posadziliśmy na deskach.

Miler wyglądał na zakłopotanego.

- Ależ oczywiście, przepraszam, przepraszam. Nie chciałem cię zranić. Jeszcze dziś omówimy nowe warunki opieki nad dziećmi. Jakoś się dogadamy. Nie będę uwzględniał twojej agresji fizycznej... – urwał i rozejrzał wokół. – Co za scena. Lepiej płynmy dalej. Pani Alu, mieliśmy opłynąć całe jezioro.

Janusz został z Lidią na pomoście. Zostawiłam im najlżejszą łódkę.

Reszta wpakowała się do dwu pozostałych. Tym razem Lola usiadła z Niedużym.

Towarzystwo, początkowo milczące, stopniowo nabierało otuchy. Być może przyczyniła się do tego zawartość mojej piersiówki, a może piękno krajobrazu i odprężenie, jakie czasem przychodzi, kiedy myślimy, że najgorsze jest już za nami. Nawet ponury Adrian nabrał werwy i zaczął coś nucić pod nosem.

Wiosłowałam przez pewien czas, wypatrując nowego miejsca na postój.

O tej porze nie spotkaliśmy nikogo na jeziorze, co było dość dziwne, zważywszy na fakt, że była sobota. Miejscowi nieraz w weekendy przyjeżdżali tu z dziećmi. Dziś pewnie wybrali morze. Cóż, dobra nasza. Dotarliśmy do kolejnej wysepki. Ta była mniejsza i nie tak zarośnięta. Niewielka piaszczysta zatoczka wychodziła aż na ląd żółtą łachą. Pojedyncze sosny nachylały ku wodzie powykręcane od wiatru gałęzie. Wszędzie trawa i borówki. Tutaj zwykle latem biwakowałam przez parę godzin, jeśli chciałam pływać. Dno było łagodne i niewiele wodorostów. Zrobiliśmy krótki przystanek, każdy znów łyknął herbaty czy koniaku.

Później opłynęliśmy wokół całe jezioro. Niebo na wschodzie stopniowo przybierało zamgloną barwę dymu. Jesienią właśnie stamtąd zwykle przychodziły burze. Jeśli nawałnica, to w nocy – pomyślałam z niepokojem. Trzeba będzie schować sprzęt do szopy. I zamknąć okiennice. W zeszłym roku październikowa burza zerwała w Nowym Lasku dwa dachy i zniszczyła kilka budynków gospodarczych.

Na razie jednak, poza niewielką mgiełką nic nie zwiastowało zmiany pogody. Przy wiosłach zastąpił mnie Adrian i ruszyliśmy w kierunku pensjonatu. Łucja wsadziła rękę do wody za rufą, podziwiając srebrny migoczący ślad. Nieduży wiosłował od niechcienia, rozmawiając z Lolą. Byli od nas oddaleni o kilkadziesiąt metrów, gdy zobaczyłam, jak Lola zrywa się na nogi i coś krzyczy. Machała rękami. Gdzie podział się leniwy czar?

- Lepiej zobaczmy, co znowu – orzekłam i Adrian posłusznie zawrócił.

Zbliżyliśmy się na tyle, by dotarły do nas słowa.

- Obiecałeś mi te wakacje – głos Loli niósł się daleko po wodzie. Wcale nie był chrypliwy. Kobieta wręcz piszcziała. – Świnia z ciebie, wiesz? Drań, paskuda, palant! Co ty sobie wyobrażasz? Będziesz miał harem, czy jak?

Łódź niebezpiecznie zakołysała się gdy Lola ruszyła do przodu. Nieduży przy wiosłach nabrał przechyłu w prawo.

- Masz już nową babę? Którą? Tę tutaj słodziutką zmiję? Wydrapię jej oczy! I tobie też!

Śledziliśmy tę pasjonującą scenę z otwartymi ustami. Nie tylko ustami.

Z otwartymi wszystkimi naturalnymi otworami głowy. Wliczając w to oczy, usta i uszy. No i nosy. O nosie zawsze zapominam.

Tymczasem Lola cudem uniknąwszy wypadnięcia z prawej, niebezpiecznie wychyliła się w lewą. Miler rozpaczliwie usiłował przeważać w swoją stronę. Słyszałam, jak obok mnie Łucja wstrzymuje dech. Adrian zawołał:

- Już płynę! Niech pan uważa!

Machnął wiosłami, nasz dziób nabrał rozpędu. W końcu mieliśmy sporo większą masę niż tamta łupina. Nieduży zauważył nas za późno. Nie zdążył obrócić i grzmotnęliśmy z całej siły w prawy, przechylony bok jego jednostki. Zwiększyło to i tak dramatyczny przechył w lewą. Lola straciła wreszcie równowagę i wyleciała za burtę pięknym, klasycznym łukiem. Gruchnęło, huknęło i Miler zawisł nad wodą.

Adrian przeskoczył przez burtę i złapał szefa. Posadził go na ławce i rozejrzał się wokół.

- Umiecie pływać?

Dobre pytanie, zadane w odpowiednim momencie. Ktoś tonie, zatem należy się upewnić co do umiejętności ratowników... Zapewne potem coś zjeść, i zaplanować pomału akcję ratowniczą. Najlepiej graficznie. W tym czasie topielec musi czekać cierpliwie, udając, że z nim wszystko w porządku.

Umiałam pływać, ale w tej chwili manewrowałam, by podejść jak najbliżej szamocącej się Loli. Tu nigdy nie było głęboko, ale kto wie, co jej może przyjsć do głowy pod wpływem paniki. Wyglądała mi na osobę, która owija się wokół szyi ratownika i wchodzi po nim na łódź, kopiąc go na pożegnanie w szyję.

Łucja złapała wiosło i wyciągnęła je w kierunku kobiety. Po kilku próbach,

pełnych krztuszenia i plucia, Loli udało się dostać na naszą łódź. Była przytomna, ale jakaś wystraszona. Natychmiast ruszyłam ostro do pensjonatu. Tam były koce, ciepłe napoje, suche rzeczy.

Kiedy dobiłyśmy do pomostu, zza domu wybiegł Przystojniak. Bardzo poruszony, od razu wziął Lolę na ręce i zaniósł do środka. Musiał mieć sporą krzepę, bo nawet nie skrzywił się z wysiłku. Łucja pobiegła z nimi.

Spokojnie przycumowałam i zerknęłam w kierunku jeziora. Nieduży i Adrian Nartowicz mieli jeszcze kilkaset metrów.

Na pomost po paru minutach wyszła Lidia Miler. Przebrała się już w inne spodnie i sweter, nawet uczesała inaczej, rozluźniając włosy. Błękitna bluzka podkreślała kolor jej niespokojnych oczu.

Opowiedziałam o wypadku Loli, nie mówiąc jednak nic o kłótni. Tak naprawdę, spodziewałam się, że może już wyjechała. Scena z Oskarem była bardzo żenująca. Lidia jednak nic o takim zamiarze nie wspomniała.

- Janusz złapał kilka ryb. Wypuścił wszystkie z powrotem. Mówił, że równie dobrze może zjeść te, co już nie żyją.

- Co oni tam robią w środku?

- Janusz poi Lolę koniakiem, a Łucja namawia ją na gorącą kąpiel. Mnóstwo zamieszania.

Pokiwałam głową. Dobrze, stare metody. Koniak i ciepło postawi ją na nogi. Wyglądała na nieco zszokowaną, nawet za bardzo jak na jesienną kąpiel w jeziorze. Zastanowiłam się. A może wezwać Malika? Obejrzałby przy okazji moje nogi. Jedna nadal była trochę grubsza niż druga.

Do brzegu dobiła trzecia łódź. Miler i Adrian wyskoczyli z niej i popędzili do pensjonatu. Wzięłam łańcuch i przymocowałam wszystkie łańcuchy do pomostu. Tylko tego mi brakowało, żeby łapać je potem po całym jeziorze. Parę razy tak już było i nie mam dobrych wspomnień.

Uważnie obejrzałam łódź Nieduzego. Po zderzeniu został ślad na burcie. Nawet niewielkie odpryski drewna. Muszę dowiedzieć się, jak to zamalować. Takimi sprawami zajmował się w pensjonacie mąż Bogdankowej. Kosił, dbał o kajaki i łódki, sprawdzał stan ogrodzenia, i w ogóle brał się za typowe dla facetów zajęcia. Także krany i zawory. Pojawiał się na wezwanie średnio raz w miesiącu, robił, co musiał, po czym co prędzej odpływał z wędką w kierunku wysp. Iście po męsku. Prawie nie otwierał ust w towarzystwie żony, ale jeśli gdzieś w pobliżu kręciła się Sylwia Prokop, to mówił i mówił. Istny słowotok.

Nasz dziób nie ucierpiał. Zajrzałam do łodzi, poszukując zapomnianych rzeczy. Zabrałam opakowanie chustek do nosa, dwa plastikowe kubki, szal i ciemne okulary. Niedopałków papierosów nie było. Dziwne, zważywszy na Przystojniaka i Lolę. Rano kopcili jak kominy. Może Nieduży jest wrogiem tytoniu.

Podeszła do mnie Łucja.

- No, wreszcie mamy ją z głowy. Moczy się w wannie, a Adrian sterczy pod drzwiami łazienki nasłuchując każdego plusku. Ciągle przeprasza i się tłumaczy. Już nie mogę tego słuchać – urwała na chwilę – Jadę nad morze. Może trzeba panią dokądś podwieźć?

Właściwie to nie byłam pewna, co mam dalej robić. Do kolacji zostało jeszcze parę godzin. Otarłam pot z czoła.

- Wybrałabym się z panią, o ile nie będę przeszkadzać. Tylko muszę wstąpić do domu po rzeczy. Odwiedzę znajomą w Pustkowiu.

Dziewczyna wyglądała na zadowoloną. Może lubi podwozić atrakcyjne kobiety, takie jak ja. Umówiliśmy się za pół godziny i poszłam w kierunku Nowego Lasku.

W domu nic się nie zmieniło. Huncwot i Imbryk spały pod świerkiem.

Z drzew spadały liście, a powietrze na wschodzie jeszcze zgęstniało. Zapakowałam sobie koszyk z kocem, dorzuciłam garść krówek i małą wodę mineralną. Za gorąco jak na październik. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Co nie znaczy, że nie należy tego wykorzystać.

Dołączyłam do mojego bagażu strój kąpielowy i duży szlafrok.

Łucja czekała już przed domem. Pistacjowy fiacik panda podskakiwał na wybojach, gdy gnałyśmy na północ, do morza, piasku i wspomnień wakacji.

Najbliższa miejscowość z własną plażą to oczywiście Pustkowie. Tam mieszka Malik, Sylwia, Bogdankowa z mężem, no i Mila Lach. Pomyślałam, że do niej wstąpię.

Łucja wysadziła mnie przy kościele. Mały budynek pod wezwaniem NMP to centralny punkt osady. Przed białą wieżą stoi śliczna figura Matki Boskiej. Sam kościółek jest mały, niemal wielkości baraku, ale ma piękne kolorowe witraże obrazujące Przenajświętszą Trójcę. Nad głównym ołtarzem namalowano fresk przedstawiający wniebowzięcie NMP. Towarzyszą jej dwa anioły. Jeden z nich stanowczo nie powinien tam się znaleźć. Chowa twarz w kwiatkach, jakby na widok wiernych robiło mu się niedobrze. Drugi jest w porządku – nieco w stylu długowłosych bigbitowców z lat sześćdziesiątych.

Wstąpiłam na chwilę do wnętrza. Kiedy wyszłam, niemal oślepił mnie blask słońca. Tutaj, na północy, wiatr był silniejszy, a niebo czystsze. W ogrodach kwitły chryzantemy, marcinki i jesienne róże. Widziałam też resztki aksamitek, a nawet jakimś cudem przetrwałą lobelię. Kaliny przebarwiały się na żółto i czerwono, sumaki miały purpurowe liście. Letnisko po sezonie.

Skręciłam w ulicę Cisową. Ten wielki, biały pies znów mnie obszczał. Dwa koty bawiły się na podwórku. Minęłam psią budę i stanęłam oko w oko z księdzem Ruczajem. W czarnej sutannie, niósł pod pachą torbę ze sklepu.

- Witam, witam, pani Alu – zagrzemiał na całą ulicę. Pies znowu zaczął

szczebrać i rzucać się na płot. Odsunęłam się nieco. – Jak zdrowie? Dopisuje? Wstąpi pani na kawę ?

Poznałam proboszcza lepiej w sierpniu, podczas festynu. Dał mi do prowadzenia stragan z fantami. Miał przy tym niepewną minę, jakby obawiał się, że nie uda mi się nic sprzedać. Nie zna się na ludziach. Do każdego fantu dołączyłam „niespodziankę”, czyli szczelnie zapakowany cukierek albo baton. Nikt nie wiedział, co kupuje...Wszystko zeszło w pół godziny. Każdy chce niespodziankę... niezależnie od wieku.

- Dziękuję, może później – oświadczyłam zdecydowanie –Teraz idę nad morze. Znowu mam gości.

- Szkoda – ksiądz naprawdę wyglądał na rozczarowanego – właśnie wypróbuję nowy ekspres.

Wykręciłam się i ruszyłam dalej. Kiedy mijałam dom doktora Malika, ukryty w „Zaułku Portowym”, odniosłam wrażenie, że ktoś w środku zatrzasnął drzwi. Ale może mi się tak tylko zdawało.

Żeby dotrzeć na plażę, trzeba przejść trzy kilometry. Lasem, pełnym zapachu soli i bagna, niskich i mocnych sosen wśród płonących różem wrzosów. Biegnie też tamtędy ścieżka dydaktyczna, obrazująca gospodarkę leśną, chronione gatunki roślin i miejscową faunę. Na jednej z tablic namalowano dinozaury, na innych można podziwiać miejscowe zwierzęta, jak żmije, padalce i sarny. To bardzo praktyczna tablica. Turyści mają jedyną szansę na ujrzanie tych stworzeń, które zwykle czają się w niedostępnych zakątkach. Jak dotąd nigdy nie spotkałam w lesie borsuka ani dinozaura. Czasami idąc tą drogą rozglądałam się lękliwie na wszystkie strony. A nuż jakiś przeterminowany gad wyjrzy zza sosny? Wiem, te stwory wyginęły, ale kto wie, kto wie... Skąd te wszystkie legendy o smokach i rycerzach? Może jakiś jeden - dwa przetrwały gdzieś i tylko czekają na okazję, by pożreć dziewczycę, taką jak ja. Dla nich to ja jestem dzierlatką...

W słońcu dróżka wyglądała prześlicznie. Skromne poszycie z czarnych jagód i borówki bagiennej, sosny i nieliczne brzozy, czasem dąb jak samotny król w szkarłatnej szacie. Najpiękniejszy fragment wiódł przez rozległą przestrzeń wrzosowiska. Część kwiatów już przekwitła, ale niektóre jeszcze wyciągały w górę liliowe płatki. Z daleka wrzosy przypominały jakiś egzotyczny dywan, w mocnych kolorach fioletu, purpury i gasnącego różu. Kontrastowała z nim ścieżka, poprzerastana korzeniami sosen i gdzieniegdzie podmokła.

Minęłam odbiegającą w prawo drogę. To tam, jak mi opowiadała Mila Lach, znaleziono kiedyś ciało zamordowanej śpiewaczki. Ponure, ponoć nawiedzone miejsce, z wypaloną trawą i uschłym drzewem nad głębokim dołem. Na szczęście ze ścieżki nie widać miejsca zabójstwa. Jest oddalone o kilkadziesiąt metrów i ukryte w gęstwinie sosen. Mimo to przyspieszyłam kroku, mijając rozwidlenie.

Po paru minutach poczułam na twarzy powiew morza.

Morze! Zapach soli, bezmiar przestrzeni, nieskończony horyzont! Pusto, tylko piasek, ja i fale. Teraz mogę chodzić bosy, uciekać przed nacierającymi grzywaczami, skakać i chichotać. Nie ma Niedużych, Tajemniczych, Bondów i całej reszty.

Na wszelki wypadek stanęłam na szczycie klifu. Pode mną skała spadała dwadzieścia metrów w dół. Znakomita widoczność. Nikogo w zasięgu wzroku. Na wschodzie zamazane kontury lasu, na zachodzie czyste niebo. Pojedyncza, zmniejszona przez odległość czarna sylwetka statku wolniutko przesuwała się wzdłuż horyzontu.

Zeszłam ścieżką w dół, na plażę. Zdecydowanie wiało ze wschodu; co więcej wiało coraz mocniej. Zrzuciłam buty, by zbadać temperaturę wody. Tego lata Bałtyk nie był łaskawy dla wczasowiczów – przez większość dni nie dało się nawet zamoczyć palca u nóg. Od razu drętwiał.

Jesień przyniosła cieplejsze prądy, i teraz stwierdziłam, że mogę się wykąpać. Szybko przebrałam się w strój pływacki, poskakałam chwilę w miejscu, po czym ruszyłam do boju.

Kiedy zanurzyłam stopę, woda był całkiem ciepła. Im więcej ciała miało z nią kontakt, tym jakimś tajemniczym sposobem robiła się zimniejsza. Gdzieś w okolicy kolan stała się już lodowata. Cofnęłam się, a woda podążyła za mną. Jeszcze się cofnęłam, dając drapaką, a wówczas spiętrzyła się za mną ogromna fala i chlusnęła mi w plecy. Z wrzaskiem wyskoczyłam na piach. Fala pognęła za mną, zalewając mnie do pasa.

Odwróciłam się i spojrzałam groźnie na morze. Wyglądało jakby nigdy nic. Wygładzona powierzchnia poznaczona w regularnych odstępach białą pianą, nad nią delikatna bryza, gdzieś daleko ciemny punkt na horyzoncie. Ciepła woda muskała mi stopy. W przejrzystej toni doskonale było widać haluks na jednej z nich.

- Żeby mi to było ostatni raz! – krzyknęłam.

Morze odrzekło dziarsko:

- Tak jest! Nigdy więcej!

Wrzasnęłam jeszcze głośniej.

Zza skały podniosła się wysoka sylwetka. Męska. Zapewne to ona podszywała się pod morze, bo zaraz przemówiła znowu:

- Nie trzeba się mnie bać. Nie teraz.

Spojrzałam na Morze. Wyglądało... całkiem dobrze.

Co najmniej metr dziewięćdziesiąt, co nie jest wynikiem oszałamiającym dla Oceanu, ale Bałtyk... Cóż, źródłowy zbiornik... mężczyzna miał opaloną skórę. Kiedy się uśmiechał, jak teraz, w kątach oczu robiły mu się zmarszczki. Musiał mieć co najmniej czterdziestkę, i nie budził zaufania na pierwszy ani na drugi rzut oka.

Na wszelki wypadek obejrzałam go jeszcze po raz trzeci.

Jego uśmiech stał się wyraźniejszy. Pokazał białe zęby i wyprostował się. Skorygowałam swoje dane o pięć centymetrów w górę. Włosy miał wilgotne, skórę też. Może się kąpał. Nosił niedbały strój włóczęgi – brązowe spodnie i podkoszulkę o barwie mchu. Pod skórą prężyły się mięśnie. Wyglądał jak komandos z filmu dla facetów, który zaprowadziwszy porządek odchodzi swoją drogą, żegnany łzami tabunów zakochanych kobiet.

Przy czym wcale mi się nie podobał. Ani trochę.

- No i jak wypadłem? – spytał. - Zaliczyłem?

- Skąd pan wie...? - urwałam. Może wcale nie wie, że jestem nauczycielką. Mogę być Piękną Kobietą z Haluksem.

- Zmierzyła mnie pani wzrokiem jak studenta – wyjaśnił, siadając znowu na piasku. Teraz zobaczyłam, że na skale ułożył oliwkową kurtkę. - Już odchodzę.

Mówiąc, wciągał na nogi buty. Solidne, z twardymi podeszwami. Takim butem można nieźle oberwać. Wiem, co mówię. Żadne tam adidas. To dla amatorów.

Wstał i narzucił kurtkę. Zrobił krok w moją stronę, w oczach coś mu błysnęło, po czym odszedł z ledwie widocznym ukłonem. Zresztą ukłon pewnie sobie wyobraziłam. Tacy faceci się nie kłaniają. Tacy faceci biorą, co chcą, i nikt nie protestuje. Tacy faceci wędrują po świecie, burząc spokój i ład, a także porządek publiczny. Są niebezpieczni. Jak dynamit i podpałka razem. Jak mrówka na brzuchu. Jak odbezpieczony przewód wysokiego napięcia. Jak piorun w pogodny dzień. Jak granat z opóźnionym zapłonem.

Tacy faceci nie istnieją.

Długo stałam na wietrze gapiąc się za nim. Niemożliwy gość. Wyskakuje spod ziemi jak mrówkolew z „Muminków”, po czym odchodzi jakby nigdy nic.

Co u licha robił sam na plaży w październikowe popołudnie? Nie miał żadnego bagażu.

Ubrałam się i ruszyłam pod wiatr na wschód. Po kwadransie Pustkowie zostało daleko za mną, a ja czułam niepokój. Dziwny facet, dziwne to wszystko. A najdziwniejsze jest to, że nie chce mi się wcale wracać do Nowego Lasku.

I że nic mnie nie boli. Chętnie bym jeszcze pospacerowała po plaży... sama albo i nie. Towarzystwo ma dobry wpływ na rozwój ludzkiego umysłu, umiejętności werbalne, rozwija inteligencję emocjonalną i tym podobne...

Kiedy wróciłam pod klif, po Niemożliwym nie było ani śladu. Wcale mnie to nie zdziwiło. Pewnie był wytworem mojej rozbuchanej wyobraźni. Zbadałam miejsce, gdzie stał. Nic. Nawet odcisku buta na piachu. Zebrałam się i ruszyłam ostro pod górę, w ślad za nim. W Pustkowie teraz nie ma za dużo turystów. Może jeden – dwu emerytów i parę osób z Trójmiasta, stałych bywalców, wykorzystujących piękną pogodę.

W osadzie od razu poszłam na Słoneczną siedem, do Sylwii Prokop. Coś wspominała, że ma mieć gości. Na pewno wie wszystko o przyjezdnych... kimkolwiek są. Oby tylko zastać ją w domu.

Zastałam ją w kuchni, wygodnie opartą o poduszki, zajęta swoim laptopem. Na mój widok przymknęła go i odsunęła, tęsknie zerkając na ekran.

- Pani Ala! Jak miło! Jak tam nowi goście?

Z ulgą zajęłam miejsce przy stole. Haluks trochę mnie bolał, tam, gdzie piasek ocierał o skórę. Na pewno mam tam pęcherz.

Wypiłam herbatę, oddałam sprawiedliwość ciastkom z jagodami (to się nie liczy jako posiłek, bo nie jestem u siebie), po czym przeszłam do rzeczy.

- Spotkałam na plaży jakiegoś podejrzanego typu. Ciemny, wysoki. Wygląda jakby nosił mundur.

- Mundurowy? – Sylwia pokręciła głową – major Gorzki czasem wkłada, ale raczej od święta. Może to on.

- Nie - spotkałam już kiedyś majora. Niski, choleryczny wojak z wytrzeszczonymi oczami. – Obcy. Macie tu nowych przyjezdnych?

- Jest rodzina u Zosi Malisz. Siedzą już tydzień. Bogdankowa ma dwie panie... one są co rok o tej porze. Nie, żadnego przystojnego faceta nie ma. Ale przecież mógł przyjść skądkolwiek.

- Skąd wiesz, że przystojnego?

- Pani Alu, nikt nie pyta o nieciekawych facetów... Jaki on był?

- No cóż – zaczęłam – czarne włosy, ciemne oczy. Raczej groźna twarz. Bardzo prosty, dlatego skojarzył mi się z wojskiem... Robił wrażenie, jakby cały miał się na baczności. Mówił coś do mnie, ale był czujny.

- Podejrzany. Może to szpieg - Sylwia dołała mi herbaty – Na pewno nikogo takiego nie było u nas. Usłyszałabym o tym. – Ciasteczko?

Przyjęłam ciasteczko. Opowiedziałam co nieco o gościach pensjonatu. Dziewczyna słuchała z zainteresowaniem.

- Co za ludzie! Naprawdę, biedna ta żona Milera. Co on sobie wyobraża, że niby kim jest, panem i władcą? Dobrze jeszcze, że nie kłóć się przy pani –okropnie krępująca sytuacja.

- Jutro wieczorem wyjeżdżają. Mam nadzieję, że więcej tu nie przyjadą. Panuje tam jakaś taka atmosfera...

- Ten milion to nic dobrego – rzekła niespodziewanie Sylwia. - Mówię pani. Nic dobrego.

- Właściwie to czemu? Może ułatwić życie im wszystkim - sama nie miałam nic przeciw milionowi.

- Ale powoduje, że ludzie zachowują się inaczej niż by chcieli. Tłumią prawdziwe uczucia. Dostosowują się do Milera. Nie pokazują złości, bo liczą na profity. Jedni się podlizują, inni się go boją. Brr. Oby nikomu nie puściły nerwy.

Pół godziny później pożegnałam się z Sylwią i ruszyłam na przystanek. Mini bus dowiózł mnie do Nowego Lasku w kilkanaście minut. Na miejscu zajęłam się swoim gospodarstwem w postaci Imbryka i Huncwota. Napełniłam ich miski chrupkami dla wysterylizowanych kotów. Oba zignorowały ten fakt i podeszły do lodówki, miaucząc i ocierając się o krzesła, stołowe nogi, drzwi i szafki.

Co to, to nie. Mają jeszcze swoje konserwy, wcale nie zjedzone. Zalegające w miskach od rana. Huncwot zjadł o wiele więcej niż Imbryk. Rudzielec ani myślał próbować pięknie pachnącej karmy. Kiedyś tak pachniała mielonka, towar rzadki, smakowity i z galaretką. Wiedziałam, że jeśli teraz nie dam im nic prócz chrupek, do wieczora zjedzą wszystko. Postanowiłam nie ustępować nawet najbardziej słodkim spojrzeniom i gardłowym pomrukom.

Oraz mordom trykającym po rękach.

Zobaczymy, kto kogo przetrzyma. Tym razem nie ustąpię. Nie i jeszcze raz nie. Nie są głodne, po prostu rozpieszczone i tyle. Nie ma mowy.

Imbryk wskoczył na stół, spoglądając błagalnie bursztynowymi oczami.

Niedoczekanie kocie.

Nigdy w życiu.

Dołączył do niego Huncwot.

Miau. Mrau. Miau.

Wydobyłam schowaną na czarną godzinę wątróbkę.

Kiedy już zjadły, od razu straciły całe zainteresowanie moją osobą i zaczęły drapać w drzwi. Niewdzięczne stworzenia.

Zerknęłam w lustro. Na twarzy miałam rumieńce, pewnie od słońca i wiatru. Włosy utworzyły coś w rodzaju gniazda. Brakowało tylko jajek i małego ptaszka. Na ustach widniał idiotyczny uśmiech.

Skrzywiłam się, ale tylko na chwilę. Od grymasu przybyło mi dziesięć lat! Nie wyglądałam już na swoje trzydzieści dziewięć... no, może trochę więcej. Przećwiczyłam uśmiech – ot, tak, by nie wyjść z wprawy. Nie miało to żadnego związku z moim pobytem na plaży. Od czasu do czasu człowiek spotyka w końcu innych ludzi i trzeba robić przyjemne wrażenie...

Teraz strój. Co mnie dziś czeka? Aha, kolacja. Muszę już zaraz iść. Została tylko godzina. Nieduży pewnie przestępuje z nogi na nogę, wymyślając odpowiedni cytat dla niesłownych robotników. Niech go kaczka.

Kiedy piętnaście minut później otwierałam drzwi pensjonatu, miałam na sobie delikatną szyfonową narzutkę haftowaną w smoki. To był prawdziwy skarb, odpowiednik trufla wśród grzybów. Delikatne odcienie błękitu, purpury i fioleto, harmonia i szyk. Wynałazałam go na wieszaku w nowym ciucholandzie w Lęborku. Kosztował aż osiemnaście złotych, ale czego się nie robi dla klasy...

Stroju dopełniały czarne spodnie w kant i czarna bluzka, delikatnie poszerzana dołem. Na nogach miałam praktyczne półbuty na koturnie, a na

głowie... nieważne. W każdym razie byłam uczesana.

W holu pensjonatu usłyszałam podniesione głosy. Cicho zamknęłam za sobą drzwi. W gabinecie ktoś był.

- ...obiecał mi pan ten awans. Tylko dlatego tu jestem. A teraz słyszę, że jakaś nowa ma być lepsza niż ja? Jakie ona ma doświadczenie? Dwa, trzy miesiące? Ja pracuję całe lata, nigdy nie biorę wolnego...

W gabinecie coś zaszurało i dobiegł mnie stłumiony głos Milera. Mówił spokojnie i dobitnie, ale nie mogłam zrozumieć słów. Usłyszałam tylko „zarobki” i „polityka firmy”. Potem głos Nieduzego zabrzmiał wyraźniej – widać stał blisko wyjścia.

- ...a zresztą jeszcze nic nie postanowione. Niech pan cierpliwie czeka. Cierpliwość to cnota. Człowiek musi znosić przeciwności losu. Jeszcze porozmawiamy.

Schowałam się w kuchni. Z gabinetu wypadł Adrian, blady i roztrzęsiony. Nie spojrzął w moją stronę. Od razu skierował się na schody. Na górze trzasnęły mocno zamknięte drzwi...

Zabrałam się za nakrywanie stołu, nasłuchując, czy nie pojawi się ktoś jeszcze, ale w gabinecie panowała cisza.

Podjechał wóz z restauracji. Kolacja.

Zupa - krem z pora, brokuły, groszek, pieczony indyk, ziemniaki posypane koperkiem. Na potem ciasto – szarlotka z bitą śmietaną. Nieduży zapowiedział, żeby po głównych daniach podać kawę i herbatę. Rzuciłam okiem na stół. Prezentował się pięknie, tym bardziej, że ustawiłam na nim dwa świeczniki i dorzuciłam kolorowy bukiet chryzantem. Wypolerowane sztucce lśniły w blasku świec. Zaciągnięte zasłony, kominek... ktoś w nim rozpałił, bo buzował ogień. Idealny obrazek na jesienny wieczór.

W kuchni też było przyjemnie. Włączyłam wszystkie światła, wytarłam stół, zaparzyłam herbatę. Zaraz ósma.

O tej porze w październiku jest już zupełnie ciemno. Solarne lamy ustawione na zewnątrz nieco rozjaśniały pomost i znaczyły zejście dalej w dół, ku szopie i przystani. Za dwie - trzy godziny zgasną, i wtedy wokół pensjonatu zrobi się czarno jak w grobie.

Wzdrygnęłam się. Co za ponure myśli przychodzą mi do głowy. To pewnie niestrawność po ciasteczkach Sylwii. Wszyscy wiedzą, że jeszcze nie ma wprawy w pieczeniu. Muszę zaparzyć mięty. Od razu będzie lepiej.

Goście schodzili na kolację. Tupali i rozmawiali, widać atmosfera uległa rozluźnieniu. Potem dobiegł mnie brzęk naczyń. Włączyłam radio.

Nadawano jakieś kryminalne słuchowisko. Lektor czytał wszystkie role, zmieniając głos. W tle narastała groźna muzyka. Ktoś czał się w mroku... Cisza, a potem kroki. Powolne, straszliwie regularne, nieubłagane. Zbliżały się. Były tuż.

Wstrzymałam oddech. Lektor milczał. Głośny trzask, a potem...

Nigdy nie dowiedziałam się, co było potem. W drzwiach stał Miler. Wyłączył mi radio!

- Wolałbym, żeby reagowała pani na wezwanie – rzekł cierpko. - Nie ma czym pokroić indyka.

Dobry sobie. Indyk zamiast trupa w radiu. Podniosłam się z krzesła. Dało mi to optyczną przewagę. Jak wspomniałam, Miler jest Niedużym. Nawet bez butów jestem od niego wyższa. Chyba to wyczuł, bo trochę się cofnął.

- Proszę – wskazałam na półkę z rzędem haczyków. Zawieszono na nich wazowe łyżki, szpikulce, łopatki do ciasta, nabieraczki do kompotu, większe noże i na końcu nożyce do drobiu.

Miler niepewnie przyglądał się wiszącym narzędziom. Wreszcie przywołał na twarz coś w rodzaju uśmiechu i odezwał się znacznie uprzejmiej:

- A może mogłaby pani pokroić mięso?

Mogłabym, czemu nie. Nawet mogłabym pokroić i jego. Nie zna mnie, nic o mnie nie wie. Żaden mężczyzna, który choć trochę mnie poznał, nigdy nie traktował mnie protekcyjnie. Zabrałam nożyce i poszłam do jadalni.

Goście siedzieli wokół stołu jak grzeczne dzieci. Tylko Przystojniak gmerał pogrzebaczem w kominku.

Adrian nie podniósł wzroku. Patrzył prosto w talerz, nie zwracając uwagi na otoczenie. Jedną ręką nieustannie poprawiał krawat. Obok niego siedziała Lidia Miler, zamyślona i obojętna. Miała tę samą co wczoraj tunikę w jesiennych barwach.

Łucja natomiast niecierpliwie kręciła się na krześle. Włożyła szmaragdową sukienkę i dobrany do niej wisior z zielonych kamieni. Na twarzy miała rumieńce, oczy jej błyszczały, i w ogóle sprawiała wrażenie osoby tłumiącej nadmiar energii. Kiedy weszłam, uśmiechnęła się, kiwając mi głową.

Lola Bartnik wręcz oślepiła migoczącą, złotą kreacją. Znów ogarnął mnie podziw na widok jej perfekcyjnego makijażu. Z ulgą zauważyłam, że kąpiel w jeziorze nie zrobiła jej krzywdy, bo chrypiała zmysłowo w kierunku Przystojniaka.

- Mój droooogi, zimno mi. Musiałam się przeziębnić w tej wodzie. Zobacz, co się stało z moją fryzuuurą!

Zerknęłam na jej idealnie ułożone włosy. Musiała wykorzystać popołudnie na wizytę u fryzjera. To zawsze widać.

Janusz nie odwrócił się od kominka. Obracał płonąca brzoza kłodę tak niezgrabnie, że niemal wypadła na terakotę. Podeszłam i zabrałam mu pogrzebacz.

- Może pan pokroić mięso? - spytałam, wręczając mu nożyce.

Popatrzył na nie, jakby nigdy w życiu nie widział nożyc do drobiu. Ostrożnie rozwarł narzędzie. Zamknął. Znowu rozwarł. Wepchnęłam do kominka kilka

cienkich gałęzi, dołożyłam suchy kawałek gruszki. Wystarczy na jakąś godzinę. Zatrzasnęłam szybę.

- Może ja spróbuję – Adrian podniósł się z krzesła, i bardzo zręcznie podzielił pieczyście. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Smacznego! – powiedziałam głośno, wychodząc. I na stypie bywa weselej. Wszyscy jacyś napięci, podenerwowani. Łucja niespokojna. Lidia coś kalkuluje. Janusz rozkojarzony, Adrian załamany. Tylko Lola i Nieduży w formie. Szczególnie on, jakby nigdy nic.

Zresztą, co mnie to obchodzi. Jutro wieczorem już ich tu nie będzie. Nadejdą monotonne, szare dni, szum wiatru za oknem, bębnienie deszczu o szyby, chwilowe rozbłyski słońca, grabienie liści... Wiezorami będę siedzieć przy ogniu w towarzystwie moich kotów, podczas gdy naprzeciw mnie w fotelu pojawi się wysoki brunet o niemożliwym wyglądzie... Pochylił się w moją stronę z uśmiechem na ustach, potem nagle się zerwie i zbliży do mnie ze słowami stłumionymi przez napięcie zmysłów:

- ...gdzie mogę wyrzucić te śmieci?

Tym razem to Łucja przerwała moją wizję. Niosła pojemnik z resztkami indyka. Zrobiłam z nim porządek i włączyłam ekspres. I radio. Słuchowisko już się skończyło. Teraz nadawano prognozę pogody.

- „...ostrzeżenie przed silnym wiatrem. Na północy Polski, w rejonie środkowego wybrzeża, spodziewany jest gwałtowny wiatr i burze. Szybkość wiatru może dojść do stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W tej chwili nad Trójmiastem przechodzi nawałnica. Połamane drzewa, miejscami uszkodzone pojazdy, zatłakane studzienki kanalizacyjne... apelujemy do mieszkańców Pomorza Środkowego o zabezpieczenie domów i zaniechanie podróży. Front szybko przemieszcza się na zachód...”

Pokręciłam głową. Jeszcze tylko brakuje nam huraganu. Jakby nie dość było innych plag na świecie. Powodzie, śmieci, nożyce do drobiu, Nieduży...

Zaniósłam herbatę do jadalni. Nieduży kiwnął głową, co pewnie miało oznaczać podziękowanie. Lidia podniosła się z za stołu.

- Pomogę...

Poszła za mną do kuchni. Razem, w milczeniu ustawiliśmy filiżanki i ciasto. Parę razy czułam na sobie jej wzrok, ale kiedy podnosiłam głowę, ona już patrzyła gdzie indziej. Po chwili dołączył do nas Janusz Wiluk.

- Zaczyna naprawdę wiać – powiedział podchodząc do okna. – W salonie drżą szyby. W kominku wyją duchy.

- No, pewnie – mruknęła Lidia. – Duchy i mary, straszdyła z bagien.

- Wątpię – rzekłam głośno i dobitnie. Wcale nie lubię rozmów o duchach w jesiennym zmroku, kiedy mam jeszcze kawałek do domu. - Pensjonat stoi od niedawna. W nowych budynkach nie ma upiórów. To w Pustkowie... - urwałam.

- Co w Pustkowiu? To tu niedaleko, prawda? Tam są duchy? - Przystojniak był ożywiony jak mały chłopiec.

- Tam były niedawno dwa zabójstwa – odparłam niechętnie. - Może z rok czy więcej temu. Niektórzy twierdzą, że czasami słyszą jakieś dźwięki w lesie, w nocy.

- Jakie dźwięki? Upiorne wycie? Brzęk łańcuchów?– spytała ironicznie Lidia.

- Śpiew. Arię diwy żegnającej się z życiem – powiedziałam ze złością. - Najgorsze jest to, że tam zabito artystkę operową. Młodą dziewczynę. Zwykle śpiewa właśnie w takie noce, kiedy jest sztorm... Słyszał to tamtejszy proboszcz, człowiek jak najbardziej rzeczowy. I kilka innych osób.

- A pani? - zagadnął Janusz.

Odwróciłam się od niego. Za oknem była czarna, październikowa noc. Gdzieś daleko narastał huk, jakby zbierała się ogromna konna armia, a jej jeźdźcy rozwijali na wietrze sztandary.

...Wtedy, w czerwcu, też był sztorm. Siedziałam na klifie, osłonięta od najgorszych podmuchów wichru. Zapadał zmrok, wcześniejszy z racji na ciemne chmury. Toczyły się po niebie jak teraz, ze wschodu, jedna za drugą, niosąc strugi deszczu. Morze było jak wielka kipiela białej piany i szarej wody.

Wtedy ją usłyszałam. Z początku myślałam, że to ptaki. Wysoki, żalony ton, lecący z wiatrem ze wschodu. Dźwięk narastał, nabierał siły i raptem uświadomiłam sobie, że to ludzki głos. Zerwałam się na nogi. Co to jest? Znajoma melodia. Wyłowiłam słowa „Addio del passato?” Niemożliwe. Aria żegnającej się z życiem Wioletty z opery Traviata? Chyba mi się śni.

Dmuchało mocniej i szum zagłuszył wołanie. Ruszyłam w las, w kierunku dźwięków. Może i jestem słabą kobietą, ale staram się reagować na wołanie o pomoc. Faceci. Ci by zwiali, gdzie pieprz rośnie, nie wyłączając nawet takich chojraków jak major Gorzki. Na dróżce przystanęłam. Tu, w lesie, było ciszej, ale i tak w uszach gwizdał mi wiatr niosący ryk morza. Raptem ogarnęła mnie groza. Jestem tu sama, jest zmierzch, od osady dzieli mnie kilka kilometrów, a obok znajduje się miejsce zbrodni. Oparłam się o drzewo, bo nogi same ugięły mi się w kolanach. Pusto. Dalsze działanie wymagało ode mnie sporo samozaparcia. Chyba nigdy wcześniej tak się nie bałam. Miałam wrażenie, że w półmroku spoglądają na mnie wrogie oczy. Oczy w złej twarzy. A może w ogóle bez twarzy? Zrobiłam krok po ścieżce. Jeden, potem drugi. Zanim się obejrzałam, miałam przed sobą polanę. Jasna plama pod drzewem, ponury dół. Wstrzymałam oddech. Nikogo. Żadnych muzyków ani śpiewaczek. Ani morderców, na szczęście.

„Bzdura” – stwierdziłam maszerując rażno w kierunku Pustkowi. Na zakręcie obejrzałam się jeszcze raz. Wiatr ucichł na moment, cisza uderzyła mnie jak obuchem. I wtedy wysoki głos zaśpiewał jakby tuż obok mnie „Tutto, tutto

fini”. Wszystko skończone. Włosy uniosły mi się na głowie i straciłam panowanie nad sobą. Krzycząc pobiegłam przed siebie. W pędzie mijałam drzewa, polany i wrzosowiska. Potykałam się o korzenie sosen, ręce mi się trzęsły, brakowało tchu, a na koniec, tuż przed zabudowaniami Pustkowie, upadłam.

- Wszystko w porządku? – znajomy głos, pewna ręka. Proboszcz. Masywna sylwetka pod czarnym parasolem.

- Jasne – pozbierałam się z ziemi, wytrzeptałam igliwie z włosów. Przed nami migotały światła wsi.

- Czy coś się stało? Biegła pani tak prędko?

- Nie, skąd. Po prostu się spieszę – wyminęłam księdza Ruczaję, pędem ruszając dalej. – A co ksiądz tu robi, ha?

- Ja? Tylko sobie spaceruję – oświadczył proboszcz. Szedł obok mnie aż do przystanku. Zastanowił się, pomyślał, zamruczał coś do siebie. Wreszcie rzekł:

- Zdawało mi się, że ktoś śpiewa w lesie. Ale nikogo nie spotkałem. Oprócz pani – patrzył na mnie z wyrzutem, jakbym to ja operowym sopranem wykonała cudowną arię.

- To nie ja – zaprzeczyłam zgodnie z prawdą.

- No nic, nic, pewnie zawodzi mnie słuch – wycofał się ksiądz. Cały czas jednak przypatrywał mi się podejrzliwie. – Nie śpiewa pani czasem w chórze? – spytał nagle.

Nie przyznałam się do chóralnego śpiewu. Nie chciałam się tłumaczyć przed Ruczajem. Czułam, że zachowałam się jak idiotka. Odważna idiotka. „Trzeba było od razu wiać, albo nie zwiewać, tylko dokładniej sprawdzić, kto tam straszy”- myślałam sobie, patrząc w ciemne okna busa – „Od początku do końca czysta głupota”. Jednak na myśl o powrocie w tamto miejsce czułam lodowaty chłód na szyi, jakby niewidzialna ręka zaciskała się na mojej krtani.

Potem, w lecie, kilku wczasowiczów wspominało o czarodziejce zwabiającej turystów w bagna. Jednak nikt nie przyznał się do spotkania z owym dziwem twarzą w twarz. Proboszcz odprawił mszę za utrapione dusze, po czym dłuższy czas mieliśmy spokój...

- Coś mi się kiedyś przesłyszało – rzekłam niewyraźnie. - Na duchy najlepsze jest dobre wino i jasny ogień – zmieniłam temat. - Zrobić państwu więcej kawy?

- Tak, proszę – Janusz najwyraźniej nie zamierzał opuszczać kuchni. Zajął miejsce za stołem.

- A ja napiłabym się wina – Lidia otworzyła szafkę z kieliszkami.

Wynalazła butelkę w lodówce i wyjęła kieliszki. Wiluk nappełnił swój sokiem pomarańczowym.

- Za duchy i zmory! – wznosił toast i od razu upił spory łyk. – Dobry soczek. Nie taki, jak dziś w Lęborku – napił się jeszcze. – Wcale nie chciało mi się jechać

do miasteczka. Ale Lola potrafi być bardzo uparta. Ledwie się wysuszyła, już koniecznie chciała do sklepów. W efekcie byliśmy u fryzjera, w cukierni, u kosmetyczki, a potem jeszcze zmusiła mnie do wizyty w kawiarni. Mieli paskudne drinki. Ledwie zdążyliśmy na kolację. A co tu się działo?

- Wyszłam po obiedzie i wróciłam dopiero co – odparłam.

- A ja pojechałam nad morze – oświadczyła Lidia Miler. - Zrobiłam sobie długi spacer po piasku. Woda jest całkiem ciepła, ale było bardzo pusto, aż wreszcie poczułam się nieswojo i wróciłam do auta.

- Gdzie pani była? – spytałam machinalnie. W gruncie rzeczy wcale nie byłam ciekawa. Jednak Lidia nagle się speszyła.

- Nie pamiętam nazwy... jakaś mała miejscowość. Brzeg bardzo ładny, wysokie wydmy. – zamilkła, a po chwili odezwała się powoli:

- Janusz.

- Tak? – Wiluk dolewał sobie soku.

- Jak myślisz, czemu... czemu on nas tu ściągnął?

Odchrząknęłam głośno. Co jak co, ale nie jestem niewidzialna w małej, dobrze oświetlonej kuchni. Czyżby o mnie zapomniano? Wstałam i ruszyłam do drzwi.

- Nie, niech pani zostanie! – poprosiła Lidia. Ręce jej nieznacznie drżały.- Przy pani czuję się jakoś... bezpieczniej.

Bezpieczniej? Ciekawe słowo. Zanim zdążyłam się odezwać, Przystojniak objął ją opiekuńczo.

- Biedactwo! Tyle musiałaś z nim przejść! Ustaliliście coś wreszcie? Mówiłaś z nim?

- Próbowałam. Wyjechaliście, Adrian gdzieś przepadł, więc poszłam do niego. Siedział w tym pokoju z biurkiem, na dole. Czytał Biblię.

- I co?

- On jest śliski, jak wąż. Pełno gładkich słów, a pod spodem złośliwość. Obiecał jednak, że zapłaci mi alimenty. Prosił, żebym została do jutra, kajał się i tłumaczył... ale nie wiem, o co mu naprawdę chodzi – zacisnęła dłonie na kieliszku. - Coś ci mówił?

Janusz Wiluk znowu usiadł na krześle.

- Nie zdradził się z niczym. Przecież chodzi o święto, żeby pochwalić się milionem. Mówił coś o interesach, prawda? Może ma w zanadrzu jakąś propozycję? – jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu. – Rozdzielili między nas trochę kasy? – skierował wzrok w sufit – to byłoby zgodne z Biblią, nie?

Siedziałam cicho, jak mysz pod zmiotką w obecności kota. Chyba Janusz nie jest aż tak naiwny? Takie Nieduże typki wcale nie lubią rozstawać się z forszą. Lidia chyba myślała podobnie, bo tylko westchnęła.

Drzwi uchyliły się i zajrzała Łucja.

- Woła do jadalni – rzekła głośno.

Poszłam za wszystkimi. Przecież ciągle trzeba coś zbierać ze stołu, prawda? W salonie było znacznie cieplej. Ogień na kominku grzał, świecił, oświetlał, tańczył... Obok w fotelu usadowił się Miler. Lola z nogą założoną na nogę zajmowała drugi fotel. Adrian nadal siedział przy stole, z kubkiem w zaciśniętych dłoniach. Nie spuszczał wzroku z Niedużego. Ten uśmiechał się swoim szczególnym grymasem, rozciągając wargi. Oczy pozostały zimne. Zawsze zwracam uwagę na oczy. Te były szare i pozbawione wyrazu.

Spojrzałam na tacę z ciastem. Co jak co, ale szarlotka z bitą śmietaną nie jest czymś, co można lekceważyć. Ani jednej okruszyny. Szkoda. Pewnie Nieduży sam wszystko pożarł, tłumacząc, że robi to dla dobra gości. Rzeczywiście, koło niego stał talerzyk ze śladami jabłek. Inne wyglądały na nieużywane. Pożarł, a jakże. Nie zostało nic dla biednej gosposi spragnionej łatwo przyswajalnych cukrów. Zebrałam puste salaterki i zajęłam swoje stanowisko w kuchni.

Zanim wyszłam, Miler wstał z fotela.

- Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tu wszyscy jesteście – rozpoczął z emfazą. - Myślicie, co skłoniło takiego człowieka jak ja do zaproszenia was w to piękne miejsce i podjęcia kilkudniową gościną... z wyżywieniem i atrakcjami.

- Jeśli chodzi ci o kąpiel w zimnej, brudnej wodzie i tanie wino, to tak – odezwała się Lola. - Wspaniałe atrakcje. Co to za miejsce. Nie ma nawet porządnej restauracji ani hotelu.

- ...i atrakcjami – powtórzył Miler, jakby nie słyszał Loli – za które nie musicie dodatkowo płacić. Mam nadzieję, że wszyscy są zadowoleni - rozejrzał się wokół. Adrian wpatrywał się w niego z napięciem, podobnie Lidia. Lola wyciągnęła papierosa i zaciągnęła się ze znużoną miną. Wiatr huczał coraz głośniej. Łucja z niepokojem spojrzała w stronę drzwi balkonowych. Niecierpliwie pocierała nos. Tylko Janusz znów odwrócił się i wyjrzał do kuchni. Pokręcił głową, mówiąc „zdawało mi się”, po czym wrócił na krzesło.

- Ale to nie koniec niespodzianek - podjął Miler. - Jak wiecie, udało mi się wejść w posiadanie niewielkiej fortuny. Kilka milionów. Niedużo, ale starczy na początek. Napisane jest, by dzielić się z innymi wszelkim dobrem. Teraz mam czym się dzielić. Postanowiłem więc, że zajmę się swoim rozwojem duchowym. Zainwestuję w media, w telewizję. Dziś człowiek nie istnieje, jeśli nie ma go w telewizji. Wykorzystam więc ją do tego, by ludzie poznali moje idee. Może potem dołączą do mnie inni.

- A co z dziećmi? Zamierzasz łożyć na nie? – Lidia mówiła cicho, zaciskając zęby. Usta jej drżały.

- Każdy człowiek musi się nauczyć samodzielności – oświadczył surowo Miler. – Nawet dzieci. Nie mogę ich rozpieszczać.

- Ale przecież obiecałeś...

- Sądzę, że cieszą się z uśmiechu losu własnego ojca. Dlatego porzucam firmę. Mam swoje zadanie.

Zapadła cisza.

- Zostawia pan firmę? A co ze mną? Mieliśmy rozmawiać o moim nowym stanowisku!

- Niestety, teraz nie mogę panu pomóc. Trzeba zawsze liczyć na własne siły. To samo dotyczy reszty. Moja droga Lolu, musisz zacząć się troszczyć sama o siebie. Janusz, oczekuję, że to zrozumiesz. Każdy grosz ma znaczenie.

- Co takiego? - głos Loli brzmiał piskliwie, wręcz ordynarnie. – Mieliśmy jechać nad ciepłe morze! Kazałeś mi kupić bilety!

- Cóż, bardzo mi przykro, naprawdę – Miler starał się wypowiedzieć te słowa ze smutkiem. - Też chciałbym pojechać. Ale wzywają mnie inne sprawy.

- Powiedz po prostu, że nie chcesz się z nikim dzielić! – Lola była wściekła. Pewnie pluła szminką – Masz kogoś, czy co? Może tę...tę...skromni się?

- Nie mieszajmy w to innych – rzekł cierpliwie Nieduży. – To tylko moja decyzja. Podjąłem już pieniądze i zabezpieczyłem je.

- Jak?

- Planuję złożyć dyspozycje na wypadek mojej... niedyspozycji – powiedział Miler, rad z oryginalnej wypowiedzi.

Na jego miejscu siedziałabym cicho.

Ktoś parsknął śmiechem. Nerwowy, nieopanowany chichot, jaki może się wydobyć z krtani histeryka. Coś jakby dławienie się. Wpadłam do jadalni.

Adrian właśnie zrywał się z krzesła. Rzucił filiżankę i podbiegł do Janusza, z którego warg wydobywał się ten straszny dźwięk. Walnął go w plecy raz i drugi. Przystojniak przestał się śmiać, zachłysnął się i ucichł. Przetarł załzawione oczy.

- Żartujesz, prawda? Tylko tak gadasz, żeby zobaczyć naszą reakcję, nie? To taka próba? - znowu zaczął chichotać. – O rany, ale się przeląkałem...Guru ...boki zrywać...

Miler uśmiechnął się. On jest doprawdy podobny do takiego jednego z telewizji. Zupełnie jakby reklamował trumnę.

- Nie będę brał pod uwagę tej niesłychanej wypowiedzi – rzekł surowo – widać znów za dużo wypiliśmy. Wcale nie żartuję. Zamierzam zostać przewodnikiem duchowym dla zagubionych, w szponach nałogów czy błędzących. Świat mnie potrzebuje. Otrzymałem znak...

Ktoś wstał gwałtownie. Szurnęło odsunięte krzesło. Lidia Miler wyszła z jadalni. Ze schodów dobiegł nas tupot obcasów, potem zapadła cisza...

Reszta gości popatrywała ukradkiem na siebie nawzajem. Nieduży w natchnieniu mówił dalej, ale ja już nie słuchałam. Zrobiło mi się mdło. Wyszłam na palcach, starając poruszać się jak najciszej. W kuchni nalałam sobie ziółek i duszkiem pociągnęłam spory łyk. Za wszelką cenę muszę się uspokoić,

pomyślałam sobie. To tylko nerwy.

Przed chwilą, w jadalni, poczułam nudności, możliwe, że związane z dzisiejszą dietą. Albo z przepracowaniem.

Co ten Nieduży wyprawia. Prowokuje ludzi w samym środku pustkowi. Ogarnęło mnie trudne do wytłumaczenia wrażenie zagrożenia i narastającej paniki. Jakby ściany pensjonatu na mnie napierały. To na pewno coś poważnego, jakaś sprawa krążeniowa albo przynajmniej hormonalna. Słyszałam, że ataki paniki są wywoływane przez tarczycę lub choroby kardiologiczne. Muszę się koniecznie przebadać. Malik może sobie mówić, że wszystko w porządku, ale ja swoje wiem. To mnie dusi i zatyka, nie jego.

Napiłam się więcej melisy. Szkoda, że nie mam tu waleriany. Nabrałam więcej powietrza i wtedy zakłuło mnie w plecach. Szybko zmierzyłam puls. Co? Sześćdziesiąt? Jak to możliwe? Przecież czuję łomot i rozsadza mi klatkę piersiową! Policzyłam oddechy. Pięć razy dziesięć... Co najmniej pięćdziesiąt! No, to naprawdę groźne. Może mam astmę? Policzę jeszcze raz.

Skupiłam się i nabrałam powietrza. Co się dzieje? Tym razem wyszło mi piętnaście! Jakie anomalie! Muszę koniecznie skontaktować się z lekarzem. Ale dziś już za późno. Pójdę do poradni od razu rano w poniedziałek.

W jadalni Miler mówił coś dalej, dochodził mnie stłumiony odgłos rozmowy. Inni chyba włączyli się do dyskusji.

Ciekawe, co robi Lidia. Postanowiłam do niej zajrzeć. W końcu jestem tu gosposią, nie?

Kiedy zastukałam, pani Miler siedziała na skraju łóżka w swojej sypialni z twarzą ukrytą w dłoniach. Obok wały się ubrania. Część już wrzuciła do walizki, reszta poniewierała się na podłodze.

Schyliłam się i pozbierałam jej rzeczy. Ułożyłam je na łóżku, tuż obok nieruchomej postaci. Kobieta wcale nie zareagowała. Ramiona lekko jej drżały, oczy miała całkiem mokre. Zauważyłam to, gdy wreszcie na mnie spojrzała.

- Aj, nie trzeba było - powiedziała tym swoim miłym głosem - Muszę się spakować i jechać. Głupio zrobiłam, że tu w ogóle przyjechałam.

- Właściwie... co panią skłoniło do przyjazdu? - klapnęłam na fotel przed toaletką, cała zamieniona w słuch.

- Mój mąż. Potrafi być bardzo przekonujący. Obiecał, że wypłaci mi alimenty, że pokaże pisma wycofujące jego pozwy... wszystko kłamstwo. Sama nie wiem, czemu mu uwierzyłam... zawsze udawało mu się mnie przekonać. Ma tyle logicznych argumentów. A potem braliśmy kolejny kredyt. On wydawał pieniądze, a ja je spłacałam. I ciągle obiecywał, że to już ostatni raz, że więcej nie będzie się zadłużał... Czasem pytał mnie, czy warto. Dyskutowaliśmy o tym i on miał tyle do powiedzenia! Nie zgadzałam się, a on i tak mnie nie słuchał... Zawsze mnie przegadał. Kiedy widział, że mnie nie przekona, to obiecywał, że zrobi jak ja

chę. Po czym szedł i pożyczał znowu.

- Na co wydawał te kredyty?

- Na głupoty. Samochód, jakiś mebel za dziesięć tysięcy, najlepszy telewizor... Potem zaczął promować siebie. Wydał traktat ni to religijny, ni to polityczny, o swoich poglądach. Wtedy wystąpiłam o rozwód. Zresztą i tak straciłam już wszystko, to znaczy mieszkanie po rodzicach i ich działkę. Wymusił to na nich.

- Myślałam, że to Lola...

- Lola? Ciekawe co jej naobiecował. Widziała ją pani. Luksusowa kobieta. Nie, to nie przez nią doszło do rozwodu. Nie mogłam znieść tych ciągłych kłamstw, tego oszukiwania, tego marnotrawienia, niepotrzebnych rzeczy. Każdy sprzedawca od razu widział, że ma przed sobą gościa, któremu wciśnie najgorszy chłam za najwyższą cenę... Śmiali się za plecami. Zachciało mu się budować dom i podpisał umowę z architektem... ten wyliczył za wymurowanie jednego słupka na balkonie ponad trzy tysiące, a on to podpisał... za zdjęcie starej wykładziny z jednego pokoju osiemset złotych... Za wejście do domu ekipy pewnie z parę tysięcy każdego dnia... Kompletny idiota. A proszę spojrzeć, jakie miny i pozy!

- W takim razie dobrze, że już się rozstaliście – stwierdziłam trzeźwo.

- To był najpiękniejszy dzień mojego życia – oświadczyła Lidia. – wyszłam z sądu i uff! Ale teraz... miałam nadzieję na pieniądze. Po to tu przyjechałam. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło, żeby znów mu uwierzyć. Straciłam już przez niego mnóstwo zdrowia i czasu.

- Wygrał miliony...

- Tak, wygrał. Ciekawe, jak szybko je zmarnuje. A dzieci? Nic go nie obchodzi, chyba jako przedmioty do manipulacji. Chciał, żeby wysłuchiwały jego kazań ...Tylko po to telefonuje do nich... raz na dwa miesiące. Ale gadam i gadam, a muszę się zbierać. Nie lubię prowadzić nocą.

- Może powinna pani jednak przenocować i ruszyć rano – zasugerowałam delikatnie – zapowiadają huragan. Słyszałam ostrzeżenie dla wybrzeża. Do rana pewnie się uspokoi.

- Nie, nie. Muszę się stąd wyrwać – zaczęła wkładać do walizki stosik rzeczy. – Nie chcę tu nocować.

Zerknęłam na zegarek. Dwudziesta trzydzieści. Do świtu jeszcze sporo godzin. Za oknem wiatr nabierał rozpędu na pustej przestrzeni nad wodą. Pewnie spadają szyszki, małe gałęzie, igły... do rana będzie znacznie mniej liści na drzewach. Mogę się pożegnać ze złotą jesienią. Czekają już grabie, worki z liśćmi i zapach dymu z ognisk.

- Jednak lepiej niech pani zostanie – spróbowałam bez przekonania. - Wichura może połamać drzewa, zablokować drogi. Zresztą chyba będzie i burza.

- Burza! – Lidia zastygła nad walizką. – Boję się burzy.

Jakby na potwierdzenie moich słów zahuczał piorun. W tej samej chwili oślepiający błysk rozświetlił pokój. Lidia podbiegła do okna.

Odsunęłam zasłony. W mroku widniał pas gasnących już solarnych latarni. Deski pomostu zalewały fale deszczu. Za nimi majaczyła tafla jeziora, nieco jaśniejsza od głębokiej czerni lasu. W ciemnościach błysnęły światła przejeżdżającego szosą samochodu. Niebo wcale nie było jednolicie ciemne. Od strony jeziora gnała skłębiona masa chmur. Zaslaniała już trzecią część nieba. Co i raz okropny błysk oświetlał czerń nocy. Wtedy widać było krawędzie burzy - grube i postrzępione, ruchome jak macki gigantycznej ośmiornicy. Zdawało się, że potwór wyciąga je w stronę pensjonatu, że za chwilę pochłonie jezioro, las i dom na wzniesieniu...

- Zostaję – oświadczyła Lidia Miler.

- Pomoże mi pani? Zaraz będę sprzątać ze stołu – nie chciałam, żeby siedziała sama w pokoju. W kuchni czy salonie na pewno będą inni. Może spacyfikowali już Niedużego. W grupie rażniej, zwłaszcza w taką noc.

Zeszliśmy na dół. Widać Miler nieco spuścił z tonu, bo dobiegł nas śmiech. W kuchni Łucja i Adrian zmywali kieliszki. Janusz Wiluk, na chwiejnych nogach, podśpiewywał jakąś smętną piosenkę. Lola tkwiła nadal w fotelu przed kominkiem. Popiół z papierosa strząsała na stojący obok talerzyk z ciastkiem. Niedużego nie było.

- Zebraliśmy ze stołu – oświadczył na mój widok Przystojniak. Wskazał na młodzież. – Bardzo ładnie zbierają. Ze stołu... ze stołu! - zaśpiewał rzewnie.

- Widzę, dziękuję bardzo. A gdzie Nie... pan Miler?

- Nie chciał pić wina... wina. Smaczne winko, ale wolę coś lepszego. Mam tutaj coś ekstra – wydobył z kieszeni piersiówkę. Była prawie pusta. Podniósł ją do góry i obejrzał pod światło. – Oj! Ktoś mi wypił moją działkę! Kto? Pani, pani Alu?

- Nie piję działek - oznajmiłam zgodnie z prawdą.

- To nie szkodzi, dla pani wszystko! Taka wspaniała kobieta, majestatyczna... uwielbiam kobiety, a jeszcze jak mają trochę ciała... Nie gniewa się pani na mnie? Nie? To ja pójdę i przyniosę więcej. Napijemy się razem. Pani i ja. Z zapasiku. Z zapasiku.

Wyszedł z kuchni. Łucja parsknęła głośno.

- Ciekawe, ile wzięł ze sobą... oj, wychodzi na dwór!

Dobiegł nas głośniejszy szum deszczu. Wejściowe drzwi zaskrzypiały na wietrze. Wyjrzałam na parking. Janusz usiłował dostać się do swego auta. W mroku majaczyła jego wysoka sylwetka. Raptem błysnęło! Ale nie był to piorun. Wielki wóz ożył, usłyszałam dźwięk alarmu.

- Zdaje się, że zgubił kluczyki – powiedziałam, wyteżając wzrok. Alarm wciąż wył.

Przeraźliwy dźwięk zwabił do wejścia resztę gości. Stłoczyli się za moimi plecami, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach.

- Nigdy ich nie znajdzie – pesymistą był Adrian Nartowicz. – Rozładuje akumulator.

W kieszeni miałam latarkę. Złapałam z wieszaka pelerynę i wybiegłam w mrok. Co jak co, ale nie życzę sobie, by zostali tu dłużej z powodu awarii auta. Muszę znaleźć te kluczyki.

Na zewnątrz wiatr niemal pozbawił mnie tchu. Ruszyłam ostrożnie w kierunku SUV'a Wiluka. Coś jakby rzeka płynęło po podjeździe. Niedobrze. Woda może porwać ze sobą klucze. Włączyłam latarkę. Pod nogami miałam strugi deszczu, woda wlewała mi się za kołnierz, zatykała usta, ściekała po plecach. Zupełnie jakbym brała kąpiel w ubraniu. Rozwścieczona, dopadłam Janusza. Wciąż tkwił obok auta, niemrawo gmerając przy klamce.

W mroku widać było tylko zarys twarzy i oczu.

- Nie ma kluczyków – zaśpiewał - kluczyków nie ma... nie ma wódeczki, nie ma kochaneczki – raptem zatoczył się w moją stronę. Złapałam go i oparłam o karoserię.

- Powrót do domu! Marsz! – wrzasnęłam ile sił w płucach. Ludzie zwykle w pierwszym odruchu słuchają poleceń. Pijani też. Przystojniak odepchnął się od wozu, zatoczył i posłusznie pokłusował w stronę oświetlonego ganku.

No, jeden z głowy. Teraz zaczęłam przyglądać się ziemi centymetr po centymetrze. Słaba widoczność. Tylko alarm wciąż wył mi nad uchem. Reflektory wozu to zapalały się, to gasły, zacierając i tak ciemną powierzchnię podjazdu. Wyłożona polbrukiem w zróżnicowane kolorystycznie gwiazdy, zwykle stanowiła miły dla oka widok. Ale teraz przypominała kotłujące się morze. Wydobyłam składaną drewnianą miarkę z podziałką centymetrową. Nieraz używam jej w ciucholandzie... Rozprostowałam ją i zaczęłam zataczać koła tuż przy ziemi, zgarniając ku sobie wszystko w jej zasięgu.

Raz... niepowodzenie. Dwa. Nic. Trzy, cztery, dwanaście... Dopiero za trzynastym razem poczułam lekki opór. Brzęk. Kluczyki samochodowe. Po chwili z triumfem wcisnęłam pilot. Alarm urwał na najwyższej nucie i zamilkł. Zgasły migające światła. Uff.

- Znalazła je pani! – okrzyk dobiegł od strony pensjonatu. - To Janusz, mokry i rozczochrany, toczył się w moim kierunku. Znikła gdzieś śpiewna nuta w jego głosie. Może zimna woda nieco go otrzeźwiła.

- Dzięki, dzięki, a ja muszę tam zajrzeć – tłumaczył, otwierając drzwiczki. Zanurkował do środka, wydobył skądś butelkę.

Zamknęłam auto. Razem przebyliśmy kilkanaście metrów i wreszcie zrobiło się jasno.

- Zaraz się napijemy. Na rozgrzewkę – oświadczył Janusz i wcale nie

zaprotestowałam.

W kuchni zastaliśmy Lidię stojącą nad czajnikiem. Na nasz widok zalała wrzątkiem dwie torebki z herbatą i zaczęła wciskać do nich cytrynę. Mnóstwo cytryny. Posłodziła, wcale nie oszczędnościowo, i podała nam szklanki.

Wzięłam spory łyk. Dobrze. Ciepło zaczęło rozlewać się po moim przemoczonym wnętrzu. Przystojniak dołał do szklanek po odrobinie płynu z przyniesionej butelki.

- A teraz trzeba się przebrać – oznajmił, patrząc na swój strój. Woda spływała z nas obojga, tworząc sporą kałużę na czystej terakocie.

- Muszę wracać do domu.

- Mogę pani coś dać, choćby szlafrok. Albo dres – powiedziała Lidia

Wyobraziłam sobie siebie w ubraniu pani Miler. Drobnej budowy, delikatna. Na pewno wyglądałabym... ciekawie.

Pokręciłam głową

- I tak zmoknę wracając. Muszę iść.

- Nie może pani – zaprotestował Łucja – wicher, drzewa latają dookoła... Niebezpiecznie.

Poparł ją Adrian. Nie powinnam iść. Świat jest ciemny, mokry i zimny. Kto wie, co czai się za rogiem. Może czterdziestu rozbójników z nożami w zębach, a może dzikie zwierzęta czyhające na turystów.

- Słyszałem, że wczoraj na Mazowszu piorun zabił krowę – oznajmił Nartowicz.

Poczułam się jak krasula osamotniona na ciemnym polu.

- Zostać nie mogę, ale...

- A niedawno gdzieś tutaj znaleziono pytona na łące – dodał z niepokojem.

Rozejrzałam się po jasnej kuchni. Może anakonda czai się w schowku na szczotki? Pewnie czyha na mnie, kobietę znacznej postury. Trawiłaby mnie parę tygodni... albo lat. Nie to, co reszta chudzielców. A może miałyby chęć na Nieduzego? Nie. Nieduży stanąłby jej w gardle.

Łucja przyniosła gruby ręcznik. Otuliłam się, szczękając zębami. Skończyłam herbatę i ruszyłam do wyjścia. Kiedy mijałam drzwi do gabinetu, te uchyliły się i wyszła z nich Lola. Odwrócona do mnie tyłem, coś jeszcze mówiła.

- ...porozmawiamy jeszcze o tym...

Zanim zamknęła drzwi, zobaczyłam jak Nieduży pomału obraca się w fotelu. Na mój widok Lola nieco się skrzywiła.

- Strasznie pani mokra. Co tu się dzieje?

- Wychodzę – oświadczyłam zwięźle.

Na zewnątrz wiatr jeszcze się rozpędzał. Nabrałam powietrza i ruszyłam biegiem. Deszcz siekł mnie po twarzy, wokół huczał las. Z ulgą powitałam zabudowania Nowego Lasku. Ulica była ciemna i pusta, zresztą nikt nie wybrałby

takiej nocy na spacer dla zdrowia. Wpadłam na schodki. Dwa mokre, napuszone stwory wyskoczyły spod okapu, wpychając się przede mną do domu. Zatrzasnęłam drzwi, oparłam się o nie plecami, równocześnie włączając światło. Następnie, nie bacząc na spływającą ze mnie wodę, obeszałam wszystkie kąty, posprawdzałam zamknięcia, zasunęłam rolety. Zamocowałam sztabę na wejściu. Napaliłam w piecu i wreszcie mogłam wziąć kąpiel. Koty poszły do saloniku i rozwalily się przed kominkiem. Ciałka ułożyły tak, by chłonać jak najwięcej ciepła. Przypominały futrzane brudne szaliki.

Siedząc w wannie rozmyślałam. Co bym zrobiła gdybym miała tylu znajomych i miliony.

Trudne wybory. Najlepiej by było wcale się nie przyznawać. Ludzie będą oczekiwać wsparcia nawet w sytuacjach, gdy sobie sami świetnie radzą, zupełnie jakby znajomy milioner miał obowiązek zostać ich sponsorem. Najgorzej jest z rodziną. Ile by się nie dało, i tak będą pretensje. Że tamci i tak są bogaci, a tamci to marnują twoją forszę... Co innego, gdy takie szczęście trafi prawdziwego biedaka. Ale nasi prawdziwi biedacy nie grywają w totka. Raczej kupią chleb... czy piwo.

Dolałam sobie gorącej wody. Wreszcie się rozgrzałam. Lubię wiedzieć, co kieruje innymi ludźmi, a w przypadku Niedużego nie mogłam pojąć jego motywów. Wcale nie musiał się chwalić fortuną... Najmądrzej by było wcale o niej nie wspominać, i stwierdzić, że zaczyna nowe życie. Takie dziwactwa w końcu się zdarzają. Ludzie wierzą, w co tylko chcą. Jak ten pustelnik, co wymyślił smoka nad rzeką, bo chciał, żeby otaczający go wciąż gapie dali mu spokój. Wszyscy popędzili nad rzekę. Na końcu skradał się pustelnik. Doszedł do wniosku, że skoro wszyscy idą nad rzekę, to może coś w tym jest...

Zatem Nieduży wcale nie musiał ogłaszać swego bogactwa. Dużo rozsądniej jest trzymać gębę na kłódkę. Przymknęłam oczy i zobaczyłam moją przyjaciółkę z dzieciństwa, Zużę. Powiedziała kiedyś do mnie „...zawsze myślisz, że inni w podobnej sytuacji pomyślą i zrobią tak samo jak ty. To wcale nieprawda...” Racja. Nieduży nie zrobił jak ja bym zrobiła. W istocie zachował się wręcz przeciwnie – nie tylko ogłosił wszem i wobec swoje szczęście, ale jeszcze wydał przyjęcie. Musi lubić popisy. Zgrywa ważniaka, chce być w centrum uwagi. No cóż, udało mu się. Wzbudził zazdrość i złość, a także gniew.

Nałożyłam na włosy jedną z tych odżywek co trzeba je trzymać kwadrans, a potem spłukać. W efekcie czego ma się oklapłą fryzurę ściśle przylegającą do czaszki, a do wieczora włosy się przetłuszczają.

Jeśli zebrał tu tych ludzi, to chyba chciał się pochwalić. Lubi szpan, tak by wynikało ze słów jego żony. Daje się naciągać na drogie zakupy, by potem imponować ich ceną. Ale jest przy tym naiwny, skoro podpisuje niekorzystne dla siebie umowy. Jak z tym architektem. Można go naciągnąć.

Zanurzyłam się w wodzie, splukując z siebie pianę i resztę myśli o pracy. Dość tego na dziś. Pomyślę sobie o czymś przyjemniejszym. Przejrzę książki oraz gazety z programami telewizyjnymi, poczytam skróty seriali... Intrygująca lektura. Jak to szło: "Zosia i Tomek spotkają się przed stodołą. On uważa, że kocha Ziuę. Ona znajduje na parkingu stary kapeć. Paweł ćwiczy niskie skoki. Niespodziewanie wpada na Gienka, który jest przetrzymywany przez porywacza. Razem zakładają sklep z przekąskami dla uczniów. Kawiarnia nieźle prosperuje. Franio myśli o rozmowie z Edkiem. Porozmawiać, czy nie porozmawiać? (Franio to prawie jak Hamlet). Muszą odnaleźć ojca, o którego istnieniu wcześniej nie wiedzieli. Ściga ich miejscowy polityk w przebraniu psa. Lokalny dziennikarz robi wywiad z siostrą Gucia. On postanawia, że nie będzie więcej się angażował. Razem idą do łóżka..."

Niby zwykłe rzeczy, a jakie ciekawe.

Raptem uświadomiłam sobie, że nie zadzwoniłam do mamy. Moja mama mieszka w Lęborku, na tyle blisko, by móc ją widywać co tydzień, ale na szczęście na tyle daleko, by nie komentowała każdego mojego kroku. Odległość sprawia, że może to robić tylko raz na dwa – trzy moje kroki. Jeśli nie zadzwonię przez cały dzień, jest święcie przekonana, że coś mi się stało i telefonuje do wszystkich znajomych.

Oj, już późno. Mimo to lepiej spróbuję. Jeszcze dojdzie do wniosku, że powinna tu przyjechać i mi pomóc. Matka nie może mi wybaczyć wcześniejszej emerytury. Sama przepracowała swoje w okresie socjalizmu, i od pięćdziesiątego trzeciego roku życia przeszła na utrzymanie podatników. Pracę miała bardzo spokojną. Nie grożono jej zwolnieniami, dawano wczasy i opiekę medyczną, finansowano urlopy... Ode mnie oczekuje, że będę biegać wokół i udzielać korepetycji, brać tłumaczenia i w ogóle zarabiać, zarabiać i jeszcze raz zarabiać. Zwykle najlepiej wie co powinnam robić, i co gorsza, co powinnam myśleć. Jeśli się z nią nie zgadzam, stosuje bierny opór w postaci nadęcia i symulowanej głuchoty. I nigdy nie przeprosza. Jest mistrzynią w wywoływaniu poczucia winy. W końcu to ja zawsze ją przeproszam za to, że się na mnie obraziła, i za to, że mam inne pomysły na moje życie. Zwykła wtedy powtarzać: „gdybyś mnie posłuchała, i wzięła tamte lekcje... wszyscy tak robią... i starała się zaprzyjaźnić z szefem..."

I to mówi osoba, która we współczesnym świecie zatrudnienia nie przetrwałaby pięciu minut!

Wytałam się energicznie, wygramoliłam ostrożnie z wanny, włożyłam czystą piżamę i szlafrok.

Na dole było już ciepło. Włączyłam stojącą lampę przy kominku, zawinęłam się w koc i spojrzałam na najnowszą powieść Akunina. Miejscami makabryczne, ale znakomite. Z westchnieniem odłożyłam ją na taboret i sięgnęłam po telefon. Dwudziesta druga trzydzieści.

- Mama? Jeszcze nie śpisz?

- Strasznie wieje. Okropnie łamie mnie w kościach. A co u ciebie? Znalazłaś może nowe zajęcie? - głos matki zawibrował nadzieją - Cały dzień cię nie było.

- Nie, byłam zajęta w pensjonacie. Mam gości i chcę, żeby podawać im posiłki.

Matka uważa, że pensjonat to zajęcie poniżej moich możliwości. Gdybym była czymś w rodzaju zarządzającej, wszystko byłoby w porządku. Według matki mogłabym prowadzić wyrefinowaną konwersację, niczym jakaś przerośnięta gejsza w adidasach, ale nic ponad to. Do tak zwanych cięższych prac są przecież Ludzie. Ludzie to umowne określenie zgrai ze zgrubiałymi od wysiłku dłońmi i prostymi, z gruba ciosanymi twarzami. Zgraja ta tylko marzy o tym, by być na moje usługi.

Sprytnie zmieniałam temat. Wypytałam o sąsiadki, o kwiaty na balkonie, wreszcie o grób taty – częsty temat naszych rozmów. Matka konkuruje pod tym względem z sąsiednimi kwaterami na cmentarzu. Wieńce, wiązanki, doniczki, nawet ikebany – do rywalizacji włączyli się krewni nieboszczyka z prawej.

Z lewej nie pokazali się od roku. Muszą do tej pory się wstydzić, gdyż kupili taki sam wianek świąteczny jak zrobiła moja matka, tylko trzy razy mniejszy.

„Ale mieli miny” – relacjonowała mi w ostatnie święta – wszystko mieli-bombki, choinkę, jemiołę, renifera... ale u mnie był Mikołaj! W czapce i z kijem biskupim. I co to za rozmiar ten ich wianek! XS co najwyżej. Tylko na nich spojrzalam, i od razu się wycofali!”

Tym razem jednak pogoda zdominowała naszą rozmowę. Matka obawiała się o nową ikebanę pieczołowicie skompletowaną z gałązek świerku, suchych kwiatów i jesiennych liści. W rozmiarze XXL.

- ...przymocowałam ją drucikiem do pomnika. Myślisz, że nie zleci?

- Nie zleci – stwierdziłam z przekonaniem. Konstrukcje matki przetrwałyby wybuch atomowy. O ile wiem, łączy je za pomocą jednego z tych pioruńskich klejów, dzięki którym można przykleić się w butach do sufitu. – A jak twoja szyja? Wypróbowałaś ten nowy lek?

Matka cierpi na bóle kręgosłupa, nasilające się jesienią i zimą. Z entuzjazmem podchodzi do każdej nowości farmakologicznej, wypróbowuje też mazidła i maści.

- Och, wspaniały. Nic mnie nie bolało przez cały dzień, dopiero teraz się zdenerwowałam, że jeszcze nie ma cię w domu. Naprawdę powinnaś zająć się czymś stabilnym. To dziwne, że nie masz jeszcze męża. Pracowałaś na technicznej uczelni, przecież tam jest pełno wolnych mężczyzn...

- Jestem za wybredna – przerwałam. - A teraz muszę nakarmić koty. Dobranoc, odezwę się jutro...

Co prędzej wyłączyłam telefon. Matka gotowa zacząć wspominać swoje podboje miłosne, porównując się ze mną i podkreślając rolę mężczyzny w życiu kobiety, a w jej życiu w szczególności.

Wróciłam do Borysa Akunina. Ten to umie pisać. Niby baśń, niby kryminał, a nie można się oderwać. Czytałam może z kwadrans, gdy zgasły światła. Podeszłam do okna. Wszędzie tak samo ciemno - w domu naprzeciw, i dalej, z drugiej strony drogi. Na zewnątrz nadal szalała nawałnica, deszcz zacinał w szyby. Dołożyłam do kominka. Blask paleniska rozjaśniał pokój, zacierając kontury przedmiotów i kotów. Imbryk miauknął przez sen, Huncwot zachrapał, pewnie śniąc o tym, jak tłucze Imbryka. Moje koty wszystko robią razem; niewykluczone że mają takie same sny. Postąpiłam chwilę przy oknie, wpatrzona bezmyślnie w noc. Taka noc jest dobra na egzystencjalne lęki ludzi samotnych. Albo na jasno oświetlone wnętrza i dobrą popijawę. Albo na sen.

Kiedy już zasypiałam coś mnie zaniepokoiło. Jakaś sprawa niedopilnowana, coś, co powinnam zrobić... było to tylko krótkie mgnienie, błysk, znikający równie nagle jak się pojawił.

Zasnęłam niemal natychmiast.

Niedziela, 5 października

O czwartej zbudziły mnie koty. Zastosowały starą wypróbowaną metodę muzycznego duetu – jeden śpiewał, a drugi grał wybijając rytm łapami na drzwiach sypialni. Prąd wrócił; światło na schodach działało. Huncwot wybiegł natychmiast, ale Imbryk wyjrzał, stwierdził, że pada, i zawrócił. Dał mi do zrozumienia, że tak wspinały kot jak on nie zamierza moknąć tylko dlatego, że zepsułam pogodę. Chytrze poprowadził mnie do drzwi balkonowych, zapewne w przekonaniu, że wiedzą one do innego, suchego świata. Nieufnie wystawił przednią część kota na zewnątrz, gotów do szybkiego powrotu. Wypchnęłam zrećźnie zadnią część wraz z puchatym ogonem i zamknęłam drzwi. Było mokro, ale deszcz już ustawał. Prawie nie wiało. Wróciłam do łóżka i znów zasnęłam.

Rano, po prysznicu i kawie, uświadomiłam sobie wreszcie, co mnie niepokoiło.

Łodzie. Nie zabezpieczyłam ich przed burzą. Ciekawe, czy nie poszły na dno razem z łańcuchami od kłódek. Zaraz. A czy zamknęłam kłódki? Oj. Oj. Nie wiem. Może nie. Tyle było zamieszania z tymi mokrymi gośćmi... Bogdanek będzie miał sporo roboty. Oj ponarzeka sobie, ponarzeka.

W radiu wyliczali efekty nocnej wichury – połamane drzewa, zablokowane drogi, uszkodzone domy i samochody, niefortunne upadki przechodniów, przemoczone koty.... Na zewnątrz było jakoś mgliście, ale temperatura szła w górę. Już teraz słupek sięgał piętnastu stopni. W południe przekroczy dwadzieścia, co pewnie oznacza kolejną burzę wieczorem. No, ale wieczorem będę

miała spokój. Dziś tylko śniadanie, potem ogarnę co nieco kuchnię i hol. Większe sprzątanie zrobimy jutro z Mileną Lach i Sylwią Prokop.

Z okazji niedzieli wystroiłam się w ostatnio kupioną sukienko – tunikę i kolorowe getry. Wszystko w odcieniach żółci i fioleto. Bardzo praktycznie i nie powiem - elegancko. Z żalem odstawiłam pantofle na obcasach – nie wytrzymają drogi w błocie. Zamiast nich wciągnęłam kalosze, w barwie kiwi. Na miejscu i tak wskoczę w klapki.

Idąc ścieżką do pensjonatu, zrozumiałam co mieli na myśli radiowi spikerzy. Co chwila musiałam omijać grube gałęzie blokujące przejście, unikać nadłamanych konarów niebezpiecznie kiwających się nad ścieżką, przeskakiwać nad błotnistą kałużą... Ziemia parowała, nad lasem wznosiły się obłoczki wilgoci. Pachniało liśćmi i bagnem. Ta noc zerwała z drzew jesienne barwy, i teraz ciemne gałęzie klonów i olch przeplatały się ze szmaragdem świerków. Las był cichy i w jakiś sposób wyglądał na opuszczony. Mijałam przygięte do ziemi gałązki wrzosów, jeszcze wczoraj czerwieniejące w słońcu, a teraz przyszarzałe i powykręcane jakby dotknęła je nagła choroba. Nie śpiewał żaden ptak, nic nie szeleściło w trawie, nawet mrówki ukryły się w swoich kopcach. W powietrzu czuć było oczekiwanie.

Z ulgą wyszłam na otwartą przestrzeń. Pensjonat stał na szczęście tam, gdzie wczoraj, nieruchomy i solidny gmach, ostro odcinający się od zieleni lasu. Dach i ganek oświetlił nagły błysk słońca. Spojrzałam w niebo. Hen, wysoko, musiało powiać, bo chmury rozchodziły się na wszystkie strony, jakby ktoś w górze dmuchał z całej siły. Zawsze byłam ciekawa, gdzie chmury chowają się przez cały dzień, by potem zniecka zasłonić słońce i zmoczyć mnie od góry do dołu.

Na dole, na pomoście, zbadałam stan łódek. No, tak. Jednej wcale nie ma, a dwie są pełne wody. Obejrzałam łańcuch. Wyglądał jak zwykle. Dobrze jeszcze, że łódki nie poszły na dno. Ta urwana w końcu się znajdzie. Wyruszę dziś kajakiem i ją ściągnę.

W domu panował spokój. Ósma trzydzieści rano, niedziela. Wszyscy pewnie śpią po wczorajszej nawałnicy. W kuchni pusto, stół czysty, w zlewie ani jednego naczynia. Cóż, śniadanie już za godzinę, pewnie zaraz ktoś się pokaże. Zadzwoiłam do restauracji. Wszystko w porządku, będą o czasie. Upewniłam się, że przywiozą wszystko, co najlepsze. Kucharka opowiedziała mi o zniszczeniach w sąsiedniej wsi – tam połamane drzewa zablokowały drogę i do tej pory nie ma prądu. Wygląda na to, że mieliśmy szczęście.

- Ale przecież wasi goście byli tu wczoraj i nie narzekali – powiedziała kucharka z przekąsem – ta lala z farbowanymi włosami, i parę innych osób. Śmiali się i balowali do północy. Właściciel musiał ich wyprosić.

- Upili się? – zdziwiłam się nieco. Przystojniak już wcześniej ledwo trzymał się na nogach. Nie wierzyłam, że siadł za kierownicę i jechał trzydzieści kilometrów do lokalu „U Laury” tylko po to, by stracić prawo jazdy.

- Nie... chyba nie. Ruda dziewczyna nie piła. Byli z nią dwaj faceci – jeden wysoki, a drugi młodziak. Ci nie wylewali za kołnierz. Może przywiozła ich ruda.

A zatem Łucja pojechała z Adrianem, Lolą i Januszem do lokalu. Ciekawe. Widać Lidia Miler woląca zostać w pokoju... A Nieduży? Medytował przez całą noc w gabinecie?

Pokręciłam się trochę po jadalni, poprawiłam serwetę, wyrównałam sztuce na stole. Zadowolona z otaczającego mnie spokoju, zrobiłam sobie miętę i zatonęłam w marzeniach. Główną rolę odgrywał w nich wysoki, ciemnowłosy facet z tajemniczym błyskiem w oku. Zdażyliśmy już się poznać, wyjechać na wakacje, gdzie biegaliśmy w blasku zachodzącego słońca, potem nagle pojawił się rywal i doszło do rękoczynów, ale wszystko dobrze się skończyło. Właśnie wybierałam suknię ślubną (kremowy jedwab, do ziemi, gładka u góry, piana dołem), gdy zeszła Lidia z walizką w ręku. Wyglądała na bladą i zmęczoną. Powieki miała ciężkie, oczy straciły blask.

- Wyjeżdżam – oświadczyła na mój widok. – Jak na zewnątrz? Da się przejechać?

Tego nie wiedziałam.

- W lesie pełno złamanych gałęzi. Pewnie tak samo na szosie. Radzę jechać wolno i wypatrywać konarów.

Lidia nic na to nie rzekła. Uścisnęła mi rękę, powiedziała „do widzenia”, po czym wyszła na podjazd. Po chwili usłyszałam odgłos silnika. W bramie minęła się z furgonetką z restauracji.

Goście zaczęli się budzić. Być może dotarła do nich woń smażonego bekonu i kawy. Pierwszy zbiegł Adrian Nartowicz, w dresie i adidasach. Ukłonił się, i popędził na dwór. Następna była Łucja. Zaspana, zapuchnięta i rozczochrana, naląła sobie kawy. Dziś nosiła żółty sweter i oliwkowe spodnie. W uszach kołysały się jej długie kolczyki w kształcie żółędzi.

- Zabalowaliśmy wczoraj – ziewnęła, sadowiąc się w kuchni. - Starszy kelner – co za człowiek, jakby z innej epoki – wyprosił nas. Bardzo grzecznie.

- Była pani w restauracji? W Lęborku?

- W jakimś lokalu. To Lola się uparła, żeby jechać. Oznajmiła, że nie zamierza siedzieć cały wieczór i słuchać, jak deszcz wali o szyby. Januszowi było chyba wszystko jedno, gdzie pije. A Adrian chciał się wyrwać. Nie miałam ochoty siedzieć tu w towarzystwie Milerów, więc też pojechałam.

- Pani Miler nie chciała jechać?

- Podobno nie. Wykręciła się bólem głowy. Wszyscy oczywiście okropnie zmokliśmy. Ubranie jeszcze schnie.

Naląłam sobie kawy. To już trzecia dzisiaj, ale to się nie liczy jako używka. Jestem w pracy, i muszę być na odpowiednich obrotach.

Dziewczyna wyglądała przez okno.

- O tej porze dnia mam zwykle wrażenie, że nigdy się nie rozruszam. Jakbym była uszkodzoną sprężyną. Potem, w trakcie dnia, zdaje mi się, że ktoś mnie nakręca, jak pozytywkę. Pochodzę, zagram swoją nutę, i wieczorem znów zwalniam – wyciągnęła przed siebie nogi w obcisłych zielonkawych dżinsach. – Ale dziś jest ładnie. Zupełnie jak w lecie.

Na dworze słońce musiało mocno przygrzewać, bo Adrian wpadł do kuchni w podkoszulku. Górę od dresu miał pod pachą.

- Uff, jak gorąco – stwierdził i łypnął na lodówkę. - Można już jeść?

- Pewnie – nalałam herbatę do dzbanka. – Może pan zaczynać. Pan Miler zaraz przyjdzie.

- No, ma jednak jakieś ludzkie cechy, jeśli zdarza mu się zaspać – mruknęła Łucja, z kubkiem przy ustach. – Nie sądziłam, że taki z niego...

- ...wizjoner? – podsunął Adrian

- Dziwak.

- Cicho, jeszcze usłyszysz – wyszeptał nerwowo chłopak, oglądając się na drzwi do gabinetu.

- Niech słyszy – burknęła dziewczyna, ale ściszyła trochę głos.

Poszli do jadalni. Dołączył do nich Przystojniak, zielony w kolorycie. Widać było, jak będzie wyglądał za dziesięć lat, a może nawet szybciej. Rozmyte rysy, obwisłe wargi. Odwróciłam z niechęcią wzrok.

Zaraz wziął się za kawę, ale nic nie zjadł. Minęła dziesiąta, potem wpół do jedenastej. Lola, w szlafroku i na obcasach, paliła pierwszego w tym dniu papierosa. Reszta siedziała na ławce przed pensjonatem. Zauważyłam, że wspólny wypad do lokalu zburzył mury między gośćmi. Przeszli na „ty”.

- Może powinniśmy go zbudzić – mówił Adrian. Przez uchylone okno kuchni było go świetnie słychać.

- Daj sobie spokój - chrypliwy głos Loli brzmiał obojętnie – pewnie ma te swoje wizje czy co tam. Ale wczoraj był ubaw, nie?

- Jasne, jasne - zapewnił Nartowicz. Widać jednak wciąż myślał o Niedużym, bo spytał – Widziałaś go wczoraj jeszcze? Nie zmienił zdania?

- Chłopcze. Oskar zrobi wszystko, co mu powiem. Tak tylko się z wami bawi, żeby wyjść na ważniaka. Lubi robić wrażenie. Pewnie wszystko to zmyślił. Powołanie. Też coś.

- Moja głowa – zajęczał Przystojniak. – Jakby zaciskała mi się żelazna obręcz.

- Weź lekarstwo i nie marudź – głos Loli był nieco stłumiony. Pewnie równocześnie wydychała dym w twarz Janusza.

- Nie mam...

- Ja mam aspirynę – Łucja widać miała współczującą naturę. - Chcesz?

- Tak, wezmę...

- Przestań zachowywać się jak stara baba – ofuknęła go Lola. – Lepiej idź z nią i albo się połóż i cierp, albo wróc tu i zajmij się czymś.

Rozległo się szuranie i Janusz z Łucją ukazali się w drzwiach pensjonatu.

Zdecydowałam się posprzątać ze stołu. Ostatecznie Nieduży może sobie sam wziąć jedzenie. Zebrałam talerze, i szłam po szklanki, gdy na górze rozległ się łomot.

Łucja zbiegła po schodach z zaniepokojoną miną. Zastukała i zajrzała do gabinetu. Potem zerknęła na mnie.

- Zajrzeliśmy do Oskara, ale nie ma go w pokoju. Tutaj też nie. Chyba nie wyjechał?

Zapewniłam, że przy mnie wyjechała tylko pani Miler. Wóz Nieduzego stał jak byk na podjeździe. Mógł oczywiście udać się na zdrowotny spacer w październikową noc, pełną wody i wichru, albo ćwiczyć pływanie w jeziorze w warunkach ekstremalnych, albo latać na motolotni, albo łowić ryby... łowić ryby..?

- Może pływa łódką. Jednej brakuje – uświadomiłam sobie i po raz pierwszy zaniepokoiłam się o Nieduzego. Mógł wpaść do wody albo łódź była dziurawa, albo ją wywrócił... Tak czy tak powinien już być. Ja jestem tu już trzy godziny. Zajrzałam do gabinetu. Wszystko wyglądało jak zwykle. Biurko, telewizor, kanapa, szafa. Ani śladu Nieduzego. Posapując wspierałam się po schodach. W końcu jestem tu gospodynią, czyż nie? Żaden milioner nie powinien zniknąć... przed uiszczeniem należności. Na górze, w sypialni tak samo. Walizka w szafie, ubrania na półkach. W łazience przybory toaletowe. Zupełnie jakby wyszedł przed chwilą.

Ogarnęło mnie złe przeczucie. Może uciekł, unikając zapłaty? A może ukrył się w bagażniku Lidii? Lub pod kocem na tylnym siedzeniu jej wozu? Ale chyba zabrałby swoje rzeczy?

Wszyscy stanęli koło mnie, jakby czekając na podjęcie decyzji. Nawet Lola miała niepewną minę. Na twarzy Łucji widać było namysł. Adrian patrzył na nas pytająco. Tylko Przystojniak nadal łapał się za głowę.

W tej chwili przez bramę przecisnął się rozklekotany, poobijany pojazd, przypominający nieco samochód. Zatrzymał się ze zgrzytem i hurgotem. Trzasnęły drzwiczki i wyskoczył z nich wysoki facet.

Bardzo przystojny facet.

Facet, którego widziałam zaledwie wczoraj na jawie i niedawno w marzeniach (w ślubnym garniturze).

Niemożliwy.

Dziś miał na sobie czarne spodnie, podkoszulkę w barwach ochronnych z krótkim rękawem, i te same porządne buciory. Od razu je zauważyłam. Sama bym chciała takie mieć.

Przez chwilę wszyscy gapiliśmy się na niego bez słowa. Odwzajemnił nasze

spojrzenia, przyglądając się nam całkiem otwarcie. Było w nim coś takiego, że człowiek nie miał wątpliwości, że potrafiłby z zamkniętymi oczami wyliczyć wszystkie szczegóły naszych strojów i twarzy. Stanowiliśmy niewątpliwie barwną grupę. Łucja w żółci i zieleni, szafirowa koszula Janusza, Lola w czerwonym szlafrocisku z granatową lamówką, beżowe dresy Nartowicza... No i moja barwna tunika, jak mieszanka bzu i wrzosu, z domieszką cytryny.

Niemożliwy uśmiechnął się, demonstrując białe uzębienie. Wyglądał okropnie... dobrze. Mimo nieogolonej twarzy i potarganych włosów. Jakby wracał z całodobowych ćwiczeń.

Następnie przebył dzielące nas trzy metry i zwrócił się do mnie:

- Podobno można tu wynająć pokój?

W tej samej chwili odezwała się Łucja:

- Chyba musimy go szukać?

- Weźmy kajak – odparłam. – Będzie szybciej.

Niemożliwy przenosił wzrok z jednej osoby na drugą. Janusz jęknął rozdzierająco i usiadł niepewnie na ławce.

- Na mnie nie liczcie. Nie dam rady. Nie mogę się ruszyć.

Lola odwróciła się od niego z gestem bezradności.

- To kto powiosłuje?

Spod rzęs zerknęła na Niemożliwego. Kąciki ust wygięły się jej nieznacznie w kocim uśmieszku.

- Ruszajmy – rozkazałam stanowczo. – Miler nie choruje? Przyjmuje jakieś leki? Może zasłabł... Bierzymy kajaki. Pan – wskazałam na Adriana – popłynię z panią Łucją, a ja mogę szukać sama.

- Ale co się stało? – wtrącił Niemożliwy. – Ktoś wypłynął?

- Tak, jeden z gości zniknął. Łódki też nie ma...

- Kiedy zniknął?

Goście popatrzyli na siebie. Wreszcie Lola wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Jak jechaliśmy do „Laury” to był u siebie. Potem pewnie też. Nocą nie sprawdzałam, co robi.

- Ile macie kajaków? Cztery? Ja też popłynę. Będzie szybciej – Niemożliwy sięgnął do bagażnika swego wozu, wyciągnął jakiś worek i rzucił go na ziemię. Wyciągnął rękę. Odniosłam wrażenie, że chce się przedstawić, więc ucisnęłam mu dłoń. On jednak rzekł - Klucze do hangaru! – i to takim tonem, jakby on tu rządził.

Nie puściłabym mu tego płazem w innych okolicznościach, ale te były szczególne. Liczył się czas, a nie moje cholerne upodobania do wykazywania swojej wyższości nad męskim rodem.

- Szopa jest otwarta.

Szliśmy w dół pomostem. Lola, ostrożnie stawiając obcasy na śliskim drewnie, nie przestawała mówić:

- Ale po co aż trzy kajaki, przecież pani Ala może płynąć sama. Najszybciej się zorientuje co i jak. Wezwie nas, jak coś znajdzie.

- Bardzo dobrze, zostań i pilnuj Janusza. Źle wygląda. I wstaw ekspres. Aha, i poszukaj cytryny. Dobrze nam zrobi gorąca herbata. Jak wrócimy, możemy być zmarznięci – Łucja zdejmowała buty.

Lola zamilkła.

Mężczyźni wynosili z szopy kajaki. Wzięłam cztery wiosła.

- Pani środkiem, pewnie najlepiej zna pani wyspy – zarządził Niemożliwy. - Ja biorę prawą stronę jeziora, państwo lewą. W razie czego proszę wołać albo dzwonić. Spotkamy się najdalej za godzinę. Jezioro jest małe – urwał na chwilę – przydałyby się jakieś koce albo grube ręczniki...

Miał rację. Jeśli Nieduży trzęsie się tam gdzieś na brzegu (choć jeśli jest przytomny to mało prawdopodobne – ja bym szła albo płynęła), to gruby koc jest w takich przypadkach namiastką rajy – ciepły i mięciutki. Sama nieraz tego doświadczyłam, wracając po wodnej wyprawie do domu. Podobną rolę spełnia tylko wielki włochaty ręcznik.

Przyniosłam trzy koce ze schowka na szczotki. Nie było nic do dodania. Łucja już siedziała w kajaku, po chwili dołączył do niej Adrian. Niemożliwy ściągnął buciory i bosy wlażł do środka. Od razu ruszył wzdłuż brzegu, natychmiast osiągając olimpijską prędkość. Zaraz też zniknął za najbliższym cyplem.

Sprawdziłam, czy moja lornetka jest na miejscu, poprawiłam gwizdek, który kiedyś dostałam od Mili Lach. Bardzo praktyczne urządzenie. Świetnie odstrasza innych, no i w lesie można się nieźle zorientować, gdzie kto jest. O ile każdy ma gwizdek.

Odbiłam od pomostu, machnęłam kilka razy.

Przede mną rozpościerała się pomarszczona szaroniebieska toń. Słońce grzało coraz mocniej. Chmury znikły, i temperatura przypominała raczej lipiec niż październikowe przedpołudnie. Przyjemna przejażdżka! Widoki też piękne. Z prawej i lewej skomplikowana linia brzegowa, z cyplami, półwyspami, zatoczkami, przede mną w drżącej mgiele zbliżające się wyspy, wszędzie trzciny, z tyłu klony, świerki, sosny... Powiał wiatr, przynosząc ze sobą woń wody i szuwarów. Mój ulubiony zapach.

Pożałowałam, że nie mam jak popływać. Strój kąpielowy został w domu, razem z okularami i czepkiem. Szkoda. Woda jest naprawdę ciepła.

Przyłożyłam do oczu lornetkę. Z lewej miałam wciąż doskonale widocznych Łucję i Adriana. Zmniejszony przez odległość kajak zagłębiał się w każdą zatoczkę, a w tej chwili opływał półwysep zwany Bobrową Tamą, ulubione miejsce Malika. Wiecznie tam pływa w starej krypie Bogdanków. Przez szkła widziałam niespieszne ruchy Łucji. Dziewczyna cały czas się rozglądała. Ostrość była

doskonała, widziałam każdą kroplę na wiosle, srebrne rozbryzgi za rufą... Sumiennie przeszukiwali brzeg metr po metrze.

Ciekawe, gdzie jest Niemożliwy. Omiotłam wzrokiem dostępną mi powierzchnię jeziora. Ani śladu umięśnionej sylwetki na tle wody. Ani śladu pomarańczowego kajaka. Ani śladu ciemnych oczu i ogorzałej twarzy. Ani śladu podkoszulka moro.

Ani śladu tego palanta! Co, u licha. Chyba nie ćwiczy sztuki znikania jak Japończycy, co to podobno stają się niewidzialni. Mijasz ich o metr i nie jesteś świadom ich obecności. Zwalniają własną akcję serca, oddychają jakoś płytko, a co najważniejsze, wcale nie są nieruchomi. Po prostu – nikt ich nie widzi. Nikt nie czuje też ich obecności. Jakby tracili ludzkie cechy i stawali się jedynie tłem, światem, przyrodą... Jak krokodyl zastygający w oczekiwaniu na ofiarę, który potrafi zwolnić akcję serca do paru uderzeń na minutę. Niemożliwy wygląda na takiego, co umie znikać. Na krokodyla mniej. Pewnie też biega szybciej niż krokodyl. Słyszałam, że na krótkim dystansie gad ten (krokodyl, nie Niemożliwy) może przyspieszyć do dwunastu – czternastu kilometrów na godzinę. Mniejsze gatunki nawet galopują! Ale to w Australii. Tam wszystko jest możliwe, nawet ssaki znoszące jaja.

Zapewne Niemożliwy na krótkim dystansie wyprzedziłby krokodyla. Zresztą podejrzewam, że ja też. Facet wygląda na takiego, co umie walczyć. Na takiego, co umie sobie radzić nocą z nożem w bucie i drugim w nogawce (nóż nosi ceramiczny, by nie wykryły go wykrywacze metalu). Na takiego, co ma doświadczenie w szukaniu Niedużych. Na takiego, co potrafi z żelatyny, ołówka i sprężynki od długopisu wykonać prosty model bomby atomowej. Albo przynajmniej dynamit. No dobrze, umie zrobić koktajl Mołotowa. A już na pewno umie rzucić celnie butelką wcześniej podpaliwszy szmatkę czy lont...

Swoją drogą zawsze myślałam, że nazwę tę i broń wymyślili Rosjanie. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że ta popularna wśród chuliganów uliczna bomba jest fińskim wynalazkiem, z okresu lat 1939-1940. Wtedy to, w końcu listopada 1939 roku, armia sowiecka najechała na Finlandię, a jeden z rosyjskich polityków zarzekał się, że wejdą do Helsinek do urodzin Stalina. Przypadały one osiemnastego grudnia. Polityk obiecywał, że wypije w tym dniu koktajl w stolicy Finlandii... Jak łatwo się domyślać, człowiek ten, skory do składania obietnic bez pokrycia, nazywał się Wiaczesław Mołotow...

Tak czy tak, wojna, zwana zimową, nie zakończyła się zdobyciem Helsinek, ale Finowie jako pierwsi używali butelek wypełnionych łatwopalną substancją właśnie wtedy – w walce z sowieckim najeźdźcą. Nikita Chruszczow napisał w pamiętniku, że podczas trwających niecałe cztery miesiące walk ZSRR straciło około miliona żołnierzy (zapewne w tym jakaś jedna czwarta zabitych); natomiast Finów zginęło około dwudziestu trzech tysięcy, co samo w sobie jest liczbą

ogromną, ale jednak dziesięciokrotnie mniejszą. Zawarty pokój dał ZSRR część terenów Finlandii, które zaraz opuścili mieszkańcy. Daje to wyobrażenie o bezsensie wojen w ogólności...

Westchnęłam i wróciłam do rzeczywistości.

Przede mną wyrosła wyspa.

Dobiłam do brzegu. To samo miejsce co wczoraj, pomost, z którego Janusz łapał ryby. Piaszczysta łacha zbiegająca do wody. Nieruchome ciepłe powietrze, pustka, i zapach żywicy zachęcały do odpoczynku. Zachciało mi się poleżeć na pomoście, zamoczyć nogi w jeziorze...

Miałam jednak zadanie do spełnienia. Wygramoliłam się z kajaka i ruszyłam w głąb łądu. Obeszłam wyspę, spenetrowałam zarośla, sprawdziłam przybrzeżne szuwary. Ani śladu łódki. Ani odrobiny Nieduzego. Nocna wichura wymyła pomost z kurzu, niedopałków i reszty makro - i mikrośladów po naszym wczorajszym pobycie na wyspie. W lesie przybyło sporo połamanych gałęzi, grunt stał się mokry i grząski. Nawet kilka słoń mogło przejść tędy od wczoraj, mogło obozować kilku ludzi, mógł występować cyrk, a nawet szkolna wycieczka. I tak nie potrafiłabym tego stwierdzić. No, chyba, żeby zostawili tu jednego lwa. Wtedy nie byłoby wątpliwości.

Wy płynęłam ku środkowi jeziora. Zrobiło się naprawdę gorąco. Woda parowała, wiatr ucichł. Nadal nikogo na horyzoncie. Po prawej tylko srebrne błyski, po lewej jakiś ruch, bardzo daleko. Wyciągnęłam lornetkę. Metr po metrze przeczesywałam wzrokiem okolice. Tak, po lewej to młodzież. Jaskrawa bluzka Łucji, odcień niespotykany w przyrodzie. Są już blisko końca jeziora. Teraz na prawo. Daleko, hen, jakby coś płynęło. Dałam maksymalne zbliżenie. Tak, to Niemożliwy. Zwolnił, niemal ociera się o brzeg. Teraz wyskoczył z kajaka.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam, jak wyciąga dziób kajaka na trawę, a potem wciąż się rozglądając idzie w las. Zniknął. Odłożyłam lornetkę i machnęłam wiosłem. Raz, potem drugi i trzeci. Kajak nabrał rozpędu, twarz owiało mi wilgotne powietrze. Z lubością wciągnęłam w płuca zapach trzciny. Teraz przesmyk między wyspami. Dużo zakamarków, w których można ukryć łódź, i dobre miejsce na ryby. Wprawdzie Miler nie wyglądał na wędkarza, ale kto wie... Mógł szukać samotności nie zagrożonej ciągłym wpadaniem innych do gabinetu...

Zamknęłam oczy i zrobiłam to, od czego powinnam zacząć, nim pojawił się Niemożliwy i zmaćił mi w głowie.

Zaczęłam myśleć.

Wieczór, burzliwa noc. Przyjaciele wyjeżdżają z pensjonatu. Miler zostaje sam z żoną. Co robią? Ona narzeka na ból głowy, chce wyjeżdżać. Daje się jednak przekonać zagrożeniem wichurą i zostaje. On spędza czas w swoim gabinecie. Ma jeszcze o czymś porozmawiać z Lolą. Tak przynajmniej wynikałoby z zasłyszanych przeze mnie słów. „Jeszcze o tym porozmawiamy” – mówiła,

wychodząc od Milera. Mogła mieć na myśli dużo spraw, na przykład wyjazd na Bali, nowe futro, naszyjnik z pereł, albo po prostu pieniądze. Dużo pieniędzy. Nieduży nie jest w nastroju do rozmowy. Dopiero co oświadczył wszystkim, że zamierza wejść na drogę duchową, porzucając dotychczasowe życie. Według mnie, po takiej deklaracji każdy musi odpocząć. Może się modli albo medytuje. Jest mu na rękę, że wszyscy pojechali. Ale żona... ona nie musi się liczyć z jego pomysłami. Nie ma nic do stracenia. Ja na jej miejscu bym spróbowała z nim jeszcze porozmawiać. Wreszcie został sam, bez innych czyhających na jego protekcję czy fortunę osób. Weszłabym do gabinetu... i co dalej? Założmy, że nie chciałby ze mną mówić. Założmy, że straciłabym nad sobą panowanie i go rąbnęła w łeb. Założmy, że śmiertelnie.

Teraz musiałabym jakoś ukryć ten fakt. Jak?

Po pierwsze, uciec co prędzej. Tego Lidia nie zrobiła. Miała samochód pod ręką, ale została na miejscu. Już sam ten fakt przemawia na jej korzyść...

Mogła też wynieść trupa do łodzi i odczepić łańcuch. Nie wiem, jak by dała radę. Toczyłaby go po pomoście? Nie, z pewnością nie. Najrozsądniej by było zostawić go, gdzie był. A Lidia jest rozsądna.

Teraz Lola. Czy zajrzała do niego po powrocie z restauracji? Czy ktoś jeszcze go odwiedził? Jak Adrian zniósł nagły upadek swoich planów i marzeń? A Janusz? Liczył na anulowanie długów... może chodzić o całkiem spore sumy.

Łucja. W jej przypadku trudno sobie wyobrazić jakiś oczywisty motyw. Może jednak Niemożliwy wykorzystywał ją seksualnie, obiecując złote góry i awanse w firmie. O czymś tam ze sobą rozmawiali wczoraj w łodzi... Dziewczyna potem wyglądała na wzburzoną...

Silniej ujęłam wiosło. Co też mi przychodzi do głowy. Pewnie Nieduży siedzi z wędką w jakimś szuwarze i gwizdże na wszystko. Mógł wyjść tylko na godzinkę, ale spodobało mu się, albo urwała mu się łódź, i teraz wraca przez las do pensjonatu, okrężną drogą...

Mimo to nadal narastał we mnie niepokój. Już południe, a jego ani śladu. Zadzwoiłam do Janusza. Wszyscy wcześniej podaliśmy sobie nasze numery telefonów.

- Nie, nie ma go – Wiluk brzmiał żałośnie – Nie wrócił. A tam?

- Na razie nic - rozłączyłam się.

Cypel najmniejszej z wysp wyłonił się tuż przede mną. Niewielka, płaska, porośnięta małymi sosenkami i trawą przestrzeń. Za kilka lat wyrosnie tu las, z pojedynczymi brzoźami i jałowcami. Jesienią można zbierać tu maślaki. Jednak jest to najmniej malownicza z naszych wysp. Nie ma tu pomostu, a brzegi są zarośnięte gęsto trzcina. Zdaje się, że wysepka spogląda na przybysza niechętnie, jakby nie chciała widzieć intruzów na swoim terenie. Nieregularny brzeg wydłuża się w dwie zatoczki i kilka cypli, dość głęboko wychodzących w jezioro. Jest tam

jednak jedno miejsce, gdzie można łatwo dobić. Trzeba je znać, bo ukryte jest za grubą warstwą trzciny i zarośli. Po kilku metrach szuwary przerzedzają się, i masz przed sobą piaszczysty brzeg wyspy. Rozpędziłam się i wjechałam prosto w kępę pałki wodnej. Dziób jęknął i kajak zakołysał się gwałtownie. Jęknęłam, przestraszona, że wywrócę się i wyląduję głową w dół pod lustrem jeziora.

Raptem spod wody tuż obok mnie wyjrzała futrzana morda. Wydra? Ciemne ślepia spojrzały prosto na mnie, po czym zwierzątko znikło. Patrzyłam za nim, póki nie przepadło w gęstwinie trzciny po lewej stronie. Musi mieć tam norę. Podobno wydry mają wejścia do swoich mieszkań pod wodą. No, no. Ale mam dziś szczęście. Może nawet znajdę Niedużego.

Skoro wydra hula swobodnie, znaczy że w pobliżu panuje spokój. Czyli Nieduży raczej nie siedzi na tej wyspie i nie roznieca ogniska za pomocą dwu pocieranych o siebie patyków. Mógłby też użyć szkiełka od zegarka i puszczać „zajączkiem” sygnały SOS. O ile zna alfabet Morse’a i nie żał mu chronometru.

Dla porządku jednak dobiłam do brzegu. Zwiedziłam wyspę, poprzyglądałam się jezioru przez lornetkę, ustaliłam położenie reszty ekipy, wreszcie wróciłam do kajaka. Niewiele zostało już miejsc do sprawdzenia. Koniec wysp, koniec nadziei na zgubioną łódź. Postanowiłam wrócić lewą stroną brzegu. Jakoś wydawało mi się, że młodzież prędzej coś przeoczy niż Niemożliwy.

Widać było już wyraźnie dwa kajaki. Oba szły w moją stronę. Spotkaliśmy się przy krańcu jeziora, w niewielkiej płytkiej zatoczce, niczym szpiedzy wpływając do niej po kolei, z obojętnymi minami pod tytułem „my to zwykli niedzielni turyści.”

- Nic! – Niemożliwy nie bawił się we wstępy – Nikogo nie ma. Łodzi też nie znalazłem.

Zagapiłam się na niego. Spod koszulki wystawały muskularne ramiona. Ciemne oczy patrzyły obojętnie, ale znów odniosłam wrażenie, że człowiek ten nieustannie obserwuje otoczenie. Czarne włosy... całkiem mokre! A więc zdążył sobie popływać. A to dopiero. Miał szukać Niedużego, a nie zaznawać osobistych przyjemności. Miałam mu za złe kąpiel w jeziorze, bo sama się nie wykapałam. Tak to już jest ze mną. Priorytety przede wszystkim.

- Tak samo – Łucja zgrzała się w słońcu. Rękawy podwinęła do ramion, rude włosy upięła wysoko. Adrian też się zaczerwienił. Ściągnął górę od dresu i teraz był tylko w podkoszulce z krótkim rękawem. Dłonią ocierał czoło.

- Na wyspach nikogo nie ma – dodałam – ani śladu łodzi.

- Rozmawiałem przed chwilą z Lolą – Adrian poczerwieniał jeszcze bardziej.
- Miler jeszcze nie wrócił.

- Wracajmy – zdecydował Niemożliwy, nasz samozwańczy przywódca. - Państwo moją trasą, pani ich, a ja popłynę pani tropem, przez środek. Może coś przeoczyliśmy.

Było to rozsądne i jedyne w tej sytuacji wyjście. Wszyscy grzecznie ruszyliśmy w obranych przez niego kierunkach. Zresztą gdyby powiedział „nie wracajmy, tylko upolujmy słonia”, to pewnie też bym nie protestowała. Facet miał autorytet. Widać to jeden z tych silnych, milczących mężczyzn, bohaterów powieści z okresu międzywojennego. Ciekawy typ. Może jest jednak prawdziwy? Nie. Niemożliwe.

Lewy brzeg jeziora był akurat w pełnym słońcu. A co tam, pomyślałam, i dobiłam do małego pomostu w ukrytej zatoczce. Nikt będący na wodzie nie mógł mnie dostrzec. Z ulgą ściągnęłam ubranie i zanurzyłam się w przejrzystej, chłodnej toni. Pięć minut, więc to się nie liczy. Prawdziwe pływanie zaczyna się od dwudziestu... Odświeżona, wytarłam się w ręcznik zabrany dla Zgubionego Niedużego, i ruszyłam dalej.

Cypel za cypłem, las za lasem, toń za tonią... Trzcina za trzcina, szuwar za szuwarem, kaczką za kaczką, fala za falą...zrobiło mi się sennie od słońca, wody i kołysania. Minęłam już dwie wyspy; zostały z mojej lewej. Niemożliwy mignął w przesmyku, po czym rozplynał się w migoczącym powietrzu.

Rozmarzyło mnie to wszystko. Przymknęłam oczy... biegłam po szerokiej plaży, młodsza o dwadzieścia lat... moje ciemne gęste włosy falowały na wietrze, na stopy pryskała morska piana... gdzieś daleko, na tle zachodzącego słońca, galopowały konie... Wieczorna bryza rozwiewała błękitną sukienkę, która podnosząc się, odsłaniała moje mocno opalone, szczupłe nogi (bez haluksa). Naprzeciw zamajaczyła wysoka, ciemna sylwetka... to mocny, piekielnie mocny mężczyzna przybywał na me wezwanie, by spędzać czas ze mną na marszach po plaży, wzdychaniu i obserwacji księżyca. Był tak strasznie mocny, że mógł recytować wiersze, i nie ujmowało mu to męskości i siły...Wziął mnie na rękę i posadził na czarnym rumaku (zjawił się znieścacka. Koń, nie facet)... natychmiast poczułam bolesne ukłucie w tyłek... siodło było założone odwrotną stroną...Oj. Nie tak. Wróc.

Wziął mnie na rękę i powiedział: „Już dłużej nie dam rady...” (koń zniknął). Odwróciłam w jego stronę moją delikatną jak kwiat twarz w kształcie serca i wyszeptałam cichym głosem: „To postaw mnie z powrotem na ziemi. Zawsze miałeś słaby kręgosłup.”

Nie, znowu źle. Powinno być tak:

Wziął mnie na rękę i przytulił do swej męskiej, twardej piersi. Czułam jak wali mu serce. Policzyłam uderzenia. Trzydzieści pięć na minutę. Norma to sześćdziesiąt – sto. „Powinieneś odstawić leki nasercowe” – wyszeptałam. On westchnął. Rumak zarżał. Nieduży wyskoczył zza wydmy i zaczął uciekać w morze, prosto w fale. Wrzasnęłam i złapałam go za nogę. Odwrócił się powoli w moją stronę. Wtedy zobaczyłam, że z gardła sterczą mu nożyce do drobiu...

Ocknęłam się raptownie. Kajak dryfował bokiem do fali. Leciutki wietrzyk

przybrał nieco na sile, jednak nie na tyle, by rozkołysać jezioro. Zniosło mnie spory kawałek w kierunku pensjonatu. Wypuszczone w czasie drzemki wiosło na szczęście było blisko – kołysało się na wodzie trzy metry ode mnie. Ostrożnie zmachałam dłońmi w wodzie. Kajak zrobił zwrot i oddalił się od wiosła na sześć metrów. Teraz tylko prawa ręka. No, pięknie. Jestem jeszcze dalej. Właściwie bardzo daleko. Może dziesięć metrów. No, ostatecznie dwadzieścia. Wiatr zawirował nad wodą, zakręcił wokół mnie piruet, i przesunął kajak w głąb jeziora. Wiosło, doskonale widoczne, zaczęło pomału zanurzać się w głębinie. Przyglądałam mu się z uwagą, jakby mój wzrok mógł powstrzymać nieuchronny proces tonięcia. A może topienia? Wsadziłam obie ręce do wody, żeby naśladować ruchy wiosła. Odbicie to odbicie, niezależnie od narzędzia...

No, rusz się wreszcie... choć trochę... bo zostanę tu jak głupia i inni mnie wyśmieją... dobrze - mruczałam do siebie. Moja łajba drgnęła i wykonała majestatyczny obrót w miejscu.

Drobne falki raptem urosły, zakołysałam się i ruszyłam w sitowie. Metr... dwa... dziesięć... już! Triumfalnie pochwycałam wiosło, niemal przewracając kajak. Przedemną była ściana trzciny. Wjechałam w nie z trzaskiem, po czym znieruchomiałam.

Ostrożnie, samymi oczami, nie ruszając głową spojrzałam w prawo i w lewo. Bałam się nawet drgnąć. Rufa uderzyła w coś twardego, coś, co mogło być na przykład w nocy i po kryjomu zbudowanym pomostem, konarem baobabu, porzuconą w wodzie gdańską szafą z ornamentem, ukrytą w trzcinach łodzią z trupem...

Zacisnęłam oczy. Odczekałam, mamrocząc głośno „Tfu, zgiń, przepadnij...” Może widziadło zniknie. Poczekam cierpliwie, nie patrząc. Póki czegoś nie nazwiemy, to nie istnieje. Minuta. O, nie. Na zegarku dopiero cztery sekundy? To jakieś oszustwo z tym czasem.

A może odpłynąć? Ale wtedy należy otworzyć oczy. Nic by nie dało wiosłowanie po omacku w bliżej niewiadomym kierunku.

Zerknęłam raz, odważnie przekrzywiając głowę.

Bez zmian.

O pół metra ode mnie, na wyciągnięcie ręki, kołysała się na delikatnej fali łódka z Niedużym. Gęste w tym miejscu sitowie nie było na tyle zbite, żeby zatuszować fakt, że Miler nie żyje.

Jeśli ktoś leży twarzą w dół w pełnej wody łódce z napisem „U Dunaja” na burcie to znaczy, że umarł. Musiał to być on, Nieduży, w płóciennej kamizelce, nieruchomy, i całkiem mokry. Miał buty Niedużego i jego tył głowy, z niewielką łysiną na czubku.

A może żyje? Przez moment zbudziła się we mnie szalona nadzieja. Energicznie dobiłam do łódki. Sprawdziłam tętno na przegubie. Nic nie poczułam.

Nieduży w dotyku był zimny i jakiś obrzmiały. Wzdrygnęłam się, odsunęłam co prędzej, po czym w nagłej panice wyciągnęłam gwizdek i dmuchnęłam w niego z całej siły. Raz, drugi, trzeci...

Przeraźliwy dźwięk niósł się ponad wodą, odbijał od ściany lasu, docierał do wysp, do pensjonatu, do szosy... pewnie nawet i do nieba.

Powinnam zadzwonić – uświadomiłam sobie, z namysłem popatrując na telefon. Miałam go w ręku, ale nie mogłam przypomnieć sobie, jak się nim posługiwać...

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Gdzież oni są? Gdzie ten Niemożliwy, gdzie młodzi, gdzie Przystojniak? Słońce przygrzewało jakby nigdy nic, woda migotała, gdzieś daleko krzyczały ptaki... Wszędzie pusto. Patrzyłam prosto przed siebie, jak najstaranniej unikając spoglądania w kierunku kępy sitowia. Pomału się uspokajałam. Przeliczyłam tętno. Osiemdziesiąt na minutę. Ha, nieźle. Po takich emocjach... widać dobrze mi robią codzienne spacerki. Teraz oddech... dobrze. Poczulałam się przyjemnie pokrzepiona. Trudno, umarł to umarł. Zaraz zjawi się Niemożliwy, i wszystkim się zajmie. Już czas.

Raptem gdzieś z tyłu, zza moich pleców dobiegł mnie Dźwięk. W mojej sytuacji był to najstraszliwszy Dźwięk, jaki mogłam usłyszeć.

Skrzyp, brzęk, plusk... skrzyp, brzęk, plusk... skrzyp, brzęk, plusk...

Dźwięk powoli i nieubłaganie zbliżał się, potężniał.

Taki dźwięk wydają wiosła w dulkach łodzi. Wiosła, którymi ktoś wiosłuje. Wiosła, poruszane przez martwe dłonie nieżywego człowieka...

Nie mogłam się ruszyć. Lęk mnie sparaliżował. Wizja Niedużego z obrzękłą, trupa twarzą, przybliżającego się do mnie centymetr za centymetrem, końcówki wiosła w napuchniętych dłoniach, upiorny uśmiech...

Nie, to niemożliwe, nie zwariowałam, nie!

Widmo było coraz bliżej. Wiedziałam, że muszę uciekać. Nie byłam jednak w stanie nic zrobić. To było jak sen, w którym niewidzialne łańcuchy pętają nogi, a każdy krok napotyka opór nadmiernie zgęszczonego powietrza...

Skrzyp, brzęk, plusk... skrzyp, brzęk, plusk...

Łódź Niedużego była tuż za mną. Czułam rozchodzące się spod jej dziobu fale... mój kajak coraz mocniej się kołysał.

Skrzyp, brzęk, plusk... Upiór za chwilę wpadnie na mnie...

Paraliż raptem mnie opuścił. Gwałtownie chwyciłam wiosło i zaczęłam krzyczeć.

Dość! Jeśli ten trup jeszcze żyje, to mu dołożę, żeby wreszcie umarł!

Skrzyp, brzęk...

Coś łomotnęło o rufę kajaka. Plusk! Trysnęła woda. Uderzenie wytrąciło mi z ręki wiosło. Chwyciłam je w ostatniej chwili, odruchowo przechylając tułów na bok i ratując się przed wywrotką. Adrenalina, wzmocniona wściekłością, buzowała

we mnie jak nigdy. Ten cholerny Nieduży mnie staranował! Może chce utopić nas wszystkich, jak jakieś mściwe zombie!

Nie ze mną te numery. Po chwilowym lęku organizm ustawił się na z pozycji „ukrywaj się” na pozycję „walcz”(mam jeszcze kilka innych pozycji, częściej używanych, na przykład „śpij”, „jedz”, „kupuj”, „pobieraj pieniądze”; są też stosowane wyjątkowo rzadko, jak „myśl” czy „uciekaj”).

Serce przyspieszyło, źrenice mi się rozszerzyły, krew toczyła się coraz prędzej, dostarczając komórkom mózgu i mięśni ogromnej ilości tlenu i glukozy i zanedbując mięśnie gładkie jelit i reszty wnętrzości, chwilowo nieistotne, bo nie biorące udziału w walce... Skoczyło mi ciśnienie. Wyszło mi w ustach.

Byłam gotowa.

Jak rycerze króla Theodena przed bitwą u stóp Gondoru, gdy wiedzieli, że większość z nich zginie. Jak Rocky (pięćdziesiąt jeden) i Rambo, albo jak Chuck Norris szykujący się na ostateczną rozprawę ze złymi. Jak moja babcia w okresie menopauzy, czyhająca z wałkiem przy drzwiach na powrót dziadka. Jak Huncwot na przygiętych łapach, z lekko drgającym koniuszkiem ogona na widok Imbryka przy misce...

Za mną, w wodzie coś się kotłowało. Wywrócona łódź kołysała się na martwej fali. Ośmielona niekorzystną pozycją przeciwnika zrobiłam zwrot i zbliżyłam się z wiosłem wysoko uniesionym w prawym ręku. Ciemna łepetyna to wynurzała się, to opadała w dół, do piekła, gdzie być powinna. Zdawało mi się, że widzę jasną kamizelkę na tułowiu zombiaka. Czekać no! Już nie wyleziesz z tej wody!

Zamachnęłam się i walnęłam z całej siły.

Trafiłam! Widmo prychnęło, wzbiło fontannę i zapadło w głębinę. Znieruchomiałam w bojowej pozycji nad mętną taflą. Niech no tylko wyjrzy!

Woda stopniowo się wygładzała. Już widać dno. Pęki wodorostów, piasek... ale ani śladu zombiaka! Nachyliłam się, macając wiosłem. Płytko! Najwyżej metr! O, do licha! Gdzie on? Może czai się za mną?

Uważnie przyjrzałam się łodzi. Dziwne, że wywróciła się od uderzenia w kajak. Nasze łodzie są szerokie i płaskodenne, stabilne. Żeby je wywrócić, trzeba by statku...

Tknięta złym przeczuciem spojrzałam jeszcze raz. Wąskie dno, długi, smukły kształt. Budowa przypomina bardziej te indiańskie kanoe czy jak im tam. Wywrotne to jak ubranie w rękach krawca.

Już gdzieś widziałam ten kształt... całkiem niedawno... w poprzednim życiu, bez nieżywych Niedużych i żywych Niemożliwych... Oj.Oj.Ojojjoj!

- Bardzo przepraszam. Czy już mogę wyjść?

Tylko jeden człowiek w okolicy zaczyna od przeprosin po zainkasowaniu niemal śmiertelnego ciosu od kobiety – mścicielki.

- Tak, doktorze! – odparłam dziarsko.

Malik stał po pas w wodzie tuż przy trzcinach. Teraz przesunął się w stronę wywróconej łodzi i obrócił ją na właściwą stronę.

- Ma pani czerpak?

Miałam. Wziął go ode mnie i zabrał się do wybierania wody z dna łajby.

- Doktorze...

- Tak? - Nawet się nie obejrzał. Miarowymi ruchami kontynuował swoją czynność. Szur – chlup, szur – chlup, szur – chlup...

- W trzcinach jest łódź z trupem.

Bęc! Czerpak wyleciał z dłoni Malika. Obejrzał się na mnie. W oczach miał niedowierzanie, trochę rozbawienia, i odrobinę zawodowej ciekawości.

- Nie warto pić przed południem – stwierdził, znów nabierając wodę. – Pani zachowanie jest dziś... hm... nieco odmienne.

- Nic nie piłam! Może kawę... jedną czy dwie. Tam jest nieżywy człowiek, Oskar Miler, zaraz, parę metrów stąd! Szukamy go od rana! To jeden z gości pensjonatu!

Doktor przyjrzał mi się swoim milisekundowym spojrzeniem.

- Pani go zabiła?

- Nie ja! Może utonął! Niechże pan się ruszy, w końcu składał pan przysięgę Archime...Hipokratesa!

- Archimedes byłby zdecydowanie bardziej na miejscu – mruknął Malik – Woda, wypieranie... nie wiem dlaczego, ale jeśli ktoś wspomina lekarzowi o przysiędze, to zawsze chce od niego czegoś, czego sam nie podjąłby się za żadne skarby – odłożył czerpak i ostrożnie wszedł do łódki. - To gdzie ten człowiek?

Pokazałam kierunek. Zmusiłam się, żeby mu towarzyszyć.

- Tam – w tych szuwarach.

Na widok łodzi doktor znacznie się ożywił. Obejrzał Niedużego, pomedytował chwilę, dotknął go tu i tam, po czym orzekł:

- Nie żyje. Nie będę go ruszać. Ma pani telefon?

Wziął ode mnie aparat i wybrał numer. Sto dwanaście. Porozmawiał chwilę, powzdychał, i wrócił do wylewania wody. Na mnie wcale nie patrzył.

- Widzę pani ekipę – rzekł po chwili. Z ubrania ściekała mu woda. Miał na sobie jasną koszulkę polo i długie spodnie. Odcień koszulki był niemal identyczny z kamizelką Niedużego...

Szły ku nam dwa kajaki. W pierwszym, lecącym pewnie z sześć węzłów siedział Niemożliwy. Młodzież starała się dotrzymać mu pola.

Malik ustawił swoją łódź tak, by zastawić dojście do Niedużego. Potem wydobył z zakamarka owinięty troskliwie w folię tobolek. Wszystko mokre! Zerknął na mnie z rozżaleniem.

- Ma pani coś? Koc? Ręcznik?

Dałam mu wełniany kocyk. Od razu, nie zdejmując mokrej koszuli, narzucił go na ramiona.

Uważnie zlustrował zbliżających się ludzi.

- To wszystko goście pensjonatu?

- Tych dwoje młodych, tak – odparłam.

- A ten komandos? W barwach ochronnych?

- Nie. Przypadkowy człowiek.

Doktor nic już nie dodał poza czymś w rodzaju „no, no”. Ale mogłam się przesłyszeć. Ruszyłam do ataku.

- Jak umarł? Zabity?

- Tak – Malik wyraźnie nad czymś się zastanawiał. Wytarł włosy, potrząsnął głową - A ten przypadkowy człowiek. Znajomy Milera?

- Nie. Chyba nie. Przyjechał dziś rano do pensjonatu, pytał o nocleg. Potem dołączył do poszukiwań. Ale niech pan mówi! Jak zabity? To znaczy, jak zginął? Kiedy umarł? Myślałam, że może zasłabł i utonął.

- Nie, nie. Zginął od razu. Ale oczywiście więcej dowiemy się po sekcji. Jak rozumiem, nie padł ofiarą pani złego humoru – doktor nadal śledził wzrokiem kajaki. Zaczynał się trząść. Widać zimna woda mu nie służy. - A tak naprawdę, to czemu pani mnie zaatakowała? Wpadłem na panią, prawda, ale w łodzi wiosłuje się tyłem. Siedziała pani tak cicho w tym kajaku, że wcale nie spostrzegłem go na drodze. Ale żeby od razu walić wiosłem? Mogła mnie pani zabić.

I to jak jeszcze, pomyślałam. Doktor pewnie nigdy nie był tak blisko śmierci. Dobry sobie z tym „dowiemy się po sekcji”. On może się i dowie, ale ja nie. Muszę go nacisnąć, zanim całkiem się w sobie zamknie.

- Myślałam, że to może ten morderca – skłamałam naprędce. Przecież nie powiem, że ścigają mnie duchy i widma. – Dopiero co znalazłam trupa w sitowiu, co pan sobie myśli? Ale do rzeczy. No, niech pan nie będzie taki tajemniczy. Co spowodowało śmierć?

Doktor otworzył usta, ale w tej chwili dotarły do nas kajaki. Zdyszany Adrian miał dumną minę, jakby cieszył się, że nie dał się wyprzedzić Niemożliwemu.

- Jest? Znalazł się? – pytanie padło z ust Łucji. Dziewczyna niecierpliwie rozglądała się wokół, jakby spodziewała się zobaczyć Milera w mojej łodzi. Jej wzrok spoczął na doktorze. Powiodła spojrzeniem przez mokre spodnie, ramiona owinięte kocem, wodę kapiącą z ciemnych włosów, i skupiła się na szczupłej, wrażliwej twarzy.

- A pan? Kim pan jest? – spytała z właściwą młodości bezpośredniością.

Malik trochę się zacukał. Lekarze nie zwykli się tłumaczyć, kim są. Raptem zaciekawiałam się, co powie. Może „Jestem Tym, Który Zbadał Trupa?” albo „Jestem Przypadkową Ofiarą Alicji Figiel” albo, o to, dobre, „Mężczyzną, Który

Zażył Niebezpiecznej Kąpieli?”.

- Pan Miler nie żyje – powiedział zamiast tego. - Zaraz będzie tu policja i cała reszta. Państwu radzę poczekać w pensjonacie.

Młodzi zaczęli mówić coś jednocześnie, ale zaraz zamilkli. Odezwał się Niemożliwy.

- Zabity?

- Tak, tak sędzę – odparł doktor. Wbił ciemne oczy w twarz Niemożliwego. Ten jednak nie patrzył na niego. Skupił się na fragmencie łodzi wystającej z trzciny.

- Muszę go zobaczyć - oświadczył nagle. - To na pewno on?

- To nie jest przyjemny widok. Nawet dla zawodowca – odparł Malik. – Zresztą nie należy niczego ruszać, jak pan zapewne doskonale wie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, niczym dwaj kowboje umieszczeni przez pomyłkę na nieodpowiednim tle. Wyobraziłam sobie pustą, pylistą ulicę, rzędy domów po obu stronach, kołyszące się drzwi saloonu, konie uwiązane przy palikach przed siedzibą szeryfa... Zamiast tego miałam wodę, trzciny, las, i majaczące gdzieś wyspy. Ciemne oczy doktora kontra twarde spojrzenie Niemożliwego. Szczupła postać i zdecydowana broda, myślące czoło naprzeciw... szczupłej twarzy, mocnej szczęce, masie mięśni napinających się pod cienkim trykotem... Twarz naznaczona prawością na wprost twarzy obleczonej w tajemnicę...

O dziwo, Niemożliwy ustąpił. Zrobił zwrot i ruszył w kierunku pensjonatu. Po chwili dołączyła do niego młodzież.

Czekaliśmy i czekali. Doktor trząsał się już całkiem wyraźnie, nos mu posiniał, szcząkał zębami. Nie zdjął jednak koszuli ani nie zmienił miejsca, ograniczając się do nieznacznego poruszania wiosłami, gdy wiatr zaczynał go spychać w trzciny. Zapadło milczenie. Minęło pół godziny... czterdzieści minut.

- Już są – Malik zmrużył nieco oczy, wpatrując się w przystań. Stała tam grupa mężczyzn, co zaraz potwierdziłam dokładniejszą obserwacją przez lornetkę. Doktor też chciał popatrzeć. Zlustrował przednią straż stróżów prawa i jakby leciutko odetchnął. Policjanci postali chwilę, pomedytowali, po czym zabrali się za szykowanie łodzi. Trzech od razu wsiadło, podczas gdy reszta oddaliła się w niewiadomym kierunku.

- Dotrą od lądu, przez las – powiedział doktor w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. – Zawsze najdłużej czeka się na patologa. Ale chyba tym razem mamy szczęście. Zdaje się, że jest w łodzi.

Przypomniałam sobie teraz wszystkie plotki o naszym doktorze. Podobno uczestniczył w śledztwie w Pustkowie, gdy zabito ciotkę Sylwii Prokop, a potem w Białymstoku był zaangażowany w słynne morderstwo w tamtejszej operze. W związku z tymi smutnymi wydarzeniami poznał słynny sopran, Elenę Herz, i przez jakiś czas byli parą. Pustkowie odwiedzali wówczas reporterzy

i dziennikarze z całego kraju. Ale teraz, już od roku, doktor mieszkał sam.

Usiłowałam wyobrazić sobie piękną śpiewaczkę w towarzystwie Malika, ale nie dałam rady. Ta Herz ma temperament. Ogień i woda. Co ich mogło łączyć? Miłość do muzyki? Upodobanie do samotnych spacerów brzegiem Bałtyku? Podobne lektury? O czym rozmawiali, gdy on wrócił z pracy pełnej zasmarkanych nosów, cierpień nieuleczalnie chorych, niedomagań hipochondryków (zdarzają się niestety i tacy, co zaprzatają głowę lekarzom każdym drobiazgiem; na szczęście ja jestem zupełnie inna). Malik był spokojny, zrównoważony, trochę nieśmiały. Jemu przydałaby się odpowiednia żona, silna, czekająca z obiadem, gotowa wysłuchać go po całym dniu pracy, a nie jakaś skupiona na sobie mimoza. Wiadomo, jakie są artystki. Ciągłe wzloty i upadki. Myli im się scena z życiem. Dobrze, że się rozstali. Pewnie się nim znudziła, albo nie był dostatecznie romantyczny...

- Oczywiście, że jestem mokry – oświadczył zniecierpliwiony doktor z rozdrażnieniem. – Nie musi mi się pani tak przyglądać, jakby nigdy nie widziała mokrego człowieka. I jest mi zimno, więc się trzęsę. Nie planowałem dziś kąpieli - dodał z wyrzutem.

Dotarła do nas łódź. Siedziało w niej trzech mężczyzn. Najmłodszy z nich, patykowaty młodzieniec, wiosłował z wyrazem cierpienia na smętnej twarzy. Nosił niedbały, sportowy strój – dzinsy na długich nogach i niebieską koszulkę z narzuconą na wierzch czarną wiatrówką. Kiedy obrócił się twarzą do nas, wydał mi się znajomy. Może to jeden z moich byłych studentów.

Drugi, w średnim wieku, wcale nie myślał o pracy. Widać było, że rozkoszuje się możliwością przejażdżki po jeziorze w pogodny dzień. Rozparł się wygodnie, wręcz rozłożył na rufie, twarz okoloną ciemną brodą wystawił do słońca. Wyglądał na zadowolonego z życia obiboka. Miękkie, flanelowe spodnie, dresowa bluza, sportowe buty. Jakby zgarnęli go z siłowni.

Natomiast trzeci facet nie mógł się odprężyć. Nieustannie kręcił się na ławce, rozglądał, nawet unosił na zgiętych nogach. To podciągał rękawy eleganckiej wełnianej marynarki, to skubał kant zaprasowanych na ostro spodni. Biała koszula, barwny krawat. Głęboko osadzone, inteligentne oczy. Masywny i chyba wysoki, gładko ogolony, wyraźnie zniecierpliwiony.

Na nasz widok rozjaśnił się nieco. Szeroki uśmiech zmienił mu twarz i przez moment wydał mi się nawet... sympatyczny.

- Witam, witam, doktorze! – zamachał rękami i zachwiał się. Chudy facet z wiosłami zrobił bolesciwą minę. Brodacz wcale nie zareagował, widać zdeterminowany przedłużyć chwilę wytchnienia, na ile się da. Ruchliwy mówił dalej:

- Prawdziwy traf, że Jan - wskazał na brodacza - był akurat z sierżantem na meczu. Waldemar od razu go zabrał. Ekipa jedzie przez las. Zaraz będą technicy. Co tam mamy? Zabójstwo? Bo gdyby to nie było zabójstwo, to będę zły. Oderwał

mnie pan od mojego ulubionego serialu. Nie, żeby już go nie widział. Właśnie dlatego jest ulubiony, że oglądam go co jakiś czas. Chyba czternasty. Ale to i tak niewiele, zważywszy, że moja mama ogląd swój serial już dwudziesty dziewiąty raz. To bardzo praktyczne. Można wyjść w dowolnej chwili, odebrać telefon, nawet zasnąć, i nie traci się wątku – potarł w zamyśleniu nos – Ale mama większość czasu i tak poświęca swojej kolekcji pluszaków. Może stąd zamiłowanie do seriali o przygodach weterynarza i produkcji dla dzieci. Cóż, obejrzę całość następnym razem. Sierżant natomiast będzie niepokieszony. Pozwolili mu dziś zagrać w ataku, co jest niezwykłym wydarzeniem. Zwykle ustawia się w bramce, z racji na wzrost i ogólną lekkość. Łatwo mu unosić się w powietrzu w ślad za piłką. To zwykle robią bramkarze. Szybują w przestworzach, wykonując akrobatyczne ruchy. Czasem nawet robią podwójne salta – zamilkł na ułamek sekundy – Sierżant Rożek jest szczupły, niezwykle szczupły, biorąc pod uwagę jego upodobanie do słodczy. Parę dni temu przyniósł na komendę trzynaście pączków. Zjadł wszystkie. Kibicowali mu nasi sierżanci. Pawłowicz też chciał pączka. Potem poszli razem do cukierni, gdzie wykupili zapas rurek z kremem. Ile ich zjedliście, Rożek?

- Osiem – westchnął młodzieniec.

Raptem przypomniałam sobie, czemu wydał mi się znajomy. To on kupował w cukierni w Lęborku pączki, w dniu w którym spotkałam Nieduzego w obuwniczym.

Brodacz wykorzystał chwilę przerwy w słowotoku Ruchliwego.

- Bierzmy się do roboty – mruknął basem – może jeszcze zdążę wrócić na biegi.

- Ależ oczywiście, oczywiście – podjął z entuzjazmem Ruchliwy. – Po to tu jesteśmy. Dziś u nas rozgrywane są zawody sportowe i biegnie córka Jana. Na początek mecz piłkarski miejscowych drużyn – stąd drogi sierżant w praktycznym obuwiu – a potem przegląd dyscyplin lekkoatletycznych. Zawsze byłem dobry w sporcie. Może nie byłem bardzo lekkim atletą, ale w rzucie dyskiem nie miałem sobie równych. Kiedyś, w drugiej klasie liceum...

Doktor Malik przerwał.

- Przedstawiam pani inspektora Bieguna...

- Jacek Biegun – skłonił się Ruchliwy. – Policja.

- ...a to jest doktor Jan Nejman – wskazał na brodacza, który uczynił ruch, jakby wstawał i posłał mi uśmiech – i sierżant Waldek Rożek – młodzian od pączków przyoblekł melancholijne oblicze w upiorny grymas.

- Alicja Figiel – rzekłam grzecznie. Wersal w kajakach!

- Niech pani nie zwraca uwagi na minę sierżanta – podjął Biegun, poprawiając krawat – w niedzielę rano zawsze cierpi na niestrawność. Kiedyś wypił porcję sodы przeznaczzonej dla mordercy...

- Ciało jest tam – Malik wskazał łódkę, z której wystawały zwłoki.- Janie?

Inspektor kiwnął do Rożka

– Blżej, Waldek.

Sierżant delikatnie manewrował, podczas gdy Jan wyciągnął spod ławki torbę i zaczął wciągać na siebie ochronny, podobny do chirurgicznego strój. Robił to powoli i dokładnie zupełnie jak lekarz przed zabiegiem. To faktycznie musi być lekarz – uświadomiłam sobie nagle. Patolog!

Nachylił się nad ciałem. Doktor Malik znalazł się nagle obok niego i obaj zaczęli mrużyć do siebie coś, co brzmiało groźnie i niezrozumiale. Zrobiło mi się niedobrze. Inspektor Biegun popatrzył na mnie.

- Pani mogłaby już wracać – powiedział na głos – tam jest sucho i my też zaraz przyplniemy. Muszę przesłuchać wszystkich gości – zmrużył lekko oczy. Na twarzy zrobiły mu się sympatyczne zmarszczki. – Czy myśmy się już nie spotkali?

Zaprzeczyłam. Gdybym go poznała, z pewnością utkwilby mi w pamięci. Zadowolona z pozwolenia, ruszyłam jak najszybciej w kierunku pensjonatu. Człowiek nigdy nie wie, co się komu przypomni i dlaczego. Może kojarzę mu się z czymś nieprzyjemnym, na przykład z którąś z nauczycielek, albo, co bardziej prawdopodobne, myli mnie z przepięknym ideałem swej młodości. Tą dziewczyną z moich marzeń, z długimi włosami, nogami i rękami.

Najgorsze jest to, że nawet wyobrażenia nie są idealne. Moje zwykle kończą się jakąś komiczną katastrofą. Czasem myślę, że kobieta, która randkę w wyobraźni kończy nie pocałunkiem, ale wbiciem żądła pszczoły w tyłek, nie jest w stanie zachować się odpowiednio w realnej sytuacji. Romantycznej. Nie, żeby dotychczas trafiały mi się takie sytuacje. Poza nieśmiałą propozycją jednego z moich szkolnych kolegów, by spotkać się przed kinem. Chłopak zresztą od razu się wycofał, widząc moją minę. Podejrzewam, że bał się mnie śmiertelnie, a propozycja wynikała z faktu, że pomogłam mu parę razy w matematyce. Mój wykręt przyjął z wyraźną ulgą. Potem były całe lata wypełnione pracą, przychodziły kolejne lata i zimy, koleżanki już się porozwodziły, a ja wciąż czekałam. Może los, jak koło ruletki, wreszcie wybierze mój numer? „Pięćdziesiąt jeden” – wymamrotałam, choć nie wiem, na jakiej liczbie kończy się to koło. Bond zwykle obstawia jakieś szesnastki lub dwadzieścia jeden, podobnie jak większość facetów. Strasznie by było pomyśleć, że mój numer jest już... za wysoki!

Tak rozmyślając, dotarłam do pomostu.

A tam, wygodnie usadowiony na deskach, czekał Niemożliwy. Czarne włosy miał nadal wilgotne po kąpieli. Słońce podkreślało ostre rysy twarzy, rzeźbiąc mu twarz jak maskę – głębokie stawy oczu, nos jak szczyt góry, szlachetna linia policzków i brody... Wszystko razem wyglądało... interesująco. No dobrze, bardzo interesująco. Właściwie cholernie świetnie! No!

Wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu, złapał łańcuch i zamocował kajak.

- To jak z tym pokojem? – zapytał.

- Zaraz będzie tu mnóstwo policji – odparłam, przyjmując jego rękę i wdrapując się na pomost. Miał bardzo silny uścisk. Dłonie suche, twarde.

- Muszę gdzieś przenocować – odparł nieporuszony.

Zastanowiłam się. Facet przyplątał się ni stąd, ni zowąd, a Miler leży tam, martwy. Każdy inny człowiek chyba by zwał co sił? Nikt nie chce być świadkiem ani – tym bardziej – podejrzanym. Może po prostu podoba mu się okolica, a może lubi ryby, grzyby, lasy, policyjne śledztwa...

Pokój po Lidii jest pusty.

- Na razie chyba w schowku na szczotki – rzekłam głośno. - Ale zaraz przygotuję lokum. Płatne z góry – dodałam, żeby sobie nie myślał. Takie przywódcze typy wcale nie muszą być uczciwe.

Na ławce przed pensjonatem siedzieli Łucja i Adrian. Oboje mimo gorącego dnia byli bladzi i wstrząśnięci. Loli nie było widać. Natomiast w kuchni, nad kubkiem kawy tkwił Przystojniak. Na nasz widok zerwał się z miejsca.

- Czy to prawda, że on nie żyje? – pytanie skierował bezpośrednio do mnie. - Zabity?

Potwierdziłam. Zostawiłam ich obu w kuchni i poszłam na górę, do pokoju Lidii. Miałam co nieco do zrobienia. Zmieniłam pościel, przejechałam odkurzaczem po podłodze, sprzątnęłam łazienkę. Na szczęście pani Miler nie należała do brudasów. Wszędzie ład i porządek, jakby wczorajsza scena z wyrzucaniem ubrania z szafy była tylko snem. W łazience wręcz niemożliwie czysto.

Kiedy po dziesięciu minutach zeszałam, Niemożliwy pił kawę z Januszem Wilukiem. Na mój widok oczami wskazał ekspres, który wesoło ciurkał, wyrzucając ciemny, parujący płyn. Nalałam sobie kubeczek. Jeszcze jedna kawa dzisiaj, choć ta się nie liczy. W końcu przed chwilą znalazłam trupa.

- Może pan się wprowadzić – oświadczyłam - A jak mam pana zapisać w księdze gości?

Niemożliwy wstał i uklonił się. Nieco teatralnie.

- Nazywam się Feliks Miler - powiedział.

Brzęk! Kubek wyleciał z dłoni Przystojniaka waląc o terakotę. Janusz złapał się za głowę, zakaszłał, po czym zamrugał gwałtownie, jak człowiek nie wierzący własnym oczom.

- Miler? Miler? - powtarzał jakby nigdy nie słyszał tego popularnego skądinąd nazwiska.

- Brat? – to nie ja zadałam to pytanie.

W drzwiach kuchni tkwił inspektor Biegun z nieodłącznym sierżantem w tle. Weszli cicho jak koty. Widać zostawili obu lekarzy w łodzi z trupem, pomyślałam mętnie, wstrząśnięta nazwiskiem Niemożliwego.

- Brat ofiary, Oskara Milera? - powtórzył nieco głośniejszym głosem, być może przypuszczając że Niemożliwy jest głuchy.

- Brat Oskara – zgodził się Niemożliwy. Nie dodał nic więcej. Widać należy do ludzi, którzy wolą trzymać język za zębami w obliczu nagłych zgonów najbliższych osób. Którzy wolą zachować dla siebie emocje. Którzy uważnie wpatrują się w policję w postaci nadruchliwych inspektorów. Którzy spokojnie piją kawę nic sobie nie robiąc z podejrzliwych spojrzeń rzucanych przez chudych sierżantów o uczciwych, melancholijnych twarzach. Którzy włączają się po morskiej plaży podczas gdy ich brat wygrywa miliony. Którzy, do licha, nie mogą być prawdziwi!

- TEN brat? – chciał wiedzieć Janusz Wiluk.

- O innym nic nie wiem. Zapewne TEN – zgodził się Niemożliwy.

- Ten co wyjechał przed laty i słuch po nim zaginął? Wszyscy myśleli, że nie żyje! Dopiero matka... matka Oskara powiedziała mi o nim... o panu. Kiedyś, przypadkiem byłem z nim w domu rodziców. Zdjęcie – Janusz zamilkł, wpatrując się w Feliksa Milera. A może Feniksa? Pojawił się jak mityczny ptak odrodzony z popiołów wspomnień - było u matki na ścianie. Dwu chłopców –Przystojniak urwał.

Wszyscy milczeli.

- Muszę poinformować państwa, że Oskar Miler nie żyje – donośny głos Bieguna przerwał ciszę po dobrej chwili. Inspektor wyciągnął mankiety koszuli z marynarki i zaczął je miętosić. – Teraz porozmawiam z każdym gościem pensjonatu. Gdzie moglibyśmy to zrobić?

To ostatnie pytanie skierował do mnie. Już uprzednio postanowiłam, że najlepiej będzie w salonie. Wolę mieć swobodny dostęp do kuchni. Zresztą kuchnia jest dźwiękoszczelna, a salon nie. Człowiek musi mieć jakąś satysfakcję z morderstwa. Choćby udział (nieoficjalny) w śledztwie, na ulubionym krześle i z uchem przy drzwiach...

Nagle zaroilo się od policjantów. Na podjazd wjechała furgonetka z umundurowanymi i cywilnymi technikami. Kilku z nich od razu weszło do domu, pozostali ruszyli dalej, pewnie w kierunku miejsca, gdzie był patolog. I ciało. I doktor Malik, o ile jeszcze nie zmarzył.

- Państwa pokoje zostaną przeszukane – oświadczył inspektor. – Zresztą cały dom też. Ale na razie poproszę panią. A pan – tu spojrzął na Janusza – może mógłby zrobić nam kawy?

- Herbaty – rozległ się głos sierżanta. Rożek ponuro wpatrywał się w ekspres, jakby stanowił on podejrzaną poszlakę. – O ile można – dodał.

Przystojniak kiwnął głową. Przeszliśmy do salonu. Inspektor rozejrzał się, omiół wzrokiem stół, kominek, fotele, skupił przez moment na biblioteczkę, po czym poczekał, aż usiądę. Wybrałam miejsce przy stole. Przynajmniej nogi mam

na normalnej wysokości, a nie pod brodą. Inspektor usiadł naprzeciw, w miejscu z widokiem na jezioro. Natomiast sierżant zajął skromnie stanowisko po mojej lewej, tak, że wchodzący nie od razu go widzieli. Wydobył niewielki notes, ogryziony ołówek, długopis, ułożył z tego schludny stosik i zerknął wyczekująco na szefa. Ten zapytał mnie o personalia, zawód, moją rolę w pensjonacie. Waldek Rożek skrzętnie czynił notatki. Potem Biegun przeszedł do rzeczy. Wstał, przeszedł się parę razy w tę i z powrotem, potarł nos, pokręcił głową.

- Proszę mi opowiedzieć o Milerze – powiedział wreszcie. – Jaki był? Coś go niepokoiło? Co lubił? Czego unikał? Jakim był człowiekiem? Miłym, sympatycznym? – wyjrzał przez balkonowe okno na pomost. - Kto lubił jego? Kogo się bał?

Nieco mnie zaskoczył. Spodziewałam się raczej pytań dotyczących moich czynności - powiedzmy od wczoraj wieczorem do chwili obecnej. Ruchliwy wołał jednak najpierw dowiedzieć się czegoś o ofierze.

- Poznałam go dopiero w piątek – odrzekłam ostrożnie. – Wynajął pensjonat na cały weekend. Wiem od właściciela, że sam pokrywał koszty. Pozostali to jego goście. Zaprosił pięć osób.

- Chciał im zrobić przyjemność? Pogodzić się z nimi? Wspólnie spędzić ten czas?

- Tak, to znaczy, na pewno o to chodziło. Inaczej raczej by ich tu nie zaprosił. Po co miałby spotykać się z kimś, kogo nie lubi, i jeszcze fundować mu pobyt? Zaprosił byłą żonę, przyjaciela, obecną przyjaciółkę i dwoje młodych ludzi z firmy, w której pracuje... pracował.

- Tak, zatem nie chodziło o sprawy służbowe – stwierdził Biegun, podchodząc do biblioteczki. – To było prywatne spotkanie. Jakaś okazja? Ja chyba nie zapraszałbym razem kochanki i byłej żony – dodał. - Chyba, żeby w grę wchodziła sprawa rodzinna, na przykład pogrzeb bogatego wujka, któremu obie panie były znane. Za dużo możliwości konfliktu. Zatem nie rodzinna historia i nie zawodowa – urwał. - Obchodził coś? Jakiś jubileusz, nagrodę? Urodziny?

- Wygrał miliony w totka. To była ta nagroda.

Sierżantowi wypadł z ust ołówek. Musiał go obgryzać, biedaczek. Brzydki nawyk. Inspektor zerknął na niego przelotnie.

- Mówiłem wam tyle razy, Rożek, żebyście nie wkładali do ust pisaka. Kiedyś się zadławicie. I zamykajcie usta podczas pisania. Tu jest pełno owadów. Tylko czekają na okazję, by wbić ci żądło w język, albo w gardło. Trzeba być nieustannie czujnym, tak jak ja. Kiedyś mój szef, nadinspektor, o mało nie połknął pszczoły... Stało się to pewnego upalnego dnia, gdy zaskoczyłem go swoją błyskotliwą ripostą na temat jednego z polityków. Ale do rzeczy. Mamy tu w końcu morderstwo – inspektor wyciągnął z szafki dwie książki, po czym schował je z powrotem - A zatem wzbogacił się nagle i niespodziewanie.

- Tak jest. Chciał uczcić to tutaj, „U Dunaja”. Goście przyjechali jakiś czas po nim, wszyscy w piątek. Ale – pochyliłam się do przodu, wpatrując w Bieguna – proszę mi powiedzieć, jak zginął?

- Został zabity ostrym narzędziem. Ma paskudne rany w klatce piersiowej.

- Nie samobójstwo?

- Kiedyś spotkałem się z przypadkiem gdy człowiek wbił sobie nóż w serce. To się zdarza, tak. Ale nie tym razem. Zabity przez osobę bądź osoby nieznane - Biegun usiadł na krześle i pochylił głowę, jakby nasłuchiwał. - Ale wróćmy do opisu charakterologicznego. Polubiła go pani?

- Eee. Nie – zdecydowałam się wreszcie. Powiem temu facetowi, co wiem, a on niech szybko łapie mordercę. We wszystkich kryminałach morderca krąży wokół, by wykończyć kogoś jeszcze. Nie chciałam być następną. – Nie polubiłam. Był według mnie niesympatyczny, małostkowy i - tak, powiem to – fałszywy. Na bezludnej wyspie nie odwróciłabym się do niego nawet na moment plecami. Mógłby mi zabrać moją ostatnią zapalną i potem by twierdził, że to dla mego dobra. Że jestem wystawiana na doczesne próby i trzeba je traktować jak błogosławieństwo. Sam by w tym czasie z czystym sumieniem grzał się przy ogniu. Rozumie pan. Typ człowieka, który na widok żebraka pocmoka współczująco, pokiwa głową, i powie: „Idź w pokoju, bo Bóg cię kocha, więc jesteś szczęściarzem. Musisz więcej się starać. Wybrańcy cierpią, ale potem są nagradzani”. Nie da biedakowi ani grosza, i to w poczuciu, że dobrze robi. Najwyżej go pouczy o miłosierdziu.

- Co za świnia – sierżant Rożek odłożył ołówek na stół. – Ja... to znaczy moja babcia zawsze daje żebrakom parę groszy. Powiada, że nikt nie prosi z tego powodu, że ma za dużo. Taki mądrała! Niechby spróbował przeżyć z datków!

- Niestety, niestety, wielu ludziom brakuje wyobraźni – inspektor wydobyl z kieszeni paczkę higienicznych chusteczek. Rozkładał każdą z nich na stole, po czym powoli i systematycznie składał z powrotem. - Zatem pan Miler był człowiekiem... trudnym?

- Jestem tego pewna. Traktował innych z góry. Równocześnie - wspomniałam zdenerwowanego Adriana i jego nadzieje na awans – obiecywał im różne rzeczy, których potem nie realizował. Lubił być ważny. Lubił, kiedy inni go słuchali.

- Hm, tak, to ostatnie jest dość powszechną wadą. Przedostatnie też – mruknął Biegun. - A jak traktował przyjaciół? Pan – ten w kuchni z kawą – to przyjaciel, tak?

- Pan Janusz Wiluk, były sportowiec. Mówił, że Miler obiecał mu umorzenie długów. Bardzo się zmartwił, kiedy - urwałam.

- Kiedy co? - spytał Waldek Rożek.

- Kiedy Oskar Miler ogłosił wczoraj swoją decyzję. Dotyczącą jego

przyszłości.

- No, dopiero teraz jestem ciekawy. Może nam pani powiedzieć, co to była za decyzja?

- Mogę. I tak się dowiecie – rzekłam z rezygnacją. - Chciał wszystko utopić w swoim idee fixe. Zamierzał głosić innym przemianę duchową, czy coś takiego. Wykorzystać media, zainwestować w rozgłos. Zdaje się, że planował być czymś w rodzaju guru. Mówił dość mętnie.

- Oni zawsze są tacy mętni, ci z sekt – wtrącił Waldemar – I składają mnóstwo obietnic w imieniu Pana Boga.

- Cicho, Rożek. A goście? Pan Janusz był zmartwiony. A żona? Kochanka?

- Lidia Miler to bardzo miła osoba – oświadczyłam stanowczo. Prawdziwa dama. Pewnie, że się zdenerwowała. Mąż nie płaci alimentów, nie dba o dzieci. Interesuje się nimi o tyle, na ile może je wykorzystać dla własnych celów.

- Jakich? – zaniepokoił się poczciwy sierżant.

- Żeby go podziwiała, zachwycąły się jego wielkodusznością, i żeby się nimi pochwalić. Lidia opisała mi go jako człowieka niepoważnego, nieodpowiedzialnego. Zwykł zaciągać długi, żeby realizować swoje wybryki.

- W takim razie ta wygrana spadła mu jak z nieba.

- Co? A, tak. Natomiast Lola Bartnik po jego oświadczeniu usiadła tu, w tym fotelu, i paliła papierosa za papierosem. Nie wiem, co sobie myślała. Natomiast poszła do niego po kolacji. Widziałam, jak wychodzi z gabinetu. Może udało się jej coś wynegocjować. Wspominała o wyjeździe w ciepłe strony.

- A miała jakieś argumenty?

- Jeszcze jej pan nie widział. Ona sama wygląda jak jeden wielki argument. Przynajmniej dla mężczyzn. Tutaj religijność nie ma nic do rzeczy.

- No, no. Już za nią tęsknię – inspektor zatarł ręce i ostrożnie porozkładał chusteczki wokół siebie. - To musi być niezwykła osoba, ta pani Bartnik.

Nie miałam ochoty mówić dalej o Loli.

- Co do młodych - podjęłam – to Łucja Lewko była obojętna. Tak, zdziwiona, ale chyba miała w nosie dalszą drogę Milera. Pracują razem w firmie farmaceutycznej. Ona ma krótki staż, a Adrian Nartowicz kilkuletni. On wydawał się być rozczarowany – w duszy usłyszałam wściekły głos młodzieńca, gdy wymykał się z gabinetu przed kolacją. Ten Miler sam się prosił o jakieś nieszczęście! Co mu też przyszło do głowy? To jak drażnienie lwa przy otwartej klatce... Albo deptanie Alicji Figiel po haluksach... Głośno dodałam:

- Może spodziewał się, że bogaty szef będzie go promował w firmie. Tymczasem Miler oznajmił, że rezygnuje z pracy. Mógł czuć się zawiedziony.

- Dobrze, doskonale. Jest pani niezwykle spostrzegawcza. Miło mieć do czynienia z inteligentnym świadkiem – Biegun powiedział to jakoś tak, że zrobiło mi się naprawdę przyjemnie. Jakby rzeczywiście tak myślał.

Zatarł ręce.

- Jest kawa – ucieszył się na widok Janusza z filiżanką w ręku. Sierżant spojrział smętnie znad notesu, ale Przystojniak zawrócił po herbatę. Pewnie nie umie posługiwać się tacą.

Biegun zamknął starannie drzwi, skosztował czarnego napoju, powzdychał.

- To teraz niech mi pani opowie, co kto robił od momentu przyjazdu do dziś rano. W miarę szczegółowo, jeśli można. Zacznijmy od pani.

Co było robić? Zdałam relację z moich działań podczas ostatniego weekendu. Opisałam menu z piątku, soboty i niedzieli. Powiedziałam, kto pomagał mi w kuchni, jak wyglądała wycieczka łódkami, kto wpadł do wody, co robiłam wieczorem...

- Zatem pani Bartnik zaliczyła wczoraj kąpiel w ubraniu –mruknął Biegun. - Ciekawe, czy wyschły jej rzeczy.

- Nie sądzę, by się tym martwiła. Widziałam jej bagaż. Ma mnóstwo ubrań do wyboru. Zresztą wieczorem pojechali do restauracji, a strasznie lało. Janusz był zupełnie mokry jeszcze przed wyjściem. I był pijany. Przynajmniej według mnie - dodałam skromnie.

Biegun chciał wiedzieć wszystko o szukaniu kluczyków w strugach deszczu i pod naporem wiatru. Zapytał o mój powrót do domu, o popołudnie w Pustkowie (nie wspomniałam o spotkaniu na plaży z Niemożliwym), a potem skupił się na dzisiejszym poranku.

- Pani Miler nie wyjechała wczoraj wieczorem. Rozumiem, że chciała to zrobić od razu po usłyszeniu decyzji męża. Dlaczego została?

- Pewnie przez pogodę – stwierdziłam – i przeze mnie. Zniechęciłam ją do wyjazdu. W radiu były ostrzeżenia o wicherze, połamanych drzewach... zresztą szła burza. Ledwie ją powstrzymałam, nawet już się pakowała. Właściwie to sama poukładałam jej rzeczy w torbie.

- I opuściła pensjonat dziś rano?

- Tak. Wszyscy jeszcze spali. W każdym razie ja nikogo nie widziałam. Zeszła z góry z walizką, pożegnała się i odjechała.

- I nie zamieniła ani słowa z mężem? Myślałem, że naturalne by było powiedzieć mu przynajmniej do widzenia?

- Nie wiem. Może pożegnała go wczoraj wieczorem. Nic nie wspomniała na ten temat. Zresztą w ogóle niewiele mówiła. Wyjechała i już.

- Tak, wyjechała. A jej mąż, milioner, został zamordowany.

Zapadła cisza, chyba świadomie przedłużana przez policjanta. Biegun postukiwał palcami po stole, popijając kawę. Rożek odłożył notes i ostrożnie powąchał herbatę. Nieco się rozjaśnił. Widać aromat odpowiadał jego gustom. Pociągnął odrobinę, po czym niemal duszkiem wypił resztę.

- Ale przecież... przecież on jeszcze żył rano, prawda? To znaczy, że Lidia

nie mogła go... nie mogła go...

- Zginął wczoraj. Rano z pewnością był martwy – oświadczył inspektor, zapatrzony w jezioro.

- Jak to wczoraj... wczoraj była burza, nikt obcy nie mógł tu dotrzeć - urwałam.

- Skoro goście mogli pojechać do restauracji, i z niej wrócić, to i inni mogli się tu dostać. Nawet czterdziestu rozbójników w strojach roboczych, z chustkami wokół szyi oraz w pantalonach... Ale pan Miler wcale nie został sam. Jak rozumiem, była z nim żona. Rożek – na nagłący ton inspektora sierżant zerwał się z krzesła – natychmiast ustalcie miejsce jej pobytu. Sprawdźcie jej rzeczy. Wszystko, co tu miała. Zwracajcie uwagę, czy nie są mokre. Powiedźcie technikom, niech zanotują co ze strojów innych gości nie jest suche. Szczegółowo. Jasne?

Rożek wybiegł z pokoju. Po drodze wyciągał telefon.

- Rozumie pani, i tak jest późno. Ale nie do końca. Mogła po drodze wyrzucić mokre ubranie. Drogi, lasy, miejskie kubły na śmieci... Jedyne nadzieje w pani. Pamięta pani, co miała w szafie? Pomagała pani w pakowaniu, prawda?

Akurat to musiał zapamiętać z mojej relacji. Bystry facet. Odczułam coś w rodzaju niechętnego podziwu.

- A czemu mokre rzeczy? – spytałam.

- Ktokolwiek wpakował go do łodzi, musiał wyjść na zewnątrz - inspektor wyglądał na zmartwionego, jakby morderca niepotrzebnie naraził się na burzowe warunki atmosferyczne - Dzisiejszej nocy nie mógł nie zmoknąć. Wszyscy inni mają wytłumaczenie – wychodzili - do restauracji, do samochodu... Oczywiście i pani Lidia Miler mogła wyjść na spacer. Ale nie o to chodzi. Jeśli czegoś brakuje w jej garderobie, będzie to bardzo obciążający czynnik. Bardziej nawet niż wilgotny strój. Panią zobowiązuje do zachowania tajemnicy na ten temat i sporządzenie listy rzeczy Lidii Miler. Jak najdokładniejszej.

Usiłowałam poukładać sobie strzępki informacji w głowie. Zaraz. Jeśli Miler zginął w nocy, to czemu ktoś miałby go „pakować” do łodzi?

- Jak to – do łodzi? – spytałam. – Może sam do niej wszedł? Dziś rano?

- Szanowna pani Alu – inspektor Biegun popatrzył na mnie ciepło. Znowu zrobiły mu się zmarszczki w kącikach szarych oczu. – Nikt nie wchodzi sam do łodzi pełnej wody i nie kładzie się na niej twarzą w dół z raną kłutą w klatce piersiowej. Może wpadł do niej w trakcie przepychanki na pomoście. Może morderca go popchnął, licząc, że wyląduje w wodzie, a nie w łódce... a może – i to by było najciekawsze – zabójca ułożył go tam specjalnie, a zabił gdzie indziej. Na tym etapie jeszcze nic nie wiadomo. Zresztą jest jeszcze kilka innych możliwości. Pani, jako osoba bystra, przyzwyczajona do akademickiego myślenia, z pewnością zauważy pewne nieścisłości – inspektor wstał i ruszył wydeptaną wcześniej ścieżką

wzdłuż ściany. - A gdybym tak zapytał panią znienacka, kto zabił Oskara Milera – co by pani przyszło do głowy?

Zamknęłam oczy, gdyż pojawiła się przed nimi ponura wizja Niemożliwego, dźwigającego ciało swego brata. Tak, on fizycznie był najsprawniejszy. Ale zaraz. Adrian też jest wysportowany. Niech mnie nie zwodzi jego delikatniejsza budowa. Codziennie biega, ćwiczy, trenuje... Albo Przystojniak. Były piłkarz, wysoki, szerokie bary. Teraz panie - Lola na swoich szpilkach. Absurd. Łucja jako dzika amazonka – całkiem możliwe. Może znać chwyt strażacki. Lidia. Tak, ona ma dzieci. Instynkt macierzyński może dodać nadludzkich sił. Została sama z mężem. Pusty pensjonat, za oknem deszczowa noc. Decyduje się jeszcze raz z nim porozmawiać. Teraz nie musi się wstydzić krzyków czy łez – nikogo nie ma. Wchodzi do gabinetu. Kłóca się. Miler mówi na przykład coś takiego, jak „Dzieci zostaną ze mną, będą mogły korzystać z głębin duchowości” i wtedy Lidia chwytą nóż.

Otworzyłam oczy. Jaki nóż? Musiałyby mieć go ze sobą. A jeśli go miała, to szła, by zabić. Zabija. Co potem? Ciągnie trupa po pomoście? Mało prawdopodobne. Byłyby ślady. Może wcale nie zabija w gabinecie? Powinna wywabić go na dwór. Poczekać, aż podejdzie i wałnąć w łeb, z nadzieją, że nie wypłynie. Ale wtedy byłoby to morderstwo z premedytacją. Może jednak gabinet? Może ona też zna chwyt strażacki?

- Czym go zabito? – spytałam pleców Bieguna. Inspektor stał przy drzwiach balkonowych patrząc w dół pomostu.

- Ostrym narzędziem – odparł, nie odwracając się. - No i co? Już ma pani podejrzanego?

- Jakim narzędziem? Nożem? – Niemożliwy na pewno nosi przy sobie nóż. Albo kastet. Albo obrzyn. Nie, obrzyn bym spostrzegła. Kałasznikowa też. Armatę także.

- Prawdopodobnie. W ranie nie było narzędzia zbrodni. Aha, jeszcze musimy sprawdzić wszystkie noże z pani kuchni. To rutynowa procedura – dodał uspokajająco. - Pewnie nie ma ich dużo. Kiedyś, pamiętam technicy badali miejsce, w którym ukryto tysiące kapeluszy. Sprawdzili wszystkie. To dopiero było zajęcie! Oczywiście nic nie znaleźli. Dowód był schowany w tysiąc pierwszym kapeluszu w domu zabitej osoby. Ponura historia, był to film służący do szantażu przyzwoitego człowieka. On...

Nie dałam się zagadać.

- Nie potrafię wyobrazić sobie wśród nich mordercy – wykręciłam się.

- A kogo ma pani na myśli, mówiąc „wśród nich”? – złapał mnie za słowa Biegun.

- No... oczywiście, gości.

- To znaczy przyjaciół i bliskich ofiary. Tak, słusznie. Dziewięćdziesiąt

procent ofiar zna dobrze swoich morderców. A jednak to ciekawe, że nie przyszło pani do głowy nic innego, nic, o czym zwykle się myśli. Większość świadków mówiłaby o złym zbójcy, przypadkowo czającym się z nożem na pustkowiu w burzliwą noc... i nie zwracałaby sobie głowy nieprawdopodobieństwem takiej sytuacji.

- Mimo wszystko nie jest to niemożliwe.

- Oczywiście, jest możliwe. W jakimś ułamku procenta – inspektor znowu ruszył wzdłuż półek. – Na podstawie rozmowy z panią utworzył mi się obraz Oskara Milera. Widzę go, jak wygrywa, jak cieszy się z tego, jak podejmuje decyzję o zmianie dotychczasowego życia... musiał już wcześniej o tym myśleć. Tak, niewątpliwie. Zaprasza najbliższych sobie ludzi – albo takich, o których sądzi, że są mu bliscy. Ogłasza swój wybór. Ile miał lat?

- Trzydzieści dziewięć – odparłam, zaskoczona.

- Jak na taki wiek był bardzo naiwny. Albo bardzo egocentryczny.

- Dlaczego pan...?

- No cóż, facet daje im nadzieję, a potem ją niszczy. Całkowicie i absolutnie. Niech cieszą się wraz z nim jego forszą, jego sukcesem, jego radością! Tylko że w naturze ludzkiej nie leży radość z cudzych dochodów. Co on sobie wyobrażał? Że będą wraz z nim piali z zachwytu nad swoimi zawiedzionymi marzeniami? – Biegun zatrzymał się przed jednym z obrazów. Przedstawiał on dziwnie wykrzywiony potłuczony dzban w mocnej dłoni wiejskiej dziewczyny. Połowę włosów miała siwych, a druga połowa tonęła w głębokim cieniu. Z dzbana wyciekała ciurkiem woda, znacząc mokrymi plamami fartuch kobiety, pełną drogę, i tajemnicze ślady opon wiodące w siną dal. Podpis pod spodem głosił: „Zniszczony dzban”. Inspektor znieruchomiał na moment, a potem, widąc poruszony wymową dzieła, odezwał się:

- Coś podobnego. Sztuka ponoć ma przemawiać do widza – starannie obejrzał cały obraz. – Muszę się pani jednak przyznać, że ja należę do tych widzów, którym przydałby się drogowskaz.

Po chwili podjął:

– A wracając do Oskara Milera. Kiedy ostatni raz widziała go pani żywego?

- Wczoraj, jak wychodziłam z pensjonatu. To mogło być około dwudziestej pierwszej – zastanowiłam się. Do matki dzwoniłam po dwudziestej drugiej... tak, chyba tak. - Siedział w fotelu, przed biurkiem. Lola... pani Bartnik wychodziła z pokoju.

- Zobaczmy, gdzie to jest.

Pokazałam mu gabinet. W środku kręciło się dwu techników w cywilu. Inspektor stał w progu, czekając, aż skończą.

- Czy coś się tu zmieniło od wczoraj?

Przyjrzałam się wnętrzu. Drzwi balkonowe były zasłonięte, tak, że

w pomieszczeniu było ciemniej niż na korytarzu. Telewizor, biblioteka, stosik papierów na biurku... Kanapa.

- Wydaje mi się, że wszystko wygląda tak samo – rzekłam niepewnie. – Brakuje tylko Milera.

- Dobrze. Jakby jednak coś sobie pani przypomniała – niekoniecznie dotyczącego tego pokoju, tylko w ogóle cokolwiek dziwnego – to proszę o kontakt.

Wróciliśmy do salonu. Byłam już w drzwiach, gdy Biegun wydobyl z kieszeni małą plastikową torebkę. Pokazał mi ją.

- Widziała już to pani?

Wytrzeszczyłam oczy. Zza przezroczystej folii błyszczał błękitem piękny kolczyk. Kolczyk Lidii Miler.

Niedziela, 5 października, później

Reszta dnia minęła mi wśród uwijających się policjantów i roztrzęsionych gości. Zrobiłam mnóstwo kawy – ekspres chyba się przegrzał – i jeszcze więcej herbaty. Powrócił doktor Malik wraz z patologiem Janem Nejmanem, i konferowali chwilę w kuchni. Malik chyba wysechł, bo przestał się trząść. Wypili sporo herbaty z cytryną. Dołączył do nich inspektor, robiąc sobie przerwę w maglowaniu Janusza. Dyskretnie oddaliłam się do schowka na szczotki. W salonie jednak jest izolacja akustyczna, zatem po namyśle doszłam do wniosku, że powinnam trochę pograżyć przed oknem kuchni. Albo wywiesić koce do wietrzenia.

Z całym naręczem udałam się na boczną stronę pensjonatu. Było już popołudnie i słońce nadal przygrzewało. Woda jeziora, nieświadoma złowroziej tajemnicy zawartej w łodzi, beztrąsko odbijała wysokie brzegi, marszczyła się pod wpływem powiewu, migotała i błyszczała przy pomoście pensjonatu. Goście siedzieli wszyscy razem na zewnątrz, wpatrzeni w dom lub, w zależności od usytuowania, w fale. Niemożliwy zajął miejsce na huśtawce. Kołysał się machinalnie w przód i w tył, z opuszczoną głową. Z całej jego postawy było rozluźnienie, i nagle przyszło mi do głowy, że zasnął. Nieopodal Lola wystawiła przed siebie dolne kończyny, obleczone w pończochy ze szwem z tyłu. Wciśnięta w obcisły sweterek z krótkim rękawem, ozdobiony białym kołnierzykiem, i czarną minispódniczkę, sprawiała wrażenie nieco podejrzanego pensjonarki. Adrian nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jak długo jeszcze zamierzają nas tu trzymać – dobiegł mnie jej schrypnięty głosik. - To skandal! Już dawno powinni nas przesłuchać i puścić do domu. Miałam być wieczorem na przyjęciu, w Warszawie.

- Zginął człowiek – Łucja chłoneła słońce piegową twarzą.

- Wiem, mój drogi Oskar... zawsze obiecywał, że mnie zabezpieczy, że nie zapomni o mnie... „O nic się nie martw” – mawiał. „Pojedziemy na wakacje, będziemy się bawić i odpoczywać”. „Dostaniesz dom, samochód, co tylko zechcesz”. Uwielbiał mnie..! – westchnęła z rozczuleniem, gasząc kolejnego papierosa.

- Skoro tak twierdzisz – Łucja Lewko była nieporuszona – Mnie zdawało się, że wspominał coś o duchowym rozwoju i przeznaczonym na to całym majątku. I o tym, że nie zamierza rozmieniać się na inne sprawy. Że bardzo mu przykro, ale nie ma mowy o wspieraniu innych, nawet własnych dzieci.

- O tak, nie lubił Lidii. Kim ona w końcu jest? Zwykła pozerką, bez żadnych kwalifikacji. Musiała opuścić warszawski oddział firmy, bo miała za słabe wyniki sprzedaży. To dlatego przeniosła się do Olsztyna.

- Serio? A mnie się zdawało, że chodziło o coś jeszcze.

- No cóż, na pewno nie przepadała za mną – uśmiechnęła się Lola. – Ale cóż, takie jest życie. Lepszy wygrywają. Niektórzy nie umieją przegrywać z klasą.

- Och, daj już spokój – do rozmowy wtrącił się Janusz Wiluk. Dotychczas siedział, otępiały, przy drewnianym stole. - To wszystko nieważne. Ten policjant jest okropnie tajemniczy. Powiedział wam, jak zginął Oskar?

- Nie – Łucja wzruszyła ramionami. – Jeszcze ze mną nie rozmawiał.

Z nikim nie rozmawiał, oprócz pani Ali. I ciebie.

- Gdzie jest Ala? – ożywił się Przystojniak – pani Alu! Gdzie pani jest?!

Z niechęcią wyszłam zza winkla. Równoczesne słuchanie dwóch rozmów jest dostatecznie skomplikowane, nawet i bez przerywników w formie głośnych wołaczy.

- Zabity ostrym narzędziem – oświadczyłam zwięźle. - Nic więcej nie wiem. Inspektor trzyma język za zębami – dodałam, zupełnie niepotrzebnie. Kto jak kto, ale Biegun z pewnością nie zamyka ust na kłódkę. Sami się o tym przekonają.

Wróciłam do wieszania i przetrzepywania koców. W kuchni toczyła się znacznie ciekawsza rozmowa, choć było w niej wiele niezrozumiałych dla mnie słów. Jak rigor, czy frigor mortis, normogram Henssgego, reakcje interletalne...

Nejman, patolog, dyskutował z Malikiem na temat tych ostatnich, podkreślając czynnik oziębienia i mrużąc coś o temperaturze ciała. I przemieszczalności niewielkich plam opadowych. Lub nieobecności rozległych plam opadowych. Lekarze umieją mówić ze sobą tak, by nikt nie mógł ich zrozumieć. Wreszcie obaj doszli do jakże oryginalnego wniosku, że więcej będzie wiadomo po sekcji. Nejman zabrał się i poszedł, a Doktor Malik został z inspektorem w kuchni.

- Między dwudziestą a północą? - głos Bieguna był nieco przytłumiony. Widać inspektor stał tyłem do okna. – Niewiele nam to daje. Nie wyklucza chyba nikogo z podejrzanych.

-To masz już podejrzanych ? – spytał Malik.

- Całą gromadę, około sześciu osób. I jak sędzę, okaże się, że wszyscy mieli motyw. Wiesz, że denat wygrał w totolotka parę milionów?

- No, no. Biedny człowiek. Pewnie przez to zginął – Malik musiał stać tuż przy oknie. - Gdyby nie wewnętrzny krwotok, może byłoby wiadomo już teraz nieco więcej. A tak – mało tych plam opadowych. Trudno ocenić ich przemieszczalność. Zimna woda też nie pomaga, przyspiesza proces stężenia.

- Tak, tak – inspektor chyba chodził po kuchni, bo jego głos raz rozbrzmiewał głośniejszy, raz ciszej. - Ale wcale nie musiał zginąć przez te pieniądze. Z rozmowy z panią Figiel wywnioskowałem, że był trudnym człowiekiem, łatwo robiącym sobie wrogów.

- Z czego tak wnosisz?

- No cóż, zaprosił kilka osób, żeby powiedziec im o swoim nowym pomysle na życie. Chciał wszystko poświęcić duchowemu rozwojowi oraz głoszeniu tej nauki w mediach.

- Ludzie nie muszą czekać na fortunę. by rozwijać się duchowo – w głosie doktora brzmiało powątpiewanie.

- Jasne, ale nie stać ich na głoszenie swoich nauk w telewizji. Miliony mogą opłacić sporo antenowego czasu.

- Nie wiedziałem, że cierpiał na manię wielkości.

- Może tak, może nie. Ludzie rzadko coś robią ot tak, bez powodu.

- Co masz na myśli?

- Mógł po prostu sprawdzać reakcje bliskich na te rewelacje – oznajmił Biegun, zadowolony ze swego pomysłu.

Skrzywiłam się po kocem, który wieszalałam już czwarty raz. Widać, że nie poznał Nieduzego. Według mnie facet nie robił żadnych prób, był najzupełniej poważny. Nawet wyglądał jak kaznodzieja. Być może chciał zapoczątkować nowy nurt, tak popularny w telewizjach Zachodu. Taki program, w którym starszy facet z twarzą pełną zębów i w nienagannym garniturze głosi widzom nowinę, a potem podaje numer konta. Niektórzy, co zdolniejsi, zbierają mnóstwo forsy.

- A pani co o tym myśli?

Upuściłam koc na trawę. W oknie stał doktor Malik. Z uśmiechem przyglądał się, jak zbieram z ziemi pogubione okrycia.

- Biegun już wyszedł – oświadczył po prostu. – Zresztą cały czas panią widział. Moim zdaniem chętnie pozna pani zdanie w tej sprawie.

- Doprawdy, doktorze - mruknęłam z zawstydeniem – Czemu wcześniej nic pan nie zrobił? Ten inspektor teraz myśli, że jestem okropnie wścibska.

A przecież to nieprawda. Nigdy, przenigdy nie byłam ciekawska.

- Och, po prostu byłem w szoku po zimnej kąpielii – oznajmił bezwstydnie doktor – wtedy reakcje są zwolnione, rozumie pani.

Uuu. A więc nasz łapiduch ma jednak pazur.

- Musi pan jak najszybciej się porządnie wysuszyć – odcięłam się. - Robi się późno.

- Nawet mocno późno. Już idę, wychodzę – doktor zniknął z mojego pola widzenia. Po chwili zobaczyłam, jak maszeruje w stronę drogi. Widać zostawił tam swój samochód, przechodzone volvo. Zatrzymał się jeszcze na moment przy gościach, zamienił z nimi parę słów, po czym opuścił posiadłość.

Co prędzej wróciłam do kuchni. Dwu ponurych mężczyzn wychodziło właśnie, unosząc w torbach brzęczące weselo noże.

- Ej, a co z kolacją? - zawołałam na ich widok.

- Nic, my już wychodzimy. Zjemy na mieście – pocieszyli mnie, znikając w furgonetce.

Chudy sierżant Rożek zajrzał do kuchni.

Tak, wszystko mi zwróca... po badaniach w laboratorium. A teraz, czy mógłby dostać trochę herbaty? Inspektor prosi o kawę, jeśli to nie za duży kłopot.

Napoiłam spragnionych policjantów. Do domu wrócili goście.

- Policja magluje brata Oskara – Janusz Wiluk sam wyglądał jak wymaglowany. Cerę miał szarą, ręce delikatnie mu drżały. Jak nie przestanie tyle pić, za pięć lat zamieni się z lśniącego trójmasztowca w ponury wrak.

Nalał sobie odrobinę płynu z piersiówki, łyknął, odetchnął.

- O co pytają? – Adrian także robił wrażenie zdenerwowanego. Nie zmienił dresu, w którym pływał kajakiem. Miał znużone spojrzenie, jakby od rana przybyło mu kilka lat.

Wszyscy spojrzeli na Przystojniaka.

- Och, o wszystko. Co robiłem, co jadłem, co jadł Oskar... jakbym zwracał uwagę na jego talerz! Od kiedy go znam, co robię, z czego żyję, ile zarabiam. Jakby pisali moją biografię.

- A o co jeszcze? – tym razem pytanie zadała Lola. Z nieodłącznym papierosem w ustach powoli unicestwiała miseczkę chipsów.

- Co wczoraj robiłem. Nie tylko ja, ale i wy.

- Co im powiedziałaś? – Lola wypuściła dym przez nos.

- A co miałem zrobić? Powiedziałem im, jak było. Co robiliśmy, jak było na łodziach, ile ryb złowiłem. Pytał nawet o to, czy dotykałem noży!

- I co?

- Dotykałem, oczywiście. Zdaje się, że nosiłem jakieś naczynia.

- Wszystko poszło do zmywarki – mruknęła Łucja. - Teraz będą szukać noża. Ciekawa jestem... czy znaleźli narzędzie zbrodni.

- Nie znaleźli, bo zabrali wszystko z kuchni – oświadczyłam. – Całkiem bez sensu. Ja cisnęłabym nóż do jeziora. Nigdy by go nie odkryto.

Zebrani skupili się na mnie.

- Bardzo sprytnie – stwierdził Adrian. – Moim zdaniem to najlepszy sposób. Teraz wszystkie spojrzenia skoncentrowały się na nim.

- W takim razie czego szukają w domu?

- Szukali. Dopiero co wyszli. Został tylko sam inspektor i sierżant. No, jeszcze ze dwóch w mundurach. Widziałam, jak wychodzili z pokoju Oskara -Łucja założyła nogę na nogę. Miała minę, jakby coś analizowała. Chyba tak rzeczywiście było, bo zaraz podjęła:

- Pytali konkretnie o jakieś godziny? Mówili, kiedy umarł?

- Najbardziej obchodził ich wczorajszy wieczór. Po obiedzie.

- Jasne, wtedy Miler jeszcze żył i wszyscy go widzieliśmy. Ktoś z was rozmawiał z nim później?

- Ja, przed wyjściem. Obiecał, że kupi mi nowe auto. Miałam tylko wybrać markę i model – Lola uśmiechnęła się do siebie. – To byłoby piękne, czerwone audi, sportowe, kabriolet.

- Nic z tego – brutalnie oświadczyła Łucja. Pomyślałam, że dziewczyna nie lubi Loli. – Zostałaś na lodzie. Według mnie, wszystko przejdzie na dzieci.

- Albo na brata – odezwał się Adrian. – Miał jeszcze kogoś?

Janusz powoli pokręcił głową.

- Rodzice zmarli rok temu. Szybko, jedno po drugim. Ale kto wie... kto wie... Ten brat pojawił się tak nagle...

- Chcesz powiedzieć, że mógł mieć jeszcze innych krewnych?

- Nie, przynajmniej ja nigdy o nich nie słyszałem. A znam go od lat, od szkoły. Ten brat... Feliks. Podejrzany typ.

- Dlaczego podejrzany? – zaniepokoiłam się.

- Raptem przyjeżdża, po latach nieobecności, właśnie wtedy, gdy Oskar staje się milionerem... Dziwny zbieg okoliczności. I skąd wiedział, gdzie go szukać?

- Może Oskar sam go zaprosił.

- Tutaj? Na Pomorze? Czemu nie spotkali się w Warszawie? To by było naturalne. Powrót, może jakaś wspólna kolacja, w rodzinnym gronie...

- Najlepiej go spytać – Łucja wyglądała na chętną do podjęcia się tej czynności.

- Wiecie, co on miał na myśli, kiedy mówił coś wczoraj o zabezpieczeniu pieniędzy? – Przystojniak był ciągle spięty. - Coś bąknął, że je gdzieś schował, czy coś takiego...

- W walizce? Niemożliwe. Banki chyba nie wypłacają takich sum. Wszyscy robią przelewy.

- Oskar nie miał zaufania do banków – Lola przygryzła z chrzęstem chipsa – Nie znosił ich. Mógłby kupić sztaby złota, dolary, te rzeczy. Radziłam mu, by zainwestował w biżuterię – to nigdy nie traci na wartości. Widziałam niedawno piękny naszyjnik. Rubiny przeplatane brylantami... nawet niedrogo, jakieś pół

miliona...

- Kupił go? - w głosie Adriana brzmiało niedowierzenie.

- Miał mi kupić. Obiecał... teraz mogę dochodzić niedotrzymanej obietnicy...

- Teraz to musi pani iść do salonu. Policja prosi – w drzwiach stał Niemożliwy. Trzymał uprzejmie otwarte drzwi, póki Lola (z ociąganiem) nie opuściła kuchni. Ciekawe, jak długo tam był, i ile słyszał. Rusza się cicho, jak kot. Kot. Po łacinie Felix. Nomen omen. Wszystkie kobiety spojrzały na niego z ciekawością, a mężczyźni odruchowo przyjęli postawę wyczekującą, ale gotową do konfrontacji. Innymi słowy, przyczaili się.

Niemożliwy nalał sobie kawy i rozejrzał się wokół. Jego wzrok zatrzymał się na mnie o ułamek sekundy dłużej, niż na innych, i nie wiedzieć czemu, poczułam się tym wyróżniona.

- Okropnie gadatliwy policjant – zagaił, jakby nie widział wbitych w siebie czterech par oczu. - Dociekliwy. Drobiazgowy.

Janusz odezwał się z ulgą:

- Prawda? Muszę się napić. Ktoś chce? – wydobyl z kieszeni piersiówkę.

Odmówiłam, niepewna, czy po specyfikach Przystojniaka dotrę do domu na własnych nogach. Choć nie powiem, koniak dobrze by mi zrobił. To był ciężki dzień, pełen emocji.

Ukradkiem zerkałam na Feliksa Milera. Zupełnie niepodobny do brata. Nawet nie przeciwieństwo, po prostu inny. I ta nieustanna czujność. Z wyjątkiem chwili domniemanego snu na huśtawce robił wrażenie człowieka ściśle skupionego na otoczeniu. Jakby wypatrywał niebezpieczeństwa.

I te buty.

Lubię zwracać uwagę na buty. Na przykład Łucja – nosi buciki wygodne, ale drogie, skórzane. Adrian podąża za sportową modą i wybiera obuwie markowe, niekoniecznie najlepsze, ale takie, jakie noszą gwiazdy. Lola dostosowuje pantofle do wizerunku wampa na szpilkach. Nawet kaptcie są u niej niebezpiecznie wysokie. Nic dziwnego – to przecież modelka, żyje z wyglądu.

Z kolei Janusz nie myśli wiele o tym, co wkłada, byle w miarę pasowało do reszty stroju. Zajmują go inne rzeczy. Nawet teraz ma na sobie skromne, przemoczone wczoraj półbuty. Może nie zabrał innych.

Ale Niemożliwy! Na nogach wiązane bucioro, z solidnej skóry, na mocnej podeszwie. W takich butach można przejść sporo kilometrów i są doskonałe w razie bójki. Zniszczone, ale nie za bardzo, wyczyszczone, w neutralnym kolorze. Takie buty noszą zawodowcy. Faceci w mundurach cudzoziemskich legii, faceci w strojach antyterrorystów, faceci od zadań specjalnych. A także mnóstwo innych facetów.

Na przykład Feliks Miler.

Tymczasem rozmowa powoli się rozkręcała. Janusz zaczął wspominać szkolne lata. Gadał i gadał, opowiadając o kawałach, nauczycielach, wagarach, kolegach. Zebrani z ulgą dołączyli do rozmowy. Nawet spokojny Adrian wspomniął studniówkę i skrzynki wódki, jakie wtedy wypili. Dziwne, że ludzie chwalą się takimi rzeczami. Pić alkohol w końcu potrafi każdy, nawet człowiek słaby na umyśle. Biegun wzywał kolejnych świadków, a w kuchni po tematyce szkolnej przyszedł czas na studia, potem na kawały, aż za oknem zaczęło powoli robić się szaro. Ze wschodu napływały chmury, przyspieszając październikowy zmrok.

- Co z kolacją? – to pytanie padło z ust praktycznej Łucji. – Robimy tu czy gdzieś jedziemy?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie w drzwiach stanął inspektor. Też się chyba zmęczył, bo czoło przecinała mu pionowa zmarszczka, nieobecna w południe.

- Opuzczam państwa. Na razie – zabrzmiało to jakoś złowrogo. - Będę wdzięczny, jeśli zostanieie tu do jutra. Od rana przyjadą policjanci na dalsze przesłuchania.

- Ale ja mam zobowiązania w Warszawie! Nie może pan nas na siłę tu trzymać! – to Janusz zdecydował się na protest. Reszta poparła go niewyraźnym pomrukiem.

- A ja mam przesłuchanie, casting – zachrypiała Lola. – Inspektorze? Chyba nie jestem podejrzana? Przecież to na pewno jakiś bandyta, przypadkowy rabuś zabił Oskara.

- Niestety, niestety – Biegun rozłożył ręce. – Oczywiście nie są państwo zatrzymani. Ale dla dobra śledztwa bardzo proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Chyba nie warto będzie jutro czy pojutrze znów tu wracać ze stolicy, na kolejne przesłuchanie – zawiesił głos, przesuwając wzrok po twarzach gości.

Nikt się nie odezwał.

- W takim razie ustalone. Do jutra. Sierżancie!

Rożek zmaterializował się z dwoma kubkami w dłoniach.

- Idziemy!

Po wyjściu policji atmosfera znacznie się polepszyła. Wszyscy zaczęli mówić razem, planując wieczór. Wreszcie ustalili, że pojedą do Lęborka, na kolację. Niemożliwy wyraźnie wybierał się z nimi. Trochę trwało, zanim panie się przebrały, a panowie włożyli marynarki. Popatrzyłam za nimi. Wpakowali się do auta Adriana. Kiedy ucichł łoskot silnika, uderzyła mnie cisza.

Pozmywałam, zamiotłam i zadzwoniłam do Dunaja. Ten od razu zwrócił uwagę na praktyczny aspekt sprawy.

- A kto zapłaci za kolejną noc?

Dobre pytanie. Zapewne inspektor Biegun.

- Nie mogę ich wypędzić – oświadczyłam stanowczo – Niech pan dzwoni na policję, na komendę w Lęborku.

Dunaj jeszcze trochę pogadał, poopowiadał o swoim życiu tam, daleko (jeśli mu wierzyć, to nie ma wspanialszego miejsca na świecie), powydziwiał na gości, co pozwalają się zabijać na jego terenie. Zapewne nic nie zrobi, jakoś przeżyje ten dodatkowy dzień. Tak naprawdę to koszty wcale nie wzrosną, najwyżej o prąd i wodę za jedną dobę.

- Wcale nie wiadomo, czy na pańskim terenie – wytknęłam – Łódź była w sitowiu na jeziorze. To teren publiczny.

- To jeszcze lepiej, jeszcze lepiej. Może będziemy mieć reklamę. Wie pani, tak jak tutaj – wycieczki po nawiedzanej posiadłości. Nocne wyprawy do lochów. Bardzo to popularne ostatnio.

Postanowiłam zamknąć dom i wracać. Noc zapadła szybko, wiało, po niebie pędziły burzowe chmury. Goście poradzą sobie beze mnie.

Droga powrotna nie należała do przyjemności. Zrobiło się chłodniej. Las po wczorajszej nawałnicy wyglądał ponuro, gdzieś blisko skrzypiały gałęzie, pod nogami coś szeleściło. Włączyłam latarkę. Jej chwiejne światło wydobywało z mroku korzenie sosen przecinające ścieżkę, rosnące wokół krzaki malin, nieliczne paprocie. Okrągła jasna plamka podskakiwała w rytm moich kroków, co chwilę pokazując inny, jakże niebezpieczny fragment nocy. Parę razy potknęłam się i omal nie uderzyłam w pień brzozy. Poirytowana, wyłączyłam światło.

Las od razu się przybliżył. Przestał być czymś odległym, częścią nieznaną i wrogiej siły. Zatrzymałam się, odruchowo nasłuchując. Delikatny szum wiatru, chroboty i trzaski. Gdzieś wysoko po niebie pędziły chmury, księżyc to pojawiał się, to znikał, rzucając złudny blask na moją dróżkę.

Przez chwilę byłam zaniepokojona. Nic nie widać. Może cierpię na tę straszną chorobę, zwaną kurzą ślepotą, czyli brak witaminy A. Osoba dotknięta tą przypadłością nic nie widzi po zmroku. Kiedyś pytałam już o to Malika, a on zrewanżował mi się wykładem na temat roli tej witaminy w funkcji nabłonków-skóry, rogówki, spojówek. Nastraszył mnie łysieniem, trądzikiem, wysychaniem oka, osłabieniem kości i zębów...

- To może mi się zahamować wzrost? – zaniepokoiłam się.

- Raczej tak – odparł doktor, zerkając na mnie (metr osiemdziesiąt bez obcasów). – Raczej tak. Już nie urośnie pani, niestety. O ile ma pani niedobór tej witaminy, choć nic na to nie wskazuje. Proszę jeść brokuły i marchew, i nie martwić się tym. Niedobory witaminy A przy typowej diecie zdarzają się wyjątkowo rzadko.

Może to i prawda, ale czemu teraz nic nie widać? Od zgaszenia latarki minęło już sześć sekund co najmniej. Może moja akomodacja jest spowolniona, może już nic nigdy w nocy nie zobaczę? Swoją drogą to dziwne. Wczoraj było

wszystko w porządku. A teraz? Czarno. Osiem sekund. Czarno. Dziesięć. Czarno. Muszę coś zrobić, bo zostanę tu, w noc i burzę, aż do wschodu słońca, bez wody, żywności i telefonu, bez świeżej bielizny, bez kąpieli, bez moich kotów...

Podjęłam decyzję.

Otworzyłam oczy.

Widzę! Hura!

Tuż przede mną migotały światła Nowego Lasku.

Z ulgą, szybkim krokiem dotarłam do domu. Muszę się położyć, muszę odpocząć.

Koty tym razem nie siedziały po drzwiach. Jeden czał się w kępie marcinków przy drodze, a drugi wystawił ogon z tylną częścią kota spod dawno przekwitłych piwonii. Imbryk uważa, że jak nie widać mu pyska, to jest niewidzialny. Kiedy otworzyłam drzwi, oba ruszyły w moim kierunku – Huncwot czujnie, rozglądając się na boki, a Imbryk powoli, z paroma przystankami na ćwiczenia fizyczne. Wygiął grzbiet, wypiął się prostując przednie łapy, potem tylne, potem znów przednie... W tym czasie Huncwot zdążył spenetrować wszystkie miski i systematycznie pochłonąć ich zawartość.

- No i widzisz, znów ci wszystko zjadł.

- Mrau, mrau – zgodził się rudy kocur. Czarny schował się za drzwi w oczekiwaniu na rudzielca. Zwykle wyskakuje na niego zniechęca, po czym oba toczą się po kuchni w postaci kłęбка futra, wrzeszcząc przeraźliwie.

Imbryk, choć młodszy, wie, kiedy nie zaczepiać konkurencji. Ani myślał ruszać się z miejsca. Czarny popatrzył na niego i odstąpił od zasadzki.

Po chwili oba wsuwały nowe porcje, bezpiecznie rozdzielone zamkniętymi drzwiami.

Przebrałam się w domowy dres. Pora na moją kolację. Co tam mamy... kocia wątróbka, kocie mielone, kocie serek, kocia śmietana... o, jest trochę brokuła. Tego koty nie chcą.

Brokuł. Zawiera mnóstwo witaminy A w postaci karotenu. Albo retinolu. Nie, retinol to w jajku. Obejrzałam zielony kalafior, powąchałam i odłożyłam na półkę. Ostatecznie jeszcze nieźle widzę w ciemności. Jajka. Tak, to jest to. Mnóstwo witamin i całej reszty, zabezpieczającej przed wszystkimi niedoborami. Pewnie jest w nich cały układ Mendelejewa. Co to dziś jadłam? Chyba nic; słodczyce i kawa raczej się nie liczą. W takim razie mogę sobie pozwolić na mnóstwo tłustych kalorii.

Telefon oderwał mnie od jajecznicy na szynce. Bogdankowa! Chciała wiedzieć wszystko o zwłokach w łodzi. Zdałam jej relację, podczas gdy mój pachnący talerz powoli pokrywał się zastygającym tłuszczem. Po pani Wiesi zadzwoniła Sylwia Prokop, potem Mila Lach, wreszcie, na koniec, moja mama.

- No, jak tam, kochanie? Bardzo się boisz? Może przyjechałabym do ciebie

na parę dni? Wiesz, samotna kobieta to łatwy łup dla bandziora. Właściwie to już się nawet spakowałam...

- Ależ nie, jestem zupełnie bezpieczna - rzekłam w panice – koty siedzą mi na łóżku – dodałam kłamliwie. Moja matka nie znosi kotów.

- Jak możesz pozwolić na coś takiego! Fu, brudasy! U mnie w domu nigdy tak nie było. Pamiętam, jak...

- I mam zepsuty telewizor – kontynuowałam - to jakaś poważniejsza awaria. Chyba trzeba będzie sprowadzić specjalistę z Gdańska.

- Ale powiedz mi dokładnie, co się stało.

- Było tak, że oglądałam mecz włoskiej ligi, Bufon miał bronić karnego, ten z przeciwnej drużyny już brał rozbieg, kopnął, i....

- Zepsuł ci telewizor? A to siłacz.

- Nie, po prostu wtedy zaczęło iskrzyć i nie działa. Spędzam wieczór przy świecach.

Matka nie lubi ciemnych pomieszczeń.

- Zawsze byłaś dziwaczką – stwierdziła teraz. – Żeby jakiś piłkarz miał dostęp do twojego telewizora. Nigdy o czymś takim nie słyszałam - westchnęła z ubolewaniem. - Pytałam o morderstwo. Żebym ja musiała się dowiadywać od sąsiadki, podczas gdy mam tam na miejscu córkę! Wstyd mi było! Taka okazja!

Musiałam się z nią zgodzić. Co okazja, to okazja.

- Dopiero wróciłam. Nawet nie zdążyłam nic zjeść – Zrelacjonowałam okoliczności znalezienia ciała. Matka słuchała uważnie, być może notując szczegóły w swym niewielkim notesie. Trzyma go przy telefonie i zapisuje wszystko, co uważa za istotne. Kiedy skończyłam, zasypała mnie pytaniami. Wzrost, wygląd, rozmiar buta zwłok. Kiedy umarł. A może sam się zabił? Jej znajomy miał szwagra, którego siostrzeniec się powiesił. Podobno strasznie pił. Szwagier, nie siostrzeniec. Z kolei jego bratowej siostra...

Przerwałam tę sagę.

- Policja nie ma wątpliwości, że to morderstwo. Jutro znów cały dzień będą przesłuchania, i ja jestem teraz mocna zajęta. Ale jeśli chciałabyś zająć się kotami, byłabym wdzięczna.

- W żadnym wypadku. Spodziewaj się mnie jutro rano. Ale powiedz mi jeszcze jedną rzecz.

- Tak?

- Jaki on będzie miał nagrobek?

O dwudziestej mogłam wreszcie spokojnie usiąść z Akuninem w fotelu. Czytanie jakoś mi nie szło. Wciąż miałam przed oczami postać Niedużego, jego obrzękłą twarz, ciastowaty dotyk ciała... Żeby odpędzić widziadło skupiłam umysł na żywych.

Policja w postaci inspektora Bieguna niekoniecznie musi być od razu

błyskotliwa jak słynny Sherlock Holmes czy choćby Erast Fandorin. Zewnętrznie z pewnością nie dorównuje tym szczupłym, sprawnym mężczyznom. Jeśli chodzi o intelekt... na razie trudno zgadnąć. Może mógłby rywalizować z Holmesem, ale rosyjski elegant jest z pewnością poza jego zasięgiem. Nie mówiąc o szczęściu. No i się nie jęka, ani nie pali fajki. Sierżant Rożek też nie przypomina Watsona, nie wspominając Masy, niezwykle sprawnego Japończyka na służbie Fandorina. Ciekawe, ile czasu zajmie im ustalenie, kto zabił nieszczęsnego Niedużego. Dysponują obecnie zupełnie inną technologią, te laboratoria, analizy z udziałem rozmaitych pierwiastków, mikroślady... Swoją drogą, winny pewnie jest jeden z gości. To od początku wydawało się oczywiste. Albo ten kolczyk. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy widziałam go w uszach Lidii Miler. Na łódkach? Chyba tak... Potem już raczej nie.

Jest niewątpliwie pierwszą podejrzaną. Z racji na motyw. Dzieci muszą po nim dziedziczyć, a w grę wchodzi miliony.

Musiałaby jakoś go zwabić na pomost. Zamknęłam oczy, usiłując wyobrazić to sobie. Najprościej by było zażądać pomocy, bo... bo co? Bo leży tam trup? Bo coś zgubiła? Nie, raczej powinna powiedzieć, że widziała zjawę, może ducha. To by na niego podziałało; coś niezmiernie.

Motyw, sposobność i środki. Wszystko wskazuje na nią, niestety. Ten nadrucliwy Biegun może też na to wpadnie.

Zdegustowana wizją Lidii w więzieniu, poszłam się myć. Co to jednak za przyjemność, ciepła wanna. Oparłam głowę o krawędź, rozluźniłam się i poczułam, jak uchodzi ze mnie napięcie ostatnich dni. Cisza, spokój, daleko od morderstw i kręcących się tu i tam policjantów. Nawet nie zauważyłam, kiedy zapadłam w drzemkę.

Czym innym jest przyjemna ciepła kąpiel a czym innym nagłe przebudzenie z uczuciem paniki w lodowatej cieczy. Zachłysnęłam się, zakrztusiłam i zerwałam na nogi. Na dole dzwonił telefon. Owinięta byle jak ręcznikiem chwyciłam słuchawkę.

- Postanowiłam jednak zostać w domu – oświadczyła moja matka.- Będziesz musiała dać sobie radę sama...

Poniedziałek, 6 października

Budzik zadzwonił o siódmej rano. To był ten rodzaj poranka, który wręcz zachęca do wyjścia z domu. Słońce błyszczało na niebie, widocznie pomyliwszy październik z sierpniem. Niewielkie, białe obłoczki wolniutko przesuwają się po bladoniebieskim tle, niczym oddział niezbyt zdyscyplinowanych owczarków

podhalańskich wypuszczonych lekkomyślnie na łąkę. Ciepło. Czyste, przejrzyste powietrze. Znakomita widoczność z prawej. Z lewej z kolei mogłam zaobserwować bez najmniejszego wysiłku, jak sąsiad w swojej sypialni drapie się po torsie. Im facet gorzej wygląda, tym chętniej się rozbiera. Nieraz nie wiem, gdzie oczy podziąć.

Od szosy dobiegł szum silnika. Mała honda wyskoczyła zza zakrętu i minęła mnie w pędzie, rozpryskując wokół błoto. Za kierownicą mignęła mi twarz Lidii Miler.

No, no. Policja ściąga podejrzanych w jedno miejsce. Musiała wyruszyć parę godzin temu, jeśli jedzie z Olsztyna. Zaraz dołączy do reszty w pensjonacie...

Co prędzej zamknęłam dom. Jeśli będę szybka, mogę ją nawet wyprzedzić – no, może nie wyprzedzić, ale szosą jest sporo dalej. Przebiegłam lasem, obojętna na wrzasy i błyski słońca w wodzie, i wyhamowałam tuż przed wejściem. Lidia właśnie wyciągała z bagażnika niewielką podróżną torbę.

Ruszyłam w jej stronę, ciężko sapiąc. Zerknęła niespokojnie w moją stronę, poznała mnie i leciutko uśmiechnęła. Z całej jej sylwetki emanował lęk, widoczny w układzie ramion i głowy, a nawet w powolnym, niezgrabnym chodzie.

- Co za okropna śmierć – powiedziała zamiast „dzień dobry”. - Co za okropna sprawa – dodała.

- Wróciła pani.

- Musiałam. Wczoraj pół dnia mnie maglowali miejscowi policjanci, a potem zadzwonił ktoś stąd, żądając mojego przybycia. Na wstępne przesłuchanie – tak to sformułował - Lidia Miler przetarła zaczerwienione oczy.

- Tutaj zrobili rewizję – oznajmiłam, gdy weszliśmy do środka. - Przetrzęsneli cały pensjonat.

- Zabrali rzeczy z walizki – odparła pani Miler. Wypytywali o wszystko. Jakiś koszmar. Prawie nie spałam dziś w nocy.

Na dole było pusto. Włączyłam czajnik, a Lidia poszła do łazienki. Pojawiła się po pięciu minutach, z wilgotnymi włosami i w innym stroju. Zmieniła wygodne spodnie i kurtkę z polaru na dwuczęściowy oficjalny kostium, odpowiedni zarówno do pracy, jak i na mniejsze wyjście. Na pogrzeb zresztą też. Neutralna beżowa bluzka, dyskretny makijaż, ciemne pantofle. Piłyśmy herbatę, a ja zastanawiałam się nad kanonem strojów zalecanych do poszczególnych sytuacji. Podobno w dyplomacji nie nosi się fioletu, bo to barwa biskupów, ani jasnego brązu, gdyż kojarzy się z ubóstwem. Kostium Lidii był ciemnoszary, kolczyki złote i wręcz minimalne, na palcach nie nosiła żadnych ozdób. Śmiało mogłaby iść na eleganckie popołudniowe przyjęcie. Jedyne dysonans stanowiły podkrążone oczy i spory plaster na lewej ręce.

- Skaleczyłam się wczoraj – rzekła w odpowiedzi na moje spojrzenie.

Opowiadałam właśnie o znalezieniu ciała, gdy przed budynek zajęchał

ciemnozielony samochód z inspektorem Biegunem za kierownicą. Sierżant Rożek, dziś oficjalny w marynarce i krawacie, niósł pod pachą papierową torbę nieznacznie obsypaną cukrem pudrem. Jego szef, wystrojony w granatowy garnitur i dopasowaną kolorystycznie koszulę starannie zamknął auto, po czym powoli zszedł na pomost. W milczeniu obejrzał łódzie, skupił się przez moment na rowerze wodnym, obrzucił wzrokiem jezioro, szepę, ścianę lasu. Obaj zatrzymali się na krawędzi desek, spoglądając w kierunku pensjonatu. Biegun mówił coś do sierżanta, machając rękami, a Rożek z niewzruszoną miną to kręcił, to kiwał głową. Wreszcie ruszyli w naszą stronę.

Wyszłam przed dom.

- Witam, witam, pani Figiel – inspektor uklonił się grzecznie, a jego wasal machinalnie powtórzył ten gest. - Chcielibyśmy zająć ten pokój ze szklanymi drzwiami i biurkiem, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

Nie miałam. Gabinet jest znakomity na przesłuchania. Ze schowka na szczytki słyhać prawie wszystko, co tam się mówi. Policjanci poszli tam od razu, po drodze prosząc o kawę i herbatę. Waldek Rożek zatrzymał się jeszcze w drzwiach kuchni.

- A czy ma pani może herbatę brzoskwińową? – zagadnął.

Po paru minutach zajrzałam do schowka. Cienka ścianka oddzielająca go od gabinetu została chyba później dobudowana, bo akustyka nie ustępuje teatrom muzycznym. Zresztą w pensjonacie zawsze jest coś do roboty. Składanie pościeli, sprawdzanie koców, zapasowych sztućców i naczyń...

- Widziałeś, Rożek, jak teren tu opada w kierunku wody – dobiegł mnie stłumiony głos Bieguna – drzwi otwierają się wprost na pomost. Łatwo można stoczyć się w dół, do jeziora.

- Uhm. Z salonu też – potwierdził sierżant.

- Zawsze się grzebią z sekcją – burczał inspektor, prawdopodobnie maszerując wzdłuż ściany. - Wczoraj nie wiedzieli nawet, gdzie zginął.

- Padało.

- Wiem, burza, pioruny, błyski. Jak w horrorze. Widzę tę scenę – Biegun zapewne gestykułował, bo dobiegł mnie szelest materiału - Miler wychodzi na zewnątrz zaniepokojony jakimś nietypowym dźwiękiem, albo wywołany przez mordercę, wokół strugi wody, ciemność co i raz rozjaśniają wyładowania elektryczne o niezwykle wysokim napięciu... A słyszeliście o piorunach kulistych?

- Tak.

- To powiem, że powstają z ziemi. Zrobiono zdjęcia, na których widać, jak taka piłka wylania się z gruntu, błyszczy, świeci, po czym unosi się na kilkanaście metrów. Co się dzieje potem, nie wiadomo, bo ludzka aparatura nie nadążyła za piorunem... swoją drogą, jak to być może? Przedziwne, Rożek, przedziwne.

- Tak jest, proszę pana.

- Tutaj jednak nie było uderzenia pioruna – zdawało mi się, że inspektor był tym rozczarowany. – Ale nie traćcie ducha, Rożek. Zdaje się, że sprawa morderstwa w łodzi też będzie w jakiś sposób przedziwna.

- Ma pan na myśli tą wygraną?

- Nie tylko, Rożek, nie tylko. Sam pomyśl, żeby zgromadzić tu tych ludzi jest dziwaczny. Spójrzcie – każdy miał motyw.

- Pani Łucja i pani Lola chyba nie.

- Z pewnością coś się znajdzie... ale nie odrywajcie mnie od wątku. Miler dotychczas zachowywał się raczej normalnie. Ożenił się, rozwiódł, miał stabilną pracę... A raptem głupieje i mówi coś o głoszeniu nowej nauki. Niech sobie głosi. Ale dlaczego ich tu zebrał? Co nim kierowało? Czemu ustabilizowany szef oddziału jednej z bogatszych firm farmaceutycznych zaprasza skonfliktowanych ze sobą ludzi na takie pustkowie? Czemu chce za nich płacić? Według tego faceta, Wiluka, był raczej skąpy.

- Mnie to wcale nie dziwi – sierżant chyba coś jadł – może chciał się pochwalić wygraną.

- Mógł to zrobić w Warszawie, w najlepszej knajpie. Wyszłoby mu pewnie taniej. Zostawcie mi jednego pączka. No? I co wy na to?

Zapadła cisza, ale inspektor chyba wcale nie oczekiwał od sierżanta odpowiedzi, bo zaraz podjął:

- Musiał mieć jakiś cel. Ludzie racjonalni nie zachowują się nieracjonalnie, Rożek. Zresztą, jeszcze za mało o nim wiemy. Według pani Ali był paskudnym, nieszczerym typem. Według Janusza Wiluka dobrym przyjacielem, według Łucji wymagającym szefem, a pan Adrian uważał, że należy mu się lepsze stanowisko w firmie, i że Miler mu je obiecał. Z kolei żona... no właśnie. To jej kolczyk był w dłoni denata. Bardzo uprzejmie, że go tam zostawiła. Jak na razie jest naszym numerem jeden.

- Dzwonili z Olsztyna. Przefaksowali nam spis rzeczy, jakie zabrała ze sobą na ten wyjazd. Nie znaleźli nic specjalnie mokrego. Prócz ręcznika kąpielowego.

- Dobrze, Rożek, to teraz ją poprośmy.

- Już tu jest? Zdążyła?

- Na parkingu stoi honda z olsztyńską rejestracją, wczoraj nieobecna. To musi być ona.

Trzasnęły drzwi i usłyszałam kroki Bieguna na korytarzu. Musiał natknąć się na Lidię od razu, bo po chwili dobiegło mnie szuranie i szelest papieru. Widać sierżant brał się za notowanie.

Zamieniłam się w słuch. Pani Miler podała wiek, adres, miejsce pracy. Potem nastąpiło szczegółowe wypytywanie o relacje z byłym mężem, jego zwyczaje, majątek, przyjaciół.

- Nie miał wielu bliskich osób. Janusz to chyba jedyny kolega, z którym

utrzymywał znajomość. Oczywiście związał się z Lolą Bartnik – Lidia urwała.

- Tak, hm, to też istotne – Biegun odchrząknął i wyobraziłam sobie, jak niecierpliwie układa w stosik chusteczki papierowe, pączki, albo talerzyki. Cokolwiek, co jest na stole. - Jak długo się znali?

- Poznali się przez Janusza. Oskar wręcz oszalał... stracił dla niej głowę. To było tak może rok temu. Wystąpiłam o rozwód dwa miesiące później. Zgodził się od razu.

- Nie robił trudności?

- Nie mógł. Jego wina była bezsprzeczna; w końcu mnie zdradzał. Ja jednak zgodziłam się na rozwód bez orzekania o winie, zatem sąd załatwił to na pierwszej sprawie.

- A dzieci?

- Przyznano mi alimenty.

- Mąż płacił regularnie?

- Nie, wcale nie płacił. Wciąż tylko obiecywał. Miał taki sposób na ludzi. Obietnice, obietnice, zapewnienia. Jakoś wzbudzał zaufanie. Czasem się zastanawiam, co robił z tymi pieniędzmi, które zarabiał, i które pożyczał... na dom ich nie dawał.

- Był hazardzistą? Lubił kosztowne zakupy? Zmieniał kochanki? To bardzo droga sprawa, te kochanki. Podobno i trzech pensji za mało – westchnął inspektor Biegun.

- Skąd pan wie, szefie? – spokojny głos sierżanta zabrzmiał w chwili ciszy, zapewne poświęconej liczeniu kosztów na luksusowe kobiety.

- Cicho, Rożek, jesteście jeszcze za młodzi na takie rzeczy. Nie czytaliście w „Lalce”? Im kobieta starsza, tym droższa. Pewnie dlatego niewielu stara się o względy sześćdziesięciolatek.

- Tak jest, szefie. Zapamiętam.

- Wspominam o tym dlatego – wyjaśnił Biegun – że pani Bartnik ma czterdziestkę. Może być wymagającą finansowo osobą.

- Zapewne tak – ostrożnie stwierdziła Lidia.

- Jak pani się czuła, kiedy... dowiedziała się pani o Loli?

- Może trudno będzie w to uwierzyć – Lidia mówiła powoli, ważąc każde słowo – ale odczułam ulgę. Sytuacja wreszcie stała się jasna - zamilkła na chwilę. Do moich uszu dobiegł brzęk łyżeczki o kubek. Pewnie inspektor budował zamek. Albo grał w bierki za pomocą widelczyków.

- Musi pan... muszą panowie zrozumieć, że od dawna chciałam odejść. Powstrzymywały mnie wyłącznie dzieci, jakieś wpojone dawno przekonanie, że rodzina powinna być razem, nawet jeśli ojciec nie jest odpowiedzialny. On wciąż żył na kredyt. I kłamał, oszukiwał, głównie w sprawach finansowych. Odwiedzali nas wierzyciele, niektórzy z nich byli agresywni. Musiał podawać im nasz adres.

Zaczęłam się bać, ale Oskar zawsze potrafił mnie uspokoić, obiecywał, że to się zmieni, sam piętnował własne błędy... po czym popełniał takie same. Teraz wiem, że te zapewnienia, obietnice, były kłamstwem dla świętego spokoju.

- Miał długi?

- Bez przerwy i ciągle większe. Płacił za artykuły w prasie. Chciał rozgłosu, spotykał się z dziennikarzami, nawet ufundował dla nich nagrody... wydawał przyjęcia. To było – Lidia urwała, szukając odpowiedniego słowa – żenujące. Nie widział, że śmieją się z niego za plecami.

- Rożek, sprawdźcie te artykuły. Gdzie je publikował?

- Och, w wielu lokalnych pismach. W dużych dziennikach także. Pewnie są w jego domu, w osobnym segregatorze. Przeszukaliście dom?

- Zrobimy to – zapewnił sierżant Rożek.

- Czy pamięta pani tych wierzycieli? Byłbym wdzięczny za nazwiska, jeśli się przypomną. Był wśród nich ktoś szczególnie?

- Pamiętam jedną kobietę. Robiła wrażenie wyznawczyni wschodniej religii. W średnim wieku, obwieszona paciorkami, z amuletem na ręku. Przychodziła kilka razy po obiecane opracowania, cokolwiek to było.

- Pan Miler zajmował się takimi rzeczami?

- Czemu nie. Był bardzo inteligentny i interesował się wszelkimi wyznaniami. Lubił pisać. Wydał nawet książkę, własnym kosztem. Dla mnie to bełkot, ale on był z niej dumny. Co do tej pani, to nie pamiętam, jak się nazywała. Ale przedstawiła się, pełnym imieniem i nazwiskiem. Inni wierzyciele zwykle tylko mamrotali coś pod nosem.

- Piszcie, Rożek, trzeba ją znaleźć. I przestańcie gryźć ten ołówek. Był ktoś jeszcze?

- Mężczyzna, niewysoki, ale mocno zbudowany. W dresie. Przestraszył mnie. Sam fakt, że ci wszyscy ludzie znali nasz adres, już był okropny. Ten człowiek przychodził kilka razy. Mąż powiedział, że to nikt ważny, i że chodzi o drobiazg. Ale ja się bałam... nawet bardzo. Był taki bezczelny. Zachowywał się, jakby wszystko w domu należało do niego.

- Często przychodził?

- Trzy... może cztery razy. Potem przestałam w ogóle otwierać drzwi obcym. Wpuściłam tylko tego księdza.

- Księdza?

- Tak, w sutannie i koloratce. To musiało być rok temu, krótko przed rozwodem. Starszy człowiek, bardzo uprzejmy i bardzo zmartwiony. Szukał Oskara. Nawet nie wiedział, gdzie on pracuje!

- Mówił, o co chodziło?

- Nie, nie chciał nic powiedzieć. Zaprosiłam go na herbatę – robił wrażenie zmęczonego – ale odmówił. Wziął adres pracy męża i poszedł.

- Może to był ktoś przebrany – zasugerował sierżant.

- Nie, absolutnie. To był prawdziwy duchowny. Ksiądz.

- Skąd pani wie?

- Brat cioteczny mojego ojca jest księdzem. Często go widzimy, innych duchownych też. Tego nie da się podrobić.

- Pytała pani męża o tę sprawę?

- Stwierdził, że to już załatwione. Nie podał żadnych szczegółów. Ale pewnie kłamał, jak zwykle. Ten staruszek wyglądał na człowieka, który w ogóle rzadko wyjeżdża ze swojej parafii. To musiało być dla niego bardzo ważne – Lidia mówiła teraz prędko, wręcz łykała końcówki słów – do tej pory martwię się, że Oskar go oszukał.

- Może nie było tak źle – pocieszył ją sierżant. – W końcu spłacał długi.

- Nie, nie wszystkie. Tylko te, które musiał. Kredyty.

- Przejdźmy teraz do ostatnich wydarzeń – wtrącił inspektor Biegun. Słyszałam, jak spaceruje od ściany do ściany w ciasnej przestrzeni gabinetu. - Co skłoniło panią do przyjazdu tutaj, do pensjonatu?

- Oskar. Zaprosił mnie i obiecał, że zapłaci alimenty, a może i będzie bardziej hojny. W końcu wygrał milion.

- Znowu mu pani uwierzyła – Biegun powiedział to zupełnie neutralnie.

- Znowu mu uwierzyłam? Tak, pewnie, że tak. W tym był dobry. Ale właściwie nie miałam nic do stracenia. Najwyżej wyjechałabym wcześniej.

- Wiedziała pani o jego planach dotyczących głoszenia nowej wiary? Wspomniał o tym?

- Gdybym wiedziała, że planuje coś takiego, nigdy bym się tu nie zjawiała.

- Jak spędziła pani sobotę?

- Ze wszystkimi - chwila przerwy. Widać Lidia się namyślała. Ja na jej miejscu miałabym już ułożony plan dnia od początku do końca. Tak jest zawsze w kryminałach.

- Nie, jednak nie. Rano chciałam popływać łodzią, wykorzystać, że jest pusto i cicho. Kiedyś marzyłam o pływaniu kajakiem o świcie. Niestety, spotkałam Janusza. Zabrał się ze mną w poczuciu jakiejś dziwacznej galanterii. Cały czas gadał. Wróciliśmy po godzinie, zaczęła mnie boleć głowa. Łyknęłam proszek...

- Jaki? – zaciekawiał się sierżant. – Mnie pomaga aspiryna. A siostra bierze zwykle ibuprofen.

- Cicho, Rożek. Najlepszy jest paracetamol z dodatkami.

- To było... nie, nie pamiętam. Coś na „k”. Ketoprofen. Potem zeszłam na śniadanie. Oskar mówił, że będzie rozmawiał z każdym z nas, jakby był jakimś udziałowym księciem. Irytował mnie. Ale chciałam jeszcze popływać, a pogoda była piękna. Wybraliśmy się w trzy łodzie. Na pierwszej wyspie doszło do ostrej wymiany zdań między mną a Oskarem i zostałam tam z Januszem, a reszta

odpłynęła.

- Pokłóciliście się?

- Tak, chyba tak. Ale on już po chwili się tłumaczył i znów zapewniał, że zabezpieczy dzieci. Może wstydził się gości.

- Podobno spoliczkowała go pani.

- Tak. Doprowadził mnie do szału, wspominając o opiece społecznej. Jakby miał w nosie własne dzieci! Zrozumiałam, że wcale go nie obchodzą.

- Myśli pani, że to był rodzaj zemsty? Ta opieka społeczna, która miała odwiedzić pani mieszkanie?

- Zemsta? – Lidia była zdumiona – za co zemsta?

- Niektórzy mężczyźni traktują rozwód jak osobistą porażkę. A rozumiem, że to pani wystąpiła z wnioskiem rozwodowym.

- Nie. Oskar nie był taki. Nie był mściwy. On był chyba po prostu niemądry, z tą całą bufonadą i odgrywaniem ważniejszego niż jest. No i myślał, że pieniądze - prezenty i drogie gadzety zjedną mu szacunek innych.

- Ciekawe, ciekawe. To dlaczego tak zrobił?

- On chyba naprawdę wierzył w swoje posłannictwo. Przypuszczam, że spodziewał się mojej zgody na przebywanie z nim dzieci z racji na pieniądze. Status. Taki już był. Myślał, że pieniądze to wszystko. Nie przyszło mu do głowy, że są ważniejsze od nich rzeczy.

- Ale naprawdę wezwał opiekę społeczną?

Lidia westchnęła.

- Tak. Byli w domu. Oczywiście nie mogli się do niczego przyczepić – dzieci są zadbane, pod opieką babci.

- Zatem musiał zdawać sobie sprawę, że pani nie ustąpi bez walki.

- To była tylko próba na wypadek, gdybym nie dała się przekonać. Taki rodzaj broni drugiego typu. Sam mi to powiedział.

- Kiedy?

- Po południu, kiedy wróciłam znad morza. Zajrzałam do niego przed kolacją. Siedział przy biurku, tam gdzie pan teraz.

- A gdzie byli inni?

- Nie wiem. Ja wybrałam się nad morze tuż po powrocie z łódek. Spacerowałam i myślałam. Postanowiłam jeszcze raz z nim porozmawiać. W końcu wygrał miliony. Mógł okazać się choć trochę wielkoduszny.

- Spodziewała się pani czegoś konkretnego?

- Jak najbardziej. Pieniądzy. Oskar zaproponował mi jednak wyłącznie... wsparcie duchowe.

- Ludzie rzadko się zmieniają pod wpływem fortuny. Widać pan Miler nie był skory do rozdawania świeżo zdobytego majątku. Pokłócili się państwo?

Zapadła cisza. Równo po czterech sekundach (moje serce uderzyło

w międzyczasie cztery razy) Lidia odrzekła:

- Absolutnie nie. Z nim nie dało się kłócić. Od razu przybierał wzniosły ton, i... - urwała nagle. – O co jeszcze chce pan zapytać?

- Niestety, Niestety, muszę się dowiedzieć czegoś jeszcze. Być może będę musiał jeszcze się z panią spotkać.

- Jak to? Ja muszę wracać do domu, do pracy...

- Ależ oczywiście. Teraz proszę mi powiedzieć, czy pan Oskar zostawił testament.

- Nic mi o tym nie wiadomo – głos Lidii był chłodny.

- Powiedziałby pani, gdyby go sporządził?

- Wątpię, czy od razu. Ale po pewnym czasie by się wygadał. Lubił mówić.

- Dobrze. Czy nie zdziwiłoby pani, gdyby się okazało, że zapisał wszystko bratu?

- Zrobił to? – spokojny, wyważony głos zmienił się w pisk.

- Nie mamy na razie pewności. Nie dotarliśmy do... jak to pani powiedziała? Segregatorów męża. Ale słyszałem taką pogłoskę, tak.

- Jego brat zaginął przed laty. To znaczy wyjechał. Pewnie już nie żyje. Oskar zwykł mówić o nim szeptem, jak o zarazie. Trudno wam będzie go znaleźć.

- Wcale nie tak trudno. Jest tutaj, w tym pensjonacie. Spokojnie, spokojnie. Niech pani nie mdleje! Rożek, dajcie wody. Nie herbaty, wody.

Nastąpiło krótkie zamieszanie. Z odgłosów domyśliłam się, że inspektor udał się do kuchni. Wyszłam ze schowka.

- Ma pani koniak, wódkę? Dobrze. Proszę odrobinę.

Kiedy zniknął za drzwiami z kieliszkiem, powróciłam na stanowisko. Wcale nie jestem ciekawska. Po prostu lubię wiedzieć, co się dzieje.

Dobiegł mnie głos Bieguna.

- No już, dobrze. Strasznie pani zbladła. Czy możemy dalej rozmawiać?

- Tak – głos Lidii znów brzmiał spokojnie. – To było po prostu jak grom z jasnego nieba.

- Zna go pani?

- Nie osobiście. Wyjechał wiele lat temu. Nie było go na naszym ślubie, nawet nie przysłał życzeń. Oskar wspominał go tylko przy rodzicach, a i to wyjątkowo. Jak miał na imię... zaraz. Już mam. Feliks.

Feliks - westchnęłam w schowku. Piękne imię.

- Zatem nigdy go pani nie spotkała.

- Nigdy.

- Wróćmy do sobotniego popołudnia. Gdzie pani pojechała po powrocie z przejażdżki łodziami?

- Nad morze. Nie znam okolicy. Kierowałam się mapą. Dojechałam do jakiejś wsi i poszłam na plażę. Długo spacerowałam.

- Bardzo długo. Chyba z trzy godziny. Tak, Rożek?
- Dobiegł mnie szelest kartek notesu sierżanta.
- Wyjazd około czternastej. Powrót – około siedemnastej – głos był nieco stłumiony. - Potem kolacja, potem spać. Aż do rana.
- Spotkała pani kogoś po drodze? Albo nad morzem?
- Kilka osób spacerowało. Starsi ludzie, człowiek z psem... Ale dlaczego pan pyta?
- Zawodowa dokładność. Czyli wróciła pani godzinę przed kolacją. Porozmawiała z mężem. Co było dalej?
- Wzięłam prysznic, zmyłam z siebie piasek, przebrałam się...
- Co pani włożyła?
- Doprawdy, inspektorze. Ma pan szerokie zainteresowania – cierpko odparła Lidia Miler. – Miałam na sobie pomarańczowo – czerwoną tunikę z jedwabiu, na nogach granatowe spodnie, wykonane z mieszanki bawełny i elastanu, na stopach niebieskie pantofle. Tworzywo sztuczne. Bielizna też pana interesuje?
- Na razie nie. A w uszach?
- Na lewej ręce zegarek – o, właśnie ten, sierżancie, a w uszach kolczyki. Srebrne, długie, pięknie wykonane, z szafirami.
- Takie jak ten?
- Cisza. Tym razem jeszcze dłuższa. Moje serce uderzyło dwanaście razy.
- Tak, takie same. Właściwie wygląda jak mój. Skąd pan go ma? Gdzie był?
- Znalaziono go w zaciśniętej dłoni denata.
- Usłyszałam westchnienie. To pewnie Lidia brała oddech.
- Może nam pani pokazać swoje kolczyki?
- Tak – sześć uderzeń serca. - Właściwie nie wiem... nie jestem pewna. Po kolacji byłam zdenerwowana. Mogły mi wypaść. Zapięcia nie są w najlepszym stanie.
- Byłbym wdzięczny, gdyby pani pokazała mi je mimo wszystko.
- Mówię, że ich nie mam! Nie pamiętam, co z nimi zrobiłam!
- Rożek.
- Tak jest, szefie - sierżant zaczął odczytywać listę:
- ...pantofle niebieskie, mokry ręcznik kąpielowy, dres czarny, kurtka, puderniczka, cienie do powiek, krem na noc, krem na dzień, jeden kolczyk srebrny, zwisający...
- To lista przedmiotów, jakie miała pani przy sobie w samochodzie podczas powrotu do Olsztyna w niedzielę rano. Policjanci nie pozwolili pani zabrać nic z bagażu. Zatem musi pani mieć ten kolczyk. Powiedziałbym, że z pewnością pani go ma. Co się pani stało w rękę?
- Nic, zwykle skaleczenie. A kolczyki pewnie zostały w Olsztynie.
- Denat denerwował panią, straszyl odebraniem dzieci, nie chciał na nie

łóżyć. Na dokładkę zamierzał rzucić pracę. Paradował w towarzystwie niezwykle atrakcyjnej modelki, dla niej nie żałował środków... a pani dzieci nie miały nawet własnego mieszkania! Mogła pani czuć się pokrzywdzona – w głosie inspektora przez moment zabrzmiało zrozumienie. - Była pani z nim sama cały wieczór, gdy reszta gości udała się do restauracji. Potem już nikt go nie widział. Ma pani skaleczoną rękę, a przy zwłokach znaleziono kolczyk być może w szamotaninie ściągnięty z pani ucha.

Słyszałam kroki Bieguna. Raz, dwa, trzy. Przerwa. Raz, dwa, trzy. Przerwa.

- Czy zabiła pani Oskara Milera?

- A skąd! To znaczy. Nie zabiłam go. Od razu poszłam spać! Spałam jak zabita, jeszcze rano byłam oszołomiona! Nic nie słyszałam! Wyjechałabym wieczorem w sobotę, gdyby nie burza!

Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Tańczy walca czy co?

- To dobrze. W takim razie dziękuję pani. Na razie. Sierzancie!

- Tak jest, szefie.

- Jeszcze kawy. I chodźmy na pomost. Chwila przerwy.

Ledwie zdążyłam do kuchni. Lidia była nadal blada, ale na policzkach pokazały się jej rumieńce, a oczy nienaturalnie błyszcząły. Stała przy stole, a potem nagle klapnęła na krzesło, jakby uszło z niej całe powietrze.

Ścisnęło mi się serce. Wyglądała na załamana. Na osobę bez nadziei. Rano przyjechała zmęczona, wylękniona, ale nie przegrana. Przypomniałam sobie błysk w jej oku, gdy mówiła o podróży z dalekiego miasta. Gotowa do konfrontacji.

Teraz kojarzyła się z myszą zagonioną przez kota do pułapki w ciemnym kącie.

Policjanci wyszli przez balkonowe drzwi. Wyrzałam za nimi. Poszli do szopy, potem zainteresowali się łodziami, wreszcie siedli na ławce. Sierżant telefonował, a jego szef wystawił twarz do słońca. Nawet z daleka wyglądali na dwu facetów na służbie.

Skojarzyli mi się z kimś jeszcze. Wróciłam do kuchni.

- Siedzą nad jeziorem. Bardzo panią wymęczyli?

Pani Miler nadal siedziała przy stole, nieruchomym wzrokiem spoglądając w okno.

Chyba wcale mnie nie usłyszała.

- Chce pani herbaty? Kawy?

Lidia spojrzała na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- Tak?

- Mam herbatę, kawę, ciastka i czekoladę – dodałam, wiedząc z osobistego doświadczenia, że ta ostatnia działa dobrze na nastrój. Szybko ustawiłam na stole wymienione rzeczy. Lidia machinalnie wzięła kubek z herbatą. Nie zaczęła jednak pić, tylko obracała go w dłoniach.

Siedziałyśmy parę minut w milczeniu. Za oknem słońce wznosiło się coraz wyżej. Jakiś zbłąkany motyl przysiadł na szybie. Zbudziła się mucha. Z brzękiem zaczęła zataczać kręgi nad naszymi głowami. Poirytowana podeszłam do okna, łapiąc po drodze gazetę. Wypędzę paskudę!

Nie zdążyłam. Lidia błyskawicznym ruchem dłoni zabiła owada, po czym z obrzydzeniem strząsnęła go na ziemię.

- Nie cierpię much! Namolne jak ta policja!

Przez chwilę gapiłam się nią, zaskoczona reflekssem dotychczas raczej powolnej kobiety.

Pani Miler tymczasem wypila herbatę, połknęła dwa kawałki czekolady, poprawiła ciastkiem i wyprostowała ramiona.

- On myśli, że to ja zabiłam Oskara. Bałwan. Nie umie nawet usiedzieć spokojnie w miejscu. „Chcę zobaczyć kolczyk” – przedrzeźniała Bieguna. Doskonale wie, że ma go w ręku! – napiła się jeszcze. - Najgorsze jest to, że policja, jak sobie kogoś upatrzy, to już nie szuka innych możliwości... innych zabójców.

- Mnie też pytali o kolczyk. Inspektor pokazał mi go wczoraj i pytał, czy już go widziałam – przyznałam ze skruchą. - Wszystkich nas o to pytał. O co tu chodzi?

- Powiedział, że Oskar miał go w dłoni! Nie do wiary. Musiał mi gdzieś wypaść – usiadła wygodniej, wyprostowała nogi. Zmarszczyła czoło. – Miałam je podczas kolacji, gdy zaskoczył nas swoimi planami. Potem wyszłam.

- Pakowała się pani – przypomniałam sobie moment, gdy płacząc siedziała na łóżku wśród powyciąganych z szafy ubrań. - Może wtedy...

- Nie! Wcale ich nie zdjęłam. Zeszliśmy na dół, tam był podpity i mokry Janusz, pani też była mokra... Poszłam po dres czy sweter... Tak, na siebie też coś włożyłam. Sporo biegania po schodach, później jeszcze byłam w kuchni, w salonie.

- A kiedy ostatnio na pewno je pani miała?

- Na górze, kiedy się pakowałam. Jak pani do mnie zajrzała. Tak, pamiętam, były oba, bo przez chwilę zastanawiałam się, czy ich nie zdjąć i nie schować. Czasem się rozpinają. Później nie wiem – umilkła, wyraźnie starając się przypomnieć sobie szczegóły wieczoru. – Pryszyć, koszula nocna. Nie jestem pewna. Nie pamiętam.

- Inspektor oskarżył panią o śmierć męża?

- Tak, ale nie wprost. Dał mi do zrozumienia, że mnie podejrzewa. Chyba miałam motyw. Byłam z nim sama cały wieczór. Wiem, że mi nie uwierzył, kiedy wspomniałam, że szybko poszłam spać. Nie wiem, co zrobić – powiedziała bezradnie – nie wiem, co mam teraz zrobić.

- Może powinna pani mieć prawnika – mruknęłam cicho. – Powiedziałby co mówić, a może nawet gadałby za panią.

- W tej chwili nie stać mnie na to – Lidia nerwowo kręciła się na krześle –nie mogę sobie na to pozwolić. Wynajmujemy mieszkanie, ledwie starcza na życie. Ten milion to była taka szansa!

- W takim razie musimy udowodnić, że kto inny zabił Milera.

- Musimy? O kim pani mówi?

- O sobie. I pani - dodałam po namyśle.

- Dlaczego chce mi pani pomagać?

- Powiedzmy, że nie wierzę w pani winę. Zresztą Nied... pan Miler był facetem. Powinien przewidzieć różne sytuacje. Nie bardzo dawał się lubić.

- Prawda? Ale przecież nie ma innych podejrzanych. Nie potrafię sobie wyobrazić, komu jeszcze mogłoby zależeć na jego śmierci. Ci ludzie tutaj są... tacy nieszkodliwi. Taka Lola! Albo Adrian! Umarłby ze strachu, gdyby miał jakieś kłopoty z prawem. A Janusz! Jedyny człowiek, który się nie zraził do Oskara. Wierny przyjaciel - zamilkła na moment - Zresztą żadne z nich nie korzysta na jego śmierci.

- Nie korzysta finansowo. Chyba. Ale tego też nie wiemy. Może chodzi o jakieś sprawy z przeszłości. O niespłacone długi. Nadużyte zaufanie, domniemane krzywdy... możliwości jest dużo.

- A jeszcze ten brat – Lidia wzdrygnęła się nerwowo. - Wyskoczył jak diabeł z pudełka. Co on tu robi?

- Przyjechał wczoraj rano. Właściwie to on kierował poszukiwaniem Oskara. Energiczny mężczyzna.

- Mówił coś o sobie? Czemu tu przyjechał?

- Myślę, że trzeba go o to spytać. Mieszka w pensjonacie. A pani gdzie się zatrzyma?

-Też chyba tutaj. Tak naprawdę to zamierzałam wracać dziś do domu.

- Ten Biegun – kazał pani zostać?

- Nie. Wspomniał tylko o dalszych rozmowach.

- W takim razie może lepiej poczekać jeszcze jeden dzień. Chyba, że woli pani dojeżdżać z Olsztyna.

- Och, zobaczymy. Jeszcze dzień. – nabrała i wypuściła powietrze, prostując ramiona. Ja tak robię, kiedy szykuję się do nie ulubianej pracy. - Muszę poznać tego brata. – Lidia wstała z krzesła. – W którym pokoju mieszka?

- W tym, w którym pani nocowała. Pewnie jeszcze śpi – dodałam, choć jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Już minęła ósma. Taki gość pewnie czai się w lesie z lornetką. Albo ćwiczy wspinaczkę po drzewach. Albo nurkuje w jeziorze uzbrojony w nóż na rekiny.

Zadudniły kroki na schodach. A oto i on, Niemożliwy, w wersji porannej - ogolony na błysk, z wilgotnymi włosami zaczesanymi do tyłu, w typowej dla Niemożliwych kolorystyce khaki. Zwróciłam uwagę na kilka jaśniejszych pasów

na przedramieniu. Blizny.

Wszedł do kuchni jak do siebie, kiwnął nam głową i włączył ekspres. Widać nie należał do rozmownych.

Gapiliśmy się na niego jak dwie sroki w dwa gnaty. Chyba odczuł siłę tych spojrzeń, bo obejrzał się na nas z czymś w rodzaju krzywego uśmiechu.

- Chyba mówi się dzień dobry – mruknął jakby do siebie. – Dzień dobry paniom – powiedział, impertynencko mierzając mnie wzrokiem.

- To jest właśnie pan Feliks Miler – oświadczyłam zupełnie zbytecznie. Nie wyglądał przecież jak Janusz, Adrian czy Lola. Musiał być Zaginionym Bratem Denata.

- A ja jestem Lidia Miler – Była Żona Denata wyciągnęła do niego rękę.

Uściskał ją ostrożnie, po czym zaburczał – Kawy?

- Nie, już piłyśmy – Lidia usiadła przy stole. – Chciałabym zapytać pana o kilka rzeczy. Jeśli można – dodała układnie.

Niemożliwy nie wydawał się zdziwiony faktem, że nieznajoma była żona byłego brata zamierza go wypytywać. Nalał sobie kawy, usiadł tak, by mieć na oku drzwi i okno, a za plecami ścianę, i spojrzał na nas pytająco. Najwyraźniej ani myślał odzywać się z własnej inicjatywy. Może powinien nazywać się nie Niemożliwy, tylko Mrukliwy? Albo Mruczaty. Nawet dobrze się komponuje z imieniem. Feliks Mruczaty.

- Skąd pan... skąd pan wiedział, że Oskar tu jest? – zaczęła niezręcznie Lidia.

- Sam mi powiedział – odrzekł Niemożliwy Mruczaty. Zerknął w okno. Zerknął na drzwi. W moim umyśle pojawiła się wizja Nieduzego z nożem w piersi, mówiącego martwymi wargami: „Jestem w łodzi „U Dunaja”. Właśnie mnie zabili”. Widać coś z tego odzwierciedliło się na mojej twarzy, bo nagły, szybko stłumiony uśmiech zmarszczył mu kąciki oczu i ust.

- Zatelefonował do mnie dzień przed wyjazdem na Pomorze. Bardzo chciał, żebym przyjechał. Odmówiłem mu. Dopiero co wróciłem z daleka i chciałem uporządkować swoje sprawy.

- Ale przecież jest pan tutaj.

- Tak, pani profesor. Zmieniłem zdanie. Czasem mi się to zdarza.

- Gdzie pan się podziewał przez te wszystkie lata? – Lidia patrzyła na niego z niedowierzaniem – I dlaczego akurat teraz...?

- ...wróciłem? Przyszedł czas na zmiany.

- Wiedział pan o wygranej?

- To była pierwsza rzecz, o której mi powiedział. Chciał mnie tym zachęcić do przyjazdu - przyjrzał się nam uważnie. – Byłem ciekaw, czy się zmienił. Nie widzieliśmy się ponad siedemnaście lat. Wyjechałem, gdy jeszcze studiowałem.

- Czyli Oskar sam pana zaprosił?

- Tak, pani profesor. Zadzwoiłem do niego po powrocie, a potem, po kilku dniach on zadzwonił i zaprosił mnie tutaj.

Dość tego.

- Proszę mówić do mnie po imieniu – rzekłam surowo – nie jestem żadnym profesorem. Niech pan teraz mówi, szczerze, jak na spowiedzi – co spowodowało, że pan zmienił zdanie?

- Tak jest, pani Alu – pamięta moje imię! – Powiem wszyściutko. Taka bystra osoba jak pani i tak mnie rozszyfruje. Przyjechałem jeszcze przed nim. Byłem w Lęborku od piątku rano. Byłem tutaj po południu, kiedy jakaś blond dziewczyna wychodziła z tego domu. Trochę sprawdziłem teren. W sobotę kręciłem się też w pobliżu, ale potem naszła mnie chęćka na kąpiel w morzu, więc wybrałem się na plażę.

Kiwnęłam głową. Musiał widzieć Sylwię Prokop wychodzącą z pensjonatu. Potem był na plaży i miał mokre włosy. Przynajmniej ta część jest prawdziwa. Ale niech nie myśli, że będzie kręcić!

- Jak ubrany był Oskar w sobotę na łodziach?

- Tak samo jak teraz. To znaczy, miał te same spodnie i kamizelkę, co później, kiedy już nie żył.

Zatem rzeczywiście obserwował nas podczas sobotniej wycieczki łodziami. Indagowałam dalej:

- Dlaczego pana zaprosił? Był sentymentalny?

Zauważyłam, że Lidia nieznacznie się poruszyła. Podejrzewanie Niedużego o sentymenty chyba nie wchodziło w grę. Niemożliwy (jednak nie Mruczaty) odparł od razu:

- Rozmawiałem już z resztą gości. Nie łoży na dzieci, nie obchodzi go żona, nie interesuje się bratem... chyba trudno posądzać go o przywiązanie do rodziny czy jakiegokolwiek sentymenty. Zaprosił mnie, bo chciał mieć kogoś w rodzaju ochroniarza. Dał mi do zrozumienia, że jest teraz bogaty i może być obiektem... kradzieży?

Wyobraziłam sobie przygiętego zbójcę w czerni, w masce z otworami na oczy, wymykającego się z pensjonatu z Niedużym w worku.

- On się bał! – wykrzyknęła Lidia. – Jakie to dziwne. Całe życie na kredyt, a teraz dopiero strach.

- Tak, musiał się bać jak chole... bardzo. Nie powiedział mi, czego konkretnie się obawia, ale i tak nie chciałem go chronić. W końcu jednak przyjechałem. I – moim zdaniem - nie miał żadnych podstaw, by się niepokoić. Nikt obcy nie kręcił się w pobliżu pensjonatu. Nie spostrzegłem niczego podejrzanego. Czysty teren.

Jakoś nie wątpiłam, że miał rację. Niemożliwy wyglądał na skutecznego. W każdej dziedzinie. No, może oprócz studiów doktoranckich czy recytowania

poezji, albo akrobatycznych wyczynów na lodzie. Być może nie był też sprinterem. Tacy wysocy faceci zwykle nie biegają szybko.

No dobrze, z wyjątkiem tego dwumetrowego jamajskiego superbiegacza. Może jednak Feliks był skuteczny tylko w dziedzinach roboczo określanych przeze mnie jako „walcz i rządź”. W Świecie Prawdziwych Mężczyzn.

- Bał się napaści z zewnątrz? - Lidia nadal nie mogła w to uwierzyć. - I zaprosił nas wszystkich tutaj? - nagle zerwała się na nogi. - A to pluskwa! -krzyknęła - A gdyby inni ucierpieli? Co on sobie myślał! Co on myślał?!

- Nie myślał o innych - Niemożliwy sprawiał wrażenie rozbawionego. -Nie miał wyobraźni. Raczej też nie cechowała go empatia. Pani, jego żona, powinna zdawać sobie z tego sprawę.

- Dlaczego pan tak mówi? - wyrwało mi się.

- Pani Alu, przecież pani go poznała. Zgromadzenie ich tutaj, ludzi, którzy czegoś od niego potrzebowali, w połączeniu z jego późniejszym oświadczeniem, że ich nadzieje są bezpodstawne. Czy takie oświadczenie mogło wyjść z ust człowieka choć odrobinę współczującego? Zrobiłaby tak pani?

- Nie sądzę - w duchu ujrzałam rozczerowaną twarz Sylwii Prokop, obok smutną Wiesię Lach, przerażone spojrzenie matki - Nie, nie sądzę.

- Oskar jeszcze w młodości był mało spostrzegawczy, jeśli idzie o ludzkie emocje. Teraz, po moim powrocie, nie spytał mnie o nic - gdzie byłem, czy mam z czego żyć, co ze zdrowiem. Interesowała go wyłącznie moja przydatność w określonej sytuacji.

Zdawało mi się, że usłyszałam ton goryczy w słowach Feliksa Milera. Nie patrzył na nas. Jego wzrok machinalnie błędził po kuchni. Teraz spostrzegłam głęboką, wcześniej nieobecną, bruzdę na czole. Ciemne oczy błyszczały pod spuszczone do połowy powiekami. Cała postać dziwnie nie pasowała do tego wnętrza. Jakby wśród dziecięcej kolekcji pistolecików pojawił się prawdziwy Smith&Wesson z nabojami 44 Magnum. Podobnie się czułam, gdy wśród zwyczajnych samochodów zobaczyłam sportowy model alfy romeo. Przyczajona energia.

- Gdzie pan był w nocy w sobotę? - Lidia też przyglądała się Feliksowi.

- Tu i tam. Burza skutecznie unicestwiła moje plany na obserwację pensjonatu. Z daleka nic nie było widać.

- Nie wiem, dlaczego - odezwałam się. - Jest tu blisko takie miejsce...

- ...byłem tam. To wzgórze od strony drogi - wszedł mi w słowo - Widać pomost i drogę dojazdową do budynku. Tamtej nocy nie było żadnej widoczności. Miałem do wyboru - albo siedzieć przed drzwiami, zostawiając otwartą drogę od jeziora, albo iść spać. Ostatecznie spędziłem noc na czatach w samochodzie, ale rano zrobiło się trochę niewygodnie. Postanowiłem wpaść do środka i powiedzieć mu, że wyjeżdżam. Co było dalej, już wiadomo.

- Czyli w nocy każdy mógł tu wejść - rzekłam oskarżycielsko.

- Jasne, w nocy, wieczorem, i rano. Ale nie każdy. I nie samochodem. Co najwyżej pieszo, rowerem, łodzią... Oskar nie otworzyłby drzwi obcemu, skoro się bał. I tym bardziej nie umówiłby się na zewnątrz z nikim, kogo się obawiał. A przed znajomymi nie mogłem go ochronić.

Odezwała się Lidia.

- Ten policjant uważa, że to ja zabiłam Oskara.

- Tak powiedział?

- Niczego nie powiedział! Tylko dawał do zrozumienia! Pytał o testament, pytał o moje ubrania, o skaleczenie na rękę! Zupełnie jakby nie było innych możliwości!

- Nic nie wiem o testamencie. Ale mógł go zrobić, pod warunkiem, żeby to powiedział zainteresowanym. Lubił, jak ludzie zabiegali o jego względy. Teraz miałby nawet co dzielić.

- I jeszcze ten kolczyk. Sama nie wiem, co robić.

Niemożliwy zignorował kolczyk.

- Ile lat mają dzieci?

- Sześć i osiem. Dziewczynki.

- Inspektor kazał pani zostać w Nowym Lasku?

- Nie. Ale mówił, że jeszcze będziemy rozmawiać.

- Nie kazał zostać, nie aresztował... może jednak ma pani jakąś szansę. Dobrze, tylko żartowałem – powiedział na nagły ruch Lidii – według mnie powinna pani wracać do dzieci. Za długo już są bez matki.

- Tak, tak zrobię – odparła z ulgą Lidia.

- A tymczasem ja się trochę rozejrzę. W końcu to był mój brat - wstał i odstawił kubek. - Zacznę od policji. Widziałem dwu na pomoście.

- Ale...

- Nie ma ale. Niech pani jedzie do domu. Może pani powiedzieć o tym policji, jeśli uważa pani, że powinna. Oni nie mają dowodu. Inaczej już by była pani w areszcie.

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut. Feliks wypytywał o różne rzeczy związane z bratem. Zainteresował się długami i wierzycielami. Szczególnie zaciekał go facet w dresie, ten, który tak przestraszył Lidię. Kazał sobie go opisać szczegółowo, potem skupił się na księdzu – staruszku i innych. Interesował się gośćmi, charakterem ich związków z Niedużym, pozycją w firmie farmaceutycznej. Lidia grzecznie odpowiadała na wszystkie pytania, przy czym z jej twarzy powoli zniknął wyraz rozpacz.

- Teraz widzę inne możliwości – powiedziała wreszcie. - Ciekawa jestem, co oni robili w sobotę wieczorem. Czy ktoś z gości widział jeszcze Oskara?

- Tylko Wiluk się przyznaje, że zajrzał do niego wychodząc. Sam mówi, że

był już mocno podcięty. Oskar siedział w fotelu tyłem do drzwi i coś odburknął na jego słowa.

- A czemu on tam zajrzał?

- Chciał go spytać, czy się nie wybierze z nimi i powiedzieć, że wychodzą.

Lidia nieco odetchnęła.

- Kiedy wrócili z lokalu, było już po północy - kontynuował Feliks Miler - Nikt nie sprawdzał, co robi Oskar. Z pewnością jedno z nich kłamie.

- Więcej będzie wiadomo po sekcji - mruknęłam. - Pewnie ograniczą możliwy czas śmierci do paru godzin.

Lidia zadrżała.

- Prawda, sekcja. Zwykle trwa to okropnie długo. W takim razie muszę wracać. Nie będę czekać tutaj kilku dni.

- To dobry pomysł - Feliks Miler wyglądał przez okno - Na pani miejscu już bym się zbierał.

Lidia podeszła do niego, zatrzymała się, i nagle uścisnęła go serdecznie.

- Moje dzieci ucieszą się z takiego stryja - powiedziała. Zostawię panu telefon i adres. Proszę nas odwiedzić.

Wyszła z kuchni, zabierając po drodze torbę.

W milczeniu patrzyliśmy, jak zapuszcza silnik, manewruje, i w końcu znika za wysokim ogrodzeniem.

- Na mnie też pora.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, już go nie było. Wskoczył z domu, przebiegł przez podwórko i zniknął w lesie. Po drodze zdążył sięgnąć do swego bagażnika i wyciągnąć stamtąd niewielki worek.

Zabrałam się za robotę. Wyczyściłam szafki, wyniosłam śmieci, wstawiłam więcej kawy. Zaczęli schodzić goście. Pierwsza zjawiała się Łucja, ziewając i przeciągając się jak kotka. Twarz miała świeżą i zarumienioną, jakby śmierć Milera wcale jej nie dotknęła. Ech, młodość. Tuż za nią zbiegł Adrian Nartowicz. Już w dresie i sportowych butach. Chłopak widać nie bał się zbrojcy z nożem, bo od razu wyskoczył na leśną dróżkę. Łucja przeszła się na pomost, popatrzyła na wodę, po czym zjawiała w kuchni o krok przed sierżantem Rożkiem.

Chudy Waldek poprosił ją do gabinetu.

Niepewna co robić (wszak Adrian mógł pojawić się lada chwila) zajęłam stanowisko w schowku.

Wyglądało na to, że Biegun ma za sobą pracowitą noc.

Od razu zaczął weryfikować wczorajsze zeznania Łucji. Ciekawiły go jej studia i okoliczności zatrudnienia w firmie Oskara Milera.

- Otrzymała pani najwyższą lokatę na roku. Same celujące. Nie było dla pani pracy? - dziwił się.

- Nie było. Nie interesowało mnie nauczanie ani laboratorium. Chciałam

zając się czymś nowym. Firmy farmaceutyczne dają sporo możliwości rozwoju.

- Zatem przez rok po studiach była pani bezrobotna.

- Och, oficjalnie tak. Ale przecież istnieje szara strefa. Trochę dorabiałam korepetycjami. Kiedy Adrian mnie przedstawił Milerowi, zrozumiałam, że mam szansę na stałą pracę.

- Nie chciała pani zostać na uczelni?

- Nie. Wcale. Nie wie pan, jak tam jest. Przez lata harujesz na profesora, piszesz prace, na których jako autorzy figurują wszyscy ważniejsi od ciebie... i ty na szarym końcu. Jeśli masz szczęście, to po ośmiu latach łykasz wstyd na obronie doktoratu, a po piętnastu masz szansę na habilitację. To długo. Za długo i za małe wynagrodzenie.

Inspektor porzucił temat wyższych uczelni.

- Kiedy poznała pani Milera?

- Rok temu. Od razu chciał, żebym pracowała u niego.

- Jak się państwo poznali? Bo można się poznać w różnych okolicznościach. Moi rodzice zaznajomili się w kolejce po masło. Dziwne, że są razem, zważywszy, że mają zupełnie inne upodobania. Ale wtedy wszystkiego brakowało. Mogliby się spotkać w bardziej romantycznych okolicznościach, na przykład w kwaciarni albo w dziale poezji w księgarni... Zresztą ojciec kolekcjonuje kufle od piwa, a matka pluszowe misie - inspektor westchnął. - Mógłby to być sklep z zabawkami, choć wtedy zapewne można było kupić wyłącznie wańki - wstańki. I takie lalki, co jedna siedzi w drugiej. Monopolowy raczej nie. Alkohol był na kartki. W każdym razie połączyła ich potrzeba zjedzenia porządnej kromki z masłem - Biegun zrobił przerwę na oddech, po czym podjął - Z kolei pewien mój znajomy poznał miłość swego życia z powodu morderstwa, w które oboje byli zamieszani. Było to słynne morderstwo, związane z trio sopranów, które...

- Nie interesuje mnie muzyka poważna - przerwała mu Łucja. - Milera poznałam w kawiarni na Pradze, gdzie zabrał mnie Adrian. Obchodzili jakieś firmowe święto czy inny sukces. Sporo pili, na stole było pełno szampana i kawioru. Co najmniej pół roku temu.

- Ciekawe, bardzo ciekawe. Pan Nartowicz wspominał o tym wydarzeniu. Mówił, zdaje się, że przypadkiem pani do niego dołączyła. Nie spodziewał się pani, ale nie miał innego wyjścia, jak zaprosić panią do stolika.

- Widać Adrian ma słabszą pamięć niż ja. Ja - podkreśliła - doskonale pamiętam, że nie miał z kim iść, a chciał się napić. Robiłam za szofera. Odwoziłam po imprezie całą ekipę po różnych miejscach. Milera też.

- Czy łączyło panią z denatem coś więcej niż praca? - spytał niedyskretnie sierżant Rożek.

- A co dokładnie pan ma na myśli? - ton dziewczyny był zaczepny.

- Sierżant ma na myśli stosunki intymne - oznajmił Biegun.

- Nic takiego nie miało miejsca.
- Słyszałem, że w sobotę pani Bartnik miała pretensję do denata o to, że panią wyróżniał. Nawet miała miejsce kłótnia z tego powodu.
- Nic nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.
- Ale zauważyła pani, że pani Lola wpadła do wody?
- Ta kobieta to pasożyt. Stara się każdego naciągnąć, dopiero wtedy jest zadowolona i mruży jak kot. Robi koło siebie mnóstwo zamieszania. Zachowywała się, jakby spotkała ją katastrofa, a nie przypadkowa kąpiel. – Łucja zachrypiała nagle dziecięcym głosikiem - „Cała się trzęsę, nie dam rady iść. Pomóż mi, Janusz. Okropnie wyglądam, co nie?”- zamilkła na moment, po czym podjęła normalnym tonem - Popołudnie po tej kąpeli spędziła u fryzjera w Lęborku. Zdaje się, że namówiła Janusza na obiad czy drinki, bo wróciła bardzo wesoła.
- A jak zareagowała na wiadomość o nowej drodze pana Milera?
- Była wściekła. Nic nie mówiła, tylko paliła papierosa za papierosem. Potem poszła do niego po kolacji. Bardzo możliwe, że coś jej obiecał. Wyglądała na zadowoloną. Potem świetnie się bawiła „U Laury”.
- Pani nie piła alkoholu – to było stwierdzenie.
- Ktoś musi prowadzić samochód. Oni wszyscy nieźle tankowali... to znaczy pili. Zresztą nie miałam nastroju do zabawy. To wszystko zaczęło wyglądać... niesmacznie.
- Co ma pani na myśli?
- Całą sytuację. Spodziewałam się dobrej zabawy, zwiedzania okolicy, bo ja wiem... jakiejś wyprawy nad morze. Tymczasem Oskar zgrywał guru i zdenerwował wszystkich. Adrian był na mnie wściekły, jakbym to ja była odpowiedzialna za dziwaczne pomysły Milera. Nie po to tu przyjechałam, żeby się z nim kłócić...
- Pan Nartowicz zeznał, że denat obiecał mu awans.
- Tak, a potem się wykręcił. Podobno stwierdził, że ja mam większe predyspozycje... to zupełnie bez sensu.
- Bardzo ciekawe. Doprawdy niezwykle ciekawe. Miler nie miał zwyczaju dotrzymywać słowa? Bo wie pani, to irytująca cecha. Kiedyś zdarzyło mi się pracować z takim oficerem. Wciąż obiecywał, że pożyczy mi film o superszybkich superszpiegach pod tytułem „Transformator – ostatnie spięcie Króliczka”, ale niestety nigdy tego nie uczynił, pomimo licznych monitów. Pomijam fakt, że nieustannie denerwował mnie nadzieją na cudowny przepis na ciasteczka swojej babci. Moja mama pragnęła upiec te pyszności. Ja, niestety, nie piekę i nie gotuję. Odżywiam się w przypadkowych miejscach, co jest szkodliwe dla mego ciała i cery; mimo to wyglądam kwitnąco. Proszę tylko porównać mnie z sierżantem – inspektor zrobił znaczącą pauzę. - Otóż wreszcie ten kolega obiecał coś naczelnikowi, być może coś nieważnego, ale ten się zirytował i przeniósł go do

innej placówki. W każdym razie wcale nie musiał tego robić. To znaczy, tyle obiecywać. Teraz myślę, że może cierpiał na jakąś chorobę, jak baron Munchhausen, co nałogowo opowiadał nieistniejące historie... ale chyba nie. Doktor Mali... znajomy doktor twierdzi, że to zespół pozorowanej choroby czyli rodzaj zaburzeń psychicznych. Osoba nią dotknięta potrafi się okaleczyć, byle trafić do szpitala. Ten człowiek jednak miał raczej syndrom Niespełnionych Obietnic.

Bezpieczna w schowku pokiwała głową. Racja. Są różne syndromy. Na przykład moja matka cierpi na Syndrom Nieomyślności.

- Nie wiem za dużo na ten temat – Łucja chyba była oszołomiona – mnie Oskar nic nie obiecywał. W ostatnich dniach w ogóle wydawał się jakiś inny. Niekonsekwentny. To mówił o pracy, to wzdychał i spoglądał w niebo... a potem ni stąd, ni zowąd twierdził, że jest samotny i potrzebuje przyjaciela.

- Aha. To dlatego pani Lola wpadła do wody?

- Może i dlatego. Coś krzyczała, że Oskar chce mieć harem. Ale nie wiem, czy mówiła o mnie. Zresztą sprowadził tu i żonę, i kochankę.

- Tak, zwróciłem na to uwagę. O której pani opuściła pensjonat?

- W sobotę? Późno, na pewno po dziewiątej...

- Chodzi mi o pani samotny wyjazd nad morze.

- Ach, po południu. Może około czternastej... pani Ala będzie wiedziała.

Podwoziłam ją do Pustkowiec.

- A co pani robiła w Pustkowiec?

- A czy to ważne? – zirytowała się Łucja.

Coś zaszurało i zatrzeszczało. Usłyszałam stuk, a potem głos inspektora:

- Mówiłem, Rożek, żebyście nie bawili się długopisem. Sprężynka potrafi wyskoczyć z nadspodziewaną prędkością. Już kiedyś o mało nie połknęliście jednej. Tak, możecie pisać dalej. To co pani tam robiła?

- Nie rozumiem, czemu to pana interesuje.

No, teraz naprawdę byłam ciekawa, jak Łucja spędziła ten czas. Może tańczyła hula – hula? Odwiedzała klub dla gejów? Albo plażę nudystów? A może szukała noża o odpowiednim kształcie, by wbić go potem w Niedużego?

Przypomniałam sobie, jak niechętnie zostawała z nim sam na sam. Coś było na rzeczy.

- Sam nie wiem, ale interesuje – oświadczył tymczasem Biegun. - Na tym etapie śledztwa wszystko może być bardzo ważne albo wręcz przeciwnie – zupełnie nieważne. Na razie zbieram informacje. Analizować będę później, wraz z niezrównanym sierżantem. Czy wspominałem już o jego niesłychanych wręcz zdolnościach do analizy? Nie, widzę, że nie. Musi jeszcze popracować nad syntezą, a kto wie, za parę lat może dorównać nawet mnie! Oczywiście mnie z okresu młodości – zmienił ton. – Po kolei, co pani robiła po wysadzeniu Ali Figiel. Gdzie

to było, Rożek?

- W centrum, przed kościołem, szefie.

- Pojechałam najpierw na plażę. Auto zostawiłam na końcu asfaltowej drogi, przy jakichś budkach i drewnianych barach. Wszystkie były zamknięte.

Do morza jest spory kawałek. Długo szłam przez las, potem spacerowałam po piasku. Nikogo nie spotkałam. Wybrzeże wyglądało jak wymarłe.

- Poszła pani plażą na wschód czy na zachód? – indagował inspektor.

- Nie pamiętam, żebym ciągle szła w tę samą stronę. Trochę tu, trochę tam.

- Ile czasu to zajęło?

- Około dwie godziny. Potem wróciłam do samochodu. Zgłodniałam i rozejrzałam się za jakąś knajpą. Zjadłam pizzę i napiłam się soku. Lokal był spory, wyłożony imitacją kamieni. Oprócz mnie był tam tylko starszy pan, niewysoki i z wyłupiastymi oczami. Cały czas mi się przyglądał - Łucja nabrała powietrza - Może pan to sprawdzić. Potem wróciłam prosto tutaj.

- Znam to miejsce. To tam goniła mnie osa, prawda, Rożek? A ten mężczyzna w barze – miał czerwoną twarz?

- Zdecydowanie tak. Właściciel go znał. Na pewno był miejscowy.

- Zapiszcie Rożek, żeby sprawdzić majora Gorzkiego. Pamiętam, jak pierwszy raz byłem w Pustkowie na plaży. To było po zabójstwie tamtej śpiewaczki, pamiętacie, Rożek? Na chwilę zdjąłem buty i pokaleczyłem stopy o kamienie. Wszędzie ich pełno.

- Ja szłam w butach. Musiałam je dobrze wytrząsnąć po powrocie.

- Daleko pani poszła na wschód? Aż do tej czerwonej wieży? To spory kawałek.

- Nie widziałam żadnej wieży – w głosie Łucji zadźwięczał niepokój. -Zresztą wolałam iść w stronę słońca.

- No tak, w tamtą stronę nie ma żadnych budowli. Dobrze. To teraz przejdźmy do dalszej części soboty.

Skurczona niewygodnie pod ścianą zastanawiałam się, czemu Biegun opowiada takie bajki. Przy głównym zejściu na plażę Pustkowie nie ma żadnych kamieni. A wieża radarowa, wcale nie czerwona, jest akurat na zachód ale niedaleko od wejścia, i niezłe widoczna dla każdego, kto idzie brzegiem morza. Nie da się jej przeoczyć.

Raptem zrozumiałam. Łucja kłamie! Wcale nie była na plaży. Zatem gdzie była przez te dwie godziny, zanim zjawiała się w knajpie? Znowu nadstawiłam uszu.

Inspektor nie ciągnął tematu Pustkowie. Skupił się na wydarzeniach w pensjonacie. Okazało się, że decyzja Niedużego była dla wszystkich zaskoczeniem. Janusz tak się przejął, że wypił za dużo, i twierdził uparcie, że jego przyjaciel tylko żartuje. Lidia wyszła z jadalni. Potem wróciła, ale jakaś osowiała. Adrian musiał już wcześniej się zdenerwować, bo na obiad zszedł blady

i poruszony. Lola? Zachowywała się tak, jak poprzednio, to znaczy albo zgrywała wampa, albo bezradną idiotkę. Potem Janusz uparł się na wypad do restauracji. Nie, nie zaglądała do gabinetu i nie widziała, by robili to inni. Tak, zabawa była całkiem przyjemna. Sporo tańczyli. Wrócili po północy. Wie to na pewno, bo wyprosił ich starszy kelner, siwy i bardzo dystyngowany. Wydawał się zgorzony ich głośnym zachowaniem. Nie, nie wychodziła z sali restauracyjnej, była tylko dwa razy w toalecie. Inni? Nie wychodzili wcale. Najwyżej na papierosa, na zewnątrz, pod daszek. Nigdy na długo. W pensjonacie od razu poszła spać, zresztą było już późno. Rano zaczęli szukać Oskara. Nie, nie spotkała wcześniej jego brata. Zjawił się niespodziewanie, gdy wyruszali na poszukiwania.

- Kiedy ostatnio widziała pani oba kolczyki pani Miler?

- Już mówiłam. Przy kolacji. Zwróciłam uwagę, bo gryzły się z odcieniem jej tuniki.

- Jak to – gryzły się?

- Lidia miała na sobie piękną tunikę, chyba z prawdziwego jedwabiu – wyjaśniła dziewczyna. - Sama bym chciała taką mieć. Odcienie jesieni – złoto, czerwień, brąz. Szafir nie pasował do tych ciepłych barw.

- Tak, tak. A po kolacji?

- Spędziliśmy jeszcze trochę czasu w kuchni, w jadalni. Nosiłam naczynia, zmywaliśmy. Pod kierunkiem pani Ali. Lidia też zeszła. Moim zdaniem – zrobiła pauzę – miała wtedy jeszcze oba kolczyki na uszach. Odcinały się od jej swetra. Potem nie wiem.

- Zatem nie wie pani, kto zabił Oskara Milera?

- Nie wiem.

Na tym się skończyło. Łucja wyszła z gabinetu. Już miałam opuścić swoje stanowisko, gdy dobiegł mnie głos sierżanta.

- To ciekawe, szefie.

- Co masz na myśli? Kamienie na plaży?

- Nie. Każdy w Pustkowie wie, że tam nie ma żadnych kamieni. Wcale nie była nad morzem. Nie o to chodzi.

- No? Mówcie, Waldek, mówcie.

- Pamięta pan ten faks z wykazem rzeczy w walizce pani Miler?

- Pewnie. Przecież był tam kolczyk. I mokry ręcznik. Kurtka, dres, swetry, pantofle. Jakies kosmetyki.

- Chodzi mi o to, czego tam nie było.

- Tak?

- Nie było tam jedwabnej tuniki w jesienne kolory - oznajmił Rożek.

Zapadła cisza, przerywana jedynie dziwnym szelestem. Pewnie inspektor rwał na strzępy swoją chustkę do nosa.

- Rożek!

- Tak, szefie?

- Jesteście genialni!

- Tak jest, proszę pana.

- W takim razie nasza chłodna pani Miler ma poważne kłopoty. Poważniejsze niż kiedykolwiek – urwał na moment. – Sprowadźcie techników. Niech przeszukują okolicę. Ta tunika musi gdzieś tu być.

- Czemu tutaj? Mogła ją wyrzucić po drodze, szczególnie, jeśli była zakrwawiona.

- Nie, Rożek. Ona jest tu blisko, i ją znajdziemy.

- Proszę pana. Ale dlaczego blisko?

- Wyobraźnia, Rożek, wyobraźnia. Dlatego, że kolczyk był w dłoni denata.

Już rozumiecie?

- Nie, szefie – odparł sierżant po solidnym namyśle.

- W takim razie na razie wam nie powiem. Ruszajcie do pracy. Ja też sprawdzę, co słychać w komendzie. Wrócimy za parę godzin. Podejrzani niech czekają. Aha, jeszcze jedno. Zwróćcie uwagę na tego odnalezionego brata. Daję głowę, że też czegoś szuka w lesie. Widziałem, jak rano wychodził spomiędzy drzew. Ranny ptaszek.

- Myśli pan, że on...

- Nic nie wiem. Czekamy na wyniki sekcji – wtedy będzie wiadomo. Ale pomyślcie, Rożek – pojawia się jak na zawołanie w dniu śmierci bogatego brata. Co robił w nocy z soboty na niedzielę, gdzie się podziewał wcześniej, czemu przyjechał na Pomorze – nie wiemy. Mamy tylko jego słowo. A jest silnym, postawnym mężczyzną. Bez problemu poradziłby sobie z denatem.

- Może mówić prawdę – zauważył Waldek Rożek. Pomyślałam sobie, że to jednak niezwykle bystry młody człowiek. – Wtedy oznacza to kogoś z zewnątrz. Miler nie zaprosiłby tu osoby, której by się obawiał.

- Racja, racja. To też możliwe. Włączcie komputery, bazy danych. Szukajcie w rejestrach. Sprawdźcie przeszłość wszystkich tutaj, rozdzielcie zadania - inspektor szeleścił jakimiś papierami. - Trzeba kogoś wysłać do Warszawy, do jego domu. Może ta Bartnik ma klucze.

- Tak, szefie.

- To na razie. Ruszamy, Rożek.

Trzasnęły drzwi. Widać policjanci opuścili gabinet. Odczekałam dla porządku minutę – sześćdziesiąt uderzeń serca – i wykradłam się schowka na przygiętych nogach. Ciekawa rzecz, że zdrętwiały. Nogi. I stopy. To może oznaczać coś poważnego z naczyniami włoskowatymi lub innymi, o niewielkim przekroju. Kto wie, czy nie będę niedługo potrzebować stentów w kształcie sprężynki do długopisu. Takie coś podobno wprowadza się do obwodowych naczyń krwionośnych, i powoli, cieniutkim cewnikiem, przesuwa w kierunku

zatoru. Wyobraziłam sobie, jak niewielki kształt przesuwa się wewnątrz mego ciała, rozpychając po drodze blaszki miażdżycowe, o wyglądzie paskudnych, tłustych strzępków. Po przejściu stentu zostaje gładka, czysta ściana naczynia, wypełniona śmigającą krwią, wyposażoną w pełen zestaw krwinek i przeciwciał... Teraz nawet są stenty rozpuszczalne, zatem nie groziłoby mi wieczne noszenie w nodze urządzenia od pisaka. Zatrzymałam się w pół kroku. A może mam niedobór magnezu? Albo problemy z tarczycą, wszak odpowiadającą za poziom potasu czy może wapnia? Muszę koniecznie porozmawiać z Malikiem. Nigdy nic nie wiadomo. W końcu to on zawsze powtarza, a przynajmniej powinien powtarzać, że lepiej zapobiegać niż leczyć.

W kuchni pusto. Nie widać Łucji Lewko ani Adriana. Ciekawe, gdzie podziewa się Janusz z Lolą. Czyżby spali?

Cisza nie trwała długo. Wpadł Adrian, jeszcze wciąż w dresie i adidasach, a za nim do kuchni zajrzała Łucja. Z irytacją nappełniła czajnik.

- Gdzie reszta? Nie było ich jeszcze?

- Nie widziałam dziś nikogo oprócz państwa. No i Niemoż... Feliksa Milera – stwierdziłam.

Dziewczyna była wściekła. Gwałtownie otworzyła szafkę i z trzaskiem ustawiła na stole trzy kubki.

- Policja – burknęła ze złością.

Wiem, że w takich sytuacjach nie należy wypytywać. Lepiej poczekać, aż zdenerwowana osoba sama dojdzie do sedna. O ile zechce.

Łucja zrobiła herbatę, posłodziła sobie dwie łyżeczki. Zamknęła drzwi.

- Co tak patrzycie? Pijcie – powiedziała do nas. – Mocna herbata.

- Jakie plany na dziś? - spytałam ostrożnie, dolewając sobie gorącej wody. Lubię bardzo ciepłą herbatę, niemal wrzątek.

- Może śniadanie? - zaproponował Adrian. Typowy mężczyzna.

- A co, zrobiłeś śniadanie? – warknęła dziewczyna – bo ja nie.

Zdecydowałam się wlać nieco oliwy w tę burzliwą toń.

- Mogę zrobić państwu jajecznicę na szynce. Jajka są, pieczywo odgrzejemy w tosterze. Dobrze będzie?

- Tak, pewnie – Adrian zaczerwienił się trochę – muszę spytać Lolę, może i ona by zjadła...

- Starczy dla wszystkich – zapewniłam, zaglądając do lodówki. - Ale niech pan lepiej spyta. Po co robić dwa razy.

Chłopak pobiegł na górę. Wydobyłam jaja i zabrałam się za krojenie szynki. Łucja przyglądała mi się w milczeniu.

- Może pani wyjąć patelnię? – zagadnęłam – Jest w szafce na dole, tej po prawej.

Posłuchała, wyciągnęła olej i podpaliła pod palnikiem. Potem wydobyła

skądś pomidor i posiekała go na kawałki.

- Lubię jajka z pomidorem.

- Świetnie. To z ilu ma być?

Rozległ się tupot i zbiegł Adrian.

- Janusz prosi tylko o kawę i tosty. Lola tak samo. Zaraz schodzą.

Zjawili się razem, Lola promienna w granatowym szlafroczku, natomiast twarz Janusza pokryła się zmarszczkami, jakby nie spał całą noc. Bartnik, mimo porannego stroju, zdążyła nałożyć pełny makijaż i użyć perfum. Ich duszący aromat zlał się z wonią smażonej szynki, tworząc przedziwny zapachowy bukiet.

- Śniadanie. Ach, jak miło – oświadczył szarmancko Janusz, całując mnie w rękę. – Bez pani dawno zginęlibyśmy w tym strasznym miejscu.

Lola kiwnęła nam głową i zasiadła nad kawą, podaną jej przez Adriana.

Wszyscy zjedli. Atmosfera wręcz namacalnie się poprawiła – wiadomo, głodny mężczyzna to zły mężczyzna. Kobieta też.

Goście zaczęli mówić. Zgodnie omijali temat morderstwa, skupiając się na bieżących sprawach – snu, pogody i powrotu do domu. Lola kurzyła papierosa, Łucja wdała się w dyskusję na temat dróg w budowie i fotoradarów, Janusz dzielnie jej wtórował, od czasu do czasu pociągając z piersiówki. Jeśli nie będzie uważał, to niedługo nie da rady prowadzić samochodu żadną szosą, remontowaną, czy nie. Wtrącałam się do rozmowy, podkreślając, że w wielu krajach budowa dróg rozpoczyna proces tworzenia silnej gospodarki, i z nostalgią wspominałam do tej pory jedną z moich wypraw do Turcji. Tam nie było mowy o dziurach w asfalcie czy braku pobocza. Tak samo na Słowacji czy w Czechach, nie wspominając oczywiście gigantów na zachód i północ od nas. Można mknąć kilometrami prosto przed siebie, nie będąc niepokojonym przez słupki, barierki i sygnalizacje świetlne oznaczające ruch wahadłowy.

Adrian przeważnie milczał, od czasu do czasu dorzucając słówko w sprawie korków. Mijały minuty, odmierzane wskazówkami dużego kuchennego zegara z cyferblatem przedstawiającym uśmiechnięty pomidor. Właściciel pensjonatu ogromnie lubił ten wytwór masowej produkcji. Wiele razy chciałam zastąpić go innym, lecz jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Nigdzie nie jest napisane, że mój gust jest ważniejszy od gustu czy upodobań innych. Co nie znaczy, że nie mogę od czasu do czasu zerkać na wytrzeszczone pomidorowe oczy i mrużyć do siebie „Ten Dunaj. Żadnego smaku”.

Taki pomruk nie jest może wielką frajdą, ale daje poczucie satysfakcji.

I można powtarzać go od czasu do czasu.

Zatrzeszczały drzwi wejściowe i do kuchni wpadł Niemożliwy. Rozejrzył się po ludziach, po czym dyskretnie kiwnął mi głową. Zaintrygowana, wyszłam z nim na pomost.

- Inspektor jest?

- Nie, pojechał.

- Muszę wyjechać na parę godzin. Może nawet do wieczora. Niech pani nie wspomina o tym reszcie gości, dobrze?

- W porządku.

Pokiwałam głową. Facet bierze się za prywatne śledztwo. Szkoda. Nie ma nawet połowy policyjnych możliwości, ich wszystkich laboratoriów, śladów, i dostępu do informacji o przeszłości podejrzanych. Jego jedyne atuty to osobisty kontakt z gośćmi, no i brak skrupułów. A, i jeszcze znajomość charakteru brata.

Pojechał, a ja poszłam popatrzeć na wodę. Na końcu drewnianej kładki kołysały się łodzie. Na razie dwie. Trzecią zabrali wczoraj technicy ogromnym samochodem. Kłódki były na miejscu. Niedbale podpięte łańcuchy tarły o brzeg pomostu. Zeszłam do jednej z łodzi, kołyszącej się bliżej brzegu. Usiadłam na ławce i zamknęłam oczy. Wokół było pusto. Z oddali od czasu do czasu dobiegał szum przejeżdżającego szosą samochodu, w wodzie coś pluskało, gdzieś daleko zaskrzeczał ptak. Kołysana falą i ogrzana słońcem musiałam się zdrzemnąć przez sekundę, bo nagły huk wyrwał mnie z odrętwienia. Chyba strzelił gaźnik.

Rozległa przestrzeń wody była nadal pusta, ale na pomoście ktoś był. Siedząc nisko w łodzi, nie byłam widoczna dla osoby na górze, przynajmniej dopóki ten ktoś nie podejdzie do samego końca desek. Kroki zbliżały się w moją stronę. Ktoś szedł ostrożnie, powoli, jakby się skradał.

Zdjął mnie raptem strach i znieruchomiałam na twardej ławce. Przez głowę przebiegały mi gorączkowe myśli. Kto tu się zbliża, tak tajemniczo i po kryjomu? Przecież to naturalne spacerować po pomoście. Każdy może to robić; nikt przecież nie spyta, dlaczego. Może morderca zapomniał czegoś w łodziach i teraz idzie po ten przedmiot? I czemu wybrał słoneczne przedpołudnie na te podejrzane czynności? Siedzę tu sama, bezbronna, i nie mogę się ruszyć, bo mnie od razu usłyszy. A może chce mnie zabić? Na pewno jest szalony, wszyscy to wiedzą. Nikt normalny nie morduje Niedużych i zacierając ślady zbrodni nie wrzuca ich do łodzi w burzowe noce. Teraz oprawca idzie po mnie. Czekał na sposobną chwilę, wypatrywał pewnie godzinami dogodnej sytuacji.

Poczułam nadciągający napad paniki i zabrakło mi powietrza. Tylko spokojnie. Zaczęłam liczyć oddechy. Raz... dwa... dziesięć... Przy trzydziestym poczułam delikatne drżenie łodzi. Morderca był tuż!

Nie czas na panikę. Trzeba działać. Pomalutku, wystrzegając się plusku, wydobyłam z dulki jedno z wiosel. Solidne, ciężkie, drewniane. Ten ktoś na górze chyba to wyczuł, bo nie dobiegał mnie żaden dźwięk.

Nagłym ruchem zerwałam się na nogi. Łajba gwałtownie zachybotwała, plusnęła i uderzyła lekko w drugą łódź. Nerwowo chwyciłam brzeg pomostu.

Na wprost mnie stała Łucja. Przez chwilę patrzyłyśmy jedna na drugą w milczeniu.

- Ależ mnie pani przestraszyła – wyjąkałam, nieznacznie odkładając wiosło na miejsce. Z Łucją dam sobie radę. – Nie słyszałam kroków – dodałam kłamliwie.

- Tak myślałam, że pani jest na jeziorze – mruknęła dziewczyna. - Gdzieś pani znikła... z tym Feliksem. Nie ma go tu?

Ach, więc nie morderca, tylko wielbicielka Niemożliwego.

- Pojechał. Mrukliwy typ.

- Ale o czymś z panią rozmawiał – to było stwierdzenie.

- Aha. Wspominał, że wróci niedługo.

- A myśmy pozmywali i posprząтали po śniadaniu – stwierdziła bez związku – teraz nie ma co robić. Dokąd on się wybrał? Może by tak pojechać gdzieś nad morze?

- Policja jest?

- Nie, na szczęście nie. Zresztą ze mną już skończyli, więc nie mam zamiaru tu zostawać. Wyjeżdżam... za jakiś czas – tęsknie spojrzała na wodę, jakby spodziewała się ujrzeć tam coś ciekawego.

Też spojrzałam. Woda jak woda, nawet ładna z tym drobnym szlaczkiem fal, z migotliwym pasem słońca i rdzawą wstęgą trzciny.

- Może chce pani popływać kajakiem – rzekłam serdecznie. - Albo zwiedzić tutejszą osobliwość – jaskinię i kamienne kręgi z epoki... z epoki... zawsze zapominam, z jakiej epoki.

- Nie, jaskinia nie – wzdrygnęła się dziewczyna. – Nie lubię ciemnych miejsc bez wyjścia. Już prędzej te kamienie. A może jest tu jakieś miejsce widokowe?

Ucieszyłam się. W Gniewinie jest widokowa wieża, zwana Kaszubskim Okiem. Stąd to daleko, z pięćdziesiąt kilometrów. Jeśli się tam wybiorą, nie mają szans na natknięcie się na Niemożliwego.

- Tu blisko jest wieża i inne atrakcje. Można pojechać do Gniewina, tam zatrzymali się piłkarze Hiszpanii, jak przyjechali do nas na Euro 2012. Jest hotel i stadion, basen...

- Piłkarze? Nic mnie nie obchodzą. No nie wiem. Może na razie zostanę – rzuciła jeszcze jedno spojrzenie wokół, po czym powoli odeszła w kierunku domu.

Czas płynął nieubłaganie. Poranek przeszedł w południe, potem popołudnie. Wrócił inspektor Biegun, zaferowany i z potarganymi włosami, a wraz z nim zjawili się znowu technicy w furgonetkach. Większość ruszyła w las; pozostali znów zabrali się za rewizję w pensjonacie. Tym razem skupili się na szopie, altanach i schowku na szczotki. Jeden nawet zajrzał do kotłowni.

Niech ich kaczka! Tam Biegun przesłuchuje Adriana, a ja nie mogę nic usłyszeć!

Poirytowana niedostępnością schowka wróciłam do siebie, do domu.

Włączyłam komputer. Wpisałam „Oskar Miler” i otworzyło mi się kilkanaście odnośników. Większość z nich dotyczyła jakiegoś fotografa z Radomia. Reklamował swoje studio, czy też atelier, oferował najróżniejsze usługi od zdjęć urzędowych przez okolicznościowe po fotoksiążki. Można było obejrzeć próbki jego prac. Przez chwilę podziwiałam podobizny dwu psów o dzikim wyglądzie. Gdzieś na obrzeżach zdjęcia przycupnął ich właściciel, delikatny facet z brodą. Wpatrywałam się w niego przez chwilę, rozmyślając nad tezą, że dobrzy ludzie mają dobre psy, a złe źli. Gdyby teza byłaby prawdziwa, sympatyczny człowiek na zdjęciu, właściciel dwóch bestii, okazałby się prawdziwym potworem. Wolno pokręciłam głowę. Czasem zdarza się akurat odwrotnie. Bywają dobre i przerażone zwierzaki okrutnych ludzi. Albo dzieci – czasem z patologicznej rodziny wylania się perełka, a czasem dobrzy, uczciwi, ciężko pracujący rodzice mają złe dzieci. Wtedy nazywa się je czarną owcą. Lub czarnym baranem.

Myśl ta przypomniła mi o Niemożliwym. Nie był grzecznym chłopcem. Czy różnił się od reszty rodzinnych dzieci? Czy rodzice uważali go za „złego brata”? Długo nie pojawiał się u bliskich, na tyle długo, że uznano go za zmarłego. Tym rodzicom musiało być trudno. W domu Oskar, a Feliks zaginiony. Czy matka martwiła się o niego, czy czekała jak ojciec z ewangelicznej przypowieści, wychodząc codziennie na drogę? Miałam nadzieję, że nie. Miałam nadzieję, że Feliks nie był tak nieczuły, żeby zostawić ją w niepewności na te wszystkie lata.

Skupiłam się na reszcie linków. Kilka o nieznanym mi osobach, ale wreszcie – firma farmaceutyczna. Jedna z około trzystu firm generycznych działających na terenie Polski. Wytwarzająca leki kardiologiczne, neurologiczne, psychotropowe, leki bez recepty, suplementy diety... Reklamy uśmiechniętych ludzi i kolorowych kapsułek na tle czyściutkich gór i jezior. Wszystko, nawet dzieci, robiło wrażenie świeżo wypranego. Dużo zieleni i błękitu. Biel zębów, lśniące włosy rozwiewane przez górski lub nizinny wiatr...

Wspomniałam niedawną wizytę w szpitalu i cierpiące, ściągnięte troską twarze, smutne oczy, zaniedbane dłonie... Nic dziwnego, że nie ma ich na wizytówkach firm farmaceutycznych. Nic dziwnego.

O Milerze nie było nic konkretnego, prócz informacji, że jest szefem mazowieckiego oddziału firmy. No, ale są i inni. Sprawdźmy Adriana...

Jest wejście na portal społecznościowy. Dobrze, że i ja jestem tam zapisana, czy jak to się mówi. O, mam. Sporo fotografii Nartowicza. Na niektórych razem z Łucją. W tle jakieś wnętrze, pewnie bar czy restauracja. Wysoki kontuar ze stołkami, na które trzeba się wspinać. Młodzi ludzie lubią takie miejsca, ale dla mnie, osoby o tradycyjnych gabarytach, są one zbyt niewygodne. Jakaś impreza plenerowa. Grupa uśmiechniętych osób, na piersi chłopaka papierowy medal z wielkim napisem: „Mistrzostwa w rzucaniu nożami – I miejsce”. No! Wreszcie jakiś konkret. Chłopak to faktycznie sportowiec. Przyjrzałam się wszystkim

dostępnym fotografiom. Nic szczególnego. Ciekawe, czemu ludzie nie mogą się oprzeć zamieszczaniu kroniki swoich czynności... i są nawet tacy, którzy takie kroniki innych osób śledzą! Dawniej byłoby to nie do pomyślenia. Ludzie nie afiszowali się ze swoją prywatnością. Pewne obszary, zwyczajne i codzienne, rodzinne i intymne, musiały pozostać ukryte.

Wpisy Adriana nie przyniosły mi żadnej nowej wiadomości. Skupiłam się na Łucji. Większa dbałość o wizerunek. Zdjęcia wyselekcjonowane, nieliczne. Niektóre z wakacji. Łucja z paroma rówieśnikami na kajakach. Łucja nad morzem. Łucja jako uczennica w teatrze albo operze – elegancka suknia, fryzura, z tyłu zarys widowni. Obok starsza pani, trochę podobna do dziewczyny, także odświętnie ubrana. Ciekawe, czemu zamieściła właśnie to ujęcie. Mało... trendy? Cool?

Przeszłam dalej. Niedużo tego było. Widać dziewczyna bardziej dbała o prywatność. Dostępnych tylko kilka komentarzy. Przeczytałam wszystkie. Wynikało z nich, że Łucja sporo czasu spędza na wsi. Jakaś osoba o pseudonimie „staryjary6” pytała ją, czy przyjedzie na święta na siedlisko, do stryja. Wyobraziłam sobie tę osobę jako zażywnego sześćdziesięciolatka, w typie majora Gorzkiego, albo podstarzałego rozpustnika w tużurku z łańcuszkiem od zegarka w kieszeni.

Odpowiedź Łucji rozviała tę wizję.

„Nie mogę na razie nic planować, wiesz sama, jak to jest. Przyjadę albo z dobrymi wieściami, albo wcale”.

Inny bywalec internetu, o nicku „kosmo.dan” próbował namówić Łucję na wspólny wypad do lokalu, ale ten także spotkał się z odmową:

„Ważny wyjazd na weekend, bawcie się dobrze!”

W ogóle styl dziewczyny był nieco telegraficzny. Wpatrywałam się w ekran, patrząc na promienny uśmiech Łucji. Czy to możliwe, żeby taka dziewczyna była bezwzględnym mordercą? Co sprawia, że zabijamy innych? Doświadczenie przemocy, chęć zemsty, zazdrość, nienawiść, pożądanie pieniędzy – wszystkie te rzeczy są obecne w życiu większości z nas. Natomiast większość z nas nigdy nikogo nie zabije (i dzięki Bogu). Co kieruje zabójcami? Kto z tych miłych, sympatycznych ludzi zabił Oskara Milera, wbijając mu w ciało ostry cienki przedmiot prawdopodobnie zabrany z mojej kuchni?

Czułam coś w rodzaju oburzenia z tego powodu, jakby morderca naruszył moje terytorium. Nikt nie ma prawa bez mojej wiedzy ruszać moich noży!

Nawet nie mam jak sprawdzić, czy każdy nóż jest na miejscu. Policja zabezpieczyła wszystkie. Dziś w pensjonacie używałam przyniesionego z domu scyzoryka... dobrze, że i jego nie zabrali.

Zadzwonął dzwonek u drzwi. Rety, chyba moja matka jednak przyjechała. Koty zbiegły na dół, spoglądając nieufnie w kierunku wejścia.

Uspokoiliam się. To nie ona. Kiedy matka stoi przed drzwiami, koty umykają w kierunku drzwi balkonowych.

Kolejny dzwonek. A może nie otwierać? To pewnie delegacja pań z Pustkowie, spragniona plotek o morderstwie.

- Jak myślisz, Huncwot? – spytałam czarnego kota. Ten oblizwał się i zerknął w kierunku kuchni. Imbryk też od razu się oblizwał. Jednak nie poszedł do kuchni, ale zaczął drapać w wejściowe drzwi. To zawsze dobry znak. A może nie? Huncwot jest o wiele mądrzejszy od Imbryka. Może spodziewać się kogoś, kto zaatakuje moją lodówkę? Ech, i tak jest niemal pusta.

Otworzyłam ostrożnie.

Przede mną stał Niemożliwy. Uśmiechnął się swoim kocim sposobem, po czym szybko wszedł do środka. Od razu zlokalizował kuchnię, zobaczył otwarty laptop i odetchnął.

Pokiwałam głową. Faktycznie chodziło o kuchnię. Huncwot miał rację, jak zwykle.

- Muszę skorzystać z internetu – Niemożliwy powiedział to tak, jakby miał zamiar skorzystać z toalety. Żadnego „proszę”, czy „nie przeszkadzam?” – Mój nie działa.

To prawda, pensjonat ma jedną wadę. Przeważnie jest bardzo słaby sygnał, nawet dla mobilnych urządzeń.

Tymczasem Niemożliwy wydobył skądś tablet i spytał o hasło.

- „imbryk”- powiedziałam z rezygnacją. Błyskawicznie złapał sieć i nachylił się nad ekranem. Zajrzałam mu przez ramię. Wpisywał właśnie hasło „Warszawa – Dresiarz ”. Czytaliśmy razem.

Dresiarz okazał się pomniejszonym gangsterem, wielokrotnie karany za rozmaite wymuszenia i ściąganie długów. Zwykle chodził ubrany w czarny dres bez żadnych firmowych oznaczeń. Zdjęć nie było.

- Ten człowiek dopiero co wyszedł z więzienia – mruknął Feliks, klikając energicznie myszką. Ekran migotał, pokazując coraz to inne twarze – Spędziłem dzień na sprawdzaniu w najbliższej okolicy. Nikt nie przyznaje się, by go zauważył. Zresztą nikt nic nie zauważył. Ani osobliwego, ani niespodziewanego. Pytałem też o Oskara i resztę gości. Ich zauważono w Lęborku, szczególnie Lolę. Rzuca się w oczy. Sporo wydała, ale była z Wilukiem, nie z Oskarem – wpisał nazwisko i imię kochanki Nieduzego.

Pani Bartnik, mieszkająca na stałe w Warszawie modelka i aktorka. Otwarta na propozycje współpracy. Fotografie w różnych stylizacjach, od ujęć zwyczajnych po rozkładówki. Jako doświadczenie zawodowe podała udział w reklamowych sesjach, castingach do seriali i programów rozrywkowych, stałą współpracę z salonem mody.

- Chyba nie ma regularnych dochodów – mruknął Niemożliwy. Poklikał,

popisał i sprawdził w ten sam sposób resztę gości.

Z satysfakcją stwierdziłam, że idzie po moich śladach. Też coś. Spodziewałabym się po nim bardziej spektakularnych działań. Na przykład gwałtownego potrząsania schwytanym bandytą, wznoszącym okrzyki przerażenia i poddaństwa. Może coś w stylu „oj boli, oj, boli, panie wielki, już nigdy, póki życia nie będę, wszyściutko powiem, co pan tylko chce, panie wielki...” lub coś w stylu: „daruj waćpan, zmiłuj się nad nieszczęśnikiem, byłem wszak tylko niegodną strzałą w kołczanie pana kasztelana, który zdrajcą okazać się raczył, a na pańskiego brata niegodnie nastawał”.

- Co panią tak bawi? – Feliks patrzył na mnie z zainteresowaniem.

- Mnie? Nic, nic. Tak mi się coś przypomniało. A tak naprawdę, to co pana sprowadza?

- Wielki głód – odrzekł Niemożliwy. - Nie, tylko żartuję. Naprawdę to potrzebna mi osoba ze zdrowym rozsądkiem. I nie wmieszana w morderstwo mego brata.

Szkoda. Wolalabym raczej: „potrzebna mi superatrakcyjna kobieta z życiowym doświadczeniem, spostrzegawcza, tajemnicza, interesująca, na której będę mógł polegać i z którą związę się romantycznym uczuciem”. Albo: „stęskniłem się za panią... dwie godziny bez pani to udręka nie do opisanania...”, na co ja odrzekłabym zgodnie z najlepszymi zasadami „ależ my się wcale nie znamy... pan chyba żartuje sobie ze mnie, nieszczęsnej, samotnej kobiety...”

- Czy pani śmieje się ze mnie?

- Absolutnie. To by było nieuprzejme – oświadczyłam stanowczo. I żeby zatrzeć niemiłe wrażenie, dodałam – zrobić panu kawy? Herbaty?

- Jasne. To jest, chętnie się napiję.

Zrobiłam herbatę, dałam mu ciastka (w ostatniej chwili zorientowałam się, że są nieznacznie przeterminowane) i zaprosiłam do dużego pokoju. Opadł z ulgą na straszny fotel, który od razu wydał brzydki dźwięk. Niemożliwy wcale nie zareagował. Policzyłam mu to na plus. W końcu co miałby powiedzieć?

- Czego się pan dowiedział? – spytałam po chwili poświęconej na zajęcie najwygodniejszej pozycji. – Dysponuję zdrowym rozsądkiem i chętnie podzielę się nim z panem, ale chcę wiedzieć, co się dzieje.

Niemożliwy opowiedział mi o bracie.

Czasem zdarza się, że rodzeństwo się nie lubi. Chyba częściej dotyczy to chłopaków, mniej potrzebujących rozmów i serdeczności. Feliks, straszy o sześć lat, stanowił zapewne dla Oskara nieustanne źródło frustracji. Sprawny fizycznie, bojowy, męski... Podejrzewam, że młodszy brat mógł mieć sporo do nadrobienia. Często się kłócili. Zwykle to Oskar wszczynął burdy, chowając bratu drobne przedmioty – a to nową finkę, a to ulubiony klaser, a to zdjęcie sympatii... Ukradkiem zamazywał mu szkolne zeszyty, rwał książki, wiązał sznurowadła...

- To były głupie psikusy. Kiedy miałem szesnaście lat, zaczął podkradać ojcu pieniądze - mówił gorzko Feliks. - Potem leciał do rodziców i donosił na mnie. Kilka razy była to spora suma – chował forszę wśród moich rzeczy. Któregoś razu schował tam pamiątkową monetę ojca, cenny antyk, najważniejszy w jego numizmatycznej kolekcji. Ukrył ją w moim bucie!

- Chyba rodzice nie dali się nabrać?

- Owszem, dali się nabrać. Oskar był zawsze grzeczny, uprzejmy, uczył się dobrze, uśmiechał do dorosłych... ja natomiast sprawiałem kłopoty. W wieku siedemnastu lat ojciec wygonił mnie z domu. Zapowiedział, że mogę wrócić, kiedy stanę się uczciwym człowiekiem.

Ten ojciec musiał być podobny do Oskara. Taki sam małoszkowy drań.

- A matka?

- Matka znalazła mi dom u ciotki i utrzymywała mnie jeszcze dwa lata. Muszę przyznać, że bardzo zmęźniałem w tym okresie. Ale zawsze miałem żal do ojca. Oboje już zmarli... dawne dzieje... Po dwu latach u ciotki i maturze zdecydowałem, że pora ruszać. Zawsze ciągnęło mnie w świat. Objechałem całą Europę. Pracowałem w rozmaitych miejscach, byłem chłopcem kuchennym, kelnerem, wykidajłą, marynarzem na transportowcach... Nawet pracownikiem fizycznym w jednym z zakonów.

- No, tam to chyba krótko – wyrwało mi się.

- Tak, skąd pani wie?

- To widać.

- Ciekawe, że pani tak mówi, ale tam mi się nawet podobało. Wreszcie regularne posiłki, wszystkie czynności wyznaczone tym samym, powolnym rytmem, właściwie żadnych niespodzianek... Po paru miesiącach znów popędziłem w świat. Bywałem czasem w Polsce. Zawsze odwiedzałem matkę. Musiała ukrywać te wizyty nie tylko przed ojcem, ale i Oskarem. Później zaproponowano mi inną pracę. Mniej stabilną, bardziej samodzielniejszą.

Co też on robił, u licha? Walczył w Legii Cudzoziemskiej? Szpiegował? Ćwiczył akrobację? Ujarzmił dzikie zwierzęta?

- Zatrudniłem się na platformie wiertniczej – mruknął Niemożliwy.

Platforma.

Samotność, wielkie, szare fale rozbijające się o stalową konstrukcję wynurzającą się z oceanu niczym senny koszmar... wszechobecna wilgoć, zapach słonej wody, nieustanny szum nieubłaganego żywiołu. Proste, męskie życie, bez wygod, łazienek i ciepłych posiłków... bez golarki, w przesiąkniętych wodą kombinezonach, ze stwardniałymi od smarów, soli i ciężkiej pracy dłońmi...

- Właściwie to było bardzo wygodne miejsce – podjął Feliks po chwili – doskonale warunki. Własny pokój, toaleta, stołówka, obfite jedzenie. Nawet opieka medyczna na miejscu. Nie wspominając o łączności ze światem, jak sieć czy

telewizja. Większość prac polega na obsłudze maszyn. Problem to konieczność pozostawania na miejscu przez dwa – trzy tygodnie. Czasem miesiąc. To trochę jak więzienie.

W moich marzeniach pojawił się obraz Niemożliwego przed ekranem komputera, smętnie wpatzonego w wizję lądowych przyjemności. Wokół sami milczący, silni faceci, narastająca frustracja, ciężar samotnych dni i nocy...

- Oskar skontaktował się ze mną parę dni temu. To był pierwszy kontakt od lat. Nic nie wiem o jego znajomych. Co pani o nich myśli?

Zaskoczył mnie tą nagłą wolą.

- Wiem tyle co pan. Poznałam ich dopiero w piątek. Robią wrażenie nieszkodliwych.

- W takim razie nie rozumiem, po co mu byłem potrzebny.

- Może chciał się pochwalić? Albo miał potrzebę pojednania? – mój głos musiał brzmieć sceptycznie. Oskar sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.- Dowiedział się pan czegoś?

- Rozmawiałem z kelnerem obsługującym ich w sobotę wieczorem. Potwierdził, że robili sporo hałasu i żadne z nich nie wychodziło na dłużej z sali. To bardzo zła wiadomość dla Lidii. Praktycznie tylko ona miała sposobność.

- I jeszcze ta tunika – opowiedziałam Feliksowi o podejrzaniach policji. – i kolczyk.

- Tak, słyszałem. Wszyscy chętnie o tym mówili. To dziwne, że został przy zwłokach.

Zastanowiłam się. Moim zdaniem wcale nie takie dziwne. W panice człowiek gubi różne rzeczy. Mogła nawet nie zauważyć jego braku.

Wyobraziłam sobie pochmurną noc i pomost w strugach deszczu. Oskar siedzi w swoim gabinecie, pogrążony w medytacji. Ma spokój, wszyscy wyszli. Żona się obraziła, zresztą może Nieduży nawet nie wie, że została w pensjonacie. Dzwoni telefon. Zdyszany głos Lidii: „szybko, stało się coś strasznego, chodź na pomost, prędko...!

Nieduży rzuca komórkę, biegnie od drzwi balkonowych. Wygląda. Po chwili, zniecierpliwiony, wychodzi na zewnątrz, kuląc się przed wiatrem. Lidia stoi przy łódkach, wołając o pomoc. Ciemności co i raz rozświetlają błyskawice. Huczy wiatr. Nieduży podbiega do żony. Ona wskazuje mu coś na wodzie, i znienacka wbija mu nóż w piersi... Nieduży traci równowagę i ląduje w łodzi...

Lidia pospiesznie odczepia łańcuch, schodzi na dół, wyciąga nóż z jego piersi... Nie. Nie. To niemożliwe. Nie zeszlaby po ten cholerny nóż, chyba żeby była zawodową morderczynią. Choć, kto wie? Tyle adrenaliny... Kiedy zabiera nóż, wypada jej kolczyk. Może Nieduży jeszcze żyje, może zadaje kolejne ciosy... Nie ma dość siły, by wrzucić Oskara do wody, zostawia go więc w łajbie. Zabiera nóż. Widzi skaleczenie na swoim ręku, prowizorycznie je zawija. Deszcz zmyje

ślady.

Jest spora fala, ale Lidia nie boi się wody. Dobrze wiosłuje, dobrze pływa. Spycha łódkę z trupem jak najdalej, licząc na wiatr i burzę, ciska nóż do wody, po czym wraca do pensjonatu. Teraz musi pozbyć się mokrych rzeczy. Boi się mikrośladów. Zdejmuje mokrą tunikę, wkłada płaszcz przeciwdeszczowy, i...

- Czego pan szukał w lesie? – spytałam nagle – Mokrego ubrania mordercy?

- Nie. Przecież w sobotę tak lało, że każdy mógł być mokry. Zresztą w pensjonacie działa ogrzewanie. Nie. Szukałem narzędzia zbrodni. Ale...

- Ale Lidia nie wychodziła. Nie powinna mieć wilgotnych strojów.

- Bardziej interesuje mnie, gdzie podział się nóż. I telefon Oskara. Według policji nie miał go przy sobie. W gabinecie też go nie było.

- Faktycznie, telefon! Nie pomyślałam o tym.

- Jeśli zginął na pomoście, to ktoś musiał go wywabić na zewnątrz – Niemożliwy gapił się w sufit. Zerknęłam w górę. Z lampy spuszczał się na nitce spory pająk. – Morderca mógł do niego dzwonić.

- Na jego miejscu siedziałabym w domu.

Feliks Miler zerknął na mnie przelotnie.

- Oskar nie zawsze był takim palantem. Mogła dzwonić kobieta. Może odezwała się w nim rycerska nuta. Ale racja, powinien siedzieć w domu. Teraz nóż. Gdzie go ukryto?

- W jeziorze – rzekłam pewnie. - Chlup, i już.

- Widziałem dziś nurków koło pomostu. Nic nie znaleźli. Nie. Ja myślę – urwał na chwilę – że narzędzie zbrodni jest w lesie. Tam, gdzie zwykle nie patrzymy – skupił się na pająku sprawnie podciągającym się na linie ku lampie.- Gdzieś wysoko.

A to mądrała. To fakt, że sprzątaczkki nigdy nie patrzą w górę. Pajęczyny na suficie pensjonatu wiszą, póki ich osobiście nie zgarnę. Idąc drogą też nie spoglądałam w gwiazdy, dzięki czemu docieram do celu bez siniaków i potłuczeń.

- W dziupli?

- W dziupli, wśród gałęzi, white w korę... Technicy szukają na ścieżkach, w krzakach, zagląдают do spróchniałych pni. Cała grupa przyjechała niedawno nad jezioro – znowu pauza, jakby Feliks obliczał coś sobie w głowie – Gdzie w lesie można ukryć małą rzecz? – wstał i wyjrzał przez okno – Może przejdziemy się ścieżką?

Kazałam mu zaczekać chwilę. Musiałam się przebrać.

Po paru minutach zesłam na dół w nowym wcieleniu. Oczom Niemożliwego ukazałam się w czarnej bluzce z dekoltem, butach do pół łydki, miękkich spodniach w kolorze rubinu, obficie spryskana francuskimi per... preparatem od kleszczy.

Feliks pociągnął parę razy nosem, ale nic nie powiedział. Szedł energicznie,

rozglądając się dookoła. Wkrótce otoczyły nas drzewa.

- Czy jest tu jakaś polana, poręba, wielki dąb, coś, co łatwo zapamiętać? – zapytał, gdy wieś znikła nam z oczu.

- Jest pęknięta sosna niedaleko stąd. Nie ma kory, objadły ją zwierzaki. Zwisa nad ścieżką. Poza tym mamy tu dwie polanki z wrzosami. W rogu jednej z nich rosną trzy jarzębiny. Każdy zwraca na nie uwagę. No i jest oczywiście sadzawka w olszynie. Wszystko w zasięgu trzech minut od pensjonatu.

Niemożliwy zbadał dokładnie sosnę i jarzębiny. Wdrapał się nawet na górę. Bajorko obszedł dookoła, przyglądając się ziemi.

- Nic tu nie ma – rzekł w końcu.

Staliśmy po kostki we wrzosach. Popołudniowe słońce rzucało długie cienie na sielski obrazek. Białe pnie brzoź, wielobarwny dywan liści, ziemia pokryta kobiercem liliowych roślin. Wiatr przyniósł zapach wody i szuwarów. Odetchnęłam głęboko. Cudowna woń, woń mojego miejsca na ziemi.

Coś z tego piękna musiało dotrzeć i do Feliksa, bo długo stał, milcząc. Jego ostre rysy nieznacznie złagodniały, twarz mu się wypogodziła, jakby ktoś dmuchnął ciepłem w skuty lodem staw. Jednak kiedy się znów odezwał, mówił zupełnie rzeczowo:

- Niech pani patrzy wszędzie. Mogę się mylić. Cokolwiek nietypowego. Chustka, papier, specjalnie ułożone patyki... Musiał oznaczyć to miejsce...

Zatem patrzyłam. Rozglądałam się bacznie po mchu, po ziemi, zerkałam na jagodnik, na skąpane w słońcu pnie sosen, na zwisające nad ścieżką gałęzie. Obejrzałam chyba każdy patyk i kamyczek. Zwracałam uwagę na śmieci – na szczęście nieliczne. Naliczyłam tylko kilka butelek po napojach i dwie metalowe puszki.

Od razu widać, że już po sezonie.

Przedarłam się na skraj lasu, tam, gdzie brzeg schodził ostro w dół, ku błękitnej toni. Spenetrowałam urocze polanki, na których powinny rosnać maślaki, a kiedyś może i rydze. Znalazłam jedną purchawkę. Zwiedziłam ciemny zakątek pełen przywiędłych pokrzyw, podrapałam się w maliniaku i otrząsnęłam z domniemanych kleszczy. Niemożliwy maszerował jakieś pięć metrów ode mnie. Wiedziałam, że tam jest, ale wcale nie było go widać. Ani słysząc. Tylko raz mignęła mi czarna czupryna, gdzieś wysoko, nad linią jałowców. Latał czy co?

Poczekaliśmy na niego w miejscu, gdzie las rzedniał. Do pensjonatu zostało najwyżej czterdzieści metrów.

- Nic tu nie ma! – zawołałam.

Niemożliwy wyrzwał zza krzaka malin. Nagle złapał mnie za ramiona i przyciągnął do siebie. Znieruchomiałam ukryta w cieniu zrosniętych sosen.

„Teraz mnie pocałuje” – pomyślałam, odruchowo podnosząc twarz w jego stronę – „Muszę mu powiedzieć, żeby uważał na mój haluks...”

- Cicho...- wyszeptał Niemożliwy jakoś tak, niemal nie ruszając wargami. Zastygliśmy jak bohater mitologiczny zamieniony w drzewo.

Po sekundzie usłyszałam trzask gałązek i zza zakrętu wynurzyła się Lola w towarzystwie Adriana. Szli wolno, pochłonięci rozmową.

- Chyba nie myślisz, że żartuję? – mówił chłopak, mijając nas o metr. Poczułam piękny zapach francuskich perfum i nagle zachciało mi się kichać. – Ja jestem odpowiedzialny gość, nie z tych, co dużo gadają i nic z tego nie wynika. Możesz mi zaufać.

Kiedy chcesz kichnąć, a nie możesz sobie na to pozwolić, należy nabrać powietrza i oddychać, ile wlezie. Nabrałam powietrza, a ono znieacka wypełniło mój nos, usiłując wydostać się przez dwa naturalne otwory na jego końcu. W tej samej chwili Niemożliwy przytulił mnie mocniej, wręcz zatykając mi dopływ powietrza. Twarda klatka piersiowa, żelazny uchwyt. Poczułam, jak pod koszulką moro bije mu serce. Raz, dwa, trzy... dwadzieścia pięć... sześćdziesiąt... chyba norma.

- Okropnie się boję – głos Loli brzmiał dziecinnie. – Ten morderca może czaić się wszędzie!

- Przy mnie nie musisz się niczego bać. Trenuję karate.

- Och. Jak myślisz, kiedy pozwolą nam wyjechać?

- Pewnie jeszcze dziś. Nic na nas nie mają...

Ich głosy pomału cichły. Z żalem stwierdziłam, że Niemożliwy już mnie nie trzyma. Stał obok, wpatrzony w ścieżkę.

- Niech pani wraca do pensjonatu – szepnął.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zniknął wśród sosen. Zupełnie jak duch.

„Jak nie, to nie” – myślałam, pokonując ostatnie metry dróżki. – „Czysta strata czasu. Pan Tajemniczy niech biega po zagajniku, a tymczasem ja, Kobieta Obdarzona Intuicją, zajmę się poszukiwaniem narzędzia zbrodni”.

Dotarłam do pomostu. Furgonetka techników wciąż stała na parkingu. Ciekawe, gdzie byli, bo w lasu nie spotkaliśmy ani jednego. Być może mają więcej rozumu niż Niemożliwy.

Lśniący wóz inspektora Bieguna sąsiedował z autem Niedużego. Zatem i śledczy jest jeszcze na miejscu. A jakże, oto i on, wypucowany tak jak jego pojazd. Ten człowiek musi być pedantem. Na pewno nie używa jednorazowych maszynek do golenia siedemnaście razy. Być może nawet poprzestaje na trzech próbach... A szczotka do zębów? Czy Biegun czeka, aż przekształci się w dziwny twór o strzępiastym kształcie? Nie, z pewnością nie. Zapewne ma mały magazynek napełniony różnymi przedmiotami jednorazowego użytku. Co dzień o stałej porze sprawdza, czy pora dokupić coś do zapasu, wymienia ręcznik na nowy, zaopatruje się w codzienny zestaw przetrwania, włączając w to wilgotne chusteczki

higieniczne, szczotkę do ubrania, mini dezodorant, kawałeczek nitki do zębów zapakowany w sterylny pojemnik...

- Witam ponownie – inspektor na mój widok grzecznie uniósł się z ławki przed wejściem. Z bliska widać było, że jest zmęczony. Powieki trochę mu obrzękły, a oczy mocno błyszczały. Elegancki garnitur jednak nie stracił nic ze swego szyku. – Spacerek po obiedzie? Bo ja, muszę przyznać, mało spaceruję. Ciągłe muszę pracować. To przez tych przestępców. Nigdy nie miewają wakacji. Nadzwyczaj pracowita grupa zawodowa. Nie muszę dodawać, że latem część z nich wybiera się na Pomorze, by kontynuować swój niecny proceder. Wtedy ja wyrabiam nadgodziny, a oni odpoczywają i kradną, łącząc przyjemne z pożytecznym... to jest dobre z karygodnym... to jest, żeby być ścisłym, zmuszają mnie do nieustannego wysiłku. Męczące nawyki – wyciągnął z kieszeni dużą chustkę w kolorze pomarańczy i przejechał nią po czole. – Moi technicy siedzą w kuchni i piją kawę. Nie piwo, jak sądzą niektórzy. W filmach policjanci zawsze piją piwo. Z wyjątkiem oczywiście panny Marple. No i Herculesa Poirot. W tamtych czasach piwo nie było popularnym napojem wyższych sfer. Ale już inspektor Morse, choć lubi wino, nieraz posyła swego sierżanta po piwo. Barnaby natomiast często gości w pubach. Ale sierżant Rożek preferuje herbatę. Prawdziwy smakosz z niego. Tak czy tak, kuchnia jest zajęta. Waldemar pewnie porządkuje notatki.

- Są jakieś nowe wiadomości? – zapytałam, przystając przy ławce. Biegun jest taką gadułą, że pewnie i tak opowiada wszystkim naokoło, co odkrył.

- Hm, i tak, i nie. Nie ma noża czy też innego ostrego przedmiotu. Nie ma też telefonu denata. O tym wszyscy wiedzą. Widziała pani jego komórkę? –inspektor wykonał gest, jakby wybierał numer. – Taki mały, plastikowy przedmiot. Hałaśliwy. Odzywa się w niewłaściwych momentach naszego życia. By wprawić nas w zakłopotanie na zebraniu, w teatrze, w kościele, lub poinformować o niesłychanej promocji w sieci. Każdy wygrywa inną melodyjkę. Pewnego razu jednak, w trakcie przesłuchania, odezwał się mój dzwonek. Rzadki motyw, z Haendla. Odebrałem, a tu nic. Martwa cisza. Tymczasem przesłuchiwany złodziej wydobyl własny aparat. Okazało się, że ma taki sam dzwonek – Biegun wydobyl komórkę z kieszeni marynarki, i pokazał mi ją z daleka – od tamtej pory poprzestaję na ponurym dźwięku zwykłego telefonu...

- Nie widziałam, by Miler telefonował – stwierdziłam krótko. – Czy skończył już pan rewizję?

- I znów powiem, że i tak, i nie. Muszę odnaleźć narzędzie zbrodni. Muszę ustalić motyw zbrodni. Muszę złapać zbrodniarza – inspektor potarł dłonią nos i niespodziewanie ruszył w kierunku jeziora.

Zrobił to tak sugestywnie, że obejrzałam się za nim, spodziewając się, że zaraz wyciągnie kajdanki i wypowie formułę aresztowania. Jednak nic podobnego

się nie stało. Biegun dotarł do końca pomostu, usiadł, a potem ostrożnie zsunął się w dół. Kiedy znikł mi z pola widzenia, zorientowałam się, że jest w jednej z łodzi. Poszłam za nim.

Inspektor siedział na dziobie, wpatrując się w pomost. Na wysokości oczu miał dwa mocne drewniane bale, wbite głęboko w muliste dno jeziora oraz widok na spód kładki udekorowany sporą ilością wodorostów beztriosko kiwających się wraz z falą.

- Morderca zabił Milera, zabrał jego telefon, zabrał ostry przedmiot, i to wszystko gdzieś schował – zamruczał, poprawiając krawat. - Gdzie mógł to ukryć?

Drugi Niemożliwy.

Wzruszyłam ramionami.

- Takie rzeczy wszędzie się zmieszczą.

- A pani? Gdzie by je pani ukryła?

- To zależy – odparłam powoli. – To zależy – powtórzyłam tajemniczo i z naciskiem.

- A zatem - Biegun wdrapał się na pomost. Wykonał nagły ruch obiema dłońmi, zakolysał się i spojrzął w dół. – Trup leży w łodzi. Co dalej? – rozejrzał się wokół. – Pusto. Teraz muszę odzepić łódkę. Gdzie są klucze do kłódek?

- W hangarze – mruknęłam, powstrzymując śmiech. Inspektor wytrzeszczał oczy i sapał, jakby rzeczywiście się zmęczył – Chodźmy.

Weszliśmy do szopy. Na trzech kółkach wisiły dwa klucze.

- Czyli morderca musiał wiedzieć, który jest właściwy – odezwał się Biegun.

- Wszystkie są takie same - oświadczyłam ze skruchą. Każdy otwiera łańcuch. Dość często nam giną, więc zrobiliśmy identyczne zamknięcia.

- Czy inni wiedzieli o tym?

- Niestety, tak. Powiedziałam im od razu wieczorem, w piątek. Goście nieraz chcą pływać przed wschodem słońca, a wtedy mnie tam nie ma. Muszą się sami obsłużyć.

- No cóż, to upraszcza sprawę – inspektor zdjął oba klucze i wyszliśmy na pomost. Sprawdził, czy zamki działają, po czym zeskoczył znowu w dół. Pomanipulował chwilę przy wiosłach, przeszedł do drugiej łajby i wypchnął pustą łódź na fale.

Leciutki wiaterek zaczął bardzo powoli popychać ją w stronę lądu. Inspektor patrzył na nią, po czym zawołał do mnie przez ramię:

- Może pani zawołać sierżanta? Mógłby odegrać rolę trupa.

- Nie! Sama to zrobię. Niech pan podpłyń.

Po chwili siedziałam w łódce, i, zgodnie z poleceniem Bieguna, położyłam się niemal na jej dnie. Obciążona łajba wykonała majestatyczny obrót i wolniutko ruszyła w kierunku wyspy. Inspektor, oddalony o kilka metrów, towarzyszył mi w drugiej łodzi, delikatnie poruszając wiosłami.

Pięć minut później poczułam, że łódź staje. Utkwiła w szuwarach po prawej stronie jeziora. Biegun dotarł do mnie minutę później.

- No dobrze. Może było mu wszystko jedno, dokąd denat dopłynie. Teraz wracajmy.

Wzięłam się za wiosła. Z tego miejsca dokładnie było widać pensjonat, wznoszący się nad zatoczką, kolorowe ściany lasu, a także Janusza Wiluka i Niemożliwego, stojących ramię w ramię na pomoście, niczym ponury komitet powitalny.

Inspektor poczekał, aż wygramolę się z łodzi, po czym sam wydostał się na suchy ląd.

- Witam panów – uklonił się grzecznie w stronę obu mężczyzn – jak widać, robimy tu małą inscenizację. Teraz wychodzę z łodzi, trzymając narzędzie zbrodni - zamilkł nagle i obejrzał się na stromą drabinkę, z której przed chwilą skorzystał. Obrzucił wzrokiem śliskie, pokryte nalotem stopnie i wzruszył ramionami. Następnie uśmiechnął się do mnie szeroko, równocześnie przymrużając jedno oko. Gdybym nie była kobietą żelaznych zasad, doszłabym do wniosku, że Biegun frywolnie do mnie mruga. – Mniejsza zresztą z tym. Co panów sprowadza?

- Pański sierżant pytał o pana – odpowiedział za obu Niemożliwy. – Technicy chcą się zbierać.

Inspektor pospieszył do budynku. Śledziłam go wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem.

- Moja głowa – zajęczał Janusz, sięgając za pazuchę. Myślałam, że wyjmie piersiówkę, ale poprzestał na opakowaniu tabletek. Zwróciłam uwagę, że była ich najwyżej połowa.

- Zażył pan już sześć? – zaniepokoiłam się.

- Nie, pani Alu, dziś tylko dwie. Rano było mi lepiej. Maksymalnie biorę cztery na dzień. Zgodnie z ulotką. A co pani robiła na jeziorze z hm... inspektorem?

- Chciał sprawdzić, czy wiatr znosi łodzie – oznajmiłam - To bardzo pedantyczny policjant.

- I co? Doszedł do czegoś?

- Nic nie mówił. Ale był raczej zadowolony. Może lubi wiosłować.

Janusz westchnął ciężko.

- Powinienem wracać do domu. W pracy się niecierpliwią. Ciągle ktoś dzwoni, jakbym stał się nagle niezbędny. Tymczasem policja wciąż sugeruje nam, żebyśmy zostali jeszcze trochę.

- Na twoim miejscu nie siadałbym dziś za kierownicę – mruknął Niemożliwy – za wcześniej.

- Właśnie dlatego cierpię! Już trzy godziny bez wzmocnienia!

- Za to rano możesz jechać – ciągnął Feliks – Reszta zostaje?

- Nie wiem, nie wiem. Nie pytałem ich o to. A ty?

- Ja zamierzam zaczekać na koniec śledztwa.

- Nic dziwnego, to w końcu twój brat – Wiluk zatoczył się nieznacznie w stronę wody. – Cholerny braciszek. Święty Oskar. Naobiecował mi złote góry, namówił na przyjazd do tej dziury, i dał się zabić jak głupek. Nienawidzę go... nabrał mnie... głupek, świętoszek...

- Lepiej idź do łóżka albo oblej sobie łeb zimną wodą – burknął Niemożliwy.
– Masz dosyć na dziś.

Ale Wiluk jeszcze się nakręcał, jak to nieraz pijani.

- Nie chciał jechać do knajpy z nami, za ważny na knajpy, nawet słowem się do mnie nie odezwał. Taki przyjaciel. No i ma za swoje. Załatwili go, głupiego palanta. Zimny trup. Zimny. Czemu taki zimny? Jak lód. – Nagle się zatrząsał. – Straszne, makabryczne. Co ja opowiadam? Co ja gadam? Mój kumpel zabity, a ja gadam – rozrzewnił się niespodziewanie – Biedne dzieciaczki. Sierotki. Co z nimi będzie? Zabity, zadźgany ...

Feliks złapał go wpół i zdecydowanie pokierował w stronę domu. Janusz jakby się zmniejszył, skurczył, dał prowadzić bez szarpaniny. Patrzyłam za nimi, póki nie znikli za rogiem budynku. Po dłuższej chwili Niemożliwy wrócił na pomost.

- Zaprowadziłem go do pokoju – mruknął – facet traci głowę.

Przytaknęłam. Faktycznie, Janusz spadał w dół.

- Nic ciekawego – podjął po chwili – Młodziak i Lola odbyli niewinny spacer po lesie. Nie przystawali przy oznaczonych gładkach ani nie wdrapywali się na drzewa. Szerokim łukiem obeszli bagienko.

- Zatem fiasko.

- I tak, i nie. Być może trzeba szukać gdzie indziej. Co robił Biegun?

- To co pan. Zastanawiał się nad kryjówką na nóż. Później chciał odtworzyć okoliczności morderstwa. Ja odgrywałam Nieduż... ofiarę. Płynął za mną w drugiej łodzi, w charakterze mordercy, jak sądzę. Resztę widzieliście.

- Powinien jeszcze raz przeszukać dno pod pomostem – powiedział Niemożliwy. Pochylił się nisko, niemal sięgając nosem desek. – Ta drabinka. Morderca zszedł po niej, żeby odczepić łódź. Ja nie zawracałbym sobie głowy drabinką. Tutaj jest płytko, a i tak lało. Wypchnąłbym Oskara, a potem zwyczajnie wyszedł na trawę.

Pokiwałam głową z mądrą miną.

- A co z nożem?

- Znajdzie się, jeśli morderca poczuje się zagrożony – odparł enigmatycznie Niemożliwy.

Zirytował mnie. Pan Tajemniczy, patrzcie tylko! Wszystkie rozumy pozjadał. Poczekaj no – pomyślałam mściwie – jeszcze się okaże, kto pierwszy

rozwiąże zagadkę.

- Nic nie rozumiem. Zagrożony? Co ma pan na myśli?

- Wszystko na razie wskazuje na jedną osobę, prawda? A co, jeśli się okaże, że ktoś jeszcze miał równie silny motyw? Albo któreś z nich zacznie mówić?

Milczałam, oszołomiona. Przecież wszystkich przesłuchano?

- Mojego brata zabito wieczorem, w domu pełnym jego gości. Żaden z gości nie zajrzał do niego po powrocie z knajpy, nikt nie spytał o samopoczucie, nie zaproponował jednego przed snem... możliwe, ale nieprawdopodobne. A ta Lola – przecież sypiali razem. Czemu nie wskoczyła mu do łóżka?

- Tutaj spali osobno – wspomniałam narzekanie Loli na hałas. - Była o tym mowa pierwszego dnia, podczas śniadania.

Feliks wyglądał na rozbawionego.

- Hm, może. Ale mam przeczucie, że oni coś ukrywają.

Zastanowiłam się nad tą tajemniczą wypowiedzią. Każdy coś ukrywa, czasem zupełnie niewinnego. Na przykład swój rozmiar buta. Albo metrykę urodzenia. Jest na niej data urodzenia, i każdy mógłby dowiedzieć się, ile masz lat.

- A pan co ukrywa? - spytałam zniecierpliwiona.

- Mnóstwo zbrodni – odparł poważnie Feliks. Spojrzałam mu w oczy i przez plecy przeleciał mi dreszcz. Błysnęło w nich coś niemiłego. – Ale do tej nie przyłożyłem ręki – spojrzał na mnie, wyprostował się i uśmiechnął. Cię zniknął. - Niech pani uważa na siebie – dodał i odszedł w stronę pensjonatu.

Poczekalam, aż zniknie z pola widzenia, i ruszyłam do hangaru.

„Nigdy nie patrzę w górę” - mruzczałam do siebie, zerkając na solidne drewniane krokwie podtrzymujące dach szopy. Wspięłam się na palce, ale ich nie sięgnęłam. Brakowało co najmniej pół metra. Rozczarowana, rozejrzałam się wokół. Drabiny nie było. Pewnie pan Bogdanek zostawił ją w altanie. O ścianę oparto wiosła, na hakach wisiały ratunkowe kamizelki. Drewniane, zbite z desek półki zastawiono puszkami ze smarem czy farbą. Z drugiej strony szopy, w przepastnej szafie, leżaki czekały na powrót lata. Klucz do szafy wisiał na wieszaku przy wejściu. „Policja pewnie już wszędzie zajrzała” – pomyślałam, błędząc wzrokiem po ścianach. Szopa od początku służyła za skład niepotrzebnych gratów, przechowalnia łodzi i kajaków. Stojaki na te ostatnie zajmowały niemal połowę powierzchni. Nie miała okien i było w niej przytulnie i ciepło. Grube ściany nie przepuszczały dźwięków.

Przysiadłam na pobrudzonym farbą stołku, oparłam się o kapoki i przymknęłam oczy. Rozleniwiona panującym wokół spokojem, zaczęłam znowu snuć marzenia.

...ciepły wiatr rozwiewał moją sukienkę. Stałam na pokładzie jachtu w promieniach południowego słońca. Błękitna woda Morza Śródziemnego zapraszała do ciepłej kąpieli. Zgięty w ukłonie kelner serwował zimne napoje.

Wokół porozstawiano leżaki, z których nawet ja mogłabym unieść się lekko i z wdziękiem... Na niebie białe obłoczki galopowały jak stadko wełnistych owiec. Znużona upałem, zauważyłam drabinkę prowadzącą wprost do chłodnej wody.

„Signora chce kąpać?” - spytał biało ubrany kapitan – „Ja wołać oficer kąpielowy. On potrafić płynąć. On chodzić po drabina jak małpa.”

Za przybudówki wynurzył się ogromny facet w samych kąpielówkach. Błysnął złotym zębem, po czym uprzejmie wskazał mi drabinkę. Zdezorientowana, wpatrywałam się w jego twarz. Już go kiedyś spotkałam... ujął mnie pod ramię i zdecydowanie wypchnął za burtę. Nagle otoczyła mnie woda i poczułam chłód. Położyłam się na plecach i kołysałam na malutkiej fali... rozkołysanej fali. To kołysanie wywołało senność. Ciepło słońca obezwładniało... raptem usłyszałam plusk i obok mnie wylądował złotozęby kąpielowy.

„Chce widzieć ryba? Signora! Ryba! Ja ją złapać dla piękna signora! Signora patrzeć!”

Za jachtu wynurzyła się płetwa. Rekin pędził w naszą stronę tak szybko, że drobne kropelki wzbijały się wokół i wirowały w tęczy. Oficer rzucił się w jego stronę, w dłoni mignął mu nóż, i nagle woda wokół zabarwiła się czerwienią. Tuż przed moją twarzą kłapnęły potężne zęby, usłyszałam krzyk kapitana: „Ryba zjeść małpa!” i jacht zaczął oddalać się ode mnie. Po chwili ledwie widziałam jego zarys na horyzoncie. Zrozpaczona, rozejrzałam się wokół. Pusto. Nic, nawet butelki z wiadomością czy deski, tak użytecznej dla rozbitków.

„Signora! Signora! Patrzeć ryba dla signora!”

Złotozęby zbliżał się do mnie siedząc okrakiem na rekinie...

Otworzyłam oczy. Musiałam znowu zasnąć, bo wokół mnie panował półmrok. Ani śladu kojącego blasku południowego słońca. Kapoki zsunęły się na ziemię i coś uwierało mnie w plecy. Coś jest ze mną nie tak; wciąż zasypiam.

Głupstwa. Życie to nie sen, a Nieduży nie jest rekinem. Chyba że finansowym. Zabił go ktoś z gości. Inne możliwości nie wchodzą w grę. Wprawdzie diablik w głowie mówił mi, że są inni podejrzeni, całkiem prawdopodobni, związani z dużym spadkiem i więzami rodzinnymi, ale odrzuciłam te przypuszczenia jako niedorzeczne.

Musiałam spać co najmniej kwadrans. „Właściwie to dobrze” pomyślałam, szukając solidnego krzesła; „nikt nie będzie wiedział, że ktoś jest w szopie”. Wybrałam trójnożny stołek z okrągłym siedzeniem. Kojarzył mi się z okresem dzieciństwa, zbieraniem porzeczek w ogródkach działkowych, widokiem zielonych strączków groszku, pieleniem marchwi... Nie cierpiałam pielenia, ale groch smakował wspaniale. Na podobnym stołku siadywała babcia, łuskając fasolę czy obierając ziemniaki. Teraz ustawiłam go pod ścianą i ostrożnie się nań wspięłam, kurczowo przytrzymując się szafy. Mam problem nawet z wymianą żarówki; od razu kręci mi się w głowie.

Zerknęłam na krokwie. Mnóstwo kurzu i pajęczyn. Rozczarowana, przekręciłam się trochę, żeby objąć wzrokiem większy obszar. Wszystko spowijała jednolita szarość, jakby nikt tu od lat nie zaglądał.

Powtórzyłam tę czynność kilka razy, zmieniając ustawienie stołka, ale niczego nie dostrzegłam. Po namyśle wydobryłam latarkę – specjalny, niewielki model - i wzięłam ją w zęby. Niepewna struga blasku oświetliła kolejne pajęczyny i ogromnego pająka, zastygłego pod sufitem. Szybko przesunęłam się dalej. Dotarłam już do półek z farbą. Oświetliłam je porządnie; wszystkie wyglądały tak samo. A może w którejś tkwi nóż? Technicy policyjni wprawdzie sprawdzali hangar, ale kto wie...

Po kilku minutach miałam na sobie sporo różnokolorowych plam. Puszki nie były porządnie pozamykane. Zirytowana, zaczęłam szukać rozpuszczalnika. Gdzie ten Bogdanek go wetknął? Co za człowiek, nigdy niczego nie ustawi na miejscu. Wreszcie dostrzegłam puszkę na samym szczycie szafki, obok kłębu szmat i butelki z denaturatem. Wspięłam się na krzesło i sięgnęłam wyżej. Chwiejny mebel zachwiał się pode mną, zakołysał, światło latarki zatańczyło na ścianach, zakręciło mi się w głowie i spadłam na betonową podłogę.

Coś okropnie trzasnęło. Jęknęłam przy wstrząsie. Ból lewego barku i biodra na chwilę mnie sparaliżował. Na pewno złamałam kość! Muszę wezwać Malika, on będzie wiedział, co dalej. Czekają mnie długie godziny prześwietleń, potem gips, ciężki jak pancerz średniowiecznego bohatera, cierpienie w samotnym pokoiku na poddaszu, problemy z higieną osobistą... Oj nie. Tylko nie z higieną! I co z moimi kotami? Kto się nimi zajmie? Moja matka? Biedne stworzenia.

Leżałam nieruchomo dłuższą chwilę, czekając, aż wizja mojego nieszczęścia nabierze barw. Kiedy już zbierało mi się na płacz, przypomniał mi się Niemożliwy. Oj, oj. Nie może mnie zobaczyć w takim stanie, z farbą na twarzy i z połamanym biodrem, jak jakąś staruszkę. Podjęłam ogromny wysiłek. Prawą ręką sięgnęłam po telefon i wybrałam numer poradni. Oschła recepcjonistka od razu poznała mnie po głosie.

- Doktor jest zajęty – oznajmiła surowo. - Nie można zawracać mu głowy głupstwami.

- Miałam wypadek – wychrypiałam – nie mogę się ruszyć.

- Na pewno? Może niech pani spróbuje. Ostatnio twierdziła pani, że umiera, a okazało się, że to niestrawność...

- Nie mogę się ruszyć! - wrzasnęłam. Co za baba.

- ...a wcześniej chciała pani natychmiastowej konsultacji w sprawie brodawki na dłoni - kontynuował niewzruszony babsztyl.

Kiedy nagle człowiekowi pojawia się na skórze czarna zmiana, myśli się o najgorszym.

- To wcale nie była brodawka! Malik powiedział, że to podskórny wylew!

- A tydzień temu miała pani problem z nagłą cukrzycą i skokiem ciśnienia.

To prawda. Były wszystkie symptomy – poliuria, polidypsia i polifagia. Malik mruczał coś pod nosem na wzmiankę o nowo wypróbowywanych przeze mnie herbatkach brzoźowych. Podobno działają strasznie moczopędnie. Ale skąd miałam to wiedzieć? Myślałam, że odchudzają. Zresztą lepiej zapobiegać niż leczyć.

- Niech mnie pani posłucha – syknęłam - albo poprosi pani doktora, albo...

Nie dokończyłam. W słuchawce zatrzeszczało i w tle usłyszałam głos Malika:

- Na kogo pani tak krzyczy, pani Zosiu? Lepiej ja porozmawiam.

Musiał wyrwać tej zoźzie słuchawkę, bo odezwał się niemal od razu:

- Malik przy telefonie.

Z ulgą opowiedziałam o upadku z krzesła. Doktor od razu podjął decyzję.

- Może pani ruszyć lewą nogą? A ręką? Nie? Na pewno? Niech pani tam zostanie. Zaraz będę.

Odłożył słuchawkę. Teraz dopiero przyszło mi do głowy, by zadzwonić do pensjonatu. Jest tam pewnie mnóstwo policji. Będą wiedzieli, co zrobić.

Numer był zajęty. Ze złością zatrzasnęłam telefon, który potoczył się po ziemi. Odruchowo sięgnęłam po niego lewą ręką. Nic nie poczułam. Zachęcona, spróbowałam usiąść, przenosząc ciężar na prawe biodro. Udało się. Wprawdzie bolało, ale mogłam poruszyć palcami stopy... i kolaniem też... a nawet klęknąć... i ...

Drzwi hangaru otworzyły się z hukiem i do wnętrza wbiegł inspektor Biegun z sierżantem na tyłach. Przykucnął przy mnie.

- Doktor zadzwonił – oznajmił bez wstępów – zaraz tu będzie. Fatalny upadek, tak, niebezpieczna sprawa. Sierżancie, dajcie koc. Może pani się oprze - dobrze – teraz pod plecy – posadził mnie wygodnie na podłodze i otulił miękkim pledem.

Poczułam się błogo. Wreszcie ktoś się mną zajął. Przejęty sierżant Waldek wydobył z za pazuchy torebkę.

- Chce pani ciastko? – zagadnął.

Okropnie zachciało mi się pączka, ale przecież nie mogę sobie pozwolić, żeby zajrzał tu ktoś jeszcze i zobaczył mnie brudną, potarganą i z ciastkiem w gębie.

Inspektor zaczął opowiadać o niebezpieczeństwach związanych z upadkami, przytaczając rozmaite przykłady z życia swojej rodziny. Słuchając go, poczułam się lepiej.

Ja miałam zdrowszą rodzinę. Pomału wyprostowałam lewą nogę. Biegun tymczasem z zainteresowaniem rozglądał się wokół.

- Nasi technicy już tu byli. Solidny budynek. Podmurowany, z drewnianych

bali. Nie przecieka? Nie, widzę, że nie. Doskonałe miejsce na łodzie, kajaki i wszelkie niepotrzebne graty.

Zaczął spacerować wzdłuż ściany, przyglądając się krokwiom.

- I na tymczasowy schowek. Jak pani wie, nie znaleziono jeszcze noża. Czy też czegoś innego, równie morderczego – obrócił się na pięcie. Jego wzrok padł na stołek pod ścianą. – Rożek, zajrzyjcie tam wysoko. Może są miejsca mniej zakurzone niż inne. Masz latarkę? Nie? Nie szkodzi, pani Ala ma na pewno, prawda? Latarkę, scyzoryk, manierkę, może lornetkę...

Rozzłościł mnie. Czy to widać, że mam przy sobie niezbędnik? Patrzcie, jaki bystry.

- Manierki nie mam. A latarka mi wypadła, chyba potoczyła się gdzieś tam, pod szafę. A zresztą skąd pan wie...?

- Policja wie wszystko. Nie, niech pani tak nie patrzy. Wczoraj zauważyłem u pani specjalną torbę, podobną do takiej, jaką sam kiedyś miałem... nosiłem w niej swój niezbędnik. Ten sam wzór fabryczny. Sprawdźcie na górze, Waldek. Co? Nie ma? Właściwie co pani tu robiła, pani Alu? Porządki? A może nagła potrzeba policzenia koców czy leżaków? Nie powinna się pani martwić. Jeśli nawet technicy coś zabrali – a nie zabrali – to powinni to zaraz zwrócić. A właśnie. Nie dopasowali żadnego narzędzia z pani kuchni do ran denata. To było coś nietypowego, tak twierdzi patolog.

- Wie pan, co robiłam. Szukałam noża.

- Słusznie, słusznie. Ale to powinna pani jednak zostawić nam. Gdzieś tu kręci się niesympatyczny osobnik, zdolny do morderstwa z zimną krwią. Może znów uderzyć, jeśli poczuje się zagrożony. Zauważyła pani, że złamanie jakiegoś tabu, jeden grzech, nieraz prowadzi do następnych? Jakby przestępca tracił skrupuły, nic go już nie powstrzymuje... ani sumienie, ani zasady.

Pokiwałam głową. Pewnie, jeden cukierek pociąga za sobą chęć na więcej. Ile to dziś zjadłam tych krówek? Szesnaście?

Sierżant na czworakach przemierzał szopę w poszukiwaniu latarki. Znalazł ją wreszcie pod szafą, wyciągnął za pomocą patyka i włączył. Tak wyposażony, wspiął się na stołek i zaczął robić to, co ja wcześniej – sprawdzać krokwie.

Inspektor ustawiał puszki z farbą według wielkości.

- Od razu zauważyłem, że jest pani bystra. Niezwykle bystra. Spostrzegła pani, że nie da się wejść po drabince z nożem w rękę. Za śliska, za stroma. Potrzeba obu dłoni i stóp. Szczególnie w czasie burzy. Można oczywiście wziąć nóż w zęby, ale mimo wszystko nie sądzę, by morderca tak zrobił. Zatem nie wyciągnął tego noża w łodzi, albo nie korzystał z drabinki. Najprościej by było wrócić po wypchnięciu denata wodą aż na brzeg. Blisko i płytko. A jeszcze prościej by było zabić go na pomoście, zadając mu kilka ciosów, po czym zabrać nóż i dopiero wówczas wrzucić zwłoki do łodzi – ustawił puszki w równym rzędzie

i przeszedł w kierunku szafy. - Zresztą mogło być tak i tak, ale w obu przypadkach są pewne oczywiste trudności. Gdzie jest klucz do tej szafy? Ach, widzę. Razem z resztą kluczy do reszty szaf i łodzi – otworzył masywne drzwi.

Prawa część wypełniona była leżakami, a po lewej, na półkach widniały porządnie złożone materace i koce. Biegun przyglądał się im przez chwilę, po czym zamknął szafę. Starannie odwiesił klucz na haczyk i podjął rozmowę:

- Najciekawsze oczywiście jest to, że w ogóle zabrano ten nóż. Jak tam, Rożek? Macie coś?

Sierżant stał na stołku przy drzwiach. Wyższy ode mnie co najmniej o piętnaście centymetrów, bez problemu obserwował szczyt krokwi.

- Nic, szefie – zaraportowałem – kurz wygląda na nienaruszony.

- Jak to się stało, że pani spadła? – spytał niespodziewanie inspektor.

- Zakręciło mi się w głowie. Chciałam się umyć, a tamta puszka wygląda na rozpuszczalnik. Coś trzasnęło, zupełnie jak kość – wzdrygnęłam się.

Biegun bez wysiłku wszedł na krzesło i ściągnął ze szczytu szafy puszkę. Takim to dobrze – pomyślałam. Gdybym ja miała metr dziewięćdziesiąt, to też bym tak mogła. Inspektor odkręcił wieko.

- Nic specjalnego. Ale co tak trzasnęło? O, już wiem – podniósł z podłogi fragment krzesła. – Pękło oparcie. Jak już mówiłem, istotne jest to, że zniknęło narzędzie zbrodni. Może wskazuje bezpośrednio na mordercę, a może chodzi raczej o zamydlenie nam oczu. Albo morderca wpadł w panikę i sam nie wiedział, co robi. Wówczas...

Zadudniły kroki i do środka wpadł doktor Malik, z torbą lekarską pod pachą.

Obmacał mi ramię, potem biodro, pokręcił głową, po czym zaświecił mi w oczy paskudną małą latarką.

- Skąd pani spadła? Z tego stołka? Czy straciła pani przytomność?

Zaprzeczyłam.

- Głową nie uderzyłam. Cały impet poszedł na lewy bok.

Doktor osłuchał mnie, popukał, kazał poruszać palcami i wreszcie oznajmił:

- Spróbujemy wstać. Inspektorze?

Podnieśli mnie z obu stron. Oparłam się na lewej nodze. Z początku zabolęło, ale po chwili stałam już całkiem pewnie.

- Stłuczenie – mruknął Malik, chowając swoje instrumenty. - Ale zrobimy rentgen. Na wszelki wypadek. Zawiozę panią do szpitala.

Na zewnątrz nikogo nie było. Szłam już całkiem dobrze. Malik maszerował obok, po cichu rozmawiając z Biegunem.

- Dobrze, że byliście na miejscu. Jakieś postępy w sprawie?

Nastawiałam uszu. Inspektor został nieco z tyłu, więc dobiegało do mnie co drugie słowo.

- ...szukamy... mafią. Ale to... trwało... wiejski... matactwo...

- Ułożenie ...ciała?

- Tak... ogranicza... niemożliwe.

Dotarłam do parkingu. Stał tam wóz doktora, obok samochodu Niemożliwego. Ten ostatni grzebał w silniku, mocno pochylony nad maską. Przebrał się w białą koszulkę polo i spodnie khaki. Wyglądał po raz pierwszy schludnie i pachniał wodą kolońską.

W milczeniu przyglądał się naszej małej procesji.

- Hola, inspektorze! Aresztował pan panią Alę? – zagadnął spoglądając na sierżanta Rożka przy moim boku.

Wyjaśniłam mu w paru słowach, o co chodzi. Feliks wytarł dłonie o ścierkę.

- Ja panią zawiozę – oznajmił. – I tak muszę jechać do Lęborka. Doktor na pewno się spieszy.

Malik obrzucił go wzrokiem. Niemożliwy przyjął postawę wyczekującą, z założonymi na piersiach rękami i uniesioną głową. Doktor zignorował go inapisał parę słów na druczku, który mi zaraz wręczył.

- Oczywiście. Wracam do przychodni – kiwnął głową policjantom wskakując do auta. Kiedy mnie mijał, wydało mi się, że na twarzy miał szeroki uśmiech...

Niemożliwy wysadził mnie przed szpitalem w Lęborku.

I odjechał.

W szpitalu, jak w szpitalu. Najpierw długo czekałam, jak zwykle czując się bezradna i stara pośród tłumu innych zniecierpliwionych osób.

Jedna z pacjentek, starsza kobieta w pełnym makijażu i kapeluszu na głowie, zwróciła się do mnie ze współczuciem:

- Z wypadku? Katastrofy?

- Nie – przeraziłam się – po prostu upadłam.

- No, to widać – odrzekła, obrzucając wzrokiem moją poplamioną bluzkę. - Ma farbę na twarzy. Czeka na ablucję? – mówiła wolno, starannie artykułując każde słowo, jakbym była niedorozwinięta.

Też coś. Niech sama się umyje.

- A pani? – odbiłam piłeczkę. - Potrzebuje ablucji?

- Nie, mnie już zrobili - rozsiadła się wygodniej na krześle. - Wsadzili mi taką długą rurkę do serca i przypalili. Aż skwierczało! Ja jęczałam i wyłam, ale ten lekarz tylko powtarzał ciągle „cicho, cicho...” a na sam koniec mówi: „cicho...już!” Taki młody, bardzo przyjemny. Dziś kontrola.

Rozgadała się, a ja pograżyłam się we własnych myślach. Muszę wyglądać okropnie. Nic dziwnego, że Feliks uciekł. Żaden facet nie chce się pokazywać z czupiradłem, nawet w szpitalu.

Moja rozmówczyni opowiedziała mi o swoich wszystkich dolegliwościach, szczegółowo opisując przeżycia przy kolonoskopii. Dołączyła do niej druga

staruszka, potem trzecia... Jeśli ktoś zobaczy mnie wśród nich, pomyśli, że też mam sześćdziesiąt lat! Wiadomo jaka jest zasada - jeśli jesteś z młodymi, biorą cię za młodego. A jeśli ze starymi... Wymknęłam się do łazienki. Z zamglonego lustra spojrzała na mnie rozczochrana jędrza w średnim wieku, z czerwoną plamą na nosie. Bluzkę pokrywały szare plamy, a z czubka głowy zwisała mi pajęczyna...

Po powrocie skierowano mnie do innej poczekalni, aż wreszcie zostałam przyjęta przez nieuprzejmego radiologa. Okazało się, że Malik miał rację. Nic nie zламаłam. Nawet nie zwichnęłam. Potem chirurg zalecił odpoczynek i okłady.

Trochę pocieszona, wyszłam na zewnątrz. Dzień był nadal ciepły. Z pobliskiego placu zabaw dobiegały mnie okrzyki dzieci, obok przed kawiarnią ludzie siedzieli pod parasolami, jakbyśmy nadal mieli lato. Rozejrzałam się, ale nigdzie nie było widać wozu Feliksa.

„A to mnie wystawił” – pomyślałam ze złością – „Taki sam jak wszyscy faceci. Kompletnie beużyteczni”.

Spojrzałam w niebo. Poważny jesienny błękit mąciły tu i tam delikatne koronki pierzastych cirrusów. Niedaleko placu zabaw drzewa w parku nabierały barw starego złota i mosiądzu. Widać wichura ominęła Lębork. Zachciało mi się usiąść przy stoliku i zjeść lody z widokiem na to bogactwo. Podeszłam bliżej kawiarni, pocąc się w słońcu. Mijali mnie przechodnie – kobiety z wózkami wiozące opatulone po czubek nosa niemowlęta, grupki młodych o bladej, niezdrowej cerze i w kapturach na głowach, paru emerytów dzielnie maszerujących z kijkami... Ciekawe, dlaczego niektóre matki muszą tak owijać te maluchy. Niechby same włożyły te wszystkie warstwy w taki dzień jak dziś.

Zająłam wolny stolik najbliżej parku, niemal u stóp potężnego dębu. Przez dłuższą chwilę rozkoszowałam się cieniem drzewa. Podbiegła do mnie kelnerka, młoda kobieta w białym fartuszkach. Zamówiłam waniliowe z polewą, bitą śmietaną i kawę. To się nie liczy jako posiłek. Mój mózg potrzebuje kalorii. Muszę odbudować nadwątlone wyczerpującym dniem siły. Nie wiem dlaczego lody mają być gorszym źródłem energii niż papka z warzyw czy niełuskane ziarna. W gruncie rzeczy efekt jest podobny – podnosi się poziom cukru, ruszają enzymy, krew dostarcza komórkom mnóstwo siły życiowej. Może koń by i wolał ziarno. Ale ja nie jestem koniem.

Z prawdziwą rozkoszą uniosłam do ust pierwszą łyżeczkę ambrozji. Zadowolona, rozejrzałam się wokół.

I wtedy ich spostrzegłam.

Niedaleko, za stojakiem z kwiatami siedział Niemożliwy z jakąś dziewczyną. Miałam świetny widok na lewy półprofil Feliksa, pochylonego w kierunku swojej towarzyszkii. Wysunęłam się nieco, żeby ją dokładniej zobaczyć.

Niedobrze. Olśniewająca cera, wielkie, wyraziste oczy, ciemnoblonde pasemka, które odrzucała co chwilę do tyłu. Kiedy się uśmiechała, pokazywała

bialutkie i z pewnością bardzo kosztowne zęby. Niemożliwy tłumaczył coś, zaglądając jej w te paskudne ślepie. Dziewczyna milczała robiąc słodkie oczy i nawijając na palec jasne loki. W pewnej chwili Feliks położył rękę na jej dłoni, a ona przeciągnęła się jak kotka.

Fatalnie siedzę. Ostrożnie rozejrzałam się na prawo i lewo. Wybijała lobelia i pelargonie niemal mnie przysłaniały. W kawiarni siedziało sporo osób; większość pod parasolami, po drugiej stronie przepierzenia. Bliżej drzew było pustawo, tylko po mojej lewej stronie jakiś samotny mężczyzna zasłaniał twarz gazetą. Przy stoliku najbliżej Niemożliwego siedziała właśnie rodzina z dwójką maluchów w wieku przedszkolnym. Dzieci kręciły się na krzesłach, podekscytowane nową sytuacją. Jedno z nich bardzo głośno domagało się tortu. Drugie podrzucało brudną piłkę, wzniecając niewielkie tumany kurzu. Matka, ubrana w legginsy i prążkowaną tunikę, nie zwracała na nie uwagi. Towarzyszący jej bykowaty facet trzymał przy uchu telefon komórkowy, bez najmniejszego skrępowania relacjonując ostatnie wydarzenia swojego życia komuś po drugiej stronie linii. Wszyscy ludzie w promieniu trzydziestu metrów mogli bez problemu zorientować się, jak idzie mu internetowa sprzedaż, na co choruje jego dziecko, jak mały „piździo...” spać mu nie dawał ostatniej nocy, i że teraz jest, „kur...”, w Lęborku, bo „jego kobieta się uparła”.

Typowa rodzina. Ludzie udawali, że nie słyszą przekleństw, albo demonstracyjnie czytali menu. Facet mówił coraz głośniej, dorzucając coraz świeższe szczegóły swojej działalności i od czasu do czasu wybuchając końskim rżeniem.

Spięłam się wewnątrz. Do stolika podeszła kelnerka i „kobieta” złożyła zamówienie. Pomału rozprostowałam i zgięłam palce u rąk i nóg, odetchnęłam głęboko, czując, jak wypełnia mnie energia. Facet był paskudny, ale czy mnie posłucha? Z pewnym żalem zrezygnowałam z interwencji. Śledztwo przede wszystkim.

Wykorzystując plecy kelnerki, pomału wstałam od stolika i ruszyłam za dąb. Z tej strony stoliki niemal stykały się z parkiem. Jeszcze kilka metrów i będę za plecami Feliksa. Żeby tylko mnie nie spostrzegł.

Minęłam dwie brzozy i przykucnęłam u stóp lipy. Pod nogami szeleściły mi liście. Na szczęście facet czynił dalej mnóstwo hałasu.

Widziałam teraz dokładnie plecy Niemożliwego i twarz dziewczyny. Dobięły mnie słowa.

- ...potem przeniosłam się do Słupska. Od roku mam nową pracę. Nie wiem, co jeszcze chcesz wiedzieć.

- Zabito mojego brata. Zrozum, Agato. To może mieć związek z przeszłością, a ty jesteś najlepiej poinformowana. Przykro mi, że musimy się spotykać w takich okolicznościach...

- Pewnie, dzwonił jakby nigdy nic po sześciu latach, i ciągniesz mnie do jakiejś zapadłej dziury, tylko po to, by rozmawiać o Oskarze!

- To ważne. Pomyślałem, że może wiesz coś o ludziach, od których pożyczał pieniądze.

- Bawisz się w detektywa? Lepiej zostaw to policji. Zresztą – dziewczyna uśmiechnęła się słodko – nie bardzo cię lubił, nie? Nie wiem, czemu miałabym coś ci mówić. Oszukałeś mnie...

- Musiałem nagle wyjechać. Nie zdążyłem nawet zadzwonić. Ale często myślałem o tobie.

- No, ja myślę – domniemana Agata odrzuciła do tyłu włosy. Zaczęła gładzić delikatnie swoją szyję. - Na długo wróciłeś?

- Jeszcze nie wiem. Może na zawsze - Feliks poruszył się niespokojnie i raptem obejrzał. Wstrzymałam oddech. - Powiem ci coś, o czym nie mówiłem nikomu innemu. Oskar się kogoś bał. Chciał, żebym go chronił.

- No, to raczej ci nie wyszło - Agata bawiła się teraz kosmykiem włosów. Długie nogi zakończone wysokimi obcasami wysunęła spod stołu, niemal dotykając nimi Niemożliwego. – Miał jednego wierzyciela wśród dresiarzy. Kazał mi mówić, że go nie ma, kiedy on przychodził... taki masywny typ. Bandzior. Raz Oskar schował się w toalecie na jego widok.

- Poznałabyś go? Kiedy to było?

- A tak krótko przed moim odejściem. Będzie ponad rok. A raz, pamiętam, wybrał się po forszę do księdza. Dziwiłam się nawet, bo trzeba było jechać daleko, aż pod Gdańsk. Zabrał mnie wtedy ze sobą, nie chciał prowadzić. Lubił mieć szofera i maszerować z teczką przy nodze – Agata umilkła na chwilę, mrużąc oczy. – Będę musiała powiedzieć o tym policji. Starszy człowiek, miał siwe włosy. Długo rozmawiali z Oskarem. Mnie kazał czekać przy aucie, ale to było lato, a oni siedzieli na zewnątrz. Nudziłam się i spacerowałam dookoła. Wioska, mały kościółek, rozpadające się chaty. Nie było dokąd iść, więc siadłam pod drzewem niedaleko. Oskar i ksiądz rozmawiali całkiem głośno. Co nieco przypadkiem usłyszałam...

„No pewnie, że przypadkiem” – pomyślałam po cichutku. - ”Tak jak ja w tej chwili”.

- ...i wyszło na to, że ksiądz dał mu pieniądze w depozyt na jakiś cel. Miał uzbierane na świetlicę dla dzieci, czy coś takiego. Oskar obiecał mu, że zwróci wszystko w tydzień, jeszcze z nawiązką.

- I zwrócił?

- Tego nie wiem, potem już odeszłam. To było tak jakoś w sierpniu roku temu.

- Pamiętasz nazwę tej wsi?

- Nie bardzo. Taka pipidówka w szczerym polu. Jechaliśmy z cztery godziny

w upale, a potem zaraz z powrotem. Następnego dnia przyszedł ten bandzior i tym razem Oskar się nie schował.

- A ksiądz? Nie dzwonił więcej?

- Nie wiem. Poszłam na urlop i potem miałam przeprowadzkę. Teraz jestem modelką. Widziałeś moje fotki?

Niemożliwy musiał coś odpowiedzieć, ale zagłuszył go hałas pękających naczyń. Dziecko cisnęło piłkę tak celnie, że wpadła na stół i straciła sprzed nosa Feliksa kawę i talerze.

Zapadła cisza, podczas której Feliks bez pośpiechu wstawał od stołu. Jak w zwolnionym tempie złapał piłkę.

- Lepiej nie bawić się tym przy jedzeniu – rzekł podając ją małemu. Dzieciak gapił się na niego z otwartą buzią. Drugie małe rozdarło się znowu, wołając o soczek.

- Zostaw mojego dzieciaka w spokoju – warknęła matka. – O takie gównie awanturę robić.

- No! – ożywił się mężczyzna. – Człowiek nigdzie nie ma spokoju. Od razu jakiś, ku... przychodzi. Takiemu, ku..., wszystko przeszkadza. Będę robił, co będę chciał. Takie moje prawo, ku..

Feliks zerknął na matkę.

- Zabierz stąd dzieci – jego głos brzmiał ostro.

- Nikt mi nie będzie, ku..., rozkazywał! – wrzasnął facet, zrywając się na nogi. - Bo nogi ci z du... powyrywam!

Nie zdążył dodać nic więcej. Nagły ruch i stał tyłem do Niemożliwego z wykręconymi obiema rękami. Feliks uśmiechał się pod nosem.

To nie był miły uśmiech.

- A teraz przeprosisz państwa za przekleństwa, których musieli słuchać – wysyczał do ucha faceta. Ten szarpnął się raz i drugi.

Zupełnie jak mucha na sznurku.

Feliks zrobił pół obrotu i facet zaczął wyć.

- Przepraszam, ku...przepraszam! – wrzasnął.

- A teraz za plugawy język przy dzieciach – kontynuował Feliks, zaciskając dłonie.

- Przepraszam! – zawył facet.

- A to na pamiątkę, żebyś był już grzeczny – rozległ się trzask. Mężczyzna upadł na kolana. Feliks puścił go i odsunął się, otrzepując spodnie.

Stał przez chwilę, potrząsając głową. Następnie spojrzał na zmartwiałą kelnerkę.

- Nie znoszę niepoprawnej polszczyzny – stwierdził głośno.

Następnie wykazał się rozsądkiem.

Oboje z Agatą wyszli na ulicę i znikli z oczu świadków.

Facet pozbiierał się z podłogi. Chyba nic nie złamał, bo rażno ruszył do wyjścia. Jego kobieta potruchtała za nim.

Wróciłam do lodów.

A zatem Agata pracowała u Oskara. Feliks jest szybki. Ciekawe, czy policja też już do niej dotarła – rozmyślałam, mieszając łyżeczką w kremowej mazi. Wciąż pojawia się motyw księdza. Oszukanego księdza.

Może proboszcz Ruczaj wiedziałby coś o tym? – rozważałam – w końcu do Gdańska nie jest stąd daleko. Mogą się znać. Może zwierzył się przyjacielowi ze swoich zmartwień. Postanowiłam pojechać jeszcze dziś do Pustkowa i wypytać proboszcza.

Oparta wygodnie o krzesło, z rozluźnionymi mięśniami, przypomiinałam sobie dzisiejszy dzień. Tajemniczy jesienny las, Biegun w łodzi, ciemna szopa, poszukiwanie noża... brudne ręce od farby. Wysoko sierżant Rożek na stołku, świecący latarką po krokwiach...

Zmarszczyłam brwi. Zanim upadłam, coś było nie tak... coś było na niewłaściwym miejscu. Na górze, koło puszek z rozpuszczalnikiem.

Moja ręka macająca niepewnie po regale, latarka w zębach, drżące światło zataczające migotliwe koła... nagły zawrót głowy, i...

...i tak, jakiś błysk w głębi wnęki. Muszę to koniecznie sprawdzić. Może morderca schował tam nóż... Albo telefon.

Ożywiona, skończyłam lody i kawę i zapłaciłam, nie reagując na minę kelnerki na widok niedużego napiwku. Ruszyłam do parku. Było już popołudnie, późne popołudnie. Gdzieś słońce przedostawało się przez korony drzew, tworząc plamy intensywnej barwy. Doszłam do niewielkiego stawu. Woda odbijała błękitne niebo, białe kłębki obłoków i nieruchome pnie klonów. Kilka dębów przyciągało wzrok purpurą liści. Gromadka kaczek podpłynęła do mnie w nadziei na przekąskę, ale zaraz, rozczarowana, ruszyła dalej.

Usiadłam na drewnianej ławce, ogarnięta spokojem tego miejsca. Moje myśli nadal krążyły wokół morderstwa Oskara Milera. Kto zabił tego małego człowieka? Czy sam sprowokował własną śmierć? Owszem, miał nieprzyjemny charakter. Obietnice bez pokrycia, nadużywanie zaufania porządnych ludzi. Równocześnie usta pełne pouczeń. Życie nad stan, na pokaz, chęć zdobycia podziwu innych.

Może wreszcie dorwał go ten dresiarz... Nie, teraz nie miałby motywu. Wygrana uczyniła z Milera osobę wypłacalną. Czy spłacił księdza? Najwyraźniej wyciągnął pieniądze od naiwnego staruszka, żeby uciszyć dresiarza. Ksiądz musiał mieć nieprzyjemności. Rada parafialna mogła wystąpić ze skargą do biskupa, może nawet stracił parafię. Tak, to pewnie on odwiedził Lidię Miler w Warszawie, krótko przed ich rozwdem. Szukał Milera. Musiał być bardzo zdeterminowany, skoro pojechał aż do stolicy, do domu człowieka, któremu zaufał.

Wątpliwe, aby teraz, po ponad roku dopadł go i zabił. Pewnie jest na

emeryturze. Może mieszka w jakimś domu dla starszych duchownych. Zresztą biskup mógł go przenieść do innej parafii. Ciężka rzecz dla staruszka.

Ale nikt nie jest samotną wyspą. Mógł mieć kogoś – rodzeństwo, bratanków, kogoś, kto zapamiętał Oskara i czekał na okazję, by go dopaść.

Pożałowałam, że nie mam policyjnych możliwości. Oni mogą sprawdzić, czy ktoś z obecnych gości pensjonatu nie ma powiązań z tym księdzem. Mnie zostaje najwyżej rozmowa... i Feliks. Gdyby trzeba było stosować badania trzeciego stopnia, będzie jak znalazł.

Podeszła do mnie dziewczyna z wózkiem. Trzylatek biegał wokół, tarzając się w górach liści. Matka robiła mu zdjęcia. Pojawiło się więcej osób. Młoda para w galowych strojach, a obok fotograf ze statywem. Zaczęli pozować na tle stawu i drzew. Panna młoda miała długie blond włosy, które co chwila poprawiała. Młodzieniec nosił elegancki frak i śnieżną koszulę. Ponieważ nie było wiatru, mężczyzna nabierał w dłonie garście liści i podrzucał wysoko, by uatrakcyjnić fotografie. Z daleka wyglądali jak Niemożliwy i Agata.

Ech, młodość. Nagle posmutniałam i zebrałam się z ławki.

Czas poszukać przystanku busów.

Okazało się, że ten do Pustkowie odjechał przed kwadransem.

Szesnasta. Następny za pół godziny. Nadal ciepło. Raptem zerwał się wiatr, zaszumił mi nad głową, uniósł w górę papierki i kurz. Zbudził dwie wrony śpiące na dachu przeszklonej wiaty. Ptaki zakrakały złowrogo, kołując nad moją głową. Popatrzyłam na nie groźnie. Ptaszyska przysiadły na dachu i gapiły się na mnie z politowaniem. Jeden zaczynał krakać, a drugi wchodził w równomiernych odstępach po drugim kraknięciu. Razem tworzyły ogłuszającą kakofonię.

Zignorowałam złe przeczucia – wszak wrony wróżą nieszczęście - i wsiadłam do kolejnego busa. Za pół godziny powinnam być w Pustkowie. Zajrzę do proboszcza i zapytam go o tego księdza. Może coś wie.

Pochłonięta własnymi myślami, nawet nie zauważyłam, że zapada zmrok. Mijały słabo oświetlone wioski, puste pola. Zamajaczyły mi wiatraki jak straszliwe maszyny oblężnicze z jakiegoś upiornego filmu fantasy, potem otoczył nas las. Bus jechał krętą drogą, ostro wchodząc w zakręty i piszcząc oponami przy hamowaniu. Dlaczego zbudowano drogi w kształcie zwojów ślimaka? Nie otaczały nas góry ani jeziora. Może – medytowałam z nadzieją –kiedyś były tu wsie czy domostwa, i omijano je z szacunku dla ubogich gospodarzy? Po chwili przypomniało mi się, że na krętych odcinkach podobno trudniej było zbombardować maszerujące kolumny wojska. Ale mimo wszystko...

Wreszcie bus wyjechał na prostszy odcinek szosy. Błysnęły przed nami światła wioski o nazwie Sikory. Nagle autem szarpnęło, zarzuciło, usłyszałam huk i spadłam z fotela.

Nie straciłam przytomności. Potłukłam tylko siedzenie o twardą podłogę.

Pozostali pasażerowie przytomnie użyli pasów. Siedzieli teraz bladzi i wstrząśnięci na swoich miejscach. Ktoś pomógł mi usiąść.

Kierowca wyskoczył z wozu. Oglądał przód samochodu. Sądząc po huk, mogliśmy na coś wjechać. Wygrzebałam moją latarkę z torby i wysiadłam. Reszta pasażerów podążyła za mną.

Maska samochodu wyglądała na nienaruszoną. Na poboczu nie dostrzegłam żadnych obiektów, nic, z czym mogliśmy się zderzyć. Jednak kierowca wyglądał na przybitego.

- Pękła opona – powiedział ze złością. – Koniec jazdy.

Zatelefonował do bazy i zabrał się za zmianę koła. Zapasowe też okazało się przebite. Czekaliśmy i czekali. Otaczał nas las, groźny, bo ciemny. Ludzie zbili się w gromadkę, usiłując rozgrzać się przytupywaniem, bo znacznie się ochłodziło. Jeden z mężczyzn, w szarej wiatrówce i czapce nasuniętej na oczy, wydobyl piersiówkę i puścił ją w krąg. Potem zaczął śpiewać.

Wiatr w czarnym lesie, zapach liści, migoczące reflektory... i błyszczące ślepia zwierząt tuż za trawiastym poboczem. Dziwne, ale od tamtej pory październik kojarzy mi się właśnie z tą sceną, jakby wyciętą z czarno - białej wycinanki. Pamiętam twarz człowieka z piersiówką, jego szeroko otwarte usta, niespodziewanie miły głos. Kilka kobiet zawtórowało mu piskliwie; jedna miała na sobie kwiecistą sukienkę i sweterek. Pod pachą trzymała kosz z jajkami. Trochę jak w latach pięćdziesiątych, które znam wyłącznie z filmów i fotografii. Nie jestem jeszcze taka stara.

Pasażerów było więcej niż zwykle. Przeważnie miejscowi, w codziennych ubraniach, objuczeni reklamówkami i siatkami. Kilkoro dzieci z plecakami. Dwie uczennice chichotały nieco z boku, obserwując ekrany swoich komórek. Kiedy zamknę oczy, widzę je wyraźnie; nierówno ścięte kosmyki włosów, umalowane oczy, blade policzki. Jedna miała na głowie przepaskę z dekoracją w kształcie gwiazdy. Po paru minutach dołączyła do chóru, a wtedy ludzie zamilkli jeden po drugim. Dziewczyna śpiewała sopranem, przekształcając ludowy motyw w pieśń zaczarowanej królowej.

Patrzyłam na nią w milczeniu, zasłuchana, póki nie skończyła. Ludzie zaczęli bić jej brawo, namawiając do dalszego występu. Facet z piersiówką otarł oczy.

- Nie myślał, co to taka ładna śpiewka – stwierdził na głos.

Prawie od razu zaczęło mi być zimno. Sporo wrażeń, jak na jeden dzień, i stanowczo za dużo urazów. Samochody zwalniały na widok tłumu przy busie, wreszcie kilka aut zatrzymało się i zabrało część pasażerów. Uczennice odjechały z jakąś panią z ich wsi. Reszta czekała, cicho rozmawiając i przestępując z nogi na nogę. Co chwila światła aut wydobywały z mroku nasze twarze, tworząc z nich tajemnicze maski. W pewnej chwili przez drogę przebiegł lis, zatrzymał się,

zdumiony niecodziennym widokiem, po czym umknął co sił w łapach.

Po kolejnych kilkunastu minutach wsiedliśmy do następnego autobusu.

No, przynajmniej jedna zagadka rozwiązana – pomyślałam, wspominając czysty głos uczennicy.

Już kiedyś go słyszałam.

Zrobiła się siedemnasta. Pora Mszy Świętej, to znaczy, że za późno na wizytę na plebanii. Postanowiłam odwiedzić Bogdankową. Może ona coś wie; jest aktywną członkinią Rady Parafialnej.

Niestety, okazało się, że jej nie ma. Sylwii też nie było. W domu zastałam tylko Milę Lach, zajętą oglądaniem telenoweli. Zlustrowała mnie od góry do dołu.

- Co ci się stało?

Uświadomiłam sobie, że nadal noszę czarną, pobrudzoną w szopie bluzkę i muszę mieć ślady pajęczyn we włosach. Streściłam historię ostatnich godzin, a Mila wypchnęła mnie do łazienki i przyniosła ciepły sweter.

- Umyj się, nagrzej, dam ci świeże ubranie.

Po kwadransie byłam już czysta i ogrzana. Pozostałam jednak w swoim stroju, korzystając jedynie ze swetra.

- Świetnie, że wpadłaś – posadziła mnie na honorowym miejscu w pokoju – napijesz się kawy?

Moje słabe serce nie wytrzyma kolejnej dawki kofeiny – pomyślałam, biorąc do ręki filiżankę.

Ale czego się nie robi dla sprawy. Mila Lach robi najlepszą kawę w Pustkowie, aromatyczną i pachnącą lekko orzechami.

- Gdzie wszyscy przepadli? – spytałam, z rozkoszą pociągając pierwszy łyk. – Nie ma nikogo u Bogdanków.

- Pewnie są w barze – Mila podała jeszcze ciasteczka – Janicki robi dziś wieczór konkurs takiego śpiewania, zaraz, jak to się nazywa – że możesz wybrać sobie dowolną znaną piosenkę i ją wykonać. Tylko musisz zgłosić wcześniej, jaką, bo ktoś ma akompaniować na pianinie. Reszta musi słuchać – dodała po chwili.

- I Wiesia chce wziąć w nim udział? – wyobraziłam sobie korpulentną Bogdankową w obcisłej sukience i pantoflach na wysokich obcasach, jak wiruje w rytm młodzieżowej muzyki. – Nie jest na to za stara?

- Każdy chce być czasem na scenie – mruknęła Mila Lach. – Mąż chyba też z nią poszedł.

- Moim zdaniem to dziecinada. Dobre dla młodych – oświadczyłam.

Też coś. Bogdankowa i śpiew. Zawsze fałszuje w kościele. Sama bym umiała lepiej zaśpiewać. Właściwie to czemu nie? Pewnie dopiero początek. No i będę mogła ją wypytać o księży.

- Dzięki za kawę – powiedziałam, wstając – muszę już lecieć.

- Ależ czekaj, przecież dopiero weszłaś. Nic nie opowiedziałas

o morderstwie. Ala!

- Nie mam czasu – zawołałam przez ramię. – Cześć!

Bar Janickiego to nowy lokal w Pustkowie. Mieści się przy centralnym skwerku, niedaleko kościoła. Nosi nazwę „Neptun”, i jest wyposażony w metalowe stoły i krzesła oraz imponujący bar z turkusowym kontuarem. Króluje za nim sam właściciel lub jego córka – podobna do topielicy nastolatka o wiecznie półotwartych ustach. Z tyłu do głównej sali przylega pomieszczenie bez okien, w którym latem odbywają się dyskoteki. Zamontowano tam wirującą kulę, co chwila rozbłyskującą światłem. Jest też coś w rodzaju podestu, czyli podwyższenie, na którym umieszcza się głośniki. Lokal cieszy się popularnością głównie w okresie wakacji, kiedy Pustkowie odwiedzają liczni wczasowicze. Młodzież wygina się tam w rytm dudniącej muzyki, potrząsając wszystkimi częściami ciała. Wyobraziłam sobie, jak Wiesia Bogdanek kręci biodrami w błyskach światła, machając mikrofonem.

Po prostu nie mogłam tego przegapić.

Wnętrze lokalu powitało mnie ciepłem i hałasem. Przy kontuarze, na wysokich stołkach, siedziało sporo miejscowych. Lustra za barem odbijały w nieskończoność ich kufle, szklanki i kieliszki. I bogactwo butelek na półkach. Uśmiechnięty Janicki pokiwał mi ręką na powitanie.

- Zdażyła pani! – zawołał ponad ciżbą. – Konkurs zaraz się zacznie!

Dochodziła osiemnasta. Jak na październikowy wieczór lokal był zatłoczony. Sezon w Pustkowie jest krótki i obejmuje tylko wakacje, a szczęście mają ci gospodarze, którym uda się znaleźć chętnych na pokoje w innym okresie. Nic dziwnego, że właściciele lokali rozrywkowych zamykają je na zimę na cztery spusty. Całorocznie funkcjonuje tylko jedna restauracja, przy hotelu „Bałtyk”, pizzeria i bar „Neptun”. Miejscowi rzadko korzystają z tej pierwszej – ceny są tam wygórowane – natomiast chętnie odwiedzają dwa pozostałe miejsca.

Od czasu do czasu.

Zauważyłam Wiesię Bogdanek. Siedziała z mężem i Zosią Malisz przy jednym z bocznych stolików. Nie włożyła sukienki, tylko wąskie błyszczące spodnie i migotliwą tunikę. Od razu do mnie pomachała. Kiedy podeszłam, zasypała mnie pytaniami. Czy to prawda, że śledztwo prowadzi taki masywny policjant, Biegun? Ona go zna, to ten sam, który tak słabo sobie radził przy zabójstwie Lili Prokop. We wszystko wtykał swój ciekawski nochal, a jakie pytania zadawał! Jego podwładny, taki miły młodzieniec, ciągle kupował ciastka w sklepie. Nic dziwnego, że doszło wtedy do kolejnego morderstwa. Gdyby ktoś pytał ją o zdanie, to obaj okazali się wówczas wyjątkowo nieudolni. Teraz nieszczęsna dusza tej śpiewaczki płacze się po bagnach i straszy wczasowiczów.

Udało mi się wtrącić słówko.

- Przecież po mszy za jej spokój już było cicho?

Otóż wcale nie. Nie dalej jak przedwczoraj znowu słyszała ten śpiew. To musi być potępiona dusza, od tego dźwięku krew krzepnie jej w żyłach. Jej mąż może to potwierdzić. Był z nią razem, gdy zniemacka usłyszała ten głos. Doskonale go pamięta. To ta zabita, przecież była na jej koncercie. Nikt inny tak nie wyciąga górnego „c”. A co tam u mnie? Czy trup był bardzo zmasakrowany? Czy to prawda, że nie miał na sobie ubrania? Jej nigdy nie podobał się pomysł wpuszczania obcych ludzi do pensjonatu, w czasie, gdy nie ma tam nikogo z gospodarzy. To skandal, przyjeżdżają tu i od razu dają się zabić. Jej nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. Dunaj ma chyba przewrócone w głowie. Może już kogoś aresztowano? Nie? To skandal. Ona, Bogdankowa, myśli, że doktor Malik sporo wie na ten temat. Lekarze zwykle dużo wiedzą, ale nie przyznają się do tego. Malik znalazł ciało, prawda? Nic nie można z niego wyciągnąć. Jest jak zwykle aspołeczny. Nie chciał z nią rozmawiać. Czy policja przyjedzie tu, żeby poznać zdanie miejscowej społeczności na temat morderstwa? Ilu gości jest teraz w pensjonacie? Czy znaleziono nóż?

Udało mi się wtrącić słówko.

- Nie, na razie nie. A jak idzie zbieranie podpisów w sprawie plaży nudystów?

Okazało się, że nieźle. Większość mieszkańców podpisała. Ludzie w obecnych czasach niczego się nie wstydzą. Niedługo zaczną publicznie uprawiać seks, na oczach dzieci. Zdaje się, że tak robią. Do czego ten świat zmierza.

- Nie chodzi nam o to, żeby zamknąć tę plażę – odezwała się Zosia Malisz – tylko o to, że te golasy nie trzymają się swego kawałka wybrzeża – kilkuset metrów - ale można ich spotkać na całej długości na zachód od jej początku – ponad osiem kilometrów. Turyści się skarżą, dzieci się boją. Nawet zatwardziali chodźiarze nie mogą iść na spacer w tamtą stronę. Nikt nie reaguje, a to jest rzeczywiście nieobyczajne zachowanie. Nieprzyjemnie – idę sobie brzegiem, a tu mi stoi na drodze trzech nagich staruszków - Zosia wzdrygnęła się - Chodzi nam o dobre oznaczenie początku i końca plaży nudystów.

Skrzywiłam się. Paskudna wizja. Żeby ją odpędzić, przyjrzałam się bywalcom „Neptuna”.

Major Gorzki zajmował stołek naprzeciw baru. Głośno przemawiał do dwu miejscowych, w czapkach nasuniętych na czoła, od czasu do czasu pociągając piwo. W jednym z nich rozpoznałam mężczyznę z busa – tego z piersiówką, co ładnie śpiewał. Może chciał poćwiczyć przed występem w konkursie.

Jednak najbardziej zaskoczył mnie widok doktora Malika. Nie wiem dlaczego, nie spodziewałam się go w barze. Uchodził za dziwaka i unikał zaangażowania w lokalną działalność – tak przynajmniej twierdziła Bogdankowa. Pewnie to dziwactwo polega na unikaniu Wiesi Bogdanek. Według mnie miał i tak dość roboty w przychodni. Wyobrażałam sobie, że wieczory spędza pochylony nad

naukowymi artykułami, albo śledzi najświeższe odkrycia medyczne na specjalistycznych portalach internetowych. Tej wizji wcale nie przeczył fakt, że nieraz spotykałam go wiosłującego na jeziorze albo błądzącego po nadmorskiej plaży. Dziś włożył dżinsowe spodnie i rozpiętą miękką marynarkę. Nie miał krawata i sprawiał wrażenie rozluźnionego. Pochylony nad kontuarem, powoli opróżniał wysoką szklankę.

Nie zauważył mnie jeszcze. Kiedy podeszłam i siadłam koło niego, aż podskoczył na stołku.

- Aaa - zakrztusił się trochę – Jak się pani ma?

Zrelacjonowałam szczegółowo moją wizytę w szpitalu, konsultacje oraz wyniki prześwietleń. Doktor powinien orientować się w takich rzeczach, żeby skutecznie leczyć swojego pacjenta. Szkoda tylko, że nie chciał oglądać kliszy.

- Zobaczą w poradni – obiecał, kończąc drinka. - Dobrze, że nic się pani nie stało. A gdzie ten komandos, co miał panią zawieźć?

- Porzucił mnie – wyznałam smutno – spotkałam go w Lęborku w towarzystwie olśniewającej blondynki.

Malik pokiwał głową.

- Ach, te blondynki. Napije się pani czegoś?

Zgodziłam się na sok pomarańczowy. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie doktor odezwał się:

- Na pani miejscu unikałbym teraz pensjonatu. Nie chcę się wtrącać, ale wszystko wskazuje na to, że morderca nadal tam mieszka.

Nie cierpię, kiedy ktoś mówi do mnie „nie chcę się wtrącać” albo „chciałbym dać ci radę” Zwykle następuje po tym coś nieprzyjemnego dla mnie. Jednak doktor potwierdził tylko to, co mnie od dawna wydawało się oczywiste. Morderca jest blisko. Może znów uderzyć.

- Wiem, doktorze. Wiem i się martwię. Ale mam tam sporo do zrobienia. Muszę być dostępna.

- Najlepiej być dostępnym przez telefon. Ja przecież prawie tam nie bywam, a też zorientowałam się, że pani prowadzi własne prywatne dochodzenie – doktor zapatrzył się w kąt baru. Też tam spojrzałam, ale oprócz odbicia w szkle niczego nie zauważyłam. – Jest pani spostrzegawczą osobą. Ktoś gotów pomyśleć, że pani coś wie.

- Potrafię zadbać o siebie – oświadczyłam z urazą i zmieniłam niemiły temat.

- Przyszedł pan tu pośpiewać?

- Co to, to nie – wesoło oświadczył doktor. - A pani?

- Właściwie to szukałam Wiesi Bogdanek. Chodzi o sprawy parafii. - Nie mam pojęcia, czemu skłamałam. Czasem mi się zdaje, że jeśli powiem za dużo, to coś na tym stracę. Kiwnęłam głową doktorowi i znów podeszłam do Bogdanków.

Trochę trwało, zanim udało mi się skierować rozmowę na interesujący mnie

temat. Wiesia i Zosia Malisz były spragnione najnowszych wieści z pensjonatu. Opowiedziałam im o wszystkim, co się zdarzyło, łącznie z moim upadkiem w szopie. Obie panie chciały znać najdrobniejsze szczegóły zbrodni. Rozgadałam się. Dopiero po chwili zauważyłam, że wśród słuchaczy jest też sporo innych osób. Dosiadł się do nas major, Janicki stał tuż obok. Nagle w tłumie mignęła mi jeszcze jedna znajoma twarz.

Ksiądz Ruczaj.

W zwykłej czarnej sutannie, z krótko obciętymi siwymi włosami. Umieścił swoje masywne ciało na pobliskim krześle i konferował po cichu z doktorem. Obaj mieli przed sobą kieliszki z czymś, co podejrzenie przypominało czerwone wino.

Może proboszcz chce wyłować talenty muzyczne i sformować kościelny chór z prawdziwego zdarzenia? Dotychczas panie z Rady Parafialnej brały na siebie tę rolę, a i mężczyźni nieźle śpiewali.

Dobrze, że przyszedł. Będę mogła wypytać go o wszystko, co mnie interesuje.

W tej chwili właściciel zapowiedział konkurs. Włączył światło w ciemnej sali – wisząca kula rozbłysła stroboskopowym blaskiem - i poprosił o wybranie piosenek. W kącie sali zauważyłam pianino. Pani Janicka zaprosiła do siebie przyszłych wykonawców i nagle większość osób ruszyła do kontuaru. Była wśród nich Wiesia Bogdanek, nieznajomy z busa, a nawet stary pijak, Jan Gryko. Dominowały, jak zwykle, kobiety. Z ulgą dostrzegłam, że bar wokół księdza i doktora opustoszała. Strumień gości powoli przesunął się w stronę migającej kuli i mikrofonu.

Dosiadłam się do nich. Obaj uśmiechnęli się do mnie – proboszcz serdecznie, a doktor nieco krzywo.

Pal cię sześć – pomyślałam.

W stosunku do księdza Ruczaja nie można owijać w bawełnę. Należy od razu przechodzić do rzeczy, możliwie w najprostszym sposób.

- Muszę o coś księdza zapytać – oznajmiłam. – Co ksiądz ukrywa przede mną?

Zapadła cisza. Wreszcie doktor odezwał się, sięgając po kieliszek:

- No, to już przypadło. Teraz wszystko się wyda.

- Jak się pani domyśliła? – zagadnął proboszcz. – Nikomu nie mówiłem. Prócz Barta, oczywiście.

- Pani Ala jest mistrzynią dedukcji – Malik powiedział to zupełnie poważnie. Przyjrzałam mu się podejrzliwie. Pewnie, że jestem dobra w dedukcji. Nie myślałam jednak, że doktor o tym wie.

- Muszę się dowiedzieć, kto udaje ducha – ksiądz pochylił się w moją stronę – Ciągłe słyhać ten śpiew w lesie. Ludzie zaczęli opowiadać niestworzone historie o przekleństwie, jakie padło na Pustkowie, o zemście z za grobu, takie tam bajki.

Nawet rozsądni parafianie tracą głowę i żądają egzorcyzmów. Namówiłem pana Janickiego na ten konkurs z nadzieją, że duch też się skusi. Wtedy go zdemaskujemy - proboszcz westchnął. - Słyszałem ją już kilka razy i śpiewa znakomicie. Marnuje się na głupie zabawy.

- Nie ma jej tu – opowiedziałam o awarii busa i niezwykłej uczennicy. – Jestem pewna, że to jej głos słyszałam wtedy w lesie. Zresztą raczej się nie marnuje, przecież musi się gdzieś szkolić. Śpiewała po włosku, wtedy, jak ksiądz mnie spotkał.

- Może jeszcze przyjdzie – westchnął proboszcz Ruczaj. - Ufundowałem nagrodę – telefon komórkowy nowego typu. Zresztą doktor współfinansował. Dla uczennicy to niezły kąsek.

- Mam pytanie dotyczące zbrodni w pensjonacie – przeszłam do rzeczy – Chodzi o to, że ofiara, Oskar Miler, miał długi. Nabrał wiele naiwnych osób. Podobno był wśród nich ksiądz z Pomorza. Może proboszcz wie coś o tym?

- Nie znam osobiście wszystkich duchownych. Wielu przychodzi do parafii na rok - dwa, a potem biskup ich przenosi. Może wie pani coś więcej?

- Starszy człowiek, z parafii pod Gdańskiem. Wieś. Miał wielkie nieprzyjemności, bo Miler wyciągnął od niego sporą sumę przeznaczoną na coś istotnego – jakąś salkę, czy fundusz dla dzieci. Nie zwrócił tych pieniędzy w terminie i wybuchł skandal – dodałam to już od siebie, ale musiał mieć kłopoty, skoro wybrał się aż do stolicy szukać Nieduzego. Jeśli parafianie zorientowali się, że ich składki zniknęły, sprawa mogła dotrzeć do biskupa.

- I myśli pani, że ten staruszek poczekał rok i zabił Milera?

- Nie, ale każdy ma jakichś krewnych. Nawet księży – urwałam. – Skąd ksiądz wie, że to było rok temu?

Proboszcz Ruczaj zamrugął. Sięgnął po kieliszek i upił mały łycalek.

- Wygadałem się. Tak, wiem o co chodzi. Tamten człowiek był bardzo przekonujący. Zarzekał się, że od tej pożyczki zależy jego życie. Ksiądz wykazał się straszną naiwnością, nie radząc się nikogo innego. Cała ta sprawa kosztowała go nie tylko wstyd ale i udar. Nie wytrzymał napięcia, podejrzeń, złości. Trafił do szpitala na wiele miesięcy. Ktoś w końcu pomógł mu zwrócić te pieniądze, ale on jeszcze wciąż utyka i ma osłabioną prawą stronę ciała. Stracił parafię. Jest teraz rezydentem - emerytem.

- Straszna historia – Malik wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem - I co teraz pani z nią robi?

- Nie wiem – rzekłam niepewnie – nie wiem – powtórzyłam.

- Ja także nie wiem – zgodził się proboszcz. - Ale wieczorem przyjdzie tu inspektor Biegun. Wygrzebał już nazwisko tego księdza i fakt, że to mój przyjaciel. Sam zadzwonił do mnie rano i pytał, czy możemy porozmawiać. Zatem nie miałem wyboru.

Odetchnęłam. Wcale mi się nie spieszyło rzucać podejrzeń na prawo i lewo. I na niewinnych księży. Teraz następne pytanie. Ciekawe, czy dobrze się domyślałam.

- Czyli Łucja Lewko to jest krewna tamtego księdza?

- Siostrzenica. Znam ją dość dobrze. On zaopiekował się nią po śmierci jej rodziców. Miała wtedy szesnaście – siedemnaście lat. Potem wyjechała na studia, ale każde wakacje zaglądała do niego. Samodzielna dziewczyna. Szkoda, że nie spytał jej o zdanie przed tą pożyczką.

- A parę miesięcy później ona zaczyna pracę w firmie Milera! Podobno była świetną studentką. Pewnie mogła wybrać inne miejsce pracy.

- Niekoniecznie – Malik obracał w dłoniach kieliszek. Z sąsiedniej sali dobiegał śpiew Jana Gryko. Nie mógł utrafić w rytm popularnej skądinąd pieśni „Góralu, czy ci nie żal...” - Praca w firmie farmaceutycznej jest z pewnością lepiej płatna niż laboratoria lub nauczanie.

Westchnęłam głęboko i podeszłam do baru. Janicki podał mi drinka – fioletowy płyn uwieczniony malutką pomarańczową parasolką. W środku pływały kostki lodu w kształcie ryb.

Proboszcz robił wrażenie mocno zmartwionego.

- Dziewczyna będzie miała kłopoty – usiadłam naprzeciw niego - Silny motyw – zemsta za kochanego wuja. Gotowi twierdzić, że specjalnie podjęła tam pracę, bo szukała znajomości z Milerem.

- Nigdy w to nie uwierzę - ksiądz starannie intonował słowa - To znaczy, że mogłaby z zimną krwią zabić człowieka. Taka miła, taka troskliwa... prawie nie wychodziła ze szpitala, gdy chorował, załatwiała mu rehabilitację. Zresztą niedawno była tutaj. Parę dni temu, w sobotę. Odwiedziła wuja, bo on teraz jest u mnie, na wakacjach.

Ach, więc to dlatego wysadziła mnie przed kościołem w Pustkowie. Poszła na plebanię. Biegunowi mówiła, że spacerowała po plaży. Ale dlaczego skłamała policji?

Bo nie chciała, by zorientowali się, że ma motyw do zabójstwa Niedużego - odpowiedziałam sama sobie. Może lepiej było powiedzieć prawdę. Odwiedziny na plebani nie brzmią podejrzanie. Nagle przypomniałam sobie dzisiejsze popołudnie i sylwetkę Łucji na pomoście. Czego tam szukała? Dlaczego poruszała się tak... ukradkiem?

- Fatalnie to wygląda – doktor ujął w słowa to, o czym myślałam. - Gotowi ją oskarżyć.

- Nie, tylko nie to! - Ruczaj zamachał rękami. – A może nic nie mówić policji?

- Za późno. I tak dojdą do tego. Mają nazwiska i dostęp do danych Milera. Możesz najwyżej przedstawić im tę kuzynkę jako wzór wszelkich cnót – doktor

skończył wino. – To ta ruda dziewczyna, tak? Nie wygląda na mordercę.

Ciekawe, po czym doktor poznaje morderców.

- O ile wiem, to nikt nie wygląda – wtrącił ksiądz. - Przypomnij sobie poprzednie zabójstwa – tam, w Białymstoku, i tutaj. Czy oni robili wrażenie morderców?

- To prawda. Ale ta Łucja chyba ma sumienie. No i nie jest szalona – Malik zamyślił się – Moim zdaniem zabójstwo to tak straszna zbrodnia, że musi zostawić piętno na człowieku. Jakąś zmianę w jego zachowaniu, wyrazie, jakieś napięcie... Ludzie zdrowi psychicznie nieraz przyznają się do zbrodni, bo nie umieją dalej z tym żyć.

Dał mi do myślenia. Wyobraziłam sobie gości pensjonatu. Czy w którymś z nich zaszła zmiana? Adrian jest pochłonięty Lolą Bartnik... ale tak było i wcześniej. Łucja? Tak, ona może jest najbardziej spięta. Nic dziwnego, zważywszy, że ma motyw. Czemu nic nie powiedziała? Jeśli jest niewinna, to powinna od razu powiedzieć policji o swojej przeszłości. Nie, nie można jej wykreślić. Wszystko na razie wskazuje na nią. Janusz Wiluk? Wciąż pijany. Nie sposób wydobyć z niego czegokolwiek użytecznego. Lola? Tak, Lola. Drapieżna kocica, dalej w roli wampa. Uwodzi Adriana. Może to odruch, by zainteresować sobą każde spodnie w zasięgu wzroku. No cóż, jest w tym dobra. Janusz też ją lubi. Przypomniałam sobie, jak niósł ją do pensjonatu po tym niefortunnym upadku do wody... Potem pojechali do Lęborka. Facet nie ma forsy, ale dla Loli znajdzie. A może to on zabił Niedużego, bo był zazdrosny o Lolę? Albo ona? Bo była zazdrosna o... o kogo? O Łucję? O Lidię?

Tak, to też możliwe. Zapomniałam o żonie Niedużego. Jest najbardziej podejrzana. Zupełnie rozbiło ją przesłuchanie. Płacząca, wystraszona, pełna jakichś emocji – zupełnie inna niż kobieta – posąg, jakim była, gdy przybyła do pensjonatu w piątek wieczorem. Czy naprawdę spała całą noc z soboty na niedzielę? Dziwne, że Biegun jej nie zatrzymał. I gdzie podziała tunikę i kolczyk?

Teraz Niemożliwy. Zaginiony brat, być może spadkobierca. Fizycznie sprawny, wytrenowany, odważny i pozbawiony skrupułów. Po co wrócił? Może dowiedział się o majątku Oskara i zdecydował na szybką akcję? Tutaj nie byłoby żadnego problemu. Nieduży by nawet nie pisał. Tylko... tylko ja na jego miejscu poczekalabym, aż Oskar będzie sam, i zabiła go w pensjonacie. Po co wrzucać ciało do łodzi? Pozostawienie ciała w domu sugeruje, że mordercą jest jeden z gości. Wyniesienie... no właśnie. Wskazuje na kogoś z zewnątrz. Wciąż wracam do myśli, że ktoś go wywołał; może jednak sam wyszedł czymś zaniepokojony? W obu przypadkach nie byłby to Feliks. Jest na to za sprytny. Chyba, że mamy do czynienia z podwójnym bluffem, czyli „nikt nie uwierzy, że jestem tak głupi, by to zrobić”.

„Czy ci nie zaaaal” zaryczało w głośniku, a mnie rzeczywiście zrobiło się

żał. Poczułam się zmęczona. Co z tego, że biegam, śledzę i pytam? Jestem tylko żalostną starą panną, bez żadnego znaczenia. Nikt mnie nie lubi, nikt nie potrzebuje. Nawet moje koty chcą tylko ciepłych miejsc do snu i żarcia.

Łyknęłam swojego drinka. Kostki lodu przybrały kształt nieforemnych kulek. Parasolka oklapła, tak jak mój nastrój. Doktor i ksiądz pograżyli się w cichej rozmowie, zastanawiając się nad tym czy „duch” przybędzie. Ponuro wpatrywałam się w drzwi wejściowe. Czy będzie nosił białą szatę, jak wszystkie szanujące się zjawy? A może włoży zbroję i spuści na twarz przyłbicę? Albo zaopatrzy się w łańcuchy i czaszkę?

Obok Zosia Malisz wykonywała piosenkę „Ach, jak przyjemnie/kołysać się wśród fal/gdy szumu, szumi woda/i płynie sobie w dal”. Wzdrygnęłam się na myśl o kołysanej falą łódce z Niedużym. Zosia wystroiła się w szerokie spodnie aladyнки i kusą bluzeczkę kończącą się powyżej pępka. Potrząsała głową, kołysząc sznurami grzechoczących koralii. Zebrała wielkie brawa; szczególnie entuzjastycznie oklaskiwał ją major Gorzki. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Tylko jedno im w głowie. Wystarczy, że kobieta włoży coś błyszczącego, a już nie mogą utrzymać łap przy sobie.

Tak słyszałam.

Miejsce Zosi zajął teraz facet z busa. Ukłonił się w pas, zdjął czapkę i rozpoczął z wysokiej nuty jakąś nieznaną mi piosenkę.

Ksiądz Ruczaj ożywił się.

- Dobry głos. Gdybym miał takiego organistę...

Kiedy facet skończył, poprawiłam się na krześle. Słuchacze entuzjastycznie oklaskiwali solistę. Zaśpiewał jeszcze raz ostatnią zwrotkę i ruszył do baru, wzmocnić nadwątlone siły. Lampa oświetliła teraz obłe kształty Bogdankowej.

Doktor Malik westchnął ciężko, popatrując na drzwi.

- Robi się późno... – rozpoczął.

Ale reszta jego wypowiedzi utonąła w gromkim dźwięku z drugiej sali.

„Miłość ci wszystko wybaaaczy...” grzmiał potężny alt Wiesi Bogdanek, „...miłość tak pięknie tłumaczy/zdradę i kłamstwo i grzech/choćbyś ją przeklął w rozpacz/że jest okrutna i zła/miłość ci wszystko wybaczy/ bo miłość, mój miły, to jaaa...”

Kiedy w ostatnim dramatycznym geście Wiesia załamała ramiona, wszyscy odetchnęli z ulgą. Braw było sporo, na tyle wyważonych, by uniknąć bisu. Wśród klaszczących wyróżniał się mąż, entuzjastycznie wymachujący marynarką. Sprowadził zarumienioną śpiewaczkę ze sceny, skutecznie uniemożliwiając jej powtórkę.

Humor mi się nieco poprawił. Wiesia nie miała za grosz słuchu. Tam, gdzie trzeba było ciągnąć, ona ucinała, wysokie nuty przechodziły w pisk, a niskie... szkoda słów. Gdyby nie znany mi tekst, nigdy bym nie rozpoznała melodii.

- Napijmy się kawy – zaproponował proboszcz. – Jeszcze sporo wykonawców.

- A kiedy ma przyjechać Biegun?

- Po dziesiątej. Mamy czas.

Doktor przyniósł nam kawę. Sam pił herbatę, bez cukru i słabą. Ludzie wokół nas przeważnie brali piwo. Humory dopisywały. Major Gorzki siedział przy stoliku z Zosią Malisz i Bogdankową. Andrzej Bogdanek trącał się kuflem z przyjezdnym facetem. Na estradzie kolejna wykonawczyni dawała popis odwagi. Wszędzie panował szum, ciepło i gwar. Janicki proponował gościom kolejne drinki. Nawet Jan Gryko nie spał w kącie, lecz śledził rozgrywkę.

Raptem drzwi otworzyły się na oścież. Do środka wtargnęło chłodne powietrze i zapach jesieni. Zrobiło mi się zimno.

- Zamykajcie te drzwi – wrzasnął Janicki, wychylając się zza baru.

Do wnętrza weszła zwarta grupa. Na czele, nieco niepewnie, maszerował Janusz Wiluk. Za nim szła Lola, w futrzanej etoli, potem Łucja, a na końcu Adrian. Wszyscy włożyli odświeżone stroje. Panie sukienki, faceci marynarki i krawaty.

Zatrzymali się przed kontuarem. Właściciel podbiegł do nich, wycierając dłonie w ścierkę.

- Co dla państwa?

Schowałam się za plecami proboszcza. Ksiądz z zainteresowaniem przyglądał się nowo przybyłym. Doktor nadal popijał swoją herbatę. Większość gości była skupiona na śpiewaczce, ale po chwili głowy zaczęły obracać się jedna za drugą w kierunku obcych. Wiesia szeptała coś do majora, który wytrzeszczył oczy na widok Loli w sukni barwy krwi.

Każdy jej ruch, uniesienie głowy, delikatne kołysanie bioder, nawet gest, z jakim zrzuciła futro, przekazywał tylko jedną informację – „Jestem kobietą”. Nawet Łucja w miękkiej kreacji doskonale podkreślającej figurę wyglądała przy niej blade.

- Czy to jakaś aktorka? – zapytał szeptem Bogdanek.

- Nie – ksiądz Ruczaj puścił do niego oko. – To goście Dunaja.

- Rety. Myślałem, że już wyjechali.

Lola i Łucja usiadły przy barze. Drinki dopasowały do koloru sukienek.

O ile mogłam spostrzec, Lola wzięła Krwawą Mary, a Łucja zieloną ciecz zwieńczoną seledynową parasolką. Adrian poprzestał na soku. Co do Janusza, to pił wódkę, rozglądając się wokół, jakby nieświadomy zainteresowania, jakie wzbudziło ich wejście.

Stopniowo ciekawość wobec nowo przybyłych osłabła. Gwar przybrał na sile, brzęczało szkło, zewsząd dobiegły śmiechy i pokrzykiwania. Ludzie znów skupili się na wykonawcach, dopingując swoich znajomych.

Zaczęła mnie boleć głowa. W barze było duszno, brakowało mi powietrza.

Gdzie też podziewa się Feliks? Może dalej prowadzi swoje śledztwo, polegające na trzymaniu języka za zębami i odnawianiu starych flirtów. Niby taki macho, a nie umie znaleźć narzędzia zbrodni.

- Chyba duch już nie przyjdzie – odezwał się Malik.

- Szkoda – zmartwił się proboszcz. – Ludzie robią się przesądni. Ciągłe powtarzają, że coś w tym musi być.

- Cóż, przesady to jedna z najpotężniejszych sił na świecie. Opisano przypadki śmierci w wyniku klątwy, czasem zresztą samobójczej. Opiera się to na wierze w fatum, przeznaczenie, przekonanie, że taki a nie inny los jest nam pisany – doktor pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole. – Współcześni ludzie wprawdzie nie przyznają się do posiadania duszy, ale nikt nie chce podpisać cyrografu... Czy wiecie, że większość tak zwanych „egzotycznych” zaburzeń psychicznych opiera się na lęku przed utratą duszy? I dotyczy to zarówno Eskimosów, jak i mieszkańców Afryki czy Meksyku. Podejrzewam, że czarownicy czy też szamani potrafią niezłe sobie radzić w ten sposób z przeciwnikami. Wykorzystują słabe punkty rywali i głęboko zakorzenione wierzenia. Na tym też bazują rozmaici wróżbici. Nawet u nas, w Polsce, wiele osób korzysta z porad wróżek.

- Szukają potwierdzenia marzeń – burknęłam, choć sama uważałam chodzenie do wróżki za szczyt głupoty.

- Zapewnienia o lepszym losie, szczęśliwej miłości. Wróżka może obiecywać złote góry, ale nieraz też zachęca do podtrzymywania nienawiści. Miałem kilka takich przypadków. Strasznie trudno przekonać ludzi, że muszą wybaczyć, zapomnieć i iść dalej, jeśli „wróżka im tak nie kazała”.

- Zawsze myślałam, że do wróżek chodzą tylko nieszczęśliwi ludzie.

- Niektórzy robią to dla żartu, jak coś w rodzaju rozrywki. Ale - doktor raptem się uśmiechnął – chyba w Pustkowiu nie ma czarownic.

W tej samej chwili drzwi baru otworzyły się po raz kolejny.

Weszła młoda dziewczyna w towarzystwie starszej pani. Twarz tej pierwszej wydała mi się znajoma. Już ją spotkałam, i to całkiem niedawno.

- A teraz, proszę państwa, wystąpi gościnnie pani Lola Bartnik, gwiazda ze stolicy! – zawołał w tym momencie Janicki i wszyscy spojrzeliśmy na Lolę.

Stała na środku podium, tuż przy metalowej kolumnie podtrzymującej kulistą lampę. Padał na nią blask reflektora, podkreślając każdy szczegół perfekcyjnych rysów twarzy i zgrabnej sylwetki. Uniosła się na palcach i zawirowała w takt delikatnej muzyki.

Wyglądała jak Cudowne Anielskie Stworzenie.

W barze zrobiło się cicho. Lola rozpoczęła występ – kowbojską piosenkę o samotnej Luizie, którą porzucił niedobry Sam – i w tej samej chwili czar prysł. Mimo zmysłowego głosu i uroczej chrypy. A może właśnie dlatego. Cudowne

Anielskie Stworzenie nie pasowało do wyuzdanego tańca, jaki zaprezentowała Lola.

Zerknęłam na księdza. Siedział ze wzrokiem utkwionym w staruszcze towarzyszącej młodej dziewczynie. Mruczał coś do siebie i kręcił głową. Obie kobiety usiadły skromnie pod oknem, uważnie obserwując Lolę.

Kiedy skończyła, Janusz głośno zawołał:

- Brawo, brawo, bravissimo! Nie wyszłaś z wprawy! Cudownie, cudownie!

Dostała wielki aplauz.

Głównie męski, oczywiście.

Kiedy wróciła na swoje miejsce, Wiluk mówił dalej, podpitym głosem:

- Zdaje się, że to było wczoraj. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Miałaś może osiemnaście lat, zaraz, w jakim to było lokalu? Tej mordowni na Pradze? Świetnie wyglądałaś z piórami na głowie...

- Zamknij się, Janusz – warknęła Lola. Wiluk nieco ściszył głos. Łucja odezwała się bardzo głośno:

- Kto ma ochotę na następną kolejkę? - i dalsze wspomnienia Przystojniaka utonęły w powszechnym hałasie. W tej właśnie chwili zwolnił się koło nas stolik. Goście pensjonatu przesiedli się do niego. Wzrok Łucji padł na księdza. Nieznacznie skinęła mu głową, kładąc równocześnie palec na ustach. W tej samej chwili zauważyła mnie.

- Pani Ala! – zawołała radośnie – musimy usiąść razem!

Niewzłocznie przysunęli swój stolik do naszego. Doktor wymówił się późną porą i po chwili wyszedł. Natomiast proboszcz został. Potoczyła się ogólna rozmowa na temat ostatniej wichury, przerw w dostawach prądu, a potem o niezrealizowanej dotychczas atomowej elektrowni na Pomorzu. Adrian okazał się całkiem inteligentnym młodzieńcem. Lola od czasu do czasu wtrącała słówko, Łucja wypytywała mnie o ceny wakacji w Pustkowie.

Po kwadransie zapowiedziano ostatnią uczestniczkę konkursu. Edytę Firlej.

Na scenę weszła skromnie ubrana dziewczyna. Odgarnęła włosy z czoła niecierpliwym ruchem. To była dziewczyna z busa! Rozpoznałam ją wyłącznie po tym geście, zakończonym nagłym szarpnięciem. Bez makijażu, z włosami upiętymi w koński ogon, sprawiała wrażenie o wiele młodszej i delikatniejszej. Zmieniał ją też strój – tym razem nie minispódniczka, lecz błękitna sukienka do kolan z dekoltem w kształcie łódki. Na nogach miała pantofle na niskich obcasach. Starsza pani patrzyła na nią z aprobatą. Tak, to przecież ona zabrała dwie uczennice swoim autem, żeby nie musiały czekać na następny autobus.

Dziewczyna wyprostowała się. Oczy utkwiała w jakimś odległym punkcie. Janicki przygasił światła, jakby świadomy wagi tej chwili.

W tym samym momencie zaczęła śpiewać. W jednej chwili zadymiony bar zmienił się w koncertową salę, z ukrytą w ciemności widownią, wstrzymującą dech

przy trudniejszych nutach. Zdawało się, że jej głos góruje nad głowami, leci po ulicach osady, przelatuje nad lasem, by opaść w dół, ku plaży, i wzburzonym falom morza.

Aria z „Tańca Wampirów” o wciągającej dziewczynę otchłani i czającym się o krok obłądzie dziwnie pasowała do czarodziejki – ducha, straszącego nad bagnami Pustkowie. Proboszcz słuchał z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach. Znalazł swego upiora. Ten głos. Czysty, wysoki, wydobywany na pozór bez wysiłku. To ten głos czarował lub straszył letników na martwej polanie, miejscu dawnej zbrodni. To ją słyszałam wykonującą perfekcyjnie rolę Traviaty.

Towarzyszka Edyty wyglądała na wstrząśniętą. Zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale ostatecznie nie ruszyła się z miejsca. Ksiądz dosiadł się do niej.

- Pani Ada Mareni, prawda? – spytał. - Widziałem kiedyś panią na scenie. To pani uczennica?

Kobieta skinęła głową. Pochylili się ku sobie jak dwoje spiskowców. Ruczaj tłumaczył coś szeptem, a pani Ada kiwała głową.

Tymczasem po ostatniej nucie zapadła cisza.

Ludzie pewnie tak reagują na Prawdziwą Sztukę – pomyślałam. Dopiero po chwili rozległy się brawa, gwizdy i krzyki. Domagano się bisu. Hałas trwał, póki dziewczyna znów nie stanęła pod lampą. Tym razem sięgnęła po „My Fair Lady” i brawurowo wykonała utwór „Przetańczyć całą noc”. Staruszka odetchnęła. Widać wcześniej jej uczennica samowolnie zmieniała repertuar.

- Coś cudownego – Łucja wpatrywała się w Edytę z niedowierzaniem.- Skąd się tu wzięła taka artystka?

- Znasz się na tym? – spytała z przekąsem Lola. – Myślałam, że nie masz na nic czasu, tak pochłania cię praca w firmie. Odróżniasz bęben od fujarki?

- Nie. Ale odróżniam głos od bezgłosa – odcięła się Łucja.

- Moim zdaniem nasza Lola była najlepsza – rycersko oświadczył Janusz.

- Oczywiście. I najbardziej atrakcyjna – dodał Adrian bez tchu.

- Proszę o ciszę! Nasza wykonawczyni chce coś powiedzieć – zawołał Janicki.

Dziewczyna wydobyła kartkę papieru. Wygładziła ją ostrożnie, po czym odczytała:

- Przykro mi z powodu zamieszania, jakie wywołałam ćwicząc mój śpiew w lesie. To mnie słyszeli państwo w okolicy, szczególnie w pobliżu klifu. Wykonywałam arie operowe i musicalowe. Nie chciałam nikogo straszyć. W domu nie mam jak śpiewać, ale od listopada wyjeżdżam do Gdyni, do internatu. Jeszcze raz przepraszam. Od tej pory, jeśli będę śpiewać na zewnątrz, postaram się, by nikt się nie przeląkł.

Ukloniła się scenicznie, w pas, i szybko zeszła z podestu.

Ludzie patrzyli na nią w milczeniu. Wreszcie ksiądz przerwał ciszę:

- Gratuluję talentu. Jeśli chodzi o mnie, może pani śpiewać w lesie ile chce. Z przyjemnością posłucham.

Inni przyłączyli się do tej deklaracji. Otoczyli Edytę, zapewniając, że nic się nie stało. Atmosfera zrobiła się szampańska. Zosia Malisz opowiadała, jak wystraszyła się na polanie, potem ja powiedziałam parę słów o moich przeżyciach. Stary Gryko wspominał paniczną ucieczkę z klifu, po której musiał szukać ubrania, gdyż śpiew dobiegł go w trakcie kąpieli. Ludzie śmiali się, jakby przestało ciążyć na nich fatum. Nawet surowa Bogdankowa łaskawie patrzyła na uczennicę. Jej mąż podśpiewywał z przyjezdnym z busa. Piwo szło jak woda.

Czas płynął szybko. W pewnej chwili proboszcz poprosił o wręczenie konkursowej nagrody. Każdy dostał kartkę z listą wykonawców i mógł zagłosować na jednego z nich. Następnie zebrano wszystkie głosy i komisja złożona z proboszcza, gospodarza i majora Gorzkiego ogłosiła wyniki.

Jak było do przewidzenia, zwyciężył duch – uczennica. Tuż za nią uplasowała się Lola. Kiedy zaczęły się tańce, ksiądz wymknął się po cichu. Chciałam pójść w jego ślady, ale powstrzymała mnie Łucja.

- Zaraz i my wracamy. Możemy panią podwieźć.

Spoglądałyśmy na parkiet, po którym przesuwwały się tańczące pary. Janicki włączył spokojne, powolne melodie, odpowiednie dla ludzi w średnim wieku. Adrian wirował z Lolą, Zosia Malisz unikała stóp majora, a państwo Bogdankowie kołysali się miarowo niezależnie od podanego rytmu. Tylko Przystojniak nadal zaglądał do piersiówki.

- Dawno zna pani tutejszego księdza? – zagadnęła od niechcienia Łucja.

- Od ponad roku – odrzekłam zgodnie z prawdą. – Wcześniej mieszkałam w Trójmieście.

- Czy on... czy on... przyjaźni się z tym lekarzem?

- Na to wygląda.

- Przystojny mężczyzna. I taki delikatny.

- Ruczaj? No, może i tak. Ale to pobożny kapłan – stwierdziłam surowo.

- Miałam na myśli doktora. Tego, co znalazł ciało Oskara.

Niektórym kobietom podoba się każdy facet.

- Czy brat Oskara wrócił do pensjonatu? – zagadnęłam, skrywając napięcie.

- Feliks? Nie widziałam go od rana.

A, zatem nie wrócił jeszcze ze swojej randki. Zrobiło mi się przykro.

Jakiś młody mężczyzna poprosił Łucję do tańca i obok mnie zwolniło się miejsce.

Opadł na nie Przystojniak.

- Nie mogę tańczyć. Jakoś kręci mi się w głowie – zamrugał oczami – Bardzo mi przykro, baaardzo przykro – zamglonym wzrokiem wpatrywał się w parkiet. – Powiedzcie, powiedzcie mu, niech uważa - czknął i umilkł. Powieki

mu opadły.

Zerknęłam na tańczących. Nic szczególnego, nie licząc majora potrząsającego głową na prawo i lewo.

Uszczypnęłam Janusza w ramię. Otworzył oczy.

- Kto ma uważać? – spytałam głośno. W tej chwili muzyka ucichła i wokół nas zrobiło się tłoczno.

- Uważa, co robi – zabelkotał Janusz i znów zasnął.

- Pora spać – Łucja energicznie zagoniła swoich towarzyszy – Janusz ma już dosyć.

Wcisnęliśmy się wszyscy do auta Adriana. Wiluka z pewnymi trudnościami upchnęliśmy na tylne siedzenie. Usiadłam obok kierowcy. O tej porze drogi były puste, nie licząc jednego tira i trzech osobowych aut. Zaczął mżyć deszczyk, osadzając krople na przedniej szybie i przekształcając asfalt w lśniącą czarną wstążkę. Nartowicz włączył wycieraczki, a potem ogrzewanie, pewnie prowadząc po leśnych serpentynach. Ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości.

Zanim wysiadłam przed własnym domem, deszcz przybrał na sile. W strugach wody popędziłam do drzwi wejściowych. Janusz wytoczył się z auta, zanim reszta zdążyła go przytrzymać. Oparł się oburącz o moją skrzynkę na listy.

- Żegnam, żegnam panią – wymamrotał, nieprzytomnie rozglądając się wokół.

Adrian wyskoczył z samochodu i zaciągnął go z powrotem do środka.

Huncwot wpadł mi pod nogi i zniknął w korytarzu, a Imbryk pognął za nim.

Zatrzasnęłam drzwi, przekręciłam klucz w zamku i rzekłam na głos:

- Wreszcie spokój. Dam wam jeść i idę spać.

Huncwot miał inne zdanie na ten temat. Wskoczył na krzesło i naostrzył pazury o oparcie. Potem zaczął toczyć długopis po podłodze. Znudzony, poszedł pogonić Imbryka, który nastroszył się jak wielka pomarańczowa kula. Znacznie większy od Huncwota, jest ustępującym samcem w tej dwuosobowej watasze. Kuli się, gdy tamten na niego syczy, zamiast zdecydowanie zdzielić go łapą. Młodszy, sprawniejszy i cięższy, wybiera rolę drugich skrzypiec.

Albo rodzisz się wojownikiem, albo nie.

Nawet jeśli jesteś kotem.

Kiedy szykowałam kocią kolację, przypomniała mi się niedawna wizyta obcego kocura w naszym ogrodzie. Na jego widok Imbryk zbliżył się, i - po chwili przeznaczonej na obserwację – oba ostrożnie podeszły do siebie, by się obwąchać. Stały tam jeszcze w zgodnym pakcie o nieagresji, gdy z domu wybiegł Huncwot. Ten nie pertraktował. Od razu ruszył do ataku na obcego. Dawno nie widziałam tak szybko uciekającego kota...

Sparzyłam mielone z łopatki i wyłożyłam do miseczek. Dwie mordki zgodnie zanurzyły się w miskach. Pewnie.

To miał być mój obiad.

Stanowczo powinnam zacząć prowadzić dziennik pod tytułem „Co dziś zjadłam”. Malik poleca takie coś osobom starszym, mającym problemy z pamięcią. Słyszałam, że kazał to robić ojcu Zosi Malisz. Według niego systematyczne notowanie daty i zwykłych czynności mają usprawniać zdolności poznawcze – koncentrację, myślenie, orientację w codzienności. Kazał też puszczać mu muzykę z czasów jego młodości (starego Malisza, nie Malika) i zachęcał do śpiewu. Według niego naukowo potwierdzono skuteczność muzykoterapii w otępieniach. Nawet namawiał proboszcza na założenie chóru w Pustkowie.

Mój dziennik służyłby odmiennym celom – po prostu wiedziałabym, ile kalorii zjadłam. Nie jestem jeszcze otępiała. Mam nadzieję. Fakt, że zapominam przez kilka dni wyjąć pranie czy szukam w pamięci nazwisk dawnych znajomych o niczym jeszcze nie świadczy. Chociaż zapytam o to Malika. Szkoda, że dziś zapomniałam.

Po myciu senność mi przeszła. Kiedy chce się spać, należy wziąć prysznic. Jeśli nie jest to możliwe, to przynajmniej umyć twarz i szyję. Jeśli i to nie jest możliwe, wyszorować zęby.

Jeśli to niemożliwe, co prędzej trzeba zacząć zbierać na implanty.

Zrobiłam sobie miętę. Koty, najedzone i zadowolone, ułożyły się na kuchennych krzesłach. Zapaliłam lampę nad stołem, żeby jeszcze mocniej odciąć się od ciemności za oknem, od październikowego mroku i wilgoci.

Im więcej mam lat, tym częściej nachodzą mnie egzystencjalne lęki o przyszłość. Jesień i zima, z długimi wieczorami i ulewą łomoczącą w dach budzą widma samotnej, niedołej starości. Wyobrażam sobie siebie, zdaną na łaskę nieczulej opiekunki, we wspólnym pomieszczeniu z innymi staruszkami, bezradną i przerażająco smutną. Albo okutaną w łachmany, ukrytą pod mostem, śmierdzącą i bezdomną.

„Ale jestem przecież w moich najlepszych latach” – stwierdziłam z mocą. „I mam zagadkę do rozwikłania”.

Siłą oderwałam myśli od ponurych wizji i skupiłam na śledztwie. Podsumowałam moje osiągnięcia:

- udawanie trupa w łódce,
- fatalny upadek w szopie i potłuczenie kości,
- bolesne lądowanie na tyłku na podłodze busa.

Nie określiłabym ich jako szczególnie efektowne.

Zniechęcona, poszłam po papier i długopis. Ten ostatni porządnie wytarłam z kociej śliny. Zapiisałam motywy. Mieli je Łucja – zemsta za wuja, Lidia – dzieci i forsa, Niemożliwy – także forsa. A może i długo chowana uraza.

Lola – zazdrość o Łucję? Naciągane. Może rozczarowanie? W końcu Nieduży obiecał jej ekskluzywny wyjazd, może i jakieś upominki, miała odgrywać

żonę milionera... a tu okazało się, że ma być tłem dla telewizyjnego kaznodziei. Na jej miejscu sama bym mu przyłożyła.

A Adrian? Taka cicha woda, nie wiadomo, co naprawdę w nim siedzi. Czasem spokojne osoby silniej przeżywają emocje, bo nie mają możliwości ich uzewnętrznić. Złe uczucia kumulują się w nich i wreszcie dochodzi do wybuchu. Może zakochał się w Loli pierwszą prawdziwą miłością, typową dla nastolatków. Mógł oszaleć z zazdrości o Oskara. A ten jeszcze naraził mu się, nie dotrzymując słowa i obracając w niwecz jego nadzieje na awans... Lola mogła zresztą odegrać rolę femme fatale, opowiadając mu jakieś brednie o złym traktowaniu. Jest niezłą aktorką, i całkiem inteligentną dziewczyną. Za jednym zamachem zemściła by się na Niedużym i podporządkowała sobie chłopaka.

Teraz możliwości i predyspozycje.

Z irytacją stwierdziłam, że póki nie znam momentu śmierci, to nikogo nie można wykluczyć. Patolog zakreślił szeroki przedział czasowy. Po sekcji zapewne go nieco skrócili – pomyślałam. Może by spytać Malika? Pewnie jemu powiedzieli.

I znowu – właściwie każdy mógł wbić ostry nóż w Oskara Milera. Tutaj na czoło wysuwa się Adrian ze swoim mistrzostwem w rzucaniu nożem, no i oczywiście Niemożliwy. Ale i inni, jeśli byli dostatecznie zdeterminowani.

Narzędzie zbrodni, kolczyk Lidii, telefon Oskara... mój upadek ze stołka. Muszę jutro tam zajrzeć. Sprawdzić, co leżało na samej górze.

Inspektor Biegun wspinający się po drabince. Sierżant i pączki. Doktor Malik pochylony nad zwłokami, brak plam opadowych, dresiarz grożący Oskarowi... sekretarka Niedużego. Pijany Janusz Wiluk. Kto miał uważać? Kogo ostrzegał i przed czym? Niektórzy twierdzą, że pijacy plotą bzdury. Ale czasem dopiero po alkoholu ludzie mówią to, co naprawdę myślą.

Gdzieś w głębi zwojów mego mózgu kiełkowała jakaś myśl, ale nie mogłam jej wydobyć na światło dzienne.

Dotyczyła gości pensjonatu.

Postanowiłam pójść do łóżka. Czasem rano wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsce. Otuliłam się kołdrą, zgasłam światło i zapadłam w niespokojny sen.

Wtorek, 7 października

Obudziłam się wcześnie. Wyrwał mnie z drzemki dźwięk syren. We śnie wędrowałam przez pensjonat „U Dunaja” ubrana w tunikę Lidii. Tunika była na mnie za mała i nie mogłam nabrać oddechu. Wokół jak duch krążył Przystojniak w ślubnym garniturze. Czułam, że zaraz stanie się coś złego.

I rzeczywiście.

Usłyszałam trzask i tunika pękła, ukazując biało-granatowy kostium kąpielowy, podobny do stroju przedwojennych atletów. Załomotano do drzwi, a ja zobaczyłam, że to więzienny pasiak. Przy drzwiach słyszałam krzyki „Otwierać! Policja!”.

Otworzyłam oczy.

Sen trwał. Ktoś głośno dobijał się do wejścia. Narzuciłam szlafrok i zbiegłam po schodach, potykając się o koty. Rozpierzchły się, przeraźliwie miauczając.

W drzwiach stał sierżant Rożek. Na mój widok odetchnął z ulgą.

- Inspektor prosi panią do pensjonatu – przestąpił z nogi na nogę. – Zaraz, jeśli można.

- Niech pan lepiej wejdzie – Policjant miał na sobie zamszową kurtkę. Jego półbuty lśniły w blasku poranka. Wcale sobie nie życzę, żeby sąsiedzi komentowali młodego faceta pod moimi drzwiami. Miewają nieprzyzwoite myśli. Zanim zamknęłam drzwi, w oknie sąsiedniego domu poruszyła się firanka. - Stało się coś?

- Tak – Waldemar wszedł za mną do kuchni. – Pan Wiluk miał wypadek. Nie żyje.

Zaniemówiłam. Musiałam zblednąć, bo sierżant się zmartwił.

- Może coś pani dam, wody albo herbaty – zaproponował.

- Lepiej rum – burknęłam, siadając ciężko na krześle. - Po lewej stronie, nad zlewem.

Policjant skinął głową. Błyskawicznie znalazł rum, nalał odrobinę do szklanki i dał mi do wypicia. Zachłysnęłam się i odetchnęłam.

Minęło kilka minut. W tym czasie Waldemar wstawił czajnik i znalazł torebki z herbatą. Włożył po jednej do dwu szklanek, po czym także usiadł, zadowolony z siebie.

Pomału dotarło do mnie, że popełniono kolejne morderstwo. Z trudnością zebrałam myśli.

- Jak zginął? Zatrął się?

- Na razie nie mogę nic powiedzieć. Ale dlaczego miałby się zatruć?

- Bo za dużo pił. Od soboty wciąż był podпиты. Wczoraj też sobie nie żałował. Mógł umrzeć z przepicia.

Zadzwoił telefon. Rożek odebrał, powiedział: „Już, już”, po czym zerknął na mnie.

- Lepiej niech pani się ubierze. Musimy iść.

Kiedy po dziesięciu minutach schodziłam na dół, Rożek kończył swoją herbatę.

- Na szok najlepsza jest gorąca słodka herbata – podał mi drugą szklankę. – Proszę wypić.

Skrzywiłam się po pierwszych łykach, ale po chwili poczułam się lepiej. Ustąpiły mdłości i głowa zrobiła się lżejsza.

Na zewnątrz czekał ciemny wóz.

Zawróciłam spod furtki.

- Muszę nakarmić koty – zawołałam przez ramię.

Nakarmiłam futrzaki i wypuściłam je na dwór.

- Możemy ruszać.

Droga zajęła nam około minuty. Świat za szybą wydał mi się wrogi i obcy. Szosa był pusta, wokół gęstniał las. Niebo zasnuły chmury, choć przed chwilą przed moim domem jeszcze błyskało słońce. Brązowe liście wirowały w porywach wiatru. Zdawało mi się, że słyszę szum wzbierających fal, jakby gdzieś, daleko, gromadziły się zastępy żywiołów, by potężną siłą uderzyć w ściany domów.

Oraz w pensjonat „U Dunaja”

Przed budynkiem stało kilka samochodów. Dwie furgonetki, wozy policyjne z migającymi na dachach kogutami, auta cywilne. Wszędzie kręcili się ludzie.

Pierwszą znajomą osobą, na jaką się natknęłam, była Lidia Miler. Umundurowany policjant otwierał przed nią wejściowe drzwi.

- A ona skąd się tu wzięła? – spytałam sierżanta Rożka, starannie zamykającego auto. Poniósł głowę znad kluczyków.

- Aaa, żona denata. Wcale nie wyjechała tak daleko. Zatrzymała się na noc w Pustkowi. Ściągnęliśmy ją tutaj.

No proszę. Czy nie wspominała o powrocie do Olsztyna? Zdaje się, że nikomu nie można już ufać.

- W szopie – Waldemar ruszył po pomoście w dół, ku wodzie. – Inspektor czeka tam na panią.

Drzwi hangaru były szeroko otwarte. W chwili, gdy tam dotarłam, wynoszono na noszach zawinięte ciemnym workiem ciało. Machinalnie przeżegnałam się i odmówiłam w duchu błyskawiczną modlitwę za zmarłych.

Wszystko to wywarło na mnie wstrząsające wrażenie.

Wnętrze oświetlone było lampami policyjnymi, wokół technicy sypali szary proszek na półki, brodaty patolog – ten sam, co w niedzielę, rozmawiał z jednym z nich, pokazując trzymany w worku foliowym przedmiot. Wyglądał jak nożyce do drobiu.

W głębi szopy kręcił się Biegun. Minę miał poważną.

- Wezwałem panią tak szybko, bo musimy coś ustalić – zwrócił się do mnie, przyglądając włosy. – Wczoraj opuściła pani to miejsce od razu po upadku, prawda?

Skinęłam głową.

- Czy coś się tu zmieniło od tamtej pory? Proszę się nie spieszyć. Powoli.

Jakby dla zaprzeczenia tym ostatnim słowom, błyskawicznie obrócił się na

pięcie i podszedł do patologa.

- Daj tę torbę – podetknął mi pod oczy nieforemny pakunek. – Poznaje to pani?

Przyjrzałam się ponurej zawartości. Na ostrzach widniały rdzawe plamy.

- Czy to tym? Czy tym...

- Prawdopodobnie tak. Więcej po ekspertyzie. No i co?

- Wyglądają jak moje - stwierdziłam ostrożnie. – To znaczy, jak te z pensjonatu. Ale na świecie muszą być setki podobnych.

Biegun oddał nożyce lekarzowi.

- Na świecie tak. Ale „U Dunaja” były tylko te jedne nożyce do drobiu, prawda? I nie znaleziono ich po sobotniej kolacji.

Raptem zrobiło mi się słabo. Usiadłam na najbliższym taborecie, tym samym, z którego wczoraj spadłam.

- Tu nie wolno siadać – ofuknął mnie jeden z techników, usiłując zabrać mi stółek. Zignorowałam go.

- Nie wiem, dlaczego tego nie spostrzegłam. Nawet rozmawialiśmy o tym, kto ma kroić indyka. Zdaje się, że zrobił to Adrian Nartowicz. Tak, on. Doskonale sobie poradził.

- Inni też dotykali nożyc?

- Ja z pewnością. Podałam je Milerowi, gdy zajrzał do kuchni. Potem chyba wziął je Janusz... pan Wiluk, ale ostatecznie kroił Adrian.

- A reszta? – inspektor Biegun tarł koniec nosa. Niebieska koszula, bordowy krawat, eleganckie kłapy marynarki. Mógłby w tym stroju śmiało iść do opery.

- Moim zdaniem każda z osób mogła dotykać nożyc. Przy nakładaniu mięsa była taka możliwość. Potem był deser, naczynia przestawiano, zmieniano talerze... goście przesiadali się, część siedziała przy kominku, inni zostali przy stole. Dużo ruchu, zagładania do kuchni.

- W takim razie po co morderca ukrył te nożyce? Odciski palców nie obciążąby specjalnie nikogo, bo każdy mógł mieć je w rękę. Starczyłoby zostawić wszystko, jak jest, włożyć rękawiczki, zabić denata, i zostawić je w miejscu zbrodni – Biegun wydobyl niebieską płócienną chustkę do nosa, obejrzał ją krytycznie, po czym złożył i na powrót umieścił w kieszeni. – Nic nie rozumiem.

- Może morderca wpadł w panikę.

- Może – powątpiewał inspektor. - No, dobrze. Widzi pani jakieś zmiany od wczoraj?

Rozejrzałam się po wnętrzu. Hangar nigdy nie był tak jasno oświetlony. Elektryczne lampy rozjaśniały każdy kąt pomieszczenia. Ze zgrozą zauważyłam wykonany kredą obrys ciała. Czyli tutaj umarł! Straszne, wczoraj był jeszcze taki witalny... I nawet po pijaku szarmancki...

Zadrzałam na myśl o śmierci w tej ponurej szopie. Z wysiłkiem skupiłam się

na reszcie wnętrza. Zlustrowałam półki, szafę. Przyjrzałam się puszkom i pudłom w niej upchanym. Przeliczyłam kapoki.

- Trochę inaczej to wszystko wygląda, przez te światła i ludzi – wyznałam. – Ale coś mi się przypomniało. Wczoraj, zanim spadłam, zauważyłam na górze jakiś kłęb szmat. Wewnątrz coś błysnęło, kiedy świeciłam latarką.

- Powinna pani od razu o tym wspomnieć - pouczył mnie sierżant Rożek – to mogło być coś ważnego.

Zirytował mnie. Przecież właśnie mówię, do licha! Sam, choć taki wysoki, nic wtedy nie spostrzegł.

- Po upadku wyleciało mi to z głowy. Dopiero dziś w nocy – skłamałam - uprzytomniłam sobie, że coś tam było. Zamierzałam zadzwonić do was z samego rana, żebyście jeszcze raz tu zajrzeli.

- Szkoda, że pani tego nie zrobiła od razu – Waldemar zadarł głowę gapiąc się na sufit. – Gdzie to było?

- Latarka, Rożek – burknął inspektor Biegun. - I krzesło.

Po chwili sierżant świecił w miejsce, w którym wczoraj dostrzegłam tajemnicze „coś”. Długo i wnikliwie penetrował górną półkę, wreszcie zszedł i spojrzał z na mnie wyrzutem.

- Nic tam nie ma.

- Sama zobaczę – faceci nie widzą niczego, nawet jeśli mają to pod nosem. Sięgnęłam po mój zestaw i wydobyłam własny sprzęt. Zabrałam z domu specjalną lampkę nagłówną. – Niech pan trzyma krzesło.

Wspięłam się siedzenie.

Światło lampki padło na drewnianą, pustą półkę. Zmarszczyłam brwi. Wczoraj było tu sporo przedmiotów. Puszka z rozpuszczalnikiem, jakieś pudła, stare ścierki... dziś nie było nic. Oświetliłam niższe półki. Ktoś przestawił te rzeczy niżej. Stały w nieładzie na posadzce. Chyba wszystkie, prócz tajemniczego lśniącego przedmiotu.

A może tylko go sobie wyobraziłam?

- Ktoś zdjął wszystko z górnej półki – zeszałam z krzesła – O, tutaj. Był tam na pewno rozpuszczalnik i te pudła. Szmaty też. Sprawdziliście, czy nic w nich nie ma? - pochyliłam się nad szarym kłębem. W blasku lamp już nie był taki bury. Zdawało mi się, że dostrzegam kolorowy wzór. – Inspektorze. To chyba tunika Lidii Miler.

Biegun skinął na jednego z techników.

- Zabierzcie te rzeczy – pokazał pod nogi – sprawdźcie wszystko. Nitki, włosy, ślady. Na jednej nodze.

Mężczyzna, ubrany w ochronny strój, wydobył foliowe woreczki i rozpoczął pakowanie. Rozwinął ścierkę. Zamigotały barwy jesieni.

Inspektor spojrzał na mnie.

- Coś jeszcze?
- Jeśli chodzi o hangar, to chyba reszta jest na miejscu – nabrałam powietrza – czy Janusz tutaj zginął? Jak umarł?

Biegun powoli pokiwał głową.

- Znalazł go nasz technik, dziś rano. Od razu po naszym przyjeździe kazałem mu jeszcze raz zajrzeć do szopy. Wiluk leżał obok szafy, z pianą na ustach.

- Czy zmarł z powodu padaczki? – słyszałam, że napad drgawek po alkoholu może prowadzić do zachłyśnięcia i uduszenia. – Wczoraj pił cały dzień. I wieczór.

- Ma niewielką ranę na skroni – mruknął inspektor. – Nasz patolog jednak sądzi, że zmarł z powodu otrucia. Oczywiście, jeśli był oszołomiony, mógł upaść i nabić sobie guza. Nie było śladów walki.

- To znaczy, że te nożyce... te nożyce...

- Te nożyce leżały przy jego prawej ręce. Może pan Wiluk sam zrobił tu porządek, po czym zasnął, upadł, i zmarł. Wcześniej ładnie umieściwszy narzędzie zbrodni na podłodze. A ten tajemniczy błysk, który pani widziała, to były właśnie nożyce do drobiu, przeoczone przez naszych techników. I nieocenionego sierżanta.

Podszedł do nas brodaty patolog.

- Wyjeżdżam – powiedział do inspektora – Zmarł najwyżej trzy godziny temu. Krótko wcześniej zażył truciznę. Stłuczenie głowy nie miało większego znaczenia.

- Czy mógł to być wypadek? – sierżant wydobył notes i długopis.

- No cóż – lekarz zdawał się rozważać taką możliwość. Wreszcie pokiwał głową. – Całkiem możliwe, że upadł i uderzył w coś o tępych krawędziach. Pełno tu mebli i puszek.

- Czy mogła uderzyć go kobieta? – Rożek niecierpliwie poślinił ołówek.

Doktor już miał odpowiedzieć, gdy jego wzrok padł na mnie.

- Mów, Janie – zachęcił inspektor – pani Ala nie jest podejrzana.

- Zdecydowanie mogła – Jan z podziwem zerknął na moje ramiona. - Zdecydowanie – ruszył do wyjścia. Biegun poszedł za nim, mówiąc coś przyciszonym głosem.

Wyszłam na światło dzienne. Chmury zaczęły się rozchodzić, mgła szła w górę. Wyspy wyglądały, jakby unosiły się nad wodą. W lesie coś szeleściło, trzaskały gałęzie. Nagle tuż nade mną załopotwały skrzydła wielkiego ptaka. Śledziłam go wzrokiem, póki nie zniknął w gąszczu trzciny po prawej.

Podeszłam do drabinki i usiadłam, spuszczaając w dół nogi. Było mi smutno. Janusz już nie wsiądzie do łodzi, nie popłynie na ryby, nie będzie nadskakiwał paniom, nie zażartuje, nie wypije drinka...

Wpatrywałam się na wodę, nieczuła na otoczenie. Jakim trzeba być draniem, by pójść za człowiekiem do szopy i z zimną krwią go zabić. I komu biedny Przystojniak mógł przeszkadzać?

Zacisnęłam pięści.

Uważaj, morderco.

Alicja Figiel się zdenerwowała.

Byłam wściekła na siebie, że od razu nie sprawdziłam zawartości szopy. Czemu nie wróciłam tam wczoraj wieczorem? Przecież mogłam pójść z nimi wszystkimi, pod byle jakim pretekstem. Może Przystojniak zginął przez to tajemnicze coś? Czy też tego szukał?

Głupia, głupia, głupia.

„W twoim wieku, Alicjo, powinnaś wiedzieć, że na facetach nie można polegać.” Gdzież ten Feliks? Pod jego nosem mordują kolejną osobę, a on...

Ugania się za kobietami.

Spokojnie, spokojnie, Alicjo – upomniałam się. Po prostu musisz wrócić do starych, dobrych nawyków – nieustanna czujność. I zasada ograniczonego zaufania.

Wokół mnie kręci się morderca. Obserwuje, obmyśla kolejne posunięcie, może boi się policji. Podłożył Januszowi narzędzie zbrodni, bo obawiał się, że śledztwo wskazuje na niego. Teraz pewnie myśli inspektora wirują wokół Wiluka, jego przeszłości i prawdopodobieństwa, że to on zabił Nieduzego.

Niedorzeczność.

Przystojniak był pokojowo usposobionym człowiekiem. Smutki topił w alkoholu, nie lubił gniewu, według mnie był optymistą. Spodziewał się najlepszego, ale czy był gotów na najgorsze? Kochał kobiety. Po wódce robił się gadatliwy i wylewny. Podtrzymał więź z Nieduzym, choć ten zabrał mu ukochaną Lolę. On jeden spośród gości robił wrażenie, że naprawdę lubi Oskara.

Co to było wczoraj wieczorem? Kogo chciał ostrzec? Kto miał uważać? Chyba nie miał na myśli ryzyka prowadzenia po alkoholu? Albo ryzyka tańca z Łucją?

Miałam zupełnie irracjonalne przekonanie, że chodziło mu o morderstwo.

Tak, to jest to. Przystojniak coś wiedział o śmierci Nieduzego. Dlatego morderca uciszył i jego. Żadna sztuka. Wciąż popijał ze swojej piersiówki. Wystarczyło rozpuścić w niej trochę leków nasennych, może nasercowych. Nawet by tego nie spostrzegł. Chyba nie brał jej ze sobą pod prysznic?

Poruszałam nogami, bo zaczęły drętwieć. Od siedzenia na deskach rozboleł mnie kręgosłup. Zmieniłam pozycję i zrobiłam kilka ruchów gimnastycznych.

Kto miał uważać? Czy Janusz ostrzegłby mordercę?

Nie był zbyt przenikliwy. Przyszedł o świcie do szopy, niczego nie podejrzewając. A może sam umówił się z zabójcą? Chciał go ostrzec, porozmawiać z nim. Czy był aż tak naiwny? Facet po przejściach, były sportowiec, szczupły, chyba dbający o siebie.

Jedyna pocięcha, że raczej nie umówił się z Feliksem. Jego mógłby się bać.

A Janusz niczego się nie bał, skoro popędził o brzasku do szopy.

Zmrużyłam oczy. Może chciał płynąć na ryby? Szukał wędek? Przecież tak zrobił w sobotę rano, nawet Lidia była niezadowolona z jego towarzystwa. Spotkała go na pomoście, gdy chciała samotnie wyruszyć na jezioro. Ostatecznie popłynęli razem.

Wyobraziłam sobie poranek nad jeziorem, wilgoć i mgłę. Oraz mordercę, koniecznie w czarnej masce, jak wspina się na stół, by wydobyć dowody rzeczowe, wcześniej ukryte na górnej półce. Janusz, nieświadom jego obecności, zagląda do szopy w poszukiwaniu wędek i rozpoznaje zabójcę. Ten, jakby nigdy nic, mówi „napijmy się”, po czym Wiluk pada trupem na ziemię. Zadowolony morderca rozrzuca wokół dowody zbrodni, licząc na to, że policja potraktuje tę śmierć jako samobójstwo z powodu wyrzutów sumienia.

Pokiwałam głową. Mogło tak być, oprócz maski. Bo wówczas Wiluk zapytałby „Czemu nosisz maskę?”, a morderca odparłby coś w rodzaju „Razi mnie światło” czy „lubię przebieranki”, a wówczas...

- Czy nie przeszkadzam? – o metr ode mnie stał inspektor Biegun – widzę, że myśli pani bardzo intensywnie. Stąd poruszanie ustami i żywa gestykulacja. Ja też tak robię, czasami, ale zwykle mówię wtedy głośno. To mi pomaga poukładać myśli. Wcześniej próbowałem myśleć po cichu, ale szef powiedział, że wyglądam jak idiota - wydobył swoją chustkę i wytarł nią czoło. Po chwili podjął – Słowo „idiota” w starożytnej Grecji oznaczało osobę nie piastującą żadnego urzędu. Zatem nie obraziłem się na szefa, tylko od tamtej pory rozmawiam ze sobą tylko wtedy, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

- Myślałam, że jestem tu sama – przerwałam.

- Tak, proszę o wybaczenie. Podszedłem cicho, cichutko jak kot. Po łacinie felix. Nie wiem dlaczego, te zwierzaki zawsze mnie osaczają. Doktor Malik ma kotkę, Pozytywkę. Zawsze usiłuje wejść na moje świeżo wyprasowane spodnie. Kiedyś nawet wbiła mi pazury w marynarkę. Usiłowałem ją zsadzić. Co ciekawe, sierżant, który przepada za kotami, nie budzi jej zainteresowania. Na jego widok odwraca się tyłem i liże łapę – inspektor lekko się wzdrygnął. – Ale nie przyszedłem rozmawiać o kotach. Chodźmy do środka. Trzeba ustalić parę faktów.

Przeszliśmy przez drzwi balkonowe bezpośrednio do gabinetu. Siedział tam tylko Waldek Rożek, zajęty przeglądaniem notesu. Na nasz widok wstał i wyprostował się służbiście.

- Siadajcie, Rożek, znów oglądaliście ten serial... zaraz, jak mu tam... no, mniejsza z tym. Notujcie.

- Tak jest, szefie.

- Rożek!

- Tak?

- Przestańcie gryźć ten ołówek!

Sierżant z obrażoną miną schował nadwerżony ołówek do kieszeni. Po chwili wydobyl drugi, zakończony gumką. Przyjrzał się jej z niesmakiem i otworzył notes.

- Zanim zaczniemy, niech pan mi coś powie - poprosiłam.

- Tak?

- Czy Janusz... pan Wiluk umarł w szopie?

- Tak twierdzi patolog, a ja mu wierzę. Jest zdania, że ciała nie ruszano.

- A w co był ubrany?

- Zwyczajnie, w spodnie, kurtkę i koszulę. Nie w piżamę, jeśli o to pani chodziło.

Niedobrze. Mógł przypadkiem trafić na mordercę. Gdyby był w piżamie, oznaczałoby to, że z kimś się umówił, i to pewnie chwilę przed wyjściem.

- Zbadali już jego piersiówkę?

- Jeszcze nie. Ale teraz przejdźmy do moich pytań – inspektor wstał, rozpoczynając spacer po pokoju. – Proszę mi opowiedzieć, co pani wczoraj robiła. Jak najdokładniej. Ze szczegółami.

- Nie rozumiem, czemu zaczyna pan ode mnie. Czy jestem o coś podejrzana?

- Nie. Ale uważam, że pani powie mi prawdę. Wtedy łatwiej mi będzie zweryfikować zeznania pozostałych – inspektor zatrzymał się przy półkach z książkami.

Zastanowiłam się, czy ukryć przed nim wizytę Niemożliwego i nasz spacer po lesie. Ostatecznie wspomniałam, że był u mnie, ale pominęłam wspólne poszukiwania. Oraz jego rozmowę z blondynką w kawiarni w Lęborku. Resztę wydarzeń zrelacjonowałam dość dokładnie. Opowiedziałam o spotkaniu w „Neptunie” i zaznaczyłam, że Przystojniak chciał kogoś ostrzec.

- A na kogo patrzył, kiedy o tym mówił? – zainteresował się Rożek.

- Wokół kręcił się tłum. Wszyscy tańczyli. Adrian z Lolą Bartnik, a Łucja z jakimś nieznajomym. Janusz często zerkał na parkiet.

- I nie wyjaśnił potem, kogo miał na myśli?

- Nie. Skończył się taniec i ktoś... chyba Łucja oznajmiła, że pora spać.

Wysadzili mnie przed domem.

- O której?

- Około północy.

- Czy Wiluk coś jadł w tym lokalu?

- Nie pamiętam. Początkowo siedziałam z proboszczem i Malikiem. Przy mnie tylko pił.

- A inni?

- Wzięli drinki. Naprawdę to zwracałam uwagę na konkurs. Było parę dobrych występów.

Biegun wyjął kilka książek z biblioteczki. Otwierał je po kolei, czytał parę

zdań i wstawiał z powrotem.

- Czyli w poprzednie dni Wiluk dużo pił?

- Zdecydowanie za dużo. Ale w piątek i w sobotę przed kolacją był trzeźwy – urwałam, przypominając sobie Janusza szukającego kluczyków w strugach wody. – Moim zdaniem załamał się po decyzji Milera. Chyba spodziewał się, że przyjaciel mu pomoże finansowo. Praktycznie od soboty wieczór wcale nie wytrzeźwiał.

- Bardzo ciekawe – inspektor z trzaskiem zamknął szafkę.- Czyli Wiluk był alkoholikiem.

- O to trzeba spytać jego bliskich. Przez dwa pierwsze dni nie sprawiał wrażenia uzależnionego. Raczej typ hałaśliwego, towarzyskiego gaduły. Miły człowiek.

- Tak go pani ocenia? – Biegun patrzył na mnie z zaciekawieniem – Był miły?

- Tak, uprzejmy, zawsze szarmancki. W towarzystwie taka osoba to skarb.

- Ma pani rację. W towarzystwie ceni się osoby wygadane, wesołe. Ważne też, żeby nie były złośliwe.

- Janusz nie był złośliwy – zaprotestowałam – nie miał w sobie nic... z zawziętości.

- Widzę, że naprawdę go pani polubiła. Zatem raczej nie należał do osób długo chowających urazy?

- Wykluczone. On jeden wciąż liczył na Milera, na to, że mu jednak pomoże. Reszta gości nie kryła goryczy.

- Może zwykł wybierać najłatwiejszą do przyjęcia wersję wydarzeń. Mógł akceptować powierzchowną stronę rzeczywistości. Wierzył w to, co było dla niego najkorzystniejsze. Nie wgłębiał się w emocje innych ludzi.

Chciałam z oburzeniem zaprotestować, ale zastanowiły mnie słowa Bieguna. Jak łatwo przyszło Przystojniakowi znieść związek Loli i Oskara! Bez problemu przyjął też do wiadomości ruinę swoich nadziei na spłatę długów. Sięgnął po alkohol i udawał, że wszystko jest w porządku. Może faktycznie niczego nie traktował serio?

- Trudno mi to stwierdzić. Znałam go bardzo krótko.

Biegun przeszedł do dalszych pytań. Musiałam od nowa opowiedzieć mu, co działo się w piątek, sobotę i niedzielę. Trwało to okropnie długo. Wreszcie mnie zwolnił.

- Panie inspektorze. Czy zrobiono już sekcję Milera?

- Tak, wczoraj po południu. Zginął z powodu rany kłutej, zadanej nożycami do drobiu. Pierwszy cios, zadany z wielką siłą, okazał się śmiertelny. Nastąpił krwotok wewnętrzny. Umarł w ciągu minuty. - Biegun zamilkł na chwilę - A teraz może pani poprosić tu brata Milera?

Wyszłam z gabinetu niespokojna i podenerwowana. Wszyscy goście siedzieli w kuchni, jakby tam szukali schronienia przed ponurym światem. Ekspres był włączony i tkwił przy nim Niemożliwy. Reszta milczała ponuro wpatrzona w szklanki.

- Proszą teraz pana – powiedziałam do Feliksa Milera.

Po jego wyjściu opadłam na krzesło. Lidia naląła mi kawy. Raptem dostrzegłam, że brakowało Łucji.

- A gdzie pani Lewko? – spytałam wreszcie.

- Zabrali ją od razu na przesłuchanie do komendy – Lola zamieszała kawę i nasypała sobie cukru – bardzo oficjalnie. Eskortowali ją i wprost wepchnęli do radiowozu.

- To znaczy, że jest podejrzana – stwierdził obojętnie Adrian.

- Tak samo jak i reszta – oburzyła się Lidia. - Mnie przywieźli do pensjonatu godzinę temu. Wyciągnęli mnie z łóżka.

- Właśnie, gdzie się podziewałaś? Słyszałam, że wróciłaś do domu. Dziwne, że to nie ciebie zamknęli. Mogłaś zakraść się tutaj w nocy i załatwić Janusza.

- Och, zamknij się, Lola - warknęła Lidia Miler – Lepiej powiedz, co sama robiłaś dziś w nocy. W ogóle się dziwię, że siedzisz tu jakby nigdy nic. Podobno Wiluk był twoim przyjacielem.

- A co, mam wypłakiwać sobie oczka? Nic mu tym nie pomogę – Lola Bartnik zapaliła papierosa – A co do alibi, to noc spędziłam z Adrianem. Prawda, kochanie?

Chłopak powoli pokiwał głową. Trochę się zaczerwienił.

Oczy Lidii przeniosły się z jego twarzy na twarz Loli.

- Tak? I to powiedzieliście policji?

- Ja tak powiedziałam – Lola uśmiechnęła się do Nartowicza – A oni mi wierzą - wolno wypuściła dym w kierunku sufitu – Natomiast twój szwagier i Łucja spędzili samotne godziny w swoich łóżkach. O ile im wierzyć, oczywiście. Bo przecież Janusz sam się nie zabił. Wiesz co? Ja na twoim miejscu za bardzo bym się nie przywiązywała do tego Feliksa. On coś ukrywa. Może załatwili to razem z Łucją. A może – oczy Loli rozbliły się z uciechy – razem z tobą? Widziałam was wczoraj.

- Bzdury! – zwykle łagodna twarz Lidii miała teraz dziki wyraz. – Byłam sama przez cały dzień! Nie spotykałam się z nikim, a już zwłaszcza z nim!

- Oczywiście, nie trzeba krzyczeć. To dobrze, że szybko się pocieszasz. To co wczoraj porabiałaś?

- Nie twoja sprawa – nastroszyła się Lidia.

- Ktoś jeszcze chce kawy? – odezwałam się bardzo głośno. – Dolewkę?

Trochę pomogło. Lola podstawiała mi szklankę, a Lidia wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami.

Po namyśle poszłam za nią.

Schówek od szczotek był obecnie zajęty przez policyjnego technika.

Lidia Miler stała na pomoście, patrząc na nadpływające kaczki. Pierwsza, najodważniejsza, wyszła na brzeg, głośno wzywając towarzyszek. Po chwili cała gromadka kołysała się niezgrabnie na trawie. Po chwili, znudzone, z głośnym pluskiem kolejno wpadały do wody.

Drzwi szopy wciąż były otwarte. Widziałam kręcących się techników, z wnętrza padał blask silnych lamp. Na parkingu policjanci, zawodowo obojętni, rozmawiali głośno o piłce nożnej, jakby nic się nie stało.

Zatrzymałam się obok Lidii. Nadal była zdenerwowana. Napięła ramiona i bezwiednie zaciskała pięści.

- Nie cierpię tej baby! Fałszywa, złośliwa jędza!

- Uhm.

- „Widziałam was” - przedrzeźniała, naśladując chrypliwy głos Loli – Co takiego widziała? Ciekawa jestem! Może ma halucynacje!

- To stara zabawa, obliczona na wyprowadzenie rozmówcy z równowagi - łagodziłam – jedna osoba mówi do kogoś: ”Widziałam cię wczoraj wieczorem”. Mnóstwo ludzi ma coś do ukrycia i wtedy się zdradzają.

- Albo walą w łeb takiego prowokatora.

- To też jest rodzaj przyznania się do winy.

- Tak. Cały dzień byłam w Pustkowie. Zadzwoiłam do inspektora, żeby wiedział, gdzie mnie szukać. Musiałam jakoś to sobie poukładać w głowie, uspokoić się. Byłam na plaży, spacerowałam po lesie – Lidia nabrała powietrza. - Bezczelna! Gotowa kłamać, byle mnie oskarżyć! Pewnie złości się, że nie udało jej się położyć łap na pieniądzech Oskara. Wcale nie wierzę jej i temu jej nowemu kochasiowi. Całkiem go otumaniała. Potwierdzi wszystko, co ona wymyśli. Ma pani ogień?

- Mam – wydobylam z mojego niezbędnika pudełko zapalek i przypaliłam jej papierosa. Zaciągnęła się głęboko, jak wieloletni palacz.

Chwilę milczałyśmy.

- Biedny Janusz! Nie wie pani, jak zmarł? Nic nam nie chcieli powiedzieć.

- Podobno się zatrul – rzekłam ostrożnie. – Alkohol i leki.

- Janusz nie brał żadnych leków. Czasem pił, ale nie ostatnio.

- Był alkoholikiem?

- Z pewnością. Parę lat temu przeszedł terapię w specjalistycznym ośrodku. Próbował różnych rzeczy, nawet hipnozy. Stosował wszywki.

- Od soboty sporo pił.

- Miał ciągi alkoholowe. Jeśli zaczął, potrafił nie trzeźwieć tygodniami. Potem następował okres paru tygodni, czy nawet miesięcy, kiedy nie sięgał po alkohol. Ostatnio wytrzymał ponad rok.

- Widać śmierć pani męża tak go rozbiła.

- Niech pani tak nie mówi. Alkoholik zawsze znajdzie pretekst do picia. To leży w jego naturze. Nazywają to systemem kontrolowania emocji. Zawsze znajdują wiarygodną przyczynę picia. Sytuację, niedobrą żonę, złą matkę, wrednego szefa... Inni jakoś nie zaczęli pić, prawda? A byliśmy tu wszyscy.

- Ma pani sporą wiedzę o tych sprawach.

- Jestem DDA. Dorosłym dzieckiem alkoholika. Mój ojciec był uzależniony. Uczestniczyłam w kilku terapiach, zanim połąpałam się, że to nie moja wina, że ojciec zawsze znęcał się nad nami. Oskar wydawał mi się gwiazdką z nieba. U niego nikt nie pił, dom był czysty, a rodzicie pracowali – westchnęła i zapaliła kolejnego papierosa.– Lubiłam Janusza. Rozumiałam go. Był zupełnie nieszkodliwy. Nie wiem, komu mógł się narazić.

- Może sam się zabił? – w moim głosie brakowało przekonania.

- Pod wpływem wódki? Nie wierzę. Nie miał skłonności do przemocy. Lubił ludzi, cieszył się życiem. Nie – Lidia zmarszczyła brwi. Dziś wyglądała na starszą. Pod oczami i wokół ust uwydatniły się zmarszczki. Jasne włosy wysuwały się z niedbale związanego wężła.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego go zamordowano.

Lidia nagle usiadła na pomoście. Nogi się pod nią ugięły i klapnęła bezwładnie na deski.

Przycupnęłam obok.

- To jest takie straszne – jej głos aż drżał z emocji – jedna chwila i nie ma człowieka. Nie rozumiem tego. Nie rozumiem.

Posiedziałam z nią trochę, ale już się nie odezwała. Z domu wyszedł Adrian Nartowicz. Spojrzał na nas, po czym skierował się na parking.

Zrobiło się zimniej. Wiatr przegnał chmury, ale w powietrzu czuć było chłód. Słońce świeciło blado, niebo przybrało odcień szaroniebieski, stosowny dla późnej jesieni. Brązowy liść klonu zawirował przed moim nosem i powoli opadł do jeziora.

Zadrzałam. Dość tego pomostu i wody.

Jeszcze pogorszy mi się reumatyzm.

Wewnątrz, w kuchni, nie było już nikogo. Tylko opróżnione kubki po kawie świadczyły o niedawnej ludzkiej obecności. Ostrożnie otworzyłam drzwi od schowka. Pusto. Widać technicy już tu skończyli.

Przywarłam do ściany.

- Na pana miejscu powiedziałbym wszystko, co wiem – dobiegł mnie głos inspektora Bieguna – to nie miejsce ani czas na prywatną wendettę.

- Niech pan pyta.

- Co panu wiadomo o ostatniej ofierze? Januszu Wiluku?

- Osobiście poznałem go dwa dni temu. Tutaj.

- Przyjaźnił się z pana bratem od czasów szkolnych. Jak to możliwe, że nie poznaliście się wcześniej?

- Już mówiłem. Od siedemnastego roku życia mieszkałem osobno. Potem wyjechałem za granicę. Wracałem rzadko i na krótko. Przed kilkoma dniami Oskar skontaktował się ze mną. Bał się o życie. Tylko dlatego tu jestem.

- Nie na wiele pan się przydał.

- Sprawdziłem okolicę. Obserwowałem pensjonat. Nie miałem czasu ani możliwości zajrzeć w przeszłość każdego z gości Oskara. Założyłem, że skoro sam ich zaprosił, to nie oni stanowią zagrożenie.

- A stanowią? – głos Bieguna był stłumiony. Widać inspektor wycierał sobie nos.

- Dlaczego zatrzymał pan Łucję Lewko? – odpowiedział pytaniem Feliks.

- Pewne poszlaki wskazują na to, że nie powiedziała nam prawdy – odrzekł dyplomatycznie inspektor.

- To znaczy, że powiązał ją pan ze śmiercią mojego brata. Co pan wykrył?

- Sądzę, że mogę odpowiedzieć. Była blisko związana z jedną z osób, którym pański brat nie oddał pieniędzy. Praktycznie zniszczył przez to tego człowieka. Pani Lewko zatrudniła się w firmie Milera tuż po tym wydarzeniu. Możemy przypuszczać, że już wtedy planowała jakiś rodzaj ... rewanżu.

- To ten ksiądz?

- Tak, chodzi o księdza. Skąd pan wie?

- Znam sekretarkę Oskara. Macie jakieś dowody przeciw Łucji? Czy tylko domniemania?

- Całkiem sporo... domniemań, jak pan to nazwał. Ale teraz może niech pan opowie szczegółowo, co robił wczoraj. Od rana, jeśli można.

- Skoro ma pan swoją podejrzaną, czemu dalej pan wypytuje?

O, to dobre pytanie – stwierdziłam, poprawiając się na stołku. Ręka mi już ścierpła. Właśnie, co Niemożliwy robił wczoraj?

- Rano wstałem, pan mnie przesłuchał, potem poszedłem na spacer, odwiedziłem panią Figiel, wróciliśmy do pensjonatu, potem zabrałem ją do Lęborka.

- Dlaczego pan ją odwiedził? Dobrze się znacie?

- To bardzo spostrzegawcza osoba. Pomyślałem, że może zauważyła coś w czasie ostatnich dni.

Wpadłam w przygnębienie. A zatem chodziło mu wyłącznie o śledztwo!

- Zresztą, to całkiem atrakcyjna kobieta. Pomyślałem, że warto ją bliżej poznać - dodał Feliks, a moje serce fiknęło z radości.

Coś jeszcze się kołacze w Alicji Figiel!

- Co dalej?

- Miałem spotkanie z sekretarką Oskara. Od niej dowiedziałem się o księdzu.

Reszta była już łatwa. Zadzwoiłem do Lidii i potwierdziłem, że starszy duchowny szukał mojego brata. Kiedy wróciłem do pensjonatu, już tam nikogo nie było. Zjawili się po północy. Czekałem na nich, zamieniliśmy parę słów. Rano wyrwały mnie ze snu policyjne syreny.

- Nie wstawał pan w nocy?

- Spałem jak aniołek. Jeśli chodzi panu o to, czy zabiłem Wiluka, to zaprzeczam. Nie zabiłem go ani nic nie widziałem. Zresztą żałuję. Gdybym nie spał, pewnie by jeszcze żył. Jak umarł?

- Został otruty – inspektor powiedział to zupełnie obojętnie – kobieca broń.

- Serio? No, to właściwie każdy mógł go zabić. Nie wylewał za kołnierz. Wystarczyło poczęstować go drinkiem, a potem umyć szklankę. Wie pan co, inspektorze? Nie zazdrościsz panu tej roboty.

- Jak miło – zamruczał Biegun. Słyszałam, jak miarowo chodzi wzdłuż gabinetu. Szeleściły papiery.

- Jeśli to już wszystko - zgrzytnęło odsuwane krzesło. Widać Niemożliwy zmierzał do wyjścia.

- Jeśli można, to jeszcze słówko. Gdzie ja to miałem... a, już jest. Rożek, przeczytajcie.

- Czy mówi coś panu pseudonim „Czarny Dresiarz”?

- To jeden z wierzycieli Oskara. Wczoraj opowiedziała mi o nim sekretarka. Akurat. Wiedział o nim już wcześniej. Od Lidii.

- Zna go pan?

- Nie osobiście – stwierdził Feliks, a mnie raptem stanął przed oczami siedemnastowieczny Wersal i dwu facetów w perukach i pantalonach.

„Pan pozwoli, oto nasz nadworny bankier, imię Dresiarz Czarny” – zarekomendował ochmistrz. „A oto nowo przybyły z zamorskich krain jego wielmożność Felix Ponury, wiozący na swym korsarskim statku zapas wanilii, jedwabiu i herbaty”. Dwie peruki schyliły się nisko w głębokim ukłonie, cztery ręce wykonały okrągłe gesty. Zalśniły szpady u boku...

Czy wtedy Niemożliwy określiłby tę znajomość jako osobistą?

- Czytajcie, Rożek.

Wróciłam w dwudziesty pierwszy wiek.

- Paweł Dren, znany jako „Czarny Dresiarz”, wyszedł dwa miesiące temu po odsiedzeniu półrocznego wyroku – głos sierzanta był pozbawiony emocji – Właściciel restauracji na warszawskiej Pradze, uprzednio karany parokrotnie za stręczycielstwo. Powiązany z licznymi wymuszeniami za tak zwaną „opiekę” nad praskimi lokalami. Wczoraj wieczorem, około dwudziestej drugiej, stołeczną policję powiadomiono, że w pobliżu tej restauracji leży jęczący mężczyzna. Funkcjonariusze wezwali karetkę pogotowia. Jeden z nich rozpoznał w poturbowanym właściciela lokalu, Drena. Zanim stracił przytomność,

wymamrotał coś w rodzaju: „cholerny Oskar”. Obecnie na oddziale chirurgii. Zszyto mu brew i drutowano szczękę. Poza tym ma zwichniętą rękę. Złamany nos. Objawy wstrząsu mózgu. Mimo to rano doszedł do siebie. Uparcie twierdzi, że potrącił go samochód, który odjechał nie zatrzymując się.

- Co pan na to, panie Miler? – spytał łagodnie inspektor.

- No cóż, ma niebezpieczną profesję. Może ktoś chce go zastąpić na rynku wymuszeń. Powinien zatrudnić osobistych ochroniarzy.

- Jednak to dziwny zbieg okoliczności, prawda? Dren naraża się Milerom i Dren ląduje w szpitalu.

- Do Warszawy jest stąd daleko.

- Ostatnio widziano pana w kawiarni w Lęborku. Około godziny czternastej. Potem długo, długo nic i po północy jest pan w pensjonacie. Czy ktoś pana widział w międzyczasie?

- Zapewne mnóstwo osób – Byłem na plaży, potem tutaj. Spacerowałem po lesie.

- Stąd do stolicy można dojechać w cztery godziny. Tyle samo na powrót. Spokojnie mógł pan zdążyć, pobić Drena i wrócić. I sądzę, że tak właśnie było. Sprawdzimy radary drogowe. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam pana podobiznę.

- A ma pan szczęście, panie inspektorze?

Oj, Feliks – pomyślałam. - Nie przeginaj. Nie jesteś Napoleonem, który ponoć zawsze, gdy chciał komuś powierzyć jakieś zadanie, najpierw pytał „Czy on ma szczęście?”. Biegun nie jest łagodnym ciamajdą. Pewnie już wie, co zjadłeś wczoraj, ile razy kichnąłeś i jaki wzór mają twoje papierowe chusteczki do nosa.

- Jak dotąd mam - odpowiedział inspektor. - Ktoś z gości pensjonatu, po północy, dotknął przypadkiem maski pańskiego samochodu – tuż po powrocie z „Neptuna” - była gorąca. Zainteresował go ten fakt, więc sprawdził też opony. Cały wóz wręcz promieniował żarem. Ledwo pan zdążył, co? Zapomniałem też dodać, że sprawdziliśmy wczoraj stan państwa liczników. W pana wozie przybyło ponad siedemset kilometrów - inspektor Biegun zrobił pauzę, ale Niemożliwy milczał. Prawdopodobnie ze wstydu. - A teraz niech pan idzie. I niech pan na drugi raz informuje policję, zamiast samemu wymierzać sprawiedliwość! - huknął znienacka. Po chwili spokojniej dodał:

- Warszawa to nie mój rejon. Ale gdzieś tu jest morderca, a pan, ukrywając informacje, naraża niewinne osoby!

Wciśnięta pomiędzy półki i szczotki, analizowałam nowe fakty. Zatem Feliks skupił się na zewnętrznych wrogach. Jednego - księdza – sprawdził, drugiego wyeliminował. Ciekawe, co ten Dren mu powiedział. Bo że powiedział, jakoś nie wątpiłam. Nagle zadrżałam. Czy Janusz mógł mieć powiązania z mafią? Były sportowiec, bywalec lokali, przyjaciel Loli. A jeśli to Przystojniak zabił

Oskara, a Feliks zabił jego?

No, to wtedy sprawa byłaby zamknięta. Trzeba patrzeć optymistycznie na świat. Uśmiechać się, nawet kiedy chce się płakać. Wtedy podobno humor się poprawia. Wysoko trzymać głowę. Być dobrym dla dzieci, nieporadnych staruszków i zwierząt. Chronić planetę. Segregować śmieci.

Regularnie chodzić do dentysty.

Pociągnęłam parę razy nosem.

Postanowiłam trochę się przewietrzyć. Właśnie docierałam do drzwi, kiedy dobiegł mnie głos inspektora.

- Zdzwońcie do laboratorium. Może już coś mają.

Czekałam, podczas gdy sierżant mruczał coś w rodzaju „aha, tak, rozumiem, aha, aha ha”. Prawdziwa symfonia „hymknień”. Wreszcie skończył.

- Już wiedzą, co go zabiło, szefie – zaraportował dziarsko. – Lek o nazwie „neuroleptyk” w połączeniu z alkoholem.

- Oj, Rożek. Nie pamiętacie? Kiedyś Malik zrobił nam wykład na ten temat. Neuroleptyki to cała grupa leków. Znają nazwę?

- Tak jest. Coś, co się nazywa haloperydol i jest czasem stosowane w leczeniu objawów odstawienia wódki... to jest alkoholu. Zżył to wszystko razem. Dodano też inne leki, ale jeszcze nie wiedzą, jakie.

- Jak, u licha, udało im się to tak szybko ustalić? Zwykle badają całymi tygodniami.

- Nasz patolog podejrzewał, że to ten środek i zaczął od sprawdzenia tej hipotezy. Denat miał trochę w kieszeni... to znaczy tabletek. Podobno nie ma smaku i łatwo go rozpuścić. Mówił jeszcze, że czasem dają go staruszkom, na majaczenie czy coś takiego.

- Taaak. Dobrze, Rożek. Poproście tu piękną Lolę, ale wcześniej każcie sprawdzić, jakie leki bierze stary wujek Łucji Lewko. Naprawdę jestem ciekaw. Niech ktoś pojedzie na plebanię w Pustkowi. Uprzedźcie proboszcza.

- Tak jest, szefie. I jeszcze chciałbym powiedzieć... że pan...

- No, wyduście to.

- Że to z kilometrami, to było genialne. Mnie nie przyszło do głowy sprawdzenie liczników – w głosie sierżanta brzmiał podziw.

- Mnie też nie – zapewnił inspektor. – A teraz ruszajcie.

* * *

W trakcie przesłuchiwania Loli dostałam okropnego mrowienia w lewej nodze. Wyprostowałam ją i zaczęłam napinać po kolei wszystkie mięśnie. Zaczęło drętwieć jeszcze mocniej.

Zatrzeszczało mi w kolanie. Dźwięk z okolic rzepki przypominał odgłos, jaki wydobywa się z suchych, nadepniętych gałązek. Jakbym była drewnianym ludzikiem zrobionym wiele lat temu przez obłąkanego (ale bardzo uzdolnionego) stolarza. Niedługo każdy mój ruch będzie można usłyszeć z odległości kilkuset metrów. Żegnajcie, lata młodości. Malik zawsze mówi, że należy dużo spacerować. Wówczas zmiany w stawach nie następują tak szybko. Cóż, ja sporo chodzę. Nie tak, jak niektórzy medycy, przemykający w swoich lśniących autach. Albo pewne kobiety z rady parafialnej, które mąż wszędzie dostarcza, jakby były cenną paczką. Ach, jakby to było mieć kogoś, kto by dbał o mnie, otwierał mi drzwi w aucie, od czasu do czasu podkreślał, jaka jestem interesująca, kupował mi prezenty, utrzymywał mnie... Przynajmniej przez pewien czas... I żeby był wysoki, przystojny, uśmiechnięty, umiejący zażartować, czuły, bogaty... Już widzę, jak wnosi mnie na rękach do luksusowo wyposażonego apartamentu, podczas gdy wokół przemykają bezszelestnie kelnerzy w białych smokingach...

Zamyka drzwi, bierze mnie w ramiona, i...

- I co pani na to? – głos inspektora rozwił różowy obłok moich marzeń. – Pani ostatnia widziała Oskara Milera żywego.

- Nieprawda! Janusz zjrzał do niego przed wyjściem! Przecież tak zeznał!

- Tak – przyznał Rożek.

- Cicho, sierżancie. Pan Wiluk nie może już potwierdzić swoich słów. Zmarł dziś nad ranem, jak pani zapewne wiadomo. A pani gdzie była w tym czasie?

- Już mówiłam – zachrypiała Lola – byłam z Adrianem.

- Dobrze. To teraz proszę opowiedzieć, co pani robiła wczoraj. Szczegółowo. Od rana.

- Jeszcze raz? Znowu? Czy wam się nie znudzi wciąż zadawać te same pytania? Przecież to oczywiste. Zabiła go Lidia. Zgarnęła sporą sumę.

- Nie wiedziałem, że Wiluk był bogaty.

- Nie Wiluk, głupcze! Czy trzeba wam wszystko tłumaczyć?

- Widać trzeba – mruknął sierżant.

Lola nie zwróciła na niego uwagi.

- Ona i ten braciszek! Skąd się wziął? Sprawdziliście go chyba? Oskar nigdy o nim nie wspominał! Mogli bez problemu go zabić. Ona wyciągnęła go z domu, a tam już czekał Feliks. Zrobili to razem.

- Ma pani jakieś, hm, dowody?

- Mało wam dowodów? Pomyślcie wreszcie! Kto skorzystał na śmierci Milera? Tylko ona! Cała reszta jest stratna. Janusz, Adrian... Nawet ta mała Łucja. A ja? Obiecał mi tyle rzeczy! Nowe auto, naszyjnik, luksusowe wakacje...

- Nie wiedziałem, że liczyła pani tylko na jego pieniądze – powiedział łagodnie inspektor.

Zapadła cisza.

- No cóż, kobieta musi z czegoś żyć - głosik Loli nabrał słodkich tonów. - To jest świat dla mężczyzn. Zgarniają, co najlepsze.

„Oprócz prostaty” – pomyślałam sobie cichutko. Ale to ciekawe, że Lola nic nie wiedziała o Łucji.

- Czy oprócz motywu ma pani jeszcze jakieś podstawy, by podejrzewać panią Miler?

- No, jak to! Została z nim na cały wieczór. Tylko ona miała okazję to zrobić. Reszta była w restauracji. Nawet tego nie sprawdziliście? Co wy robicie po całych dniach?

- Może wróćmy do wczorajszego dnia - powiedział Biegun. - Od rana, poproszę.

Lola powoli się uspokoiła. O ile ten wybuch to nie była gra, obliczona na zdenerwowanie policjantów. Dość zwięźle streściła poniedziałkowe zajęcia. Po przesłuchaniu poszła na spacer z Adrianem. W lesie nikogo nie spotkali. Potem pojechali na obiad do „Laury”. Tak, Janusz też się wybrał. Łucja została w pensjonacie. Wrócili około siedemnastej. Wypili kawę, posiedzieli w altanie, ale było już ciemno i zaczęło być zimno. Janusz sporo pił. Czy zawsze tak było? Czasem pił, a czasem przez całe miesiące był zupełnie trzeźwy. Teraz, według Loli, załamał się śmiercią Oskara. Od lat się przyjaźnili. To Wiluk przedstawił jej Milera.

- Była pani kochanką pana Wiluka? – spytał niedyskretnie sierżant.

- Znam go od paru lat.

- Jak się państwo poznali?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Proszę odpowiedzieć - słyszałam, jak sierżant szeleści notatnikiem. Pewnie ma już tam zapisany cały życiorys Loli. Dobiegł mnie trzask zapalniczki i kaszel Waldemara. Wyobraziłam sobie obłoczek dymu muskający nienaganną marynarkę inspektora.

- Paskudny nałóg – głos Bieguna był nieco stłumiony – sierżancie, otwórzcie okno. A zatem?

- Spotkałam Janusza w pewnym klubie. Wpadłam mu w oko. Przysłał mi do stolika butelkę szampana. Akurat miałam przerwę w występach.

- Proszę o nazwę i adres tego klubu. W jakich występach?

- Nie pamiętam ulicy, ale nazywał się „Gazela”. Na Pradze. Śpiewałam tam przedwojenne przeboje. Janusz był miły, zabawny i szarmancki. Byliśmy razem około pół roku. Potem spotykaliśmy się jeszcze od czasu do czasu. Kolacja, wypad w góry...

Jakoś trudno mi było wyobrazić sobie Lolę w sznurowanych butach wspinającą się na Giewont. Już prędzej paradowałaby po deptaku, zwiedzając luksusowe sklepy. Z tyłu maszerowałby niedźwiedź obarczony zakupami.

- Zdobyła pani jakieś szczyty? – sierżant był wyraźnie zainteresowany.
- I to ile – rzekła dwuznacznie Lola. - A pan, panie oficerze?
Sierżant chyba się zacukał, bo wtrącił się Biegun.
- Pan Wiluk był majątny?
- Od czasu do czasu. Kiedy go poznałam, właśnie wygrał co nieco w kasynie.

Usłyszałam, jak inspektor mruczy pod nosem „biedak”, ale może mi się tylko zdawało.

- Miał rodzinę?
- Nigdy się nie ożenił. Powtarzał mi nieraz, że nie ma zamiaru nikomu być ciężarem. Mówił: „Prędzej sam ze sobą skończę, niż pozwolę, by ktoś musiał mnie karmić i przewijać”. Bał się starości. Zdaje się, że ktoś z jego dziadków cierpiał na chorobę Parkinsona. Janusz nie mógł na to patrzeć. Opowiadał mi o nim. Twierdził, że to okropny widok. Ten człowiek nie mógł sam nawet wytrzeć sobie śliny. Cały się trząsał, wszystko wypadło mu z rąk.

- A jak Wiluk przyjął pani... zażyłość z Milerem?
- Musiał to jakoś znieść. Zresztą lubił kobiety. Szybko się pocieszył.
- Czyżby? Rozmawiałem wczoraj z jego szefem. Według niego Wiluk nie związał się z nikim po zerwaniu z panią.

- Widać wolał grać biednego misia. Może chciał wzbudzić współczucie.
- A Miler? Nie był zazdrosny?
- Kochany Oskar – Lola przeciągnęła samogłoskę „o”. Pewnie trzymała w zębach papierosa. - Taki pochłonięty swoim powołaniem. Głęboko wierzący.

- Co nie przeszkodziło mu zostawić żony i dzieci.
- Prawdziwa miłość nie zna ograniczeń - westchnęła Lola.
- Ani odpowiedzialności. Przejdźmy do wczorajszego wieczoru. Co się wydarzyło?

- Byliśmy w jakiejś dziurze. Tandetny bar, konkurs śpiewu dla prostaczków. Pomyślałam, że dobrze im zrobi, jak usłyszą jakiś niezły kawałek. Trzeba było widzieć ich miny! A jak się ubrali! Te cekiny na starych babach! Rety, ale skrzeczały!

- O czym rozmawialiście?
- Piosenki, bar, co kto wypije... taka gadka – szmatka. Nic szczególnego. Żadne z nas nie szczyrzyło złowrogo zębów. Aha, spotkaliśmy tutejszą gosposię. Adrian ją potem odwiózł.

- Czy Wiluk zachowywał się jak zwykle?
- Przeważnie stał przy barze. Sporo wypił.
- Czy ktoś do niego dzwonił?
- Nie wiem... zaraz. Wyszedł ze dwa razy na dwór. Wewnątrz było bardzo głośno. Może chciał zapalić? Ale nie pamiętam go z telefonem. Za to widziałam,

jak rozmawia z Lidią.

- Tak?

- Musiałam złapać oddech po występie. Wyrzałam na chwilę, ale było za zimno. Janusz stał w kącie podwórka z jakąś kobietą. W pierwszej chwili jej nie poznałam. Miała czarną kurtkę i kaptur. Potem cmoknęła go w policzek, kaptur się zsunął, i zobaczyłam, że to Lidia. Zaraz odeszła, a on wrócił do środka.

- Widział panią?

- Zapytałam go, co ona tu robi. Wtedy wyjaśnił, że zadzwoniła, bo bardzo się denerwuje śmiercią Oskara, i chciała dowiedzieć się, czy jest coś nowego.

- Zdziwiło to panią?

- Wtedy nie – odparła powoli Lola – ale teraz myślę, że to była dobra okazja, żeby go otruć. Może widział, jak w sobotnią noc wymyka się z gabinetu Oskara. Janusz był naiwny. Gdyby zobaczył coś takiego, to by najpierw ją zapytał, co tam robiła. Uwierzyłyby w każde wytłumaczenie. Ona, oczywiście, zdawała sobie sprawę z zagrożenia. Musiała go uciszyć.

- Widziała pani coś jeszcze? Może słyszała, co mówili?

- Nie – odparła Lola z niezadowoleniem. – To była tylko chwila. Za późno wyrzałam. Potem nic ciekawego już się nie działo. Wróciliśmy do hotelu po północy. Był tam Feliks Miler. Siedział w kuchni nad kubkiem z herbatą.

- W jakim nastroju był Wiluk?

- Coś mamrotał, jak to po wódce. Nie płakał ani się nie śmiał. Od razu poszedł do siebie.

- Co pani potem robiła?

- Zamieniłam parę słów z Milerem. Zdaje się, że wyraziłam wątpliwość, czy wykryją mordercę. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, jakbym wspomniała o kosmitach. Adrian też tam był. Zaczęli gadkę na temat gier komputerowych, więc sobie poszłam. Potem, po jakiejś półgodzinie nadszedł Adrian i poszliśmy do łóżka.

- Byli państwo razem całą noc?

- Calutką, panie inspektorze. Obudziły nas syreny.

Zaszurało i usłyszałam trzask. Widać Biegun zamknął okno.

- To wszystko. Proszę pozostać w pensjonacie.

Zastukały wysokie obcasy. Przez chwilę było cicho.

- Lepiej jeszcze raz przewietrzę – odezwał się inspektor. – Na zewnątrz jest ciepło.

Rożek zakaszał.

- Chce pan kawy, szefie? Mogę zrobić.

- Potem. Co powiecie na tajemne spotkanie Lidii Miler z Wilukiem?

- Nocowała w Pustkowiu. Denat pojechał właśnie tam na kolację. To spory kawałek stąd. Może specjalnie wybrał to miejsce, żeby porozmawiać dyskretnie

z Lidią.

- Trudno mówić o dyskrecji, skoro wybrali się we czworo. Nie spytałem, które z nich wpadło na pomysł kolacji w „Neptunie”. To może mieć spore znaczenie.

- Ale Bartnik jest pewna, że mordercą jest była żona.

- Możliwe, możliwe. Wszystko zdaje się na nią wskazywać. Nie rozumiem tylko, dlaczego obok Wiluka leżało narzędzie zbrodni i jej tunika. Zupełnie jak podpis.

- Może dodała mu truciznę w czasie rozmowy pod barem w Pustkowie. Albo sprezentowała mu coś do picia.

Wyobraziłam sobie Lidię w czarnym kapturze, skradającą się z butelką firmowej wódki, uprzednio zaprawionej lekami. Wywołuje Janusza, oboje stoją oparci o ogrodzenie. Zimna, jesienna noc, a wszystko, co ciekawe dla gości „Neptuna”, rozgrywa się wewnątrz baru. Mogą spokojnie porozmawiać. Czy Wiluk przeczuwa niebezpieczeństwo? Czy rzeczywiście widział coś podejrzanego sobotniej nocy, coś, co wskazuje bezpośrednio na winę żony Milera? Jeśli nawet tak, to daje się przekonać tłumaczeniom Lidii. Na pożegnanie ona częstuje Janusza, może sama też udaje, że pije. Potem całuje go zdradziecko w policzek i rozplywa się w ciemnościach.

Mogło tak być. Tylko...

- Skoro Wiluk wiedział, gdzie jest narzędzie zbrodni, to dlaczego po jego śmierci pani Miler nie zadbała o to, by je usunąć? – Biegun głośno wypowiedział moje własne wątpliwości. - To nie ma żadnego sensu.

- Może bała się tu przyjechać, żeby ktoś jej nie zobaczył – zasugerował Rożek. - Nocowała w Pustkowie.

- Wyobraźnia, Rożek, wyobraźnia. Musiała podjąć ryzyko. Załóżmy, że zabiła męża. Potem ukryła nóż i mokrą tunikę, może zabrudzoną krwią ofiary, w szopie. Wiluk mógł natknąć się na to szukając swoich wędek, farb, rozpuszczalnika – czegokolwiek. Poznał jej ubranie i domyślił się prawdy. Załóżmy, że był niedorozwinięty umysłowo, choć nic na to nie wskazuje. Zatelefonował do Lidii zamiast zawiadomić policję. Spotkali się, ona poczuła się zagrożona, podała mu truciznę, i co dalej?

- Poszła spać?

- No właśnie, dobrze, Rożek. Nie mogła iść spać. Powinna co prędzej gnać do tego miejsca i pozbyć się obciążających ją dowodów.

- Ale nie zrobiła tego.

- Tak jest, nie zrobiła. Jej gospodyni – nawiasem mówiąc, niezwykle wścibska osoba – potwierdza, że nie wychodziła w nocy. Zatem mój poprzedni wywód jest od początku do końca bzdurą. Nie chodziło o dowody. Nie mogło o to chodzić. Jaki z tego wniosek?

- Że Lidia jest niewinna?

- Wyobraźnia, Rożek. Nie wiem, czy jest niewinna. Może być. Chodzi o coś innego. Znaleźliśmy Wiluka na ziemi, obok leżały przedmioty obciążające panią Miler.

- Może sam zabił Milera? – ożywił się sierżant - Potem dręczyły go wyrzuty sumienia, zaczął znowu pić. Wreszcie nie mógł już wytrzymać i postanowił popełnić samobójstwo. Raptem uświadomił sobie, że ukrył narzędzie zbrodni. Rusza do szopy, by jego znalezienie nie obciążyło niewinnych ludzi – Rożek mówił bardzo szybko. – Postanowił je wydobyć, może zniszczyć, ale trucizna zaczęła już działać. Zmarł na miejscu. Nie, niech mi pan nie przerywa. W jego kieszeni znaleziono haloperydol. Stosuje się go u alkoholików. Wiluk był uzależniony od alkoholu. Musiał znać ten lek. Mógł mieć zapas. To potwierdza teorię samobójstwa.

Sierżant umilkł. Razem czekaliśmy na reakcję Bieguna.

Trochę to trwało. Wreszcie po całej minucie – moje serce uderzyło sześćdziesiąt trzy razy – inspektor odezwał się:

- Czasem myślę, że jesteście genialni, Rożek. Taaak. Oczywiście to bajka z tym samobójstwem, ale zwróciliście mi uwagę na oczywistą rzecz... oczywistą... cały czas mieliśmy to pod nosem – urwał. - Świetnie, Waldek. Dobrze. Teraz pora na kawę.

Sierżant musiał wyjść, niesiony na skrzydłach świeżej chwały, bo usłyszałam tupot jego kroków w korytarzu. Zerknęłam na zegarek. Ciekawe, co robi Niemożliwy. Może też pije kawę?

W kuchni zastałam tylko sierżanta. Na mój widok uśmiechnął się miło. Postanowiłam go zagadać.

- Czy już coś wiadomo? – spytałam prosto z mostu – aresztowaliście kogoś?

- Czekamy na wyniki badań. Na nożycach były odciski palców. Ludzka ręka.

Pokiwałam głową. Coś podobnego. Odciski palców. Czy ten Rożek myśli, że nigdy o czymś takim nie słyszałam? Co innego, gdyby znaleźli na nożu odciski kocich łap... to dopiero byłaby gratka.

- Pewnie moje, pana Nartowicza, pana Wiluka, i jeszcze pań. Krojono nim indyka w sobotę wieczorem.

- Och! – sierżant się zmartwił. Żeby go pocieszyć, spytałam:

- A co z ubraniami znalezionym obok nożyc? Są na nim jakieś ślady?

- Jeszcze nie wiem. Ale na pewno jest krew.

- Pana Milera?

- Prawdopodobnie – Rożek chyba się zreflektował, że rozmawia z osobą postronną – Ale to jeszcze nic pewnego. Proszę o tym nie wspominać innym, dobrze?

Obiecałam, że nie wspomnę. Posunęłam się nawet do tego, że

zapropnowałam sierżantowi moją ulubioną herbatę, o smaku pomarańczy z nutą ananasa. Waldemar wypił całą filiżankę, jeszcze zanim dotarł do drzwi. Nigdy nie widziałam, żeby człowiek tak szybko pił gorący napój. Poradziłam mu, by zmierzył sobie poziom cukru.

Sobie też nie zrobiłam kawę. Wyszłam na zewnątrz z kubkiem w dłoniach. Wyjątkowo kapryśna pogoda znów się zmieniła, i teraz aż po horyzont ograniczony czubkami sosen niebo było błękitne i czyste. W powietrzu wyczuwało się jednak jesienny chłód, zapowiedź długich, mroźnych nocy. Zadrżałam i zawróciłam po kurtkę.

Wolno ruszyłam w dół po ścieżce. Kiedy mijałam drewnianą altanę, dobiegły mnie głosy. Ludzkie głosy, jak stwierdziłby sierżant. Ktoś szeptał.

- Nie musisz się o nic martwić. Szaleję za tobą, wiesz? Powiem im to, co chcesz. Wszystko będzie dobrze.

- Zaczęłam się bać, kochany. Ten policjant jest taki bezwzględny. Co ze mną się stanie? Gotów się domyślić, że...

- Pani Alu! – na pomoście stał pan Bogdanek. – Co tu się dzieje? Przyjechałem pomalować łodzie, a wszędzie pełno policji!

Głosy ucichły. Poirytowana, ruszyłam ku domowi, starając się równocześnie patrzeć na wszystkie strony. W drzwiach się zatrzymałam. Opowiedziałam Bogdankowi o nowym morderstwie. Był bardzo poruszony.

- Co też moja żona na to powie!

Też byłam ciekawa. Ale nadal starałam się nie tracić z oczu altany. Słowo „kochany” utkwilo mi w sercu jak nóż. Raptem zorientowałam się, że można wyjść z altany od tyłu i od razu ukryć się w lesie. W tej samej chwili zza drewnianej pergoli wyszła Lidia. Zbliżała się powoli, z uśmiechem na ustach.

Uświadomiłam sobie nagle, że jej nie lubię. Ten lekki krok, gładka, nieruchoma twarz, zwycięski uśmieszek...

Spomiędzy drzew wynurzyła się Lola Bartnik. Dreptała na szpilkach, kołysząc biodrami. Już odetchnęłam, kiedy pojawił się Feliks. Musiał wyskoczyć cicho jak kot, bo mignęła mi tylko ciemna sylwetka. Ruszył w kierunku szopy. Widziałam, jak zatrzymują go technicy, jak coś im tłumaczy, mocno gestykulując, a na koniec jak zawraca ku altanie, obok której przed chwilą się zmaterializował.

No i co dalej? Którą parę słyszałam przed chwilą?

Andrzej Bogdanek nadal mówił, ale go nie słyszałam. Zawróciłam i weszłam na pomost, aż na sam jego skraj.

Przede mną rozciągało się jezioro.

Utkwiłam wzrok w najbliższej wyspie, teraz doskonale widocznej. Wydawała się bliższa niż naprawdę. Mogłam odróżnić linię trzciny i szuwarów, a dalej, w głębi, ciemną kępę lasu. „Kiedy rzeczy odległe wydają się bliskie, oznacza to, że mamy niż atmosferyczny” – wyszeptałam bezwiednie.

Moja głowa przypominała mrowisko. Pełno było w niej drobnych elementów – strzępków rozmów, obrazów, słów, pojedynczych gestów. Wczorajsza rozmowa Niemożliwego z Lidią. Przytuliła się do niego przed wyjściem. Człowiek patrolujący las w piątek i sobotę. Błysk lornetki pomiędzy drzewami. Samotny spacer Lidii w sobotnie popołudnie. Jej dążenie do porannych wycieczek łódką. Szarmancki Janusz. Zaginiony telefon Nieduzego. Janusz z wyrazem smutku na twarzy, sięgający drżącą ręką po piersiówkę. Rzeka alkoholu. Lola i Adrian spacerujący po lesie. Wspólna noc. Noc śmierci Wiluka. Nagły błysk w oczach Łucji, gdy wspomniała o swojej pracy. Kłamstwa dotyczące soboty i spaceru po plaży. Wieczór w Pustkowie i szmaragdowy drink dziewczyny, zdecydowanie bezalkoholowy. Słuchawka przy jej uchu. Właśnie. Gdzie jest Łucja? Czy Biegun ją aresztował?

Nie, to niedorzeczne. Chyba, że stary ksiądz przyjmuje haloperydol.

Zdecydowałam się na działanie. Wyjaśnię przynajmniej jedną sprawę. Wróciłam na parking, w samą porę, by złapać Feliksa wsiadającego do samochodu.

- Wybieram się do Pustkowie – rzekłam nie owijając w bawełnę – Może mnie pan tam zawieźć?

Niemożliwy skinął głową. Z pewnością nie jest gadułą.

Ruszyliśmy spod pensjonatu dostojnym tempem. Przed nami niemal natychmiast zamajaczyły zabudowania Nowego Lasku.

- Niech pan się zatrzyma! - rozkazałam – Już!

Feliks wyhamował na poboczu.

- Co się...

- Zaraz – rzuciłam przez ramię, gramoląc się z auta – Zdaje się, że widzę mojego kota.

Niemożliwy wyłączył silnik. Z jednej strony drogi rozciągało się pole, zorane i łyse, z obowiązkową gruszą na środku. Po lewej niewielki zagajnik, pełen bezlistnych olch i brzoź. Wszędzie panowała cisza i spokój.

- Czarny czy rudy? – spytał, sięgając do samochodowej kieszeni. Wydobył lornetkę. Potężny, specjalistyczny sprzęt. Cóż, widać na platformach wiertniczych używają takich rzeczy do obserwacji wielorybów. Albo planktonu. Albo zbliżających się podstępnie korsarskich statków, niewykrywalnych dla radarów.

Możliwe też, że dają sygnał, gdy pojawia się statek z obiadem.

- Czarny. Huncwot! – wrzasnęłam – do domu!

Huncwot ma zwyczaj wlaźć na sam czub wysokiej gruszy, a potem siedzieć tam resztę dnia, piszcząc ze strachu. Boi się zejść. Na widok odsieczy w postaci wysokiej drabiny miauczy rozdzierająco. Następnie czai się i czeka. Kiedy ratownik jest już blisko, Huncwot wydaje mrozący krew w żyłach wrzask i raptownie skacze mu na głowę.

Nie chowa pazurów.

Nikt z sąsiadów nie chce mi już pomagać, zatem kupiłam specjalny kapelusz pszczelarski, osłaniający twarz. Praktyczny przedmiot. Chroni przed słońcem, komarami i kotem. Niestety, ma też wady; jest mało twarzowy.

- Jest na drzewie! – Feliks sadił susami przez pole, dotrzymując mi kroku.

Niestety. Ale może zeskoczy na mój widok, o ile nie zdąży na czubek. Huncwot zwykle słucha poleceń. Zatrzymałam się i zaczęłam go wołać.

Nie udało się. Zanim dotarliśmy pod gruszę, kot osiągnął już szczyt swoich możliwości. Zapiszczał i przywarł czterema łapami do pnia.

- Co teraz?

Popatrzyłam na Niemożliwego. Uśmiechał się krzywo.

- Pójdę po drabinę – oświadczyłam z rezygnacją – sam nie zejdziesz za skarby świata.

Kot popatrzył na nas i rozpoczął koncert. Żałosne dźwięki niosły się po całej okolicy.

- Nie mamy tyle czasu. Zdejmę go – oświadczył Feliks, zdjął buty i wydobyl coś z kieszeni.

Przyglądałam mu się z powątpiewaniem. Prosty, pozbawiony gałęzi pień sięgał czterech metrów. Dopiero potem grusza się rozgałęziała, coraz wyżej i wyżej, z czubem gdzieś pod niebem. Lina! Niemożliwy podciągnął się błyskawicznie. Usadowiony jakiegoś trzy metry pod kotem, wziął zamach i rzucił linę. Huncwot miauknął z wściekłością. Jeszcze mocniej wczepił się w korę. Feliks patrzył na niego z dołu. Wreszcie delikatnie pociągnął. Kot zawrzęszczał, a ja już otworzyłam usta, by przerwać tę zabawę, gdy Feliks wspiął się jeszcze wyżej. Teraz od kota dzielił go może metr.

- Huncwot – zawołałam bezradnie – złaż natychmiast!

Kot zasyczał złowrogo. Nastawił uszy i wyprężył grzbiet. Miarowo uderzał ogonem w pień. Wtedy Feliks błyskawicznie się wyprostował, złapał go za kark i natychmiast cofnął dłonie. Zakotłowało się.

Wreszcie, po dobrej chwili, ukazały się pięty Niemożliwego. Zjechał po linie na dół w samych spodniach. W lewej ręce ścisnął ciemny kłęb, który miauczał i nieustannie się wyrywał.

Przy bliższych oględzinach okazało się, że jego koszulka pełni funkcję worka.

Wręczył mi ją.

- Do domu z nim – zdecydowałam. - Muszę je zamknąć.

Wróciliśmy do auta.

Feliks popatrzył na mnie, potem na zaimprovizowany worek, i nagle zaczął się śmiać. Śmiał się i śmiał, aż w końcu i ja musiałam się uśmiechnąć...

- To była moja najniebezpieczniejsza akcja - stwierdził. – Ile ciekawego może wyniknąć z podwiezienia pani dokądkolwiek.

Zamknęłam kota w domu, napełniwszy mu uprzednio miski. Imbryk spokojnie spał w krzakach piwonii, ale na mój widok od razu przybiegł.

Zanim wróciłam, Niemożliwy zdążył ubrać się w identyczną jak poprzednio podkoszulkę. Widać ma takich cały zapas i tylko on odróżnia jedną od drugiej.

- Odkupię panu koszulę – powiedziałam, podając mu nadwerżone ubranie – obawiam się, że kot zupełnie ją zniszczył.

- Nie trzeba, mam ich całą masę – zapewnił Feliks i znów zadrgały mu usta.

Pobyt w domu wykorzystałam na dyskretnie poprawienie makijażu. Bądź co bądź, jestem kobietą. Umalowałam usta, użyłam cienia do powiek i na koniec podkładu liftingującego. Efekt nie był piorunujący. Zdecydowałam się zatem na ożywczą, różową bluzkę. Dołożyłam do niej fioletowy sweter, uzupełniłam to wszystko pantoflami na wysokich obcasach i spódnicą do kolan.

Niemożliwy nic nie zauważył. Być może był mało spostrzegawczy. Rzucił natomiast okiem w lusterko wsteczne.

- Mamy towarzystwo – powiedział, zwalniając.

Obejrzałam się. Ruch był niewielki – pojedyncze furgonetki, czasem osobowe auta, dwa autobusy. Dostrzegłam ciemnoszary niewielki wóz. Był za daleko, żeby zobaczyć kierowcę. Odległość między nami nie zmieniała się, co było dziwne, zważywszy na zółwie tempo, jakie rozwijał Feliks Miler.

Droga, początkowo prosta, teraz nabrała wigoru i zaczęła kręcić się jak biodra tancerki hula – hula. Lasy, po drugiej stronie łąka, kilka zabudowań z czerwonej cegły. Kiedy minęliśmy znak "dwa niebezpieczne zakręty", Feliks wcisnął gaz do dechy i samochód skoczył w przód. Piszcząc oponami pokonaliśmy skręt w lewo, drugi w prawo, i wtedy wrzasnęłam:

- Co, u licha?! Wolniej!

Niemożliwy trochę przyhamował, ale zaraz znów przyspieszył.

- Nie lubię mieć z tyłu policji – oświadczył, zerkając w tylne lusterko. – Rożek jedzie za nami od paru minut.

- A niech jedzie, nic nam do tego. Tu są lisy, sarny, koty! Wolniej!

Mężczyźni mają coś nie tak z głowami. Feliks w końcu zdjął nogę z gazu. Odetchnęłam.

- Co pan dotychczas ustalił? – zagadnęłam, gdy wyjechaliśmy na prostszy odcinek drogi.

- Różne rzeczy. Choćby to, że dla policji jestem podejrzany. Wie pani, że zatrzymali Łucję Lewko?

Przytaknęłam. Opowiedziałam o wczorajszym wieczorze w barze „Neptun”.

- Janusz był ciągle podпиты. Ale próbował kogoś ostrzec.

- Kogo?

- Nie wiem. Powiedział coś w rodzaju "On musi uważać" czy „Przekażcie mu, żeby uważał”. Mógł mieć na myśli kogokolwiek.

- Raczej nie. Przynajmniej połowa świata odpada. Ta piękniejsza. A na kogo patrzył?

Wróciłam myślami do barowej sali. Zwirowały pary na parkiecie. Blisko nas był major Gorzki, no i pan Bogdanek. Ale Wiluk spoglądał ponad nimi, gdzieś wysoko.

- Na nikogo. Błądził zamglonym wzrokiem po wnętrzu.– stwierdziłam.

- Ciekawe. A rano już nie żył – Niemożliwy zacisnął dłonie na kierownicy. – Rozmawiałem z pozostałymi. Według nich Wiluk nie robił wrażenia zaniepokojonego. Zresztą, kiedy wrócili z baru, byłem w pensjonacie. Musiałem pomóc w wyciąganiu Janusza z auta. Ledwie trzymał się na nogach. Zataszczyliśmy go na górę, do jego pokoju.

- Znaleźli narzędzie zbrodni. Wcale nie było w lesie. Ukryto je na górnej półce szafy w hangarze.

- Przecież policja zrobiła rewizję.

- Widać niedokładną.

Feliks nie sądził, by policja była niedokładna. Jednak na moje pytanie, czemu w takim razie przeoczyła hangar, nie potrafił odpowiedzieć. Następnie streścił mi spotkanie z sekretarką Oskara. Wspomniał o Drenie i księdzu z Pomorza.

- Ten ksiądz przebywa teraz w Pustkowie – dodał. – Właśnie chcę go odwiedzić.

- Czemu dopiero dziś?

- Wczoraj miałem sprawę do załatwienia. Daleko stąd.

Westchnęłam, rozważając, czy nie przyznać się do mojej tajnej wiedzy, wyniesionej ze schowka na szczołki. Ostatecznie jednak zrezygnowałam. Wciąż brzmiał mi w uszach namiętny szept „szaleję za tobą”.

Zawsze mam pod wiatr.

- Jakże to sprawy?

Czasami najlepiej nie bawić się w delikatność.

- Musiałem komuś zwrócić dług – stwierdził enigmatycznie Feliks.

- I zapłacił pan?

- Tak. Z procentami.

Zirykował mnie. Wielkie rzeczy, przyłożyć komuś. Też bym umiała. Ale ja tak nie działałam. Moją bronią jest intelekt, nie mięśnie. I kobieca intuicja.

- I co, ten wierzyciel wylądował w szpitalu?

Feliks zerknął na mnie. W oczach miał zdumienie, jakby nigdy nie widział przystojnej kobiety w różach i fioletach.

- Owszem – wybełkotał.

- To dobrze, prawda? Jednego mniej. A teraz niech pan mi powie. Tylko szczerze. Kogo pan podejrzewa?

Niemożliwy uśmiechnął się od ucha do ucha. Następnie przyjrzał mi się uważniej, lustrując moją fryzurę, strój i nogi.

- Świetnie pani dziś wygląda. Wczoraj spotkałem miłą kobietę, ujmującą i atrakcyjną, a dziś siedzę obok prawdziwej piękności. Tam, gdzie pracuję, rzadko mam okazję na takie spotkania. Niech mi pani opowie coś o sobie.

Typowo po męsku – odwrócić uwagę od sedna sprawy przez zmianę tematu. Nawet moje serce przyspieszyło do osiemdziesięciu na minutę. Mało która pani oparłaby się pokusie mówienia o sobie. Szczególnie, że pokusa miała zupełnie konkretną postać ciemnowłosego Feliksa.

Ja się oparłam. Zresztą właśnie hamowaliśmy przed kościołem w Pustkowie.

- Sierżant już jest – szary wóz zatrzymał się za nami.

Policjant starannie zamknął drzwiczki, przyglądał włosy.

- Możecie iść ze mną – oświadczył niespodziewanie.

Drzwi z boku plebanii były otwarte. Stłoczyliśmy się w wąskim, pachnącym kurzem korytarzu, pełnym półek z książkami, wieszaków na ubrania i bliżej nieokreślonych sztychów na ścianach. Z prawej strony schody wiodły na piętro, gdzie, jak wiedziałam, mieściły się sypialnie. Podłogę wyłożono ciemnymi panelami, meble były stare i zniszczone.

Rozglądaliśmy się niepewnie, gdy zadudniły kroki i zza zakrętu schodów wyłonił się doktor Malik. Wyprostowany, w spodniach w kant i pod krawatem, prezentował się niezwykle elegancko. W ręku niósł torbę lekarską. Na nasz widok przystanął.

- Państwo do kogo? – zagadnął. – Proboszcza nie ma.

- My do starszego pana Kolendy – sierżant objął przewodnictwo grupy.

- Do księdza Kolendy – poprawił Malik. - Wie, że przyjdziecie? Nie? No to pójdę z wami – oznajmił.

Od razu obrócił się i ruszył przodem. Rożek poszedł za nim jako dzielna awangarda, Niemożliwy stanowił trzon natarcia, a ja uosabiałam ociągające się tyły. Nagle pomysł przesłuchiwania chorego, starego człowieka wydał mi się nedorzeczny. Zmartwi się tylko...

Mimo to szłam dalej. Schody pokryto zwyczajnym chodnikiem. Szeroki podest sprawiał miłe wrażenie. Doktor zapukał do pomalowanych na zielono drzwi.

- Ma ksiądz gości – powiedział, od razu wchodząc.

Wnętrze było jasne i ciepłe. Białe ściany, kolorowe fotografie, wielkie okno wychodzące na ogród plebanii. Pod oknem ustawiono niewielki stolik z szachownicą i dwa wygodne krzesła. Zwróciłam uwagę, że białe były w odwrocie. Poza tym w pokoju było starannie zasłane łóżko, biblioteczka, szafa i duży stół. Nad łóżkiem wisiał krucyfiks. Wygodny pluszowy fotel służył pewnie do oglądania telewizji.

Ksiądz podniósł się z trudem na nasz widok. Miał siwe włosy, nosił zwykłą czarną sutannę. Twarz pokryta zmarszczkami był dziwnie asymetryczna. Opadnięty kącik ust nadawał jej smutny wygląd.

- Zapomniał pan czegoś, doktorze? - zagadnął niespodziewanie miłym głosem.

- Upewniałem się, że trafią - oznajmił Malik bez mrugnięcia okiem i zajął miejsce przy stole. Zaraz wydobył jakieś papiery i zaczął udawać, że je przegląda.

Ksiądz Kolendo uśmiechnął się.

- Nieczęsto miewam gości. Siadajcie, proszę. Co was sprowadza? Zresztą wiem – ta sprawa z Milerem. Łucja mi mówiła...

Sierżant przedstawił nas wszystkim. Następnie zerknął na Malika. Doktor jednak ze skupieniem przyglądał się czemuś, co wyglądało jak wyniki badań.

- Muszę zadać księdzu kilka pytań.

- Oczywiście, oczywiście. Wybaczcie, że was niczym nie poczęstuję, ale mam problemy z poruszaniem się. Udar... Ale jest coraz lepiej – dodał zaraz. – Prawda, doktorze?

- Jest świetnie, biorąc pod uwagę rozległość wylewu – potwierdził Malik, na chwilę podnosząc głowę. - Za miesiąc będzie ksiądz biegał po lesie.

Nie wiem, jak księdzu, ale mnie zrobiło się od razu lepiej.

Rożek rozpoczął rutynowe pytania. Trzeba przyznać, że potrafi być bardzo delikatny, kiedy chce. Poprosił, żeby opowiedzieć mu o Łucji, o jej rodzinie, potem wypłynął na szerokie wody spraw parafialnych, by wreszcie ostrożnie rzucić cumy przy Oskarze Milerze.

- Ale pan ma takie samo nazwisko – zauważył ksiądz, patrząc na Niemożliwego. – Rodzina?

- Tak jest. Brat.

- Nie wiedziałem, że miał brata – powiedział powoli staruszek. – Poznałem go przypadkiem, kiedyś podczas wakacji. Potem pisał do mnie od czasu do czasu – życzenia świąteczne, kartki na imieniny. Nawet mnie to dziwiło, bo nie była to bliska znajomość. Później, w jednej z kartek, napisałem, że nazbierałem już na świetlicę. Byłem bardzo z tego dumny. U nas sporo jest zaniedbanych dzieciaków. Cała parafia oszczędzała kilka lat – sięgnął po szklankę z wodą i popił troszkę. Ręka mu mocno drżała. – Wtedy zadzwonił, czy może przyjechać. W osobistej sprawie. Myślałem, że chodzi o spowiedź, może jakieś sprawy religijne... Ale chodziło mu o pieniądze.

Ksiądz Kolendo urwał, wpatrując się w Niemożliwego.

- Przykro mi, że musi pan tego słuchać – zauważył cicho – ale pański brat mnie oszukał. Obiecał, że zwróci wszystko w ciągu trzech dni. Wymusiłem na nim ten termin. Uwierzyłem, że ratuję mu życie, pożyczając te pieniądze... opowiadał, że ma nóż na gardle... umiał przekonywać. No i byłem chciwy - obiecał, że dołoży

drugie tyle na świetlicę. Chciwy głupiec. Oto kim jestem – trzęsącymi się rękami wyciągnął chustkę i wytarł usta.

Doktor Malik wstał i podszedł do nas.

- Potem ksiądz zachorował, a teraz dochodzi do siebie. Nie powinien się denerwować – ciemne oczy doktora błysnęły stalą – a więc proponuję zakończyć już tę wizytę.

- Muszę jeszcze spytać, jakie leki ksiądz bierze – wtrącił z zakłopotaniem Rożek.

- Na to pytanie ja mogę odpowiedzieć – Malik zabrał się za pakowanie papierów do torby – o ile ksiądz chce, żebym to zrobił.

- Oczywiście, proszę.

Doktor wymienił kilka nazw. Potem ustawił się przy drzwiach w wyczekującej pozycji.

- Wpadnę wieczorem – pożegnał się z Kolendą.

Nie było innej rady, jak też się zbierać. Mężczyźni ruszyli w dół schodów.

Ale ja nie.

Zajrzałam jeszcze do pokoju.

- Może partyjkę szachów? – zaproponowałam.

- Chętnie, chętnie – ożywił się ksiądz.

Na dużym stole stał elektryczny czajnik. Znalazłam kubki i zrobiłam herbatę. Staruszek patrzył na mnie z sympatią.

- Białe czy czarne? – zagadnął.

Zagrałam białymi. Ksiądz wygrał bez problemu. Zmieniliśmy kolor, dostałam czarne, i ruszyłam na niego z rozpędem. Koń, wieża, królowa. Rozbiłam ostrą szarżą pierwszą linię wroga. Zgarnęłam gońce. Zaszachowałam białego króla.

I na tym mniej więcej skończyły się moje sukcesy. Goniąc za szachem nie spostrzegłam ponurej białej wieży przyczajonej w rogu. Straciłam damę i oba konie, a mój król znalazł się haniebnie osamotniony na zablokowanym moim własnym pionem polu.

- Tak. Mat w dwu posunięciach – ksiądz odchylił się do tyłu. – Lubi pani tę grę?

- Nie bardzo.

- Widzę. Huraganowy atak, oto, co panią charakteryzuje. Szybko, zanim przeciwnik zdąży się zorientować, co się dzieje.

Niektórzy ludzie nie mają intuicji. Wszyscy wiedzą, że trudno o bardziej łagodną i delikatną osobę niż ja.

- A Łucja gra w szachy? – spytałam.

- Moja siostrzenica? Skąd. Nigdy nie chciała się nauczyć. Zbyt niecierpliwa, jak to młodzi.

Poczułam się staro.

- Natomiast doktor – o, ten jest niezły. Rzadko można z nim wygrać, o ile nie buja w obłokach. No, ale on nieraz grywa z Robertem. Proboszcz niejedną godzinę spędził nad szachownicą.

Dobrze. Malik jest sporo ode mnie młodszy.

Ksiądz dopił swoją herbatę.

- Zrobię jeszcze - poderwałam się z miejsca.

Zaparzyłam też sobie. Wolę kawę, ale herbata ma swoje zalety. Nie jest niestety dobra na pusty żołądek. Postanowiłam poszukać na dole jakichś ciastek. Znam plebanię w Pustkowiu. Wszystkie panie z rady parafialnej czują się tam jak u siebie.

Zeszłam do kuchni. Duże, jasne pomieszczenie, z kuchenką mikrofalową, półkami zastawionymi słoiczkami (panie nie próżnują) i królującym pod oknem nowym, błyszczącym ekspresem do kawy. Siedział tam wyraźnie zadomowiony Niemożliwy z parującym kubkiem w dłoniach. Ksiądz Robert Ruczaj bawił go rozmową.

- Jak tam mój rezydent? – zagadnął na mój widok.

- Rozgromił mnie dwa razy. Teraz szukam ciastek. Ale może być też kawałek chleba – przyznałam się.

Niemożliwy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Dostałam ciastka, kawę, i ruszyłam na górę. Ksiądz odmówił słodczy.

- Muszę jeść ostrożnie, bo po udarze trochę się krztuszę – wyjaśnił. - Ale herbata jest znakomita – upił troszeczkę – miło mieć gości. Robert spędza ze mną codziennie trochę czasu, doktor też często przychodzi, ale kiedyś wokół było zawsze pełno ludzi... Człowiek chory nikomu nie jest potrzebny...

- Z tego co słyszę, tych ludzi jest nadal całkiem sporo – zauważyłam trzeźwo. – A kuzynka? Spotkałam ją niedawno. Piękna dziewczyna.

- Łucja mieszka w Warszawie. Zagląda, kiedy może. Teraz bardzo się martwi tym morderstwem. Okropna historia. Była u mnie wczoraj, przez chwilę. Przeprowadziła ze sobą swojego młodego człowieka.

- Taak? Chyba wiem, o kogo chodzi. Taki niewysoki szczupły chłopak, Adrian. Pracują razem.

- U mnie była z panem Januszem – stwierdził ksiądz. – Bardzo miły człowiek, sympatyczny. Chciał wszystko wiedzieć o mojej chorobie. Mówił, że jego ojciec też miał udar. Opisał mi objawy, bardzo podobne do moich. Ubolewał nad zachowaniem Milera.

- Pewnie. Ale wiele osób powiedziałyby, że Miler dostał, co mu się należało – rzekłam przewrotnie.

- To, co mu się należy, odbiera teraz – rzekł poważnie staruszek. – Ale nie mówmy o nim. Im bliżej... końca, tym bardziej cenne wydaje mi się życie – rozejrzał się po pokoju – Łucja nie rozumie pewnych spraw. Zawzięta z niej osoba.

Czasem obawiam się, że widzi wszystko tylko z jednej perspektywy. Potępia Milera, jakby on ponosił wyłączną odpowiedzialność za moją chorobę.

Cóż, nie jest w tym odosobniona – pomyślałam.

- Jakim człowiekiem był Miler? – spytałam głośno.

- Mnie – odparł ksiądz Kolendo – wydawał się pełen energii i planów. Ale tak naprawdę sędzę, że był człowiekiem, który przede wszystkim chciał imponować innym. Bał się ośmieszenia. Natomiast w trudnych sytuacjach wybierał ucieczkę.

- Czyli był tchórzem.

Staruszek nie zwrócił uwagi na moje słowa.

- Schował się przede mną, gdy pojechałem po pieniądze. Nic nie wskórałem... nic nie wskórałem... a potem cała parafia się dowiedziała – zapatrzył się w okno. – Stary głupiec. Musiałem opuścić parafię. Łucja bardzo to przeżyła. Od śmierci rodziców plebania była jej domem.

Opowiedział mi o swojej chorobie. Przytoczyłam znane mi przykłady podobnych dolegliwości, zakończone pełnym wyzdrowieniem. Nieco poniosła mnie wyobraźnia, ale Kolendo wydawał się poruszony.

- Doktor też tak twierdzi, martwi go tylko to drżenie. Pojawiło się po szpitalu i nie chce zniknąć. Podobno po którymś leku. No, ale nudzę panią.

Żywo zaprzeczyłam. Wcale się nie nudziłam.

- A jaki to był lek?

- Trudna nazwa - ksiądz rozłożył ręce – Moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś.

Wstrzymałam oddech.

- Może haloperydol?

- Tak. Skąd pani wie?

Ba, wcale nie wiedziałam. Trybiki w mojej głowie zazgrzytały, obracając się o kwadrans zgodnie z kierunkiem zegara. Janusz, jego wizyta tutaj, lęk przed parkinsonizmem, drżenie rąk księdza, charakter Łucji...

Nie doszłam do żadnych wniosków. Czy Łucja zabrała lek wuja, żeby otruć Wiluka? Czy Janusz połapał się, że dziewczyna miała związek ze śmiercią Milera i jej groził? A może... staruszek dodał lek do piersiówki Janusza? Bo chyba Wiluk sam nie zabrał tabletek?

Kiedy robiłam herbatę, zauważyłam, że wszystkie lekarstwa leżą obok tacy z czajnikiem. Oboje, i Łucja, i Janusz mogli zabrać stamtąd dowolną ilość medykamentów. Mnie też by się udało.

Dziesięć minut później pożegnałam księdza.

Na dole czekał Feliks.

- Coś jeszcze, czy możemy iść na obiad?

Zarumieniłam się chyba, bo popatrzył na mnie z ciekawością. Odruchowo

poprawiłam fryzurę, zerknęłam na prawo i lewo, ale ulica była pusta. Trochę szkoda. Miło by było przejść pod nosem Bogda... niektórych osób z takim facetem u boku.

- Jest tu restauracja całoroczna, ale nie polecam. Serwują odgrzewane ziemniaki. Poza tym pizzeria i bar.

- Może być pizza – stwierdził Niemożliwy.

Usiedliśmy w środku małego lokalu. Większość stolików była wolna. Właściciel przyniósł nam menu; okazało się, że mają też zestawy obiadowe. Wybrałam pizzę z krewetkami, a Feliks - typowo dla mężczyzn – ubitego wołu, czyli stek.

Wnętrze wyposażono w ciężkie drewniane stoły i ławy. Podłogę pokryto szaroniebieską, imitującą kamień terakotę, lada barowa miała odcień morza w jesienny dzień. Na suficie, podłodze i ścianach część powierzchni wyłożono imitacją granitowych kostek. Bładobłękitne ściany udekorowano licznymi kinkietami. Za barem lśniły półki z alkoholem i brzęczała lodówka. Całość, może ze względu na przygaszone kolory i brak innych klientów, podziałała na mnie kojąco.

Przyniesiono jedzenie. Pizza okazała się wyśmienita. Pomyślałam, że sporo straciłam, unikając tego lokalu. Latem panował w nim okropny ścisk i hałas. Stoliki wynoszono na zewnątrz, a ulicą obok nieustannie płynął tłum wczasowiczów. Wszędzie panoszyli się piwosze, dzieci krzyczały, dorośli bez skrępowania prowadzili głośne rozmowy. Psy wraz z właścicielami czekały na obiad, włączając pod nogi klientom, szczerkając i podskakując. Z baru naprzeciw dobiegały zapachy i muzyka ludowa.

Teraz, jesienią, można było w spokoju docenić dobrą kuchnię. Postanowiłam zaglądnąć tu częściej.

- Doktor nie był zachwycony naszą wizytą – odezwał się Niemożliwy znad kotleta.

- Nie. Natomiast stary ksiądz lubi towarzystwo. Pewnie czuje się osamotniony.

- Mimo to Malik powiedział nam parę słów sam z siebie – ciągnął Feliks – na temat leków. Sierżant zapytał go o haloperydol, i wtedy przyznał, że poprzednio ksiądz go brał.

- Powiedział, kiedy?

- W szpitalu, ponad pół roku temu. Malik odstawił mu ten środek.

- Ksiądz Kolendo wspomniał mi o tym – pochwaliłam się – podobno wywołał u niego drżenie rąk.

- To znaczy, że Łucja miała dostęp do leku.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Myśli pan, że ona otruła Wiluka?

- Tak myśli policja. Wszystko pasuje – okazja i środki.

- Ale gdzie motyw? – wytknęłam – Czemu Janusz? I kiedy miałyby zabić Oskara? Przecież wyszła razem z resztą gości i cały wieczór spędzili w „Laurze”. Wrócili koło pierwszej w nocy.

- Największy problem to czas śmierci – zauważył Feliks – policja nic nie mówi. A co do motywu, to chyba jasne, że Wiluk musiał wiedzieć coś, co obciążało mordercę. Inaczej żyłby do tej pory.

Z tym musiałam się zgodzić. Janusz był w posiadaniu ważnych informacji o śmierci Oskara. Dlaczego nie doniósł o tym policji? Może nie wiedział, jak istotne jest to, co wie? A może miał nadzieję, że wpłynie na zabójcę i ten się przyzna?

Nagle przyszła mi do głowy okropna myśl. A co, jeśli Janusz postanowił szantażować mordercę? Był w wiecznych długach, lubił hazard... ryzykował. Wtedy... wtedy robi się jasne, dlaczego odwiedził księdza Kolendo.

Tylko nie to. Głośno powiedziałam:

- A co z żoną Oskara? Ma najsilniejszy motyw. Pieniądze, no i fakt, jak ją potraktował.

- Wykluczone – Feliks stanowczo potrząsnął głową – Nie miała dostępu do leku, no i nie miała możliwości otrucia Wiluka.

- Owszem, miała – opowiedziałam o spotkaniu Lidii i Janusza przed „Neptunem” – Lola Bartnik ich widziała.

- Niemożliwe – ton Feliksa był obojętny – Lidia spędziła sama cały wieczór.

„Akurat, sama – pomyślałam ze złością – tak ci powiedziała, co?”

- Cóż, w takim razie któraś z nich mija się z prawdą – rzekłam sucho. - A co do trucizny, to wcale nie musiała pochodzić z zapasów księdza. Może Janusz nosił ją przy sobie, bo bał się objawów abstynencyjnych po alkoholu.

- To całkiem możliwe – ożywił się Feliks Miler. - Tak, mogło tak być. Kto o tym wiedział?

- Pewnie każdy – burknęłam. - Miał zwyczaj opowiadać o sobie, nie szczędząc szczegółów.

- Ale najlepiej znała go Lola Bartnik. No i Lidia – dodał jakby wbrew sobie.

- Podsumowując, każda z nich mogła to zrobić. Oraz Adrian i Łucja.

Skończyliśmy jeść. Niemożliwy zamówił deser.

Przyglądałam mu się znad porcji lodów z bitą śmietaną.

Tajemniczy facet. Ciemne, zagadkowe oczy, w tej chwili ze skupieniem wpatrzone w jakiś punkt za mną. Proste plecy, swobodna poza, ale wciąż napięty, jakby na coś czekał. Spojrzałam na jego ręce. Duże, szczupłe dłonie, bardzo długie palce, czyste paznokcie. Wyobraziłam sobie, jak te ręce łamią żebra Drena, jak gangsterowi pęka szczęka i nos, i nagle przeszedł mnie dreszcz.

Napotkałam wzrok Feliksa.

- I co? Zaliczyłem?

- Celująco, jeśli chodzi o wybór lokalu na obiad.

Niemożliwy wygiął wargi w swoim asymetrycznym uśmiechu.

- W takim razie zapłacę.

Uregulował rachunek i ruszyliśmy w kierunku auta. Słońce wywabило z domów kilku miejscowych. Ukłonił mi się stary Gryko, potem wpadliśmy na Zosię Malisz maszerującą z koszykiem ze sklepu. Obrzuciła Feliksa taksującym spojrzeniem i puściła do mnie oko.

Co za przyjemność. Wielki biały pies jak zwykle rzucił się na ogrodzenie i zaczął wściekle ujadać. W ogrodach przekwitały ostatnie róże. Pachniało dymem i morzem.

- Może pójdziemy na plażę? – zaproponował Niemożliwy.

Popatrzyłam na swoje pantofle. Pomyślałam o ściśniętym haluksie. Pomyślałam o trzech kilometrach leśnej ścieżki. Pomyślałam o kamieniach, gałęziach i piasku. Pomyślałam o wąskiej spódnicy.

- Z wielką chęcią – oświadczyłam głośno.

On chce iść ze mną na spacer. Zrzucę buty, poczuję mięciutki piach pod stopami, delikatna, lekko spieniona fala będzie lizać nasze nogi. Kto wie, co może się zdarzyć. W zwykły dzień w październiku pośród wydm nie spotkamy zbyt wielu maniaków świeżego powietrza. Będziemy sami, na pustej plaży, w pięknych okolicznościach przyrody. Zachodnia bryza rozwieje moje gęste, brązowe włosy, rzucając mu je w twarz. Samotna mewa przeleci nad nami z krzykiem, nurkując w szarej wodzie. On raptem zatrzyma się i weźmie mnie w ramiona, mrużąc coś w rodzaju: „całe życie na ciebie czekałem”, na co ja odpowiem drżącym głosem: „warto było, to tylko pół wieku”... Nie. To nie tak. Odpowiem: „mój kochany, ja też czekałam, rok po roku, aż zostałam emerytką...”

Zabrzączał telefon. Niemożliwy odebrał, pomruczał coś w rodzaju „zaraz”, „tak”, „nie teraz”, po czym spojrzał na mnie z dobrze udawanym rozczarowaniem.

- Muszę jechać. Przykro mi, ale nici ze spaceru. Dokąd panią podrzucić?

- Do domu – odparłam, zastanawiając się, kto też mógł dzwonić. Pewnie kolejna sekretarka, albo artystka.

Albo Lidia.

Przed Nowym Laskiem doszłam do wniosku, że nic mnie to nie obchodzi. Jestem kobietą świadomą siebie i nie opierającą poczucia wartości na zachowaniu innych.

Szczególnie piekielnie przystojnych facetów po czterdziestce. Mam już swoje lata, nie jestem jakąś pensjonarką. Nie będzie mi przykro, że Feliks gna na jedno gwizdnięcie tajemniczej damy, zostawiając mnie jakbym była zbędnym tobołkiem. Albo pustym kubkiem z tworzyw sztucznych. Albo opakowaniem od pizzy. Albo skromnym napiwkem w barze.

Albo nieciekawą babą w średnim wieku.

W domu czekały na mnie koty. Huncwot, jak zwykle po wycieczce na szczyt gruszy, starał się sprawiać wrażenie miłutkiego kotka z niewinną miną. Ocierał się o mnie, wytrzeszczając ślepią, mrużąc gardłowo i ogólnie sygnalizując: „jestem mały, bardzo grzeczny, mięciutki i nigdy nie wchodzę na czubek drzewa, by spadać stamtąd wrzeszcząc przeraźliwie na ludzką głowę”. Nie spuszczał ze mnie wzroku, zaczął tarzać się z czterema łapami w górze.

Czasami tylko, gdy myślał, że nie patrzę, rzucał mordercze spojrzenia na Imbryka.

Nagrodziłam oba zwierzaki świeżą wątróbką. Oczyszczałam miski. Dosypałam chrupiek dla „sterylnych” kotów, mieszając je z chrupkami dla kotów „z problemami układu moczowego”. Wykastrowane kocury muszą jeść takie właśnie żarcie, gdyż inaczej zagrożone są ich nerki. Niewielka fatyga – wystarczy wybrać odpowiednio oznakowane opakowanie w sklepie.

Następnie przebrałam się w wygodne brązowe spodnie na gumce, malinowy bawełniany podkoszulek i welurową bluzę o barwie miodu. Zrobiłam sobie miętę i usiadłam przy stole w kuchni. Postanowiłam poukładać jeszcze raz wszystkie fakty, zostawiając na razie na boku domniemania i możliwości.

Wzorem klasycznych, genialnych detektywów, wydobyłam dwie kartki i rozpoczęłam pracę. Trochę to trwało, a efekt mnie nie zadowolił. Po namyśle dopisałam na drugiej kartce przypuszczenia, domniemania, fantazje i baśnie.

Wyglądało to mniej więcej tak:

Pierwsza kartka (fakty):

- *Nieduży nie żyje.*
- *Janusz Wiluk nie żyje.*
- *Lucja specjalnie zatrudniła się u Milera, żeby się na nim zemścić za krzywdę jej wuja. Oskar ją wyróżniał.*
- *Lidia ma finansowe problemy. Ma też dwoje dzieci. Na jej tunice są ślady krwi Nieduzego. Pokłóciła się z nim.*
- *Lola rozpoczynała karierę tańcząc przy rurze z piórami w tyłku. Policji powiedziała, że była piosenkarką.*
- *Adrian jest mistrzem w rzucaniu nożami. Zna karate. Zauroczony Lolą.*
- *Niemożliwy jest podejrzany jak lichy. Mógł zabić brata i Janusza. Ma motyw.*
- *Janusz po śmierci Nieduzego praktycznie nie wytrzeźwiał.*
- *Ksiądz Kolendo miał zapas leku, którym otruto Janusza.*
- *Przystojniak był przyjacielem Oskara.*
- *Przy Przystojniaku znaleziono tunikę Lidii i narzędzie zbrodni.*

Druga kartka (domniemania):

- *Ktoś zabił Oskara. Pewnie X.*

- Janusza też zabił X.

- Łucja mogła zabrać haloperydol wuja i dodać go Januszowi do piersiówki. Mogła też wywabić Niedużego na pomost i go tam zabić. Wtedy ona byłaby Iksem.

- Lidia została sama z Niedużym w pensjonacie. Miała pod ręką nożyce do indyka. Spotkała się z Januszem wieczorem przed jego śmiercią. Wniosek – ona jest Iksem.

- Nieduży upokorzył Lolę adorując Łucję. Sugerował też, że żona wróci do niego (kompletnie zwariował). Jego oświadczenie, że wycofuje się z wyjazdu na Malediwy, oznaczało praktycznie koniec ich relacji. Ale prędko się pocieszyła.

- Adrian zrobi wszystko dla Loli. Czy pomógłby jej zabić Oskara?

- Niemożliwy mógł być w zмовie z Lidią (uuuuu!). Te jej wypadki łodzi, tajemne szepty w altanie. Na jego korzyść przemawia to, że raczej wziąłby tępy przedmiot albo sztylet. Być może tylko pomagał Lidii (uuuuu!) w zatuszowaniu zbrodni.

- Może Przystojniak chciał się otruć i podebrał księdzu leki. Wtedy oznaczałoby to, że sam zabił Oskara (X to on).

- Odnalezienie narzędzia zbrodni przy Wiluku sugeruje jego udział w zbrodni.

- Niemożliwy ma mściwy charakter. Lubi rozwiązywać problemy siłą. Jest agresywny. Pobił Drena. Równocześnie prowadzi śledztwo na własną rękę. Umawia się z sekretarkami brata. Czy jest Iksem?

Przeczytałam swoje zapiski. Zapewne Hercules Poirot wiedziałby już, kto jest mordercą.

Ja nie wiedziałam.

Wyciągnęłam z opakowania kilka pierniczków. Przeszłam się po domu bez celu, wyjrzałam na dwór. Sąsiad grabił w ogrodzie, dalej ktoś palił liście. Nad polem unosiła się smuga dymu. W zapadającym zmierzchu barwy i kształty zlewały się w jedną zamgloną całość. Drogą przejechał samochód, jego reflektory omiotły szosę, fragment furtki i płot przy wejściu. Ogołoczone drzewa wyciągały w górę gałęzie jak drapieżne szpony.

Długo stałam, patrząc na monotony pejzaż. We wsi po drugiej stronie drogi zapalały się światła. Świat tonął w mroku i melancholii. Zdawało mi się, że z ciemności wyciągają się macki czasu, by przemienić mnie w staruszkę z siwą brodą. To jest, głową.

Poczułam nagłą chęć wyjścia z domu. Cokolwiek, byleby nie dać się złapać.

Najpierw odwiedziłam łazienkę. Na półce nad wanną znajdowało się sporo kosmetyków; kremy, podkłady, szminki, nawet kredki do powiek. Liczne puzdra i słoiczki.

Użyłam wszystkich.

Lustro zaprezentowało barwną malowaną w odcieniach ludowych. Zielen

szmaragdu, czerwień koralu i czasem trochę brązu. Rzęsy pociągnęłam granatowym tuszem, uzyskując głębię spojrzenia i dwa worki pod oczami. Szminka gryzła się z podkładem, a na dodatek zapomniałam nałożyć kremu na szyję.

Zmyłam wszystko i zaczęłam od nowa. Tym razem poszło lepiej.

Dołożyłam nieco różu w celu nabycia młodzieńczej świeżości i już byłam gotowa. Po pięciu minutach, ubrana w wąskie džinsy i obszerną kurtkę, zamykałam za sobą furtkę. Stopy obulałam solidnie, w ciemne kozaczki, sznurowane i o mocnych podeszwach. Rozejrzałam się na wszystkie strony, w dzieciennym odruchu pokazałam język poruszającej się u sąsiada zasłonie, po czym wyruszyłam.

Osiem minut później zza drzew wyrzały światła pensjonatu. Z okien bił blask, drzwi wejściowe stały otworem i majaczyła w nich wysoka sylwetka.

Przyspieszyłam kroku.

Niepotrzebnie. Przy bliższym kontakcie sylwetką okazał się inspektor Biegun. Jeszcze mnie nie dostrzegł. Odwrócony plecami, gestykulował i głośno przemawiał. Po paru krokach dobiegły mnie jego słowa:

- ...wyobraźnia, Rożek, wyobraźnia. Siedzimy tu cały dzień, czas płynie, kolejne zbrodnie czekają – chyba wspominałem o włamaniach i bójkach? – a ci patolodzy nie mają sumienia. Żeby dopiero teraz określić czas zgonu. To wszystko zmienia, Rożek, wszystko zmienia.

Sierżant musiał coś odpowiedzieć, ale nie dosłyszałam.

- Nieprawda – kontynuował inspektor, w desperacji wymachując rękami – wcale nie mają dużo pracy. Mamy wtorek wieczór, denat nie żyje od soboty, czyli prawie trzy doby. Mieli MNÓSTWO czasu. Co teraz robić? Co robić?

I znów nie usłyszałam słów Rożka.

- Wiem, że chcecie jechać na kolację. Ale nie to miałem na myśli. Musimy się zdecydować – nagle urwał i dodał zupełnie innym tonem – A, pani Figiel. Witam, witam ponownie. Wcześniej, z powodu dramatycznych okoliczności, zapomniałem spytać, jak zdrowie po wczorajszym upadku? Noga nie dokucza?

Zaprzeczyłam. Na parkingu było już mniej aut. Widać technicy odjechali. Tylko w szopie nadal paliły się lampy. Widziałam długie cienie poruszających się w środku mężczyzn.

- Jeszcze badają hangar? – zdziwiłam się.

- Tak – Biegun podążył wzrokiem za moim spojrzeniem – Są nadzwyczaj dokładni. Nadzwyczaj, szczególnie gdy jestem w pobliżu. Zresztą warto było poszperać. Znaleźliśmy telefon pana Milera. Leżał sobie w tej wielkiej szafie, z półkami pełnymi leżaków i kapoków.

- Ale...

- Cóż, nie zawsze jesteśmy tak staranni – zerknął na mnie i zmrużył jedno oko. – W każdym razie mamy telefon... ktoś, zapewne morderca, bo trudno się spodziewać, by uczynił to przypadkowy, wizytujący hangar przechodzień, usunął

z niego kartę pamięci i tę drugą, związaną z pinem czy pukiem. Także mamy telefon, i zapewniam panią, że dojdziemy, jakie rozmowy były z niego przeprowadzone. W istocie, powinniśmy już niedługo to wiedzieć. A na razie jedziemy do Lęborka. Ale jeszcze dziś tu wrócimy. Mówiłem już innym - znów zmrużył oko – zatem proszę się nie oddalać.

Niespodziewanie urwał i wyszedł na zewnątrz. Po chwili z cienia wynurzył się sierżant. Mimo ciemnej kurtki i spodni był doskonale widoczny, bo światła domu rzucały poświatę na parking. Obaj ruszyli w stronę samochodów. Usłyszałam szum silnika, gdy wóz sierżanta odjeżdżał.

Weszłam do środka. W kuchni nad resztkami pizzy ramię w ramię siedziały Lidia z Łucją. Adrian niecierpliwie spoglądał na drzwi i na mój widok na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. Jego porcja była nietknięta.

- Policja pojechała – oznajmiłam, siadając. - Nie wiedzą państwo, jak długo będą nas tu trzymać? Słyszałam, jak zapowiedzieli się jeszcze na dziś wieczór.

Łucja wstała, żeby napełnić czajnik. Powoli, ostrożnie zakręciła kran i włączyła gaz.

- Tak, inspektor był bardzo stanowczy – opadła ciężko na krzesło. – To jak ze złego snu. Mam chwilami nadzieję, że się obudzę, i wszystko wróci na swoje miejsce. Szkoda, że tu przyjechałam.

- Nie było pani rano – zauważyłam.

- Od razu zabrali mnie do Lęborka. Ledwie wstałam. Zbudzili mnie, wyciągnęli z łóżka. Zamknęli w celi, a może to był pokój przesłuchań. Jedno małe, wysokie okno. Brudne ściany, metalowy stół przykręcony do podłogi. Czekałam w nieskończoność, zanim pojawili się znowu. Pytali i pytali, wciąż o to samo, aż w końcu zaczęło mi się kręcić w głowie.

- Dlaczego zatrzymali właśnie panią?

- Chodziło o mojego wuja, księdza. Jakoś doszli do jego powiązań z Milerem – dziewczyna oparła się obiema rękami o stół – Trwało to godzinami, potem dali mi jeść – czyli dwie kanapki w obślizgłej folii i herbatę. Najgorsze było to, że wciąż wracali do Janusza. Jak długo go znam? Co mnie z nim łączy? Wiedzieli, że wczoraj był ze mną u wuja na plebanii w Pustkowie. Ten policjant nie mógł zrozumieć, że Janusz po prostu był towarzyski. Nudził się, więc poszedł ze mną. Wreszcie spytałam, o co chodzi. I wtedy – głos jej zadrżał – wtedy powiedzieli, że on nie żyje! Rozumiecie? Trzymali mnie tam cały dzień, a ja nie wiedziałam, że on już nie żyje! – zasłoniła twarz dłońmi i wstrząsnęła nią szloch.

Adrian oderwał wzrok od wejścia i objął ją niezdarnie.

Siedzieliśmy parę minut w milczeniu. Lidia chłodnym wzrokiem spoglądała to na mnie, to na płaczącą dziewczynę.

Łucja powoli się uspokajała. Wyprostowała się i odetchnęła.

- W końcu mnie zwolnili. Zdaje się, że byli u wuja.

- Tak, ja też tam byłam – przyznałam się. – Rożek wszedł do niego razem ze mną.

- Wiem. Brat Oskara opowiedział mi o tym. Pytali o leki wuja. Po co ja tu przyjechałam... po co przyjechałam...

- Skoro cię puścili, to znaczy, że nic na ciebie nie mają – pocieszył ją Adrian. Nadal obejmował ramiona dziewczyny. – Inaczej już by cię oskarżyli.

Łucja nic nie odrzekła. Zapatrzyła się w ciemne okno. Szyba odbijała nasze zmartwione twarze. Lidia miała przymknięte oczy. Zauważyłam, że przebrała się w dzinsy znakomicie podkreślające figurę.

Przypomniałam sobie idealną urodę Loli i zastanowiłam się, co te dwie piękne kobiety widziały w Niedużym. Musiał mieć jakieś zalety, u licha. Albo ta sekretarka, Agata, co jadła obiad z Niemożliwym. Regularne rysy, zgrabne ruchy... Łucja też niczego sobie. Zupełnie inny typ, ale może nawet bardziej efektowny, dzięki ogromnej witalności, emanującej z każdego ruchu. Dziś, po całym dniu przesłuchań i napięciu, jakie musiała w ostatnich dniach przeżywać, przypominała bezbronne dziecko. Bardzo atrakcyjne dziecko, z tymi złotorudymi włosami i delikatnymi piegami. Długi wisior z kolorowych szkiełek kontrastował z trawiastym odcieniem bluzki. Brązowy sweter stanowił dobre tło dla ciepłego odcienia cery.

Czy Nieduży otaczał się wyłącznie ładnymi kobietami? A co z takimi jak ja? Popatrzyłam w okno. Szyba ukazała mocno zbudowaną damę z ciemnymi plamami na policzkach, we wściekle malinowej bluzce. Ostre światło żyrandola wydobyło dwie głębokie bruzdy między ustami i nosem. Na samym jego czubku jaśniała zielonkawa plama – widać pozostałość po ludowym makijażu.

Potarłam ją pod pozorem wycierania nosa. Teraz jego koniuszek zrobił się czerwony. Cóż, zawsze to bardziej naturalny odcień.

Zastukały obcasy i w drzwiach ukazała się Lola Bartnik. Mimowolnie westchnęłam. Obcisła, czarna sukienka, kończąca się sporo nad kolanami, podkreślała każdy szczegół wymodelowanego ciała. Na platynowej głowie nie drgnął ani jeden włos, gdy usiadła przy stole, niedbale rzucając torebkę na stół. Była perfekcyjnie umalowana, tylko w oczach, głęboko, czaił się niepokój

- Zrób mi kawy, kochanie – zachrypiała, a Adrian gwałtownie puścił ramię Łucji i rzucił się w kierunku ekspresu.

Lola rozejrzała się po kuchni.

- A gdzie Feliks?

Też chciałabym to wiedzieć. Prawdopodobnie na kolejnej randce z kolejną piękną. Albo w trakcie załatwiania porachunków z gangsterami. Albo w lesie, z lornetką przed oczami i zaciętym wyrazem twarzy. Albo na czubku gruszy z kotem w worku. Albo...

Trzasnęły drzwi wejściowe. Wyprostowałam się, przyjmując przyjemny

wyraz twarzy. Tego tylko brakowało, by zobaczył mnie w charakterze skrzywionej jędzy z płamą na nosie. A zresztą – rozejrzałam się wokół – to chyba i tak nie ma znaczenia. Przy tych wszystkich lśniących gwiazdach wokół mogę być co najwyżej słabą żarówką.

Do kuchni zajrzał niski, mocno zbudowany mężczyzna w kombinezonie ochronnym.

- Kończymy na dziś – oznajmił. - Inspektora nie ma?

- Pojechał do Lęborka – poinformowałam go.

- Dobrze. Do zobaczenia.

- Chwileczkę! – zawołałam za nim. – Czy można już porządkować szopę?

- Tak, skończyliśmy tam – technik ruszył w kierunku parkingu. Wyjrzałam za nim. Trzech mężczyzn, śmiejąc się i gadając, wsiadało do furgonetki. Zaterkotał silnik, błysnęły reflektory. Jeden z nich włączył głośną, dudniącą muzykę. Patrzyłam za nimi, póki znów nie zapadła cisza.

Teraz dotarły do mnie odgłosy nocy. Niedaleko pod pomostem pluskała woda. W trzcinach coś szeleściło – może wydry czy łabędzie. Kumkały żaby.

Powoli ruszyłam w kierunku szopy. Jak to możliwe, że policja przeoczyła poprzednio telefon Oskara? Przeszukiwali hangar po znalezieniu ciała, jeszcze w niedzielę. Zresztą ja też zajrzałam do szafy, krótko przed tym upadkiem. Nie zauważyłam komórki. A to, co błyszczało pod sufitem, na półce, to pewnie było narzędzie zbrodni. To także policja przeoczyła. Cóż, nie wiązali akurat hangaru ze śmiercią Nieduzego. Zginął przecież na pomoście. Badali dno jeziora, okolice łodzi, trzciny, kawałek łądu, pokoje...

Dotarłam do altany. Mimochodem zajrzałam do środka. Nikły blask padający z okien pensjonatu wydobywał z mroku zarysy wiklinowych krzeseł i stołu. Włączyłam latarkę. Na blacie stała popielniczka wypełniona niedopałkami. Większość petów miała obwódki z czerwonej szminki. Obok ktoś postawił wypełnioną do połowy butelkę piwa. Na pergoli, ograniczającej jedną stronę altany, przekwitwały jesienne róże. Druga ściana, z litego drewna, skutecznie zasłaniała mnie przed ewentualnymi ciekawskimi oczami. Tu i ówdzie powbijano w nią haczyki, na których w sezonie wieszano otwieracze do butelek, pęki ziół, czasem niewielkie ściereczki. Obejrzałam dokładnie wewnątrz, ale nie odkryłam niczego ciekawego. Przeszłam do szopy. Drzwi były szeroko otwarte. Włączyłam światło. Pod sufitem zamigotała niepewnie dwudziestowatowa żarówka.

Wokół szafy leżały porozrzucane kapoki, leżaki, jakieś ściereki. Widać policja zabrała telefon, a sprzęt nie zostawiła mnie. Mało atrakcyjne miejsce na spędzanie w nim poranka. Zresztą innej pory dnia także. Obeszłam wszystkie kąty. Wyobraziłam sobie Janusza wchodzącego do środka, półprzytomnego, bo wyrwanego ze snu o świcie... Wewnątrz nagle robi mu się niedobrze. Nie ma chwili do stracenia. Musi wydobyć narzędzie zbrodni, żeby wszyscy wiedzieli, kto

zabił Oskara. Wspina się na półkę, rzuca tunikę i nożyce na podłogę, po czym umiera.

Ale po co miałby lecieć o świcie do szopy? Jeśli znał mordercę i chciał go zdemaskować, wystarczyło napisać list albo zadzwonić na policję. To chyba zdążyłby zrobić? Nie, nie tak. Samo oskarżenie „oto morderca” to za mało. Może uważał, że odnalezienie nożyc rozwieje wszystkie wątpliwości. Może chciał powiedzieć „przyznaj się, albo ujawnię dowody i powiem, co wiem na twój temat”.

Potrząsnęłam głową. Znacznie mądrzej byłoby zadzwonić do Bieguna, powiedzieć, gdzie jest nóż i spokojnie czekać na przybycie policji. Janusz, przy całej swojej naiwności, nie był wcale głupcem.

Doszłam do wniosku, że niepotrzebnie to roztrząsam. Jak było, nie dojdę, może poza faktem, że Wiluk sam chciał znaleźć się w hangarze o świcie. Nikt go tu nie przyniósł. Czyli albo z kimś się umówił, albo... na pewno się umówił. Świt to nie jest pora na grzebanie po szafach w szopach zastawionych łodziami. Umówił się, morderca poczęstował go wódką, i Wiluk padł.

Tak być musiało.

Zatem mordercą jest kobieta.

Janusz nie ruszyłby się z łóżka dla faceta.

Co oznacza, że zabiła go Lidia. Albo Lola. Albo Łucja.

Albo facet będący z którąś z nich w zмовie. Nóż i tunikę dodano jako dodatkowe atrakcje dla policji, żeby namieszać śledczym w głowach.

Westchnęłam głośno. W tej samej chwili usłyszałam zgrzyt i drzwi szopy zaczęły się pomału zamykać.

W pierwszej chwili pomyślałam, że wrócili technicy. Zapomnieli zamknąć hangar i teraz naprawiają swój błąd. Potem uświadomiłam sobie, że jestem sama, kilkanaście metrów od pensjonatu, a wokół panuje ciemność. W następnej chwili ruszyłam jak burza do przodu, machinalnie obciągając rękawy. W dwu skokach byłam przy wejściu. Wiadomo, co należy robić w takich sytuacjach.

Otworzyłam usta do krzyku.

Ktoś mi je zatkał.

- Cichooo...! – wysyczał Niemożliwy, wyłaniając się z mroku.

- Co, u licha? – warknęłam, strącając jego łapę.

Niemożliwy zamknął drzwi. Potem zerknął w górę, na małe okno i zgasił światło.

- Musimy porozmawiać – oznajmił, jakbyśmy byli bohaterami amerykańskiej telenoweli. Przez głowę przebiegły mi nieskoordynowane obrazy z dwojgiem bohaterów na pustej, nadmorskiej plaży.

- Rozmawiajmy – zgodziłam się, pilnie patrząc mu na ręce. W końcu był jednym z Podejrzanych.

- Widziałem się z inspektorem – Feliks Miler przysiadł na jednym ze

zdezelowanych krzesel – Znaleźli telefon Oskara. Zrobili też jakieś badania, i ostatecznie ustalili czas śmierci – zawahał się i dodał – dość zaskakujący.

Wyjęłam rękę z rękawów. Póki siedział, chyba nie był groźny.

- Wzięli pod uwagę stopień strawienia pokarmów, jakieś inne współczynniki, i stwierdzili, że Oskar zginął między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą drugą. W sobotę.

- Ale o dziewiątej wieczorem ja tu jeszcze byłam! – zawołałam ze zdumieniem – właśnie wychodziłam do domu!

- To właśnie jest ciekawe. Wygląda na to, że umarł wkrótce potem. Kto widział go ostatni?

- Przystojni... pan Wiluk. Mówił, że zajrzał do niego tuż przed wyjściem do restauracji. Nawet się dziwił, bo Oskar nie chciał jechać.

- Zaskoczyło go to?

- Według mnie tak – odparłam, zastanawiając się, czy na pewno – użył takich słów... zaraz... już mam. Powiedział, że Oskar tylko coś odburknął. Ale Janusz sporo wypił jeszcze przed wyjściem z domu. Mógł coś źle zrozumieć.

- To znaczy, że... do licha, to znaczy tylko jedno! – Feliks zerwał się z krzesła – ktoś wyeliminował Wiluka, bo Oskar powiedział mu coś ważnego!

- Albo coś spostrzegł – mruknęłam, nie chcąc być gorsza. - Sama widziałam pańskiego brata, kiedy szłam do wyjścia. Kręcił się w tym fotelu na kółkach.

- Pani wyszła o dwudziestej pierwszej. Reszta kwadrans później. Oskar siedział sam w gabinecie. Miał przy sobie telefon. Ktoś mógł do niego zadzwonić. Ale kto? Wszyscy byli „U Laury” do północy.

- Oprócz byłej żony.

- Lidia mówiła mi, że zasnęła niemal natychmiast po ich wyjściu. Ledwie dotarła do łóżka. W nocy nie obudziła się ani razu. Nawet dziwiła się, że tak dobrze śpi po tylu emocjach.

No cóż, niektórzy ludzie nie widzą tego, co znajduje się dokładnie przed ich nosem. Według mnie słodka Lidia miała doskonałą sposobność, by zabić męża. Zresztą nie rozumiem, dlaczego jeszcze jej nie aresztowano. Wszystko wskazuje na nią. Została tylko ona.

I Feliks Miler.

Podniosłam się z krzesła.

- Chodźmy do pensjonatu. Zaraz wróci inspektor. Może czegoś się dowiemy. Niemożliwy otworzył mi drzwi. Obejrzałam się za siebie.

- Lepiej zamknę – wyjęłam z kieszeni klucz i przekręciłam go w zamku.

Uff. Tak lepiej. Żadnych podrzuconych trupów i telefonów.

Niemożliwy stanął obok mnie.

- Doszedł pan do jeszcze jakichś wniosków? – zagadnęłam, ruszając w kierunku domu.

- Niewielu. Jeśli mój brat zmarł pomiędzy dziewiątą piętnaście a dziesiątą – a wszystko na to wskazuje – to znaczy, że zabiłem go sam. Reszta była daleko.

- A zabił go pan? - spytałam prosto z mostu.

Feliks nie odpowiedział. Wpatrywał się w pomost, wyraźnie myśląc o czymś innym. Niemal słyszałam, jak obracają się zębate kółka w jego głowie. Zatrzymałam się.

- Zabił go pan?! – wrzasnęłam głośno.

- Nie – Miler nadal przyglądał się deskom. Teraz podniósł głowę i zerknął przed siebie. Zbliżała się do nas szczupła sylwetka. Lidia.

Wyciągnęła obie ręce do Niemożliwego.

- Gdzie byłeś? Zaraz znowu przyjadą i zaczną się przesłuchania. Nie mogę już wytrzymać – w słabym świetle padającym od tyłu wyglądała jak duch. Jej twarz ginęła w cieniu.

Przypomniało mi się powiedzenie, że człowiek może znieść bardzo wiele, ale myli się sądząc, że wytrzyma wszystko. Jak bym się czuła na jej miejscu? Powolne, nieubłagane postępy śledztwa. Kolczyk w dłoni Oskara. Krew na jej tunice. Zeznanie Loli o jej spotkaniu z Januszem pod barem „Neptun”. A teraz czas zgonu Niemożliwego, jednoznacznie wykluczający innych podejrzanych. Chyba miałabym wrażenie, że wokół, nieustannie, zacieśnia się pętla.

- Mam wrażenie, że wokół mnie zaciska się pętla – powiedziała na głos Lidia. – Nie mogę tego znieść... nie mogę... każdy gest inspektora, jego pytania, wciąż o to samo. Grzeczny jest, uprzejmy! „Jeśli pani tak twierdzi”. „Uważa pani, że spała pani całą noc i nic nie słyszała”. „Pani opis plaży z sobotniego spaceru nie zgadza się z tym, co wiem o tej okolicy”. Ciągle podkopuje moje zeznania! Boję się! Boję się, że mnie aresztuje, a wtedy, wtedy...

- Nic się nie stanie – Feliks objął Lidię i przytulił do siebie. – Nic na ciebie nie ma. Żadnych pewnych dowodów. Trzymaj się tego, co już powiedziałaś, a nic ci nie zrobi.

Lidia płakała całkiem otwarcie. Niemożliwy gładził ją po głowie.

Poczułam się zbędna. Wolno ruszyłam do pensjonatu, nie oglądając się za siebie. Niech się obejmują, całują, czy co tam chcą.

Nic mnie to nie obchodzi.

Na parkingu nie było jeszcze auta inspektora. Postanowiłam wrócić na razie do domu. Zrobiłam jeden, potem drugi krok w kierunku furtki.

Nikt mnie nie zawołał.

Mimo to zawróciłam i wśliznęłam się do środka. W końcu jest jeszcze schowek na szczotki – stosowne dla mnie miejsce. Zresztą nie warto lecieć do domu tylko po to, by za parę minut wracać.

Alicja Figiel nie jest kobietą zależną od mężczyzn.

W korytarzu było jasno i ciepło. Zajrzałam do kuchni, a potem nogi zaniosły

mnie do gabinetu. Włączyłam światło i pokój zalał blask z wysoko umieszczonego żyrandola.

Wielkie, przeszklone drzwi odbijały moją sylwetkę. Zaciągnęłam zasłony. Wnętrze wyglądało tak jak zwykle. Biurko, kręcony fotel, szafki z książkami, osobny stół i krzesła. Zagłębiłam się w fotelu, ale zaraz się obróciłam. Jakoś niemiło było siedzieć plecami do drzwi.

Wyobraziłam sobie Nieduzego, jak po dobrej kolacji siedzi przy tym biurku. Jest sobotnia noc, na zewnątrz leje deszcz i huczy wiatr. Wymarzony wieczór na wino powoli sączone przy kominku. Wokół ludzie, których sam zaprosił - zaufani koledzy, bliskie kobiety. Wszyscy przybyli na jego wezwanie.

Sam popsuł to spotkanie. Jak mógł myśleć, że inni z entuzjazmem przyjmą jego pomysł na „duchową drogę”? Pewnie wcale mu to nie przyszło do głowy. Nie wybiegał myślą naprzód. Znajomi zdumieli się, ale głośno nikt nie wyraził oburzenia. Nawet Lidia, która poszła na górę, ale potem dała się przekonać i znowu zeszła.

Wstałam i jak inspektor Biegun zaczęłam spacerować po pokoju.

Zatem Nieduży mówi, co chciał powiedzieć, i skrywa się w gabinecie. Reszta gości zajmuje się sobą. Rozmawiają, piją, śmieją się, potem wyruszają na imprezę do „Laury”.

Czy są załamani? Raczej nie. Łucja prowadzi samochód, Adrian nic nie mówi, Janusz już jest lekko wstawiony, Lola świetnie się bawi... Tylko Lidia chodzi tu i tam, wraca po sweter dla mnie, ciągle jest w ruchu. Potem idzie do łóżka.

W tym czasie Niemożliwy siedzi sam w gabinecie. Nie zagląda do kuchni, nie pyta gości, dokąd jadą, nie interesuje się ich poczynaniami. Odjeżdżają. Jest piętnaście po dziewiątej wieczorem. I co dalej? Czy dzwoni telefon Oskara? Chyba tak. Inaczej by nie zniknął po jego śmierci.

To znaczy, że dzwonił morderca.

Zgasiłam światło.

Zatrzymałam się przy balkonowych drzwiach. Na zewnątrz jezioro w blasku księżycy wyglądało jak wielki srebrny dywan. Las był czarną wycinanką, a pomost szarym traktem prowadzącym do wody. Stały na nim dwie przytulone osoby. Facet pochylił głowę do wzniesionej ku niemu twarzy.

Odwrociłam się z niesmakiem.

Podobno ból wieńcowy dotyczy klatki piersiowej w środku, za mostkiem. Inne, te z lewej, to dolegliwości nerwicowe. Zatem nic mi nie grozi. Tak twierdzi Malik.

Mam gdzieś te medyczne wywody. Najchętniej wypadłabym z domu i jak kobieta pierwotna poszarpała im te głupie gęby.

Ale Alicja Figiel nie uzależnia swojego samopoczucia od zachowania

facetów.

Po dłuższej chwili skierowałam myśl na poprzednie tory.

Jest sobota, Oskar wybiega przez balkon na pomost. Leje deszcz. Pędzi na skraj desek, aż do miejsca, gdzie przycumowano łodzie.

Tam czeka już Lidia z nożycami do drobiu...

Cóż, ja na jej miejscu użyłabym czegoś innego. Może mauretańskiego sztyletu albo doskonałego noża do mięsa. Leży w kuchni, zawsze jest ostry, i co za stal! W książkach mordercy zawsze mają pod ręką nóż do papieru. Zapewne wtedy nie było jeszcze komputerów i korespondencja wymagała wysiłku przy otwieraniu.

Tak czy tak do bani te nożyce.

No dobrze. Lidia zabija Oskara. Popycha go, Nieduży ląduje w łodzi. Ulewa zaciera wszelkie ślady. Tylko tunika Lidii przemaka na wylot, a na dokładkę pryska na nią nieco krwi.

Co robi Lidia? Odczepia łódź i popycha ją na jezioro, w nadziei, że fale zniosą ją dalej od pomostu. Potem bierze narzędzie zbrodni i gdzieś je chowa, razem z zakrwawioną tuniką.

Ale coś idzie nie tak. Może Janusz nie może spać i zagląda do gabinetu. Albo do szopy. Widzi ją, jak ukrywa dowody. Zastanawia się. Początkowo nie kojarzy tego, co zobaczył, ze śmiercią przyjaciela. Ale później, może przy okazji szukania wędek, trafia na nożyce i ubranie. Od razu je rozpoznaje. Dzwoni do Lidii. Ona umawia się z nim przed barem i częstuje go zatrutą wódką.

Janusz wypija ją i robi mu się słabo.

Nieprawda. Wracalam z nimi wszystkimi i Wiluk wcale nie był słaby. Tylko pijany. Ale nie na tyle, żeby stracił nad sobą kontrolę. Przeciwnie, nawet nie chwiał się na nogach. No i podobno Lidia ostatniej nocy nie wychodziła z domu. Tak swoją drogą, ciekawe, u kogo nocowała. Bo jeśli u kogoś takiego jak Wiesia Bogdanek, to pewnie faktycznie nie wyszła. Kto w takim razie otruł Janusza?

A może – ożywiłam się – Lidia dała mu coś, co działa spowalniająco na truciznę? Wymagałoby to sporej wiedzy na ten temat. Wiedzy o lekach. Szkoda, że nie mam dostępu do policyjnych informacji. Biegun opowiada o wszystkim, ale pomija istotne szczegóły.

Zaraz znów przyjedzie, zadowolony z siebie, i zacznie się kręcić, jakby oblaży go mrówki, niczym Tadeusza i Telimenę pod lasem w Soplicowie. Sierżanta pośle po kawę, a sam rozpocznie kolejne zmundne przesłuchanie.

Czułam niepokój. Nic nadzwyczajnego. Nieraz potrafię wyczuć atmosferę panującą w pokoju, zanim do niego wejdę. Na przykład u Malika w gabinecie –cierpliwego oczekiwania. Nie wiedziałam, czy pochodzi ona od doktora, czy od pacjentów. Pamiętam, jak któregoś razu rejestratorka wyszła i pacjenci nagminnie zaglądali do gabinetu w trakcie porad. Malik mnie badał, i właśnie relacjonowałam niepokojące mnie symptomy, a tu wchodzi facet w kurtce i pyta – „Można się

zarejestrować?”.

Doktor zerknął na niego i powiada: „Można. Proszę poczekać na koniec wizyty albo później zadzwonić.” Facet obrzucił wszystko spojrzeniem i wyszedł, trzaskając drzwiami. Po chwili – może po czterech sekundach – zaczął dzwonić telefon na biurku. Malik przeczekał, ale telefon nie milkł. Wreszcie odebrał. Usłyszałam głos faceta w kurtce: „Chcę się zarejestrować. Na którą dzisiaj?”. „Prosiłem, żeby nie przeszkadzać w trakcie przyjmowania pacjenta” – rzekł doktor. „Nie wiem, co tam się robi u pana. Skąd mam wiedzieć, czy pan gada, czy przyjmuje”. Doktor leciutko zmrużył oczy, ale nic więcej. W końcu odparł: „Niech pan obserwuje drzwi” i odłożył słuchawkę. Telefon od razu znów zaczął dzwonić, ale Malik spokojnie wyjął go z kontaktu. Skończyliśmy badanie, wypisał mi dwa skierowania i mogłam iść. W korytarzu minęłam faceta w kurtce, wyrzekającego na chamstwo lekarzy...

Zatem atmosfera cierpliwości musiała dotyczyć samego Malika.

Teraz jednak czułam strach. Napłynął nie wiadomo skąd, wypełnił gabinet, opanował moje myśli i wszystkie niższe struktury mózgu. Kiedyś na lekcjach biologii nauczycielka pokazała nam schematy budowy mózgowia kręgowców – od ryb po ssaki. Te pierwsze przypominały z daleka dwie zapalki niepewnie osadzone na kulce sera, a kolejne powiększały się najbardziej w górnej części, by u człowieka osiągnąć wielkość dyni podzielonej na cztery części. Rozwinięte płaty czołowe, gigantyczne ciemieniowe, skroniowe i potyliczne. Dominacja kory nad resztą mózgu. Pani od biologii wytłumaczyła nam wtedy, że najniżej lokalizują się najbardziej pierwotne instynkty, umożliwiające przeżycie i omijanie zagrożenia, wyżej uczucia, na przykład złość, a na samym szczycie wszystko, co najlepsze – czyli myślenie, abstrahowanie, nauka języków i tym podobne. Być może przez lata, jakie minęły od mojej edukacji, wiele się zmieniło w zakresie ludzkiej wiedzy. Być może nauczycielka myliła się w ogóle. Teraz jednak czułam instynktowny lęk, niebezpiecznie bliski paniki. Musiała za niego odpowiadać dolna część układu nerwowego. Nie bacząc na logikę i intelektualne funkcje kory, sygnalizującej, że jestem w domu pełnym ludzi, zatem nic mi się stać nie może, pień mózgu uruchomił system hormonów, adrenalina wystrzeliła z nadnerczy do krwi i włosy uniosły mi się na głowie.

To znaczy, uniosłyby się, gdyby nie lakier. Znów włączyłam światło. Gabinet, z wygodnym fotelem, kanapą i stołem, prezentował się tak samo jak wcześniej. Nagle przypomniałam sobie, że silne emocje mogą na zawsze zmienić jakieś miejsce. Jakby wsiąkały w ziemię, przenikały ściany i meble. „Ciekawe, czy i dywany” – zainteresowałam się nagle. Zmierzyłam wzrokiem wszystkie kąty, po czym początkowo powoli, a potem już całkiem szybko, wybiegłam na korytarz, zderzając się z sierżantem Rożkiem.

Waldemar zachwiał się, zakołysał, ale nie upadł. Cofnął się tylko o krok,

wydając dziwny, stłumiony odgłos – ni to jęk, ni szloch.

- Przepraszam pana – powiedziałam grzecznie.

Sierżant odzyskał głos dopiero po sześciu sekundach.

- Nic się nie stało – zachrypiał dziwnym głosem.

Następnie ominął mnie i wszedł do gabinetu, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

W kuchni paliła się lampa na bocznym blacie, wydobywając z mroku twarze Lidii i Łucji. Feliks stał obok tej pierwszej, popatrując w kierunku wejścia.

Natomiast na krześle w pobliżu ekspresu królował inspektor Biegun. Musiał odwiedzić nie tylko komendę, ale i mieszkanie, bo miał na sobie świeżą kremową koszulę i nowy krawat. Garnituru nie zmienił. Zmartwionym wzrokiem przyglądał się zgromadzonym gościom.

- Muszę, niestety, jeszcze trochę tu pobyc. Sporo już wiemy, całkiem sporo. Naszym patologom udało się określić w miarę dokładny czas zgonu pana Milera, a także... - urwał na widok Loli wkraczającej do kuchni. Tuż za nią Adrian przytrzymał drzwi.

- Dobrze, że wszyscy państwo jesteście – podjął Biegun. - Proszę siadać – wykonał szeroki zapraszający gest – Są jeszcze miejsca.

Począł, aż Lola usadowi się naprzeciw Feliksa. Ja przycupnęłam z boku, starając się wyglądać niepozornie. Następnie przystąpił do rzeczy:

- Mamy dokładny czas śmierci pana Milera. Umarł między ósmą trzydzieści a dziesiątą wieczór w sobotę. Wyklucza to większość z państwa. Ale nie wszystkich, niestety, niestety.

- Na jakiej podstawie określono ten czas? - zainteresował się Niemożliwy.

- Wzięto pod uwagę stężenie, plamy opadowe oraz badania specjalistyczne, temperaturę, a także stopień strawienia pokarmów. Powinienem powiedzieć, że denat musiał zginąć pomiędzy dziewiątą piętnaście, kiedy to ostatni widział go Janusz Wiluk, a dziesiątą. Nieżyjący już pan Wiluk zeznał, że rozmawiał z Milerem tuż przed wyjściem. Pani Bartnik, pani Lewko, pan Nartowicz wychodzili właśnie na parking – inspektor zamachał rękami – czyli pozostaje czterdzieści pięć minut na zabójstwo. W tym czasie ktoś wywabił denata na pomost, zabił go z zimną krwią, ukrył narzędzie zbrodni, po czym spokojnie poszedł spać.

Inspektor rozejrzał się po gościach. Zdawało mi się, że na moment dłużej zatrzymał wzrok na Feliksie.

- W dłoni denata znaleziono kolczyk byłej żony. Do zabicia Milera użyto nożyc do drobiu, które wcześniej tego wieczoru służyły do krojenia pieczystego. Były na nim odciski palców wielu osób. Morderca nie starł ich – są zamazane, ale czytelne. Natomiast szare smugi wskazują na miejsca, gdzie morderca przyłożył własne dłonie. Owinął czymś uchwyt nożyc.

- To chyba jasne, że ona go zabiła – Lola założyła nogę na nogę, demonstrując siatkowe pończochy – była z nim sama parę godzin.

- Tak, to rzuca się w oczy - inspektor pokiwał energicznie głową. - Tak jest. Kolczyk, tunika ze śladami krwi, obok nożyce, doskonała okazja, gdy państwo wyszliście z pensjonatu... aż za dużo tego wszystkiego.

- No i miała okazję otruć Janusza – dorzuciła wzgardliwie Lola – sama widziałam.

Aż podskoczyłam, gdy Lidia zerwała się z miejsca.

- Co widziałaś, ty zmijo? Co takiego? Nie mogłaś nic zobaczyć... bo nie było nic do zobaczenia!

- Doprawdy? A wieczór w Pustkowie, przed barem? Szeptaliście jak spiskowcy.

- Nie wiem, o czym mówisz. Może masz przywidzenia. Sama nie mogłaś znieść, że Janusz się tobą znudził! Myślisz, że przypadkiem przedstawił cię Oskarowi? Chciał się ciebie pozbyć!

- Masz bujną wyobraźnię – Lola wyciągnęła papierosy – Ma ktoś ogień?

Niemożliwy miał. Wydobył z kieszeni zapalki. Lola zaciągnęła się, patrząc w sufit.

- Lepiej posłuchaj inspektora. To mądry człowiek. Pewnie zaraz nam powie, kto zabił Oskara.

Biegun podniósł się z krzesła. Lidia usiadła. Niemożliwy patrzył na inspektora wzrokiem bez wyrazu, jakby myślami był daleko stąd. Adrian wygrzebał z szafki talerzyk i podstawił pod papierosa Loli. Nawet w takiej chwili zajęty był usługiwaniem swojej ukochanej. Tylko Łucja wydawała się być zainteresowana. Oczy jej błyszczały, gdy pochyliła się w stronę policjanta. Mimo stresów ostatnich godzin wyglądała świeżo, a włosy miały zdrowy wygląd. Ech, młodość. Na pewno nie używa lakieru do utrwalania fryzury.

- Cóż, niemal pewne jest, że morderca zabrał telefon komórkowy denata. Znaleźliśmy go dzisiaj, w szafie w hangarze. Wcześniej nie było go tam z całą pewnością.

- No i co? – nie wytrzymałam – ustaliście połączenia?

- Tak jest. Nie każdy wie, że każdy telefon ma swój własny, wyjątkowy, numer identyfikacyjny. Można na jego podstawie odtworzyć niektóre dane, oczywiście z pomocą operatora. W ten sposób kilka lat temu odnaleziono komórkę zamordowanego mężczyzny. Używał jej zabójca. Dziwne, że się jej nie pozbył, ale była nowoczesna, bardzo droga, i zwyciężyła chciwość. Myślał, że zniszczenie karty sim wystarczy. Dzięki numerowi identyfikacyjnemu odnaleziono go. W śledztwie przyznał się do morderstwa i wskazał miejsce, gdzie ukrył ciało. Tak, tak. W każdym razie nam też się powiodło – Biegun rozpoczął marsz wzdłuż ściany kuchni – I powiem państwu ciekawą rzecz – zawiesił głos - w sobotę po

godzinie osiemnastej Miler nie dostał żadnej wiadomości ani nikt nie dzwonił do niego – inspektor zatrzymał się przed ekspresem do kawy – Co czyni zupełnie niezrozumiałym ukrycie telefonu i zniszczenie jego karty pamięci oraz sim.

- Pewnie chodziło o jeszcze większy chaos wokół śmierci Oskara –mruknął Feliks. – Specjalna dezorientacja.

- A może Oskar miał go przy sobie i niechcący wypadł mu z kieszeni, gdy został pchnięty nożem? Wówczas morderca odruchowo go zgarnął razem z narzędziem zbrodni – zasugerowała Łucja.

Inteligentna dziewczyna.

- Możliwe, że oboje państwo macie rację – zgodził się Biegun. – Albo jej nie macie - dodał po chwili, marszcząc czoło. – To tyle, jeśli chodzi o telefon. Teraz przejdźmy do dalszych spraw. Wróćmy do sobotniej nocy. Chciałbym, żeby państwo odtworzyli swoje czynności po godzinie dwudziestej. Sierzancie!

Zatupały buty i do kuchni zajrzał Rożek.

- Wzywał mnie pan, szefie?

- Odczytajcie przebieg wieczoru morderstwa.

Sierżant wydobyl notes i przewertował kartki.

- Kolacja o dwudziestej. Wszyscy w jadalni. Na zewnątrz ulewa i wiatr. Pani Figiel przynosi nożyce do drobiu. Pan Nartowicz kroi indyka, potem podano deser. Miler informuje o swoich planach na przyszłość. Dwudziesta dwadzieścia – pani Miler idzie na górę po oświadczeniu denata na temat „nowej drogi”. Dwudziesta trzydzieści pięć – za namową pani Figiel wraca. W międzyczasie Miler idzie do gabinetu. Według świadków nie jest ani zdenerwowany, ani poruszony. Reszta zostaje w jadalni. Janusz Wiluk pali w kominku, pije wino, pani Bartnik zajmuje fotel przy ogniu. Wszyscy zaglądają do kuchni, nosząc napoje i naczynia. Zastanawiają się, czy nie pojechać do lokalu na tańce. Kręcą się po pensjonacie, piją kawę, jedzą ciasto, wyglądają na zewnątrz. Wiatr i deszcz się wzmagają. Mimo ulewy, Wiluk wychodzi na parking w poszukiwaniu piersiówki. Pomaga mu pani Alicja. Wracają, pani Miler idzie na górę po suche ubrania dla pani Alicji. W tym czasie Łucja Lewko i Lola Bartnik piją kawę w kuchni, jest tam też pan Nartowicz. O dziewiątej Alicja Figiel idzie do drzwi wejściowych, mijając panią Bartnik opuszczającą pokój denata. Widzi Milera na fotelu przed biurkiem. Następnie, kwadrans później, Wiluk zagląda do niego, informując go w imieniu gości, że wybierają się na tańce. Denat pozostaje w gabinecie – sierżant zawiesił głos, ale nie dodał nic więcej.

Zamknął notes i stanął wyprostowany przy drzwiach.

- Jak wynika z zeznań, ostatnim człowiekiem, który widział Oskara Milera żywego, był Janusz Wiluk – podjął Biegun. W czasie relacji Waldemara wydobyl z szafki pojemniczki na przyprawy i zbudował z nich wieżę. Adrian wpatrywał się w chwiejną konstrukcję, jakby myślał, że za chwilę się zawali, obsypując go

pieprzem, solą i wonnym proszkiem z majeranku. – Czy było dokładnie tak, jak przeczytał sierżant?

- Mniej więcej – odezwała się Łucja. Ona jedna nie robiła wrażenia zaniepokojonej. - Wróciliśmy dobrze po północy.

- A jaka była pogoda w czasie powrotu? – zagadnął niespodziewanie inspektor. Patrzył wprost na Adriana. – Czy wciąż padało?

- Nnie wiem... to znaczy tak, padało – przypomniał sobie chłopak. Wszyscy przemokliśmy biegnąc z parkingu do drzwi.

- Było okropnie – zgodziła się Lola – moja fryzura! Musiałam znów suszyć głowę!

- A pan Wiluk? Też przemókł?

- On może najbardziej – odezwała się Łucja – uparł się, żeby nieść nade mną parasol. O ile sobie przypominam, cały ociekał wodą.

- Doskonale – inspektor zamyślił się. Następnie porzucił temat pogody. – Często bywa tak, że osoba, która ostatnia widziała zmarłego, jest też mordercą.

Zapadła cisza. Zegar na ścianie tykał głośno, odmierzając kolejne uderzenia mojego serca. Inspektor powoli dostawił do wieży słoiczek z bazylią. Pokręcił z niezadowoleniem głową i poprawił cukiernicę. Sierżant patrzył obojętnym wzrokiem w dal. Dał wypadła mu na oknie, w którym odbijało się jasne wnętrze kuchni i nasze zdziwione twarze.

Wreszcie odezwał się Feliks:

- Sugeruje pan, że Wiluk zabił mojego brata.

- Bzdura! – wykrzyknęłam. Nie mogłam już wytrzymać. – Janusz nigdy by nikogo nie zabił! Denerwowały go polowania, nawet złowione ryby wypuszczał do jeziora! Był życzliwy!

- Na pewno robił dobre wrażenie na kobietach – mruknął inspektor. Chętnie bym mu dowaliła. Janusz mordercą! Co za pomysł!

- Ale wszystko wskazuje na niego – kontynuował Biegun z widocznym zadowoleniem. – Mógł zabić Oskara Milera wychodząc z pensjonatu. Wiluk był wysokim, silnym mężczyzną. Oskar nie podjąłby walki. Nie spodziewał się ataku ze strony przyjaciela. Jeden szybki ruch i byłoby po wszystkim. Załóżmy, że tak było. Co najbardziej niepokoiłoby Wiluka?

Patrzyłam na Bieguna jak sroka w gnat. Inspektor odpowiedział mi dziwnym, wieloznacznym spojrzeniem.

- Na jego miejscu martwiłbym się, że ktoś zajrzy do gabinetu i znajdzie trupa – oświadczył Adrian Nartowicz.

Wszyscy spojrzeli na Lidię. Kobieta nie podniosła głowy, wyciągnęła tylko rękę do Niemożliwego. Ten uściśnął ją i cofnął dłoń.

- Zatem należy wyeliminować to zagrożenie. Jak? Najprościej. Trzeba rzucić podejrzenie na tę właśnie osobę. Na Lidię Miler. Nieważne, czy widziała

nieżywego męża, nieważne, czy potem dostrzegła, jak Wiluk wynosi ciało na pomost. Ważne, że w dłoni denata znajduje się jej kolczyk. A na jej ubraniu są ślady jego krwi. Nie ma dla niej wyjścia. Winna jak... - Biegun zastanowił się przez chwilę – jak grzech śmiertelny - dokończył bez przekonania. Zatem Wiluk idzie się bawić, potem wraca i znów czeka, aż wszyscy zasną. Cały czas jest świadomy, że inni widzieli go wychodzącego o dwudziestej pierwszej piętnaście z pokoju Oskara. Będzie pierwszym podejrzanym, jeśli nic nie zrobi. Zatem zakrada się do gabinetu. Wynosi ciało na pomost i umieszcza je w łodzi. Zaciska palce denata na znalezionym wcześniej kolczyku. Tak, pani Lidia zgubiła go na pomoście, gdy razem z Wilukiem zostali na wyspie. Janusz cały czas miał go w kieszeni. Teraz zakrada się do pokoju Lidii i zabiera jej tunikę. Ma szczęście, że kobieta się nie budzi – Biegun nieznacznie przestawił sól i pieprz. Cała konstrukcja się zachwiała. – A może to wcale nie szczęście? W kieszeni nosi haloperydol. Może nie tylko? Może ma tam też środki nasenne? W kuchni jest spory ruch. Może dodać pigułkę do kawy Lidii, choćby wtedy, gdy kobieta biegła na górę po sweter dla pani Figiel.

Lidia podniosła głowę. Utkwiła spojrzenie w inspektorze.

- Spałam jak zabita – powiedziała – Myślałam, że to z powodu zmiany powietrza, innego klimatu.

- Tak, spała pani aż do rana. Tymczasem waliły pioruny i szalał wiatr – Biegun zrobił pauzę. Wszyscy słuchali. - Nikt nie zajrzał do gabinetu po powrocie z zabawy. Wstaje nowy dzień i Wiluk zaczyna się bać. Puszczają mu nerwy. Pije coraz więcej, by zagłuszyć strach. Czy ktoś go widział? A jeśli tak, to czy zgłosi to policji? Jest coraz bardziej przerażony. Nigdy nie miał stalowych nerwów. Zasięgnął języka w jego byłym klubie sportowym, gdzie grał przed kontuzją. Przed każdym ważnym meczem musiał pić ziółka uspokajające. Potem, już jako bywalec kasyna, nie radził sobie z grą w pokera, bo nie potrafił zachować spokoju – Biegun rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy nam uda się zachować pokerowe twarze. Nie udało się. Większość osób w kuchni, łącznie z sierżantem, miała wytrzeszczone oczy i nieznacznie otwarte usta - Powoli traci głowę. Alkohol, ciągle napięcie, strach, przesłuchania – wszystko to przerasta Wiluka. Trzeba pamiętać, że jest uzależniony, że właśnie przełamał barierę w miarę uczciwego życia, zabił człowieka... swojego przyjaciela. Postąpił o krok w stronę otchłani. Zaczął pić, choć już długo był trzeźwy – inspektor odchylił się do tyłu, splatając ręce na karku. – Zatem czuje się zagrożony, na krawędzi, jakby zaraz miało wydarzyć się coś strasznego. Strach narasta z każdym przesłuchaniem, każdym wspomnieniem sobotnich wydarzeń. Podejmuje wreszcie decyzję. Życie, takie jak w tej chwili, jest męką. Sięga po leki i zapija alkoholem. Raptem uświadamia sobie, że ukrył narzędzie zbrodni. Rusza, by je zniszczyć, ale jest za późno. Traci przytomność i umiera.

Inspektor wydobył chustkę i otarł twarz.

Zapadła cisza. Sierżant przy drzwiach stał nieruchomo, wciąż ściskając w dłoniach notes. Lidia wsparła głowę na rękach i zamknęła oczy. Feliks wyglądał na poruszonego. Łucja, Lola i Adrian zaczęli raptem mówić jednocześnie.

- Coś podobnego, a ja myślałam...
- Nigdy go nie podejrzewałem...
- Wódka musiała go zupełnie zniszczyć...

Twarze wyrażały zdumienie, przerażenie, niedowierzanie... i dobrze skrywaną ulgę. Mówili i mówili, wymieniając zachowania Janusza, kiedyś zwyczajne, a teraz podejrzane.

- Nie popłynął z nami szukać Oskara...
 - Specjalnie wyszedł do auta po piersiówkę... może chciał mieć przemoczone ubranie...
 - Uparł się, żeby pójść ze mną do wuja... może liczył na to, że uda się mnie obciążyć... mógł ukraść leki...
 - Mówił, że ma kłopoty finansowe... zawiódł się na Oskarze...
 - Hazardziści. Raz się wygrywa, raz przegrywa... rosyjska ruletka...
- Zrozumiał, że przegrał, i wybrał honorowe rozwiązanie...

Zebrałam się w sobie. „Myśl!”- wrzeszczała mi w ucho dusza. „Szybko!”

Złapałam spojrzenie inspektora. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Ostrożnie dostawiał kolejne elementy do swojej konstrukcji – dziwacznie powyginanej i niesymetrycznej. Wykorzystał już większość słoików na przyprawy i teraz pieczołowicie tworzył coś w rodzaju wieży z plastikowych pojemniczków.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zerwałam się i walnęłam w jego budowlę. Wszystko się rozsypało. Potoczyły się kubki z tworzyw sztucznych, zabrzęczało szkło, część przypraw wylądowała na podłodze. Obecni w kuchni zamilkli, patrząc na mnie z przestraczeniem. Jeszcze nie wiedzieli, że naprawdę potrafię być niebezpieczna. Szybka, złowroga i inteligentna. Gotowa na wszystko. Przeróżająca, skuteczna w działaniu i śmiertelnie groźna.

Zwłaszcza w stosunku do paskudnych budowli z przypraw.

- Nerwy to straszna rzecz – odezwał się spod drzwi Rożek, wcale niepytany.
- Cicho! – wrzasnęłam na niego. – Stać i nie gadać!

Sierżant zamknął usta. Wstałam z krzesła.

- Czy to, co pan powiedział – zwróciłam się do inspektora – to oficjalne stanowisko policji?

- Cóż, na tę chwilę tak. Wydaje się zadowolac wszystkich, prawda?
-spoglądał na mnie z pewną obawą - Musiało tak być. Wiluk ostatni widział Milera żywego. Czas zgonu się zgadza. Rzeczy Wiluka były kompletnie przemoczone, gdy badano je w niedzielę. Buty także. W kieszeni miał tabletki, które zginęły księdzu Kolendzie.

- Czy to znaczy, że zamykacie śledztwo?

- To byłoby przedwczesne... przedwczesne. Ale najprawdopodobniej do jutra wieczorem uda się nam skończyć. Pisanie raportów jest niezwykle pracochłonne. Kiedyś spędziłem sześć dni, wyłącznie pisząc raporty. Nic, tylko litera za literą, fakt za faktem, a na końcu same umorzenia. Bardzo frustrujące. To był jeden z najnudniejszych tygodni w mojej pracy. Oczywiście, nie byłem wówczas inspektorem. Zaczynałem dopiero pracę, a na najmłodszych stażem zwykle spycha się niechciane obowiązki, prawda, Rożek?

- Tak jest, szefie.

- Co oznacza, że wy napiszecie raport, a ja go sprawdzę. Ale o czym to mówiliśmy... Aha, o zakończeniu śledztwa. Nie da się go zakończyć przed sekcją drugiej ofiary... to jest drugiego denata. Są jeszcze pewne wątpliwości, niewielkie, ale istotne. Mam jednak nadzieję, że wszystko wyjaśnimy już wkrótce. Właściwie przyjechaliśmy tu dziś, żeby państwu o tym powiedzieć i zapytać, czy może pan Wiluk nie zostawił listu. Nie znaleziono go. Zwykle samobójcy mają potrzebę wyjaśnienia świata swego działania, a w tym przypadku aż się o to prosi.

- Nie było listu? – zdziwiła się Łucja – Może był zbyt pijany...?

- Może – inspektor rozczochrał sobie fryzurę, upodabniając ją do gniazda. - Wielka szkoda. List by nam sporo wyjaśnił. Właściwie moglibyśmy już państwa zwolnić. No, ale może jeszcze się znajdzie. Jak spostrzegłem, samobójcy czasem publikują swoje wyznania, wysyłając do gazet. To zależy od osobowości.

- Nie sądzę, by Janusz miał ochotę na opis swojego stanu – odezwała się Lidia – Jeśli żył w takim piekle wyrzutów sumienia i strachu, jak pan to opisał, raczej wolałby wziąć leki i zasnąć.

- Tak pani myśli? Bardzo interesujące – Biegun zakołysał się na krześle, które zaprotestowało głośnym skrzypieniem. - Musieli państwo świetnie się znać. Cóż, nasi psychologowie rozważą różne możliwości.

- Dlaczego pan nam to mówi? – Adrian miał niepewną minę – Myśli pan, że ktoś z nas ukrył ten list?

- Skądże. Nic podobnego nawet nie przyszło mi do głowy. W państwa interesie byłoby go ujawnić, i nikt z was by z tym nie zwlekał. Po prostu wszystko pasuje... oprócz listu. Powinien być. Oczywiście, jak sugerowała pani Lewko, mógł być zbyt pijany, albo, według pani Miler, zbyt nieszczęśliwy, by pisać. Wtedy zostaną domniemania. A pan co o tym myśli?

- Ja? Jestem zaskoczony – mruknął Adrian.

- Co pana dziwi?

- Sam nie wiem. To wszystko jest takie nierealne. Czemu Wiluk miałby zabić Oskara?

- Tego – inspektor potarł nos – dowiemy się, gdy znajdziemy list. Albo dowiemy się za parę tygodni, gdy sprawdzimy dokładnie finanse i całą przeszłość obu ofiar. Może Oskar Miler szantażował Wiluka. Albo odwrotnie. Wzbogacony

milionem Miler musiał mieć dosyć rosnących żądań Janusza. Odmówił mu dalszego wsparcia, a ten chwycił za nóż... może zresztą pokłócili się jeszcze o coś... pani Bartnik, na przykład, wciąż dzieliła swoje względy pomiędzy tych dwóch panów. Pan Wiluk nadal ją adorował. Zazdrość to częsty motyw zbrodni.

Skrzywiłam się. Janusz jako szantażysta? Nigdy w to nie uwierzę. Już prędzej jako zakochany... faktycznie ciągle zajmował się Lolą. Woził ją do fryzjera, na zakupy, nosił na rękach...

Policjanci zaczęli się zbierać. Biegun poukładał wszystkie przyprawy, pojemniczki ustawił ładnie na półce. Wyszli wreszcie, z informacją, że nazajutrz wrócą skoro świt, by zakończyć podpisywanie zeznań.

Nadal byłam zdenerwowana. Inni zresztą też. Lola zapalała papierosa, zaciągała się dwa razy, po czym gasiła go niedbałym ruchem i sięgała po następny. Zwykle blada Lidia płonęła rumieńcem, podobnie zresztą jak Łucja. Nawet Niemożliwy nie siedział spokojnie, tylko nieustannie obracał głowę na prawo i lewo, jakby i jego wszystko to wytrąciło z równowagi. Tylko Adrian się odprężył.

- Ktoś chce kawę? Herbatę? – spytał, ruszając do ekspresu. Niemal pogwizdywał. Cóż, przynajmniej jedna osoba była zadowolona. Uśmiechnięty, pogodny chłopak. Nagle uświadomiłam sobie, że od śmierci Oskara się nie uśmiechał. Ulżyło mu...

- Ciekawe, czy naprawdę zostawił list – odezwała się Łucja. - Dla mnie tylko gorąca woda. Już późno – dodała w stronę chłopaka.

Adrian podał wszystkim szklanki i wyciągnął torebki z herbatą. Lidia wybrała melisę, a Lola zwykłą czarną. Feliks pił zieloną, ja zaś poprzestałam na mięcie. Dobra na trawienie. I stres.

Chłopak nalał sobie kawy.

- Musiał zostawić – rzekł z przekonaniem. – Inaczej, niestety, niestety – jego głos nabrał podobieństwa do głosu Bieguna – cała teoria do bani.

- A gdzie by go dał? Przecież policja wszystko przeszukała – kolejny papieros wylądował w spodku.

- Najprościej by było zapisać w komputerze – stwierdził Adrian, dziecko ery internetu – ale starzy nie zawsze na to wpadają. Wolą tradycyjne gęsie pióra.

- Janusz nie miał ze sobą laptopa – rzekła Lola. - Ale ja tak. Zresztą inni też. Mógł poprosić.

- Wybacz – Feliks pochylił się w stronę Loli. – Jak miał to zrobić? Stwierdzić, że chce użyć komputera do zapisania wyznania winy? Albo samobójczego listu? Przecież w pensjonacie nie ma zasięgu. Nie ma możliwości sprawdzenia poczty czy wysłania wiadomości. Nie miał pretekstu do pożyczenia laptopa, skoro nie działał internet. Nie, sądzę, że nawet by o tym nie pomyślał. Był z pokolenia gęsich piór, jak Adrian to trafnie ujął.

- To co zrobił?

- Na jego miejscu wysłałbym list. Zaadresowałbym do siebie, albo do kogoś niezwiązanego z morderstwem Oskara, ale dobrze wprowadzonego w sprawę. Kogoś kto nie wyrzuciłby listu do kosza traktując go jak pomyłkę czy wiadomość od szaleńca.

- Na przykład do ciebie? – zaczepnie spytała Lola.

- Na przykład do mnie. Albo do policji.

- A otrzymałeś ostatnio list od Janusza?

- Nie. Ale nie tracę nadziei. Funkcjonuje poczta kurierska, można też zamówić poste restante na zwykłej poczcie.

Lola nagle odchyliła się do tyłu, wyraźnie rozbawiona.

- Nie wyobrażam sobie Janusza zachowującego się w sposób tak przemyślany. Musiałby zużyć całe zasoby swoich komórek mózgowych. Nie, on nie bawił się w subtelności. Po prostu napisałby na skrawku kartki „ja zabiłem” i się podpisał. Czytelnie.

- Tak czy tak – wtrąciła się Łucja – lepiej żeby to zrobił. Inaczej gotowi ciągnąć śledztwo miesiącami i co i raz nas tu wzywać - ziewając, napiła się wody - Niech każdy wyobrazi sobie, gdzie by schował taki list, a jutro pewnie się sam znajdzie. Idę spać. Mam wrażenie, że spędziłam w celi cały tydzień – wstała i przeciągnęła się jak kot.

Nadszedł czas. Podniosłam się zza stołu.

- Tyle gadania o poczcie. Przypomniałam sobie, że czekam na rachunki. Jeszcze gotowi odłączyć mi prąd. I internet.

Serce waliło mi głośno i jak przez mgłę widziałam twarze gości. Nikt na mnie nie patrzył. Łucja zatrzymała się w pół kroku.

- Wszystko w porządku? Zbladła pani...

Zamachałam rękami.

- To po tej mięcie. Zawsze tak mi się robi, gdy wypiję za szybko gorący napój. Muszę się rozruszać. Do zobaczenia - Nie, niech pan zostanie –powiedziałam do podnoszącego się Feliksa – sama trafię.

Chwyciłam kurtkę i wybiegłam z pensjonatu.

Przystanąłam tuż za furtką. Po jasnym wnętrzu kuchni ciemność na zewnątrz wręcz na mnie naparła. Siąpił paskudny, drobny deszczyk. Z pół podnosiła się mgła. Obejrzałam się na pensjonat. W otaczającym mnie mroku jaśniał jak wielka choinka. Drzwi wyglądały na zamknięte.

Odetchnęłam parę razy, sprawdziłam zawartość kieszeni i ruszyłam śmiało przed siebie.

Miałam czas. Lekko licząc trzy godziny. Może nawet więcej, może i sześć. Poszłam szosą. Leśna ścieżka wydała mi się raptem najeżoną niebezpieczeństwami pułapką na samotne kobiety w średnim wieku.

Wędrujące sobie w nocy beztrosko jak Kubuś Puchatek przez Stumilowy Las

pełen Hohoni i pułapek na Hohonie.

I posiadających skrzynkę na listy.

Dotarłam do domu bez przeszkód, nie licząc jakiegoś palanta w aucie, który pojawił się po jakichś pięciuset metrach i jechał za mną żółwym tempem aż do furtki. Chwilę później zniknął za zakrętem.

Jeśli dalej utrzyma taką prędkość, ma szansę jak nic w środku nocy wpaść do odległego o kilkanaście kilometrów Bałtyku. Za jakieś dwie godziny.

Popatrzyłam w tył, popatrzyłam w przód. Rozejrzałam się na boki.

Pusto. Cicho. Ciemno.

Włączyłam latarkę i oświetliłam okolicę. Mocny reflektor wydobył z mroku płot, krzaki piwonii, ścieżkę i skrzynkę na listy. Zupełnie zwykłą, w odcieniu zeschłego mchu, z dużym, zamykanym klapką otworem na korespondencję, nieco zardzewiałą z jednej strony.

Jeszcze raz moja latarka wykonała powolny, utrzymany w tempie poloneza taniec, dzięki czemu upewniłam się, że jestem nadal sama. Umieściłam ją na czole w specjalnym, stosowanym przez nurków i monterów zapięciu, i zaczęłam gmerać w kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Wreszcie się udało. Odchyliłam wieczko. Pusto! Ciemno! Ale nie cicho. Pod moimi dłońmi coś zagrzechotało. „Chyba nie bomba” pomyślałam, zaniepokojona nagle wizją Janusza umieszczającego ładunek wybuchowy w mojej niewinnej skrzynce na listy. „Nie tyka” – to była kolejna myśl.

Sięgnęłam i wydobyłam niewielkie zawiniątko. Umieściłam je w kieszeni, zamknęłam wieko na klucz i ruszyłam w stronę drzwi. Tuż przed progiem para zielonych oczu błysnęła w świetle latarki.

- Kici, kici! - zawołałam na cały głos. Zwykle wcale tak nie robię. Moje koty przychodzą, gdy wzywam je po imieniu. Żadne z nich „kici”. Raczej dwie bestie. Tym razem jednak mój własny głos dodał mi odwagi. Przekręciłam klucz w zamku, wpadłam do środka i zatrzasnęłam drzwi za sobą.

Chwilę jeszcze stałam, oparta o ścianę, łapiąc powietrze. Po plecach spłynęły mi dwie strużki potu.

Nazywając rzecz po imieniu, bałam się jak cholera.

Ciemno. Cicho. Pusto.

Włączyłam światło, zaciągnęłam zasłony. Obeszłam cały dom. Zajrzałam wszędzie. Nikogo pod narzutą skrzypiącej kanapy. Nikogo w tym ciemnym kącie za zasłoną w sypialni... nikogo pod łóżkiem... nikogo w wannie... nikogo ukrytego za fotelem wśród polan do kominka... nikogo w szafie.

Uff.

Przebrałam się w szlafrok z wygodnymi, szerokimi rękawami. Byłam gotowa.

Zeszłam do kuchni. Położyłam w zasięgu ręki telefon komórkowy, obok

latarkę i nóż kuchenny. Tak przygotowana, ostrożnie odwinęłam znaną w skrzynce paczuszkę...

Długo siedziałam nieruchomo, wpatrzona w znalezisko. W końcu wstałam i rozejrzałam się niepewnie wokół.

Drżącą ręką podniosłam słuchawkę i wybrałam numer inspektora Bieguna.

Cztery sygnały... pięć... osiem... poczta głosowa. No, nic. Spróbuję inaczej. Numer alarmowy – sto dwanaście. I znowu czekałam na połączenie.

Wreszcie, po dziesięciu piknięciach, ktoś się zgłosił. Nie wiem, gdzie mieli tę centralę, może w Gdyni czy Słupsku, bo z początku wcale nie chcieli mnie słuchać. Dopiero, gdy powołałam się na inspektora z imienia i nazwiska, dokładając jeszcze Rożka w charakterze deseru, ktoś inny przejął słuchawkę i zaczął mnie wypytywać o wszystko jeszcze raz. Na koniec rzekł:

- Niech pani zostanie tam gdzie jest i nikogo nie wpuszcza. Podeślemy tam kogoś.

- Kiedy? – spytałam spanikowana.

- Niedługo – połączenie zostało przerwane.

Odłożyłam telefon na stół. Kuchnia, przed chwilą jasna i przytulna, wcale nie wydawała mi się teraz bezpiecznym miejscem. Spojrzałam na zegar. Policji ani śladu.

Trzy minuty później nadal ani śladu.

Dziesięć także.

A co, jeśli morderca zakradnie się tu pod osłoną nocy i mnie zabije, po czym oddali się ze złowieszczym śmiechem na ustach i zadowoloną miną na reszcie twarzy? Chyba skojarzył, musiał skojarzyć sformułowanie „ktoś dobrze wprowadzony w sprawę, ale na pewno niewinny”, czy coś podobnego...

Była wtedy tam obecna tylko jedna taka osoba, z całą pewnością dobrze poinformowana.

I z całą pewnością niewinna.

Alicja Figiel, czyli Kobieta ze Skrzynką na Listy, o którą w deszczową noc tuż przed śmiercią oparł się Janusz Wiluk. O skrzynkę, nie o Alicję. Byłam jedyną osobą w aucie poza podejrzeniami. Jeśli czuł się zagrożony, mógł umieścić wiadomość w mojej skrzynce. Jeśli by przeżył, znalazłby pretekst, by to wytłumaczyć, albo po prostu by się włamał do skrzynki. A jeśli by nie przeżył, to przynajmniej wszystko wyszłoby na jaw.

Wspomniałam postać Janusza, jego chwiejny krok, i nagle pomyślałam, że musiał być mniej pijany, niż wszyscy myśleli. Jak wytoczył się tuż za mną z samochodu Adriana... jak chwiał się na nogach, rozpaczliwie przytrzymując ogrodzenia... niezwykle sprytnie.

W aucie byli – Adrian, Lola i Łucja. To dla nich odegrał całe przedstawienie. Potem któreś z nich mogło barwnie i ze szczegółami opowiedzieć o tym Lidii.

I Feliksowi. Na przykład coś takiego: „Janusz tak się ululał, że nie wiedział, gdzie ma wysiąść. Musieliśmy odczepiać go od ogrodzenia Alicji”.

Zatem mogę spodziewać się wizyty. I nie będzie to kurtuazyjne spotkanie, pełne wzajemnych uprzejmości i częstowania herbatką.

Znów spojrzałam na zegar. Minęło kolejne sześć minut.

Może jednak przesadziłam. Może wcale nie trzy godziny, ale jedna, albo jeszcze mniej dzieli mnie od spotkania z mordercą. Może jest już w moim ogrodzie, patrzy w okna, zastanawia się, czy czekać, aż zgasną światła, czy ryzykować i atakować od razu. Nie wie, co zawiera skrzynka.

„Powinnam tam coś wrzucić” - uświadomiłam sobie. Ale nie ruszyłam się z miejsca.

Czas płynął odmierzany tykaniem kuchennego zegara. Zabrałam paczkę ze stołu, zawinęłam w plastikową torebkę i ukryłam w szufladzie kredensu. Zastanowiłam się, po czym przeniosłam znalezisko do sypialni. W kącie wmontowano tam narożną szafkę. Na najwyższej półce trzymałam niepotrzebne bibeloty, jak stare pocztówki, korale z zepsutym zapięciem (kiedyś je oddam do naprawy), porcelanowe świeczniki, dwa ceramiczne słonie i wiele innych drobiazgów. Między nimi paczka w szarym opakowaniu była zupełnie niewidoczna.

Postanowiłam czymś się zająć. Nie ma nic gorszego, niż nieruchome siedzenie w zamkniętym domu w oczekiwaniu na mordercę.

W kuchni powietrze pachniało świeżością, i po raz kolejny pogratulowałam sobie, że mój domek ma doskonałą wentylację. Powyciągałam wszystko z szafek. Wytarłam każdy talerz, umyłam każdy kubek i miskę. Wyczyściłam szafki od środka. Wyszorowałam stół. Wzięłam się za podłogę. Skończyłam i zerknęłam na zegar. Pierwsza w nocy. Coś długo nadjeżdża ten podesłany policjant.

Wyrzłam przez okno. Drogą wolno przejechał osobowy wóz. Jego reflektory wydobyły z mroku spory kawałek szosy. Patrzyłam za nim, póki tylne światła nie znikły za zakrętem.

Pusto. Ciemno. Cicho.

I wtedy usłyszałam ten dźwięk.

Ktoś był za drzwiami. Klamka delikatnie się poruszyła, po czym znieruchomiała.

Zamarłam po jednej stronie, podczas gdy ten ktoś zapewne zastygł po drugiej. W odróżnieniu ode mnie zdolny do myślenia. I działania. Teraz rozumiałam pojęcie „stać jak sparaliżowany”.

Nie mogłam się ruszyć.

Wtedy ten ktoś zapukał.

Delikatne, cichutkie „stuk stuk”, jakby subtelny gość nie chciał mi przerywać wypowiedzi w domowym zaciszu.

Stuk stuk. Stuk stuk.

„Może zajrzeć przez dziurkę od klucza” – pomyślałam w panice. A co, jeśli mnie zobaczy?

Udało mi się zrobić krok w kierunku kuchni i telefonu, gdy usłyszałam głos. Ludzki głos, jak powiedziałby sierżant.

- Pani Alu, proszę otworzyć!

Chyba zupełnie zgłupiałam, bo podeszłam do drzwi.

- Proszę! Szybko! Coś się stało w pensjonacie!

Nawiedziła mnie wizja pożaru albo powodzi, lub zbiorowego samobójstwa. Otworzyłam drzwi.

Za progiem stała Lola otulona długim, męskim płaszczem, spod którego wyglądały fioletowe legginsy i różowa bluzka.

Błyskawicznie weszła do środka, zatraskując za sobą drzwi. Ruszyłam za nią. Stała naprzeciw mnie z niespokojnym wzrokiem utkwionym w moich oczach. Chwilę mierzyłyśmy się spojrzeniem.

- Co się stało? – zapytałam.

- Ktoś zaatakował Lidię – zachrypiała Lola. – Nie ma łączności. Muszę wezwać pomoc.

- Telefon jest tutaj – pokazałam jej wejście do salonu. – A gdzie... - umilkłam. Lola miała w dłoni nóż. Paskudne, błyszczące, długie ostrze.

Nie lubię noży. Są nieprzewidywalne. Co innego pięść, albo nawet i noga – wiadomo, czego się spodziewać. Ale nóż! Można trafić w tętnicę, można obrócić go w ranie, powodując paskudne skutki, można wbić go w szyję, przecinając rdzeń... o sercu nie wspomnę. Wolałabym chyba, żeby Lola miała pistolet. Zawsze mogłaby spudłować, nawet celując do tak sporego celu jak ja.

Zrobiłam krok do tyłu.

- Stój! – warknęła Lola. – Gdzie to schowałaś?

Zbliżała się do mnie pomału, a ja stopniowo cofałam się w kierunku kuchni. Na stole stała szklanka herbaty. Może złapać ją i rzucić? Nie, nie zdążę. Nóż jest szybszy.

- Odwróć się – zimny, obojętny głos. – Tam, pod ścianę!

Poczułam ucisk między łopatkami. Podeszłam posłusznie do ściany. Górna szuflada była nieco wysunięta...

Lola czymś szeleściła.

- A teraz pij swoją herbatkę – rozkazała Lola. – Spokojnie! I żadnych sztuczek.

Obejrzałam się. Kobieta stała przy stole, wskazując na szklankę. Omiotłam wzrokiem pomieszczenie.

- Pij! No, już! – denerwowała się. Sięgnęłam po naczynie i udałam, że piję. Raptem odstawiłam szklankę na stół.

- Co tam dodałaś? – starałam się mówić nieco bełkotliwie.
- Nic specjalnego. Teraz gadaj, gdzie ukryłaś paczkę! – podeszła bliżej.
- Na górze – wymamrotałam sennie. – W sypialni.
- No, to teraz pij. Do dna. Nic się nie bój. To zwykły środek nasenny.

Pośpisz po nim aż do rana, do czasu, gdy mnie już tu nie będzie.

- Aha... nie będzie...

Akurat. Zabierze paczkę i mnie zabije. Nie ma innego wyjścia. Skoro załatwiła już dwie osoby... Postanowiłam grać na zwłokę.

- To ty – powiedziałaś - to ty zabiłaś Oskara?

Nieznaczny uśmiezek wykrzywił usta Loli.

- Coś takiego! Pani detektyw. Jak na to wpadłaś?

- Dlaczego? Nic ci nie zrobił! Janusz też nie!

- Denerwował mnie. Nadęty, zarozumiały bufon. Myślał, że może mną pomiatać, bo kiedyś byłam tancerką. Obiecał złote góry, obiecał ślub, a teraz nagle zachciało mu się zbawiać świat! - uniosła rękę z nożem – jeśli chcesz wiedzieć, to nie planowałam, że go zabiję. Ale zaczął gadać. Gadał i gadał, podkreślał, ile dobrego zrobił dla innych, ile jeszcze zrobi, i że nie ma już w jego życiu miejsca dla upadłych kobiet!

- Upadłych? – zdumiałam się. Nie spuszczałam wzroku z rąk Loli. Palce jej aż zbieleły, tak mocno ścisnęła nóż.

„Nie może do mnie podejść” – postanowiłam sobie.

- Tak. Ale nie przeszkadzało mu to, gdy domagał się rozmaitych... dziwactw w łóżku. Lubił skórę i podwiązki. Był odrażający.

Na moment poraziła mnie wizja Nieduzego w czarnym pasie do pończoch i lśniącym gorsecie, z batem w ręku. Lola wykorzystała ten moment, by zbliżyć się o metr.

- Wtedy, w sobotę wieczorem, poszłam do niego, żeby zapytać, co on sobie, u licha, wyobraża. Opłaciłam wyjazd na Malediwy z własnej kieszeni. Tak obiecywał, tak tłumaczył, że to dla niego drobiazg, że wszystko zwróci z nawiązką! – podeszła jeszcze bliżej. Cofnęłam się i potknęłam o stół kuchenny. Kobieta miała szalone oczy.- A on śmiał mi się w nos! „Skoro zapłaciłaś, to jedź. Mnie nie wypada. Janusz opowiedział mi, jak tańczyłaś na rurze. Nie mogę ryzykować, że ktoś mnie z tobą skojarzy. Przyniosłoby to szkodę Sprawie. I oddaj mi ten naszyjnik, który ci pożyczyłem dwa dni temu” – całkiem dobrze naśladowała namaszczony ton Nieduzego.

- W jadalni leżały te cholerne nożyce. Złapałam je i wróciłam. Wcale na mnie nie patrzył. Kiwał się w fotelu nad jakąś książką. Wreszcie oderwał się od czytania i spytał łagodnie: „Co tam znowu?” – Lola nabrała powietrza. - Wtedy wbiłam mu je w to jego głupie, obrzydliwe cielsko – urwała, ciężko dysząc. – Zaraz załatwię i ciebie. Gdzie naszyjnik? Gadaj!

- Ale przecież widziałam, jak Miler obraca się w fotelu!

- Głupia jesteś. Policja też jest głupia, i Janusz był głupi. Myślał, że to Oskar mnie napadł i że zabiłam go w obronie własnej. Pomógł mi... wyniósł trupa, wrzucił do łodzi... ale schował te rzeczy. Dałam mu na przechowanie tę kolbę... sama jest warta z milion... co to milion... niewiele, jak za rok życia z Milerem...

- Otrułaś go?

- Nic trudnego. Jadł mi z ręki. Zrobiłby dla mnie wszystko... kiedy odeszłam do Milera to pół roku nie wychodził z domu... Dałam Adrianowi tabletkę nasenną, tak jak wcześniej Lidii. Wmówiłam mu, że byliśmy razem... a ja byłam z Januszem. Zbudziłam go o trzeciej, kazałam iść po ciuchy Lidii i nożyce i dałam wódki. Nie mogłam mu już ufać. Nerwy mu puszczały. Poszedł do szopy i tam padł. Doskonale się złożyło. Dziwne, że nie aresztowali tej suki, jego żony. Nienawidzę jej... taka zawsze z siebie zadowolona, z tym uśmieszkiem na gębie...

Wymacałam za sobą stół. Delikatnie zacisnęłam prawą dłoń. Lola nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Pij teraz! Nie mam całej nocy!

Milczałam, napięta do ostatnich granic. I tak mnie zakłuje. Nie zostawi mnie przy życiu po przyznaniu się do dwóch morderstw. Patrzyłam, jak okrutny grymas wykrzywia jej twarz, jak wzrok skupia się na mojej szyi, jak pod wpływem adrenaliny rozszerzają się jej źrenice i już wiedziałam.

Teraz! Za milisekundę będzie za późno.

Moja prawa ręka wystrzeliła w stronę jej prawego barku. Równocześnie Lola uniosła nóż, usiłując sięgnąć do mego gardła. Śmiercionośne ostrze musnęło moją szyję i w oczach zamigotały mi gwiazdy. Równocześnie rozległ się straszny trzask pękającej kości ramiennej, jednej z najgrubszych i najmocniejszych w całym szkielecie. Spośród dwustu sześciu, jakie dostaliśmy w materiale genetycznym (nie licząc zębów).

Nóż brzęknął o podłogę. Lola zachwiała się i krzyknęła okropnie, usiłując utrzymać się na nogach. Odsunęłam się na bok, chowając się za stół. Ruszyła za mną, przeszła metr, ale dalej nie dała rady. Ręka zwisała jej bezwładnie i kobieta upadła na podłogę.

W kuchni raptem zaroilo się od ludzi. Zza zasłony wyskoczył sierżant Rożek, dopadł do mnie i zajrzał mi głęboko w oczy. Kilku innych mężczyzn podbiegło do Loli.

- Nic pani nie jest?! – krzyknął mi prosto w ucho Waldemar.

Skrzywiłam się. Jeszcze stracę słuch na skutek spóźnionej interwencji policji.

- Nic, poza wielkim strachem. Gdzie byliście, do cholery! – wrzasnęłam, raptem tracąc nad sobą panowanie. Osunęłam się na podłogę, gdzie dostałam napadu hiperwentylacji. Sierżant złapał szklankę, napełnił ją wodą i usiłował mnie

napoić. Zakrztusiłam się ze strachu przed aspiracją wody do płuc.

- Nie! - warknęłam między jednym a drugim sapnięciem. - Daj torbę!

Rożek bezradnie rozejrzał się po kuchni.

- Proszę – pewna dłoń podetknęła mi pod nos papierową, elegancko złożoną torebkę – Zupełnie nowa.

Inspektor Biegun wygładzał mankiety koszuli, nieco wysunięte z rękawów marynarki. Ciemne oczy spoglądały twardo na Lolę.

- Zabierzcie ją do radiowozu. Tak, najpierw na pogotowie. Strasznie krzyczy. Wszystko słyszeliście, sierżancie?

- Tak jest, szefie – Rożek wyprostował się służbiście.

- A co w pensjonacie?

- Wszyscy śpią jak baranki. Ta Bartnik musiała dosypać im czegoś do napojów.

W tej samej chwili drzwi wejściowe otwały się gwałtownie i do środka wpadł doktor Malik z torbą pod pachą. Obrzucił spojrzeniem kuchnię, przykucnął na moment przy mnie, zmierzył mi puls i zajrzał w źrenice.

- Nie jest pani ranna? Nie straciła przytomności?

Pokręciłam głową. Doktor wstał i podszedł do Loli.

- Napadła na mnie! – wrzeszczała kobieta – Zaprosiła mnie, a potem rzuciła się na mnie z nienacką! Co tak stoicie, aresztujcie tę wiedźmę!

Malik nie zwracał uwagi na jej krzyki. Zobaczył zwisającą pod dziwnym kątem rękę i wy dobył z torby wielką chustę. Pomruczał coś do siebie, pomacał delikatnie i założył temblak. Wszyscy odetchnęli.

Lola nieco przycichła.

- Teraz na pogotowie, trzeba to prześwietlić, a potem na ortopedię. Kość ramienna dobrze się zrasta – powiedział uspokajająco w stronę Loli. – Czasami nawet nie trzeba długo nosić gipsu. Byle nie przemieścić.

Lola zamilkła.

Doktor przyjrzał się jej z troską.

- Co pani podała ludziom z pensjonatu? – kobieta błysnęła dziko oczami. - Lepiej niech pani powie. I tak zrobimy im badania toksykologiczne, ale jeśli to coś szkodliwego... potraktują to jak dobrą wolę z pani strony.

- Nic nikomu nie dawałam. To ona – łypnęła na mnie – musiała czegoś dodać, gdy piliśmy herbatę. Zaraz po jej wyjściu wszyscy zaczęli ziewać. Paskudna, stara jędza! Pobiła mnie! – zawyła Lola.

- Sprawdźcie jej kieszenie – ostro odezwał się Biegun.

Mimo tupania i wrywania się, policjant wy dobył z kieszeni płaszcza klucze, kilka monet, paczkę chusteczek, a na koniec niedużą butelkę z przejrzystym płynem i opakowanie popularnych nasennych tabletek.

Doktor włożył rękawiczki, odkręcił butelkę i powąchał. Potem obejrzał

tabletki.

- Zbadajcie to – wskazał na płyn – nie ma zapachu ani barwy. Natomiast te drugie leki są popularne i często sam je przepisuję. Nasenne. Krótko działające.

- Wyprowadzić – mruknął inspektor.

Lola odeszła w asyście dwu mężczyzn.

- Jeśli faktycznie ich uspiła, to może być bieda – powiedział doktor. –Lepiej tam pójdę. Zostawiłeś tam kogoś?

- Misiewicz jest wewnątrz. Miler w środku.

- Zobaczę, co z nimi – Malik obejrzał się na mnie jeszcze w drzwiach – niezwykle to było, pani Figiel. Nietypowe.

- Co takiego? – nadal było mi trochę słabo. Widać mam wolny metabolizm i resztki hormonów stresu krążą w nieskończoność wokół mojej kory mózgowej.

- To złamanie – odrzekł Malik i opuścił mój dom.

Postanowiłam wstać z podłogi. Wcale niemiło, kiedy wokół wszyscy patrzą na ciebie z góry. Czuję się wówczas okropnie bezradna.

A Alicja Figiel nie znosi być bezradna.

Inspektor troskliwie podtrzymał mnie wpół. Ten człowiek ma siłę niedźwiedzia. Opadłam na krzesło.

- Muszę wracać do komendy – oznajmił Biegun – zatem niech pani odda nam to, co było w skrzynce na listy.

Cóż, trochę szkoda, ale nie było wyjścia. Poszliśmy na górę w małej procesji. Tym razem ja byłam awangardą, a sierżant reprezentował maruderów.

Wmaszerowaliśmy w szyku do sypialni i otworzyłam narożną szafkę. Wydobyłam owiniętą w szary papier przesyłkę.

Inspektor wziął ją ostrożnie w dłonie, przyjrzał się torebce plastikowej, w którą zawinęłam skarb i włożył do kieszeni. W takim samym ustawieniu wróciliśmy do kuchni.

- Co to jest, szefie? – oczy sierżanta błyszczały młodzieńczą ciekawością.

Biegun ułożył paczuszkę na stole. Dłoni w lateksowych rękawiczkach ściągnął torebkę i odwinął papier.

Wszyscy troje wpatrzyliśmy się w migoczące kamienie. Głębokie odcienie purpury rzucały refleksy na jasne stołowe deski. Podwójny sznur rubinów łączył jasny, przejrzysty kamień, cudownie oszlifowany, tak by podkreślić głębię i czystość klejnotu. Koronkowo wykonane zapięcie dopełniało ideału.

Ktoś westchnął tak głęboko, że zadrzały mi włosy na czole i uniósł się brzeg foliowej torebki.

- Przepiękne, prawda? – zapytał inspektor Biegun.

Sierżant skrzywił się z niesmakiem.

- Parę szkiełek. Nikomu niepotrzebne świedelka.

- Cóż, może i nie ogrzeją serca – Biegun starannie zawinał naszyjnik

w chustkę – ale mogą zabezpieczyć przed problemami finansowymi. Na bardzo długo.

Rożek nadal patrzył na miejsce, gdzie leżały klejnoty.

- Miler zginął przez coś takiego? – potrząsnął głową – Przez to... to...

- Być może przez to także – inspektor wstał – pora na nas, Rożek. Ruszamy do pensjonatu, potem do Lęborka.

Tak łatwo im nie pójdzie.

- Czemu tak długo to trwało? – spytałam z rozgoryczeniem, już przy wyjściu. – Czekałam i czekałam parę godzin! O mało mnie nie zabiła!

Biegun trochę się stropił.

- Sierżant był tu cały czas, jakiś kwadrans po pani telefonie. Jeszcze zanim zaczęła pani sprzątać kuchnię. Być może zwróciła pani uwagę, że trochę się ochłodziło. Podważył okno i siedział za zasłoną. Potem ukrywał się tu i tam, ale ciągle miał panią na oku. Zupełnie niepotrzebnie. Pani sama rozgoniłaby oddział marines.

A, to dlatego poczułam świeże powietrze, gdy zeszłam na dół... Wzięłam się pod boki. Narastała we mnie furia.

- Czyli czekał, aż morderca na mnie napadnie?! Aż mnie zabije? Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami! Kompletnie bezużyteczni! Problem? Niech kobieta sama go rozwiąże! Co z tego, że przy okazji zginie! Najlepiej siedzieć w kącie i czekać, co sierżancie? A pan? Co pan robił całą noc? Prasował swój garnitur? Tymczasem ta Bartnik zatrąła cały pensjonat! Zaraz – nagle coś mi błysnęło w głowie – pan specjalnie wspominał o liście, żeby sprowokować zabójcę! Zmyślił pan tę historię o rzekomym samobójstwie Wiluka, w celu... jak to powiedzieć... uśpienia czujności!

- Tak jest, tak jest, moja wina – zgodził się Biegun – Przejrzała mnie pani całkowicie. Moje motywy i podstępny wyszły na jaw. Ale proszę pomyśleć – zamachał rękami – nie miałem żadnych dowodów. Nic, co wskazałoby na Lolę Bartnik, nic, co by udowodniło jej winę. Była sprytna... niezwykle sprytna. I sprzyjało jej szczęście. Bo to w końcu dziwne, że nikt nie zajrzał po powrocie z imprezy do gabinetu, a jeszcze bardziej, że nikt nie zrobił tego wcześniej, przed wyjściem... Że nikt nie zauważył jej wizyty w pokoju Wiluka w noc jego śmierci... Tak, miała fart. Nic na nią nie wskazywało. Zatem – inspektor skłonił głowę w moim kierunku – musiałem zastawić pułapkę.

- Wiedział pan o skrzynce na listy?

- Nie. Ale obserwowaliśmy gości od momentu naszego odjazdu. Prawdę mówiąc, żaden z nas tej nocy nie był w Lęborku. Nieoceniony sierżant zamontował pluskwę pod kuchennym stołem w pensjonacie. Dzięki niej doskonale słyszałem państwa dyskusję na temat miejsca ukrycia listu i pani pospieszne wyjście, umotywowane – jakże sprytnie – nagłą koniecznością sprawdzenia rachunków –

popatrzył na mnie z podziwem. – Było jasne, że pani prowokuje mordercę. Dlatego jeden z naszych ludzi jechał za panią – może spostrzegła pani wolno jadący wóz – aż do domu.

Aha, palant w aucie, co miał wpaść do Bałtyku. Widać zdążył wyhamować tuż przed plażą.

- Tak, zauważyłam go – przyznałam niechętnie.

- Potem regularnie przejeżdżał koło pani domu. Z kolei ja czaiłem się w okolicy pensjonatu. Skoro tylko pani Bartnik wyszła, od razu zaalarmowałem resztę. Co było dalej, pani już wie.

- Niech pan idzie – otworzyłam przed nim drzwi. - Tak czy tak narażone było moje życie. Zjeżdżać!

- Czy ktoś może z panią dziś przenocować? – spytał troskliwie Rożek – Może kogoś zawiadomić? Mógłbym pojechać po jakąś przyjaciółkę...

Zamknęłam się na wszystkie spusty. Nie znoszę obcych ludzi w domu. Robią mnóstwo zamieszania, używają moich ręczników, i kończy się to tak, że to ja ich obsługuję. A potem jeszcze oczekują, że ich przenocuję, sama włożę pościel, zmienię, wypiorę, uraczę śniadaniem, a to wszystko tylko po to, by mogli pytać z rozszerzonymi ciekawością oczami: "Jakże się teraz czujesz? Może zrobić ci herbaty?", co wydaje się dość niewygórowaną zapłatą za całe to zamieszanie z noclegiem.

A ja i tak nie miałabym kogo zaprosić. No, może Sylwia Prokop by przyszła, gdyby akurat nie odwiedził jej chłopak, albo Mila Lach... tak, ona by się pewnie zjawiała.

Posmutniałam. Jestem sama na świecie, nikt mnie nie kocha i nie mam nikogo, kogo bym choć trochę obchodziła. Wypuściłam koty i poszłam do łóżka. Długo leżałam, skulona w pozycji embrionalnej, zanim zmorzył mnie sen...

Środa, 8 października

Październik to dziwny miesiąc. Czasem myślę, że nie ma własnej tożsamości. Niemal nigdy nie przypomina jesieni. Jeśli świeci słońce, roztacza wokół ciepły blask i prowokuje do wkładania sandałów na bose nogi. Jeśli niebo zasnuwają chmury, zaraz nadciąga śnieżyca, pokrywając opadłe liście białym puchem. W uszach świszcz mi wiatr, a ludzie wydobywają z szaf kożuchy i szukają wełnianych szalików...

Jednak ten poranek nie należał do żadnego z dwóch wymienionych rodzajów. Na termometrze granatowy słupek czegoś, co kiedyś bywało rtęcią, opadł do dziesięciu stopni, niebo pokryło się szarością i wszystko na zewnątrz było

wilgotne.

To był Mżawkodzień, zwany też Dniem Mżawki. W taki dzień kto może, powinien pozostać w domu, napalić w kominku, otulić się kocem i myśleć o wakacjach. Ponieważ jednak ci, którzy mogą tak robić, są nieliczni i wcale ich to nie pociąga, gdyż i tak mają nieustanne wakacje, reszcie świata zaleca się zachowanie typowe dla pozostałych dni w roku i zabranie parasoli oraz nieprzemakalnych płaszczy. I kaloszy. I ciepłych kurtek, szalików oraz czapek.

Nic nie ma takich własności przenikających, jak podstępna wilgoć Mżawkodnia. Nawet promienie kosmiczne wpadające do samolotu, czy złowrogie promieniowanie z dziury ozonowej. Albo bakterie czyhające w drogach oddechowych. To wszystko pestka w porównaniu z tym, co spada z nieba tego szczególnego dnia.

Wystarczy wyjść na minutę z domu, wynieść śmieci czy udać się w poblizę płotu, by mimochodem rzucić okiem na ogród sąsiada (posadził dwie nowe tuje w donicach. Razem ma już ich trzydzieści trzy), by resztę dnia spędzić susząc przemoknięty strój i buty.

Najpierw wpuściłam Huncwota. Potem go wypuściłam. Przyszedł Imbryk, mokry i nastroszony. Obszedł wokół cały pokój i bezbłędnie wybrał świeżo upraną poduszkę na fotelu.

Zrobiłam zakupy, ryzykując utratą fryzury i mocząc stopy. Wypiłam zbożową kawę, pozmywałam, zaparzyłam herbatę, wcisnęłam do środka cytrynę. Spojrzałam na zegarek.

Siódma rano.

Czy jest trochę za wcześnie? Drogą od szóstej nic nie przejeżdżało.

Może jeszcze poczekam. Wybiorę strój – typu praktyczna kobieta bez sentymentów. Szkło i metal. Urzędowy garnitur ze spodniami, noszony przez osoby na wysokich stanowiskach. Wtedy niektórzy mnie nie zlekceważą. Ba, niektórzy zaniemówią na mój widok. Roztoczę wokół siebie surową aurę kompetencji i stalowych zasad. Koniec z frywolnymi bluzkami i jaskrawym obuwiem. Może nawet założę okulary, te ostatnio zrobione, do czytania. Zwykle ich unikam. Nadają mi wygląd przerośniętej sowy. Kiedyś zobaczył mnie w nich listonosz. Wyglądał na zszokowanego, biedak. Może nigdy nie widział kobiety w okularach - plus trzy i pół na lewym i plus dwa na prawym, ubraną w minispódniczkę z trawy i wianek z mleczków.

Poza tym miałam na sobie zielony trykot i legginsy. Właśnie zastanawiałam się, czy mam szansę na rolę Wiosny podczas parafialnego festynu w Pustkowie. Do wszystkiego podchodzę z wielką dbałością o szczegóły.

Jednak zrezygnowałam z okularów. Może to kwestia przyzwyczajenia, ale nie czuję się w nich swobodnie. Z garnituru też musiałam zrezygnować. Nie dopiął mi się w talii. Ostatnio miałam go na sobie w ostatnim dniu pracy, gdy ciskałam

doniczką w rektora. Piękne czasy.

Po namyśle wybrałam wygodne džinsy na gumie, zamówione w jednym z katalogów wysyłkowych przeznaczonych dla kobiet o typowych rozmiarach, nie tak, jak te sklepy w galeriach. Czasem kupuję tam dolne części garderoby. Nie wszystko mogę znaleźć w szmateksach. Dżinsy nie cisnęły mnie w pasie i miały ciekawą barwę zamglonego oceanu. Dołożyłam do nich fioletową jedwabną bluzkę (ale bez koronek) i granatowy kaszmirowy sweter.

Może być. Rzeczowo i bez pretensji do nadmiernej elegancji. Teraz buty. Muszą być ciepłe i wygodne. Może liliowe kalosze? Zbyt ekstrawaganckie. Kamasze? Wyglądają jak kaptcie. W końcu wybrałam zamszowe czerwone pantofle, mój ostatni nabytek. Ich widok przypomniał mi Niedużego. Swoją drogą, ciekawe, czy choć raz włożył te buty, które kupił w Lęborku, w dniu, kiedy przydepnął mi nogę... Jak niespodziewanie zmarł... Niezbadane są wyroki Losu. Taki Oskar Miler – mógłby być ulubieńcem Fortuny. Ile osób w końcu wygrywa miliony na loterii? A on nawet nie zdążył porządnie się nimi nacieszyć...

Westchnęłam, zadowolona z głębi mądrości, jaką zaprezentowały moje myśli. Uczesałam się, mimochodem zauważając, że fryzjer też by mi się przydał. Stożek na głowie tracił fason. Przyglądałam go, maznęłam szminką usta, popryskałam się perfumami.

Miało to swoje dobre strony. Imbryk od razu uciekł z poduszki i zwolnił mój fotel. Usadowiłam się z herbatą w zasięgu ręki, otuliłam kocem i oparłam wygodnie o poduszki. Czas płynął...

Czekałam, kiedy przyjdą mnie aresztować.

W końcu popełniłam przestępstwo, atakując Lolę i łamiąc jej rękę. To się nazywa poważne uszkodzenie ciała. Biegun niezawodnie doda dwa do dwóch i tylko patrzeć, jak wysze do mnie sierżanta Rożka z melancholijną miną na twarzy i kajdankami w rękach...

Ósma. Jakoś się nie śpieszą.

Tak samo było o dziewiątej i dziesiątej. Mżawkodzień upływał powoli, pokrywając łąki, lasy i pola wilgotną powłoką. Kałuże odbijały szare niebo, delikatna mgła unosiła się nad dachami domów. Koty ułożyły się jak najbliżej kominka, w nadziei na ciepło. Patrzyłam na dwie futrzane kulki, zastanawiając się, czy nie napalić. Wreszcie zesłam z fotela, przyniosłam parę polan i podpaliłam. W pokoju od razu zrobiło się weselej. Ile czynności wykonuje ogień? Grzeje, świeci, tańczy, oświetla, iskrzy, dymi... Dymi trochę za bardzo. Musiałam dać wilgotne polano. Muszę wybrać się nad morze, pozbierać powyrzucane przez fale kawałki drewna. Bogdanek obiecał, że przywiezie mi je do domu swoją przyczepką. Wtedy wieczorami pachnie nie tylko dymem, ale także solą, jakby wysmagane falami i wiatrem polana opowiadały swoją historię. Można marzyć o statkach zawijających do egzotycznych portów, wyobrażać sobie rozkołysane,

szmaragdowe fale, marynarzy wypatrujących łądu, laguny z oślepiająco białym piaskiem... jeśli się jest młodym.

W moim wieku człowiek widzi udręczonych tubylców, współczesnych piratów, okręty szmuglujące narkotyki...

Zapatrzyłam się w okno. Szaro, spokojnie, cicho. Jesień. Krople deszczu bębniące o blaszany dach domu. Sezon zielonek i podzielonek dla grzybiarzy. Przycinania piwonii (wreszcie muszę to zrobić). Ligi Mistrzów w telewizji. No! Będzie co oglądać!

Dosyć tej melancholii, zupełnie jakbym zaraziła się od sierżanta. Po paru minutach, szczerze spowita długą peleryną, maszerowałam przez las w kierunku pensjonatu.

Przechadzka dodała mi energii. Wciągałam głęboko pachnące mokrymi liśćmi powietrze, zapewne pełne zarodników pleśni i grzybów. Minęłam zagajnik, zostawiłam z prawej dróżkę na bagno i wyszłam na otwartą przestrzeń.

Jezioro miało barwę stali. Nawet trzciny nie poruszały się w ciężkim powietrzu. Rosnące wokół drzewa wyciągały w niebo gałęzie, jakby pilnowały zaczarowanej wody. Cechą charakterystyczną Mżawkodnia jest to, że świat wygląda jak z obrazu, na którym zastosowano technikę sfumato. Wiem, co to sfumato. Miałam nauczycielkę plastyki, która nam to kiedyś objaśniła. „Sfumato to coś, co ma z tyłu Mona Lisa”.

Długi czas myślałam, że jest to jakiś tajemniczy tył Mony Lisy, widoczny wyłącznie dla wybrańców. Dopiero później zorientowałam się, że chodzi o rozmycie konturów dzieła, co daje wrażenie patrzenia przez mgłę. Sfumato lubili stosować geniusze renesansu, jak Rafael Santi czy Leonardo da Vinci.

Ale i Mżawkodzień nie był gorszy. Wszystko wokół miało zatarte kształty, jakby dym przysłaniał całą okolicę. Pożałowałam, że nie jestem mistrzem fotografii. Jak nic zdobyłabym pierwszą nagrodę w konkursie na zdjęcie naśladujące obraz (zdaje się, że widziałam taki w internecie).

Podziwiałam przez chwilę krajobraz, dopóki jakaś spóźniona żaba nie wskoczyła mi na nogę.

Nie lubię żab. Szczególnie nie lubię nagłego z nimi kontaktu. Wrzasnęłam i pośliznęłam się na liściach, wskutek czego przejechałam na siedzeniu kilka dzielących mnie od pomostu metrów.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pensjonatu i stanął w nich Niemożliwy. Rozejrzał się, ale ponieważ oczy miał zawieszane na wysokości metr dziewięćdziesiąt, nie dostrzegł mnie od razu.

Dopiero po sekundzie zwrócił uwagę na przemoczony tobołek siedzący trzy metry od niego.

- Dzień dobry! – powiedział grzecznie.

Wiem, co należy zrobić w takiej sytuacji. Należy uprzejmie odpowiedzieć,

być może nawiązując do pogody i nagłego ochłodzenia czy ocieplenia klimatu. Nie od rzeczy jest też poruszyć temat globalnego ocieplenia lub dziury ozonowej.

- Dzień dobry! Piękny dzień, prawda? – odparłam, macając się po tyłku.

Niemożliwy pochylił się nade mną z nagłą uwagą.

- To pani! nie poznałem w pierwszej chwili. Ten płaszcz wszystko zmienia.

Zerknęłam na moją pelerynę. Jasnopomarańczowa, podgumowana, musiała kiedyś być własnością rybaka, przywykłego do sztormów atakujących kutry. Kaptur zasłaniał mi niemal całą twarz. A co on myślał, że jestem ufoludkiem? Feliks wyciągnął rękę, ale podniosłam się samodzielnie. Mężczyźni. Kompletnie bezużyteczni.

- Gdzie są wszyscy? – strzepnęłam z płaszcza sporą ilość ziemi i igliwia.

- W środku – otworzył przede mną drzwi. - Policja właśnie przyjechała.

Kończą spisywanie zeznań.

- A pan?

- Ze mną już skończyli.

Rzeczywiście, w kuchni siedziało dwu umundurowanych funkcjonariuszy. Jeden z nich miał ze sobą laptop i drukarkę. Lidia właśnie składała podpis na wydrukowanej kartce. Adriana i Łucji nie było nigdzie widać.

- Jest Biegun?

- Jeszcze nie. Ma zjawić się później – Niemożliwy zatrzymał się w drzwiach kuchni – Ale słyszeliśmy o wczorajszej nocy.

- Aha – wymruczałam z zażenowaniem, nagle pełna poczucia winy - A co się tutaj działo?

- Całkiem sporo. Chodźmy gdzieś usiąść, to opowiem. Chodź z nami, Lidio – zwrócił się do wychodzącej właśnie kobiety – będziemy na bieżąco.

Czyżby to „będziemy” coś sugerowało? Jakiś wspólny front? Utrwalony wczorajszą rozmową na pomoście? Skrzywiłam się w duchu.

Poszliśmy do gabinetu. Niemożliwy przyniósł kawę i rozsiadliśmy się przy stole.

- Wczoraj, po pani wyjściu, zostaliśmy jeszcze chwilę w kuchni. Rozmawialiśmy o Januszu i o Oskarze. Lola zasugerowała, żeby przed snem wypić jeszcze drinka. Nalała nam po lampce koniaku. Wszyscy wypili.

- Nikt jej nie podejrzewał? – wtrąciłam.

- Patrzyłem jej na rękę. Nie mogła niczego dodać do alkoholu.

- Ja byłem przekonana, że to już koniec śledztwa, i winny jest Janusz. Ostatecznie wszystko do siebie pasowało – Lidia łyknęła kawę – Inspektor całkiem przekonująco o tym mówił.

- W każdym razie wypiliśmy – Adrian cały kieliszek, ja łyk, Łucja pewnie też tylko trochę – podjął Feliks – i posiedzieliśmy może z kwadrans. Każde z nas wychodziło na chwilę, oprócz Adriana. Na stole były kubki od kawy, herbaty. Lola

musiała coś tam dolać, bo nagle wszyscy zaczęli ziewać – Niemożliwy potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć w swoją naiwność -każdy poszedł do siebie. Wróciłem na dół i zobaczyłem, jak Bartnik myje kubki.

- I co z tego? – zdziwiła się Lidia. – Ja nieraz myłam tu szklanki.

- Lola Bartnik. Kobieta z pięciocentymetrowymi paznokciami, zdobnymi w kosztowny manicure. Nie, ona sama z siebie nigdy by nie umyła naczyń. Nie, jeśli by nie musiała tego zrobić.

- Zatem doszedł pan do błyskotliwego wniosku, że musiała zatruć wasze napoje.

- Wniosek był rzeczywiście błyskotliwy, aczkolwiek znacznie opóźniony. Powinienem domyślić się wcześniej. Ta jej nagła zażyłość z Adrianem! Zupełnie do niej nie pasowała. Chłopak nie był ani bogaty, ani wpływowy. A Lola nic nie robiła bez celu. Chciała odwrócić uwagę od swoich kontaktów z Januszem. I ewentualnie wykorzystać go jako alibi – Niemożliwy miał zmartwioną minę. Może wstydził się swej niedomyślności. Albo cierpiał na niestrawność. – Początkowo, po tym długim wywodzie inspektora, ewidentnie obliczonym na prowokację mordercy, planowałem obserwować wszystkich podejrzanych. Dlatego wspomniałem o listach i poczcie... Ale i mnie Bartnik przechytryła. Zachciało mi się spać, nogi zrobiły się ciężkie... Trochę trwało, zanim oprzytomniałem.

- Jak to zrobiłeś? Mnie nie mogli dobudzić jeszcze rano - Lidia patrzyła na Feliksa z niedowierzaniem.

- Może nie wypada o tym mówić przy damach. Ale w końcu byłem jako tako zdolny do działania. Najpierw zadzwoniłem na policję, w obawie o resztę. Wymknąłem się z pokoju i ruszyłem do Nowego Lasku. Bałem się, że Lola zdąży przede mną. Podkrađłem się pod pani dom i czekałem. Długo, może z godzinę.

- To gdzie pan się chował? – wtrąciłam – Nie pojawił się pan u mnie.

- Niestety, jak mawia inspektor. Ledwo na szosie zamajaczyła postać Loli, już miałem na karku Bieguna. Kazał mi siedzieć cicho, a potem wyekspediował z powrotem do pensjonatu. Aha, jeszcze musiałem skoczyć po lekarza. To kawalek, aż do Pustkowie.

- Chciał się pana pozbyć – stwierdziłam.

- Możliwe. Wytłumaczył, że jest pani zupełnie bezpieczna. Że wewnątrz jest uzbrojony policjant.

- Był tam Rożek. Wskoczył zupełnie jak z procy – przyznałam.

- Obudziłem doktora, bo miał wyłączony telefon. Nie był specjalnie uszczęśliwiony moją wizytą. Ale przydał się. Zbadał wszystkich i stwierdził, że trzeba czekać. Kazał mi czuwać i sam został aż do rana – Feliks popatrzył na mnie. – Opowiedział o pani wspaniałej samoobronie.

- Hm - mruknełam niewyraźnie.

- Musi być pani bardzo odważna – chwaliła mnie Lidia – Ja chyba

umarłabym ze strachu.

- Niewiele brakowało. Ale żyję. Bartnik zabiła już dwóch ludzi i miała paskudny, ostry nóż.

- A co było w skrzynce? Rzeczywiście list od Janusza?

- Nie. Naszyjnik wart fortunę – odparłam.

Lidii zabłyśły oczy.

- Klejnoty?

Skinęłam głową.

- I to cudowne. Rubiny i diamenty. Wykończone misternym splotem platyny. Obie równocześnie westchnęłyśmy. Czasy się zmieniają, mijają epoki, ale na dźwięk słowa „diamenty” kobietom tak samo świecą się oczy.

- Kunsztowna, wspaniała robota – podjęłam. – królewska kolia.

- Och – Lidia zastanowiła się – to komu ona teraz przypadnie?

- Zapewne pani.

- O ile nie znajdą testamentu – dodał przewrotnie Feliks. - Może to ja ją dostanę?

Uśmiechał się do siebie, asymetrycznie unosząc kącik ust. Nie ogolił się i miał cienie pod oczami. Czarny podkoszulek i wymięte spodnie, wyraz znużenia na twarzy, nieregularne rysy.

Nigdy nie spotkałam atrakcyjniejszego faceta.

Odwróciłam wzrok. Paskudny, niedogolony typ.

- Może i pan – rzuciłam sucho. – Nawet będzie panu do twarzy w tych kolorach.

Niemożliwy odchylił się do tyłu i parsknął śmiechem. Śmiał się długo, zaraźliwie. W końcu i Lidia zaczęła się śmiać, a po niej i ja. Choć cały czas nasłuchiwałam, czy nie nadjeżdża Biegun z kajdankami.

Do gabinetu zajrzał policjant.

- Pani Figiel? Proszę do nas.

Spędziłam sporo czasu w kuchni, szczegółowo relacjonując ostatnie wydarzenia, ze szczególnym uwzględnieniem minionej nocy. Funkcjonariusz notował każde moje słowo. Opisałam nadejście Loli Bartnik, to, co mówiła, i na koniec przeszliśmy do rzeczy:

- Czy Bartnik groziła pani?

- Dodała czegoś do mojej herbaty i chciała, żebym to wypić. Stała tuż przede mną z nożem w ręku. Nie chciałam pić. Mogła mnie otruć. Wzięła zamach ręką z nożem i wtedy ją uderzyłam. Musiałam to zrobić. Celowała w moje gardło.

- Co było dalej?

- Bartnik upadła i zaczęła krzyczeć. Nóż wypadł jej z ręki. Do środka wpadła policja i ją obezwładnili.

- Tak. Teraz proszę jeszcze raz opisać, co było potem.

Pytali i pytali, aż zaczęło mi się kręcić w głowie. Wreszcie, po godzinie, mnie zwolnili. Wysłałam na zewnątrz. Wciąż mgła i cisza. W nieruchomym powietrzu nie drgnęłoby nawet piórko, nie wspominając o moich utrwalonych lakierem włosach.

Na skraju pomostu, tuż przy drabince, siedzieli Adrian i Łucja. Opatuleni w koce, sprawiali wrażenie stałych elementów krajobrazu. Z pensjonatu wyszła Lidia.

- Pora wracać – głos miała rześki. Rozejrzała się wokół. – Piękne miejsce. Szkoda, że to tak się potoczyło. Przykro mi – wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją uścisnęłam, zastanawiając się, co miała na myśli. Może sądziła, że pensjonat straci na popularności? Albo wyrażała żal, że musiałam uczestniczyć w śledztwie w sprawie morderstwa?

- Powodzenia – odparłam. Lidia uśmiechnęła się.

- Dzieci tęsknią. Ja też już nie mogę się doczekać. Dziękuję pani za wszystko – dodała i nagle uścisnęła mnie serdecznie, po czym szybko się odwróciła.

Patrzyłam, jak idzie w stronę młodych, jak się z nimi żegna. Przy samochodzie czekał Feliks. W skórzanej kurtce na czarnym podkoszulku, wyprostowany i znowu czujny. Wpakował jej bagaże, i otworzył drzwi od strony kierowcy. Lidia pocałowała go w policzek. Po chwili włączyła silnik. Wóz zazgrzytał, wypuścił obłok spalin i ruszył ku bramie. Zaraz zniknął, zasłonięty linią drzew przy drodze.

Niemożliwy stał jeszcze patrząc za nim, gdy z domu wynurzyli się policjanci. Nieśli laptop i drukarkę. Zapakowali wszystko do radiowozu, objaśnili, że jesteśmy wolni i możemy robić, co się nam podoba, i też odjechali.

Feliks poszedł do siebie. Pewnie się pakował, podobnie jak młodzi. Pomyślałam, że pora na małe porządki. Tak czy tak, sprzątać trzeba. Włączałam zmywarkę, gdy zadzwonił telefon.

- Mam chętnych na trzy pokoje od piątku – Dunaj mówił tak głośno, że musiałam trochę odsunąć słuchawkę – Grzybiarze. Niech pani wszystko przygotuje. Wyżywienia nie chcą.

Dobre i to. Mniej zamieszania, mniej pracy. Za to później trzeba będzie szorować kuchnię, o ile użyją piekarnika do suszenia grzybów. Nawet lubię ten zapach, kojarzący się z napełnianiem spiżarni, kolorowymi słoikami marynowanej papryki, układanymi w stosy dyniami i kabaczkami, konserwowym groszkiem i marchewką. No i z Wigilią. Sama wprawdzie nie umiem robić przetworów, ale zawsze chętnie je jem, o ile tylko mam sposobność.

Posprzątałam gabinet i korytarz, wypolerowałam naczynia, wymyłam podłogę w kuchni. Zajrzeli do mnie Łucja i Adrian, oboje w dżinsach i kurtkach, oboje z bagażami i ulgą wypisaną na twarzach.

Łucja ucałowała mnie w oba policzki.

- Na pewno niedługo znów się zobaczymy – zapewniła. – Będę odwiedzać wuja co najmniej raz w miesiącu. Myślałam, że załamie go to morderstwo, ale on się ożywił. Chyba lubi zagadki.

- Może i ja przyjadę czasem z Łucją – dodał Adrian, niepewnie zerkając na dziewczynę - o ile nic mi nie wypadnie.

Pokiwałam im ręką na pożegnanie. Miła para. Nartowicz nie robi wrażenia załamane... Widać Lola nie omotała go do końca.

Nagle nie było już nic do zrobienia.

A gdzie Feliks? Na pomoście z lornetką w dłoniach. Lustrujący srebrną toń jeziora.

- Biegun już się nie zjawi – powiedział podnosząc się na mój widok – Można wracać.

- Pan też wyjeżdża? – mój głos brzmiał obojętnie.

- Chyba tak – Niemożliwy patrzył na wodę. - Ale może nie dziś. Zostanę jeszcze trochę, spakuję rzeczy Oskara – odwrócił się do mnie – No, i trzeba zrobić coś w rodzaju spotkania w bibliotece. Dziś po południu. U pani.

Zgodziłam się z nim (Hura! On chce zostać!). Spotkanie powinno być. Jeśli chodzi o mnie, to może być tylko dwuosobowe.

- Wracam do siebie – oświadczyłam po chwili. Muszę się przygotować. Masczka na twarz, może nowy kolor na włosy. Mało czasu. – Mam trochę pracy w domu.

Idąc przez wilgotny las, spowita wilgotną mgłą i poprawiając wilgotną pelerynę, zatęskniłam za latem. Przypomniały mi się moje zagraniczne wakacje na wyspie Rodos. Upał, osiołki, mozolna wędrówka w palącym słońcu, temperatura dobiegająca do pięćdziesięciu stopni, czerwone twarze turystów, freski w kaplicy ze świętym z głową szakala a może wilka. Białe kolumny, strzaskane budowle i niebotyczny żar. Myślałam, że nigdy nie zatęsknię za tą wycieczką, ale teraz chętnie ogrzałabym się nawet na samym szczycie antycznego forum. Nie zdołałam go zwiedzić, gdyż wytopił mi się tłuszcz w żyłach. Albo coś podobnego. Pamiętam, jak wreszcie zesłam do portu, na plażę i zanurzyłam się w zimnej wodzie...

A może by tak gdzieś wyjechać... z przystojnym mężczyzną u boku, w nowych ciuchach i nowym rodzajem stożka na głowie...

Wróciłam do siebie. Uporządkowałam salon, znów wytarłam podłogę, zrobiłam sobie zapiekankę ze szpinakiem. Prosty przepis – mrożone ciasto francuskie, rozmrożony szpinak zmieszany z masłem, serem i czosnkiem, trochę soli, i piekarnik.

Zjadłam. Zażyłam raphacholin. Popiłam miętą. Teraz mogłam zająć się sobą.

W łazience rozłożyłam rozmaite środki upiększające. Nałożyłam podkład, krem, róż i puder. Umalowałam rzęsy. Starannie uczesałam włosy. No, gotowe.

Zdążyłam rozwiązać łatwe sudoku i przeczytać całą kolorową gazetę, zanim rozległ się dzwonek do drzwi. Pojawił się inspektor Biegun wraz z sierżantem, a tuż za nimi Niemożliwy. Biegun, wystrojony w nowy wełniany garnitur i kremową koszulę, kontrastował strojem z Waldemarem, którego długą sylwetkę okrywały czarna kurtka i dżinsowe spodnie. Feliks wydobyl skądś zamszową marynarkę i prezentował niedbały szyk. Nawet się ogolił. Przymrużając oko, wręczył mi butelkę wina.

- Pozwoliłem sobie zaprosić jeszcze dwie osoby – oznajmił inspektor z przepraszającym gestem. - Ksiądz Kolendo powinien zaraz się zjawić.

Zaprowadziłam ich do salonu, ale żaden nie usiadł; inspektor od razu zaczął oglądać książki na półkach, a sierżant dołączył do mnie w kuchni, domagając się herbaty.

Znalazłam gościnne ciastka, podałam kawę, zaproponowałam alkohol. Znowu odezwał się dzwonek. Pojawił się stary ksiądz wsparty na lasce, a za nim doktor Malik z nieodłączną torbą lekarską na ramieniu. Po powitaniach, zdejmowaniu płaszczy i szykowaniu kolejnych napojów, usiedliśmy przy stole i Biegun przystąpił do rzeczy.

- To nieoficjalne spotkanie - mówił, wstając z miejsca i ruszając wzdłuż pokoju – Ale zdecydowałem się przedstawić państwu, jako najbliższej rodzinie zmarłego – tu wskazał na Feliksa – i najbardziej zagrożonej osobie – uklonił się w moją stronę – wyniki naszego śledztwa.

Zrobił pauzę, by po sekundzie podjąć:

- Wszystko zaczęło się od wygranej na loterii. Sześć milionów złotych to suma, która pozwala na realizację wielu planów i umożliwia całkowitą zmianę trybu życia – westchnął cichutko. Zaciekawilo mnie, czy też chciałby zmienić tryb życia. - Oskar Miler. Człowiek sukcesu. Szef jednego z oddziałów dobrze prosperującej firmy, ojciec dwójki dzieci, mąż pięknej żony. Zdawałoby się, że nic mu nie brakuje do szczęścia. Ale ten obraz nie jest prawdziwy. Ponieważ Oskar Miler nie jest zadowolony z tego, co ma. Lubi imponować innym. Lubi być podziwiany, lubi być ważny. To nic takiego. Wiele osób lubi te rzeczy. Nie każdy człowiek jest tak skromny i pełen umiaru, jak niektórzy z nas - Biegun przedefilował przed nami dwa razy, zanim podjął - Ale Miler chciał być popularny na szerszym forum. Pisał do gazet, sponsorował artykuły na swój temat. Rozdawał dziennikarzom prezenty. Od młodości dużo mówił o życiu duchowym i w tym upatrywał swoją szansę na popularność. Wiemy od pana Wiluka, że już wtedy nazywano go „Kaznodzieją”. Skończył studia, pracował, ale nie przestał myśleć o szerzeniu własnych idei. Popularność jest droga. Mimo dobrych dochodów wciąż potrzebował pieniędzy. Zaczął pożyczać. Brał kredyty, wydawał więcej niż zarabiał, ale wciąż żył dobrze, nawet nad stan. Miał dom, piękny samochód, rodzinę, niczego im nie brakowało. Może inny człowiek byłby szczęśliwy, ale nie

on. Coraz lepsze zegarki, auta, coraz droższe meble... Łatwo go było przekonać do kolejnych wydatków. Wielu sprzedawców cieszyło się z góry na interesy z Milerem. Wreszcie nastąpiło to, co musiało się stać. Stał się niewypłacalny. I co robi Miler? Czy zaciska pasa, oszczędza, czy chroni bliskich? Nie, on nadal pożycza, by dalej kupować i imponować... banki odmawiają, więc gotówki szuka wśród osób prywatnych. Nawet gangsterów. Jednym z nich jest Dresiarz, człowiek bezwzględny, znany z brutalności. Wkrótce żąda zwrotu pożyczki, a wtedy Miler jest naprawdę splukany. W akcie desperacji pożycza pieniądze od dalekiego znajomego, księdza Kolendy. Czy zamierzał zwrócić te środki? Obawiam się, że nie. Tymczasem ksiądz ma kłopoty, choruje, wreszcie traci parafię. Miler ukrywa się przed nim. W końcu Kolendo nie ma żadnej umowy. Nikt mu nie udowodni oszustwa... czy właściwie kradzieży...

Biegun odchrząknął i napił się kawy. Zobaczyłam, jak z kuchni wyłania się nos Imbryka. Zachęcony chwilową ciszą, wielki kot wkroczył do salonu i obszedł wokół wszystkich gości. Inspektor odsunął się jak najdalej. Kot powąchał go, i raptem skoczył na sierżanta, moszcząc mu się na kolanach. Rożek machinalnie go pogładził, a Biegun nieco odetchnął.

- Czas płynie i mija rok. Oskar Miler zostawia żonę, wiąże się z Lolą Bartnik i nadal pracuje. Ma jeszcze jedną cechę, która zapewnia znaczną ilość wrogów. Nie dotrzymuje obietnic. W stosunku do bliskich, podwładnych, znajomych. Ludzie szybko zniechęcają się do niego, zatem musi mieć coraz więcej, by imponować tym, którzy jeszcze chcą z nim rozmawiać – inspektor zamilkł na widok Huncwota. Kot zeskoczył z szafy, na której spał, przeciągnął się, wygiął grzbiet i ziewnął.

- Czy jest ich więcej? – zagadnął Biegun, sięgając po chustkę do nosa. Wytarł dłonie, podejrzliwie spoglądając na kota.

- Nie, ten to już ostatni - zapewniłam go.

- Wszystko się zmienia, gdy Oskar Miler trafia numery totolotka. To jest, totolotka. Chce uczcić to wydarzenie, a przy okazji pochwalić się fortuną. Zaprasza kilka osób do pensjonatu „U Dunaja”. On na mnie patrzy – inspektor powiedział to z obawą.

Huncwot rzeczywiście wytrzeszczał zielone ślepie. Nieruchomy, koci wzrok utkwiał w poruszających się ustach inspektora.

- Huncwot! – na dźwięk mojego głosu kocur otrząsnął się i zaczął udawać, że liże łapę. – Proszę nie zwracać na niego uwagi. Jest łagodny jak baranek – uspokoilałam kłamliwie Bieguna.

- Ach, te futrzane stwory. Zawsze napełniają mnie obawą. Co innego sierżant – wszyscy spojrzeliśmy na Rożka, siedzącego sztywno z Imbrykiem na kolanach – on niczego się nie boi. Ale wróćmy do Milera. Jak dowiedziałem się od państwa, w ciągu pobytu tutaj zdołał zrazić do siebie lub pokłócić się z wszystkimi zaproszonymi gośćmi. Byłą żonę namawiał na powrót w nieokreślonym

charakterze i groził odebraniem dzieci. Adrian Nartowicz dowiedział się, że nie ma co liczyć na obiecany awans, gdyż jest za mało zdolny lub zasłużony. Janusz Wiluk nie dostał nawet obietnicy umorzenia długów. A Lola Bartnik zorientowała się, że ma konkurencję w postaci Łucji, a przede wszystkim w postaci misji religijnej Milera. I że naciągnął ją na zapłatę za wspólny wyjazd. Innymi słowy, rozwścieczył najbliższe sobie osoby. Na dokładkę ściągnął swego dawno niewidzianego brata w charakterze ochrony przed bliżej nieokreślonymi wrogami – inspektor kichnął dwa razy, pokręcił głową i podjął – Możemy się jedynie domyślać, że wciąż nie spłacił wielu ze swoich zobowiązań. A niektórzy wierzyciele, ci liczący codzienny procent, potrafią być bardzo nieprzyjemni. Mógł się bać, że napadną na niego tutaj, w miejscu odosobnionym od świata.

Sierżant pogładził Imbryka pod włos i kot zaczął gardłowo mruścić. Biegun zatrzymał się przy oknie, patrząc w niewyraźny pejzaż. Po szybie spływały krople deszczu.

- A zatem w sobotę wieczór ogłasza przy obiedzie swoje plany. Nie zamierza być wielkoduszny. Fortunę przeznacza na głoszenie wielkości Milera w mediach. Wszyscy są rozczarowani. Niektórzy są wściekli. Lidia wybiega z pokoju. Reszta taktownie zaczyna rozmawiać o innych sprawach. Mija godzina i Miler idzie do gabinetu, do pomieszczenia, w którym spędza od przyjazdu najwięcej czasu. Na dworze szaleje burza. O godzinie dwudziestej pierwszej pani Figiel idzie do wyjścia i widzi Oskara obracającego się w fotelu. Równocześnie z gabinetu wychodzi Lola. Potem, tuż przed wyjściem do restauracji, Janusz Wiluk zagląda do Milera, a następnego dnia zeznaje, że denat tylko coś zamruczał do niego. Rano nikt nie może go znaleźć. Niespodziewanie pojawia się Feliks i rozpoczynają się poszukiwania gospodarza. Wiluk jest zbyt skacowany, by ruszyć razem z nimi; na łódce zostaje też Lola... Ta dwójka nie bierze udziału w akcji. Na denata natyka się pani Figiel - zwłoki leżą w łodzi częściowo wypełnionej wodą, głęboko w trzinach. Nie ma narzędzia zbrodni. Rozpoczyna się śledztwo.

Biegun powiódł wzrokiem po pokoju. Wszyscy słuchali, nawet Huncwot. Może tylko doktor Malik robił wrażenie nieco znużonego. Przymknął oczy, machinalnie ściskając kubek z kawą. Feliks patrzył w ogień, a oczy księdza błyszcząły ciekawością.

- Od początku wiele poszlak wskazywało na to, że morderca zamierzał obciążyć zbrodnią Lidię Miler. Po pierwsze, kolczyk w dłoni zmarłego. Doktorze!

Malik otworzył oczy.

- Kolczyk – powiedział głośno. - A, kolczyk. Był zaciśnięty w palcach Milera. W momencie śmierci następuje rozkurcz wszystkich mięśni, także rąk. Niemożliwe, by denat utrzymał go w dłoni. Ktoś włożył go tam później – wypowiedziawszy to zdanie, doktor zamilkł.

- To była pierwsza, jak widać łatwa do obalenia poszlaka. Druga to

oczywiście fakt zniknięcia Lidii Miler. Wieczorem w sobotę pani Lidia miała na sobie charakterystyczny strój, którego potem nie udało się nam odnaleźć pośród jej rzeczy. Mogło to sugerować, że zostały na nim ślady krwi jej byłego męża i dlatego się go pozbyła. Dalej, czas śmierci. Skoro Miler żył, gdy goście wychodzili do restauracji, a nie żył już z pewnością, gdy wrócili, to jedyną podejrzaną pozostaje pani Miler. Przypominam, że określono czas zgonu pomiędzy dwudziestą trzydziestą a dwudziestą drugą.

- Mnie to nadal wydaje się niemożliwe – oświadczyłam. - Lola wymknęła się po cichu z restauracji?

- Z całą pewnością nie. Mamy świadectwo kelnerów i właścicielki. Nikt z czwórki gości nie zniknął na dłużej niż kilka minut. Ale zaraz do tego dojdziemy. Jak państwo pamiętają, sprawdziliśmy stroje wszystkich obecnych w pensjonacie. Także obuwie. Żadna część garderoby pani Lidii nie była mokra. Co najważniejsze, wszystkie jej buty też były zupełnie suche. Wtedy zrozumiałem, że nie mogła być na zewnątrz tej nocy. Aż do rana szalała ulewa. Obuwie reszty gości było mokre, płaszcze też – ale to nic dziwnego, zważywszy, że wszyscy wyszli do „Laury”. Nie mogli się nie zamoczyć. Pani Bartnik zresztą tego dnia wpadła do wody i miała sporo mokrego ubrania.

- Czyli pozostało panu czworo podejrzanych – odezwał się po raz pierwszy ksiądz Kolendo.

- Albo pięciu – wtrącił Malik, na moment otwierając oczy. Niemożliwy spojrzał na niego nieżyczliwie.

- Albo pięciu – przyświadczył inspektor z zadowoleniem. – Po wykluczeniu Lidii Miler zająłem się bliżej Łucją Lewko. Dziewczyna od początku nie mówiła prawdy. Ona i Nartowicz zupełnie inaczej opisali sposób, w jaki spotkała Milera. Powiedział, że dosiadła się do ich stolika w kawiarni, przy którym siedzieli z Oskarem Milerem. Nartowicz był zaskoczony jej obecnością. Ona uparcie twierdziła, że Adrian sam ją tam zaprosił.

- Mogła nie pamiętać. To było ponad rok temu – zauważyłam.

- Mogła. Ale nie musiała się upierać. Zresztą skłamała także na temat sposobu, w jaki spędziła czas w sobotę po południu. Nigdy nie była na plaży w Pustkowiu. Zapytałem ją, czy widziała wieżę, a ona zaprzeczyła. Nie wiedziała też, że zejście jest piaszczyste i wolne od kamieni.

- Człowiek nie zawsze zwraca uwagę na takie szczegóły.

- Może i nie, ale w sprawie o morderstwo każdy drobiazg jest istotny. Wzbudziła moją ciekawość. Jeśli nie spacerowała po plaży, to gdzie była? I czemu nie chciała o tym powiedzieć? Zacząłem sprawdzać jej przeszłość – Waldemar Rożek zakaszał. – A, tak, to sierżant dotarł do tych informacji. Dowiedział się, że Lewko po studiach dostała propozycję pracy na uczelni. Oraz otwarcia przewodu doktorskiego. Ukończyła chemię z wyróżnieniem, wykładowcy wróżyli jej karierę

naukową. Nam powiedziała, że musiała szukać pracy i rozważała wyjazd za granicę. Dlaczego tak to podkreślała? Bo chciała ukryć fakt, że planowała zatrudnić się w firmie Milera. Dalsze śledztwo potwierdziło ten fakt i jego przyczynę. Miler skrzywdził jej wuja, księdza Kolendo. Łucja chciała się na nim zemścić.

- To są insynuacje – przerwał ksiądz. - Nie może pan tego wiedzieć na pewno.

- Pani Lewko potem przyznała, że miała taki pomysł. Potem, w trakcie pracy i w miarę upływu czasu wydało się jej to dziecinne i odstąpiła od tej myśli. Inną rzeczą jest planować zemstę na obcym człowieku, a inną na osobie codziennie spotykanej. Chcesz czy nie chcesz, postrzegasz ją inaczej niż wcześniej, tworzy się więź, w tym przypadku oparta na pracy, nie emocjach – inspektor popatrzył na kota zwiniętego u swoich nóg. Ostrożnie przesunął się nieco dalej. – Łucja z czasem nabrała nadziei, że namówi Milera na spłatę długu. Miała zamiar poruszyć tę sprawę tutaj, w pensjonacie.

- Jak zareagował Oskar? – zainteresował się Kolendo.

- Odmówił stanowczo i nieodwołalnie. Wszystko, co miał, zamierzał przeznaczyć na swoją misję.

- Idea nadwartościowa – doktor kołysał się na krześle.

Zaciekawiło mnie, co też robił w nocy. Mógł odbierać skomplikowany poród albo tamować krwotok tętniczy za pomocą palca wskazującego, podczas gdy torba z przyborami pozostawała poza jego zasięgiem, a odjęcie palca oznaczało całkowitą utratę krwi. Albo z zaciśniętymi ustami aplikował pacjentowi kolejne dawki środków przeciwwstrząsowych, walcząc z narastającym obrzękiem krtani i przeprowadzając doraźną tracheotomię. Lub przeprowadzał niewielki zabieg przyszycia odciętej niechcący przez osobnika z siekierą kończyny. Może reanimował równocześnie dwie ofiary wypadku w wesołym miasteczku. Albo...

- Bardzo pan zmęczony – w głosie księdza brzmiało współczucie.

- To tylko nieszkodliwa mania – dodał doktor wciąż z zamkniętymi oczami.

– Wczoraj całą noc oglądałem Ligę Mistrzów.

Sierżant Rożek natychmiast się ożywił.

- Widział pan, jak Ramos faulował? Znów wymusił karnego... a ten samobój...

- Cicho, sierżancie – Biegun kręcił się na krześle. - Omawiamy tu wyniki śledztwa. Naszego śledztwa – rozejrzał się, upewniając, że znów jest w centrum uwagi – Byliśmy przy pani Lewko. Jak najbardziej mogła zabić Milera. Miała motyw i jest osobą z temperamentem. Poświęciła ponad rok życia na osaczenie człowieka, który złamał życie jej wuja.

- Kiedy pan przestał ją podejrzewać?

- Cóż, aż do końca brałem ją pod uwagę. Mogła zabić Milera, na przykład wracając po coś do pensjonatu, gdy w sobotę o dwudziestej pierwszej piętnaście

wszyscy już byli w jej aucie, gotowi do odjazdu. Nie musieli tego pamiętać. Mogła wyjść z pensjonatu ostatnia, po drodze wstępując na chwilę do gabinetu... miała mokre buty, płaszcz... była moją główną podejrzaną.

- A co z resztą gości?

- Adrian Nartowicz. Tutaj motyw trudno by było znaleźć. Oczywiście, jego też Miler nabrał, obiecując mu awans, a później wykręcając się z tej obietnicy. Ale pan Nartowicz to człowiek działający z rozmysłem, raczej nie w afekcie. Nie mogłem wyobrazić go sobie w napadzie gniewu, chwytającego za nożyce do drobiu. Jedynym czynnikiem obciążającym go była fotografia w internecie. Była tam informacja, że wygrał konkurs w rzucaniu nożami.

- To straszne – przejął się ksiądz.

- Chodziło, niestety, o grę komputerową.

A to dopiero. A ja cały czas sądziłam, że Adrian jest mistrzem tej rzadkiej sztuki.

- Ojej – wyrwało mi się.

Niemożliwy posłał mi uśmiech. Skrzywiłam się. Niech się wypcha. Przecież nie za mną „szaleje”.

- Wykluczyłem, przynajmniej teoretycznie, pana Adriana – podjął inspektor. – Teraz zacząłem przyglądać się Januszowi Wilukowi. Na nim śmierć Milera wywarła największe wrażenie. Zupełnie się zmienił. Pił coraz więcej, stał się roztrzęsiony, nie wziął udziału w poszukiwaniu przyjaciela w niedzielę rano... można to było wyjaśnić bliskim związkiem z denatem, wieloletnią przyjaźnią - zawiesił głos - albo poczuciem winy. Wiluk był hazardzistą, pił, kochał życie. Kochał kobiety. Ale bał się kalectwa i śmierci. Bał się choroby Parkinsona, ponieważ musiał patrzeć na spustoszenie, jakie to schorzenie czyni w bliskim mu człowieku – Biegun popił zimnej kawy. - Ale i jego Oskar zawiódł, odmawiając mu pożyczki czy też umorzenia długu. Wiluk był w bardzo trudnej sytuacji. Przywykł żyć nad stan, nie licząc się z wydatkami. Wygrana na loterii, zaproszenie do pensjonatu – liczył na więcej. O wiele więcej. Na dokładkę był ostatnią osobą, która widziała Milera żywego.

- A jak miałyby go zabić?

- Z łatwością, wychodząc z gabinetu. Działał impulsywnie, właśnie tak, jak morderca. Był potężnym, silnym mężczyzną. Oskar nie zdążyłby nawet mrugnąć. Potem musiałyby tylko zanieść zwłoki do łodzi. W dowolnej chwili tej samej nocy.

Siedziałam nieruchomo, wyobrażając sobie czarne, rozrywane błyskawicami niebo, mokre deski pomostu, gorączkowe szepty, poszukiwanie klucza w szopie. Zdyszany Janusz bierze ciało przyjaciela i sypcha je w dół. Głuche tąpnięcie. Odepchnięta łódź kołysze się na wodzie, wiatr popycha ją coraz dalej i dalej, w mrok... Janusz patrzy za nią, twarz wykrzywia mu wyraz bólu...

- Musiało tak być – powiedziałam głośno – dlatego nie mógł dojść do siebie

przez ten cały czas. Męczyła go świadomość, że pomógł w zatarciu śladów.

- Pił coraz więcej. W dniu przed swoją śmiercią odwiedził księdza Kolendę w towarzystwie Łucji. Zapewne domyślił się historii z pożyczką. Słyszał o niej od Lidii. Teraz połączył to z Łucją i zorientował się, że miała motyw. I następnego dnia rano już nie żył. Kolejny czynnik obciążający pannę Lewko.

- Dlaczego ukradł leki księdza? – zaciekałam się.

- Nie ukradł ich. Ksiądz przyjmował haloperydol w postaci roztworu. W kieszeniach pana Wiluka znaleziono ten lek, ale w tabletkach. Zresztą nigdy by nie zażył dobrowolnie tego środka.

- Haloperydol może spowodować objawy choroby Parkinsona – wtrącił się doktor Malik. - A Janusz Wiluk najbardziej bał się właśnie objawów tej choroby.

- Zachowanie Wiluka wskazywało na wstrząs. Zmienił się, wciąż sięgał po alkohol. Pamiętają państwo teorię, jaką wyłożyłem wam wczoraj wieczorem - o Januszu jako mordercy i następnie samobójcy. Teoretycznie można założyć, że zabił Oskara w napadzie złości, ale trudno uwierzyć w wersję wyrzutów sumienia prowadzących do targnięcia się na własne życie. Zresztą nie mógł użyć haloperydolu, substancji, którą znaleźliśmy w jego żołądku i w piersiówce. Obsesyjnie obawiał się niesprawności związanej z drżeniem, sztywnością, czy unieruchomieniem - a takie są objawy parkinsonizmu – inspektor wskazał na doktora – jak uświadomił to nam Bart Malik.

- Janusz nigdy by nie ryzykował, że w przypadku odratowania go będzie inwalidą - wtrąciłam – W ogóle nie wybrałby trucizny.

- To prawda - ożywił się doktor - Są znacznie skuteczniejsze sposoby. Na przykład skok z wysokości czy powiesze... mniejsza z tym – zakończył niezręcznie pod surowym spojrzeniem księdza.

- Doszedłem do wniosku, że śmierć Wiluka też była morderstwem. Zuchwałym morderstwem, popełnionym tuż pod moim nosem. Dodatkowo komplikowały sprawę leżące obok narzędzie zbrodni i tunika Lidii Miler. Dziwnym trafem odnalazł się także telefon denata. Niewątpliwie morderca podrzucił te przedmioty w celu skierowania podejrzeń na pana Wiluka albo panią Miler. Jak już wspomniałem, panią Lidię wykluczyłem. Siłą rzeczy musiałem też wykluczyć Janusza Wiluka. Przecież i jego zabito. Adriana nie traktowałem poważnie. Pozostało mi zatem trzech podejrzanych. Lola Bartnik, Łucja Lewko i Feliks Miler.

Inspektor Biegun powiódł rozpromienionym wzrokiem po zgromadzonych osobach. Niemożliwy oddał mu spojrzenie, prostując się w fotelu.

Doktor nadal przebywał w świetle przystrzyżonej murawy, wywalczonych fauli, pędzących lewonożnych i prawonożnych osobników w różnobarwnych adidasach i trzepoczących o siatkę piłek.

Ksiądz słuchał w napięciu.

Natomiast sierżant Rożek wyszedł do kuchni. Zaparzył świeżą herbatę, ładnie ustawił na tacy szklanki i wszystko to umieścił na stole wraz z cukiernicą i serwetkami. Biegun od razu sięgnął po naczynie i wypił spory łyk.

- Tak, dobrze, Rożek. Niezwykły smak. Coś orientalnego. Pamiętam, jak kiedyś trafiłem w Turcji do małej kawiarenki na brzegu Bosforu. Dziwne miejsce. Ogromny ruch na wodzie, tłum turystów, auta, wszystko brzęczy, pluszcze, ryczy i dymi. A starzy Turcy spokojnie popijają swoją maślaną i grają w gry planszowe. Jakby przebywali w innym wymiarze. Niektórzy stoją z wędkami zanurzonymi w wodzie zupełnie obojętni wobec przepływających barek, kutrów, statków wycieczkowych, motorówek i transatlantyków. Ale szło o smak herbaty. Tam właśnie podano mi mieszankę niezwykle wręcz egzotyczną, złożoną z kwiatów jaśminu, hibiskusa, tulipanów i granatu czy też ananasa. Wszystko razem pachniało jak wydzielina skunksa. Uciekłem stamtąd, goniony przez kelnera, który w pościgu za mną przekroczył Bosfor i wiele przepisów ruchu drogowego. Niestety, kelner wpadł na to, gdzie jestem, oraz na mnie przycupniętego na krawędzi zaniedbanego ogrodzenia ozdobionego misternym ornamentem. Za ogrodzeniem można było dostrzec wysmukłą wieżę pałacu jak z baśni Aladyna. „Pańska herbata, sir” - powiedział podając mi kubek - „Czy moglibyśmy służyć czymś jeszcze?” - inspektor westchnął tęsknie – Oczywiście otrzymał spory bakszysz. Ale wracając do morderstwa. O czy mówiłem?

- Mówił pan o mnie - wtrącił sucho Feliks.

- Pan Miler. Drugi, oczywiście. Brat nieżywego Milera. Tajemnicza postać, jak wydobyta z kart powieści. Człowiek powracający po latach. To do niego zwraca się o pomoc Oskar, czując niepokój związany z Dresiarzem, a może i z przyjaciółmi. Albo z niedawno zdobytą fortuną, bądź z cennym naszyjnikiem. W każdym razie pan Feliks deklaruje gotowość do zabezpieczenia brata przed ewentualnym atakiem zbrojnym i czuwa w pobliżu pensjonatu, już to szwendając się po lesie, już to obserwując krajobraz za pomocą pary bystrych oczu i ogromnej lornetki Zeissa, już to czołgając się w okolicach jeziora w nadziei, że przypadkowy widz weźmie go za zaskrońca lub żabę. I co? I nic. Nie dzieje się nic podejrzanego. Czas płynie, aż nadchodzi sobota i właśnie wtedy pan Feliks opuszcza stanowisko na przyczółku wśród sosen, zasłaniając się niedostatkiem widoczności oraz rozsądkiem. Jednak może przysiąc, że nikt obcy nie pojawił się w pobliżu pensjonatu tej nocy.

- Bo się nie pojawił – Niemożliwy siedział spokojnie, popijając herbatę. Kąciki ust leciutko mu drgały. - Nie mogłem patrzeć równocześnie na wejście do domu i na jezioro. Założyłem zresztą, że nikt nie podpłyne w taka burzę. Fala była spora. Pioruny uderzały w jezioro.

- Zatem jest sobota i w pensjonacie pozostaje tylko samotny milioner wraz z byłą żoną. Szumi woda, strugi deszczu spadają z mokrych obłoków, grzmoty

przerażająco huczą, ludzie małoduszni siedzą pod stołami, odważni uchylają lekko zasłony, bogaci liczą zyski, weseli tańczą, a rozsądni śpią – zaszeleściła marynarka inspektora. Biegun wyciągnął opakowanie papierowych chusteczek i zaczął po jednej wydobywać je z celofanu. – Ale nikt obcy nie pojawia się w zasięgu wzroku czuwającego Feliksa. Wywnioskowałem z tego, że albo pan Feliks sam zabił brata – co przy jego fizycznych możliwościach nie stanowiło żadnego problemu – albo nie było nic do zobaczenia. Co zresztą okazało się prawdą. Na razie jednak skupmy się na Feliksie. Wiąże go z Oskarem krew, ale nic poza tym. Nie lubili się od dzieciństwa. Więcej, Feliks musiał poniekąd przez Oskara wcześniej opuścić dom rodzinny i samodzielnie stanąć na nogi. Jest jednym z jego głównych spadkobierców – papierowe chusteczki tworzyły niewielki domek na chwiejnej podstawie. – Był oczywistym podejrzanym.

- Co go oczyściło z podejrzeń? – chciał wiedzieć ksiądz.

- Śmierć Janusza Wiluka. Poprzedni dzień pan Feliks spędził na prowadzeniu własnego, prywatnego śledztwa, pełnego tajemnic i przemocy. Popołudnie i większość nocy zeszło mu na podróży do stolicy i wyrównaniu rachunków z Dresiarzem. Tak a'propos, to Dresiarz od momentu, gdy znów może mówić, czyli od dziś rano, niezmiennie twierdzi, że potrącił go samochód. Tak czy tak, nie przypuszczam, by pan Feliks otruł kogokolwiek. Jego bronią nie jest trucizna.

- Już przedzej beretta – mruknął doktor.

- Albo Smith&Wesson – dorzucił sierżant.

- Albo obrzyn – wtrącił się ksiądz.

- Albo wybuchowa fasola pana Jasia z „Neptuna” - stwierdziłam, nie mogąc już tego znieść. – Lub nieco przechodzona marchewka z groszkiem. Okropnie niebezpieczna. Albo kij i sznurek. Albo...

- Albo nóż – podjął inspektor z zadowoleniem. - Albo cios zadany ciężkim narzędziem z okrutną nieomyślnością prosto w kość skroniową.

- Dziękuję – odezwał się z namaszczeniem Niemożliwy, nieznacznie unosząc się z fotela.

- Nie ma za co. Był pan nadal podejrzany, choć mniej. Ktoś, kto wkłada tyle serca i pięści w prywatną wendettę, odsuwa od siebie podejrzania. Prześledziliśmy pańską przeszłość, stwierdziliśmy, że stał pan generalnie po stronie dobra, matek, dzieci i rodziny, a przeciw złu, narkotykom, bandziorom i alfonsom, po czym zajęliśmy się panią Bartnik.

Westchnęłam.

- Wcale jej nie podejrzewałam. Nawet kiedy weszła do mojego domu wczoraj w nocy. Lola mordercą? Niedorzeczne.

- Jedna rzecz zwróciła moją uwagę - kontynuował inspektor. - Relacja Janusza Wiluka na temat początku ich znajomości. Poznali się w barze na warszawskiej Pradze. Według niego Lola tańczyła przy rurze, a według niej była

kompletnie odzianą śpiewaczką. Niby drobiazg, ale jedno kłamstwo zwykle ukrywa inne. Zacząłem myśleć. Może Oskar nie wiedział, że wiąże się ze striptizerką? Może ktoś „życzliwy” poinformował go o tym w trakcie pobytu tutaj, w pensjonacie? Może była nie tylko striptizerką, ale i prostytutką?

- Janusz musiał wiedzieć.

- Ma pani rację, Janusz wiedział o niej bardzo dużo. Ale Janusz Wiluk ją kochał. Po swojemu, ale wiernie. Nie mógł zapewnić jej takiego poziomu życia, jakiego oczekiwała, ale zawsze był pod ręką. Woził ją na obiad, do fryzjera, zabierał na kolacje... Tak więc zacząłem tworzyć teorię. Co by się stało, gdyby Oskar Miler, świeżo odkryty kaznodzieja, dowiedział się, że jego partnerka to była prostytutka?

- Wiadomo, co - odparłam z gniewem. - Pozbyłby się jej. Strząsnął z siebie i wysterylizował ubranie, którego dotykała. Nie pasowała mu do wizerunku.

- Załóżmy, że tak się stało. Po południu w sobotę dzwoni telefon Oskara. Nowe wiadomości. Może dotyczą Loli, a może nie. Lola i tak nie będzie już długo przy Oskarze – jak pani słusznie stwierdziła, nie pasuje do jego medialnych planów. Mówi jej o tym, przy okazji zaznaczając, że na próżno wydała pieniądze na ich wspólne wakacje.

- Była wściekła wieczorem po kolacji – przypominałam sobie Lolę w fotelu przy kominku i kolejne papierosy lądujące na talerzyku.

- Drugie kłamstwo dotyczyło rzekomego spotkania Lidii Miler i Janusza Wiluka przed barem „Neptun” w Pustkowie. Znaleźliśmy świadka – starszą panią w domu naprzeciw – która spędziła cały wieczór przy oknie, patrząc na bar. Czekala na syna, bojąc się, że znów wróci nietrzeźwy. Jest pewna, że żadne tajemnicze spotkanie nie miało tam miejsca. Sprawdziliśmy to. Ma doskonały widok na okolicę „Neptuna”. Zatem Lola znów skłamała. Mogła to zrobić tylko w jednym celu – by jeszcze bardziej pogryźć Lidię, tym samym odwracając uwagę od siebie.

- A kogo dotyczyła uwaga Janusza, żeby kogoś ostrzec? – zainteresowałam się.

- Możemy się tylko domyślać. Mniemam, że Wiluk miał na myśli Nartowicza, będącego pod coraz większym wpływem Loli. Bartnik specjalnie go omotała, by zyskać kolejnego sojusznika i ukryć swój związek z Wilukiem.

- Mnie ten nagły romans też wydał się nienaturalny. Niepokoił mnie, ale nie wiedziałam dlaczego.

- Adrian nie jest bogaty ani bardzo atrakcyjny. Lole tego świata wybierają mężczyźni dobrze sytuowanych, z ustaloną pozycją. Nic dziwnego, że Wiluk chciał go ostrzec. W końcu to jego Lola wmanewrowała w zacieranie śladów zbrodni.

- Ale jak naprawdę wyglądała ta zbrodnia? Czy Lola się przyznała?

- Pani Bartnik do niczego się nie przyznaje. Twarda z niej sztuka. Twierdzi,

że wszystko było sfirowane, i że to pani na nią napadła.

- A trucizna w moim kubku? – oburzyłam się. - A nóż?

- Trucizna miała być dla niej, a nóż służył samoobronie. Dobrze, że mamy świadków na wszystko, co mówiła po wejściu do pani domu. Inaczej z pewnością by się wywinęła.

- Przecież chciała zabrać naszyjnik! O mało mnie nie zabiła!

- Klejnoty. Oskarża panią o kradzież. Według niej zabrała pani kolbę z jej walizki i ukryła u siebie w domu. Poszła odebrać swoją własność i padła ofiarą rozboju.

Złapałam się za głowę, niszcząc kompletnie staranną fryzurę.

- No, niechże się pani przyzna - zachęcił mnie Niemożliwy – zabiła pani Oskara Milera? Przysięgłbym, że widziałem podobną do pani sylwetkę przemykającą w sobotnią noc z łupem w walizce... Na straży stały dwa wielkie koty, w napięciu prężąc ogony. Jeden z nich przejął łup umieszczając go w charakterze obręczy na puszystym brzuchu. Cechą charakterystyczną tajemniczej sylwetki była niebanalna fryzura i ogólny wdzięk...

- Więcej powagi – zganił go inspektor. - Niewątpliwie zabiła Bartnik. Poza oczywistym dowodem, jakim jest jej przyznanie się do winy wobec pani Figiel, wskazuje na nią charakter zbrodni – palec wskazujący Bieguna uniósł się w górę – czyli zbrodni w afekcie.

- Zanim pan będzie mówił dalej, muszę się znowu napić kawy – doktor powstrzymał ziewnięcie – ten sport to straszny nałóg.

Inspektor i Malik dostali napar z ekspresu. Reszta zadowolila się herbatą albo wodą. Popatrzyłam za okno. Mżawkodzień miał się ku końcowi. Ciemno i cicho. Tylko monotonny szum wody w rynnach. Kąty pomieszczenia tonęły w cieniu. Może Oskar też tu jest – pomyślałam i włączyłam stojącą lampę. Od razu lepiej. Ciekawe, czy jego dusza zaznała spokoju. Mam nadzieję, że nie będzie się plątać po pensjonacie jak duch śpiewaczki po lesie przy plaży... Ale przecież nie było ducha – uspokoiłam się. To ta uczennica, Edyta jakaś tam. Zupełnie zapomniałam. Muszę zrobić badania pamięci. I komputerowe mózgu. I rezonans magnetyczny. Ech, najlepiej od razu pojadę na PET.

- Zbrodnia w afekcie – podjął inspektor ruszając wokół pokoju. - Tylko tak to się mogło odbyć. Wskazują na to liczne okoliczności i tropy, a także narzędzie zbrodni.

- Nożyce do drobiu – odezwał się sierżant.

- Nikt nie wybiera nożyc do drobiu z premedytacją. Niewygodne, nieporęczne. To pierwsza rzecz. Lola musiała być wściekła, chwyciła to, co było pod ręką, i uderzyła... Raz, potem drugi i kolejny... Od początku sprzyjało jej szczęście. Pierwszy cios przebił serce, ale niemal nie było krwawienia. Większość krwi pozostała w ciele. Dalej. Nikt nie usłyszał krzyku denata. Lola ma głowę na

karku i stalowe nerwy. Myśli szybko. Najważniejsze, żeby nikt nie skojarzył jej bytności w gabinecie ze śmiercią Oskara. Zatem musi udowodnić, że Miler żył jeszcze, gdy opuszczała gabinet. Odwraca fotel z ciałem tyłem do drzwi i czeka. Niezbyt długo. Słyszy, jak pani Alicja głośno się żegna i idzie korytarzem. Wtedy leciutko porusza fotelem – tak, by przechodząca osoba odniosła wrażenie, że Oskar sam kręci się na krześle – szybko podbiega do drzwi, odgrywając scenę wychodzenia z gabinetu. Owszem, pani Alicja widzi wnętrze pokoju, ale tylko przez sekundę, gdyż Lola natychmiast zamyka drzwi i dołącza do niej w holu. Teraz ma świadka, który zezna, że Miler w tamtym momencie jeszcze żył – Biegun popatrzył na mnie z wyrzutem. - Zatem goście szykują się do wyjścia do restauracji, ubierają się i hałasują, a w tym czasie Oskar już nie żyje. Przypominam, że patolog określił czas zgonu między godziną dwudziestą trzydzieści a dwudziestą drugą. Teraz możemy dokładnie stwierdzić, że zginął około dwudziestej pięćdziesiąt. Kwadrans później w pensjonacie nie było już nikogo, oprócz Lidii Miler.

- Przecież Wiluk zajrzał do gabinetu przed wyjazdem – przypomniałam.

- Tak, by uwiarygodnić wersję Loli Bartnik. Powiedziała mu o wszystkim. Musiała komuś zaufać, bo potrzebowała męskiej pomocy. Przypomnijcie sobie państwo, że Janusz zaczął pić właśnie tego wieczoru. Całkiem możliwe, że pierwszego drinka podsunęła mu Lola.

- Wiluk mówił, że Oskar coś do niego powiedział.

- Wiluk był już wówczas nieco pijany. Lola kazała mu tak powiedzieć i tak zeznał. Wierzył jej i ufał. Po powrocie z restauracji musiał pozbyć się ciała. Wyniósł Oskara na zewnątrz i umieścił w łodzi. Resztę zrobiła Lola. Zabrała narzędzie zbrodni, telefon denata i poszła na górę, do pokoju Lidii. Tuż po morderstwie dodała do jej napoju tabletkę nasenną. Teraz zabrała się za dalsze preparowanie śladów. Tunikę Lidii ukryła, a jeden z kolczyków umieściła w dłoni Milera.

- To był błąd – wyrwało się sierżantowi. - Nie było śladów walki. Miler zginął od pierwszego ciosu.

- Słusznie, Rożek. Nawet podwójny błąd, biorąc pod uwagę fakt, że denat nie utrzymałby tego kolczyka w ręku. Kolczyk, tunika, telefon – wszystkiego było za dużo. Tym niemniej niektórzy z nas spędzili poniedziałkowy poranek na poszukiwaniu tych właśnie przedmiotów.

- Skąd pan wie? – zdumiał się Niemożliwy.

- Policja wie wszystko – zachichotał doktor i umilkł, zgromiony spojrzeniem Bieguna.

- Jeden z moich ludzi... obserwował pana.

- Cały czas? – zaniepokoił się Feliks.

- W nocy nie – uspokoił go sierżant. - Ja w nocy śpię.

- Cicho, Rożek. Nie wiem, gdzie je ukryto, ale potem, po zabójstwie Janusza, Bartnik ułożyła je w szopie. Musiała się pozbyć Wiluka. Puszczaly mu nerwy, za wiele pił i lada chwila przyznałby się do współudziału w zbrodni. Tylko, że na truciznę wybrała haloperydol, jeden z niewielu środków, których Wiluk na pewno dobrowolnie by nie zażył.

- Kolejny błąd – sierżant popił herbatę.

- Ale cały czas dopisywało jej szczęście. Nie mieliśmy żadnych dowodów. Wtedy postanowiłem...

- Zastawić pułapkę.

- Zastawić pułapkę. Z pomocą sierżanta, który jest mistrzem w zakładaniu rozmaitych pluskiew, zamontowano w pensjonacie mikrofon – Biegun napuszył się i wyprostował - Najpierw ogłosiłem wszystkim, że kończymy śledztwo, a winny jest Wiluk. Wspomnieliśmy o braku listu, jaki zwykle zostawiają samobójcy. Potem pomógł nam pan Feliks Miler, sugerując, że Janusz mógł zostawić jakąś notatkę na temat morderstwa. Najciekawsze było to, że rzeczywiście zostawił coś w ukryciu. Nie list, ale cenny naszyjnik. Bartnik dała mu go do ukrycia, a on umieścił go w bezpiecznym miejscu. Swoją drogą, genialny pomysł. Musiał zrobić to w drodze powrotnej z Pustkowie, tuż przed swoją śmiercią.

- Wytoczył się za mną z samochodu Adriana. Wszyscy myśleli, że jest pijany... a on chciał schować kolbę. Oparł się na moment o ogrodzenie, tuż koło skrzynki.

- Jednak następnego wieczoru Lola przypomniała sobie tę chwilę. Pani Ala pomogła jej w tym, wspominając o zamiarze sprawdzenia skrzynki na listy. Bartnik nie zwlekała. Dodała środków nasennych do kawy wszystkich gości i wyruszyła do Nowego Lasku. Bała się dwóch rzeczy – po pierwsze, że naszyjnik wpadnie w niepowołane ręce – a po drugie, nie mogła wykluczyć możliwości, że Janusz faktycznie opisał całą zbrodnię. W obu przypadkach musiała być szybka...

- Dziwne, że Miler kupił ten naszyjnik. Sądziłem, że chce wszystko utopić w swoim idee fixe – zauważył Malik. Prawą ręką machinalnie głaskał Huncwota. Czarny zdrajca siedział na pustym krześle obok niego, z najbardziej niewinną miną i wyrazem żałości na mordzie

- Bartnik miała dużą siłę przekonywania. W końcu to unikat, lokata kapitału. Denat zażądał zwrotu klejnotu, i to właśnie w sobotę wieczorem. Lola nadal twierdzi, że naszyjnik stanowi jej własność, gdyż dostała go w prezencie od Oskara. Znosi się, że będzie jeszcze o niego sporo zamieszania. Zresztą przeszukano jego mieszkanie, dom i biuro. Sprawdzone dokumenty i rachunki. Nie ma śladu tych milionów. Musiał gdzieś je ukryć, ponieważ wcześniej odebrał je z banku. To kolejna zagadka tej sprawy.

- Czyli nikt nie planował zabójstwa – stwierdził ksiądz Kolendo.

- Nie, to była zbrodnia pod wpływem chwili. I mordercy cały czas sprzyjało

szczęście. Pogoda, burza, dwuznaczne zachowanie Łucji, pojawienie się brata – wszystko to odwróciło naszą uwagę, a jej umożliwiło pozbycie się Janusza Wiluka. No, ale dość o tym. Morderca schwytany i unieszkodliwiony – inspektor skończył swoją kawę. - Chciałem, by wszyscy państwo poznali okoliczności tej zbrodni.

- A ja chciałem się dowiedzieć, czym pani uderzyła Lolę Bartnik – doktor Malik już nie był śpiący. - To nietypowe złamanie. Kość pękła jak wykałaczką.

Milczałam, wpatrując się w dywan. Cały czas miałam nadzieję, że nie padnie to pytanie.

Cisza się przedłużała. Wreszcie odezwał się inspektor.

- Mogę? Pamięta pani, jak przy naszym pierwszym spotkaniu wspomniałem, że już panią gdzieś widziałem? To nie było w Lęborku ani na uczelni. To było w Słupsku, wiele lat temu. Mogę powiedzieć?

- Jeśli pan musi – mój głos brzmiał obco nawet dla mnie. Nie znoszę, gdy ktoś odkrywa moje tajemnice.

- Pani Figiel brała udział w niezwykłym turnieju. Jedyńm rozegranym w Polsce. Potem ich zakazano. Ale z tego wydarzenia zamieszczono notatkę w krajowym dzienniku i było tam pani zdjęcie. Sam fakt, że zwyciężyła kobieta, był dla dziennikarza zaskakujący – Biegun też sprawiał wrażenie zdumionego – Był to turniej walki chińskiej obciążonymi rękawami. Uczestnicy noszą w szerokich połach kamienie lub metalowe kule, które owinięte w materiał służą jako narzędzie walki. Nikt nie wie, co trzymasz w dłoniach, dopóki nie powali cię cios... Ja sam spróbowałem. Owinąłem pomarańczę w cienki ręcznik, zwinąłem końcówki, i unieszkodliwiłem wiele domowych przedmiotów. Straszna broń, służąca głównie do samoobrony. Oczywiście nie w przypadku pomarańczy. Pani Alicja nie zapomniała tej sztuki... ale mniejsza z tym. Teraz musimy już się zbierać. Mieliśmy zgłoszenie o kradzieży z włamaniem – dodał, patrząc wymownie na sierżanta.

Rożek wstał z krzesła. Porzucony Imbryk miauknął rozpaczliwie.

- Tak, na nas też już czas – doktor i ksiądz poszli do przedpokoju. Zauważyłam, że Kolendo porusza się znacznie sprawniej niż poprzednio.

- Dziś nic mnie nie boli – dostrzegł moje spojrzenie ksiądz. – Zapraszam na partię szachów, przy najbliższej okazji.

- Tym razem nie dam księdzu forów - oświadczyłam, co doktor skwitował nieznacznym uśmiechem.

Wszyscy stłoczyli się na małej przestrzeni, wkładając płaszcze i kurtki. Inspektor rozglądał się za rękawiczkami, ksiądz szukał parasola. Niemożliwy powoli zapinał skórzaną kurtkę. Rożek tymczasem pozbierał kubki i zaniósł je do kuchni. Ten człowiek to dwunożny skarb. Zaczął nawet zmywać, ale Biegun odwołał go ostro.

- W Lęborku napadnięto na kolejną aptekę. Nie mamy czasu.

Wkrótce zostałam sama, nie licząc kotów siedzących w oknach, radia i telewizora. Było mi trochę smutno. Tak, jak na koniec wakacji, gdy człowiek wie, że skończyły się wolne dni i teraz pograży się w monotonii codziennej pracy. Ściągnęłam z nóg pantofle, przebrałam się w czerwony welurowy dres, skończyłam zmywanie. Jutro muszę przygotować pokoje na przyjazd kolejnych gości. Trzeba będzie dokupić kawy, herbaty i cukru. Zmienić pościel, wytrześć dywaniki... posprawdzać łodzie i kajaki. Wyszorować łazienki. Uch. Do tej pory nie przeszkadzały mi te zajęcia. Może nie były to moje ulubione czynności, ale i nie budziły wstrętu. Dziś czułam się inaczej. Złośliwy głosik szeptał w mojej głowie „I to już wszystko, co cię czeka, staruszek”. Głosik miał rację.

Czeka mnie sprzątanie po obcych, a gdzieś na świecie piękne kobiety mają wszystko, nie kiwając nawet wymalowanym palcem. Taka Lola. Dostała kolbę i uwagę, a nawet uczucia wielu mężczyzn, nie dlatego, że jest inteligentna, mądra, czy pracowita. Nawet nie dowcipna czy zajmująca. Dostała to, bo jest atrakcyjna dla facetów i umie to wykorzystać. A ja? Tyle lat i nikt się mną nie zainteresował. Nikt nie wyznał, że za mną szaleje. Ech, gdyby tak choć raz... choć raz w życiu usłyszeć takie słowa z ust superprzystojniaka, melancholijnego i dowcipnego, zdecydowanego i delikatnego, niezłomnego i romantycznego, grubego i chudego, wysokiego i małego, wesołego i smutnego... Może wystarczyłoby potem pielęgnowanie takiego wspomnienia? Mogłabym na przykład codziennie rano wspominać tę chwilę, gdy on pada na kolan, dzierżąc w dłoniach fantastyczny bukiet kwiatów, ze słowami „Próbowałem zapomnieć, ale to ponad moje siły. Kocham panią jak... jak nie wiadomo co! Szaleję za panią! Śnię o pani we dnie i w nocy! Daj mi choć cień nadziei...! Uwolnij mnie z brzemienia tych oto kwiatów, ociekających wodą na mój kosztowny wełniany płaszcz i wyglansowane buty...! Nie dręcz moich sfatygowanych osteoporozą kolan...!”

Nie, znów nie tak, jak trzeba. Powinno być: „Uwolnij mnie od tych oto kwiatów, ociekających wodą na mą skórzaną kurtkę i solidne, wiązane buciorzy, które nie są tak nieprzemakalne, jak twierdził sprzedawca w obuwniczym...!”

Coś takiego. Przymknęłam oczy, wyciągając ręce przed siebie, i niemal czując woń wymagowanego bukietu róż pąsowych.

Co bym odpowiedziała? Powinnam udawać, że głęboko się namyślałam. Zasada numer jeden – nie pokazać facetowi, że ci zależy. Mogę długo poczekać, dajmy na to, około trzech sekund, zanim rzucę mu się na szyję, szepcząc czule „Kochany! A czy masz na pewno poważne zamiary?”. Wtedy on odpowie: „Wyjdiesz za mnie?”, a ja zatonę w jego silnych, męskich ramionach, pachnących wiatrem, lasem i wodą po goleniu...

Ktoś zastukał do drzwi. Było już zupełnie ciemno. Rozejrzałam się po korytarzu i ostrożnie wsunęłam kamień do rękawa

Na zewnątrz panował mrok. Deszcz przybrał na sile i monotonnie walił

o dachy. Gdzieś blisko zahukała sowa. Nikły blask ze środka domu padł na wysoką postać w kapturze, przyczajoną na zewnątrz ogrodzenia. W tej samej chwili koty wyskoczyły z domu i znikły za rogiem budynku.

Nagle przerażona, mocniej ujęłam rękaw, skręcając go do sznurka. Wzięłam głęboki oddech i jeszcze głębszy zamach. Kto wie, jak dalej potoczyłoby się moje życie, gdyby postać nie pisnęła damskim, cienkim głosem.

- Pani Figiel?

Och. To tylko Sylwia Prokop.

- Wejdz, co tam robisz – rzekłam na głos. – Przestraszyłaś mnie.

- Pomyślałam, że wpadnę. Podobno miała pani okropne przeżycia. Przyniosłam ciasto – na dowód tego dziewczyna uniosła w górę lewą rękę. Zwisiała z niej paczka o charakterystycznym cukierniczym kształcie. – Może chce pani, żeby ktoś został na noc - mówiła dalej, wchodząc do kuchni. – To znaczy, ja mogę zostać – sprecyzowała.

Zobaczyłam, że w drugim ręku ma wypchaną torbę. Widać wzięła ze sobą cały ekwipunek. Najchętniej poszłabym do wanny, a potem do łóżka, ale od czego jest dobre wychowanie?

- Kochana jesteś, że o tym pomyślałaś. Napijmy się herbaty - zabrałam od Sylwii apetycznie pachnącą torbę. W środku były pączki, eklerki, śmietanowy przekładaniec i dwie napoleonki.

Dziewczyna przygotowała wszystko, zaparzyła herbatę, pokroiła cytrynę (przyniosła jedną ze sobą) i zabrała jedzenie do salonu, gdzie czekałam z nogami zwróconymi w stronę ognia. Opowiedziałam Sylwii wydarzenia ostatnich dni. Za oknem wiatr nabierał rozpędu, grzechocząc słabo umocowanymi elementami, jak puszki, butelki czy rynny. Deszcz spływał po szybach, nadając mojej historii posmak gotyckiego horroru. Koty wróciły, zjadły, zamruczały i ułożyły się przed kominkiem.

Dziewczyna słuchała, siedząc z nogami podciągniętymi pod brodę, i rozszerzonymi ciekawością oczami. Wypiłyśmy całe morze herbaty, mięty i rumianku. Na talerzykach pozostały tylko okruchy z ciastek. Kiedy skończyłam, zadowolona z siebie (udało mi się stworzyć całkiem zgrabną historię z niebanalną narracją) – Sylwia nieznacznie ziewnęła. Ukryty rodzaj ziewania. Usta się nie otwierają, ale człowiek nabiera powietrza w dość charakterystyczny sposób, przez nos, i potem mimowolnie zaciska powieki.

- Chciałabym zobaczyć tę kulię. Te wszystkie rubiny i brylanty!

- Ma ją inspektor. Wątpię, czy kiedykolwiek zostanie wystawiona dla publiczności – rzekłam sucho. Mogłaby okazać nieco więcej entuzjazmu dla moich bohaterskich czynów.

- A ten brat, Feliks? Za kim tak szaleje?

- Za Lidią Miler – oznajmiłam. – W grę wchodziła tylko ona albo

mordercy. Za Lolą nie szalał.

- Szkoda. To taki interesujący mężczyzna...

- Niestety, niestety, wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek tu zawita – westchnęłam. - Ja nie chciałabym wracać do miejsca, gdzie zabito mi brata.

Sylwia pokręciła głową. Potem wstała i zabrała się za zmywanie. Ja nadal tkwiłam w fotelu, pochłonięta wspomnieniami dramatycznej nocy...

Wreszcie dziewczyna odjechała. Zadzwoił do niej chłopak, któremu udało się dostać wolne tego wieczoru, więc pożegnałam ją z dobrze skrywaną ulgą. Nigdy nie byłam bardzo cierpliwa.

Następnie, nie tracąc więcej czasu, przeobraziłam się w Kobiętę w Kapturze i Nieprzemakalnym Płaszczu, po czym wyszłam w mokrą noc. Minęłam wieś, pole, las i dotarłam do pensjonatu. Była jedenasta w nocy. Za późno na oficjalne wizyty. Za wcześnie na sen. Dobra pora dla włamywaczy, o ile gospodarzy nie ma. O tej godzinie mało kto wygląda przez okno. Seriale już się skończyły, starsi szykują się do snu, a młodzież i tak nie odrywa wzroku od swoich laptopów, smartfonów i tabletów. Pewnie patrzą w nie nawet pod prysznicem i myjąc zęby.

Na parking nie stało żadne auto, nie zauważyłam żadnej twarzy w oknie, żaden blask nie przenikał przez zaciągnięte zasłony. Wyjęłam klucz z kieszeni, przekręciłam go w zamku i wśliznęłam się do środka.

Wewnątrz paliło się niewielkie światło na schodach. Wytarłam porządnie nogi i ruszyłam na górę prosto do pokoju na piętrze, pokoju, który niedawno zajmował Oskar Miler. Najpierw sprawdziłam zasłony, stanowczo zbyt cienkie i lekkie, by nie rzec oszczędnościowe. Przez takie zasłony bije blask latarki, a co dopiero trzech mocnych żarówek. Na podłodze bez ładunku i składu ustawiono rzeczy Milera, zwrócone po rewizji i badaniach. Policja nie robi po sobie porządku, choć ponoć stoi na jego straży... Ubrania, jakieś notatniki, kosmetyki, etui na okulary, aparat fotograficzny... Mnie interesowała tylko jedna rzecz. Nigdzie nie było jej widać. Zajrzałam do szafy, pod łóżko, zbadalam kosze na śmieci, przetrząsnęłam pościel. Wreszcie znalazłam.

Pudełko ze sklepu z butami, pudełko, które widziałam, gdy Nieduży nastąpił mi na haluks w obuwicznym. Powinna znajdować się w nim nowa, nieużywana para butów. Chciwie ściągnęłam pokrywkę.

I oto leżały przed mną, błyszczące, ciemnobrązowe, po prostu wspaniałe. No, może nie całkiem. Na cholewce jednego z nich była niewielka plama. Powąchałam ją i skrzywiłam się. Jakiś chemiczny zapach. Sięgnęłam do środka. Nic. We wnętrzu prawego ten rodzaj papieru, jaki wkłada się w sklepkach, by utrzymać fason obuwia. Na wierzchu nieco zgniecionych gazet, zapewne dodanych w celu lepszego wypełnienia. W drugim podobnie. Jeszcze więcej gazet i nic poza tym. Rozczarowana, obejrzałam buty ze wszystkich stron. Może wydrążył podeszwę, jak szpiedzy w filmie? Albo ukrył coś pod skórzaną wewnętrzną

wkładką? Wprawdzie wyglądała na nienaruszoną, ale chyba powinna tak wyglądać? To znaczy, gdyby coś pod nią ukryto?

Wydobyłam z kieszeni składany nóż i ostrożnie ją podważyłam. But zaskrzypiał, odsłaniając wnętrze. Trochę głośno zaskrzypiał. Zamarłam, pochylona nad pudełkiem.

W tej samej chwili drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadła ciemna skulona postać. Nie zdążyłam się ruszyć. Runęła na mnie, przygniatając mnie do podłogi. Owionął mnie przyjemny, znajomy skądś zapach i zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Po raz pierwszy w życiu zemdlałam.

Kiedy otworzyłam oczy, pokój tonął w świetle. A obok, zupełnie jak w moich marzeniach, tkwił na kolanach Niemożliwy z bukietem pachnących frezji przetykanych tu i tam różami. W drugiej ręce trzymał butelkę z koniakiem.

- No, nareszcie – rzekł zupełnie niesentymalnie. – Proszę to wypić – wskazał na butelkę.

Zabrałam mu koniak i łyknęłam trochę z gwinta. Od razu przejaśniło mi się w głowie.

- Co, u licha... - zaczęłam, ale mi przerwał. Niemożliwy mi przerwał.

W całym moim życiu może jeden facet ośmielił mi się przerwać.

Wszystko wskazywało na to, że idą zmiany.

- Co pani tu robiła? – spytał ostro, jakby był policjantem, a nie Marzeniem Kobiet.

Czas na kontratak.

- Nie widzi pan? Robię porządki przed przyjazdem gości. Nie spodziewałam się napaści.

Feliks Miler obrzucił spojrzeniem moje czarne spodnie, czarny, obcisły sweter i ciemne rękawiczki. Jego wzrok zatrzymał się na moment na moim nożu, leżącym pomiędzy nami. Wyprostował się.

- Zawsze używa pani do sprzątnięcia majchra? – zagadnął. – Ładny okaz. Sprężynowy.

No, dobrze, co mi tam. Mogę mu powiedzieć

- Przypomniałam sobie, co pan mówił kiedyś o bracie. Że schował pieniądze czy coś podobnego w pańskim bucie, żeby pana oskarżyć przed rodzicami. Pomyślałam, że może tu też coś ukrył. Może testament, albo jakieś ważne dokumenty... policja nie zwraca uwagi na nieużywane buty.

- I jak? Znalazła pani coś? - zadrżały mu wargi. Człowiek obdarzony mniejszym poczuciem własnej wartości niż ja mógłby dojść do wniosku, że Niemożliwy się śmieje.

- Nie - odrzekłam z godnością, podnosząc się z podłogi. Nie ma nic gorszego niż rozmowa na nierównej płaszczyźnie. Nóż schowałam do kieszeni. – A pan skąd

się tu wziął? Przecież nie było samochodu na...

- Pojechałem po kwiaty – Feliks spojrzał na trzymany w ręku bukiet, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Przez okno sączyło się światło, więc pomyślałem, że może ktoś się włamał. Inspektor wspominał o włamaniach w okolicy... Podkradłem się aż do drzwi, ale zaskrzypiały.

- Piękne frezje – zauważyłam mimochodem.

- Tak. Lepiej zrobię tu porządek – dodał, rozglądając się wokół. – Pewnie pokój jest potrzebny dla nowych gości.

Racja. Zaczęłam upychać papier z powrotem do butów Niedużego. Niemożliwy składał ubrania. Nagle zastygłam.

- To nie gazeta – w moich rękach była pognieciona kartka papieru. Na odwrocie zapisano ją gęstym drukiem. Feliks, zaalarmowany moim tonem, podszedł i zajrzał mi przez ramię. Oboje patrzyliśmy na dokument z dużym nagłówkiem.

Testament Oskara Milera.

- Stary łobuz – mruknął Niemożliwy. - Wciąż te same sztuczki.

Wyjął mi papier z ręki i zaczął głośno czytać:

- „*Mój drogi Feliksie, to nie jest prawdziwy testament. Jednak biorąc pod uwagę obecny stan moich spraw i wszelaką niepewność, jaka towarzyszy naszym czasom, obfitującym w ludzi nieprawych i złoczyńców, postanowiłem i ja skreślić do ciebie, mojego niegodnego brata, parę słów...*”

- Przypomina to początek jednego z biblijnych listów – wtrąciłam ze zdumieniem.

- „*...Jeśli znalazłeś te zapiski, to jesteś bystrzejszy niż sądziłem. Z drugiej jednak strony zawsze miałeś szczęście i wszystko przychodziło ci z łatwością tam, gdzie inni musieli się sporo namęczyć. Jednym słowem zbierałeś, choć nie siałeś i zarabiałeś, choć się nie utrudziłeś. Młodość i dzieciństwo spędziłeś na wywyższaniu się nade mną, pokornym i cichym. Nasi rodzice długo byli ślepi na twoją zarozumiałość i nie wiadomo skąd biorące się poczucie wyższości. Wreszcie jednak udało mi się ich oświecić, a gdy przejrżeli na oczy, postąpili słusznie wypędzając cię z domu i serca. Godny jesteś potępienia, jakiego doznałeś. Napisane jest bowiem, że tylko człowiek skromny i czystego serca spodoba się Panu.*

Tyle jeśli chodzi o przeszłość. Teraz jednak pojawiłeś się znów w moim życiu, wezwany z powodu nagłych i niezwykłych zmian. Skoro czytasz ten list, ja pewnie już nie żyję. To nic. Pan wynagrodzi po stokroć moje oddanie i uczciwe życie. Mam jednak kilka zobowiązań, których nie zdążyłem wypełnić. Chodzi o najgorszą rzecz na świecie – o mamonę. Jako wybraniec, otrzymałem uśmiech od Pana w postaci wielomilionowej fortuny. Nie ufam ludziom, a już tym bardziej tym krwiopijcom, bankierom. Dlatego nie powierzyłem sumy tak ogromnej żadnej z tych

nienawistnych instytucji. Co zrobiłem? To będzie twoje zadanie. Musisz odnaleźć ukryte skarby. Jeden z nich ma na przechowaniu moja obecna przyjaciółka. Może upierać się, że jest to jej własność, lecz nie wierz jej. Wdzięk kobiety potrafi omamić najwaleczniejsze serce. Na dowód ukryłem potwierdzenie zakupu w jednym z moich butów...”

- Czy on stracił rozum?

- Nie, po prostu zawsze był krętaczem. Prosta wypowiedź nie mogła mu przejść przez usta – Niemożliwy wrócił do kartki – „...*Tobie powierzam odnalezienie reszty skarbu. Prowadzą do niego znaki, jasne dla ludzi rozumnych. Kiedy już wejdiesz w posiadanie tych rzeczy, nie zapomnij o pewnym księdzu, moim dawnym znajomym. Jestem mu winien przysługę. Odnajdziesz gona Pomorza. Kiedyś pracował w parafii pod Gdańskiem i nosi nazwisko kojarzące się z Bożym Narodzeniem i muzyką. Dom wraz ze wszystkim, co w nim jest, powinien przypaść moim dzieciom. Tobie przeznaczam naszyjnik, jaki nosi teraz Lola Bartnik, byś użył go do swoich własnych potrzeb. Resztę - po jej odnalezieniu – rozdaj ludziom biednym, gdyż uświadamiam sobie czasem, że brakuje mi skarbu w niebie.*

Niech będą dla ciebie wskazówką słowa dobrze ci znane. Szukaj tam, gdzie mól ani rdza nie niszczą. I gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną.

I pamiętaj, że wiele rzeczy jest bliżej, niż się nam wydaje.

Twój brat Oskar Miler.”

Głęboko wciągnęłam powietrze.

- Nigdy nie spotkałam się z czymś takim.

Feliks upuścił list na dywan. Patrzył daleko, gdzieś poza ściany pensjonatu. Wreszcie opadł ciężko na fotel.

- Nie rozumiem, dlaczego nie napisał wprost. W końcu jest pan i tak jego spadkobiercą.

- Nie ufał nikomu – Niemożliwy potarł policzek. – Może myślał, że list wpadnie w niepowołane ręce. Policjanci też bywają chciwi.

- Dziwne, że tak niewiele zostawił dzieciom.

- Z jego punktu widzenia to całkiem sporo. Żaden z nas nie zaczynał życia jako właściciel luksusowej rezydencji. Jej wartość może wystarczyć na wiele lat wygodnego życia. A może – zastanowił się – tak, to całkiem możliwe, że i tam ukrył jakieś klejnoty. Użył sformułowania... - podniósł list z podłogi i odnalazł frazę – „ze wszystkim, co w nim jest”. To może sugerować mnóstwo rzeczy.

- Sądzi pan, że ten papier będzie miał wartość prawną? – zainteresowałam się.

- Nawet jeśli nie, to i tak dziedziczą dzieci. No i ja – dodał po chwili.- To znaczy, że na mnie spadnie ta cała dobroczynna działalność. Ciekawe, co kupił za te miliony. Same klejnoty? Diamenty? Sztabki złota?

- Na takie rzeczy powinien być jakiś ślad w jego papierach. Chyba, że kupił

dolary albo obraz Picassa. Szczególnie Picassa kupiłby nielegalnie.

- Nie, taki zakup wymaga czasu i rzeczoznawców. Nie zdążyłby. Zresztą diamentów także. Z listu wynika, że miał potwierdzenie kupna kolii z rubinów, więc wszystko było załatwiane w sposób jawny. Już bardziej prawdopodobne są dolary. Wymaga to wysiłku i jeżdżenia, ale można objechać kantory, nawet i w całym województwie.

- I przyjechałby tu z walizką pieniędzy? – powątpiewałam – Bardzo ryzykowne.

- Dlaczego tu? Mógł schować wszystko w Warszawie.

Nie odpowiedziałam. Nie wiadomo dlaczego, byłam przekonana, że Nieduży nie rozstawał się ze swoim majątkiem. Ostrożny, nieufny człowiek. Coraz bardziej świadomy powierzchowności swoich związków z ludźmi. Człowiek, który w sytuacji kryzysowej zwraca się do brata – jedynej spokrewnionej z nim osoby. Taki człowiek nie zostawia majątku byle gdzie. Forsa to pewność, poczucie bezpieczeństwa.

Wzięłam do ręki list.

- O, tu jest data – zauważyłam – „3 października, Lębork”. A na końcu tylko podpis. „...bliżej, niż ci się wydaje...” Co to może znaczyć?

- Bardzo wiele. Niech pani spojrzy na poprzednie słowa. To też przekreślony cytat. Miejsce, gdzie mól ani rdza nie niszczą to niebo. Tam nie włamują się złodzieje.

- Tak. „Gromadźcie sobie skarby w niebie”. Wracamy do tematu skarbu.

Niemożliwy wydobyl telefon komórkowy. Połączył się z Biegunem, po czym zwięźle zrelacjonował mu nasze odkrycie. Po chwili wyłączył słuchawkę.

- Policja przyjedzie dopiero jutro rano. Na razie mamy niczego nie ruszać, zamknąć pokój Oskara, i nikogo tu nie wpuszczać.

- Rychło w czas – stwierdziłam, patrząc na porozkładane po całej podłodze przedmioty.

- I powiedział jeszcze, że raczej nie będą się zajmować poszukiwaniami milionów. Oni już formalnie kończą śledztwo.

- W takim razie ma pan zagadkę do rozwiązania – wstałam i rozejrzałam się po pokoju. - No, będę się zbierać.

Niemożliwy podniósł się także.

- Odprowadzę panią.

- A, jeśli pan mógłby...

Zamknął drzwi, zabierając bukiet. Patrzyłam w milczeniu na kwiaty.

- Pojedziemy autem – stwierdził na progu domu. - A co do zagadki... to może pomogłaby mi pani ją rozwiązać? Zan pani okolicę i wszystko odbyło się... jakby to ująć... w pani obecności.

No cóż, nie jest to może wyznanie uczuć, ale musi mi wystarczyć. Jestem

użyteczną pomocą. Czymś w rodzaju laski do podpierania się albo balkonika chroniącego przed upadkiem.

Niemożliwy mówił dalej:

- Bardzo mi pani pomogła wtedy, z tym dostępem do internetu i w lesie... dopiero tam uświadomiłem sobie, że Lola świadomie uwodzi Adriana. To było tak niedorzeczne, że musiało być podejrzone.

No tak, atrakcyjni osobnicy nie interesują się zwykle przeciętniakami. Takimi jak ja.

- No i narażała się pani. Najpierw ten upadek w hangarze, a potem cała ta scena z Lolą... mało brakowało, a byłoby kolejne morderstwo.

Nawet nie wie, jak mało. Nieznaczące drgnienie mojej ręki i trafiłabym niezawodnie prosto w jej skroń. Nie przeżyłaby.

- A teraz wpadła pani na miejsce, gdzie Oskar ukrył ten list. Genialne, po prostu genialne!

I to jak. Sam mógłby o tym pomyśleć. No, ale Oskar nie jemu nadepnął na haluks.

- A to - niespodziewanie podetknął mi pod nos pachnący bukiet – jest dla pani. Z podziękowaniem dla najbardziej niezwyklej osoby.

- Tak?

Mów, mów dalej, człowieku. Nareszcie coś do rzeczy.

- Jest pani odważna, inteligentna i piękna! Sposób, w jaki pani poradziła sobie z Lolą... niezawodna celność, silne ręce... Nigdy nie spotkałem nikogo takiego.

Poczułam się jak kulturysta na wybiegu. Mógłby jeszcze coś dodać.

- Naprawdę! Szaleję za panią!

Popatrzyłam na niego. Nawet w ciemnościach nocy prezentował się cudownie. Wysoki, przystojny, o szerokich, męskich barach, i z tym wesołym błyskiem w oczach. Teraz powinien wziąć mnie w ramiona i wyznać uczucie.

Jednak zanim to nastąpiło, usłyszałam swój własny głos mówiący tubalnie:

- Jestem kobietą w latach. Czy ma pan na pewno poważne zamiary?

- Jak najpoważniejsze! – zapewnił Niemożliwy podchodząc nieco bliżej...

Poniedziałek, 10 listopada

Od ostatnich wydarzeń upłynął już miesiąc. Feliks wyjechał za granicę, nie skończywszy poszukiwań skarbu Oskara. Pewnego dnia – dokładnie ósmego listopada – zadzwonił jego telefon. Po krótkiej rozmowie od razu zaczął się pakować. Wieczorem nie było już po nim śladu...

Dotychczas całe dni spędzaliśmy wspólnie. Mieliśmy sporo zajęcia z badaniem rozmaitych mniej lub bardziej prawdopodobnych schowków. Zwiedziliśmy niemal każde miejsce jako tako zabezpieczone od złodziei oraz moli, jakie tylko przyszło nam do głowy. Szczególną uwagę poświęciliśmy pensjonatowi i jego okolicom. Wykluczyłam wszystkie wilgotne i brudne miejsca, jako zbyt narażone na rdzę i pasożyty. Pozostałe okazały się puste, nie licząc gniazda myszy i sporej ilości śmieci. Sporą trudność sprawiał nam brak informacji, czego właściwie szukamy. Mimo to nie ustawaliśmy w wysiłkach. Feliks wspinał się nawet na komin pensjonatu, upierając się, że tam z pewnością żaden złodziej się nie włamuje. Dziuple drzew, ciemne zakamarki szopy i altany, schowek na szczotki wraz z jego bogatą infrastrukturą, auto Oskara, jego osobiste przedmioty – nic nie stanowiło dla nas problemu. Feliks odwiedził wszystkich notariuszy w Lęborku, licząc na pozostawione tam wskazówki, ale nic nie wskórał.

Jesień zagościła na dłużej, pokrywając dni mgłą lub szronem, w zależności od humoru. Dni skróciły się jeszcze bardziej, wieczorami ponuro szumiały ogołoczone z liści gałęzie drzew, a kaczki odleciały. Jezioro przypominało szarą studnię nieruchomej wody. Trzciny, jeszcze niedawno zielone, teraz przybrały barwę rdzy i kasztanów. Wszystko tonęło w jesiennej melancholii.

Oprócz nas, pochylonych nad wiosłami swoich łodzi albo maszerujących wzdłuż brzegu morza po zimnym, szarym piasku. Kilka razy odwiedziliśmy księdza Kolendę. Miał jeszcze problemy z samodzielnym poruszaniem się, ale wychodził już dużo częściej. Pięć razy ograł mnie w szachy, a raz ja zwyciężyłam, sprytnie zagadując go na temat Biblii.

Wieczorami mój dom był mocno oświetlony, a na kominku paliły się ściągnięte z plaży kawałki drewna. Niemożliwy robił herbatę z rumem, podczas gdy z mojej filiżanki powoli ubywało kawy. Dużo rozmawialiśmy o Oskarze i jego liście, aż w końcu temat został wyczerpany i zajmowaliśmy się każde swoimi rozrywkami. Feliks przeważnie śledził wysiłki piłkarzy, a ja czytałam albo słuchałam muzyki. Albo wciągał mnie świat internetu, z jego wiadomościami, gramami i zadziwiającymi wypowiedziami internautów. Czasem wysuwałam – ot, tak sobie – przypuszczenie, że ten list był tylko złośliwym żartem wobec znienawidzonego brata. Wtedy Feliks złościł się okropnie, co przejawiało się drganiem kącików ust oraz mówieniem w bardzo spokojny sposób. Niebezpiecznie spokojny. Tak samo reagował, gdy pytałam go, kim jest naprawdę. Mówił jeszcze wolniej, jakby każde słowo wydobywało się po specjalnej obróbce gdzieś w głębi jego ust, a czasem, kiedy naprawdę się zdenerwował, wychodził na samotny spacer po zasypanych liśćmi traktach. Bywały też chwile, kiedy stawał się czuły... bardzo czuły i jeszcze bardziej męski.

Dwa dni temu Feliks wyjechał, niejasno obiecując powrót na wiosnę.

Jak bocian.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o płomienny romans Alicji Figiel.
Z człowiekiem, który nie istniał.

Wytrącona z codziennego rytmu zajęć, postanowiłam pojechać nad morze. Kończył się zapas pachnących solą korzeni, desek i gałęzi. Pan Bogdanek obiecał, że przywiezie je do mnie, o ile zgromadzę je w jednym miejscu pod klifem. Spędziłam trzy godziny spacerując brzegiem. Listopadowe słońce wyjrzało zza mgły i niepewnie oświetlało falującą, srebrną przestrzeń. Dzień był niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Plaża niemal pusta. Spotkałam tylko dwoje starszych ludzi i księdza Ruczaja, w podkasanej sutannie i z kijkami nordic walking. Pomógł mi zbierać drewno i opowiedział nowiny.

Bogdankowa organizowała kolejny festyn, stary Gryko znów się upił i wybił okno w „Neptunie”, co skończyło się interwencją policji i pogotowia oraz miejscowej straży pożarnej. Zosia Malisz miała narzeczonego. Przyjechało dwoje turystów z Ameryki i nikt nie może się z nimi dogadać. Malik wyjechał na sympozjum do Warszawy. Ale najważniejsza nowina dotyczyła księdza Kolendy. Biskup przydzielił mu probostwo na niezbyt odległej parafii, z nowoczesną plebanią i wszystkimi szykanami, jak stwierdził ksiądz Ruczaj. Mieszka tam już dwu młodych i energicznych wikarych, zatem Kolendo może spokojnie dochodzić do zdrowia, nieco się oszczędzając.

Wszystkie te sprawy, niezwykle interesujące, poprawiły mi humor. Sama przed sobą nie chciałam się przyznać do tęsknoty za Niemożliwym.

Pod wpływem słów księdza oraz sporego ciężaru drewna, zapomniałam o nim na co najmniej kwadrans.

Słońce schowało się za chmurę i od razu zrobiło się szaro. Ruszyliśmy w górę klifu, zostawiając za sobą szum fal i sporą górę gałęzi. Minęliśmy dróżkę prowadzącą do przekłętej polany, naznaczonej uschłym drzewem i morderstwem śpiewaczki. Było cicho, ale raptem część opadłych liści uniosła się ku górze w niewielkim tornado, a sosny ugięły się pod mocnym podmuchem wichury. Poczułam, że brakuje mi powietrza – nieraz tak się czuję przy spadku ciśnienia atmosferycznego.

I wtedy to usłyszałam.

Nieprawdopodobnie wysoki sopran wznosił się ku chmurom, osiągając niebotyczną nutę.

„Der Hölle Rache kocht in meinem Herzen.” „Piekielna zemsta kipi w moim sercu”.

Najtrudniejsza na świecie aria Królowej Nocy, aria z Czarodziejskiego Fletu Mozarta, obejmująca dwie oktawy, a może i więcej.

Zamarliśmy oboje. Wiatr ucichł, tak samo nagle jak się zerwał i ze wzmożoną siłą natarł na nas ryk morza. Powietrze wokół zgęstniało, kładąc się ciężarem na moich płucach i blokując oddech. Nie mogłam złapać tchu. Proboszcz

mocno zbladł. Zobaczyłam na jego czole kropelki potu i nagle pomyślałam, że sama pewnie nie wyglądam lepiej – serce waliło mi jak oszalałe. Raptem głos się urwał, załamał i do moich uszu dobiegł okropny, męski śmiech. Tak pewnie śmieje się diabeł w „Fauście”, choć nigdy nie słyszałam podobnie złośliwego tonu.

Głos oddalał się teraz od nas, frunął ku górze, nad sosnami i klifem, by rozpląnąć się gdzieś w bezmiarze morskiej przestrzeni. Po chwili znów staliśmy w cichym i pustym lesie.

- Dostyc tego – rzekł proboszcz z niespodziewaną energią. - Idziemy.

Ruszył przodem, mocno stąpając po dróżce. Truchtałam za nim, niespokojnie rozglądając się na wszystkie strony. Las znów się do nas przybliżył, a może po prostu szybko zapadał zmierzch.

- To nie mogła być ta dziewczynka - mówiłam nerwowo, połykając słowa – na końcu słyszałam mężczyznę. Zresztą nie sądzę, by miała takie umiejętności. Inny głos.

Ruczaj wcale mnie nie słuchał. Dotarliśmy do polany.

- Ja idę w prawo, a pani w lewo – rozkazał, pilnie rozglądając się wokół. - Zaraz spotkamy się na środku, przy tej jamie.

U stóp uschłej sosny ział głęboki dół. Wcale nie miałam ochoty do niego zaglądać. Samo to miejsce zawsze przyprawiało mnie o gęsią skórkę.

Alicja Figiel może i jest nieustraszona, ale boi się duchów.

Poszłam posłusznie w lewo, starając się nie tracić z oczu księdza. Pod nogami coś mi szeleściło, gdzieś w półmroku trzeszczały gałęzie. Jakiś ptak załopotał skrzydłami tuż przed moim nosem.

Pięć minut później oboje staliśmy pod drzewem.

- Nie widziałam nic i nikogo – powiedziałam, szczękając zębami.

- Ja tak samo – ksiądz wciąż przyglądał się drzewu. – Wracajmy do Pustkowie. Myślałam, że ona jest w internacie... Mój Boże! Już ja sobie pogadam z tą małą... i jej opiekunką.

Dotarliśmy do przystanku tuż przed przyjazdem autobusu. Proboszcz stał obok mnie, gdy wielki pojazd wyłonił się zza lasu i wtoczył na podjazd. Automatyczne drzwi otworzyły się i wysiadło kilka osób. Sylwia, Zosia Malisz, paru mężczyzn, a na końcu młoda uczennica z plecakiem.

Edyta, zwyciężczyni konkursu w „Neptunie”.

Podeszła do księdza.

- Przyjechałam na próbę chóru. Ledwie zdążyłam ze szkoły - zerknęła z zaciekawieniem na nasze poruszone twarze – mam nadzieję, że nie jestem spóźniona?

KONIEC